

Błękitna pustka

Deaver Jeffery



calibre 1.15.0

Deaver Jeffery

Błękitna pustka

Przełożył Łukasz Praski

Gdy twierdzę, że mózg jest maszyną, nie zamierzam obrażać umysłu, tylko wyrazić uznanie dla możliwości maszyny. Nie sądzę, abyśmy przeceniali ludzki umysł - za to bez wątplenia nie doceniamy maszyn.

W. Daniel Hillis „The Pattern on the Stone”

SŁOWNICZEK

B o t (skrót słowa „robot”): program komputerowy działający samodzielnie, który pomaga użytkownikowi lub innym programom; nazywany również agentem.

CC U: The Computer Crimes Unit of the California State Police - wydział przestępstw komputerowych policji stanu Kalifornia.

Chipowiec: pracownik firmy komputerowej specjalizujący się w produkcji lub sprzedaży sprzętu komputerowego.

Cracker: osoba, która nielegalnie uzyskuje dostęp do komputera zwykle po to, żeby skraść lub zniszczyć dane albo uniemożliwić innym korzystanie z systemu.

Cywile: osoby niezwiązane z przemysłem komputerowym.

Czarodziej: błyskotliwy ekspert komputerowy, GURU.

Demon: działający w tle, często ukryty program komputerowy, który nie jest uruchamiany poleceniem wydanym przez użytkownika, ale działa niezależnie. Zwykle uaktywnia się, gdy w komputerze, w którym rezyduje, zostaną spełnione określone warunki.

Firewall (zapora ogniowa): system zabezpieczenia, który chroni komputer przed wprowadzeniem do niego niepożądanych danych.

Freeware: oprogramowanie udostępniane przez jego twórców za darmo.

Guru: błyskotliwy ekspert komputerowy, CZARODZIEJ.

Halsować: pierwotnie oznaczało - szybko napisać program służący określonemu celowi, lecz znaczenie ewoluowało i obecnie określa się tym słowem badanie i pisanie nowatorskich programów komputerowych. Coraz częściej CYWILE używają terminu HAKOWAĆ i HAKER w odniesieniu do nielegalnych włamań do systemu w celach przestępczych - czyli praktyk CRACKEROW. HAK to również sprytne rozwiązanie problemu związanego z programowaniem.

ICQ (*I seek you* - szukam cię): podsieć Internetu podobna do **IRC_u**, ale poświęcona rozmowom prywatnym. Rodzaj komunikacji bezpośredniej.

IRC (*Internet Relay Chat*): popularna podsieć Internetu, w której pewna liczba uczestników prowadzi rozmowy w czasie rzeczywistym w pokojach tematycznych.

JP6 (lub **JPEG** - *joint photographic experts group*): format stosowany do przekształcania obrazu do postaci cyfrowej, kompresji i przechowywania obrazu w komputerze. Plik w tym formacie ma nazwę o rozszerzeniu. jpg.

Kludge: program napisany od ręki, często w pośpiechu, który ma służyć konkretnemu celowi, często usunięciu PLUSKWI lub innej usterki w operacjach komputera.

Kod źródłowy: forma, w jakiej programista pisze program, używając liter, cyfr i znaków typograficznych w jednym z wielu języków programowania. Kod źródłowy przekształca się następnie w kod maszynowy, odczytywany przez komputer, który wykonuje zapisane polecenia. Kod źródłowy jest zwykle utrzymywany w ścisłej tajemnicy przez jego twórcę lub właściciela.

Kod: program komputerowy.

Kodo log: utalentowany programista, którego pracę uważa się za nowatorską.

Nazywany również samurajem. **Maszyna**: komputer.

MUD (*multiuser domain, multiuser dimension* lub *multiuser dungeons* - domena albo lochy wielodostępne): podsieć Internetu związana z IRC-em, w której użytkownicy uczestniczą w grach lub symulacjach w czasie rzeczywistym. **MUD-owiec**: uczestnik MUD-u.

Pakiet: mały ciąg danych w postaci cyfrowej. Wszystkie informacje przesyłane Internetem - e-maile, tekst, muzyka, obrazy, grafika, dźwięki - są rozbijane na pakiety, z których w miejscu przeznaczenia odtwarzana jest wiadomość oryginalna.

Phishing (zapisane „hakerską ortografią” słowo fishing - wędkowanie): przeszukiwanie Internetu w celu odnalezienia informacji o konkretnych osobach.

Phreaking: włamywanie się do systemów telefonicznych głównie w celu prowadzenia darmowych rozmów, podsłuchiwanie lub przerywanie pracy Sieci. Osoba oddająca się takim praktykom to PHREAKER.

Pluskwa: błąd w kodowaniu, który uniemożliwia lub zakłóca działanie programu komputerowego.

Root (korzeń): w systemie operacyjnym UNIX termin odnosi się do SYSADMINA lub innej osoby odpowiedzialnej za komputer bądź Sieć. Wyrażenie „przejść root” oznacza przejęcie kontroli nad cudzym komputerem.

Ruter: komputer kierujący PAKIETY przez Internet do ich miejsc przeznaczenia.

Serwer: duży i szybki komputer w Sieci - takiej jak Internet - który przechowuje dane i strony WWW udostępnione użytkownikom.

Shareware: oprogramowanie udostępniane przez jego twórców za symboliczną opłatę lub na ograniczony okres próbny. **Skrypt:** oprogramowanie.

Sniffer (pakietów): program „węszący” działający na RUTERZE, SERWERZE bądź

pojedynczym komputerze, który kieruje PAKIETY do innego komputera zwykle w celu nielegalnego czytania wiadomości innych użytkowników, poznania haseł lub innych informacji.

Stuk acz: pozbawiony wyobraźni programista, który wykonuje proste lub rutynowe zadania.

Sysadmin (administrator systemu): osoba odpowiedzialna za działanie komputerów i/lub Sieć w organizacji. **Trapdoor** (tylne drzwi, zapadnia): furtka w systemie umożliwiająca programistom dostęp do programu i usuwanie błędów z ominięciem zabezpieczeń.

Unix: skomplikowany system operacyjny komputera, podobny do Windows. Jest to system operacyjny wykorzystywany przez większość komputerów w Internecie.

Warez (w „hakerskiej ortografii” połączenie słów *software* - oprogramowanie i *wares*

- towary): oprogramowanie komercyjne kopiowane nielegalnie.

WAV: format tworzenia cyfrowej postaci dźwięków i przechowywania ich w komputerze. Plik dźwiękowy w tym formacie ma nazwę z rozszerzeniem.wav.Za pomocą komputera... można popełnić prawie każdą zbrodnię. Nawet kogoś zabić.

I

Czarodziej

Za pomocą komputera... można popełnić każdą zbrodnię. Nawet kogoś zabić.

Funkcjonariusz Departamentu Policji Los Angeles

Rozdział

00000001/pierwszy

Biała poobijana furgonetka nie dawała jej spokoju. Lara Gibson siedziała przy barze w „Vesta Grill” na De Anza w Cupertino w Kalifornii, ściskając w palcach chłodną nóżkę kieliszka martini i nie zwracając uwagi na dwóch młodych chipowców, którzy stali nieopodal, zerkając na nią znacząco.

Znów wyjrzała na zewnątrz, przebijając wzrokiem ciemną zasłonę mżawki, ale nie dostrzegła sylwetki econoline’a bez okien, który, jak się jej wydawało, jechał za nią od domu do restauracji, czyli parę mil. Lara zsunęła się ze stołka barowego, podeszła do okna i wyjrzała. Furgonetki nie było na parkingu restauracji. Ani po drugiej stronie ulicy, na parkingu Apple Computer, ani na placu obok należącym do Sun Microsystems. Tylko tam kierowca mógłby zaparkować, żeby mieć ją na oku - jeśli rzeczywiście ją śledził.

Nie, to musiał być jednak zbieg okoliczności, uznała. Zbieg okoliczności, wyolbrzymiony przez lekką paranoję.

Wróciła za bar, zerkając na dwóch młodych mężczyzn, którzy na przemian udawali, że jej nie zauważają lub posyłali subtelne uśmieški.

Jak prawie wszyscy młodzi goście baru w porze, gdy serwowano tańsze drinki, mieli na sobie luźne spodnie i eleganckie koszule bez krawatów oraz nosili insygnia Doliny Krzemowej stanowiące tu nieodłączny element stroju - firmowe plakietki identyfikacyjne zawieszane na szyi. Ci dwaj paradowali z błękitnymi kartami Sun Microsystems. Pozostałe oddziały reprezentowały Compaq, Hewlett-Packard i Apple, nie licząc sporej armii nowicjuszy z początkujących firm internetowych, których szacowni bywalcy Doliny mieli w niejkiej pogardzie.

Trzydziestodwuletnia Lara Gibson była zapewne o pięć lat starsza od swych dwóch adoratorów. Jako niezależna businesswoman, która nie należała do cyberświata - nie pracowała w żadnej firmie komputerowej - była pewnie także pięć razy biedniejsza. Dla nich nie miało to jednak żadnego znaczenia, bo zostali zupełnie oczarowani jej egzotyczną urodą, kruczoczarnymi włosami, wysokimi botkami, pomarańczowo-czerwoną cygańską spódnicą i czarną bluzeczką bez rękawów, która odsłaniała jej ładnie zarysowane, okupione godzinami ćwiczeń mięśnie.

Spodziewała się, że za jakieś dwie minuty jeden z chłopaków do niej podejdzie.

Pomyliła się o dziesięć sekund.

Chłopak uraczył ją odmianą odżywki, którą słyszała już kilkanaście razy:

„Przepraszam, nie chciałbym przeszkadzać, ale może życzy pani sobie, żebym złamał nogę chłopakowi, który każe czekać na siebie w barze takiej pięknej kobiecie? Proszę mi pozwolić postawić sobie drinka, a pani tymczasem zastanowi się, które kolano mam mu zgruchotać, dobrze?”.

Inna kobieta mogłaby wpaść w gniew, inna kobieta splonęłaby rumieńcem i zaczęła się jękać albo okazywać niepokój, albo nawiązałaby flirt, pozwalając poczęstować się drinkiem, ponieważ nie wiedziałaby, jak sobie poradzić w takiej sytuacji. Tak postąpiłaby kobieta słabsza od niej. Larę Gibson „San Francisco Chronicle” określił kiedyś „królową samoobrony w mieście”. Patrząc młodemu człowiekowi prosto w oczy, uśmiechnęła się zdawkowo i powiedziała:

- Nie mam w tej chwili ochoty na żadne towarzystwo.

Tak po prostu. Koniec dyskusji.

Zamrugał oczami, zaskoczony jej szczerością. Unikając jej ostrego spojrzenia, wrócił do swojego towarzysza. Władza... zawsze chodzi o władzę. Pociągnęła łyk drinka.

Ta przeklęta biała furgonetka przypominała jej wszystkie zasady, które opracowała jako instruktorka ucząca kobiety, jak się bronić we współczesnym społeczeństwie. W drodze do restauracji kilka razy spoglądała w lusterko wsteczne i widziała furgonetkę, która trzymała się jakieś trzydzieści, czterdzieści stóp za jej samochodem. Za kierownicą siedział jakiś dzieciak. Był ubrany w strój wojskowy i mimo dużego zachmurzenia i gęstej mżawki miał na nosie ciemne okulary. Naturalnie to była Dolina Krzemowa, kraina wałkonii i hakerów, gdzie wstąpiwszy na filiżankę cappuccino do Starbucksa, można było spotkać uprzejmego nastolatka z ogoloną głową, kilkunastoma kolczykami w różnych częściach ciała i w stroju bandyty z ubogiej dzielnicy. Mimo to Lara miała wrażenie, że kierowca gapił się na nią z dziwną wrogością.

Zorientowała się, że machinalnie bawi się pojemnikiem z gazem pieprzowym, jaki nosiła w torebce.

Jeszcze jeden rzut oka za okno. Ani śladu furgonetki. Tylko luksusowe samochody kupione za pieniądze spółek internetowych.

Rozejrzała się po sali. Sami nieszkodliwi cybermaniacy.

Uspokój się, nakazała sobie, pociągając łyk mocnego martini.

Spojrzała na zegar ścienny. Kwadrans po siódmej. Sandy spóźniała się już piętnaście minut. To do niej niepodobne. Lara wyciągnęła telefon komórkowy, lecz na wyświetlaczu ukazał się komunikat BRAK ZASIĘGU.

Już miała poszukać automatu, gdy nagle zatrzymała wzrok na młodym mężczyźnie, który wszedł do baru i pomachał do niej. Znała go, ale nie potrafiła dokładnie określić skąd.

W pamięci utkwily jej te długie, lecz zadbane blond włosy i kozia bródka. Mężczyzna był

ubrany w białe dżinsy i wymiętą niebieską koszulę roboczą. Ustępstwem wobec wymogów świata biznesu i znakiem jego przynależności do przemysłowej Ameryki był krawat; jednak jak przystało na biznesmena z Doliny Krzemowej, nie nosił krawata w paski czy kwiaty w stylu Jerry’ego Garcii, lecz z wizerunkiem ptaszka Tweety z kreskówki.

- Cześć, Laro. - Podszedł i uściskał jej dłoń, po czym oparł się o bar. - Pamiętasz mnie? Jestem Will Randolph, kuzyn Sandy. Poznaliśmy cię z Cheryl w Nantucket - na ślubie Freda i Mary.

Ach tak, więc stamtąd go pamiętała. Jego żona była wtedy w ciąży i siedzieli przy tym samym stole co Lara i jej chłopak, Hank.

- Oczywiście, że cię pamiętam. Co u ciebie?

- W porządku. Mam dużo pracy. Zresztą kto tu ma mniej? Na jego plastikowym identyfikatorze widniał napis „Xerox Corporation, PARC”. Lara była pod wrażeniem. Nawet ludzie spoza branży znali legendarne Centrum Badawcze w Palo Alto położone sześć mil na północ stąd.

Will skinął na barmana i zamówił jasne piwo.

- Co u Hanka? - zapytał. - Sandy mówiła, że starał się o pracę w Wells Fargo.

- Ach, tak, udało się. Właśnie jest na spotkaniu w Los Angeles. Will upił łyk piwa, które przed nim postawiono.

- Gratulacje.

Na parkingu mignęła jakaś biała plama.

Lara z niepokojem spojrzała szybko w tę stronę. Okazało się jednak, że to biały ford explorer, w którym siedziała para młodych ludzi.

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem ulicę i parkingi, przypominając sobie, że ujrzała przelotnie bok furgonetki, kiedy skręcała na parking restauracji. Na lakierze było widać jakąś ciemną, czerwonawą smugę - pewnie błoto; lecz wtedy pomyślała, że wygląda jak krew.

- Dobrze się czujesz? - spytał Will.

- Tak, przepraszam. - Odwróciła się do niego zadowolona, że znalazła sprzymierzeńca. Kolejna z jej zasad samoobrony w mieście: co dwie osoby to nie jedna. Lara zmodyfikowała ją teraz, dodając - nawet jeśli jedna z nich jest chudym cybermaniakiem mającym niewiele ponad pięć stóp dziesięć cali wzrostu i nosi krawat z bohaterem kreskówki.

- Kiedy wracałem do domu - ciągnął Will - zadzwoniła Sandy i poprosiła, żebym tu wstąpił i przekazał ci wiadomość. Próbowwała się z tobą skontaktować, ale nie mogła się połączyć z twoją komórką. Trochę się spóźni, więc prosi, żebyś się z nią spotkała w knajpce obok jej biura, tam gdzie byliście w zeszłym miesiącu... „Ciro”? W Mountain View.

Zarezerwowała stolik na ósmą.

- Nie musiałeś tu przyjeżdżać. Mogła zadzwonić do barmana.

- Chciała, żebym ci dał zdjęcia, które zrobiłem na ślubie. Wieczorem możecie obejrzeć je razem, a

potem powiecie mi, czy chcecie jakieś odbitki.

Will zauważył znajomego po drugiej stronie baru i pomachał do niego - mimo że Dolina Krzemowa to setki mil kwadratowych, w gruncie rzeczy przypomina niewielkie miasteczko.

- Cheryl i ja - powiedział do Lary Will - mieliśmy przywieźć zdjęcia w weekend, do domu Sandy w Santa Barbara...

- Tak, jedziemy tam w piątek.

Will zamilkł i uśmiechnął się tajemniczo, jakby za chwilę miał się z nią podzielić jakimś ogromnym sekretem. Wyciągnął portfel i pokazał jej zdjęcie, na którym był on, jego żona i małe dziecko o czerwonej twarzązce.

- Urodziła się w zeszłym tygodniu - oznajmił z dumą. - Ma na imię Claire.

- Och, prześliczna - szepnęła Lara.

- Tak więc przez pewien czas nie możemy się ruszać z domu. - Jak się czuje Cheryl?

- Świetnie. Mała też. Nic z tych rzeczy... ale wiesz, świadomość, że jest się ojcem, kompletnie odmienia życie.

- Na pewno.

Lara znów zerknęła na zegar. Wpół do ósmej. O tej porze droga do „Ciro” potrwa co najmniej pół godziny. - Powinnam już jechać.

Nagle z dreszczem niepokoju znowu pomyślała o furgonetce i kierowcy. Dredy.

Rdzawa smuga na poobijanych drzwiach... Will poprosił gestem o rachunek i zapłacił.

- Nie musiałeś - powiedziała. - Ja zapłacę. Zaśmiał się.

- Już to zrobiłaś.

- Co takiego?

- Mam na myśli ten fundusz inwestycyjny, o którym mówiłaś mi na ślubie. Ten, w którym kupiłaś udziały.

Lara przypomniała sobie, jak się przechwalała funduszem biotechnicznym, którego wartość podskoczyła w zeszłym roku o sześćdziesiąt procent.

- Wróciłem z Nantucket do domu i wykupiłem całą furę... więc... dzięki. - Wzniósł

szklanę z piwem, a potem wstał. - Gotowa do drogi?

- Jasne. - Lara z niepokojem spojrzała na drzwi, kiedy ruszyli w stronę wyjścia.

To paranoja, powtarzała sobie. Przez chwilę pomyślała, jak to się jej od czasu do czasu zdarzało, że powinna znaleźć normalną pracę, jak wszyscy klienci tego baru. Nie powinna poświęcać całej energii światu przemocy.

Oczywiście, to paranoja.

Skoro tak, do dlaczego ten dzieciak z dreadami tak szybko odjechał, gdy zaparkowała pod restauracją i spojrzała na niego?

Will wyszedł i otworzył parasol. Trzymał go wysoko, by oboje mogli się pod nim schronić.

Lara przywołała kolejną zasadę samoobrony: nigdy nie wahaj się prosić o pomoc, zapomnij o wstydzie i dumie.

Mimo to, gdy zamierzała poprosić Willa Randolpha, aby odprowadził ją do samochodu, kiedy da jej zdjęcia, przyszła jej do głowy myśl: jeżeli ten dzieciak w furgonetce naprawdę jest groźny, czy prośba, żeby się dla niej narażał, nie jest zbyt egoistyczna? Will jest mężem, świeżo upieczonym ojcem, ma na utrzymaniu rodzinę. To nie fair, żeby...

- Coś nie tak? - zapytał Will.

- Ależ nie.

- Na pewno? - upierał się.

- No nie, wydaje mi się, że ktoś za mną jechał do samej restauracji. Jakiś dzieciak.

Will rozejrzał się.

- Widzisz go gdzieś?

- Teraz nie.

- Prowadzisz tę stronę internetową, prawda? O tym, jak kobiety mogą się bronić? - zapytał.

- Zgadza się.

- Sądziś, że on o tym wie? Może cię prześladować. - Możliwe. Zdziwiłbyś się, ile dostaję pogróżek. Sięgnął po telefon komórkowy.

- Chcesz zadzwonić na policję? Zastanawiała się.

Nigdy nie wahaj się prosić o pomoc, zapomnij o wstydzie i dumie. - Nie, nie. Ale...

kiedy weźmiemy zdjęcia, mógłbyś mnie odprowadzić do samochodu? Will uśmiechnął się.

- Oczywiście. Nie znam wprawdzie karate, ale za to jak nikt inny potrafię wrzeszczeć po pomoc.

Roześmiała się.

- Dzięki.

Kiedy szli chodnikiem przed restauracją, Lara przyglądała się samochodom. Jak na wszystkich parkingach w Dolinie Krzemowej stały tu przede wszystkim saaby, BMW i lexusy. Nie było żadnych furgonetek, dzieciaków ani krwawych smug na drzwiach.

Will wskazał miejsce z tyłu parkingu, gdzie zaparkował swój wóz.

- Widzisz go gdzieś w pobliżu? - zapytał. - Nie.

Minąwszy kępę jałowca, zbliżyli się do lśniącego, srebrzystego jaguara.

Jezu, czy w Dolinie Krzemowej wszyscy poza mną mają pieniądze?

Will wydobył z kieszeni kluczyki. Podeszli do bagażnika.

- Na ślubie wypstrykałem tylko dwie rolki. Ale niektóre są naprawdę dobre. -

Otworzył bagażnik, po czym na chwilę znieruchomiał i rozejrzał się po parkingu. Ona też.

Było zupełnie pusto. Stał tu tylko jego samochód.

Will spojrzał na nią.

- Pewnie myślisz teraz o dredach.

- O dredach?

- Tak - odparł. - Mówię o fryzurze. - Jego głos stał się bezbarwny, jak gdyby roztargniony. Will nadal się uśmiechał, lecz jego twarz przybrała zupełnie inny wyraz.

Dziwnego głodu.

- Co masz na myśli? - spytała spokojnie, czując jednak, jak eksploduje w niej przerażenie. Zauważyła, że wjazd na parking blokuje łańcuch. Domyśliła się, że to on go zawiesił, by nikt więcej tu nie zaparkował.

- To była peruka.

Chryste panie, Boże drogi, pomyślała Lara Gibson, która nie modliła się od dwudziestu lat.

Spojrzał jej w oczy, dostrzegając w nich strach.

- Zaparkowałem jaguara jakiś czas temu, potem ukradłem furgonetkę i jechałem za tobą od domu. W kurtce wojskowej i peruce. Wiesz, żebyś była zdenerwowana i chciała, bym cię odprowadził... Znam twoje zasady samoobrony. Nigdy nie wychodź sam na sam z mężczyzną na pusty parking. Żonaci mężczyźni, którzy mają dzieci, stanowią mniejsze zagrożenie niż samotni. A zdjęcie rodziny w portfelu? Ściągnąłem taki portrecik z czasopisma

„Rodzice” i spreparowałem.

- Nie jesteś... - wyszeptała bezradnie.

- Kuzynem Sandy? W ogóle go nie znam. Wybrałem Willa Randolpha, bo to ktoś, kogo być może znasz, kto być może jest do mnie podobny. Nie dałbym rady wyciągnąć cię z baru, gdybyś mnie nie знаła - albo gdyby ci się nie zdawało, że mnie znasz. Och, możesz wyciągnąć rękę z torebki. - Pokazał jej puszkę z gazem pieprzowym. - Zabrałem ci to, kiedy wychodziliśmy.

-Ale... - Zaczęła szlochać, zwiesiwszy bezradnie ramiona. - Kim jesteś? Nawet mnie nie znasz.

- To nieprawda, Laro - szepnął, przyglądając się jej cierpieniu z satysfakcją mistrza szachowego, który wpatruje się w twarz pokonanego przeciwnika. - Wiem o tobie wszystko.

Wszystko, co można wiedzieć.

Rozdział

0000010/drugi

P owoli, powoli...

Nie uszkodzić ich, nie zniszczyć.

Jedna po drugiej maleńkie śrubki wysuwały się z czarnej plastikowej obudowy małego radia i wpadały do jego dłoni o długich, niezwykle silnych palcach. Młody człowiek niemal zdarł mikroskopijny gwint z jednej z nich, więc na chwilę musiał przerwać. Odchyliwszy się na krześle, utkwiał wzrok w oknie, za którym widać było ciężkie chmury wiszące nad okręgiem Santa Clara, dopóki nie poczuł, że jest już rozluźniony. Była ósma rano, a on siedział nad tą żmudną pracą już od ponad dwóch godzin.

Wreszcie usunął wszystkie dwanaście śrubek zabezpieczających obudowę radia i położył je na lepkiej stronie samoprzylepnej karteczki. Wyatt Gillette wyciągnął ramę samsunga i przyjrzał się jej uważnie.

Jak zawsze płonął z ciekawości. Zastanawiało go, dlaczego konstruktorzy zostawili tyle miejsca między płytkami, dlaczego w tunerze wykorzystano nitki akurat takiej szerokości.

Być może jest to konstrukcja optymalna, być może nie.

Być może inżynierowie byli leniwi lub nieuważni.

Czy można było lepiej zbudować radio?

Dalej demontował aparat, rozkręcając płytki.

Powoli, powoli...

Dwudziestodwujęcioletni Wyatt Gillette miał zapadnięte policzki - przy sześciu stopach wzrostu ważył zaledwie sto pięćdziesiąt cztery funty - a na jego widok ludzie zwykle myśleli: Ktoś powinien go dobrze odkarmić. Swoich ciemnych, niemal czarnych włosów, od pewnego czasu nie mył ani nie strzygł. Na prawym ramieniu miał zrobiony niewprawną ręką tatuaż przedstawiający mewę przelatującą nad palmą. Wypłowiałe dzinsy i szara robocza koszula wisały na nim jak na wieszaku.

Wzdrygnął się w chłodzie wiosennego poranka. Zadrżały mu palce, wskutek czego naruszył rowek w maleńkiej śrubce. Westchnął z żalem. Mimo swoich uzdolnień technicznych bez odpowiedniego sprzętu nie mógł działać zbyt wiele, będąc skazanym na posługiwanie się śrubokrętem, który zrobił ze spinacza do papieru. Poza nim i własnymi paznokciami nie miał innych narzędzi. Lepsza byłaby chyba brzytwa, ale Gillette nie miał

dostępu do takich luksusów w swoim tymczasowym domu - Federalnym Zakładzie Karnym dla Mężczyzn w San José w Kalifornii - instytucji o średnim rygorze.

Powoli, powoli...

Kiedy płytka została zdemontowana, odnalazł świętego Graala, którego tak gorączkowo poszukiwał - mały szary tranzystor; wyginał druciki, dopóki nie puściły.

Następnie zainstalował tranzystor, starannie skręcając przewodniki na płytce, nad którą pracował już od wielu miesięcy.

Gdy tylko skończył, gdzieś niedaleko trzasnęły drzwi i w korytarzu rozległ się odgłos kroków. Gillette czujnie uniósł głowę.

Ktoś szedł do jego celi, Chryste, tylko nie to, pomyślał.

Odgłos kroków dobiegał z odległości jakichś dwudziestu stóp. Gillette wsunął płytkę, nad którą pracował, do egzemplarza czasopisma „Wired”, a części wepchnął z powrotem do obudowy radia. Oparł ją o ścianę.

Rozciągnął się na łóżku i zaczął kartkować inne czasopismo, „2600”, magazyn dla hakerów, modląc się w duchu do uniwersalnego boga, z którym zaczynają negocjować nawet ateści wkrótce po tym, gdy trafią za kratki: błagam, niech nie robią rewizji. A jeżeli będą węszyć, nich nie znajdą płytki.

Strażnik zajrzał przez judasza i powiedział:

- Postawa, Gillette.

Więzień wstał i odsunął się pod ścianę pomieszczenia, kładąc ręce na głowie.

Strażnik wszedł do ciasnej, ciemnej celi. Ale, jak się okazało, to nie była rewizja.

Facet nawet nie rzucił okiem na wnętrze celi; w milczeniu skuł ręce Gillette'a z przodu i wyprowadził go za drzwi.

W rozwidleniu korytarzy, gdzie izolowane skrzydło administracyjne łączyło się ze skrzydłem ogólnym, strażnik skręcił w korytarz, którego Gillette nie znał. Dźwięki muzyki i wrzaski dobiegające z boiska przycichły, a po chwili więzień został wprowadzony do małego pokoju, którego umeblowanie stanowił stół i dwie ławki - przyśrubowane do podłogi. Na blacie stołu były zamontowane kółka, do których przypinano kajdanki więźniów, lecz strażnik nie unieruchomił rąk Gillette'a.

- Siadaj.

Gillette posłuchał.

Strażnik wyszedł, zamykając z hukiem drzwi. Gillette siedział, dręczyła go ciekawość, ale i chęć, by jak najszybciej wrócić do celi i płytki montażowej. Drżał w tym pozbawionym okien pomieszczeniu, które bardziej niż pokój w Realu przypominało fragment gry komputerowej o średniowieczu. Jego zdaniem cela była salą, gdzie połamane kołem ciała heretyków czekały na ostateczny cios katowskiego topora.

Thomas Frederick Anderson był człowiekiem o wielu imionach.

W podstawówce mówiono na niego Tom albo Tommy.

Kiedy chodził do szkoły średniej w Menlo Park w stanie Kalifornia i prowadził BBS, hakując na TRS-80, commodore'ach i apple'ach, nazywali go Tajniakiem albo Kryptologiem.

Pracując w wydziałach bezpieczeństwa w AT&T, Sprint i w Cellular One, gdy tropił

hakerów i phreakerów, występował jako T.F., ale zdaniem kolegów inicjały mogły równie dobrze oznaczać „twardziel fachura”, zważywszy na fakt, że skuteczność, z jaką pomagał

policji łapać sprawców, wynosiła dziewięćdziesiąt siedem procent.

Jako młody detektyw w San Jose zyskał kolejne przydomki - na czatach internetowych znano go jako Courtney 334, Samotną lub Brittany. Udając czternastoletnie dziewczynki, pisał nieporadne wiadomości do pedofilów, którzy za pomocą e-maili próbowali uwieść fikcyjne bohaterki swoich marzeń, a potem jechał na romantyczne spotkania do podmiejskich centrów handlowych i stwierdzał, że zamiast spragnionego kochanka czeka na niego oddział policjantów uzbrojonych w pistolety i nakaz aresztowania.

Dziś, kiedy przedstawiano go na konferencjach informatycznych, zwykle tytułowano go „doktor Anderson” albo mówiono o nim po prostu „Andy”. Jednak we wszystkich pismach urzędowych figurował jako porucznik Thomas F. Anderson, szef wydziału przestępstw komputerowych policji stanowej Kalifornii.

Teraz ten wysoki i niezwykle szczupły czterdziestopięcioletni mężczyzna o przerzedzonych ciemnych, kręconych włosach kroczył u boku przysadzystego naczelnika chłodnym i wilgotnym korytarzem zakładu karnego San Jose - czyli San Ho, jak nazywali więzienie i przestępcy, i policjanci. Towarzyszył im mocno zbudowany latynoski strażnik.

Stanęli przed drzwiami. Naczelnik skinął głową. Strażnik otworzył i Anderson wszedł do środka, spoglądając uważnie na więźnia.

Wyatt Gillette był chorobliwie blady - taką karnacją nazywano ironicznie „opalenizną hakera” - i dość chudy. Miał bardzo brudne włosy i paznokcie. Wszystko wskazywało na to, że Gillette od wielu dni nie kąpał się ani nie golił.

Policjant dostrzegł w ciemnobrązowych oczach Gillette’a dziwny błysk; więzień zamrugał zdumiony, poznając go.

- Pan jest... Andy Anderson?

- Detektyw Anderson - poprawił ostrym tonem naczelnik.

- Prowadzi pan wydział przestępstw komputerowych w stanowej - rzekł Gillette.

- Znasz mnie?

- Kilka lat temu słyszałem pański wykład na Comsecu. Wstęp na konferencję

„Comsec” poświęconą bezpieczeństwu Sieci i komputerów mieli tylko stróże prawa oraz osoby profesjonalnie związane z zabezpieczeniami komputerowymi; nikt z zewnątrz nie mógł

się tam dostać. Anderson wiedział, że wszyscy młodzi hakerzy w całym kraju próbują dla rozrywki włamać się do komputera rejestracyjnego, by przydzielić sobie plakietki wejściowe.

W historii konferencji sztuka ta udała się zaledwie dwóm lub trzem.

- Jak się tam dostałeś? Gillette wzruszył ramionami. - Znalazłem wejściówkę, którą ktoś zgubił. Anderson z powątpiewaniem pokiwał głową.

- Co sądzisz o moim wykładzie?

- Zgadzam się z panem: układy krzemowe zostaną wyparte wcześniej, niż się ktokolwiek spodziewa. Komputery zaczną działać dzięki elektronice molekularnej. A to oznacza, że użytkownicy będą musieli zacząć się rozglądać za zupełnie nowymi sposobami obrony przed hakerami.

- Nikt na konferencji nie podzielał tego zdania.

- Przeszkadzali panu i robili głupie uwagi - przypomniał Gillette.

- A ty nie?

- Nie. Ja notowałem.

Naczelnik oparł się o ścianę, natomiast policjant usiadł naprzeciw Gillette'a i powiedział:

- Został ci rok z trzyletniego wyroku wydanego na podstawie federalnej Ustawy o Oszustwach i Nadużyciach Komputerowych. Włamałeś się do maszyn Western Software i skradłeś kody źródłowe większości ich programów, zgadza się?

Gillette skinął głową.

Kod źródłowy to mózg i serce programu, pilnie strzeżony przez właściciela. Kradzież pozwala złodziejowi usunąć kod identyfikacyjny i kod zabezpieczający, a potem przepakować program i sprzedać jako własny. Kody źródłowe gier, aplikacji biurowych i programów użytkowych stanowiły główny majątek Western Software. Gdyby wykradł je pozbawiony skrupułów haker, mógłby wyeliminować z rynku firmę wartą miliardy dolarów.

- Nie zrobiłem z kodów żadnego użytku - zauważył Gillette. - Ściągnąłem je i zaraz usunąłem.

- Po co więc włamałeś się do ich systemów? Haker wzruszył ramionami.

- Zobaczyłem dyrektora chyba w CNN. Powiedział, że nikt nie potrafi dostać się do ich sieci. Że mają niezawodne zabezpieczenia, idiotoodporne. Chciałem sprawdzić, czy to prawda.

- I co, prawda?

- Właściwie tak, rzeczywiście były idiotoodporne. Ale chodzi o to, że nie trzeba się bronić przed idiotami, tylko przed takimi jak ja.

- To dlaczego nie powiedziałeś firmie o usterkach w zabezpieczeniu, kiedy udało ci się włamać? Czemu nie zrobiłeś białego haku?

Niektórzy „biali” hakerzy włamywali się do komputerów, a potem informowali ofiary o słabościach zabezpieczeń. Czasem dla sławy, czasem dla pieniędzy. Czasem po prostu dlatego, że uważali to za właściwy krok.

Gillette wzruszył ramionami.

- To ich kłopot. Facet powiedział, że tego się nie da zrobić. Chciałem tylko sprawdzić, czy mnie się uda. - Dlaczego?

Znów wzruszenie ramion.

- Z ciekawości.

- Dlaczego federalni tak się na ciebie uwzięli? - spytał Anderson. Jeśli haker nie zakłócił działania

firmy ani nie próbował sprzedać tego, co ukradł, FBI rzadko podejmowało śledztwo, nie mówiąc już o kierowaniu sprawy do prokuratora.

Odpowiedział naczelnik.

- Powodem był DO.

- Departament Obrony? - zdziwił się Anderson, spoglądając na wyzywający tatuaż na ramieniu Gillette'a. Czyżby przedstawiał samolot? Nie, to jakiś ptak.

- Wszystko lipa - mruknął Gillette. - Kompletna bzdura. Policjant spojrział pytająco na naczelnika, który wyjaśnił: - Pentagon sądzi, że napisał jakiś program, który złamał

najnowsze oprogramowanie szyfrujące departamentu.

- Standard 12? - Anderson parsknął śmiechem. - Żeby dostać się do jednego e-mailu, co najmniej kilkanaście superkomputerów musiałyby pracować bez przerwy przez pół roku.

Standard 12 niedawno wyparł DES - standard szyfrowania danych w Departamencie Obrony - jako najnowsze i najbardziej zaawansowane oprogramowanie szyfrujące dla rządu.

Zadaptowano go do szyfrowania tajnych danych i wiadomości. Program szyfrujący był tak ważną sprawą dla bezpieczeństwa narodowego, że podlegał podobnym ograniczeniom eksportowym jak broń i nie mógł być wywożony za granicę bez zgody wojska.

- Gdyby jednak nawet rzeczywiście złamał Standard 12, co z tego? - ciągnął

Anderson. - Wszyscy próbują łamać szyfry.

I nie byłoby w tym nic sprzecznego z prawem, jeśli zaszyfrowany dokument nie był

zastrzeżony albo skradziony. Właściwie wielu producentów prowokuje ludzi, by próbowali włamywać się do dokumentów zaszyfrowanych za pomocą ich oprogramowania, wyznaczając nagrody tym, którym się uda.

- Nie - wyjaśnił Gillette. - DO twierdzi, że włamałem się do ich komputera, dowiedziałem się czegoś o działaniu Standardu 12, a potem napisałem skrypt, który deszyfruje dokument. W ciągu kilku sekund.

- Niemożliwe - oświadczył ze śmiechem Anderson. - To nie do zrobienia.

- Też im tak powiedziałem - przytaknął Gillette. - Ale mi nie uwierzyli.

Jednak patrząc uważnie w głęboko osadzone oczy Gillette'a, bystro spoglądające spod ciemnych brwi, i jego niecierpliwie poruszające się dłonie, Anderson pomyślał przez chwilę, że być może haker naprawdę stworzył magiczny program tego rodzaju. On sam nie potrafiłby tego dokonać; nie znał nikogo, kto by potrafił. Ale dlatego przecież tu przyjechał i stał

pokornie przed człowiekiem, którego hakerzy nazywali czarodziejem - mistrzem w Świecie Maszyn, o umiejętnościach najwyższej próby.

Rozległo się pukanie do drzwi i strażnik wpuścił dwóch mężczyzn. Pierwszy, czterdziestokilkuletni, miał szczupłą twarz i włosy ciemnoblonde zaczesane do tyłu i usztywnione lakierem. Oraz autentyczne bokobrody. Był ubrany w tani popielaty garnitur.

Sprana biała koszula, o wiele na niego za duża, wystawała trochę ze spodni. Spojrzał na Gillette'a bez odrobiny zainteresowania.

- Panie naczelniku - powiedział. - Detektyw Frank Bishop, policja stanowa, wydział zabójstw. - Anemicznie skinął głową Andersonowi i zamilkł.

Drugi z mężczyzn, nieco młodszy, lecz potężniej zbudowany, uściśnął rękę najpierw naczelnikowi, potem Andersonowi.

- Detektyw Bob Shelton.

Na twarzy miał ślady po młodzieńczym trądziku.

Anderson nie wiedział nic o Sheltonie, ale po rozmowie z Bishopem miał mieszane uczucia wobec jego udziału w sprawie, z powodu której tu przyjechał. Bishop sam był

podobno czarodziejem, choć jego umiejętności polegały na tropieniu morderców i gwałcicieli w podejrzanych dzielnicach, takich jak nabrzeże Oakland, Haight-Ashbury i cieszące się ponurą sławą Tenderloin w San Francisco. Wydział przestępstw komputerowych nie miał

uprawnień ani środków do prowadzenia sprawy zabójstwa bez pomocy kogoś z wydziału zajmującego się zbrodniami z użyciem przemocy. Mimo to po kilku krótkich rozmowach telefonicznych z Bishopem Anderson nie odniósł najlepszego wrażenia. Policjant z wydziału zabójstw wydawał się pozbawiony poczucia humoru, roztargniony i na domiar złego nie miał

zielonego pojęcia o komputerach.

Anderson słyszał również, że sam Bishop nie miał ochoty współpracować z wydziałem przestępstw komputerowych. Wywierał naciski, żeby go włączono do sprawy morderstwa w Marin albo MARIN - nazwanego tak przez FBI od miejsca zbrodni; kilka dni wcześniej trzech bandytów zabiło dwoje przypadkowych przechodniów i policjanta podczas napadu na oddział American Bank w Sausalito w okręgu Marin, a następnie skierowało się na wschód, co oznaczało, że potem mogą zboczyć na południe, wkraczając na obecny teren Bishopa, San Jose.

Rzeczywiście, zaraz po wejściu Bishop zerknął na wyświetlacz telefonu komórkowego, prawdopodobnie sprawdzając, czy nie dostał wiadomości o zmianie przydziału.

- Może usiądziecie, panowie? - zwrócił się do detektywów Anderson, wskazując ławki przy metalowym stole.

Bishop pokręcił głową i stał. Wepchnął koszulę do spodni, a potem skrzyżował ręce na piersi. Shelton usiadł obok Gillette'a. Po chwili tęgi policjant spojrział z niesmakiem na więźnia, wstał i zajął miejsce po drugiej stronie stołu.

- Mógłbyś się kiedyś umyć - mruknął do Gillette'a. - Mógłby pan spytać naczelnika, dlaczego biorę prysznic tylko raz w tygodniu - odgryzł się skazaniec.

- Bo złamałeś zasady więzienne, Wyatt - odrzekł spokojnie naczelnik. - Dlatego jesteś w izolowanym skrzydle administracyjnym.

Anderson nie miał cierpliwości ani czasu na sprzeczkę. Powiedział do Gillette'a:

- Jesteśmy w kłopotach i mamy nadzieję, że nam pomożesz. - Zerknął na Bishopa i spytał: - Chcesz go wprowadzić?

Według protokołu policji stanowej formalnie śledztwem kierował Frank Bishop.

Jednak detektyw pokręcił przecząco głową.

- Nie, poruczniku, proszę bardzo.

- Wczoraj wieczorem z restauracji w Cupertino została uprowadzona kobieta. Została zamordowana, a jej ciało znaleziono w Portola Valley. Zmarła od ciosu nożem. Nie była napastowana seksualnie, brakuje też wyraźnego motywu.

- Ofiara, Lara Gibson, prowadziła stronę internetową poświęconą samoobronie kobiet oraz odczyty na ten temat w całym kraju. Często pisano o niej w prasie, pojawiła się też w programie Larry'ego Kinga. Wczoraj w barze spotkała człowieka, którego prawdopodobnie skądś знаła. Facet przedstawia się jako Will Randolph - tak zeznał barman. To nazwisko kuzyna kobiety, z którą ofiara była umówiona na kolację. Prawdziwy Randolph od tygodnia jest w Nowym Jorku, ale znaleźliśmy jego cyfrowe zdjęcie w komputerze ofiary i rzeczywiście są do siebie podobni - podejrzany i Randolph. Wydaje się nam, że właśnie dlatego sprawca postanowił go udawać.

- Zebrał wszystkie informacje na jej temat. Znał jej znajomych, wiedział, dokąd jeździ, co robi, jakie ma akcje, kim jest jej chłopak. Wyglądało nawet na to, że pomachał do kogoś w barze, ale wydział zabójstw sprawdził większość klientów, którzy byli tam wczoraj wieczorem, i nie znalazł nikogo, kto by znał podejznanego. Prawdopodobnie udawał - może po to, by ją uspokoić i pokazać, że jest tam stałym bywalcem.

- Socjotechnika - podsunął Gillette.

- Słucham? - odezwał się Shelton.

Anderson znał znaczenie tego terminu w rozumieniu hakerów, lecz pozostawił jego wyjaśnienie Gillette'owi, który rzekł:

- Nabiera się ludzi, udając kogoś innego. Robią tak hakerzy, żeby uzyskać dostęp do baz danych, linii

telefonicznych i haseł. Im więcej faktów o kimś można podać, tym szybciej uwierzą i zrobią, czego się od nich oczekuje.

- Koleżanka, z którą miała się spotkać Lara - Sandra Hardwick - powiedziała, że ktoś do niej dzwonił, podając się za chłopaka Lary i odwołując spotkanie. Próbowwała dodzwonić się do Lary, ale jej telefon nie odpowiadał.

Gillette skinął głową.

- Uszkodził jej telefon. - Po chwili zmarszczył brwi. - Nie, prawdopodobnie całą komórkę. Anderson kiwnął głową.

- Mobile America poinformował o przerwie w łączności komórki osiemset pięćdziesiąt, która trwała dokładnie czterdzieści pięć minut. Ktoś załadował kod, który wyłączył, a potem włączył jedną stację.

Gillette lekko zmrużył oczy. Detektyw widział, że budzi się w nim zainteresowanie.

- Czyli - myślał na głos haker - wystąpił w roli kogoś, komu ufała, a potem ją zabił.

Wykorzystał do tego informacje, które zdobył z jej komputera.

- Otóż to.

- Miała jakiś serwis sieciowy?

- Horizon On-Line. Gillette parsknął śmiechem.

- Jezu, wiecie, jaki to stopień bezpieczeństwa? Włamał się do jednego z ruterów i przeczytał jej pocztę. - Zamilkł i pokręcił głową, spoglądając badawczo w twarz Andersona. -

Ale to potrafi dziecko. Chodzi o coś więcej, prawda?

- Owszem - ciągnął Anderson. - Rozmawialiśmy z jej chłopakiem i sprawdziliśmy jej komputer. Połowa informacji, które według słów barmana podał zabójca, nie pochodziła z e-maili, były w jej maszynie.

- Może nurkował w koszu i tam znalazł to, o co mu chodziło. - To znaczy - wyjaśnił

Bishopowi i Sheltonowi Anderson - że być może grzebał w śmieciach, szukając informacji, które pomogłyby w hakowaniu - w starych księgach firmy, wydrukach, rachunkach, kwitach, takich rzeczach. Wątpię - zwrócił się do Gillette'a. - Wszystko, co wiedział, było zapisane na dysku jej komputera.

- Może twardy dostęp? - podsunął Gillette. Twardy dostęp polega na tym, że haker włamuje się do czyjegoś domu lub biura i dostaje się bezpośrednio do maszyny ofiary. Miękki dostęp to włamanie się do czyjegoś komputera przez sieć, na odległość.

- To musiał być jednak miękki dostęp - rzekł Anderson. - Rozmawiałem z przyjaciółką, z którą Lara miała zjeść kolację, Sandrą. Powiedziała, że o ich spotkaniu była mowa tylko raz po południu, w krótkiej wiadomości, poza tym Lara cały dzień nie wychodziła z domu. Zabójca musiał być gdzie indziej.

- Ciekawe - szepnął Gillette.

- Też tak pomyślałem - powiedział Anderson. - Sęk w tym, że naszym zdaniem dostał się do jej maszyny, wykorzystując jakiś nowy rodzaj wirusa. Wydział przestępstw komputerowych nie może go znaleźć. Mamy nadzieję, że rzucisz na to okiem.

Gillette kiwnął głową i spojrzał na brudny sufit, mrużąc oczy. Anderson zauważył, że jego palce bardzo szybko bębnią o blat stołu. Z początku pomyślał, że Gillette cierpi na jakieś porażenie czy tik, lecz po chwili zorientował się, co haker robi. Nieświadomie stukał w niewidzialną klawiaturę - wyglądało to jak nerwowe przyzwyczajenie.

Haker opuścił głowę i popatrzył na Andersona.

- Czym sprawdzaliście jej dysk?

- Norton Commanderem, Vi-Scanem 5.0, sądowym pakietem wykrywającym FBI, Restore8 i Analizatorem Partycji i Alokacji Plików 6.2 Departamentu Obrony. Próbowaliśmy nawet Surface-Scour.

Gillette zaśmiał się z zakłopotaniem.

- I mimo tylu narzędzi niczego nie znaleźliście?

- Nie.

- Jak mam coś znaleźć, skoro wy nie daliście rady?

- Widziałem kilka napisanych przez ciebie programów - jest trzech, może czterech ludzi na świecie, którzy mogliby napisać takie skrypty. Musisz mieć lepszy kod od naszego albo będziesz potrafił go zdobyć.

- Co z tego będę miał? - zapytał Andersona Gillette.

- Co? - zdumiał się Bob Shelton, marszcząc swą dziobatą twarz i gapiąc na hakera.

- Jeżeli wam pomogę, co dostanę w zamian?

- Ty gnojku - warknął Shelton. - Zamordowano dziewczynę. Nic cię to nie obchodzi?

- Bardzo mi przykro - odparł Gillette. - Ale umowa jest taka, że jeśli wam pomogę, chcę coś za to dostać.

- Na przykład? - odezwał się Anderson.

- Chcę maszynę.

- Nie ma mowy o komputerze - oznajmił ostro naczelnik. - Właśnie dlatego jest w odosobnieniu - dodał, zwracając się do Andersona. - Przyłapaliśmy go przy komputerze w bibliotece, siedział w Internecie. Sędzia dodał do jego wyroku zakaz łączenia się z Siecią.

- Nie będę pracował online - powiedział Gillette. - Zostanę w skrzydle E, gdzie teraz siedzę. Nie będę miał dostępu do linii telefonicznej.

- Wolisz zostać w izolowanym skrzydle administracyjnym... - parsknął naczelnik.

- W izolowanej pojedynczej celi - poprawił Gillette.

-...żeby mieć komputer? - Tak.

- Gdyby rzeczywiście pozostał w izolacji - powiedział Anderson - gdzie nie uzyska szansy połączenia z Siecią, będzie w porządku?

- Chyba tak - odrzekł niepewnie naczelnik.

- Umowa stoi - zwrócił się do Gillette'a policjant. - Dostaniesz laptop.

- Chce się pan z nim targować? - zapytał z niedowierzaniem Shelton. Zerknął na Bishopa, szukając poparcia, ale szczupły detektyw gładził swe staromodne bokobrody, znów spoglądając na wyświetlacz komórki w oczekiwaniu na ułaskawienie.

Anderson nie zareagował na uwagę Sheltona.

- Ale maszynę otrzymasz dopiero wtedy, jak zbadasz komputer Lary Gibson i zdasz nam pełną relację.

- Ma się rozumieć - odrzekł więzień z oczyma błyszczącymi z podniecenia.

- Gibson miała zwykły składak peceta. Przywieziemy tę maszynę w ciągu godziny.

Mamy wszystkie dyskiety i oprogramowanie...

- Nie, nie - zaprotestował gwałtownie Gillette. - Nie mogę się tym zająć tutaj.

- Dlaczego?

- Będę potrzebował dostępu do mainframe'u, może superkomputera. Do tego podręczników, programów.

Anderson spojrział na Bishopa, który zdawał się w ogóle nie słuchać więźnia.

- Kurwa, nie ma mowy - odezwał się Shelton, bardziej rozmowny z dwójki detektywów z wydziału zabójstw, mimo że z wyraźnie uboższym słownictwem.

Anderson rozważał coś przez chwilę, gdy nagle naczelnik zapytał:

- Panowie, mogę was prosić na minutkę?

Rozdział

00000011/trzeci

To był niezły hak. Ale zadanie nie było tak ambitne, jak by sobie tego życzył. Phate -

tak brzmiało jego ekranowe imię, pisane zgodnie z tradycyjną hakerską ortografią przez ph zamiast f*
* *Fate* - los, przeznaczenie. - jechał do swojego domu w Los Altos, w samym sercu Doliny Krzemowej.

Tego ranka miał sporo zajęć: porzucił wysmarowaną krwią białą furgonetkę, dzięki której omal nie przyprawił wczoraj Lary Gibson o szaleństwo. Pozbył się także swojego przebrania - peruki, kurtki mundurowej, okularów słonecznych oraz nieskazitelnie czystego kostiumu chipowca, w którym udawał Willa Randolpha, czynnego kuzyna Sandry Hardwick.

Był teraz kimś zupełnie innym. Oczywiście, nie Jonem Patrickiem Hollowayem urodzonym dwadzieścia siedem lat temu w Upper Saddle River w stanie New Jersey. Nie, w tym momencie był jedną z sześciu czy siedmiu fikcyjnych postaci, które niedawno stworzył i traktował jak przyjaciół. Jego przyjaciele mieli własne prawa jazdy, karty zatrudnienia, ubezpieczenia społeczne i inne niezbędne w dzisiejszych czasach dokumenty. Obdarzył nawet swą ekipę różnymi akcentami i manierami, które ćwiczył z niemal religijnym zapamiętaniem.

Kim chcesz być?

Odpowiedź Phate'a na to pytanie brzmiała: prawie każdym człowiekiem na świecie.

Rozmyślając o Larze Gibson, doszedł do wniosku, że podejście osoby, która szczyła się tytułem królowej samoobrony w mieście, okazało się zbyt łatwe.

Nadszedł więc czas podnieść nieco stawkę gry.

Jaguar Phate'a sunął wolno przez zatłoczoną rano drogę międzystanową 280, autostradą Junípero Serra. Góry na zachodzie otulała mgła płynąca jak widmo w stronę zatoki San Francisco. W ostatnich latach dolinę nawiedzały liczne susze, ale tej wiosny - jak na przykład dziś - przeważały dni deszczowe, więc roślinność rozkwitła soczystą zielenią. Phate nie zwracał jednak uwagi na roztaczające się wokół widoki. Słuchał płyty z nagraniem sztuki

- „Śmierci komiwojażera”, jednej ze swoich ulubionych. Od czasu do czasu poruszał ustami do słów (znał na pamięć wszystkie kwestie).

Dziesięć minut później, za piętnaście dziewiąta, wjechał do garażu dużego domu w osiedlu Stonecrest położonym w bok od drogi El Monte w Los Altos.

Wysiadł z samochodu, zamknął drzwi. Na nieskazitelnie czystej podłodze dostrzegł kroplę krwi Lary Gibson w kształcie krzywego przecinka. Skarcił się w myśli za nieuwagę.

Starł plamę, a potem wszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Dom był nowy, miał zaledwie sześć miesięcy i pachniał klejem do wykładzin oraz świeżą farbą.

Gdyby wpadli do niego sąsiedzi powitać go w dzielnicy i weszliby do korytarza, zaglądając do salonu, nabraliby przekonania, że znaleźli się w normalnym domu rodziny z wyższej klasy średniej, zamożnej i cieszącej się wygodnym życiem dzięki pieniądзом z elektroniki, jak wielu mieszkańców Doliny.

Miło was poznać... tak, wprowadziłem się w zeszłym miesiącu... pracuję w nowej spółce internetowej w Palo Alto. Mnie i meble przywieźli z Austin trochę wcześniej, Kathy i dzieciaki przyjadą dopiero w czerwcu, kiedy skończy się szkoła... To oni. Zrobiłem to zdjęcie na Florydzie w styczniu, w czasie ferii. Troy i Brittany. Chłopak ma siedem lat. Mała w przyszłym miesiącu skończy pięć.

Nad kominkiem i na kosztownych stolikach stało kilkanaście fotografii Phate'a i pewnej blondynki - na plaży, jeżdżących konno, obejmujących się na ośnieżonym szczycie góry w jakiej narciarskiej miejscowości wypoczynkowej, tańczących na swoim weselu. Inne zdjęcia przedstawiały parę wraz z dwójką dzieci. Wakacje, gra w piłkę, Boże Narodzenie, Wielkanoc.

Naprawdę chętnie zaprosiłbym was na kolację, ale w tej nowej firmie każą mi pracować na pełnych obrotach... Zresztą chyba lepiej poczekać, aż zjedzie tu cała rodzina.

Kathy to prawdziwy szef i mistrz naszego życia towarzyskiego... Poza tym gotuje znacznie lepiej ode mnie. Do zobaczenia, trzymajcie się.

I sąsiedzi wręczyliby mu wino, ciasteczka czy begonie i wrócili do domu, nie domyślając się, że to, co przed chwilą widzieli, było równie autentyczne jak scenografia do filmu, a oni padli ofiarą wyrafinowanego zabiegu socjotechnicznego.

Podobnie jak zdjęcia, które pokazywał Larze Gibson, te fotografie również zostały spreparowane na jego komputerze: modelowi dokleił swoją twarz, Kathy miała twarz nijakiej kobiety pożyczoną od modelki z magazynu „Self”. Dzieci pochodziły z „Vogue Bambini”.

Dom także stanowił fasadę; korytarz i salon były jedynymi w pełni umeblowanymi pomieszczeniami - tylko i wyłącznie po to, by zwieść ludzi, którzy stawali w drzwiach. W

sypialni stało łóżko i lampa. Urządzenie jadalni - pracowni Phate'a - składało się ze stołu, lampy, dwóch laptopów i krzesła. W piwnicy... cóż, piwnica kryła parę innych drobiazków, ale te z pewnością nie były przeznaczone dla oczu obcych ludzi.

Gdyby zaszła taka potrzeba, a wiedział, że to może się zdarzyć, mógłby natychmiast wyjść z domu, zostawiając tu wszystko. Ważne rzeczy - poważny sprzęt, kolekcja komputerowych zabytków, maszyna do produkcji dokumentów, części superkomputerów, którymi dla zarobku handlował - znajdowały się w magazynie wiele mil stąd. Nic w domu nie mogłoby tam zaprowadzić policji.

Wszedł do jadalni i usiadł przy stole. Włączył laptopa.

Ekran ożył. Rozbłysło zachęcające C:, na którego widok Phate poczuł, że budzi się do życia.

Kim chcesz być?

Cóż, w tym momencie nie był już Jonem Patrickiem Hollowayem ani Willem Randolphem, ani Warrenem Greggiem, ani Jamesem L. Seymourem, ani żadną inną ze stworzonych przez siebie postaci. Był Phate'em. Nie postacią o jasnych włosach, wzroście pięciu stóp dziesięciu cali i szczupłej budowie ciała, która błąkała się bez celu po trójwymiarowych domach, biurach, sklepach, samolotach, betonowych wstążkach autostrad, brązowych pasach trawników, ogrodzonych siatką fabrykach półprzewodników, pasażach handlowych, wśród zwierzaków, ludzi, ludzi, ludzi jak armie mrówek...

Jego rzeczywistością był świat zamknięty we wnętrzu monitora.

Wstukał kilka poleceń, a potem czując rozkoszne mrowienie w łądźwiach, słuchał

modulowanego elektronicznego gwizdu, którym witał się z nim modem. Większość prawdziwych hakerów nie korzystała z działających w ślimaczym tempie modemów i linii telefonicznych, preferując sztywne łącze. Phate musiał wybrać jakieś kompromisowe wyjście: szybkość miała o wiele mniejsze znaczenie niż swoboda poruszania się i możliwość zgubienia tropicieli w labiryncie milionów mil linii telefonicznych na całym świecie.

Kiedy połączył się z Siecią, sprawdził skrzynkę pocztową. Listy od Shawna otworzyłby natychmiast, lecz nie było ani jednego; pozostałe mógł przeczytać później.

Wyszedł z programu pocztowego, po czym wstukał następne polecenie. Na ekranie pojawiło się menu.

Gdy w zeszłym roku razem z Shawnem pisali program Trapdoor, Phate uznał, że chociaż nie będzie z niego korzystał nikt inny, menu powinno być „przyjazne dla użytkownika” - po prostu dlatego, że tak trzeba, jeśli jest się wyjątkowo utalentowanym kodologiem.

Trapdoor

1. Chcesz kontynuować poprzednią sesję?
2. Chcesz utworzyć/otworzyć/edytować plik w tle?
3. Chcesz znaleźć nowy cel?
4. Chcesz rozkodować/deszyfrować hasło lub tekst?
5. Chcesz wyjść z systemu?

Przewinął do punktu trzeciego i wcisnął klawisz ENTER. Chwilę później Trapdoor poprosił uprzejmie:

Proszę wprowadzić adres e-mailowy celu.

Wpisał z pamięci pseudonim ekranowy i ponownie wdusił ENTER. W ciągu dziesięciu sekund został połączony z maszyną kogoś innego - zaglądał przez ramię niczego nie podejrzewającemu użytkownikowi. Przez kilka minut czytał, potem zaczął notować.

Z Larą Gibson poszło nieźle, ale tu będzie o wiele lepiej.

- On to zrobił - powiedział naczelnik.

Policjanci stali w pomieszczeniu magazynowym San Ho. Na półkach znajdowały się akcesoria do produkcji narkotyków, faszystowskie odznaczenia, sztandary Czarnych Muzułmanów, ręcznie robiona broń - pałki, noże i kastety, a nawet parę sztuk broni palnej.

Trzymano tu przedmioty skonfiskowane szczególnie trudnym więźniom w ciągu kilku minionych lat.

Naczelnik wskazywał jednak na przedmiot, który wcale nie sprawiał wrażenia żadnego groźnego narzędzia. Było to drewniane pudło o rozmiarach dwie na trzy stopy wypełnione setkami odcinków drutu używanego w dzwonkach, który łączył kilkadziesiąt elementów elektronicznych.

- Co to jest? - spytał schrypniętym głosem Bob Shelton. Andy Anderson zaśmiał się i szepnął:

- Jezu, to komputer. Komputer domowej roboty. - Pochylił się, oglądając prostotę instalacji, doskonale sploty pozbawionych lutu połączeń, ekonomiczne wykorzystanie przestrzeni. Niezwykle surowy sprzęt, jednak zaskakująco elegancki.

- Nie wiedziałem, że można samemu zrobić komputer - rzekł Shelton. Szczupły Frank Bishop milczał.

- Gillette to najgorszy nałogowiec, jakiego w życiu spotkałem - poinformował ich naczelnik. - A trafiają do nas goście, którzy od lat są na herze. Tyle że on jest uzależniony od komputerów. Dają głowę, że zrobi wszystko, żeby się podłączyć do Sieci. Może nawet wyrządzić komuś krzywdę.

Poważną. Tę maszynę zbudował tylko po to, żeby się dostać do Internetu.

- Czyli to ma wbudowany modem? - pytał Anderson, będąc wciąż pod ogromnym wrażeniem. - Zaraz... zgadza się, ma.

- Sami panowie widzicie, że zanim go wypuszczę, będę się musiał dobrze zastanowić.

- Potrafimy go dopilnować - powiedział Anderson, odrywając niechętnie wzrok od dzieła Gillette'a.

- Tak się panu tylko wydaje - odparł naczelnik, wzruszając ramionami. - Tacy jak on są gotowi przysiąc i zrobić wszystko, żeby uzyskać dostęp do Sieci. Jak alkoholicy.

Słyszeliście o jego żonie?

- To on jest żonaty? - zdziwił się Anderson.

- Był. Kiedy się ożenił, próbował zerwać z hakerstwem, ale nie dał rady. Potem został

aresztowany, a ich majątek poszedł na honorarium adwokata i zasądzoną grzywnę. Żona rozwiodła się z nim kilka lat temu. Byłem świadkiem, kiedy przyszło zawiadomienie.

Zachowywał się, jakby go to w ogóle nie obchodziło.

Otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł strażnik, niosąc sfatygowaną szarą kopertę. Podał ją naczelnikowi, który z kolei wręczył ją Andersonowi.

- To jego kartoteka. Powinna wam pomóc w podjęciu decyzji, czy naprawdę chcecie go wykorzystać, czy nie.

Anderson przerzucił akta. Więzień miał dość bogatą przeszłość. Do poprawczaka nie trafił jednak za nic poważnego: połączył się z głównym biurem Pacific Bell z automatu telefonicznego - które hakerzy nazywają fortcami - i zaprogramował je tak, by móc korzystać z darmowych rozmów zamiejscowych. Fortece uważa się za szkołę podstawową dla młodych hakerów, którzy dzisiaj nim włamują się do central firm telefonicznych, będących po prostu dużymi systemami komputerowymi. Sztuka włamywania się do operatora telefonicznego w celu uzyskania darmowych połączeń albo po prostu dla samej sztuki znana była jako phreaking. Z kartoteki wynikało, że Gillette kradł impulsy po to, by dzwonić do Paryża, Aten, Frankfurtu, Tokio i Ankary pod numery informacyjne - zegarynkę i wiadomości o pogodzie - co wskazywało, że włamywał się do systemów, bo był ciekawy, czy to potrafi.

Nie chodziło mu o pieniądze.

Anderson kontynuował przeglądanie akt. Rzeczywiście, naczelnik miał rację; Gillette zachowywał się jak nałogowiec. W ciągu ośmiu lat przesłuchiowano go w związku z dwunastoma poważnymi przestępstwami popełnionymi przez hakerów. Podczas procesu za włamanie do Western Software prokurator zacytował sędziego, który skazał słynnego hakera Kevina Mitnicka, mówiąc, że „wystarczy uzbroić go w klawiaturę, żeby stał się niebezpieczny”.

Anderson doszedł do wniosku, że związki hakera z komputerami nie miały jednak wyłącznie charakteru przestępczego. Gillette pracował dla wielu firm w Dolinie Krzemowej, uzyskując niezmiennie entuzjastyczne opinie na temat swoich umiejętności programisty, przynajmniej zanim go zwolniono z powodu bumelanctwa lub przyłapano na spaniu w pracy po nocy spędzonej przed komputerem. Napisał również mnóstwo fantastycznych darmowych programów i wygłaszał odczyty na konferencjach poświęconych najnowszym tendencjom w rozwoju języków programowania i zabezpieczeń.

Nagle Anderson zorientował się, co ma przed oczyma, i zaśmiał się zaskoczony.

Patrzył na przedruk artykułu, który Wyatt Gillette napisał dla czasopisma „Online” kilka lat temu. Tekst był dobrze znany i Anderson przypomniał sobie, że czytał go tuż po jego opublikowaniu, ale nie zwrócił uwagi na nazwisko autora. Tytuł brzmiał „Życie w Błękitnej Pustce”. Artykuł mówił o tym, że komputery stanowią pierwszy wynalazek techniczny w historii, który dotyka wszystkich aspektów ludzkiego życia: od psychologii przez rozrywkę, inteligencję, dobrobyt materialny po zło, w związku z czym ludzie i maszyny będą się do siebie coraz bardziej zbliżać. Ma to nieść ze sobą wiele korzyści, lecz także zagrożeń. Termin

„Błękitna Pustka” zastępujący określenie „cyberprzestrzeń”, oznaczał świat komputerów albo Świat Maszyn. W wymyślonej przez Gillette’a nazwie „Błękit” odnosił się do prądu, dzięki któremu działają komputery. „Pustka” oznaczała nieokreślone miejsce, którego nie sposób zlokalizować.

Andy Anderson znalazł także fotokopie dokumentów z ostatniego procesu Gillette’a.

Wśród nich było kilkadziesiąt adresowanych do sędziego listów, w których powtarzały się prośby o łagodny wyrok. Matka hakera już nie żyła - niespodziewanie zmarła na atak serca w wieku pięćdziesięciu kilku lat - ale z ojcem musiała go łączyć więź, której wielu mogłoby pozazdrościć. Ojciec Gillette’a, inżynier pracujący w Arabii Saudyjskiej, błagał sędziego w listach elektronicznych o jak najniższy wymiar kary. Brat hakera Rick, pracownik rządowy z Montany, pospieszył z odsieczą, przysłał do sądu kilka faksów z prośbą o łagodny wyrok.

Rick Gillette proponował również, by brat zamieszkał z nim i jego żoną „w czystych i surowych górach”, jak gdyby świeże powietrze i praca fizyczna mogły uleczyć hakera z ciągłego łamania prawa.

Andersona poruszyła troskliwość rodziny, ale z drugiej strony zdziwiła; większość hakerów, jakich dotąd aresztował, pochodziła z rodzin patologicznych.

Zamknął kartotekę i podał Bishopowi, który przejrzał ją z roztargnieniem, jak gdyby skonsternowany mnóstwem informacji technicznych na temat komputerów.

- Błękitna Pustka? - mruknął detektyw, a chwilę później przekazał teczkę swemu partnerowi.

- Na kiedy zaplanowano zwolnienie? - zapytał Shelton, kartkując akta więźnia.

- Papiery już czekają w sądzie - odrzekł Anderson. - Gdy tylko uda się nam namówić sędziego

federalnego do ich podpisania, Gillette jest nasz.

- Chciałem was tylko lojalnie ostrzec - oświadczył naczelnik ze złowrogą miną.

Wskazał komputer domowej roboty. - Jeżeli mimo to nadal upieracie się przy zwolnieniu, proszę bardzo. Tylko będziecie go musieli traktować jak narkomana, który od dwóch tygodni jest na głodzie.

- Uważam, że powinniśmy zawiadomić FBI - powiedział Shelton. - Zresztą w ogóle w tej sprawie przyda się nam pomoc federalnych. Więcej osób będzie miało na niego oko.

Anderson jednak pokręcił głową.

- Jeżeli im powiemy, dowie się o tym Departament Obrony i dostanie apopleksji na wieść, że zwalniamy człowieka, który złamał ich Standard 12. Gillette po półgodzinie wróciłby za kratki. Nie, nie trzeba nadawać temu rozgłosu. Nakaz zwolnienia będzie wydany na fikcyjne nazwisko.

Anderson spojrzał na Bishopa, znów przyłapując go na ukradkowym sprawdzaniu komórki.

- Co o tym sądzisz, Frank?

Szczupły detektyw wepchnął koszulę do spodni, po czym w końcu sklecił kilka pełnych zdań:

- Moim zdaniem powinniśmy go stąd zabrać. Im wcześniej, tym lepiej. Morderca prawdopodobnie nie siedzi z założonymi rękami i nie gada. Tak jak my.

Rozdział

00000100/czwarty

Przez okropnie długie pół godziny Wyatt Gillette siedział w zimnym średniowiecznym lochu, nie chcąc snuć domysłów, czy to się naprawdę stanie - czy go zwolnią. Nie pozwalał sobie nawet na cień nadziei; w więzieniu zawsze najpierw umiera optymizm.

Po chwili z ledwie słyszalnym stuknięciem otworzyły się drzwi i wrócili gliniarze.

Unosząc głowę, Gillette dostrzegł na uchu Andersona ciemnobrązową kropkę - dawny ślad po kolczyku.

- Sędzia podpisał nakaz tymczasowego zwolnienia - oznajmił detektyw.

Gillette zdał sobie sprawę, że przez cały czas siedział z zaciśniętymi zębami i boleśnie napiętymi mięśniami karku i ramion. Usłyszawszy nowinę, westchnął z ogromną ulgą.

Dziękuję, dziękuję...

- Masz pewien wybór. Albo cały czas będziesz skuty, albo nałożysz na kostkę elektroniczną bransoletę detekcyjną.

Haker zastanowił się przez moment.

- Wolę bransoletę.

- To nowy rodzaj - powiedział Anderson. - Tytanowa. Można ją wkładać i zdejmować tylko za pomocą specjalnego klucza. Nikomu nie udało się jej jeszcze pozbyć.

- No, jednemu się udało - odezwał się wesoło Bob Shelton. - Ale musiał odciąć sobie stopę. Zanim wykrwawił się na śmierć, pokonał nie więcej niż milę.

Gillette poczuł do grubego gliniarza niechęć, którą zresztą ten odwzajemniał.

- Bransoleta lokalizuje cię w promieniu sześćdziesięciu mil i nadaje sygnał - ciągnął

Anderson.

- Przekonał mnie pan - powiedział Gillette, po czym zwrócił się do naczelnika: -

Potrzebuję paru rzeczy ze swojej celi.

- Jakich rzeczy? - burknął naczelnik. - Nie wyjeżdżasz na długo, Gillette. Nie musisz się pakować. Gillette powiedział do Andersona:

- Potrzebuję kilku książek i notatników. Mam też sporo wydruków, które mogą się przydać, z „Wired” i „2600”.

- Może wziąć - rzekł do naczelnika detektyw z CCU.

Gdzieś niedaleko rozległ się przeraźliwy elektroniczny wizg. Gillette podskoczył na ten dźwięk. Dopiero po dobrej minucie rozpoznał hałas, którego nigdy nie słyszał w San Ho.

Był to telefon komórkowy Franka Bishopa. Chudy detektyw odebrał i słuchał przez chwilę, gładząc się po bokobrodach, a potem powiedział:

- Tak jest, kapitanie... i co? - Nastąpiła cisza, podczas której kącik ust Bishopa nieznacznie drgał. - Nie możecie nic zrobić?... Trudno.

Rozłączył się.

Anderson uniósł brew. Detektyw z wydziału zabójstw powiedział bezbarwnym tonem:

- To kapitan Bernstein. Nadszedł kolejny meldunek w sprawie MARIN. Namierzyli sprawców w pobliżu Walnut Creek. Prawdopodobnie kierują się w tamtą stronę. - Zerknął

przelotnie na Gillette'a, jakby ten był plamą na ławce, a potem zwrócił się do Andersona: -

Powinienem cię poinformować, prosiłem o odsunięcie od tej sprawy i przydzielenie do tamtej.

Odmówili. Kapitan Bernstein sądzi, że bardziej przydam się tutaj.

- Dzięki, że mi powiedziałeś - odrzekł Anderson. Nie był zbyt wdzięczny Gillette'owi, że to z jego powodu detektyw nie jest nastawiony do sprawy zbyt entuzjastycznie.

- Ty też chciałeś dostać przydział do sprawy MARIN? - spytał Sheltona.

- Nie. Chciałem tę. Dziewczyna została zabita prawie na moim podwórku. Chcę dopilnować, żeby nic takiego się nie powtórzyło.

Anderson zerknął na zegarek. Piętnaście po dziewiątej.

- Powinniśmy wracać do CCU.

Naczelnik wezwał zwalistego strażnika i wydał mu odpowiednie rozkazy. Latynos wyprowadził Gillette'a na korytarz, potem z powrotem do celi. Pięć minut później haker zabrał to, co chciał, skorzystał jeszcze z toalety i włożył kurtkę. Idąc przed strażnikiem, ruszył

w stronę centralnej części San Ho.

Przeszli przez jedne drzwi, następne, minęli część dla odwiedzających, gdzie raz na miesiąc mógł widywać się z przyjacielem, potem pokoje do rozmów z adwokatami, gdzie spędził ze swoim mecenasem wiele godzin, pracując nad apelacją, która okazała się bezowocna, choć adwokat oskubał jego i Ellie, nie pozostawiając im ani grosza.

Wreszcie, dysząc z emocji, Gillette minął przedostatnie drzwi prowadzące do części biurowej i szatni strażników. Czekali tam na niego policjanci.

Anderson dał znak strażnikowi, który zdjął więźniowi kajdanki. Pierwszy raz od dwóch lat Gillette uwolnił się od przymusu systemu więziennego. Uzyskał namiastkę wolności.

Rozcierając nadgarstki, szedł otoczony glinami w stronę wyjścia - podwójnych drewnianych drzwi z okratowanymi szybami, przez które Gillette zobaczył szare niebo.

- Bransoletę nałożymy ci na zewnątrz - powiedział Anderson. Shelton zbliżył się gwałtownie do hakera i szepnął:

- Powiem ci coś, Gillette. Może sobie myślisz, że bez kajdanek będziesz mógł użyć jakiejś broni, która znajdzie się w zasięgu twojej ręki. Jeżeli nie spodoba mi się twoja mina, bardzo tego pożałujesz. Rozumiesz? Rozwalę cię bez zastanowienia.

- Włamałem się tylko do komputera - rzekł z rozdrażnieniem haker. - Nigdy nie zrobiłem nikomu krzywdy.

- Po prostu zapamiętaj, co ci powiedziałem. Gillette przyspieszył kroku, żeby dogonić Andersona. - Dokąd jedziemy?

- Wydział przestępstw komputerowych policji stanowej znajduje się w San José. W

osobnym budynku. Pojedziemy...

W bramce wykrywacza metali, przez którą przeszli, rozdzwięczał się alarm i zaczęło mrugać czerwone światło. Ponieważ nie wchodzili, tylko wychodzili z więzienia, strażnik przy drzwiach wyłączył brzęczyk i przyzwalająco skinął im głową.

Ale gdy tylko Anderson dotknął drzwi, żeby je otworzyć, ktoś zawołał:

- Chwileczkę! - Frank Bishop wskazał Gillette'a. - Sprawdźcie go.

Gillette wybuchnął śmiechem. - To niedorzeczne. Przecież stąd wychodzę, a nie wchodzę. Kto chciałby coś przemycić z więzienia?

Anderson milczał, lecz Bishop dał znak strażnikowi. Ten przesunął ręcznym wykrywaczem metalu po ciele Gillette'a. Przy prawej kieszeni spodni detektor wydał

przenikliwy pisk.

Strażnik sięgnął do kieszeni i wyciągnął obwód na płytce z wystającymi drucikami.

- Co to za gówno? - warknął Shelton. Anderson przyjrzał się przedmiotowi.

- Czerwona skrzynka? - spytał Gillette'a, który zrezygnowany wznosił oczy do sufitu.

- Taa...

Detektyw zwrócił się do Bishopa i Sheltona:

- Phreakerzy używają kilkudziesięciu różnych skrzynek z obwodami do oszukiwania firm telefonicznych, żeby mieć dostęp do darmowych usług, podsłuchiwać czyjąś linię, zrobić sobie odgańlenie podsłuchowe... Każda ma umowny kolor. Nie spotyka się ich już wielu z wyjątkiem tej - czerwonej skrzynki. Imituje dźwięk monet w automacie wrzutowym. Można dzwonić do każdego miejsca na świecie i tyle razy naciskać guzik, ile trzeba monet, żeby zapłacić za rozmowę. - Spojrzał na Gillette'a. - Co chciałeś z tym zrobić?

- Pomyślałem sobie, że mogę się zgubić i będę musiał do kogoś zadzwonić.

- Mogłeś równie dobrze sprzedać czerwoną skrzynkę na ulicy jakiemuś phreakerowi za powiedzmy kilkaset dolców. Gdybyś na przykład zamierzał uciekać i potrzebował

pieniędzy.

- Przypuszczam, że mógłbym tak zrobić. Ale nie miałem takich zamiarów.

Anderson obejrzał płytkę. - Ładna instalacja. - Dzięki.

- Brakowało ci lutownicy, co? Gillette skinał głową.

- Pewnie.

- Jeszcze raz wyskoczysz z czymś takim i wrócisz za kratki, gdy tylko będę miał wolny radiowóz. Jasne?

- Jasne.

- To było niezłe - szepnął Bob Shelton. - Ale widzisz, kurwa, życie to jedno wielkie rozczarowanie, prawda?

Nie, pomyślał Wyatt Gillette. Życie to jedna wielka hakerka.

Na wschodnim krańcu Doliny Krzemowej pulchny piętnastolatek walił wściekle w klawiaturę, wpatrując się przez grube okulary w ekran monitora. Uczeń siedział w sali komputerowej Szkoły im. św. Franciszka w San José, szacownej, prywatnej placówki edukacyjnej dla chłopców.

Nazwa pomieszczenia nie najlepiej oddawała jednak jego charakter. Owszem, stały tu komputery. Ale zdaniem uczniów słowo „sala” brzmiało trochę ryzykownie. Wciśnięta w głąb piwnicy, z zakratowanymi oknami, wyglądała zupełnie jak cela. Może kiedyś naprawdę nią była; ta część budynku miała dwieście pięćdziesiąt lat, a plotka głosiła, że w właśnie tu słynny misjonarz z Kalifornii, ojciec Junípero Serra, głosił ewangelię wśród rdzennych mieszkańców Ameryki, obnażając ich do pasa i chłoszcząc, dopóki nie uznali Jezusa. Starsi uczniowie opowiadali wesoło młodszym, że niektórzy nieszczęśnicy nie przeżyli swego nawrócenia i ich duchy błąkały się po celach... salach takich jak ta.

Jamie Turner, chłopiec, który w tej chwili miał w pogardzie duchy i stukał w klawisze z zawrotną prędkością, był ciemnowłosym, fajtłapowatym drugoklasistą. Nigdy nie uzyskiwał

ocen niższych niż dziewięćdziesiąt dwa punkty i mimo że do końca semestru pozostały jeszcze dwa miesiące, przeczytał już wszystkie lektury i napisał wszystkie prace z wszystkich przedmiotów. Miał najwięcej książek ze wszystkich uczniów świętego Franciszka, przeczytał

po pięć razy książki o Harrym Potterze, osiem razy „Władcę pierścieni” i sam nie pamiętał ile wszystkie dzieła wizjonera świata komputerów i fantastyki naukowej, Williama Gibsona.

Stukot klawiszy brzmiał w małym pomieszczeniu jak stłumiona kanonada broni maszynowej. Jamie usłyszał za sobą jakieś skrzypnięcie. Obejrzał się szybko. Nikogo.

Potem trzask. I cisza. I gwizd wiatru.

Cholerne duchy... Pieprzyć je. Przecież nie można przerwać pracy.

Jamie Turner poprawił ciężkie okulary na nosie i wrócił do swego zajęcia. Przez okratowane okno sączyło się szare światło mglistego dnia. Jego koledzy biegali po boisku, krzyczeli, śmiali się i

zdobywali bramki. O wpół do dziesiątej zaczęła się lekcja wuefu. Jamie miał teraz na niej być, a Booty'emu na pewno nie spodobałoby się, że się tu chowa.

Ale Booty o niczym nie wiedział.

Nie żeby Jamie nie lubił dyrektora szkoły. Naprawdę nie o to chodziło. Trudno nie lubić kogoś, kto tak się o niego troszczył. (W przeciwieństwie do, na przykład... rodziców Jamiego. „Synu, zobaczymy się dwudziestego trzeciego... chwileczkę, och, nie. Twoja matka i ja mamy coś w planach. Przyjedziemy pierwszego albo siódmego. Na pewno. Całujemy cię, pa”). Paranoja Booty'ego była jednak nie do zniesienia. Zamykanie drzwi na noc, wszystkie te cholerne alarmy i zabezpieczenia, ciągle kontrolowanie uczniów.

I na przykład nie pozwalał uczniom chodzić na zupełnie bezpieczne koncerty rockowe w towarzystwie starszych i odpowiedzialnych braci, jeśli rodzice nie podpiszą jakiegoś świstka, a kto mógł wiedzieć, gdzie są ci pieprzeni rodzice, nie mówiąc już o możliwości nakłonienia ich do poświęcenia kilku chwil na podpisywanie czegoś i odsyłanie faksem w stosownym czasie, choćby nie wiadomo o jak ważną rzecz chodziło.

Całujemy cię, pa...

Teraz jednak Jamie brał sprawy we własne ręce. Jego brat Mark, inżynier dźwięku w sali koncertowej w Oakland, powiedział Jamiemu, że jeżeli uda mu się uciec dziś wieczorem ze szkoły, weźmie go na koncert Santany, a być może zdobędzie przepustki na nieograniczony wstęp za kulisy. Jeżeli jednak nie wyrwie się ze Świętego Franciszka przed wpół do siódmej, brat będzie musiał jechać do pracy sam. Stawienie się o wyznaczonej godzinie stanowiło nie lada kłopot. Ucieczka ze szkoły nie miała bowiem nic wspólnego ze scenami w starych filmach, w których uczniowie spuszczały się po linie z powiązanych prześcieradeł. Szkoła im. św. Franciszka wyglądała wprawdzie jak stary hiszpański zamek, lecz była wyposażona w najnowocześniejszy system zabezpieczeń.

Naturalnie, Jamie mógł się wydostać ze swojego pokoju, którego nawet w nocy nie zamykano na klucz (szkoła im. św. Franciszka nie była przecież więzieniem). Mógł też wyjść z budynku przez wyjście pożarowe - pod warunkiem że uda mu się unieruchomić alarm. Ale wciąż przebywałby na terenie szkoły - otoczonej wysokim na dwanaście stóp kamiennym murem zwieńczonym drutem kolczastym. Tej przeszkody nikt już nie mógł pokonać -

przynajmniej nie on, puciołowaty cybermaniak, który nie cierpiał wysokości - chyba że udałoby się złamać kod dostępu do jednej z bram wychodzących na ulicę. Dlatego właśnie usiłował włamać się do pliku z hasłem dostępowym Herr Fuhrera Booty'ego, przepraszam, pana doktora pedagogiki Willema C. Boethe'a.

Na razie zupełnie gładko udało mu się wejść do komputera Booty'ego i ściągnąć plik z hasłem (szczęśliwie opatrzonego nazwą „kody zabezpieczeń”. Supersubtelnie, Booty!).

Oczywiście w pliku zapisana była zaszyfrowana wersja hasła, którą należało jeszcze rozszyfrować. Ale wolny składak Jamiego mozoliłby się z tym zadaniem strasznie długo, więc chłopiec włamywał

się do najbliższego stanowiska, szukając na tyle mocnej maszyny, żeby zdążyła złamać kod przed magiczną godziną.

Jamie wiedział, że na początku swojego istnienia Internet był dużą siecią akademicką, która miała ułatwić wymianę naukową, a nie utajniać informacje. Pierwsze instytucje połączone Siecią - uczelnie - miały o wiele gorsze zabezpieczenia niż agencje rządowe i korporacje, które zaistniały w Internecie znacznie później.

Zapukał więc do wirtualnych wrót pracowni komputerowej College'u Inżynierii Północnej Kalifornii, który powitał go pytaniem:

Nazwa użytkownika?

Jamie wstukał: Użytkownik.

Hasło?

Odpowiedź: Użytkownik.

Ekran wyświetlił komunikat:

Witaj, Użytkownik.

Hm, dwa z minusem za zabezpieczenia, pomyślał z przekąsem Jamie i zaczął

przeglądać katalog główny, aż znalazł w sieci szkoły jakiś duży superkomputer, prawdopodobnie starego Craya. W tym momencie maszyna obliczała wiek Wszechświata.

Ciekawe, ale nie tak czadowe jak Santana, pomyślał Jamie. Odsunął projekt astronomiczny na bok i załadował napisany przez siebie program o nazwie „Cracker”, który zaczął się mozolić nad wyłuskaniem z pliku Booty’ego hasła w języku angielskim. Właśnie...

- Och, niech to jasna cholera - powiedział w języku, którego nigdy nie słyszano z ust Booty’ego. Znowu zawiesił mu się komputer.

Ostatnio zdarzyło się to już kilka razy, a Jamie nie wiedział dlaczego, co doprowadzało go do szału. Znał komputery na wylot, jednak nie potrafił znaleźć przyczyny blokad swojej maszyny. Dziś nie miał czasu w tym grzebać, musiał przecieź zdążyć przed wpół do siódmej. Mimo to zapisał kolejne zawieszenie w swoim notatniku jak przystało na porządnego i pilnego hakera, po czym zrestartował system i ponownie zalogował się do Sieci.

Zajrzawszy do Craya, stwierdził, że komputer college’u cały czas pracował nad plikiem Booty’ego, używając jego „Crackera”, chociaż Jamie się rozłączył.

Mógłby...

- Pan Turner, pan Turner - rozległ się niedaleko czyjś głos. - Cóż tu porabiamy?

Na jego dźwięk Jamie skamieniał z strachu. Zdołał jednak zachować na tyle przytomności umysłu, by wcisnąć Alt i F6, zanim dyrektor Booty zdążył się zbliżyć do terminalu, człapiąc wolno w swych butach na gumowej podeszwie.

Komunikat o stanie pracy nielegalnego programu zniknął z ekranu, ustępując miejsca pracy pisemnej na temat trudnej sytuacji lasów tropikalnych.

- Dzień dobry, panie dyrektorze - powiedział Jamie.

- Aha. - Wysoki, chudy mężczyzna nachylił się, wpatrując się w ekran monitora. -

Myślałem, że ogląda pan brzydkie obrazki, panie Turner.

- Nie, panie dyrektorze - odrzekł Jamie. - Nigdy bym nie śmiał.

- Poznajemy środowisko, martwimy się tym, co zrobiliśmy biednej naturze, tak?

Doskonale, doskonale. Ale jestem zmuszony zauważyć, że ma pan właśnie lekcję wychowania fizycznego. Powinien pan bezpośrednio doświadczać natury. Na boisku, w sportowych zmaganiach. Oddychając czystym kalifornijskim powietrzem. Biegając i strzelając bramki.

- Zdaje mi się, że pada deszcz - zauważył Jamie.

- Powiedziałbym, że jest odrobinę mglisto. Poza tym gra w piłkę w deszczu kształtuje charakter. Proszę bardzo, wychodzimy na dwór, panie Turner. Drużyna zielonych straciła jednego zawodnika. Pan Lochnell skręcił w lewo, a jego noga skręciła w prawo. Niech pan rusza z odsieczą. Drużyna wzywa.

- Muszę tylko zamknąć system, panie dyrektorze. To potrwa kilka minut.

Dyrektor ruszył w stronę drzwi, wołając przez ramię:

- Za kwadrans widzę pana na murawie w pełnym rynsztunku.

- Tak jest - odrzekł Jamie Turner, nie zdradzając rozczarowania na wieść, że będzie musiał porzucić komputer i wyjść na błoto i trawę do kilkunastu głupich uczniów.

Zamknął okno z tekstem o lasach tropikalnych, a potem wstukał prośbę o komunikat stanu działania „Crackera”. Na moment znieruchomiał i spojrzał uważnie na ekran, dostrzegając coś dziwnego. Czcionka była mniej ostra niż zwykle i wyraźnie migiała.

Było coś jeszcze: komputer odrobinę wolniej reagował na wciskanie klawiszy.

Zagadka. Jamie zastanawiał się, co mogło być nie tak. Napisał kiedyś kilka programów diagnostycznych, więc postanowił, że kiedy będzie już miał hasło, włączy któryś z nich, aby sprawdzić maszynę.

Przypuszczał, że powodem może być błąd w katalogu systemowym, być może jakiś kłopot z akceleratorem grafiki. Zacznie sprawdzać od tego.

Jednak na krótką chwilę Jamiemu Turnerowi przysłała do głowy niedorzeczna myśl, że nieostrza czionka i opóźnienie w reagowaniu na klawisze wcale nie są spowodowane błędem w systemie operacyjnym. To duch nieżyjącego od dawna Indianina, który przepływając między Jamiem a komputerem, wściekły na ludzką obecność, rozpaczliwe wzywa pomocy, stukając w klawiaturę zimnymi, bezcielesnymi palcami.

Rozdział

00000101/piąty

W lewym górnym rogu monitora Phate zobaczył małe okienko dialogowe: **Trapdoor - tryb wyszukiwania**

Cel: JamieTT^hol.com

Online: Tak

System operacyjny: MS-DOS/Windows

Program antywirusowy: Nieaktywny

Na ekranie Phate widział teraz to samo co Jamie Turner na monitorze swojego komputera kilka mil dalej, w szkole im. św. Franciszka.

Ta postać w grze intrygowała Phate'a od początku, gdy miesiąc temu pierwszy raz dostał się do maszyny chłopaka.

Phate spędził wiele czasu na przeglądaniu zawartości plików Jamiego, dowiedział się więc o nim tyle, co o Larze Gibson.

Na przykład, Jamie Turner nie cierpiał sportu i historii, uwielbiał natomiast matematykę i nauki ścisłe. Pożerał książki. Chłopak był maniakiem sieci MUD - spędzał całe godziny w internetowych pokojach rozmów w wielodostępnym środowisku symulacyjnym, uczestnicząc z wielkim powodzeniem w grach fabularnych i tworzeniu stowarzyszeń miłośników fantasy, bardzo popularnych w środowisku MUD. Jamie był również doskonałym kodologiem programistą samoukiem. Zaprojektował własną stronę internetową, która zdobyła drugą nagrodę Web Site Revenue Online. Wymyślił nową grę komputerową, która zdaniem Phate'a była intrygująca i miała szansę na sukces komercyjny.

Chłopiec najbardziej bał się utraty wzroku; zamówił u internetowego optyka specjalne nietłukące okulary.

Jedynym członkiem rodziny, z którym Jamie prowadził dość często korespondencję elektroniczną, był

jego starszy brat Mark. Bogaci i wiecznie zajęci rodzice odpowiadali średnio na co piąty lub szósty e-mail syna.

Phate doszedł do wniosku, że Jamie Turner jest błyskotliwy, pomysłowy i wrażliwy.

Poza tym chłopak należał do grupy hakerów, którzy pewnego dnia mogli się okazać od niego lepsi.

Phate - jak wielu komputerowych czarodziejów - miał ciągotki mistyczne.

Przypominał fizyków wierzących z całego serca w Boga albo wyrachowanych polityków całkowicie oddanych masońskiemu mistycyzmowi. Phate wierzył w nieokreśloną duchowość maszyn, której istnieniu zaprzeczali tylko ludzie o ograniczonych horyzontach.

Tak więc przesady wcale nie były mu obce. I w ciągu kilku tygodni, gdy za pomocą programu Trapdoor przeczesywał komputer Jamiego Turnera, nabrał przeświadczenia, że ten zdolny chłopak pewnego dnia odbierze mu tytuł najlepszego kodologa wszech czasów.

Dlatego musiał trochę przeszkodzić Jamiemu Turnerowi w jego przygodach w Świecie Maszyn. Phate zamierzał zrobić wszystko, żeby go skutecznie powstrzymać.

Przejrzał zawartość kolejnych plików. Od Shawna dostał pocztą elektroniczną szczegółowe informacje na temat szkoły im. św. Franciszka, do której chodził chłopak.

Szkoła z internatem była znana z wysokiego poziomu, ale ważniejsze, że stanowiła prawdziwe wyzwanie dla Phate'a jako taktyka. Gdyby mógł zabijać postacie z gry bez żadnych trudności - i ryzyka - nie byłoby sensu grać. A w szkole im. św. Franciszka czekały na niego nie lada przeszkody. Zamontowano mnóstwo systemów zabezpieczeń, ponieważ kilka lat temu doszło tam do włamania, podczas którego zginął uczeń, a jeden z nauczycieli został poważnie ranny. Dyrektor, Willem Boethe, uroczyście przyrzekł, że nigdy do czegoś podobnego nie dopuści. Chcąc uspokoić rodziców, wyremontował cały budynek, zmieniając szkołę w twierdzę. Budynki zamykano na noc, wejścia na teren szkoły strzegła podwójna brama, w oknach i drzwiach założono alarm. Aby wejść albo wyjść, forsując wysoki, zakończony ostrym drutem kolczastym mur okalający kompleks, trzeba było znać kody dostępu.

Słowem przedostanie się do szkoły było zadaniem na miarę ambicji Phate'a. O oczko trudniejszym niż z Larą Gibson - wchodził na wyższy poziom w swojej grze. Mógł teraz...

Phate spojrział na ekran spod zmrużonych powiek. O nie, tylko nie to. Komputer Jamiego - i jego maszyna także - zawiesiły się równocześnie. To samo zdarzyło się jakieś dziesięć minut wcześniej. W Trapdoorze tkwił jeden błąd. Czasami komputery Phate'a i ofiary po prostu przestawały działać. Wtedy trzeba było restartować obie maszyny i ponownie łączyć się z siecią.

Trwało to najwyżej minutę, ale zdaniem Phate'a była to bardzo poważna usterka.

Program musiał być doskonały, elegancki. Razem z Shawnem przez kilka miesięcy próbowali usunąć tę pluskwę, lecz na razie nie mieli szczęścia.

Chwilę potem on i jego młody przyjaciel byli online, a Phate znów mógł przeglądać zawartość komputera chłopaka. Nagle na monitorze Phate'a ukazało się okienko z pytaniem: **Cel otrzymał bezpośrednią wiadomość od nadawcy MarkTheMan. Czy chcesz ją monitorować?**

To od brata Jamiego, Marka. Phate wcisnął Y i zobaczył na ekranie rozmowę braci.

MarkTheMan: Możesz pisać?

JamieTT: Musze isc grac w pieprzona PILKE.

MarkTheMan: LOL*.* LOL - *Laughing Out Loud* - boki zrywać; akronim stosowany przez użytkowników bezpośredniej komunikacji sieciowej. **Wieczór aktualny?**

JamieTT: Jasne. Santana RZĄDZI!!!!

MarkTheMan: Nie mogę czekać. Bede po drugiej stronie ulicy naprzeciw północnej bramy b:30. Gotowy do prawdziwego rokendrola?

Jasne, wszyscy jesteśmy gotowi, pomyślał Phate.

Wyatt Gillette zatrzymał się w drzwiach, doznając wrażenia, że cofnął się w czasie.

Rozejrzał się po wnętrzu należącym do wydziału przestępstw komputerowych policji stanowej Kalifornii, który mieścił się w starym parterowym budynku oddalonym o kilka mil od siedziby policji stanowej w San José.

- To zagroda dinozaura.

- Nasza własna - powiedział Andy Anderson. Wyjaśnił Bishopowi i Sheltonowi, choć żaden z nich nie wykazywał szczególnego zainteresowania, że u początków dziejów komputeryzacji wielkie komputery produkowane przez IBM i Control Data Corporation umieszczano w specjalnych pomieszczeniach takich jak to, zwanych zagrodami dinozaurów.

W zagrodach podłoga była położona trochę wyżej, a pod nią biegły grube kable zwane węzami boa, ponieważ tak jak one czasem nieoczekiwanie się prostowały, robiąc krzywdę technikom. Pomieszczenie przecinało także kilkadziesiąt kanałów wentylacyjnych - układy chłodzące były niezbędne, aby uchronić masywne komputery przed przegrzaniem i pożarem.

Wydział przestępstw komputerowych znajdował się niedaleko West San Carlos, w gorszej dzielnicy handlowej San José, niedaleko miasta Santa Clara. Po drodze do siedziby wydziału mijało się kilka salonów samochodowych - **NAJKORZYSTNIEJSZE WARUNKI!**

SE HABLA ESPAÑOL - oraz sporo przejazdów kolejowych. Wzniesiony bez ładu i składu parterowy budynek, wymagający gruntownego remontu, stanowił zupełne przeciwieństwo na przykład głównej siedziby Apple Computer położonej zaledwie milę stąd - futurystycznej budowli w idealnym stanie, ozdobionej czterdziestostopowym portretem Steve'a Wozniaka, współzałożyciela firmy. W

CCU jedyne dzieło sztuki stanowił zepsuty i zardzewiały automat do pepsi stojący przy drzwiach wejściowych.

Rozległy budynek był labiryntem ciemnych korytarzy i pustych gabinetów. Policja korzystała z niewielkiego skrawka jego powierzchni - środkowej części, gdzie ustawiono kilkanaście modułowych boksów. Zainstalowano tu kilkanaście terminali Sun Microsystems, stało kilka LBM-ów i apple'i, kilkanaście laptopów. Wszędzie biegły kable - niektóre przyklejono taśmą do podłogi, inne zwisały z góry niczym liany w dżungli.

- Można wynająć te wszystkie stare urządzenia za psi grosz - powiedział do Gillette'a Anderson, a potem parsknął śmiechem. - W końcu zaczęli uznawać CCU za legalną część policji stanowej i dali nam kwatery w tej norze sprzed dwudziestu lat.

- O, wyłącznik awaryjny. - Gillette wskazał czerwony wyłącznik w ścianie. Zakurzona tabliczka pod nim głosiła: UŻYWAĆ TYLKO W RAZIE NIEBEZPIECZEŃSTWA. - Nigdy takiego nie widziałem.

- Co to jest? - zapytał Bob Shelton.

Anderson wyjaśnił: stare mainframe'y tak bardzo się grzały, że gdyby wysiadł układ chłodzący, komputery mogłyby się szybko zapalić. Ze względu na mnóstwo żywicy, plastiku i gumy, gazy z płonącego komputera uśmierciłyby człowieka, zanim dokonałby tego ogień.

Tak więc we wszystkich zagrodach dinozaurów montowano wyłącznik awaryjny - działający podobnie jak wyłącznik reaktora jądrowego. Gdyby wybuchł pożar, trzeba było wcisnąć wyłącznik, który odcinał zasilanie komputera, wzywał straż pożarną i uruchamiał gaśnice halonowe, by zdusić płomień w maszynie.

Andy Anderson przedstawił zespołowi CCU Gillette'a, Bishopa i Sheltona. Najpierw Lindzie Sanchez, niskiej i krępej Latynosce, ubranej w niezgrabny beżowy kostium. Linda wyjaśniła, że jest oficerem PZR - przechwytywania, zabezpieczania i rejestrowania. To ona zabezpieczała komputer sprawcy, sprawdzała, czy nie ma w nim żadnych pułapek, kopiowała pliki i wprowadzała sprzęt i oprogramowanie do ewidencji dowodów. Była również specjalistką od odzyskiwania cyfrowych dowodów, ekspertem od „kopania” w twardej dyskach - szukała ukrytych lub usuniętych danych (dlatego funkcjonariuszy z jej specjalnością nazywano „archeologami komputerowymi”).

- Jestem w tym zespole wywiadowcą - powiedziała do Gillette'a.

- Jakież wieści, Lindo?

- Jeszcze nie, szefie. Moja córka jest najbardziej leniwą dziewczyną na świecie.

- Linda ma niebawem zostać babcią - wyjaśnił Gillette'owi Anderson.

- I mam tydzień spóźnienia. Cała rodzina odchodzi od zmysłów.

- A oto mój zastępca, sierżant Stephen Miller.

Miller był starszy od Andersona, zbliżał się do pięćdziesiątki. Miał bujną siwą czuprynę, opadające ramiona i gruszkowatą posturę niedźwiedzia. Wyglądał na człowieka ostrożnego. Zważywszy na jego wiek, Gillette przypuszczał, że Miller należy do drugiego pokolenia programistów - ludzi, którzy na początku lat siedemdziesiątych rewolucjonizowali świat komputerów.

Trzecią osobą był Tony Mott, wesoły trzydziestolatek o długich blond włosach. Nosił

ciemne okulary Oakley zawieszane na szyi na seledynowym łańcuszku, a w swoim boksie miał mnóstwo zdjęć przedstawiających jego i piękną Azjatkę jeżdżących na snowboardzie i rowerach górskich. Na biurku leżał kask, w kącie stały buty do snowboardu. Facet reprezentował zapewne najmłodsze pokolenie hakerów: wysportowanych ryzykantów, którzy z taką samą brawurą piszą skrypty, jak atakują rynnę na zawodach deskorolkowych. Gillette zauważył też, że spośród wszystkich funkcjonariuszy CCU Mott nosi największy pistolet -

lśniący i srebrny automat.

Wydział przestępstw komputerowych miał też własną sekretarkę-recepcjonistkę, ale była właśnie na zwolnieniu lekarskim. W hierarchii policji stanowej wydział stał dość nisko (policjanci mawiali o nim „Oddział cybermianiaków”) i centrala nie miała ochoty fundować mu nikogo na jej miejsce. Członkowie zespołu musieli sami odbierać telefony oraz segregować pocztę i dokumenty, czym naturalnie nie byli zachwyceni.

Wzrok Gillette'a prześliznął się po kilku białych tablicach stojących pod ścianą, na których prawdopodobnie zapisywano informacje związane ze śledztwem. Na jednej przyklejono taśmą zdjęcie. Gillette nie widział, co na nim jest, więc podszedł bliżej. Po chwili stanął jak wryty, wstrzymując ze zgrozą oddech. Fotografia przedstawiała młodą kobietę w pomarańczowo-czerwonej spódnicy, obnażoną do pasa. Jej blade i zakrwawione zwłoki leżały na trawie. Gillette grał w życiu w wiele gier komputerowych - Mortal Kombat, Doom i Tomb Raidera - ale choć obfitowały one w makabryczne sceny, wydały mu się zupełnie niewinne w porównaniu z okrucieństwem, jakiego doznała prawdziwa ofiara zbrodni.

Andy Anderson zerknął na zegar ścienny. Nie był to cyfrowy model, jak przystało na centrum komputerowe, lecz zwykły stary i zakurzony zegar ze wskazówkami, które pokazywały dokładnie dziesiątą.

- Trzeba się brać do pracy - powiedział policjant. - Ugryziemy to z dwu stron.

Detektyw Bishop i Shelton będą prowadzić rutynowe śledztwo w sprawie zabójstwa. CCU

zajmie się dowodami komputerowymi... korzystając z pomocy Wyatta. - Rzuciwszy okiem na leżący na biurku faks, dodał: - Czekamy też na konsultanta z Seattle, eksperta od Internetu i systemów sieciowych. Patriae Nolan. Lada chwila powinna się zjawić.

- Z policji? - spytał Shelton. - Nie, jest cywilem.

- Ciągłe korzystamy z usług fachowców z firm prywatnych - dodał Miller. - Technika zmienia się tak

szybko, że nie nadążamy za rozwojem. Przestępcy są zawsze o krok przed nami. Dlatego kiedy tylko można, korzystamy z pomocy niezależnych konsultantów od zabezpieczeń.

- Zwykle zgłasza się mnóstwo chętnych - powiedział Tony Mott. - Dziś w dobrym tonie jest napisać w życiorysie o złapaniu hakera.

- Dobra, gdzie jest komputer Lary Gibson? - zapytał Anderson Lindy Sanchez.

- W laboratorium, szefie. - Policjantka wskazała jeden z ciemnych korytarzy, które rozchodziły się od głównego pomieszczenia jak odnóża pająka. - Technicy od zabezpieczania śladów szukają odcisków palców, w razie gdyby sprawca włamał się do jej domu i zostawił

jakąś miłą pamiątkę. Za dziesięć minut powinni być gotowi.

Mott podał Frankowi Bishopowi kopertę.

- Przyszło do pana kilka minut temu. Wstępny raport z zabezpieczenia miejsca zbrodni.

Bishop przejechał palcami po swoich sztywnych włosach. W obficie spryskanej lakierem fryzurze detektywa Gillette widział wyraźnie ślady zębów grzebienia. Policjant przejrzał zawartość koperty, lecz nie powiedział ani słowa. Podał cienki plik papierów Sheltonowi, znów wcisnął koszulę do spodni, po czym oparł się o ścianę.

Grubszy detektyw otworzył folder, czytał przez chwilę, a później uniósł głowę.

- Według zeznań świadków sprawca to biały mężczyzna o średniej budowie ciała i średniego wzrostu, ubrany w białe spodnie, jasnoniebieską koszulę i krawat z jakąś postacią z kreskówki. Dwadzieścia parę, trzydzieści lat. Barman twierdzi, że wyglądał jak typowy pracownik typowej firmy stąd. - Policjant podszedł do białej tablicy i zaczął zapisywać nowe informacje, ciągnąc: - Miał na szyi identyfikator PARC Xerox, ale jesteśmy pewni, że to fałszywka. Żaden trop nie prowadził do nikogo z tej firmy. Facet miał wąsy i kozią bródkę.

Blondyn. Na ofercie znaleziono też kilka włókien niebieskiego dżinsu, które nie pochodziły z garderoby, jaką miała na sobie ani z żadnej rzeczy, jakie trzymała w szafie w domu. Być może zostawił je zabójca. Narzędziem zbrodni był prawdopodobnie wojskowy nóż Kabar z ząbkowanym ostrzem.

- Skąd wiecie? - spytał Tony Mott.

- Kształt rany na to wskazuje. - Shelton ponownie zajrzał do raportu. - Zabójstwa dokonano gdzie indziej, a zwłoki ofiary porzucono przy autostradzie.

- Jak można to stwierdzić? - przerwał mu Mott.

Shelton zmarszczył lekko brwi, jak gdyby nie miał ochoty na żadne dygresje.

- Na podstawie ilości jej krwi znalezionej na miejscu zbrodni.

Młodzieniec kiwnął głową, potrząsając długimi włosami, miał minę, jakby chciał to sobie dobrze zapamiętać na przyszłość.

- Nikt w pobliżu miejsca porzucenia ciała niczego nie widział - podjął Shelton.

Spojrzał na wszystkich z goryczą. - Jak zawsze... Staramy się namierzyć samochód sprawcy; wyszli z baru z razem Larą i widziano ich, jak zmierzali w stronę parkingu za restauracją, ale nikt nie widział jego wozu. Nasi ludzie od zabezpieczania śladów mieli szczęście: barman pamiętał, że zabójca zapakował w serwetkę butelkę piwa, którą później jeden technik znalazł

w śmieciach. Ale kiedy sprawdziliśmy i butelkę i serwetkę, nie było na nich ani jednego śladu. W laboratorium zdjęli z szyjki butelki jakąś lepką substancję, ale nie wiadomo, co to jest. Na pewno nietoksyczne. Tyle że nie pasuje do żadnego materiału z bazy danych laboratorium.

- To z kostiumu - przemówił w końcu Frank Bishop.

- Z kostiumu? - powtórzył Anderson.

- Może musiał się trochę ucharakteryzować na tego Willa Randolpha, którego udawał

- rzekł policjant. - Możliwe, że to klej ze sztucznej brody albo wąsów.

Gillette przytaknął.

- Dobry socjotechnik zawsze się za kogoś przebiera. Mam znajomych, którzy uszyli sobie uniformy monterów telefonicznych z Pac Bell.

- Nieźle - powiedział do Bishopa Tony Mott, dodając nowe dane do swoich materiałów edukacyjnych.

Anderson skinął głową. Shelton zadzwonił do centrali wydziału zabójstw w San José i polecił swoim ludziom sprawdzić, czy substancja z butelki nie jest przypadkiem klejem teatralnym.

Frank Bishop zdjął pogniecioną marynarkę i starannie powiesił na oparciu krzesła.

Założywszy ręce na piersi, utkwiał wzrok w zdjęciu i białej tablicy. Poła koszuli już zdążyła mu się wysunąć z za paska. Bishop nosił wysokie buty z noskami. Kiedy Gillette był w college'u, kiedyś na męską imprezę wypożyczyli z kumplami pornosa z lat pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. Jeden z aktorów wyglądał i ubierał się tak samo jak Bishop.

Detektyw wziął od Sheltona raport i przerzucił go szybko. Uniósł głowę.

- Barman powiedział, że ofiara piła martini, a zabójca zamówił jasne piwo. Zapłacił

zabójca. Jak zdobędziemy rachunek, może znajdziemy odcisk palca.

- Jak chcecie to zrobić? - odezwał się korpulentny Stephen Miller. - Pewnie barman wyrzucił

wszystkie rachunki jeszcze wczoraj wieczorem.

Bishop wskazał ruchem głowy Gillette'a.

- Wyślemy paru ludzi, żeby - jak on to mówi - zanurkowali w koszu. Niech przekopią wszystkie pojemniki ze śmieciami w barze - dodał, zwracając się do Sheltona - i znajdą rachunek za martini i jasne piwo z godziną mniej więcej w pół do ósmej wieczorem.

- To będzie trwało wieki - rzekł Miller. Bishop jednak puścił jego uwagę mimo uszu i dał znak Sheltonowi, który znów zadzwonił do centrali, by sprawdzono podejrzenia detektywa.

Gillette zdał sobie sprawę, że wszyscy stoją w pewnej odległości od niego. Obrzucił

krótkim spojrzeniem czyste ubrania wszystkich obecnych, ich umyte włosy, zadbane paznokcie.

- Skoro mamy parę minut, zanim komputer będzie gotowy... - powiedział do Andersona. - Chociaż nie sądzę, żebyście tu mieli prysznic.

Anderson skubnął płatek ucha, na którym widniało znamię po noszonym dawno kolczyku, a potem wybuchnął śmiechem.

- Zastanawiałem się, jak poruszyć ten temat. Zaprowadź go do szatni pracowników -

rzekł do Motta. - Ale nie odchodź za daleko.

Młody policjant skinął głową i zabrał Gillette'a w głąb korytarza. Po drodze nie przestawał trajkotać - najpierw o zaletach Linuksa, systemu operacyjnego będącego odmianą klasycznego Uniksa, którego zamiast Windowsa używa coraz więcej ludzi. Mówił z prawdziwym entuzjazmem i głęboką znajomością rzeczy.

Później opowiedział Gillette'owi o powstaniu wydziału przestępstw komputerowych, który jako samodzielna jednostka istniał dopiero od roku. Mott wyjaśnił, że w oddziale cybermamiaków przydałoby się jeszcze kilka etatów, ale budżet tego nie przewidywał.

Zdawało się, że co miesiąc przybywa nowych spraw - od włamań do komputerów, przez prześladowania w cyberprzestrzeni i dziecięcą pornografię po naruszanie praw autorskich oprogramowania.

- Dlaczego zacząłeś pracować w CCU? - zapytał go Gillette.

- Liczyłem na trochę zabawy. To znaczy, bardzo lubię komputery i wydaje mi się, że nieźle daję sobie z nimi radę, ale grzebanie w kodzie po to, żeby znaleźć pogwałcenie praw autorskich, to nie to, czego się spodziewałem. Myślałem, że to będzie taka grupa zapaleńców z dobrym sprzętem.

- A Linda Sanchez? - spytał Gillette. - Też jest cybermamiakiem?

- Niezupełnie. Inteligentna, ale nie ma smykałki do maszyn. Wychowywała się na ulicy w Krainie

Salaty, wiesz, w Salinas. Potem zaczęła pracować w opiece społecznej i postanowiła wstąpić na akademię. Kilka lat temu paskudnie postrzelili jej partnera w Monterey. Linda ma dwie córki - tę, która spodziewa się dziecka, i młodszą, która chodzi do szkoły średniej - a jej męża nigdy nie ma w domu. Pracuje w wydziale imigracji i naturalizacji Departamentu Sprawiedliwości. Uznała, że czas się przenieść na trochę spokojniejsze podwórko.

- Czyli zupełnie inaczej niż ty. Mott zaśmiał się.

- Chyba tak.

Gdy Gillette wycierał się po prysznicu, Mott położył na ławce własne czyste ubranie do ćwiczeń. Koszulkę, spodnie dresowe i ocieplaną kurtkę. Mott był trochę niższy od Gillette'a, ale mieli właściwie taką samą budowę ciała.

- Dzięki - powiedział Gillette, ubierając się. Zrobiło mu się lekko, gdy już zmył z siebie specyficzny rodzaj brudu: osad więzienia.

W drodze powrotnej do głównego pomieszczenia mijali małą kuchenkę. Gillette dostrzegł dzbanek z kawą, lodówkę i stół, na którym stał talerz obwarzanków. Haker przystanął, spoglądając wygłodniałym wzrokiem na jedzenie. Potem przyjrzał się szafkom.

- Pewnie nie macie tu pop-tartów - powiedział do Motta. - Pop-tartów? Nie. Ale są obwarzanki. Poczęstuj się. Gillette podszedł do stołu i nalał sobie kubek kawy. Wziął

obwarzanka z rodzynekami.- Nie, tego nie - ostrzegł Mott. Zabrał Gillette'owi obwarzanka i cisnął nim o podłogę. Ciastko odbiło się jak piłka.

Gillette zmarszczył brwi.

- Linda je przyniosła. Dla żartu. - Widząc zaskoczenie Gillette'a, Mott spytał: - Nie rozumiesz?

- Co mam rozumieć?

- Jaki dziś mamy dzień?

- Nie mam pojęcia. - W więzieniu czasu raczej nie odmierza się dniami i datami.

- Prima aprilis - odrzekł Mott. - Te obwarzanki są z plastiku. Linda i ja położyliśmy je tu rano i czekamy, żeby Andy się na nie skusił, ale jeszcze nie złapał przynęty. Chyba jest na diecie. - Otworzył szafkę, z której wyciągnął torbę świeżych, prawdziwych obwarzanków. -

Proszę.

Gillette błyskawicznie pochłonął jeden.

- Śmiało, weź jeszcze.

Zjadł więc drugi, popijając kawą z wielkiego kubka. Od lat nie jadł niczego równie smacznego.

Mott wziął z lodówki sok z marchwi i wrócili do głównego biura CCU.

Gillette rozejrzał się po zagrodzie dinozaura, spoglądając z namysłem na setki odłączonych węży boa rzuconych w kąt, na otwory wentylacyjne. Nagle coś mu przyszło do głowy.

- Prima aprilis... czyli morderstwo popełniono trzydziestego pierwszego marca?

- Zgadza się - przytaknął Anderson. - To coś znaczy?

- Pewnie to tylko zbieg okoliczności - odrzekł niepewnie Gillette.

- Mów.

- Trzydziesty pierwszy marca to istotna data w historii komputerów.

- Dlaczego? - zapytał Bishop.

- Czy to nie tego dnia zaczął działać pierwszy Univac? - odezwał się chrypliwy kobiecy głos od drzwi.

Rozdział

000001100/szósty

Odwrócili się i ujrzeni szeroką w biodrach, trzydziestokilkuletnią brunetkę, która miała na sobie dość nieszczęśliwie dobrany szary komplet z dzianiny i ciężkie czarne buty.

- Patricia? - spytał Anderson.

Skinęła głową, weszła do pokoju i podała mu rękę.

- To Patricia Nolan, o której wam mówiłem, będzie naszym konsultantem. Pracuje w dziale zabezpieczeń Horizon On-Line.

Horizon był największym na świecie komercyjnym dostawcą usług internetowych, większym nawet od America Online. Mieli zarejestrowanych dziesiątki milionów abonentów, a każdy z nich mógł posługiwać się kilkoma nazwami użytkownika dla przyjaciół lub członków rodziny, było więc całkiem prawdopodobne, że spora część świata sprawdzała notowania giełdowe, okłamywała ludzi na czatach, czytała plotki z Hollywood, robiła zakupy, zaglądała do prognozy pogody i ściągała miękką pornografię właśnie za pośrednictwem Horizon On-Line.

Nolan zatrzymała przez moment wzrok na twarzy Gillette'a. Zerknęła przelotnie na tatuaż z palmą. Potem na jego palce, stukające odruchowo w niewidzialną klawiaturę.

Anderson wyjaśnił:

- Kiedy Horizon dowiedział się, że ofiara była jego klientem, zgłosił się do nas i zaproponował, że przyśle kogoś do pomocy w sprawie. Gdy detektyw przedstawiał jej cały zespół, Gillette miał okazję przyrzeć się pani konsultant. Modne markowe okulary, kupione zapewne pod wpływem impulsu, niewiele pomogły, by jej pospolita twarz o męskich rysach stała się mniej pospolita. Jednak spoglądające zza nich zielone oczy były bystre i przenikliwe; Gillette dostrzegł, że ona też wydaje się rozbawiona faktem, iż znalazła się w staroświeckiej zagrodzie dinozaura. Patricia Nolan miała ziemistą cerę, zamaskowaną grubą warstwą makijażu, który mógł być modny - jeśli użyto go w odpowiedniej ilości - w latach siedemdziesiątych. Ciemne i gęste włosy były w nieładzie i opadały jej na twarz.

Po powitaniach i prezentacji natychmiast wróciła do Gillette'a. Okręcając na palcach gruby kosmyk włosów i nie zwracając uwagi na pozostałych, powiedziała prosto z mostu:

- Widziałam, jak na mnie patrzyłeś, kiedy usłyszałeś, że pracuję w Horizon.

Jak w przypadku wszystkich komercyjnych dostawców usług internetowych - AOL, CompuServe, Prodigy i innych - prawdziwi hakerzy mieli Horizon On-Line w pogardzie.

Komputerowi czarodzieje łączyli się z innymi komputerami, korzystając z programów telnetowych i wędrowali po Błękitnej Pustce przy użyciu przerobionych przeglądarek, którymi bezpiecznie mogliby wyruszyć w podróż międzygwiazdą. Nigdy nie przyszłoby im do głowy korzystać z prostych i dość powolnych dostawców w rodzaju Horizon, którzy nastawiali się przede wszystkim na dostarczanie rodzinnej rozrywki.

Abonentów Horizon On-Line nazywano HOLamerami, HOL-ofiarami albo po prostu HO, co brzmiało podobnie jak obecny adres Gillette'a.

Nolan ciągnęła, zwracając się do Gillette'a:

- Postawmy sprawę jasno. Studiowałam na MIT, a magisterium i doktorat zrobiłam w Princeton - jedno i drugie na informatyce.

- Sztuczna inteligencja w New Jersey? - spytał Gillette. Laboratorium sztucznej inteligencji w Princeton było jednym z najlepszych w kraju. Nolan skinęła głową.

- Zgadza się. Mam też za sobą trochę hakerki. Gillette'owi wydało się zabawne, że zamiast przed policją usprawiedliwia się właśnie przed nim, jedynym przestępcą wśród obecnych. Słyszał w jej głosie nutkę zdenerwowania, poza tym cała przemowa brzmiała, jakby Nolan od dawna ją ćwiczyła. Pewnie dlatego, że była kobietą; Komisja Równości Zatrudnienia nie ma kompetencji, by położyć kres uprzedzeniom wobec kobiet, które próbują swoich sił w zdobywaniu Błękitnej Pustki. Nie tylko sekuje się je z chatów i BBS-ów, ale często otwarcie obraża, a nawet grozi. Nastoletnie dziewczyny, które mają ochotę na hakerkę, muszą być inteligentniejsze i dziesięć razy odporniejsze od chłopaków.

- Co mówiłaś o Univacu? - spytał Tony Mott. Patricia Nolan przystąpiła do wyjaśnień:

- To było 31 marca 1951 roku. Urząd Statystyczny dostał pierwszy egzemplarz Univaca, który zaczął

normalną pracę.

- Co to właściwie jest? - zapytał Bob Shelton.

- Komputer powszechnego użytku, skrót od Universal Automatic Computer.

- Akronimy są bardzo popularne w Świecie Maszyn - powiedział Gillette.

- Univac to jeden z pierwszych nowoczesnych komputerów typu mainframe - ciągnęła Patricia Nolan.

- Zajmował pomieszczenie wielkości mniej więcej tego. Oczywiście, dzisiaj można kupić szybsze laptopy, bez problemu wykonujące sto razy więcej zadań.

- A data? - myślał na głos Anderson. - Sądysz, że to zbieg okoliczności?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Może nasz cwaniak działa według jakiejś myśli przewodniej

- zasugerował Mott. - To znaczy, jest ważna data w historii komputerów i pozbawione motywów zabójstwo w sercu Doliny Krzemowej.

- Dobra, spróbujemy pójść tym tropem - rzekł Anderson. - Sprawdź, czy ostatnio były jakieś niewyjaśnione zabójstwa dokonane podobną metodą w ośrodkach elektroniki. Seattle, Portland

- mają tam swój Krzemowy Las. Krzemowa Preria w Chicago. Droga 128 od Bostonu.

- Austin w Teksasie - podsunął Miller.

- Dobrze. I rejon autostrady Dullesa pod Waszyngtonem. Zaczynj tam i zobaczymy, co to da. Wyślij prośbę do VICAP-u.

Tony Mott wstukał informacje, a po kilku minutach dostał odpowiedź. Odczytał tekst z ekranu i powiedział:

- Jest coś z Portland. Piętnasty i siedemnasty lutego tego roku. Dwa niewyjaśnione zabójstwa popełnione tą samą metodą, podobną jak w naszej sprawie - obie ofiary zostały zaatakowane nożem, zmarły od ran klatki piersiowej. Sprawcą był podobno biały mężczyzna przed trzydziestką. Raczej nie znał ofiar, brak motywu rabunkowego czy seksualnego. Ofiary to bogaty człowiek z kierownictwa firmy - mężczyzna - i zawodowa sportsmenka.

- Piętnasty lutego? - odezwał się Gillette. Patricia Nolan zerknęła na niego.

- ENIAC?

- Aha - odparł haker i wyjaśnił: - ENIAC to urządzenie podobne do Univaca, ale powstał wcześniej.

Zaczął działać w latach czterdziestych. Oficjalny start odbył się piętnastego lutego.

- A co oznacza ten akronim?

- Electronic Numerical Integrator and Calculator, cyfrowa maszyna licząca -

powiedział Gillette. Jak wszyscy hakerzy historię komputerów znał na wylot.

- Cholera - mruknął Shelton. - Mamy gościa działającego według wzoru. Świetnie, nie ma co.

Z VICAP-u nadeszła następna wiadomość. Gillette zerknął na ekran i zobaczył, że skrót oznacza program ścigania przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu przy Departamencie Sprawiedliwości*. * *Violent Criminal Apprehension Program* - program działający przy FBI.

Wyglądało na to, że policja stosuje akronimy równie często jak hakerzy.

- Rany, jeszcze jeden - powiedział Mott, czytając tekst na ekranie.

- Jeszcze jeden? - spytał z niepokojem Stephen Miller. Z roztargnieniem porządkował

dyskietki i papiery, które piętrzyły się na jego biurku, tworząc grubą na sześć cali warstwę.

- Półtora roku temu w Herndon w Wirginii zostali zabici dyplomata i pułkownik z Pentagonu - obaj z ochroną. To rejon autostrady Dullesa, centrum elektroniki... ściągnę cały plik.

- Kiedy dokładnie popełniono te zabójstwa w Wirginii? - spytał Anderson.

- Dwunastego i trzynastego sierpnia.

Zapisał daty na białej tablicy i spojrzał pytająco na Gillette'a.

- Coś ci to mówi?

- Pierwszy pecet IBM - odparł haker. - Wypuszczony na rynek dwunastego sierpnia.

Patricia Nolan skinęła głową.

- Czyli mamy myśl przewodnią - powiedział Shelton.

- To znaczy, że będzie działał dalej - dodał Frank Bishop.

Terminal, przy którym siedział Mott, wydał cichy sygnał. Młody policjant nachylił się w stronę monitora, stukając swoim wielkim pistoletem automatycznym głośno o krzesło.

Zmarszczył brwi.

- Chyba mamy kłopot.

Na ekranie był komunikat:

Nie można pobrać plików.

Pod spodem wyświetliła się dłuższa wiadomość. Anderson przeczytał tekst i pokręcił głową.

- VICAP nie ma akt dotyczących zabójstw w Portland i Wirginii. Sysadmin pisze, że zostały zniszczone w wyniku przypadkowej awarii pamięci danych.

- Przypadkowej awarii - mruknęła Nolan, wymieniając znaczące spojrzenie z Gillette'em.

Linda Sanchez otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Nie sądzicie chyba... - powiedziała. - Niemożliwe, żeby się włamał do VICAP-u.

Nikommu się nigdy nie udało.

- Spróbuj poszukać w stanowych bazach danych - rzekł do młodego policjanta Anderson. - W archiwach policji stanowej w Oregonie i Wirginii.

Po chwili Mott uniósł głowę znad komputera.

- Nie ma akt żadnej z tych spraw. Zniknęły.

Mott i Miller spojrzeli po sobie niepewnie.

- Robi się trochę strasznie - rzekł Mott.

- Ale jaki może mieć motyw? - zastanawiał się na głos Anderson.

- Przecież to cholerny haker - mruknął Shelton. - Właśnie to jest jego motyw.

- Ten człowiek nie jest hakerem - odezwał się Gillette.

- Jak to, więc kim?

Gillette nie miał ochoty robić wykładu trudnemu gliniarzowi. Popatrzył na Andersona, który wyjaśnił:

- Słowo „haker” to komplement. Oznacza pomysłowego programistę. Mówi się na przykład o „hakowaniu programu”. Prawdziwy haker włamuje się do czyjejś maszyny tylko po to, żeby sprawdzić, czy potrafi to zrobić, i przekonać się, co jest w środku - z czystej ciekawości. Według etyki hakera można zajrzeć, ale nie wolno niczego dotykać. Ludzi, którzy włamują się docudzych systemów jako wandale czy złodzieje, nazywa się crackerami.

- Ja nie nazwałby go nawet crackerem - powiedział Gillette. - Crackerzy mogą kraść i dewastować,

ale nikomu nie robią krzywdy. Nazwałbym go „krackerem” przez „k”.

- Cracker przez „c”, kracker przez „k” - mruknął Shelton. - Co to do cholery za różnica?

- Ogromna - odparł Gillette. - Jeśli napisze się „phreak” przez „ph”, oznacza to kogoś, kto kradnie usługi telefoniczne. „Phishing” pisane przez „ph” - to przeszukiwanie Sieci w celu ustalenia czyjejś tożsamości. „Warez” przez „z” na końcu nie oznacza żadnych towarów, ale kradzione oprogramowanie*. * Odpowiedniki ortograficzne: *freak* - maniak; *fishing* - wędkowanie, połów ryb; *wares* - towary; *software* - oprogramowanie. W

hakowaniu wszystko sprowadza się do pisowni.

Shelton wzruszył ramionami, jak gdyby to ważne rozróżnienie nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

Do głównego biura CCU wrócili technicy z wydziału kryminalistyki policji stanowej Kalifornii, ciągnąc za sobą sfatygowane walizki na kółkach. Jeden zajrzał do kartki.

- Zdjęliśmy osiemnaście częściowych śladów ukrytych, dwanaście częściowych widocznych. - Wskazał na torbę z laptopem, którą miał na ramieniu. - Po sprawdzeniu wygląda na to, że wszystkie odciski należą do ofiary albo jej chłopaka. Na kluczach nie było też śladów rękawiczek.

- Czyli dostał się do systemu z zewnątrz - powiedział Anderson. - Miękki dostęp, tak jak myśleliśmy. - Podziękował technikom, którzy zaraz potem wyszli.

Linda Sanchez - już w służbowej roli, na pewno nie przypominała przyszłej babci -

powiedziała do Gillette'a:

- Wszystko w jej maszynie zabezpieczyłam i zapisałam. - Podała mu dyskietkę. - To dysk startowy.

Dyskietka zawierała wystarczającą część systemu operacyjnego, by „bootować”, czyli uruchomić komputer. Zamiast normalnego startu z twardych dysków policja używała zwykle dyskietek startowych, w razie gdyby podejrzany - w tym wypadku zabójca - zainstalował

program, który zniszczyłby dane.

- Trzy razy przekopałam się przez jej maszynę i nie znalazłam żadnych pułapek, ale to nie znaczy, że ich tam nie ma. Prawdopodobnie świetnie o tym wiesz, ale przypomnę, żebyś nie zbliżał do komputera ofiary i dyskietek żadnych plastikowych torebek, pudełek ani teczek

- może powstać ładunek statyczny, który skasuje dane. To samo z głośnikami. Mają magnesy.

Nie kładź też dyskietek na metalowych półkach - mogą być namagnesowane. W laboratorium znajdziesz niemagnetyczne narzędzia. Dalej chyba już wiesz, co robić. - Tak.

- Powodzenia - powiedziała. - Laboratorium jest w tamtym korytarzu.

Gillette z dyskietką w ręce poszedł we wskazanym kierunku. Ruszył za nim Bob Shelton. Haker odwrócił się.

- Nie chcę, żeby mi ktoś zaglądał przez ramię. Zwłaszcza ty, dodał w myśli.

- W porządku - rzekł do detektywa Anderson. - Z tyłu jest tylko jedno wyjście, podłączone do alarmu, poza tym nosi biżuterię. - Wskazał metalową bransoletę połyskującą na jego kostce. - Nigdzie nie ucieknie.

Shelton nie był zachwycony, ale musiał się na to zgodzić. Gillette zauważył jednak, że nie wrócił do głównego pomieszczenia. Oparł się o ścianę przy wejściu do laboratorium i założył ręce na piersiach jak wykidajło, który nie umie przyjąć właściwej postawy.

Jeżeli nie spodoba mi się twoja mina, bardzo tego pożałujesz...

W pokoju analiz Gillette podszedł do komputera Lary Gibson. Był to standardowy składak IBM.

Jednak nie zabrał się od razu do jej maszyny. Najpierw usiadł za klawiaturą tutejszego terminalu i szybko napisał kludge - niezbyt porządny, prowizoryczny program. Po pięciu minutach skończył pisać kod źródłowy. Nazwał program „Detektyw”, a potem skompilował i skopiował na dyskietkę startową, którą dostał od Sanchez. Następnie włożył dyskietkę do napędu w maszynie Lary Gibson. Gdy wcisnął włącznik zasilania, usłyszał znajomy i podnoszący na duchu stuk i szum napędów.

Mocne palce Wyatta Gillette’a spoczęły niecierpliwie na chłodnym plastiku klawiszy.

Zgrubiałe opuszki palców położył na wypukłościach środkowych klawiszy F i J. Dysk startowy obszedł system operacyjny Windows, uruchamiając uboższy MS DOS - słynny system operacyjny Microsoftu stanowiący podstawę bardziej przyjaznego dla użytkownika Windowsa. Na czarnym ekranie ukazał się znak zgłoszenia C:.

Gillette patrzył na pulsujący hipnotycznie kursor, czując, że serce zaczyna w nim bić żywiej.

Po chwili, nie patrząc na klawiaturę, wcisnął klawisz D - pierwszą literę wiersza poleceń *detektyw.exe*, która miała uruchomić program.

Czas w Błękitnej Pustce płynie zupełnie inaczej niż w znanym nam Realu i oto, co się zdarzyło w ciągu pierwszej tysięcznej części sekundy, która nastąpiła po wciśnięciu klawisza przez Wyatta Gillette’a.

Napięcie w obwodzie pod klawiszem D uległo bardzo nieznacznemu zachwianiu.

Procesor klawiaturowy zauważył zmianę napięcia i przekazał do komputera, ten momentalnie wysłał kilkadziesiąt zadań, które właśnie wykonywał, do miejsca składowania zwanego stosem, a potem utworzył drogę o specjalnym priorytecie dla kodów nadchodzących z klawiatury.

Kod litery D został skierowany przez procesor klawiaturowy tą ekspresową drogą do podstawowego systemu wejścia-wyjścia - BIOS-u - który sprawdził, czy Wyatt Gillette nie wcisnął równocześnie

klawisza SHIFT, CTRL lub ALT.

Upewniwszy się, że nie, BIOS przetłumaczył kod z klawiatury, oznaczający małą literę *d*, na inny kod, ASCII, który następnie został przesłany do karty graficznej komputera.

Z kolei karta dokonała konwersji kodu na sygnał cyfrowy, transmitując go do dział elektronowych znajdujących się z tyłu monitora.

Działa wystrzeliły wiązkę energii prosto w chemiczną powłokę ekranu. I w tak cudowny sposób na czarnym monitorze wyświetliła się biała litera *d*.

Wszystko stało się w ułamku sekundy.

W ciągu pozostałej części sekundy Gillette wstukał resztę polecenia: - etektyw.exe, po czym małym palcem prawej ręki wcisnął klawisz ENTER.

Ekran wyświetlił więcej liter i grafiki, a Wyatt Gillette niczym chirurg poszukujący maleńkiego guza zaczął delikatnie badać komputer Lary Gibson - którego zawartość była wszystkim, co po niej pozostało; po strasznym ataku zostało jeszcze tylko kilka ciepłych wspomnień o tym, kim była i co zrobiła w ciągu swego krótkiego życia.

Rozdział

00000111/siódmy

Chodzi z hakerskim garbem, pomyślał Andy Anderson, przyglądając się Wyattowi Gillette'owi, który wracał z laboratorium. Komputerowcy mają najgorszą postawę ze wszystkich grup zawodowych na świecie.

Dochodziła jedenasta przed południem. Haker spędził przy maszynie Lary Gibson zaledwie pół godziny.

Bob Shelton, który ku widocznej irytacji hakera szedł za Gillette'em krok w krok do głównego biura, zapytał:

- I co znalazłeś?

Pytanie zadał bardzo szorstkim głosem. Anderson zastanawiał się, dlaczego Shelton tak się pastwi nad młodym człowiekiem, zwłaszcza że haker pomagał im w sprawie, do której detektyw sam się zgłosił.

Gillette zignorował dziobatego gliniarza, usiadł na obrotowym krześle i otworzył

notatnik. Potem powiedział, zwracając się do Andersona:

- Dzieje się coś dziwnego. Zabójca rzeczywiście był w jej komputerze. Przejął root i...

- Wolniej, kolego - mruknął Shelton. - Co przejął?

- Jeśli ktoś ma root - wyjaśnił Gillette - to znaczy, że ma kontrolę nad całą siecią komputerową i wszystkimi maszynami, które są do niej podłączone.

Anderson dorzucił:- Kiedy masz root, możesz przepisywać programy, usuwać pliki, dodawać autoryzowanych użytkowników, usuwać ich, wchodzić do sieci jako ktoś inny.

- Nie mogę jednak rozgryźć, jak to zrobił - ciągnął Gillette. - Jediną zagadkową rzeczą, jaką znalazłem, było parę zaszyfrowanych plików; pomyślałem, że to zakodowane wirusy, ale okazało się, że to tylko jakiś bełkot. Nie ma śladu żadnego programu, który pozwoliłby mu wejść. - Zerkając na Bishopa, wyjaśnił: - Widzicie, mógłbym załadować do waszego komputera wirusa, dzięki któremu przejąłbym root w waszej maszynie i dostałbym się do niej z każdego miejsca o każdej porze, bez żadnego hasła. To tak zwane wirusy

„tylnych drzwi”, bo pozwalają na wejście do systemu jak do domu przez tylne drzwi.

- Ale żeby działały, musiałbym w jakiś sposób zainstalować program w waszym komputerze i uruchomić. Mógłbym, powiedzmy, przesłać go jako załącznik do e-mailu i sami uruchomilibyście program, gdybyście otworzyli załącznik, nie wiedząc, co w nim jest. Albo włamałbym się do was, zainstalował program na komputerze i sam go uruchomił. Ale nie ma żadnego śladu takiego włamania. Nie, musiał przejąć root w jakiś inny sposób.

Anderson zauważył, że haker mówi z wielkim ożywieniem. Oczy błyszczały mu tak samo jak młodym cybermamiakom - nawet tym, którzy stawali przed sądem i swoimi zeznaniami sami się pogrążali, z entuzjazmem opowiadając sędziemu i ławie przysięgłych o swoich wyczynach.

- No to skąd wiesz, że przejął root? - spytała Linda Sanchez.

- Napisałem kludge. - Podał Andersonowi dyskietkę.

- Co robi? - zapytała Patricia Nolan, w której, podobnie jak w Andersonie, odezwała się ciekawość zawodowa.

- Nazwałem go Detektyw. Szuka rzeczy, których w komputerze nie ma. - Detektywom spoza CCU wyjaśnił: - Podczas pracy komputera system operacyjny - taki jak Windows -

przechowuje części programów, których potrzebuje, w różnych miejscach na całym twardym dysku. Istnieją regularne wzory wskazujące, gdzie i kiedy przechowuje te pliki. - Pokazując dyskietkę, dodał: - Dzięki temu programikowi zobaczyłem, że wiele fragmentów programów było w takich miejscach twardego dysku, w jakich mogły się znaleźć tylko wtedy, gdyby ktoś dostał się do jej komputera z zewnątrz.

Zdezorientowany Shelton pokręcił głową.

Za to Frank Bishop powiedział:

- Czyli to tak, jakby można było stwierdzić, że w domu był włamywacz, bo poprzestawiał meble i nie ustawił ich z powrotem. Nawet kiedy wracamy i już go nie ma.

Gillette skinął głową.

- Właśnie tak.

Andy Anderson - podobnie jak Gillette, czarodziej w niektórych dziedzinach - zważył

w dłoni cienką dyskietkę. Naprawdę był pod wrażeniem. Kiedy zastanawiał się, czy poprosić Gillette'a o pomoc, przeglądał skrypty, które prokurator przedstawił w sądzie jako dowód w sprawie przeciw hackerowi. Po sprawdzeniu jego świetnych kodów źródłowych Anderson pomyślał o dwóch rzeczach. Po pierwsze, jeśli ktokolwiek mógłby im pomóc w wyjaśnieniu, jak sprawca dostał się do komputera Lary Gibson, to na pewno był to Wyatt Gillette.

Z drugiej strony umiejętności młodego człowieka budziły w nim zwykłą zazdrość. Na całym świecie żyły dziesiątki tysięcy stukaczy - ludzi, którzy masowo produkowali wydajne programy do zwykłych, codziennych zadań - i równie wiele dzieciaków-skrypciaków, które pisały niezwykle twórcze, lecz dość toporne i mało użyteczne programy, głównie dla zabawy.

Jednak niewielu programistów potrafiło wymyślić skrypt „elegancki” - określenie stanowiło wyraz najwyższego uznania dla programu - i jednocześnie umiało go dobrze napisać. Wyatt Gillette był właśnie takim najwyższej marki kodologiem.

Anderson znów zauważył, że Frank Bishop z roztargnieniem rozgląda się po biurze, myślami błądząc zupełnie gdzie indziej. Może powinien się porozumieć z centralą i wziąć do zespołu innego detektywa. Niech Bishop zajmie się sprawą MARIN i tropi swoich bandytów napadających banki - jeśli to dla niego takie ważne - a na jego miejsce trzeba wziąć kogoś, kto przynajmniej będzie uważał na to, co się dzieje.

- Czyli wniosek jest taki, że dostał się do jej systemu dzięki jakiemś nowemu nieznanemu programowi albo wirusowi - powiedział do Gillette'a Anderson.

- W zasadzie tak.

- Można powiedzieć o nim coś jeszcze? - spytał Mott.

- Tylko to, co już wiecie, że zwykle pracował na Uniksie. Unix to system operacyjny taki jak MS DOS czy Windows, ale używany w maszynach większych i mocniejszych od komputerów osobistych.- Zaraz - przerwał mu Anderson. - Co to znaczy: to, co już wiemy?

- Chodzi mi o jego pomyłkę.

- Jaką pomyłkę? Gillette zmarszczył brwi.

- Kiedy zabójca był w jej systemie, wstukał parę poleceń, żeby się dostać do plików.

Ale to były polecenia uniksowe - musiał je wprowadzić przez pomyłkę, zanim sobie przypomniał, że jej komputer chodzi pod Windows. Musieliście to zauważyć.

Anderson spojrzał pytająco na Stephena Millera, który widocznie pierwszy badał komputer ofiary.

- Tak, zauważyłem kilka uniksowych wierszy. Ale uznałem, że sama je wpisała - odparł Miller niepewnie.

- Kobieta jest cywilem - rzekł Gillette, używając terminu hakerskiego na określenie kogoś, kto nie korzysta z komputera regularnie. - Wątpię, czy w ogóle słyszała o Uniksie, nie mówiąc o poleceniach. - W Windowsie i w systemie operacyjnym Apple'a komputer obsługuje się, po prostu klikając na ikony albo wpisując proste słowa; użytkownik Uniksa musi natomiast nauczyć się setek skomplikowanych kodów.

- Nie pomyślałem o tym, przepraszam - wybąkał niedźwiedziowaty policjant.

Wydawał się rozdrażniony krytyką tego, co dla niego było mało istotnym szczegółem.

A więc Stephen Miller popełnił kolejny błąd, pomyślał Anderson. Problemy tego rodzaju powtarzały się, od kiedy Miller wstąpił do CCU. W latach siedemdziesiątych był

szefem bardzo obiecującej firmy produkującej komputery i opracowującej programy. Jednak jego produkty zawsze pozostawały krok w tyle w porównaniu z osiągnięciami IBM, Digital Equipment i Microsoftu, więc ostatecznie Miller zbankrutował. Skarżył się, że często udawało mu się przewidzieć NWK (Następny Wielki Krok, jak w Dolinie Krzemowej nazywano innowację, która miała zrewolucjonizować cały przemysł), ale giganci ciągle rzucali mu kłody pod nogi.

Kiedy jego firma poszła na dno, Miller rozwiódł się i na kilka lat opuścił Świat Maszyn, by później pojawić się jako niezależny programista. Zaczął się zajmować zabezpieczeniami komputerów i w końcu zgłosił się do policji stanowej. Nie był

wymarzonym kandydatem Andersona na członka wydziału komputerowego, lecz CCU miał

niewielu wykwalifikowanych chętnych (po co ktoś miałby się godzić na pracę za sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, na dodatek można było zginąć, skoro w którejś z legendarnych firm Doliny Krzemowej zarabiano się dziesięć razy więcej?).

Poza tym Miller - który nie ożenił się drugi raz i w ogóle miał dość ubogie życie osobiste - poświęcał długie godziny na pracę w departamencie i można go było zastać w zagrodzie dinozaura jeszcze długo po wyjściu reszty funkcjonariuszy. Zabierał też pracę „do domu”, to znaczy do wydziału informatyki na miejscowym uniwersytecie, gdzie znajomi pozwalali mu za darmo analizować sprawy CCU na najnowocześniejszych superkomputerach.

- Co z tego wynika dla nas? - zapytał Shelton. - Z tego, że zna się na tym Uniksie?

- Dla nas to niedobra wiadomość - odrzekł Anderson. - Hakerzy używający Windowsa czy Apple'a to zwykle pŁotki. Poważni hakerzy pracują na Uniksie albo systemie operacyjnym Digital Equipment, VMS.

Gillette przytaknął, dodając:

- Poza tym Unix to system operacyjny Internetu. Każdy, kto chce się włamać do dużych serwerów czy ruterów w Sieci, musi znać Uniksa.

Zadzwoił telefon Bishopa. Policjant odebrał, potem rozejrzał się i usiadł przy najbliższym terminalu, żeby coś zanotować. Siedział prosto; Anderson zauważył, że nie ma hakerskiego garbu. Wreszcie Bishop wyłączył telefon i powiedział:

- Mam jakiś trop. Jeden z naszych miał wiadomość od TW. Dopiero po chwili Anderson przypomniał sobie, co oznacza ten skrót. Tajni współpracownicy. Kapusie. Bishop mówił cicho, obojętnym tonem:

- W tym rejonie sprzedawał broń niejaki Peter Fowler, biały, dwadzieścia pięć lat, z Bakersfield. Handlował też nożami Kabar. - Wskazał białą tablicę. - Takimi jak narzędzie zbrodni. Widziano go godzinę temu w kampusie Uniwersytetu Stanforda w Palo Alto. W

jakimś parku niedaleko Page Mill, ćwierć mili na północ od dwieście osiemdziesiątej.

- To Kopiec Hakerów, szefie - odezwała się Linda Sanchez. - W Parku Millikena.

Anderson skinął głową. Znał dobrze to miejsce i nie zdziwił się, gdy Gillette powiedział, że też wie, gdzie to jest. Był to pusty, trawiasty teren niedaleko kampusu, gdzie zbierają się studenci informatyki, hakerzy i chipowcy. Wymieniają się kradzionymi programami i informacjami, palą trawkę.- Znam tam parę osób - powiedział Anderson. -

Pojadę zobaczyć, kiedy tu skończymy.

Bishop jeszcze raz zajrzał do notatek i rzekł:

- Według raportu z laboratorium ta lepka substancja na butelce to rzeczywiście rodzaj kleju używanego do makijażu teatralnego. Kilku naszych ludzi sprawdziło w książce telefonicznej sklepy. W okolicy jest tylko jeden z takim towarem - Rekwizyty Teatralne Olliego przy El Camino Real w Mountain View. Sprzedawca mówił, że sporo tego im schodzi. Nie prowadzą żadnego rejestru sprzedaży, ale jeśli ktoś będzie chciał kupić klej, dadzą nam znać.

- Jeszcze jedno - ciągnął Bishop. - Być może mamy jakiś trop samochodu sprawcy.

Strażnik w biurowcu naprzeciwko „Vesty”, restauracji, w której zabójca zaczepił Larę Gibson, zauważył jakiegoś jasnego sedana, nowy model, zaparkowanego na parkingu firmy mniej więcej w porze, gdy ofiara siedziała w barze. Zdawało mu się, że w samochodzie ktoś jest. Jeżeli tak, to kierowca mógł mieć bardzo dobry widok na wóz sprawcy. Powinniśmy wy badać wszystkich pracowników firmy.

- Sprawdzisz to, kiedy będę na Kopcu Hakerów? - spytał Bishopa Anderson.

- Tak, tak sobie właśnie myślałem. - Jeszcze jeden rzut oka na notatki. Potem zwrócił

się do Gillette'a, potrząsając starannie ułożoną fryzurą. - Technicy z kryminalistycznego znaleźli jednak w koszu za restauracją rachunek na jasne piwo i martini. Zdjęli kilka odcisków palców. I wysłał je do biura do AFIS-u.

Tony Mott dostrzegł zaciekawioną minę Gillette'a.

- To system automatycznej identyfikacji odcisków palców - wyjaśnił hakerowi. -

Przeszuka system federalny, a potem sprawdzi w każdym rejestrze stanowym. Trochę to może potrwać, ale jeżeli w ciągu ostatnich ośmiu czy dziewięciu lat faceta za coś zamknęli, pewnie będziemy go mieli.

Mimo prawdziwej smykałki do komputerów, Motta fascynowała, jak ją nazywał,

„prawdziwa policyjna robota” i ciągle męczył Andersona, żeby przeniósł go do wydziału zabójstw albo innych poważnych przestępstw, żeby mógł ścigać „prawdziwych bandytów”.

Bez wątpienia był jedynym cybergliną w kraju, noszącym automat kalibru czterdzieści pięć, który mógł rozwalić samochód.

- Skoncentrują się najpierw na zachodnim wybrzeżu - powiedział Bishop. - Kalifornia, stan Waszyngton, Oregon i...

- Nie - przerwał mu Gillette. - Lepiej ze wschodu na zachód. Najpierw New Jersey, Nowy Jork, Massachusetts i Karolina Północna. Potem Illinois i Wisconsin. Kalifornia na końcu.

- Dlaczego? - zapytał Bishop.

- Chodzi o te polecenia Uniksa, które wpisał. To wersja ze wschodniego wybrzeża.

Patricia Nolan wyjaśniła, że istnieje kilka wersji systemu operacyjnego Uniksa.

Polecenia ze wschodniego wybrzeża mogły oznaczać, że zabójca pochodził z nad Atlantyku.

Bishop skinął głową i telefonicznie przekazał tę informację do centrali. Potem zajrzał do notatnika i powiedział:

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą musimy dodać do profilu sprawcy.

- Co takiego? - spytał Anderson.

- Według wydziału kryminalistyki zabójca musiał doznać jakiegoś wypadku. Nie ma opuszków u większości palców. Ma wprawdzie dość linii papilarnych, żeby zostawić odciski, ale na samych

czubkach są blizny. Technik z wydziału przypuszcza, że być może stracił skórę w pożarze.

Gillette pokręcił głową.

- To odciski.

Policjanci spojrzeli na niego. Gillette wyciągnął rękę. Opuszki palców były płaskie i zakończone pożąłką, stwardniałą skórą.

- Maniur hakera - wyjaśnił. - Jak się wali w klawisze po dwanaście godzin dziennie, dostaje się właśnie czegoś takiego.

Shelton zapisał to na białej tablicy.

Gillette powiedział:

- Chciałbym teraz wejść do sieci i zajrzeć do grup dyskusyjnych i czatów hakerów.

To, co zabójca wyczynia, na pewno wywoła spory zamęt w podziemiu i...

- Nie pracujesz online - przerwał mu Anderson. - Co?

- Nie - powtórzył nieugięcie policjant.

- Ale muszę.

- Nie. Takie są zasady. Tylko off-line.

- Zaraz, zaraz - odezwał się Shelton. - Przecież był w Sieci. Widziałem.

Anderson odwrócił się do niego gwałtownie. - Był?

- Tak, w tym pokoju z tyłu - w laboratorium. Zajrzałem do niego, jak sprawdzał

komputer ofiary. - Rzucił okiem na Andersona. - Myślałem, że się zgodziłeś.

- Nie. Zalogowałeś się? - zapytał Anderson Gillette'a.

- Nie - odparł stanowczo Gillette. - Musiał widzieć, jak pisałem kludge i pomyślał, że jestem w Sieci.

- Na to mi wyglądało - rzekł Shelton.

- Myli się pan.

Shelton uśmiechnął się kwaśno, wyglądając na nieprzekonanego.

Anderson mógł sprawdzić pliki rejestrowe komputera CCU, żeby się upewnić. Uznał

jednak, że to nie ma znaczenia. Zadanie Gillette'a i tak dobiegło końca. Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do centrali.

- Trzeba przewieźć więźnia do zakładu karnego San Jose. Gillette spojrzał na niego skonsternowany.

- Nie - powiedział. - Nie możecie mnie odesłać z powrotem. - Dopilnuję, żebyś dostał laptop, tak jak ci obiecaliśmy.

- Nie, nie rozumie pan. Teraz nie mogę tego przerwać. Musimy się dowiedzieć, co ten gość zrobił, żeby się dostać do jej maszyny.

- Mówiłeś, że niczego nie znalazłeś - burknął Shelton.

- W tym właśnie problem. Gdybym coś znalazł, wszystko byłoby jasne. Ale nie umiem znaleźć. Właśnie to jest najstraszniejsze w tym, co zrobił. Muszę szukać dalej.

- Jeśli znajdziemy komputer zabójcy - rzekł Anderson - albo następnej ofiary i jeśli będziemy potrzebować twojej pomocy, przyjedziemy po ciebie.

- Ale czaty, grupy dyskusyjne, strony hakerów... tam mogą być setki wskazówek.

Ludzie na pewno rozmawiają o takim programie.

Anderson dostrzegł w twarzy Gillette'a rozpacz nałogowca, tak jak przewidywał naczelnik.

Cyberglina nałożył płaszcz i powiedział stanowczym tonem: - Dalej już sobie poradzimy, Wyatt. Jeszcze raz dziękuję.

Rozdział

00001000/ósmo

Jamie Turner z rozpaczą zdał sobie sprawę, że się nie uda. Dochodziło południe, a on siedział samotnie w zimnej i ciemnej sali komputerowej, wciąż ubrany w wilgotny strój sportowy (mecz piłki nożnej we mgle wcale nie kształtuje charakteru, Booty; robi z ciebie tylko cholerną przemoczoną szmatę). Nie miał jednak ochoty tracić czasu na prysznic ani przebieranie. Kiedy był na boisku, wciąż myślał tylko o tym, czy komputer w college'u, do którego się dostał, złamał kod do bramy wyjściowej.

Teraz, wpatrując się przez zamglone okulary w monitor, doszedł do wniosku, że Cray prawdopodobnie nie zdąży podać mu rozszyfrowanego hasła. Złamanie kodu musiałyby pewnie potrwać jeszcze ze dwa dni.

Jamie myślał o bracie, o koncercie Santany, o przepustkach za kulisy - teraz nieosiągalnych - i

zachciało mu się płakać. Zaczął wstukiwać polecenia, by sprawdzić, czy uda się zalogować do innego szkolnego komputera - szybszego, który był na wydziale fizyki.

Ale natknął się na kolejkę użytkowników, którzy też chcieli z niego skorzystać. Jamie opadł na krzesło i ze złości, nie z głodu, pochłonął opakowanie czekoladek M&M.

Nagle ogarnął go przejmujący chłód. Jamie rozejrzał się szybko po mrocznej, cuchnącej stęchlizną sali. Zadygotał ze strachu.

Znowu ten przeklęty duch...Może powinien po prostu o wszystkim zapomnieć. Robiło mu się niedobrze z lęku i zimna. Powinien stąd spadać jak najszybciej, spotkać się z Dave'em albo Totterem, albo chłopakami z klubu francuskiego. Położył palce na klawiszach, żeby zatrzymać „Crackera” i uruchomić program czyszczący, który usunie wszystkie ślady jego obecności w uczelnianym komputerze.

Wtedy coś się stało.

Na ekranie nagle pojawił się katalog główny komputera college'a. Bardzo dziwna rzecz! Potem komputer, zupełnie bez udziału Jamiego, połączył się z innym komputerem poza szkołą. Maszyny wymieniły sygnały potwierdzenia i po chwili „Cracker” Jamiego Turnera i plik z hasłem Booty'ego zostały przekazane do innego komputera.

Jak to się, u diabła, stało?

Jamie Turner wiedział mnóstwo o komputerach, ale nigdy czegoś takiego nie widział.

Jedyne wyjaśnienie mogło być takie, że pierwszy komputer - należący do college'u - ma z innymi wydziałami jakiś układ, według którego zadania zajmujące zbyt dużo czasu zostają automatycznie przekazane do szybszych maszyn.

Zupełnie niewytłumaczalny był jednak fakt, że program Jamiego został przekazany do wielkiego zespołu równoległych superkomputerów Centrum Badawczego Obrony w Colorado Springs, jednego z najszybszych systemów komputerowych na świecie. A także jednego z najlepiej zabezpieczonych, do którego właściwie nie sposób się włamać (Jamie sam się o tym przekonał; próbował). Mieściły tam ściśle tajne informacje, z których dawniej nie mógł korzystać żaden cywil. Jamie przypuszczał, że zaczęli wynajmować system, aby w ten sposób zmniejszyć ogromne koszty utrzymania zespołu. Z zachwytem wlepił oczy w monitor i zobaczył, że maszyny centrum zabrały się do łamania kodu Booty'ego z zawrotną prędkością.

Cóż, jeśli rzeczywiście w komputerze siedzi duch, to może to być dobry duch. Może to nawet fan Santany, pomyślał, śmiejąc się do siebie.

Jamie przystąpił do drugiego hakerskiego zadania, które musiał wykonać przed Wielką Ucieczką. W ciągu niecałej minuty przedzierzgnął się w technika w średnim wieku, pracującego w West Coast Security Systems Inc.; właśnie nieszczęśliwie zapodział się gdzieś schemat instalacji alarmowej drzwi pożarowych model WCS 8872, którą właśnie próbował

naprawić, potrzebował więc pomocy kierownika technicznego.

Kierownik bardzo chętnie spełnił jego prośbę.

Phate, siedząc w swojej pracowni-jadalni, przyglądał się szalonej pracy programu Jamiego Turnera w superkomputerach Centrum Badawczego Obrony, dokąd właśnie go wysłał z zadaniem złamania hasła.

Sysadmini centrum nie mieli pojęcia, że przejął root w potężnych komputerach, które poświęcały swój czas, wart już dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, tylko i wyłącznie po to, żeby uczeń szkoły średniej mógł otworzyć jedną bramę.

Phate zbadał postęp pracy superkomputera w college'u, z którego korzystał Jamie, i od razu stwierdził, że nie uda mu się podać kodu na czas, żeby chłopak mógł się wymknąć ze szkoły o wpół do siódmej i spotkać z bratem.

Co oznaczało, że Jamie zostanie bezpiecznie za murami Świętego Franciszka, a Phate przegra tę rundę. Wariant nie do przyjęcia.

Wiedział jednak, że równoległe komputery Centrum Badawczego Obrony z łatwością złamią kod przed wyznaczoną porą.

Gdyby Jamie Turner dostał się dziś wieczorem na koncert - na co się na razie nie zanosilo - musiałby podziękować Phate'owi.

Phate dostał się do sieci rady planowania przestrzennego San José, gdzie znalazł

wniosek od dyrektora szkoły im. Św. Franciszka, który chciał wybudować mur z bramą i potrzebował zgody rady. Phate ściągnął dokumenty, a potem wydrukował plany szkoły i otaczających ją terenów.

Kiedy oglądał plany, komputer wydał krótki dźwięk, a na ekranie rozblysnął symbol skrzynki - znak, że dostał e-mail od Shawna.

Ogarnęło go radosne podekscytowanie, jak zawsze gdy dostawał wiadomość od Shawna. Miał wrażenie, że ta reakcja stanowi ważny klucz do zrozumienia rozwoju osobowości Phate'a - nie, lepiej Jona Hollowaya. Wychował się w domu, gdzie było bardzo mało miłości, za to mnóstwo pieniędzy, i wiedział, że wyrósł na chłodnego, nieczulego człowieka. Czuł obojętność wobec wszystkich - rodziny, współpracowników, kolegów ze szkoły i niewielu ludzi, z którymi próbował utrzymywać stosunki. A jednak głębia uczuć, które Phate żywił do Shawna, dowodziła, że nie jest emocjonalnie pusty, że drzemią w nim prawdziwe pokłady miłości.

Chcąc jak najszybciej przeczytać wiadomość, wylogował się z sieci rady i otworzył e-mail.

Kiedy jednak czytał suche słowa, uśmiech spelzł z jego twarzy; zaczął szybciej oddychać, czując, jak wzmaga się tętno.

- Chryste - wykrztusił.

Treść wiadomości sprowadzała się do tego, że policja jest na tropie, i to o wiele bliżej rozwiązania, niż przypuszczał. Wiedzieli już nawet o zabójstwach w Portland i Wirginii.

Potem spojrzął na drugi akapit i doczytał tylko do miejsca, w którym była mowa o Parku Millikena.

Nie, nie...

Wpadł w prawdziwe kłopoty.

Phate wstał zza biurka i zbiegł do piwnicy. Przelotnie spojrzął na jeszcze jedną plamę zaschniętej krwi na podłodze - krwi Lary Gibson - a potem otworzył niską szafkę i wyciągnął

z niej ciemny, zaplamiony nóż. Podeszedł do szafy ściiennej, otworzył ją i zapalił światło.

Dziesięć minut później mknął jaguarem w stronę autostrady.

Na początku Bóg stworzył sieć Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych zwaną ARPANET, która rozkwitła, rodząc Milnet, z ARPANET-u i Milnetu zrodził się Internet, a Internet, oraz jego potomek Usenet i światowa pajęczyna WWW stały się trójcą, która odmieniła życie Jego ludzi na wieki wieków.

Andy Anderson - który w taki właśnie sposób opisywał Sieć na zajęciach z historii komputerów - jadąc przez Pało Alto i widząc przed sobą Uniwersytet Stanforda, uznał, że to jednak trochę zbyt lekka i prosta wersja wydarzeń. Bo to właśnie w położonym niedaleko Instytucie Badań Stanforda w 1969 roku Departament Obrony stworzył pierwowzór Internetu, łącząc instytut z Uniwersytetem Kaliforni w Los Angeles, Uniwersytetem Kalifornii w Santa Barbara i Uniwersytetem Utah.

Szacunek, jaki Andy Anderson żywił do tego miejsca, szybko się jednak ulotnił, gdy przez siąpiący deszcz dostrzegł opuszczone wzgórze zwane Kopcem Hakerów w Parku Johna Millikena. Zwykle roilo się tam od młodych ludzi wymieniających programy i opowiadających sobie nawzajem o własnych wyczynach w cyfrowym świecie. Ale dziś kwietniowa mżawka wszystkich stąd wygoniła.

Zaparkował, naciągnął wymięty, szary kapelusz, który dostał na urodziny od swojej sześciolatniej córeczki, wysiadł z samochodu i ruszył przez trawę, stawiając długie kroki, a po każdym z jego butów spływały strużki deszczu. Był niezadowolony z braku świadków, którzy mogliby naprowadzić go na trop prowadzący do Petera Fowlera, handlarza bronią. Ale pośrodku parku znajdował się osłonięty mostek; czasem, kiedy padało albo było zimno, dzieciaki zbierały się właśnie tam.

Jednak podchodząc bliżej, Anderson dostrzegł, że mostek też jest pusty.

Przystanął i rozejrzał się wokół. Jedyne ludzie, jakich widział, na pewno nie byli hakerami: starsza kobieta spacerująca z psem i biznesmen rozmawiający przez komórkę pod zadaszeniem jednego z budynków uniwersyteckich.

Anderson przypomniał sobie kafejkę w centrum Pało Alto, niedaleko Hotelu Kalifornia, gdzie

schodzili się cybermaniacy, żeby popijać mocną kawę i raczyć się opowieściami o nieprawdopodobnych hakerskich dokonaniach. Postanowił tam zajrzeć i sprawdzić, czy ktoś słyszał o Peterze Fowlerze czy kimś innym sprzedającym w okolicy noże.

Jeśli nic nie wskóra, wejdzie do budynku wydziału informatyki i popyta profesorów i starszych studentów, czy nie widzieli kogoś, kto...

Nagle detektyw zauważył niedaleko jakiś ruch.

Pięćdziesiąt stóp od niego, przedzierając się przez krzaki, zmierzał ukradkiem w stronę mostka młody człowiek. Rozglądał się z niepokojem, najwidoczniej zdjęty lękiem.

Anderson ukrył się za gęstym jałowcem. Serce waliło mu jak młot - wiedział bowiem, że ten człowiek to zabójca Lary Gibson. Miał dwadzieścia kilka lat i był ubrany w kurtkę dżinsową, z której musiały pochodzić niebieskie włókna znalezione na ciele kobiety. Miał

jasne włosy i gładko ogolone policzki; zarost, jaki nosił wtedy w barze, musiał być sztuczny, przyklejony klejem używanym do charakteryzacji teatralnej.

Socjotechnika...

Kurtka mężczyzny odchyliła się na moment i Anderson zobaczył wystającą z pasa rękojeść noża Ka-bar. Zabójca szybko okrył się szczelniej kurtką i wkrótce znalazł się na mostku, gdzie skrył się w cieniu zadaszenia i wyrzał na zewnątrz. Wciąż pozostając poza zasięgiem jego wzroku, Anderson zadzwonił do policyjnej centrali operacji terenowych.

Chwilę później usłyszał dyżurnego, który zapytał go o numer odznaki.

- Cztery trzy osiem dziewięć dwa - szepnął w odpowiedzi Anderson. - Proszę o natychmiastowe wsparcie. Widzę podejrzanego o zabójstwo. Jestem w Parku Johna Millikena w Pało Al to, narożnik południowo-wschodni.

- Zrozumiałem, cztery trzy osiem - odrzekł. - Podejrzanym jest uzbrojony?

- Widzę nóż. Nie wiem, czy ma broń palną.

- Jest w pojeździe?

- Nie - powiedział Anderson. - W tej chwili porusza się pieszo.

Dyżurny poprosił go, żeby zaczekał. Anderson patrzył na zabójcę nieruchomo spod zmrużonych powiek, jakby go chciał przygwoździć wzrokiem. Szepnął do centrali:

- Kiedy mogę się spodziewać wsparcia?

- Zaraz, cztery trzy osiem... dobrze, informuję cię, będą za dwanaście minut.

- Nie możecie tu nikogo wcześniej przysłać?

- Nie, cztery trzy osiem. Możesz zostać w pobliżu podejrzanego?

- Spróbuję.

Ale właśnie w tym momencie mężczyzna ruszył w dalszą drogę. Zszedł z mostku, kierując się w stronę chodnika.

- Centrala, podejrzanym ruszył. Kieruje się na zachód przez środek parku, w stronę budynków uniwersyteckich. Będę się trzymał blisko niego i informował o położeniu.

- Zrozumiałem, cztery trzy osiem. NDJ jest w drodze.

NDJ? Co to znowu za cholerstwo? Ach, tak: najbliższa dostępna jednostka.

Łapiąc się drzew i krzaków, Anderson zbliżył się do mostka, kryjąc się przez wzrokiem zabójcy. *Po co tu wrócił? Znaleźć następną ofiarę? Zatrzeć siady wcześniejszej zbrodni? Kupić nową broń od Petera Fowlera?*

Zerknął na zegarek. Upłynęła niecała minuta. Może powinien zadzwonić jeszcze raz i powiedzieć, żeby radiowóz podjechał cicho? Nie wiedział. Pewnie w takich sytuacjach obowiązywały jakieś procedury, które musieli świetnie znać tacy gliniarze jak Frank Bishop i Bob Shelton. Anderson był przyzwyczajony do zupełnie innej pracy policyjnej. On prowadził

pościgi, siedząc w furgonetkach przed monitorem laptopa Toshiba podłączonego do systemu radionamierzenia Cellscope. Przypomniawszy sobie: ma broń...

Spojrzał na masywną rękojeść glocka. Wyciągnął go z kabury i trzymał lufą w dół, z palcem na zewnątrz spustu, jak zdaje się trzeba.

Nagle przez mżawkę usłyszał cichy elektroniczny świergot.

Zadzwonił telefon komórkowy zabójcy. Mężczyzna wydobył aparat i przyłożył do ucha. Spojrzał na zegarek, powiedział parę słów. Potem schował telefon i zawrócił.

Cholera, wraca do samochodu, pomyślał detektyw. Zgubię go...

Jeszcze dziesięć minut do przybycia wsparcia. Jezu...

Andy Anderson uznał, że nie ma wyboru. Postanowił zrobić coś, czego jeszcze nigdy nie robił: samodzielnie dokonać aresztowania.

Rozdział

00001001/dziewiąty

Anderson przesunął się w stronę niskiego krzewu. Morderca szedł ścieżką szybkim krokiem, z rękami w kieszeniach.

Anderson uznał, że to dobrze; jeśli będzie miał unieruchomione ręce, trudniej będzie mu sięgnąć po nóż.

Zaraz, zaraz, zastanowił się, a jeżeli w kieszeni ma schowany pistolet?

Dobra, trzeba o tym pamiętać.

I pamiętaj, że może tam mieć spray Mace, gaz pieprzowy albo łzawiący.

I pamiętaj, że może po prostu zawrócić i sprintem uciec. Detektyw nie miał pojęcia, co by wtedy zrobił. Jaka jest procedura postępowania podczas ucieczki sprawcy? Można strzelić mordercy w plecy?

Przymknął już kilkudziesięciu przestępców, ale zawsze miał wsparcie gliniarzy w rodzaju Franka Bishopa, którzy w posługiwaniu się bronią i zatrzymywaniu niebezpiecznych podejrzanych mieli taką wprawę jak Anderson w kompilacji programu w C++.

Detektyw zbliżył się do mordercy, w duchu dziękując deszczowi, że zagłusza odgłos jego kroków. Szli teraz równolegle po obu stronach rzędu wysokiego bukszpanu. Anderson kulił się, spoglądając przez gęsty deszcz. Widział teraz dobrze twarz zabójcy. Obudziła się w nim ogromna ciekawość: co pcha młodego człowieka do popełniania tak strasznych zbrodni?

Podobną ciekawość odczuwał, badając kody programów lub głowiąc się nad sprawami prowadzonymi przez CCU - ale tym razem była o wiele silniejsza. Mimo że rozumiał zasady informatyki i przyczyny zbrodni, jakie ta nauka umożliwia, to ten przestępca idący przez park stanowił dla Andy'ego Andersona prawdziwą zagadkę.

Gdyby nie nóż, gdyby nie pistolet, który być może ścisnął w dłoni ukrytej w kieszeni, mężczyzna mógłby się wydawać nieszkodliwy, niemal sympatyczny.

Detektyw otarł dłoń o koszulę, osuszając krople deszczu, i mocno chwycił glocka.

Szedł dalej. To zupełnie coś innego niż zdejmowanie hakerów w kafejkach internetowych albo przedstawianie nakazu aresztowania małolatowi w domu, gdzie największym zagrożeniem był talerz zepsutego jedzenia stojący obok komputera.

Bliżej, jeszcze bliżej.

Dwadzieścia stóp dalej ich trasy się przecinały. Za chwilę Anderson nie będzie już miał żadnej osłony i zostanie zmuszony do akcji.

Na moment opuściła go odwaga i przystanął. Pomyślał o swojej żonie i córce. O tym, jak obco się teraz czuje i że grunt usuwa mu się spod nóg. Myślał: idź za nim aż do samochodu, zapisz numery, a potem postaraj się go nie zgubić.

Potem jednak pomyślał o wszystkich ofiarach, które zginęły z ręki tego człowieka, i o przyszłych ofiarach, które będą musiały zginąć, jeżeli go nie powstrzyma. Być może taka okazja więcej się nie powtórzy.

Ruszył dalej ścieżką, która krzyżowała się ze ścieżką zabójcy. Dziesięć stóp. Osiem...

Głęboki oddech.

Uważaj na jego rękę w kieszeni, powtórzył w duchu.

Blisko nich przeleciał ptak - mewa - a morderca odwrócił się zaskoczony i spojrzał.

Roześmiał się.

Wtedy Anderson wypadł zza krzaków, z pistoletem wyciągniętym w jego stronę, krzycząc:

- Stać! Policja! Ręka z kieszeni!

Mężczyzna obrócił się do detektywa, mrużąc pod nosem. - Cholera jasna. - Zawahał się przez chwilę. Anderson uniósł broń na wysokość jego klatki piersiowej. - Powoli!

Spokojnie! Człowiek wyciągnął rękę. Anderson popatrzył na palce. Co on trzymał?

O mało nie wybuchnął śmiechem. To była koniczynka. Breloczek na szczęście.

- Rzuć to.

Mężczyzna usłuchał, po czym uniósł ręce w zrezygnowanym i rutynowym geście kogoś, kto już przeżył aresztowanie.

- Połóż się na ziemi i rozłóż szeroko ręce.

- Jezu - wykrztusił mężczyzna. - Jakżeście mnie tu, kurwa, znaleźli?

- No już! - krzyknął Anderson, głos drżał mu z podniecenia.

Morderca położył się na ziemi, połową ciała na trawie, drugą na chodniku. Anderson klęczał nad nim i wbijając mu lufę w szyję, nakładał kajdanki, co udało się dopiero po paru niezdarnych próbach. Potem obszukał zabójcę, wyciągając nóż Ka-bar, telefon komórkowy i portfel. Okazało się, że facet miał mały pistolet, ale w kieszeni kurtki. Broń, portfel, telefon i brelok z koniczynką wylądowały na trawie. Anderson cofnął się. Ręce drżały mu od adrenaliny.

- Skąd żeś, kurwa, wyskoczył? - mruknął mężczyzna.

Anderson nie odpowiedział, przyglądając się swojemu jeńcowi, a szok powoli ustępował miejsca euforii. Ależ będzie miał do opowiadania! Żonie na pewno się spodoba.

Chciał opowiedzieć też swojej córeczce, ale będzie musiał poczekać jeszcze kilka lat. Och, i Stanowi, i sąsiadom, którzy...

Anderson zorientował się, że zapomniał przeczytać mu jego prawa. Nie miał ochoty schrzanić aresztowania przez głupi błąd formalny. Znalazł w portfelu kartkę i odczytał

sztywno przepisowe słowa.

Morderca odburknął, że zrozumiał.

- Wszystko w porządku, detektywie? - zawołał męski głos. - Potrzebuje pan pomocy?

Anderson obejrzał się przez ramię. Był to biznesmen, którego wcześniej widział pod zadaszeniem. Jego ciemny, drogi garnitur był wilgotny od deszczu.

- Mam telefon komórkowy. Chce pan skorzystać?

- Nie, nie, wszystko jest pod kontrolą. - Anderson odwrócił się z powrotem do zatrzymanego. Schował pistolet do kabury i wyciągnął swoją komórkę, żeby złożyć meldunek centrali. Wcisnął przycisk powtórnego wybierania, ale nie mógł się połączyć. Spojrzawszy na wyświetlacz, przeczytał komunikat BRAK SYGNAŁU.

Dziwne. Dlaczego...

W jednej chwili - chwili panicznego przerażenia - zdał sobie sprawę, że żaden gliniarz na świecie nie pozwoliłby, żeby podczas aresztowania za jego plecami znalazł się jakiś niezidentyfikowany cywil. Sięgnął do kabury i zaczął się odwracać, lecz w tym samej sekundzie biznesmen złapał go za ramię, a detektyw poczuł w plecach eksplozję bólu.

Anderson krzyknął i osunął się na kolana. Mężczyzna dźgnął go jeszcze raz własnym nożem Ka-bar.

- Nie, błagam, nie...

Mężczyzna odebrał Andersonowi broń i kopnął go, przewracając na mokry chodnik.

Potem podszedł do młodego człowieka, którego Anderson przed chwilą skuł. Obrócił

go na bok i popatrzył.

- Rany, ale się cieszę, że tu jesteś - powiedział mężczyzna w kajdankach. - Gość wyskoczył nie wiadomo skąd i myślałem, że już koniec ze mną. Zdejmij mi to, dobra?

- Cii - rzekł biznesmen i odwrócił się z powrotem do detektywa, który usiłował

dotknąć źródła palącego bólu. Gdyby tylko mógł sięgnąć do tego miejsca na plecach, straszliwa męczarnia na pewno by ustała.

Napastnik kucnął obok niego.

- To ty - szepnął do biznesmena Anderson. - Ty zabiłeś Larę Gibson. - Jego wzrok przesunął się na człowieka w kajdankach. - A ten to Fowler.

Mężczyzna skinął głową.

- Zgadza się. - Potem dorzucił: - A ty jesteś Andy Anderson. - W jego głosie zabrzmiała nuta prawdziwego podziwu. - Nie sądziłem, że właśnie ty będziesz mnie ścigał.

Jasne, wiedziałem, że pracujesz w wydziale przestępstw komputerowych i będziesz prowadził dochodzenie w sprawie Gibson. Ale nie tu, nie w terenie. Niesamowite... Andy Anderson.

Prawdziwy czarodziej.

- Błagam... mam rodzinę! Błagam. Wtedy morderca zrobił coś dziwnego.

Trzymając w jednej dłoni nóż, drugą dotknął brzucha policjanta. Potem przesunął

palce po klatce piersiowej detektywa, licząc żebra, pod którymi w szaleńczym rytmie tłukło się serce.

- Błagam - powtórzył Anderson.

Morderca znieruchomiał, po czym nachylił się do ucha Andersona. - Nigdy nie poznasz nikogo tak dobrze jak w takiej chwili - szepnął i kontynuował upiorne badanie jego piersi.

Demony

Haker nowej generacji; nie należał do trzeciego pokolenia tych, których natchnieniem było niewinne oczarowanie... ale do czwartego pokolenia, pozbawionego prawa głosu, którym powoduje tylko gniew.

Jonathan Littman „The Watchman”

Rozdział

00001010/dziesiąty

O trzynastej do wydziału przestępstw komputerowych wszedł wysoki mężczyzna w szarym garniturze.

Towarzyszyła mu krępa kobieta ubrana w oliwkowozielone spodnie. Eskortowało ich dwóch funkcjonariuszy stanowej w wilgotnych od deszczu mundurach i z ponurymi minami. Wszyscy skierowali się do boksu Stephena Millera.

- Steve? - powiedział wysoki mężczyzna. Miller wstał, przyglądając dłonią rzadkie włosy.

- Witam, kapitanie Bernstein - rzekł.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwał się kapitan tonem, który Wyatt Gillette natychmiast rozpoznał jako zwiastujący tragiczną wiadomość. Spojrzał także na Lindę Sanchez i Tony'ego Motta, którzy podeszli bliżej. - Chciałem przekazać to wam osobiście. W

Parku Millikena właśnie znaleźliśmy zwłoki Andy'ego Andersona. Wygląda na to, że zabił go ten sam człowiek, który zamordował Larę Gibson.

- Och - wykrztusiła Sanchez, zasłaniając usta ręką. Zaczęła płakać. - Nie, tylko nie Andy... Nie!

Twarz Motta pociemniała. Wymamrotał coś, czego Gillette nie usłyszał.

Patricia Nolan przez ostatnie pół godziny dyskutowała z Gillette'em, zastanawiając się, jakiego programu mógł użyć morderca, by dostać się do komputera Lary Gibson. W

trakcie rozmowy otworzyła torebkę, wyciągnęła małą buteleczkę i przystąpiła do niezbyt stosownej czynności lakierowania paznokci. Teraz pędzelek zawisł bezwładnie w jej palcach.

- Boże jedyny.

Stephen Miller przymknął na moment oczy.

- Jak to się stało? - spytał drżącym głosem.

Otworzyły się drzwi, przez które wpadli Frank Bishop i Bob Shelton.

- Słyszeliśmy - rzekł krótko Shelton. - Wróciliśmy jak najszybciej. To prawda?

Zszokowane miny wszystkich nie pozostawiły im żadnych złudzeń.

- Rozmawialiście z jego żoną? - zapytała przez łzy Sanchez. - Boże, on ma małą córeczkę, Connie. Ma dopiero pięć czy sześć lat. - Komendant i psycholog już do nich jadą.

- Jak to się stało, do diabła? - powtórzył Miller.

- Wiemy dość dobrze - rzekł kapitan Bernstein. - Mamy świadka - kobietę, która spacerowała z psem. Andy zatrzymał chyba właśnie niejakiego Petera Fowlera.

- Zgadza się - powiedział Shelton. - To dealer, który naszym zdaniem dostarczył broń mordercy.

- Wygląda jednak na to - ciągnął Bernstein - że Andy wziął Fowlera za mordercę.

Blondyn ubrany w kurtkę dzinsową. Włókna znalezione na ciele Lary Gibson musiały się przykleić do noża, który zabójca kupił od Fowlera. W każdym razie kiedy Andy zakuwał

Fowlera w kajdanki, zjawił się za nim jakiś biały mężczyzna. Pod trzydziestkę, ciemnowłosey, w granatowym garniturze i z teczką. Dźgnął Andy'ego w plecy. Kobieta pobiegła wezwać pomoc i tylko tyle widziała. Morderca zadźgał też Fowlera.

- Dlaczego Andy nie wezwał wsparcia? - zapytał Mott. Bernstein zmarszczył brwi.

- Właśnie to jest bardzo dziwne - sprawdziliśmy jego komórkę i ostatnim numerem, jaki wybierał, był numer centrali. Rozmowa trwała całe trzy minuty. W centrali nie ma jednak śladu po tym zgłoszeniu, nie rozmawiał z nim żaden z dyżurnych. Nikt nie ma pojęcia, jak to możliwe.

- Prosta sprawa - odezwał się haker. - Włamał się do centrali.

- Pan jest Gillette - powiedział kapitan. Nie oczekiwał potwierdzenia; bransoletka na nodze rzuciła się w oczy. - Co to znaczy, że włamał się do centrali?

- Dostał się do komputera operatora telefonicznego i przełączył wszystkie wychodzące rozmowy Andy'ego pod własny numer. Prawdopodobnie udawał dyżurnego i powiedział mu, że radiowóz jest już w drodze. Potem odłączył telefon Andy'ego, żeby nie mógł zadzwonić nigdzie indziej po pomoc.

Kapitan wolno pokiwał głową.

- On to wszystko zrobił? Chryste, z kim my mamy do czynienia? - Z najlepszym socjotechnikiem, o jakim słyszałem - powiedział Gillette.

- Niech to szlag! - wrzasnął na niego Shelton. - Mógłbyś sobie darować ten pieprzony żargon komputerowy?

Frank Bishop dotknął ręki partnera i zwrócił się do kapitana: - To moja wina.

- Twoja wina? Co masz na myśli? - spytał szczupłego detektywa Bernstein.

Bishop odwrócił wzrok od Gillette'a i wbił w podłogę. - Andy był typem gliniarza pracującego za biurkiem. Nie miał dobrego przygotowania do akcji.

- Przecież był wyszkolonym detektywem - rzekł kapitan.

- Szkolenie to coś zupełnie innego niż prawdziwe zatrzymanie na ulicy. - Bishop uniósł głowę. - Moim zdaniem, panie kapitanie.

Kobieta towarzysząca Bernsteinowi poruszyła się. Kapitan zerknął na nią, a potem oznajmił:

- To detektyw Susan Wilkins z wydziału zabójstw w Oakland. Przejmie sprawę. W

centrali w San José pracuje już jej oddział specjalny - grupa z kryminalistycznego i dochodzeniowa.

Zwracając się do Bishopa, kapitan powiedział:

- Frank, zgodziłem się na twoją prośbę w sprawie MARIN. Mamy zgłoszenie, że sprawców widziano godzinę temu niedaleko sklepiku dziesięć mil na południe od Walnut Creek. Zdaje się, że kierują się w tę stronę. - Spojrzał na Millera. - Steve, przejmiesz zadanie Andy'ego, stronę komputerową sprawy. Będziesz pracował z Susan.

- Oczywiście, kapitanie. Może pan być spokojny. Kapitan zwrócił się do Patricii Nolan.

- Pani jest tą osobą, w której sprawie rozmawiał z nami komendant, prawda?

Konsultantem do spraw bezpieczeństwa z firmy komputerowej? Horizon On-Line?

Skinęła głową.

- Pytali, czy nie zostałaby pani w zespole.

-Pytali?

- Ci na górze, z Sacramento.

- Ach. Oczywiście, bardzo chętnie.

Gillette nie zasłużył na to, by szef zwrócił się bezpośrednio do niego. Kapitan powiedział tylko do Millera:

- Funkcjonariusze zabiorą więźnia z powrotem do San Jose.

- Zaraz - zaprotestował Gillette. - Proszę mnie nie odsyłać. - Co?

- Potrzebujecie mnie. Muszę...

Kapitan zbył go ruchem ręki i zwrócił się do Susan Wilkins, wskazując tablicę i omawiając szczegóły sprawy.

- Panie kapitanie - zawołał Gillette. - Nie może mnie pan odesłać.

- Potrzebujemy jego pomocy - oświadczyła stanowczo Patricia Nolan.

Lecz kapitan zerknął na dwóch wysokich funkcjonariuszy, którzy mu towarzyszyli.

Policjanci zakuli Gillette'a w kajdanki i wzięli go między siebie - jakby to on był mordercą - po czym ruszyli do wyjścia.

- Nie - zaprotestował Gillette. - Nie wiecie, jaki jest niebezpieczny!

Zyskał tylko tyle, że kapitan posłał mu jeszcze jedno spojrzenie. Funkcjonariusze szybko doprowadzili go do drzwi. Gillette zaczął prosić o interwencję Bishopa, ale detektyw błędził myślami gdzie indziej, prawdopodobnie wokół sprawy MARIN. Patrzył nieobecny wzrokiem w podłogę.

- Dobrze - Gillette usłyszał detektyw Susan Wilkins, która zwróciła się do Millera, Sanchez i Motta. - Przykro mi z powodu tego, co się stało z waszym szefem, ale też coś podobnego przeżyłam i przypuszczam, że wy również, więc z pewnością wiecie, że najlepszy sposób okazania, że wam na nim zależy, to ująć sprawcę, i tego właśnie dokonamy.

Przypuszczam, że mamy podobne opinie na temat metody. Mogę przyspieszyć prace nad zabezpieczaniem i identyfikacją śladów, zamierzam też wprowadzić proaktywny plan działania. Według wstępnego raportu detektyw Anderson - podobnie jak osobnik o nazwisku Fowler - zostali zaatakowani nożem. Przyczyną śmierci był uraz serca. Obaj...

- Zaraz! - wrzasnął Gillette, kiedy już stał z eskortą na progu.

Wilkins urwała. Bernstein dał policjantom znak, żeby wyprowadzili więźnia, lecz Gillette zapytał prędko:

- A Lara Gibson? Też została pchnięta nożem w pierś?

- Jakie to ma znaczenie? - odpowiedział pytaniem Bernstein.

- Została? - powtórzył z uporem Gillette. - A ofiary innych zabójstw - w Portland i Wirginii?

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Bob Shelton rzucił okiem na raport o zabójstwie Lary Gibson.

- Przyczyną śmierci była rana kłuta...

- I uszkodzenie serca, zgadza się? - dokończył Gillette.

Shelton spojrział na partnera, potem na Bernsteina. Skinął głową.

- O Oregonie i Wirginii nic nie wiemy - przypomniał im Tony Mott. - Sprawca usunął dane.

- Na pewno to samo - rzekł Gillette. - Głowę daję.

- Skąd wiesz? - spytał Shelton.

- Bo już znam jego motyw.

- Jaki? - zapytał krótko Bernstein. - Dostęp.

- Co to znaczy? - mruknął zaczepnie Shelton. - Najważniejszy cel wszystkich hakerów

- wyjaśniła Patricia Nolan. - Dostęp do informacji, tajemnic, danych.

- Dla każdego, kto hakuje, Bóg to dostęp - dodał Gillette.

- Co to ma wspólnego z tymi morderstwami?

- Morderca jest MUD-owcem.

- Jasne - odezwał się Tony Mott. - Znam MUD-owców. Miller chyba też ich znał.

Kiwał głową.

- To też akronim - powiedział Gillette. - MUD oznacza lochy wielodostępne albo domenę wielodostępną. Kilka specjalnych pokojów rozmów - miejsc w Internecie, gdzie ludzie logują się, żeby uczestniczyć w grach fabularnych, które polegają na graniu ról. To mogą być gry przygodowe, wyprawy rycerskie, science fiction, wojenne. W MUD-zie grają bardzo porządni ludzie - biznesmeni, cybermaniacy, mnóstwo studentów, profesorowie. Ale trzy czy cztery lata temu spore kontrowersje wzbudziła gra „Dostęp”.

- Słyszałem o niej - rzekł Miller. - Wielu dostawców Internetu odmówiło udziału w jej prowadzeniu.

Gillette skinął głową.

- Rozgrywała się w wirtualnym mieście zamieszkanym przez postacie, które prowadziły normalne życie - chodziły do pracy, umawiały się na randki, wychowywały dzieci i tak dalej. Ale w rocznicę śmierci jakiejś sławy - na przykład w rocznicę zamachu na Johna Kennedy'ego albo zastrzelenia Lennona, albo w WielkiPiątek - generator liczb losowych wybierał spośród graczy mordercę. W ciągu tygodnia wybrany zabójca miał osaczyć i zabić jak największą liczbę ludzi.

- Na ofiarę mógł wybrać każdego, ale im człowiek był trudniej dostępny, tym więcej zdobywało się punktów. Polityk z ochroniarzem był wart dziesięć punktów. Uzbrojony policjant piętnaście. Był tylko jeden wymóg - morderca musiał podejść tak blisko ofiary, żeby mógł wbić jej nóż w serce. To był najwyższy stopień dostępu.

- Jezu, to wypisz wymaluj nasz sprawca - powiedział Tony Mott. - Nóż, rany klute klatki piersiowej, daty rocznic, ściganie ludzi, których trudno zabić. Wygrał w Portland i Wirginii. I przyjechał grać w Dolinie Krzemowej. Na poziomie mistrzowskim - dodał

cynicznie młody policjant.

- Poziomie? - spytał Bishop.

- W grach komputerowych - wyjaśnił Gillette - przechodzi się w górę od najniższego poziomu, dla początkujących, do najtrudniejszego - mistrzowskiego.

- A więc dla niego to tylko jakaś pieprzona gra? - zapytał Shelton. - Trochę trudno w to uwierzyć.

- Nie - odezwała się Patricia Nolan. - Obawiam się, że bardzo łatwo w to uwierzyć.

Zdaniem wydziału badań behawioralnych FBI w Quantico hakerzy kryminaliści to nałogowi przestępcy ciągle poszukujący nowych wrażeń. Podobnie jak powodowani żądzą seryjni mordercy. Tak jak powiedział Wyatt, traktują dostęp jak Boga. Facet spędził w Świecie Maszyn tyle czasu, że prawdopodobnie przestał dostrzegać różnicę między cyfrową postacią i istotą ludzką. - Zerknąwszy na białą tablicę, Nolan ciągnęła: - Powiedziałabym nawet, że maszyny stały się dla niego ważniejsze od ludzi. Śmierć człowieka to pestka; zniszczenie twardego dysku to dopiero tragedia.

Bernstein kiwał głową.

- To ważna informacja. Weźmiemy ją pod uwagę. - Skinął na Gillette'a. - Ale mimo to musisz wrócić do więzienia.

- Nie! - krzyknął haker.

- Posłuchaj, ściągając więźnia federalnego na podstawie nakazu wystawionego na fałszywe nazwisko, naraziliśmy się już na grube kłopoty. Andy chętnie wziął na siebie ryzyko. Ja nie mam na to ochoty. Koniec i kropka.

Dał znak umundurowanym policjantom, którzy wyprowadzili hakera z zagrody dinozaura. Gillette miał wrażenie, że tym razem chwycili go mocniej - jak gdyby wyczuli jego rozpacz i przemożną chęć ucieczki. Nolan westchnęła i kręcąc głową, posłała Gillette'owi smutny uśmiech na pożegnanie.

Detektyw Susan Wilkins podjęła przerwany monolog, lecz jej głos cichł, w miarę jak Gillette oddalał się od głównego biura. Wyszli na zewnątrz, gdzie wciąż siąpił deszcz. Jeden z policjantów powiedział:

- Przykro nam, stary. - Gillette nie wiedział, czy dotyczyło to sprzeciwu Bernsteina wobec jego

prośby, czy braku parasola.

Popychając go lekko, policjant pomógł mu wsiąść do radiowozu, a potem zatrzasnął tylne drzwi.

Gillette zamknął oczy i oparł głowę o szybę. Słyszał głuchy odgłos kropli deszczu bębniących w dach.

Przepelniała go gorycz porażki.

Boże, jak był blisko...

Pomyślał o miesiącach spędzonych w więzieniu. O swoich szczegółowych planach.

Wszystko na marne. Wszystko... Drzwi samochodu się otworzyły.

Gillette ujrzał przykucniętego Franka Bishopa. Po twarzy ściekała mu woda, połyskiwała na bokobrodach i plamiła koszulę, za to jego lakierowane włosy okazały się zupełnie niewrażliwe na deszcz.

- Mam do pana pytanie. *Do pana?*

- O co chodzi? - spytał Gillette.

- O ten cały MUD. To nie bzdura?

- Nie. Morderca gra we własną odmianę gry - w rzeczywistości. - Ktoś w to jeszcze gra? Pytam o Internet.

- Wątpię. Prawdziwi MUD-owcy poczuli się obrażeni, sabotowali grę i spamowali uczestników, dopóki jej nie przerwali.

Detektyw spojrział przez ramię na rdzewiejący automat z napojami stojący przed wejściem do budynku CCU, po czym spytał:

- Ten gość tam, Stephen Miller - to średniak, nie? Po chwili zastanowienia Gillette powiedział:

- Jest z dawnej epoki.

- Z czego?

Określenie odnosiło się do lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych - epoki rewolucyjnych zmian w historii komputerów, zakończonej mniej więcej z chwilą pojawienia się na rynku PDP-10, komputera firmy Digital Equipment Corporation, który na zawsze odmienił oblicze Świata Maszyn. Gillette nie wyjaśnił jednak tego Bishopowi. Powiedział po prostu:

- Pewnie kiedyś był dobry, ale najlepsze czasy ma już za sobą. A w Dolinie Krzemowej znaczy to, że rzeczywiście, można go zaliczyć do średniaków.

- Rozumiem. - Bishop wyprostował się, spoglądając na sznur samochodów przemykający pobliską autostradą. Po chwili zwrócił się do policjantów: - Proszę zaprowadzić tego człowieka z powrotem do budynku.

Spojrzeli po sobie, a gdy Bishop potwierdził swoje słowa zdecydowanym skinieniem głowy, wyciągnęli Gillette'a z radiowożu.

Wracając do biura, Gillette usłyszał monotonne brzęczenie głosu Susan Wilkins, która wciąż mówiła:

-...współpracę z działem bezpieczeństwa w Mobile America i Pac Bell, jeśli zajdzie taka potrzeba, ustaliłam też kanały łączności z oddziałami antyterrorystycznymi. Moim zdaniem nasza sprawność wzrośnie o dziesięć procent, jeśli będziemy mieli łatwiejszy dostęp do środków działania, więc przeniesiemy wydział przestępstw komputerowych do centrali w San Jose. Domyślam się, że doskwiera wam brak obsługi administracyjnej - mówię o waszej sekretarce - w centrali będzie można temu zaradzić...

Zamilkła na widok Gillette'a, który zastanawiał się, co Bishop kombinuje.

Detektyw podszedł do Boba Sheltona, z którym szeptał przez chwilę. Na koniec rozmowy Bishop zapytał:

- Zgadzasz się ze mną?

Zwalisty policjant przyjrzał się Gillette'owi z pogardą, po czym niechętnie przytaknął, mamrocząc coś pod nosem.

Wilkins znów zaczęła mówić, tymczasem Bernstein zmarszczył brwi i podszedł do Bishopa, który rzekł:

- Chciałbym poprowadzić tę sprawę, panie kapitanie, i chcę, żeby pracował z nami Gillette.

- Przecież chciałeś sprawę MARIN.

- Owszem, chciałem. Ale zmieniłem zdanie.

- Wiem, co mówiłeś wcześniej, Frank. Ale śmierć Andy'ego to nie twoja wina.

Powinien znać własne możliwości. Nikt go nie zmuszał, żeby sam zatrzymywał tego człowieka.

- Nie obchodzi mnie, czy to moja wina, czy nie. Nie o to chodzi. Chodzi o przymknięcie niebezpiecznego bandyty, zanim znowu ktoś zginie.

Kapitan Bernstein zrozumiał i zerknął na detektyw Wilkins.

- Susan prowadziła już sprawy poważnych zabójstw. Jest niezła.

- Wiem, panie kapitanie. Pracowaliśmy już razem. Ale Susan to żywy podręcznik.

Nigdy nie działała w okopach tak jak ja. To ja powinienem poprowadzić sprawę. Problem jednak w tym, że tu gra toczy się w zupełnie innej lidze niż nasza. Potrzebujemy kogoś naprawdę bystrego. - Szttywna fryzura kiwnęła w stronę Gillette'a. - Wydaje mi się, że ten jest równie dobry jak morderca.

- Zapewne - mruknął Bernstein. - Ale to nie moje zmartwienie.

- Wezmę na siebie cały ogień, panie kapitanie. Jeśli coś pójdzie nie tak, tylko ja będę odpowiadał. Nikomu innemu za to włos z głowy nie spadnie.

Podeszła do nich Patricia Nolan i powiedziała:

- Kapitanie, żeby powstrzymać tego człowieka, nie wystarczy zdjąć odciski palców i przesłuchać świadków.

Shelton westchnął.

- Witaj, pieprzone nowe milenium.

Bernstein niechętnie skinął głową.

- Dobra, masz tę sprawę - powiedział do Bishopa. - Dostaniesz pełne wsparcie operacyjne i kryminalistyczne. Wybierz sobie kogoś do pomocy z wydziału zabójstw w San Jose.

- Huerta Ramireza i Tima Morgana - odrzekł bez wahania Bishop. - Będę panu wdzięczny, kapitanie, jeżeli przyjadą jak najszybciej. Chcę zrobić odprawę.

Kapitan zadzwonił do centrali, żeby wezwać detektywów. Po chwili odłożył

słuchawkę. - Już jadą.

Następnie Bernstein zakomunikował złą nowinę Susan Wilkins, która zaraz wyszła, bardziej zdumiona niż zła z powodu nieoczekiwanego odebrania jej nowej sprawy.

- Chcesz przenieść operację do centrali? - zapytał Bishopa Bernstein.

- Nie, panie kapitanie, zostaniemy tutaj - odparł detektyw, wskazując rząd monitorów.

- Mam wrażenie, że większość pracy wykonamy na tym.

- Cóż, powodzenia, Frank.

- Możecie mu zdjąć kajdanki - powiedział Bishop do policjantów, którzy mieli zabrać Gillette'a z powrotem do San Ho.

Jeden z nich rozkuł hakera, po czym wskazał bransoletkę na jego nodze.

-A to?

- Nie - rzekł Bishop z zupełnie nietypowym dla siebie uśmiechem. - Lepiej niech to nosi.

Niedługo potem do zespołu w CCU dołączyło dwóch ludzi: smagły Latynos, wyjątkowo barczysty i muskularny, jak modelowy okaz z klubu fitness, oraz wysoki detektyw o rudoblond włosach, ubrany w elegancki garnitur z marynarką na cztery guziki, ciemną koszulę i ciemny krawat. Bishop przedstawił ich - byli to detektywi z centrali, Huerto Ramirez i Tim Morgan.

- Chciałbym na początek powiedzieć kilka słów - rzekł Bishop, wpychając niesforną połę koszuli do spodni i stając przed całym zespołem. Spojrzał po twarzach wszystkich, przez moment przyciągając ich wzrok. - Facet, którego ścigamy, jest gotów zabić każdego, kto mu stanie na drodze, choćby policjantów czy niewinnych ludzi. Jest ekspertem od socjotechniki. -

Zerknął na nowo przybyłych, Ramireza i Morgana. - Co w skrócie oznacza udawanie kogoś innego i odwracanie uwagi. Ważne, żebyście cały czas przypominali sobie, co już o nim wiemy.

- Mamy chyba dość informacji - ciągnął swój monolog Bishop cichym, lecz pewnym głosem - żeby określić jego wiek na dwadzieścia kilka, trzydzieści lat. Średnia budowa ciała, włosy być może blond, ale prawdopodobnie ciemne, gładko ogolony, ale czasem przykleja sobie sztuczny zarost. Ulubionym narzędziem zbrodni jest nóż Ka-bar, którym zadaje ofiarom śmiertelny cios w klatkę piersiową, podchodząc jak najbliżej. Potrafi włamać się do centrali telefonicznej i przerwać albo przełączyć rozmowy. Ten haker... - spojrzał na Gillette'a -

przepraszam, cracker, potrafi włamać się do komputerów policyjnych i zniszczyć zapisane w nich dane. Lubi wyzwania, traktuje zabijanie jak grę. Spędził sporo czasu na wschodnim wybrzeżu, a teraz jest gdzieś w Dolinie Krzemowej, ale nie wiemy gdzie dokładnie. W

przebrania zaopatruje się prawdopodobnie w sklepie z rekwizytami teatralnymi przy Camino Real w Mountain View. Jest socjopatą, seryjnym mordercą, który stracił kontakt z rzeczywistością i traktuje to, co robi, jak jedną wielką grę komputerową.

Gillette przyglądał się detektywowi zaskoczony. Wymieniając wszystkie informacje, Bishop stał plecami do białej tablicy. Haker zorientował się, że źle ocenił tego człowieka.

Zdawało mu się, że detektyw patrzy nieobecny wzrokiem w okno, tymczasem on bez przerwy chłonał wszystkie szczegóły.

Bishop pochylił głowę, lecz wciąż na nich patrzył.

- Nie zamierzam stracić nikogo więcej z zespołu. Pilnujcie się więc i nie ufajcie nikomu - nawet ludziom, których, jak się wam wydaje, dobrze znacie. Opierajcie się na założeniu: nic nie jest tym, na co wygląda.

Gillette przyłapał się na tym, że kiwa głową razem ze wszystkimi.

- Ofiary... Wiemy, że wybiera ludzi, do których trudno się zbliżyć. Ludzi, którzy mają ochronę albo systemy zabezpieczeń. Im trudniej, tym lepiej. Musimy o tym pamiętać, próbując przewidzieć jego kolejny ruch. W śledztwie będziemy się trzymać ogólnego planu.

Huerto i Tim, obaj pojedziecie do Pało Alto sprawdzić miejsce, gdzie zabił Andersona.

Przesłuchacie wszystkich, których znajdziecie w Parku Millikena i w okolicach. Bob i ja nie mieliśmy jeszcze okazji rozmawiać ze świadkiem, który być może widział samochód mordercy pod restauracją, gdzie zginęła Lara Gibson. I tym się teraz zajmiemy. Wyatt, poprowadzisz komputerową stronę śledztwa.

Gillette pokręcił głową, niezupełnie pewien, czy dobrze rozumiał.

- Słucham?

- Poprowadzisz komputerową stronę śledztwa - powtórzył Bishop. Stephen Miller milczał, ale utkwivszy chłodne spojrzenie w hakerze, dalej bezcelowo porządkował sterty dyskietek i papierów na biurku.

- Czy powinniśmy zakładać, że podsłuchuje nasze telefony? - zapytał Bishop. -

Przecież dzięki temu zabił Andersona.

- Przypuszczam, że istnieje takie ryzyko - odpowiedziała Patricia Nolan. - Ale żeby uzyskać numery naszych komórek, musiałby monitorować setki częstotliwości.

- Zgadzam się - rzekł Gillette. - I nawet gdyby włamać się do centrali, musiałby siedzieć cały dzień ze słuchawkami na uszach, słuchając naszych rozmów. Chyba jednak nie ma na to czasu. W parku był blisko Andy'ego. Dlatego udało mu się ustalić jego częstotliwość.

Poza tym, jak się okazało, niewiele mogli zrobić, by zmniejszyć ryzyko. Miller wyjaśnił, że mimo iż CCU miał szyfrator, urządzenie działało tylko wtedy, gdy rozmówca z drugiej strony też miał szyfrator.

- A bezpieczne telefony komórkowe... - mówił Miller - każdy kosztuje pięć tysięcy dolarów.

Nie powiedział nic więcej, co miało zapewne znaczyć, że na takie zabawki CCU nigdy nie będzie stać.

Bishop wysłał Ramireza i Tima Morgana, gliniarza jak ze zdjęć w „GQ”, do Pało Alto. Po wyjściu obu policjantów Bishop zapytał Gillette'a:

- Mówiłeś Andy'emu, że mógłbyś dowiedzieć się czegoś więcej o tym, jak morderca dostał się do komputera Lary Gibson, nie?

- Zgadza się. To, co robi ten facet, na pewno wywołało spory szum w podziemiu hakerów. Muszę więc wejść do Sieci i...

Bishop wskazał jedno ze stanowisk komputerowych.

- To rób, co trzeba, i za pół godziny złóż meldunek.

- Tak po prostu? - zdziwił się Gillette.

- Lepiej się pospiesz. Masz dwadzieścia minut.

- Hm. - Stephen Miller poruszył się.

- O co chodzi? - zapytał detektyw.

Gillette spodziewał się, że cyberglina wygłosi jakiś komentarz na temat swojej degradacji, ale usłyszał coś innego.

- Chodzi o to, że Andy mówił, żeby pod żadnym pozorem nie pracował online. Dostał też sądowy zakaz. To część jego wyroku.

- Wszystko to prawda - rzekł Bishop, zerkając na tablicę. - Ale Andy nie żyje, a sąd nie prowadzi tej sprawy. Tylko ja. - Spojrzał przez ramię na Gillette'a z lekkim zniecierpliwieniem. - Będę ci wdzięczny, jeśli się weźmiesz do roboty.

Rozdział

00001011/jedenasty

Wyatt Gillette usadowił się na krześle. Zajął miejsce w boksie z terminalem położonym w głębi biura, z dala od pozostałych członków zespołu, gdzie było ciemno i cicho.

Wpatrując się w migający na ekranie monitora kursor, przysunął sobie bliżej krzesło i otarł dłonie o nogawki spodni. Po chwili jego palce o zgrubiałych opuszkach zaczęły w szalonym tempie bębnić w czarną klawiaturę. Gillette ani na moment nie odrywał oczu od ekranu. Doskonale znał układ klawiszy i potrafił pisać bezbłędnie z szybkością stu dziesięciu słów na minutę. Kiedy wiele lat temu zaczynał hakować, doszedł do wniosku, że pisanie ośmioma palcami jest zbyt wolne, więc nauczył się nowej techniki, w której posługiwał się także kciukami, nie ograniczając ich roli tylko do wciskania spacji.

Choć był raczej wątki, mięśnie przedramion i palców miał twarde jak skała; w więzieniu, gdzie większość skazańców godzinami podnosiła żelazne ciężarki, Gillette ćwiczył

tylko pompki na opuszkach palców, żeby utrzymać w formie najpotrzebniejsze do swojej pasji mięśnie. Teraz tłukł w plastikową klawiaturę, przygotowując się do pracy online.

Większą część dzisiejszego Internetu stanowi połączenie supermarketu, „USA Today”, kina-multipleksu i parku rozrywki. W przeglądarkach i wyszukiwarkach pełno jest postaci z kreskówek i ślicznych obrazków (i mnóstwo przeklętych reklam). Technikę klikania myszką może opanować

trzylatek. W każdym nowym okienku czeka nieskomplikowane menu pomocy. Tak wygląda Internet w ładnym opakowaniu dla klienteli, w błyszczących witrynach stron WWW.

Ale rzeczywisty Internet - Internet prawdziwego hakera ukrywający się za fasadą WWW - to dzika i niebezpieczna przestrzeń, w której hakerzy, używając skomplikowanych poleceń oraz programów telnetowych i komunikacyjnych odartych z wszelkich ozdób jak samochody wyścigowe, pędzą po świecie z szybkością światła.

Właśnie tam wybierał się Wyatt Gillette.

Wcześniej jednak należało dokonać pewnych przygotowań. Czarodziej z baśni nigdy nie wyruszał na wyprawę bez magicznych różdżek, księgi zaklęć i cudownych eliksirów; komputerowi czarodzieje muszą postępować tak samo.

Jedną z pierwszych umiejętności, których musi nauczyć się haker, jest sztuka ukrywania programów. Ponieważ trzeba zakładać, że wrogi haker, nie mówiąc o policji lub FBI, może kiedyś przejąć lub zniszczyć twój komputer, nie można zostawiać kopii swoich narzędzi na własnym twardym dysku ani w domu na dyskietkach.

Należy je ukryć w jakimś dalekim komputerze, z którym twoja maszyna nie ma łącza.

Większość hakerów robi sobie skrytkę w komputerach uniwersyteckich, których zabezpieczenia pozostawiają wiele do życzenia. Jednak Gillette pracował nad swoimi narzędziami długie lata, w wielu wypadkach pisząc kod od zera, a także modyfikując istniejące programy na własne potrzeby. Strata tego dzieła byłaby dla niego tragedią, a dla wielu użytkowników komputerów na świecie prawdziwym piekłem, ponieważ programy Gillette'a mogłyby pomóc nawet przeciętnie uzdolnionemu hakerowi włamać się do każdego urzędu czy firmy.

Urządził więc sobie schowek w nieco bezpieczniejszym miejscu niż wydział

przetwarzania danych w Dartmouth lub na Uniwersytecie Tulsa. Obejrzawszy się za siebie, by sprawdzić, czy nikt nie „surfuje mu przez ramię” - stojąc za jego plecami i czytając z ekranu - wstukał polecenie, które połączyło komputer CCU z inną maszyną oddaloną o kilka stanów. Po kilku chwilach na monitorze pojawił się komunikat: **Witamy w Centrum Badań nad Bronią Jądrową Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Los Alamos**

***Nazwa użytkownika?**

W odpowiedzi wstukał „Jarmstrong”. Ojciec Gillette'a nazywał się John Armstrong Gillette. Na ogół uważano, że haker nie powinien wybierać ksywki ani nazwy użytkownika, która ma związek z jego prawdziwym życiem, ale pozwolił sobie na to małe ludzkie ustępstwo.

Komputer zapytał:

***Hasło?**

Wpisał „4%xTtflk5\$\$\$60%4Q” - hasło, w przeciwieństwie do nazwy użytkownika, czysto hakerskie. Zapamiętanie takiego ciągu znaków było prawdziwą męczarnią (część jego codziennej gimnastyki w więzieniu polegała na przypominaniu sobie dwudziestu paru równie długich ciągów), lecz nikt na pewno nie potrafiłby odgadnąć hasła tego rodzaju, a ponieważ liczyło siedemnaście znaków, nawet superkomputer musiałby je łamać przez wiele tygodni.

Zwykłemu pecetowi wyrzucenie tak skomplikowanego ciągu zajęłoby kilkaset lat.

Kursor mignął, po czym ekran drgnął i wyświetlił:

Witamy, kapitanie J. Armstrong

W ciągu trzech minut ściągnął kilka plików z konta fikcyjnego kapitana Armstronga.

W swoim arsenale miał słynny program SATAN (narzędzie administratora do analizowania zabezpieczeń sieci, z którego korzystali i sysadmini, i hakerzy, „opukując” sieci komputerowe), kilka programów deszyfrujących i wprowadzających, dzięki którym mógł

przejąć root w maszynach i sieciach różnych typów; przerobioną na własne potrzeby przeglądarkę stron WWW i grup dyskusyjnych; program maskujący, który pozwalał mu ukryć swoją obecność w czyimś komputerze, a także usunąć ślady działań po wylogowaniu; sniffery, które „węszyły” w poszukiwaniu nazw użytkowników, haseł i innych cennych informacji w Sieci lub czyimś komputerze; program komunikacyjny przesyłający do niego dane, programy szyfrujące oraz listy stron hakerskich i serwisów komercyjnych, które zapewniały mu anonimowość, „piorąc” e-maile i wiadomości, by odbiorca nie mógł

namierzyć Gillette’a.

Ostatnim narzędziem, jakie ściągnął, był program napisany kilka lat temu, HyperTrace, dzięki któremu mógł śledzić w Sieci innych użytkowników.

Po załadowaniu narzędzi na dysk o dużej pojemności Gillette wylogował się z serwera Los Alamos. Znieruchomiał na moment, rozprostował palce, a potem pochylił się nad monitorem. Wałąc w klawisze z finezją zapaśnika sumo, Gillette wszedł do Sieci. Rozpoczął

poszukiwania od MUD - ze względu na motyw mordercy, który prawdopodobnie odgrywał w Realu prawdziwą wersję gry Dostęp. Żadna z osób, które wypytywał, nigdy nie grała w Dostęp i nie znała żadnego gracza - tak przynajmniej twierdzili. Mimo to Gillette opuścił

MUD z kilkoma tropami.

Następnie przeniósł się do Światowej Pajęczyny, o której wszyscy mówią, ale którą niewielu potrafi zdefiniować. Strony WWW to po prostu międzynarodowa sieć komputerów, do których dostęp umożliwiają specjalne protokoły. Użytkownicy mogą dzięki nim oglądać grafikę, słuchać dźwięków i poruszać się po całej witrynie, a także przeskakiwać do innych witryn, klikając na pewne miejsca na ekranie - hiperłącza. Zanim pojawiła się Światowa Pajęczyna, większość informacji w Sieci miała

Po wyjściu z IRC Gillette zaczął przeszukiwać BBS-y, komputerowe tablice ogłoszeń, które przypominają strony WWW, ale dostęp do nich kosztuje tylko tyle, co lokalna rozmowa telefoniczna - i odbywa się bez pośrednictwa dostawcy usług internetowych. Wiele z nich było legalnych, lecz pod nazwami takimi jak Śmiertelny Hak lub Ciche Źródło kryły się najciemniejsze miejsca w cyberswiecie, których nikt nie kontrolował i nie monitorował.

Można tam było zdobyć instrukcję, jak zbudować bombę, przepis na trujące gazy i zabójczy wirus, który mógłby wymazać twarde dyski połowy ludności świata. Gillette tropił, zatracając się w stronach WWW, listach dyskusyjnych, pokojach rozmów i archiwach. Polował...

Podobnie postępują adwokaci, przerzucając przysypane kurzem akta w poszukiwaniu jednej jedynej sprawy podobnej do tej, którą właśnie prowadzą, która pomoże ocalić ich klienta przed egzekucją; myśliwi, sunący ostrożnie przez trawę, gdzie - jak im się wydawało -

słyszeli pomruk niedźwiedzia; kochankowie szukający w zapamiętaniu najwrażliwszego punktu rozkoszy...

Tyle że polowanie w Błękitnej Pustce w niczym nie przypomina poszukiwań w starych papierach w bibliotece, w polu wysokiej trawy czy na gładkim cieple partnera; to łowy w całym wciąż rozszerzającym się wszechświecie, gdzie istnieją znane światy wraz ze swymi nieodkrytymi tajemnicami, a obok nich światy dawne i światy, które dopiero, powstaną.

Nieskończoność.

Trzask.

Znów uszkodził klawisz - tym razem bardzo ważne E. Gillette cisnął klawiaturę w kąt, na jej zepsuta wcześniej koleżankę. Podłączył nową i wrócił do pracy.

O czternastej trzydzieści Gillette wynurzył się z boksu. Od nieruchomego siedzenia w miejscu miał sztywne i okropnie obolałe plecy. Mimo to po krótkim pobycie w Sieci czuł

radosne ożywienie i bardzo niechętnie odszedł od komputera.

W głównym biurze CCU zastał Bishopa naradzającego się z Sheltonem; pozostali rozmawiali przez telefon lub stali przy tablicy, sprawdzając informacje. Bishop pierwszy zauważył Gillette'a i zamilkł.

- Coś znalazłem - powiedział haker, pokazując gruby plik wydruków.

- Mów.

- Daruj sobie tylko ten fachowy żargon i przejdź od razu do sedna - przypomniał mu Shelton.

- Sedno sprowadza się do osoby zwanej Phate - odrzekł Gillette. - Dlatego mamy poważny kłopot.

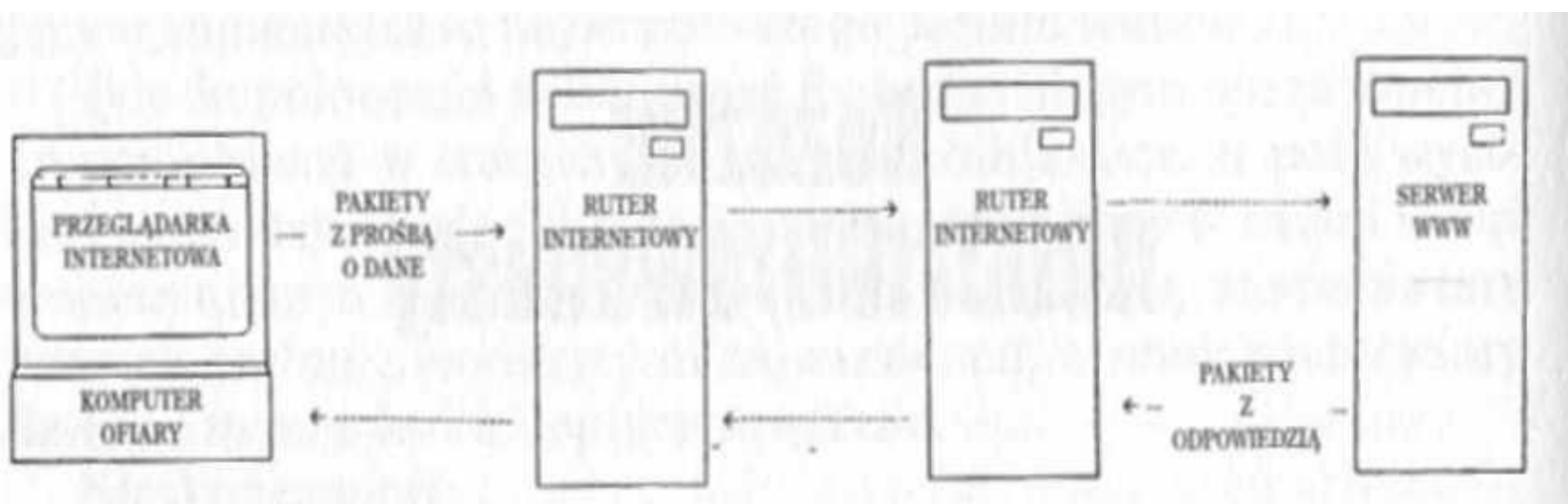
Rozdział

Fate? - zapytał Frank Bishop.

- To jego nazwa użytkownika - powiedział Gillette. - Imię z ekranu komputera. Ale pisze się „p-h-a-t-e”. Tak jak phishing, pamiętacie? W hakerskim stylu.

Wszystko sprowadza się do pisowni...

- Jak się nazywa naprawdę? - spytała Patricia Nolan.



- Nie wiem. Chyba nikt go bliżej nie zna - to samotnik - ale ludzie, którzy o nim słyszeli, są naprawdę przerażeni.

- Czarodziej? - spytał Stephen Miller. - Na pewno czarodziej.

- Dlaczego uważasz, że to on jest mordercą? - zapytał Bishop. Gillette przekartkował wydruki.

- Znalazłem coś takiego: Phate z przyjacielem, niejakim Shawnem, napisali program Trapdoor. Trapdoor, inaczej tylne drzwi albo zapadnia, w świecie komputerów oznacza furtkę wbudowaną w system zabezpieczeń, przez którą twórcy oprogramowania mogą wejść i usunąć usterki bez konieczności podawania kodu. Phate i Shawn wykorzystali tę samą nazwę dla swojego skryptu, ale to trochę inny program. Pozwala im wejść do każdego komputera.

- Zapadnia - powiedział w zamyśleniu Bishop. - Jak na szubienicy.

- Jak na szubienicy - powtórzył Gillette. - Jak działa ten program? - zapytała Patricia Nolan. Gillette już zamierzał wyjaśnić jej językiem wtajemniczonych, lecz zerknął na Bishopa i Sheltona.

Daruj sobie fachowy żargon.

Podszedł do jednej z niezapisanych białych tablic, narysował schemat i przystąpił do objaśnień.

- Informacja płynie przez Internet inaczej niż przez linię telefoniczną. Wszystko, co wysyła się online - e-mail, muzykę, ściągana z Sieci fotografię, grafikę ze strony WWW -

zostaje podzielone na małe fragmenty danych zwane pakietami. Kiedy przeglądarka prosi o coś witrynę WWW, wysyła do Internetu pakiety. Serwer po drugiej stronie z powrotem składa z nich prośbę, a potem wysyła do komputera nadawcy odpowiedź, również podzieloną na pakiety.

- Dlaczego się je dzieli? - zapytał Shelton.

- Żeby można było przesłać wiele różnych wiadomości w tym samym czasie tymi samymi liniami - wyjaśniła Patricia Nolan. - Jeśli jeden pakiet zaginie albo zostanie uszkodzony, serwer zawiadamia o tym komputer, który przesyła z powrotem tylko ten fragment, z którym są kłopoty. Nie trzeba wysyłać z powrotem całej wiadomości.

Gillette wskazał na rysunek, kontynuując:

- Dane przesyłają przez Internet te rutery - duże komputery rozmieszczone w całym kraju, które po kolei kierują pakiety do ich miejsca przeznaczenia. Rutery mają naprawdę szczelne zabezpieczenia, ale Phate'owi udało się włamać do niektórych i umieścić tam sniffer

- program węszący.

- Który, jak przypuszczam, szuka jakichś pakietów - powiedział Bishop.

- Właśnie - ciągnął Gillette. - Identyfikuje je na podstawie nazwy użytkownika albo adresu maszyny, z której lub do której wysłano pakiety. Kiedy sniffer znajdzie pakiety, na które czekał, kieruje je do komputera Phate'a. A kiedy już się tam znajdują, Phate coś do nich dodaje. Słyszałeś o steganografii? - zwrócił się do Millera Gillette.

Policjant pokręcił głową. Tony Mott i Linda Sanchez również nie znali tego terminu, natomiast Patricia Nolan powiedziała:

- To ukrywanie tajnych danych w zdjęciach albo plikach dźwiękowych przesyłanych przez sieć. Szpiegowskie sztuczki.

- Otóż to - przytaknął Gillette. - Zszyfrowane dane są wplecione w sam plik - więc nawet jeśli ktoś przechwyci e-mail i przeczyta go albo obejrzy przesłane zdjęcie, zobaczy tylko niewinny plik. Tak właśnie działa Trapdoor Phate'a. Tylko że program nie ukrywa w plikach wiadomości tekstowych - ukrywa aplikację.

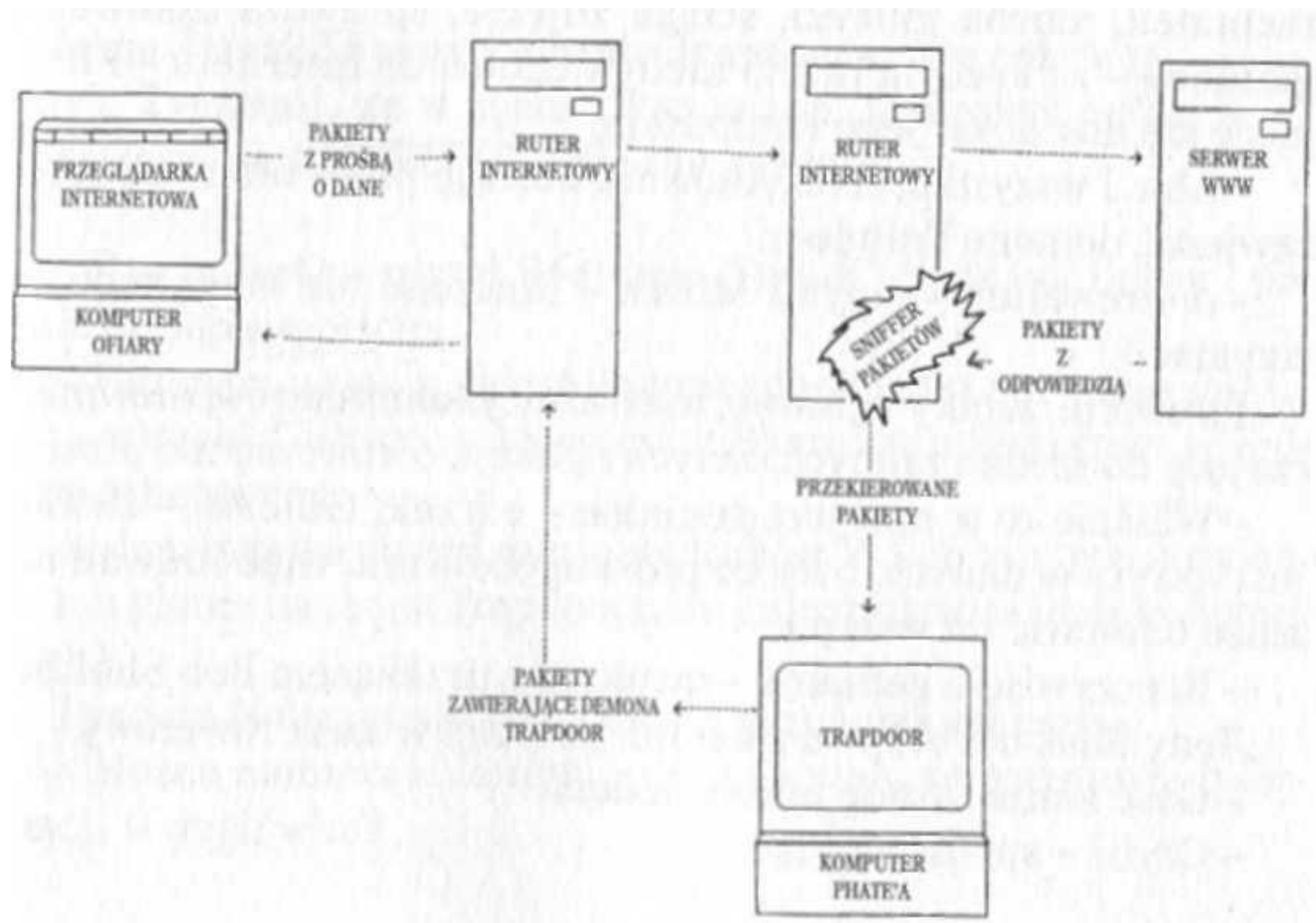
- Działający program? - spytała Nolan. - Aha. Potem Phate wysyła go do ofiary.

Patricia Nolan pokręciła głową. Na jej bladej, ziemistej twarzy malował się szok i podziw.

- Co to za program, który wysyła? - zapytała przyciszonym głosem, z wyraźnym respektem.

- Demon - odparł krótko Gillette, rysując na tablicy drugi schemat, żeby pokazać zasadę działania

Trapdoora.



- Demon? - zapytał Shelton.

- Jest taka kategoria oprogramowania - „boty” - wyjaśnił Gillette. - Skrót od „roboty”.

I nazwa odpowiada ich działaniu. Kiedy uaktywni się taki robot-program, dalej pracuje zupełnie samodzielnie, bez udziału człowieka. Może się przenosić z jednego komputera do drugiego, może się sam powielać, ukrywać, komunikować się z innymi komputerami albo ludźmi, umie nawet dokonać samozniszczenia.

- Demony to rodzaj botów - ciągnął Gillette. - Siedzą sobie w komputerze i robią takie rzeczy jak na przykład sterowanie zegarem lub automatyczne tworzenie kopii zapasowych danych. Wykonują powtarzalne i nudne zadania. Ale demon Trapdoor robi coś znacznie gorszego. Kiedy tylko znajdzie się w komputerze, modyfikuje system operacyjny i kiedy użytkownik wchodzi do sieci, bot łączy go z maszyną Phate'a.

- I dzięki temu Phate przejmuje root - rzekł Bishop.

- Właśnie tak.

- Och, brzmi to okropnie - mruknęła Linda Sanchez. - Rany...

Nolan okręciła na palcu gruby kosmyk rozczochranych włosów. W jej zielonych oczach za okularami w modnych, kruchych oprawkach malowała się prawdziwa zgroza -

jakby przed chwilą była świadkiem strasznego wypadku.

- Kiedy ktoś surfuje po Sieci, czyta wiadomości, e-maile, płaci rachunek, słucha muzyki, ściąga zdjęcia, sprawdza notowania giełdowe - za każdym razem kiedy wchodzi do Internetu - Phate może się dostać do jego komputera.

- Aha. I wszystko, co użytkownik dostaje przez Internet, może zawierać demona Trapdoor.

- A firewall? - zapytał Miller. - Dlaczego nie mogą tego zatrzymać?

Firewall, zapory ogniowe, to strażnicy komputerów, niewpuszczający do środka żadnych danych i plików, o które się nie prosiło.

- Właśnie to w nim jest genialne - odrzekł Gillette. - Demon jest ukryty w danych, o które prosi użytkownik, więc firewall nie może odmówić im wstępu.

- Rzeczywiście genialne - mruknął z przekąsem Bob Shelton. Tony Mott odruchowo zabębnił palcami w kask rowerowy.

- Gość łamie zasadę numer jeden.

- Czyli? - spytał Bishop.

- Zostaw w spokoju cywili - wyrecytował Gillette. Kiwając głową, Mott dodał:

- Zdaniem hakerów uczciwie jest brać na cel urzędy, korporacje i innych hakerów. Ale nigdy nie powinno się atakować zwykłych użytkowników.

- Jest jakiś sposób, żeby stwierdzić, że dostał się do komputera? - zapytała Linda Sanchez.

- Można się zorientować po drobnych śladach: klawiatura reaguje trochę wolniej, grafika wydaje się mniej ostra, w grach też wszystko dzieje się z mniejszą niż zwykle szybkością, twardy dysk pracuje przez dwie sekundy wtedy, kiedy nie powinien. Większość ludzi nie zwróciłaby na to uwagi.

- Jak to się stało, że nie znalazłeś tego demona w komputerze Lary Gibson? - zapytał

Shelton.

- Znalazłem, ale tylko zwłoki: cyfrowy bełkot. Phate wbudował w program jakiś mechanizm samozniszczenia. Kiedy demon wyczuwa, że ktoś go szuka, sam się przepisuje i zmienia w śmieci.

- Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś? - zapytał Bishop. Gillette wzruszył

ramionami.

- Złożyłem do kupy z tych kawałków. - Podał Bishopowi wydruki. Bishop spojrzał na kartkę na wierzchu.

Do: Grupa

Od: Trzy-X

Podobno Titan233 prosił o kopie Trapdoora. Nie rob tego, stary. Zapomnij, ze w ogole o tym wiesz. Słyszałem o Phacie i Shawnie. Sa NIEBEZPIECZNI. Nie żartuje.

- Kto to jest? - spytał Shelton. - Trzy-X? Bądź tak dobry i pogadaj z nim osobiście.

- Nie mam pojęcia, jak się naprawdę nazywa ani gdzie mieszka - odrzekł Gillette. -

Może był z Phate'em i Shawnem w jednym cybergangu.

Bishop przekartkował resztę wydruków. W każdym była wzmianka lub plotka na temat Trapdoora. Na kilku pojawiał się pseudonim Trzy-X.

Patricia Nolan postukała palcem w jeden z arkuszy.

- Można namierzyć komputer tego Trzy-X na podstawie informacji w nagłówku? Gillette wyjaśnił Bishopowi i Sheltonowi:

- Nagłówki wiadomości w grupie dyskusyjnej albo w e-mailu pokazują drogę, jaką wiadomość przebyła od komputera nadawcy do odbiorcy. Teoretycznie na podstawie nagłówka można wysledzić źródło, z jakiego pochodzi przesyłka. Ale już je sprawdziłem. -

Wskazał kartkę. - Są fałszywe. Większość poważnych hakerów fałszuje nagłówki, żeby ich nikt nie znalazł.

- Czyli ślepa uliczka? - mruknął Shelton. - Przeczytałem wszystko bardzo pobieżnie.

Powinniśmy się przyjrzeć tym informacjom uważniej - rzekł Gillette. - Potem napiszę własnego bota. Będzie wszędzie szukał słów „Phate”, „Shawn”, „Trapdoor” albo „Trzy-X”.

- Wyprawa na połów - rzekł w zamyśleniu Bishop. - *Phishing* przez „ph”.

Wszystko sprowadza się do pisowni...

- Trzeba zadzwonić do CERT* * *Computer Emergency Response Team*. - odezwał się Tony Mott. -

Sprawdzimy, czy o tym nie słyszeli.

Choć sama organizacja temu zaprzeczała, każdy komputerowiec na świecie wiedział, że skrót

oznacza grupę reagowania w nagłych wypadkach komputerowych. Mieszczący się w kampusie Carnegie Mellon w Pittsburghu zespół stanowił centralny bank informacji na temat wirusów i innych zagrożeń komputerowych. Ostrzegał także administratorów systemów o mających nastąpić atakach hakerów.

Dowiedziawszy się, co to za organizacja, Bishop kiwnął głową.

- Dobra, można zadzwonić.

- Ale nie mówcie nic o Wyatcie - dodała Nolan. - CERT ma połączenie z Departamentem Obrony.

Mott zadzwonił do znajomego z CERT i po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę.

- Nigdy nie słyszeli o Trapdoorze ani niczym podobnym. Chcą, żeby ich informować na bieżąco.

Linda Sanchez patrzyła na zdjęcie córki Andy'ego Andersona stojące na biurku.

Powiedziała udręczonym szeptem: - A więc nikt w Sieci nie jest bezpieczny. Gillette spojrzał

w jej okrągłe, brązowe oczy.

- Phate może poznać twoje wszystkie sekrety. Może cię udawać albo czytać historię twoich chorób. Może opróżnić twoje konta w banku, nielegalnie finansować w twoim imieniu kampanie wyborcze, wymyślić ci kochanka lub kochankę, a potem przysyłać mężowi czy żonie spreparowane listy miłosne. Może cię wyrzucić z pracy.

- Albo cię zabić - dorzuciła cicho Patricia Nolan.

- *Panie Holloway, jest pan tutaj?... Panie Holloway! - He?*

- *He?, He? Czy tak odpowiada kulturalny uczeń? Dwa razy zadałem panu pytanie, a pan wciąż patrzy przez okno. Jeżeli nie zechce pan wykonywać zadań, będziemy mieli kto...*

- *Jak brzmiało pytanie?*

- *Niech mi pan pozwoli skończyć, młody człowieku. Jeżeli nie zechce pan wykonywać zadań, będziemy mieli kłopoty. Wie pan, ilu jest kandydatów do tej szkoły, którzy naprawdę zasługują na to, by zostać jej uczniami? Oczywiście, że pan nie wie i nic to pana nie obchodzi.*

Przeczytał pan zadanie?

- *Niezupełnie.*

- *Niezupełnie. Rozumiem. Polecenie brzmi: zdefiniuj ósemkowy system liczbowy i podaj dziesiętny odpowiednik liczb ósemkowych 05726 i 12438. Ale po co chce pan znać pytanie, skoro nie czytał pan zadania? Nie potrafi pan chyba odpowiedzieć.*

- System ósemkowy to system liczbowy złożony z ośmiu cyfr, tak jak system dziesiętny używa zapisu składającego się z dziesięciu cyfr, a system dwójkowy z dwóch.

- A więc coś pan zapamiętał z kanału Discovery.

- Nie, tylko...

- Skoro tyle pan wie, może podejdzie pan do tablicy i spróbuje przekształcić te liczby.

Do tablicy, bardzo proszę.

- Nie muszę ich zapisywać. Liczba ósemkowa 05726 w systemie dziesiętkowym będzie miała postać 3030. W drugiej liczbie popełnił pan błąd - 12438 nie jest liczbą ósemkową. W

systemie ósemkowym nie ma cyfry 8. Tylko od zera do siedmiu.

- Nie popełniłem błędu. To było pytanie podchwytliwe. Chciałem sprawdzić, czy klasa uważa.

- Może i tak.

- No dobrze, panie Holloway, czas złożyć wizytę dyrektorowi.

Siedząc w swojej jadalni-pracowni w Los Altos i słuchając płyty z nagraniem „Otella” z Jamesem Earlem Jonesem, Phate wędrował przez elektroniczne archiwum młodego Jamiego Turnera i planował dzisiejsze odwiedziny w szkole im. św. Franciszka.

Wróciły przykre wspomnienia z jego czasów szkolnych, z lekcji matematyki w pierwszej klasie szkoły średniej. Początki nauki Phate’a układały się według łatwego do przewidzenia wzoru. W pierwszym semestrze zbierał same najlepsze noty - A. Ale wiosną jego oceny zaczynały oscylować wokół D i F. Działo się tak dlatego, że przez pierwsze trzy czy cztery miesiące potrafił zwalczyć nudę, ale później męczące stało się nawet chodzenie na zajęcia, więc nieodmiennie opuszczał sporą część drugiego semestru.

Potem rodzice przenosili go do nowej szkoły. I wszystko powtarzało się od nowa.

Panie Holloway, jest pan tutaj?

Właśnie, to zawsze był kłopot Phate’a. Nie, w zasadzie nigdy nie był tam, gdzie wszyscy ani ktokolwiek; wyprzedzał ich o lata świetlne.

Nauczyciele i pedagodzy szkolni naprawdę się starali. Umieszczali go w klasach dla nieprzeciętnie uzdolnionych uczniów, potem uczyli według zaawansowanego programu dla nieprzeciętnie uzdolnionych, ale nie zdołali wzbudzić w nim zainteresowania. A kiedy się nudził, stawał się złośliwy i okrutny. Nauczyciele - jak biedny pan Cummings, który uczył

matematyki w pierwszych klasach, ten od incydentu z liczbami ósemkowymi - przestali go pytać w obawie, że mógłby kpić z ich niedouczenia.

Po kilku latach takiej nauki rodzice - oboje naukowcy - niemal dali za wygraną. Zajęci własnym życiem (ojciec był inżynierem elektrykiem, mama chemikiem w firmie kosmetycznej), po szkole z ulgą przekazywali syna kolejnym prywatnym nauczycielom, kupując sobie w ten sposób kilka dodatkowych godzin na pracę. Zaczęli przekupywać brata Phate'a, Richarda, dwa lata starszego od niego, żeby go czymś zajął - co zwykle sprowadzało się do przywiezienia chłopaka na nadbrzeżny pasaż w Atlantic City z salonami gier wideo albo do pobliskich centrów handlowych, gdzie mając w kieszeni sto dolarów w dwudziestopięciocentówkach, spędzał dwanaście godzin od dziesiątej rano do dziesiątej wieczorem.

A jego koledzy szkolni... oczywiście, nie lubili go od pierwszego spotkania. Był

„Mózgowcem”, „Łebskim Jonem”, „Panem Czarodziejem”. Z początku go unikali, a wraz z upływem semestru zaczęli bezlitośnie obrzucać obelgami. (Przynajmniej nikt nie miał

ochoty sprawiać mu lania, bo, jak powiedział jeden z piłkarzy: „Byłe dziewczyna może mu spuścić łomot. Ja tam nie będę się fatygował”).

Tak więc aby ciśnienie w udręczonym mózgu nie rozsądziło mu czaszki, coraz więcej czasu spędzał w miejscu, gdzie naprawdę mógł się sprawdzić: w Świecie Maszyn. A ponieważ rodzice chętnie płacili, żeby nie zawracał im głowy, zawsze miał najlepsze komputery osobiste dostępne na rynku.

Spędzał dzień w szkole, z trudem znosząc lekcje, a o trzeciej pędził do domu i znikał

w swoim pokoju, skąd wyruszał do BBS-ów, włamywał się do central telefonicznych albo wślizgiwał do komputerów Narodowej Fundacji Nauki, Ośrodków Kontroli Chorób Zakaźnych, Pentagonu, Los Alamos, Harvardu i CERN. Rodzice, mając wybór między rachunkiem telefonicznym opiewającym na osiemset dolarów a utratą pracy i niekończącymi się spotkaniami z nauczycielami i pedagogami, bardzo chętnie podpisali czek dla New Jersey Bell.

Mimo to było jasne, że chłopak stacza się po równi pochyłej - coraz bardziej stronił od ludzi, wpadał we wściekłość, kiedy nie był online.

Zanim jednak znalazł się na dnie i zanim zdążył, jak wówczas myślał, „zrobić Sokratesa” przy użyciu sporządzonej na podstawie przepisu z Sieci trucizny, stało się coś nieoczekiwane.

Szesnastoletni Holloway trafił do BBS-u, gdzie toczyła się gra MUD. Ta akurat przebiegała w średniowieczu - rycerze wyruszali na wyprawę po magiczny miecz czy pierścień, coś w tym rodzaju. Przyglądał się przez jakiś czas, a potem wstukał nieśmiało:

„Mogę zagrać?”.

Jeden z wytrawnych graczy powitał go serdecznie i spytał: „Kim chcesz być?”.

Młody Jon postanowił zostać rycerzem i ruszył z drużyną swoich braci zabijać orków, smoki i wrogie wojska. Spędził na grze osiem godzin i kiedy się już wylogował i leżał w łóżku, cały czas myślał o tym niezwykłym dniu, nie mogąc zasnąć. Uzmysłował sobie, że wcale nie musi być Łebskim Jonem, nie musi być pogardzanym Panem Czarodziejem. Przez cały dzień był rycerzem w mitycznej

krajinie Cyranii i czuł się szczęśliwy. Może w Realu też mógłby zostać kimś innym.

Kim chcesz być?

Następnego dnia zapisał się w szkole na zajęcia pozalekcyjne, czego nigdy dotąd nie robił. Wybrał kółko dramatyczne. Wkrótce przekonał się, że ma zdolności aktorskie. W tej szkole nie mógł już poprawić swojej sytuacji - między Jonem a nauczycielami i kolegami narosło za dużo wrogości - ale nic go to nie obchodziło, miał plan. Pod koniec semestru poprosił rodziców, żeby na następny rok przenieśli go do innej szkoły. Zgodzili się, ponieważ powiedział, że sam zajmie się formalnościami i nie będą się musieli w nic angażować.

Następnej jesieni wśród rozgorączkowanych uczniów zapisujących się do Szkoły Średniej dla Szczególnie Uzdolnionych im. Thomasa Jeffersona był szczególnie rozgorączkowany młodzieniec, Jon Patrick Holloway.

Nauczyciele i pedagodzy obejrżeli jego dokumentację przesłaną e-mailem z poprzednich szkół - z akt wynikało, że we wszystkich klasach od przedszkola miał oceny powyżej B; według entuzjastycznych opinii pedagogów był świetnie adaptującym się i towarzyskim dzieckiem; w testach uzyskiwał wybitne wyniki, byli nauczyciele napisali mu świetne rekomendacje. Rozmowa z miłym młodym człowiekiem - który naprawdę doskonale wyglądał w beżowych spodniach, szaroniebieskiej koszuli i granatowym blezerze - przebiegła bardzo sympatycznie i nowa szkoła powitała go niezwykle serdecznie.

Chłopiec zawsze odrabiał zadane prace, rzadko opuszczał lekcje. Jego oceny utrzymywały się na poziomie dobrym i bardzo dobrym, jak u większości uczniów szkoły im.

Thomasa Jeffersona. Pilnie trenował i uprawiał kilka dyscyplin sportowych. Przesiadywał na trawiastym wzgórzu za szkołą, gdzie gromadziła się elita uczniowska, ukradkiem popalał

papierosy i kpił sobie z cybermaniaków i nieudaczników. Umawiał się z dziewczynami, chodził na potańcówki, pracował przy dekoracjach na zjazdy absolwentów.

Tak jak wszyscy.

Siedział w kuchni w domu Susan Coyne z rękami pod jej bluzką, czując smak aparatu korekcyjnego na jej zębach. Razem z Billym Pickfordem wzięli starą corvette jego ojca i pojechali na autostradę, gdzie rozpędzili auto do setki, a potem pędem wrócili do domu, gdzie zdemontowali i cofnęli licznik.

Czasem bywał zadowolony, czasem w złym humorze, czasem niesforny.

Tak jak wszyscy.

W wieku siedemnastu lat Jon Holloway za pomocą socjotechniki wykreował się na jednego z najbardziej normalnych i lubianych dzieciaków w szkole.

Był tak lubiany, że na pogrzebie jego rodziców i brata zjawił się największy tłum w historii miasteczka w New Jersey, gdzie mieszkali. (Zdaniem przyjaciół rodziny to prawdziwy cud, że młody

Jon zabrał swój komputer do naprawy w sobotę rano, kiedy nastąpił wybuch gazu i wszyscy w domu zginęli).

Spoglądając wstecz na swoje życie, Jon Holloway doszedł do wniosku, iż Bóg i rodzice tak je spieprzyli, że jedyne, co może zrobić, żeby przetrwać, to spojrzeć na nie jak na grę MUD.

A teraz znów grał.

Kim chcesz być?

W piwnicy swojego ładnego domu na przedmieściach Los Al-tos Phate zmył krew z noża Ka-bar i zaczął go ostrzyć, ciesząc się syczącym odgłosem, jaki wydawało ostrze, stykając się ze stalową ostrzałką, którą kupił w Williams-Sonoma.

Tym samym nożem uciszył serce najważniejszej postaci w grze - Andy'ego Andersona.

Sss, sss, sss...

Dossstęp...

Kiedy Phate przesuwiał nóż po stalowej ostrzałce, jego doskonała pamięć podsunęła mu fragment artykułu „Życie w Błękitnej Pustce”, który kilka lat temu zapisał w jednym ze swoich hakerskich notatników:

Granica pomiędzy światem rzeczywistym a Światem Maszyn coraz bardziej się zaciera. Ale ludzie wcale nie zmieniają się w automaty ani nie stają się niewolnikami maszyn.

Nie, ludzie i maszyny po prostu dorastają do siebie nawzajem. Zmieniamy maszyny na nasze potrzeby i zgodnie z naszą naturą. W Błękitnej Pustce maszyny przejmują naszą osobowość i kulturę - nasz język, mity, metafory, filozofię i ducha.

Świat Maszyn natomiast coraz bardziej zmienia osobowości i kulturę.

Pomyślcie o samotniku, który wracał z pracy do domu i całe wieczory napychał się fast foodem i oglądał telewizję. Dziś włącza komputer i wchodzi w Błękitną Pustkę, wkraczając do świata, gdzie nawiązuje kontakt - dotykowy z klawiaturą, werbalny z innymi - i staje wobec nowych wyzwań. Już nie może być pasywny. Musi coś od siebie dać, by uzyskać reakcję. Wkracza na wyższy poziom istnienia - dzięki temu, że przyszły do niego maszyny. I mówią jego językiem.

Na dobre (albo złe) maszyny zaczęły odzwierciedlać ludzkie głosy, dusze, pragnienia i dążenia.

Na dobre (albo złe) zaczęły odzwierciedlać ludzkie sumienie albo brak sumienia.

Phate skończył ostrzyć nóż i wytarł go do czysta. Odłożył go na miejsce do szafki i wrócił na górę, gdzie ujrzał, że jego pieniądze jako podatnika nie idą na marne; superkomputery Centrum Badawczego Obrony właśnie skończyły pracować z programem Jamiego Turnera i wyrzuciły z siebie hasło do bram szkoły im. św. Franciszka. Dziś wieczorem znowu zagra.

Na dobre albo złe...

Po dwudziestominutowych badaniach wydruków z poszukiwań Gillette'a zespół nie znalazł żadnych innych tropów. Haker usiadł przy komputerze, żeby napisać skrypt bota, który miał kontynuować przeszukiwanie Sieci.

W pewnym momencie przerwał i uniósł głowę.

- Musimy zrobić jeszcze jedną rzecz. Prędzej czy później Phate zorientuje się, że macie hakera, który go szuka, i być może spróbuje nas wytropić. Do jakich sieci zewnętrznych macie stąd dostęp? - zwrócił się do Stephena Millera.

- Do dwóch - do Internetu przez naszą własną domenę: cspccu.gov. Korzystałeś z niej, wchodząc do Sieci. Jesteśmy też podłączeni do ISLE*. * *Integrated Statewide Law Enforcement Network*.

- Zintegrowana Stanowa Sieć Agencji Egzekwowania Prawa - wytłumaczyła znaczenie skrótu Linda Sanchez.

- Na kwarantannie?

Sieć na kwarantannie składała się z komputerów połączonych ze sobą łączem stałym, tak aby nikt nie mógł się do nich dostać przez linię telefoniczną lub Internet.

- Nie - odrzekł Miller. - Można się do niej zalogować z każdego miejsca, ale trzeba znać hasła dostępu i pokonać kilka firewalli.

- Do jakich sieci można się dostać przez ISLEnet? Sanchez wzruszyła ramionami.

- Do każdego stanowego czy federalnego systemu policji w całym kraju - FBI, Secret Service, ATF, policji Nowego Jorku... nawet do Scotland Yardu i Interpolu. Wszędzie.

Mott dorzucił:

- Jesteśmy bankiem informacji na temat przestępstw komputerowych dla całego stanu, więc CCU ma root w ISLEnecie. Mamy dostęp do większej liczby komputerów i sieci niż ktokolwiek inny.

- Wobec tego będziemy musieli odciąć te łącza - powiedział Gillette.

- Hej, hej, cofnij - rzekł Miller, używając komputerowego zwrotu. - Odciąć łącza z ISLEnetem? Nie możemy tego zrobić.

- Musimy.

- Dlaczego? - zapytał Bishop.

- Bo jeśli Phate wprowadzi tam swojego demona, Trapdoora, będzie mógł skoczyć prosto do ISLEnetu. A wtedy będzie mógł uzyskać dostęp do wszystkich sieci instytucji egzekwującej prawo.

To by była katastrofa.

- Przecież korzystamy z ISLEnetu kilkanaście razy dziennie - zaprotestował Shelton. -

Bazy danych automatycznej identyfikacji odcisków palców, nakazy, kartoteki podejrzanych, akta spraw, zbieranie informacji...

- Wyatt ma rację - wtrąciła Patricia Nolan. - Pamiętajcie, że facet włamał się już do VICAP-u i baz danych dwóch policji stanowych. Nie możemy ryzykować, że dostanie się do innych systemów.

- Jeśli będziecie musieli skorzystać z ISLEnetu - powiedział Gillette - trzeba będzie to zrobić w innym miejscu - w centrali albo gdzie indziej.

- To śmieszne - odrzekł Stephen Miller. - Jeździć pięć mil, żeby się zalogować do bazy danych. Śledztwo będzie przez to trwało o wiele godzin dłużej.

- I tak już płyniemy pod prąd - powiedział Shelton. - Morderca wyprzedził nas o parę długości. Lepiej nie dawać mu dodatkowej przewagi. - Spojrzał błagalnie na Bishopa.

Szczupły detektyw zerknął na wystającą niechlujnie połę koszuli i wepchnął ją do spodni. Po chwili powiedział:

- Dobra, zróbcie, co mówi. Odciąć połączenie.

Sanchez westchnęła.

Gillette szybko wstukał polecenia zrywające zewnętrzne łącza, czemu z niezadowolonymi minami przyglądali się Stephen Miller i Tony Mott. Zmienił też nazwę domeny [CCU na caltourism.gov](http://CCU.na.caltourism.gov), aby utrudnić Phate'owi próbę namierzenia i włamania się do systemu. Kiedy skończył, spojrzał na członków zespołu.

- Jeszcze jedno... od teraz nikt poza mną nie wchodzi do Sieci.

- Dlaczego? - spytał Shelton.

- Bo potrafię wyczuć, czy Trapdoor jest w systemie.

- Jak? - spytał cierpko dziobaty detektyw. - Masz przyjaciela-Medium, który prowadzi gorącą linię?

Gillette odparł spokojnie:

- Zachowanie klawiatury, opóźnienie reakcji systemu, odgłosy twardego dysku - już mówiłem.

Shelton pokręcił głową i spytał Bishopa:

- Chyba się na to nie zgodzisz? Po pierwsze, w ogóle nie powinniśmy pozwolić, żeby się zbliżał do Sieci, a on sobie, kurwa, wędruje po całym świecie. Teraz mówi nam, że tylko on może to robić, a

my nie. Zupełnie na odwrót, Frank. Coś tu chyba nie tak.

- Po prostu wiem, co robię - oznajmił Gillette. - Haker ma wyczucie maszyny.

- Zgoda - powiedział Bishop.

Shelton bezradnie rozłożył ręce. Stephen Miller nie wyglądał na ani trochę bardziej zadowolonego. Tony Mott pogładził kolbę swojego wielkiego pistoletu, jak gdyby mniej myślał o komputerach, a bardziej o tym, jak ustrzelić mordercę.

Zadzwoił telefon Bishopa. Detektyw odebrał, słuchał przez chwilę i chociaż się nie uśmiechnął, jego twarz wyraźnie się ożywiła. Wziął kartkę i długopis i zaczął coś notować.

Po pięciu minutach odłożył słuchawkę i spojrzał na swój zespół.

- Nie musimy go już nazywać „Phate”. Mamy nazwisko.

Rozdział

00001101/trzynasty

Jon Patrick Holloway.

- Holloway? - zdumiała się Patricia Nolan.

- Znasz go? - spytał Bishop.

- No jasne. Jak większość osób pracujących w zabezpieczeniach komputerów. Ale od wielu lat nikt o nim nie słyszał. Myślałam, że zaczął działać legalnie albo umarł.

- Namierzyliśmy go dzięki tobie - rzekł do Gillette'a Bishop. - Pomogła sugestia o wersji Uniksa ze wschodniego wybrzeża. Policja stanowa Massachusetts zidentyfikowała odciski palców. - Bishop rzucił okiem na notatki. - Mam tu krótką historię. Ma dwadzieścia siedem lat. Urodzony w New Jersey. Rodzice i brat nie żyją. Chodził do Rutgersa i Princeton, dobre oceny, fantastyczny programista. Lubiany w kampusie, często się udzielał w różnych zajęciach. Po ukończeniu studiów przyjechał tu i dostał pracę w Sun Microsystems, gdzie zajmował się sztuczną inteligencją i superkomputerami. Potem przeszedł do NEC. A później do Apple'a w Cupertino. Rok później wrócił na wschodnie wybrzeże i pracował nad zaawansowanymi projektami central telefonicznych w Western Electric w New Jersey. Potem przyjęli go do Laboratorium Informatyki na Harvardzie. Wygląda na idealnego pracownika -

dobrze się czuje w zespole, prowadzi kampanię „Wspólnej Drogi” i tak dalej.

- Typowy kodolog/chipowiec z górnej warstwy klasy średniej - podsumował Mott.

Bishop skinął głową.

- Jest tylko jeden problem. Przez cały czas, gdy pan Holloway wydawał się Najporządniejszym Obywatel, po nocach zajmował się hakerstwem i działał w cybergangach. Najbardziej znany nazywał się Rycerze Dostępu. Założył go z innym hakerem, niejakim Valleymanem. Nie mamy żadnych informacji na temat jego prawdziwego nazwiska.

- Rycerze Dostępu? - rzekł zaniepokojony Miller. - Grupa o złej sławie. Wyzwali Panów Zła - gang z Austin. I Mistyfikantów z Nowego Jorku. Włamali się do serwerów obu gangów i przesłali ich dane do biura FBI na Manhattanie. Doprowadzili do aresztowania połowy z nich.

- Prawdopodobnie to Rycerze wyłączyli na dwa dni centralę pogotowia 911 w Oakland - powiedział Bishop, zaglądając do notatek. - Zmarły przez to dwie osoby - ofiary wypadków, których nie można było zgłosić. Ale prokurator okręgowy nie potrafił im udowodnić winy.

- Kutasy - rzucił ze złością Shelton.

- Holloway nie występował wtedy jako Phate - ciągnął Bishop. - Używał pseudonimu CertainDeath*. Pewna śmierć. Znasz go? - zapytał, zwracając się do Gillette'a.

- Osobiście nie. Ale słyszałem o nim. Każdy haker słyszał. Kilka lat temu był na topie wśród czarodziejów.

Bishop wrócił do notatek.

- Ktoś na niego doniósł, kiedy pracował na Harvardzie, i policja stanowa Massachusetts złożyła mu wizytę. Całe jego życie okazało się maskaradą. Wykładał z Harvardu oprogramowanie i części superkomputerów, a później sprzedawał. Policja sprawdziła Western Electric, Sun, NEC - wszystkich poprzednich pracodawców - i wyglądało na to, że to samo robił u nich. Zwolniono go za kaucją i zniknął z Massachusetts. Od trzech czy czterech lat nikt o nim nie słyszał.

- Trzeba ściągnąć akta tej sprawy od policji z Massachusetts - powiedział Mott. - Na pewno jest tam sporo dowodów, które będziemy mogli wykorzystać.

- Nie ma akt - odparł krótko Bishop.

- Też je zniszczył? - spytała ponuro Linda Sanchez.

- A jak sądzisz? - odparł sarkastycznie Bishop, po czym spojrzał na Gillette'a. -

Możesz zmienić bota - ten program przeszukujący? I dodać nazwiska Holloway i Valleyman?

- Nie ma sprawy. - Gillette jeszcze raz zaczął wstukiwać kod. Bishop zadzwonił do Huerta Ramireza i rozmawiał z nim przez chwilę. Kiedy odłożył słuchawkę, powiedział do zespołu:

- Huerto mówi, że na miejscu morderstwa Andy'ego Andersona nie ma żadnych tropów. Chce sprawdzić Jona Patricka Hollowaya w VICAP-ie i sieciach stanowych.

- Szybciej by było przez ISLEnet - mruknął Stephen Miller. Bishop zignorował

przytyk i ciągnął:

- Potem zamierza ściągnąć z Massachusetts zdjęcie Hollowaya z kartoteki. Razem z Timem Morganem rozprowadzą kopie zdjęć w Mountain View w okolicy sklepu z rekwizytami teatralnymi, na wypadek gdyby Phate wybrał się na zakupy. Później zadzwonią do wszystkich firm, w których Phate pracował, i zbiorą informacje o przestępstwach, jakie tam popełnił.

- Zakładając, że ich nie usunął - zauważyła pesymistycznie Linda Sanchez.

Bishop spojrział na zegar. Dochodziła szesnasta. Pokręcił głową.

- Musimy się brać do roboty. Jeśli zamierza w ciągu tygodnia zabić jak najwięcej osób, być może wybrał już następną ofiarę. - Wziął flamaster i zaczął przepisywać na tablicę swoje notatki.

Patricia Nolan wskazała na słowo „Trapdoor” wypisane na tablicy dużymi czarnymi literami.

- Zbrodnia dwudziestego pierwszego wieku - powiedziała. - Gwałt.

- Gwałt?

- W dwudziestym wieku ludzie kradli pieniądze. Teraz gwałcą cudzą prywatność, kradnąc tajemnice, fantazje.

Bóg to dostęp...

- Jednak z drugiej strony - zauważył Gillette - trzeba przyznać, że Trapdoor jest znakomity. Program całkowicie odporny.

- Odporny? - odezwał się gniewny głos zza jego pleców. - Co to znaczy? - Gillette stwierdził, że pytanie padło z ust Sheltona, co wcale go nie zdziwiło.

- To znaczy, że to proste oprogramowanie o dużym potencjale. - Jezu - powiedział

Shelton. - Mówisz, jak gdybyś żałował, że to nie ty napisałeś to cholerstwo. Gillette odrzekł

spokojnie:

-To niesamowity program. Nie wiem, jak działa, chciałbym wiedzieć. To wszystko.

Jestem po prostu ciekawy.

- Ciekawy? Zapominasz chyba o takim drobiazgu, że on dzięki niemu zabija ludzi.

- Nie, tylko...

- Gnojku... dla ciebie to też tylko gra, nie? Tak jak dla niego. - Ruszył do wyjścia, wołając do Bishopa: - Spadajmy stąd i znajdziemy tego świadka. Więcej się dowiemy niż z tego komputerowego

gówna. - Wypadł z biura jak burza.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Wszyscy popatrywali zmieszani na białą tablicę, terminale albo wbijali wzrok w podłogę.

Bishop skinął na Gillette'a, aby poszedł z nim do kuchenki, gdzie detektyw nalał sobie kawy do styropianowego kubka.

- Jennie, moja żona, wydziela mi codzienne racje - rzekł Bishop, spoglądając na ciemny napar. - Uwielbiam kawę, ale mam kłopoty z żołądkiem. Lekarz powiedział, że to stan przedwrzodowy. Głupia nazwa, co? Jak gdybym trenował, żeby osiągnąć właściwą formę.

- Ja mam refluks - powiedział Gillette. Dotknął klatki piersiowej. - Jak wielu hakerów.

Od kawy i napojów gazowanych.

- Posłuchaj, Bob Shelton... kilka lat temu przytrafiło mu się coś złego. - Detektyw pociągnął łyk kawy, spojrzał na koszulę wyłazającą ze spodni i wepchnął ją z powrotem. -

Czytałem listy dołączone do twoich akt sądowych - e-maile, które przysyłał do sędziego twój ojciec przed rozprawą. Odniosłem wrażenie, że mieliście ze sobą świetny kontakt.

- Aha, faktycznie niezły - powiedział Gillette, kiwając głową. - Zwłaszcza po śmierci mamy.

- W takim razie chyba zrozumiesz. Bob miał syna. *Miał?*

- Bardzo kochał dzieciaka - pewnie tak jak twój ojciec kocha ciebie. Ale kilka lat temu chłopak zginął w wypadku samochodowym. Miał szesnaście lat. Od tamtego czasu Bob nie jest już taki sam. Wiem, że proszę o dużo, ale spróbuj okazać mu trochę wyrozumiałości.

- Przykro mi. - Gillette pomyślał nagle o swojej byłej żonie. O wielu godzinach spędzonych w więzieniu, gdy żałował, że nie są już małżeństwem, że nie mają z Ellie ani syna, ani córki; gdy się zastanawiał, jak mógł to wszystko tak spieprzyć i sam pozbawić się szczęśliwego życia rodzinnego. - Spróbuję.

- Dzięki.

Wrócili do głównego pomieszczenia. Gillette zajął miejsce przed komputerem. Bishop wskazał w stronę parkingu przed budynkiem.

- Bob i ja sprawdzimy tego świadka z „Vesta Grill”. - Detektywie - powiedział Tony Mott, wstając. - Mógłbym z wami jechać?

- Po co? - spytał Bishop, marszcząc brwi.

- Pomyślałem, że będę mógł pomóc. Wyatt, Patricia i Stephen zajmują się stroną komputerową śledztwa, a ja mógłbym pomóc przesłuchiwać świadka.

- Prowadziłeś kiedykolwiek przesłuchanie?

- Jasne. - Po kilku sekundach wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Może nie bezpośrednio po zbrodni, na ulicy. Ale rozmawiałem z mnóstwem osób w Sieci.

- Może później, Tony. Wydaje mi się, że poradzimy sobie z Bobem sami. - Bishop wyszedł z biura.

Młody policjant wrócił na swoje miejsce wyraźnie rozczarowany. Gillette zastanawiał

się, czy denerwuje się, bo podlega cywilowi, czy naprawdę chciał poszukać okazji do użycia tego wielkiego pistoletu, którego kolbą wciąż postukiwał w meble.

W ciągu pięciu minut Gillette skończył pracę nad botem.

- Gotowe - oznajmił. Połączył się z Siecią, wpisał polecenia i wysłał swe dzieła w głąb Błękitnej Pustki.

Patricia Nolan nachyliła się, patrząc w ekran.

- Powodzenia - szepnęła. - Szczęśliwej drogi. - Jak żona kapitana żegnająca męża, którego statek wypływał w daleki rejs na nieznane, niebezpieczne wody.

Jego maszyna wydała kolejny sygnał dźwiękowy.

Phate uniósł głowę znad planu architektonicznego, który wcześniej ściągnął z sieci -

planu szkoły im. św. Franciszka i otaczających ją terenów - i zobaczył następną wiadomość od Shawna. Otworzył list i przeczytał. Znow złe wiadomości. Policja poznała jego prawdziwe nazwisko. Przez chwilę się martwił, ale w końcu uznał, że sytuacja jeszcze nie jest krytyczna; Jon Patrick Holloway był tak głęboko ukryty pod wieloma warstwami fałszywych tożsamości i adresów, że nic nie łączyło go z Phate'em. Mimo to policja mogła zdobyć jego zdjęcie (niektórych elementów przeszłości nie da się wymazać poleceniem usunięcia) i na pewno roześle po całej Dolinie Krzemowej. W każdym razie został ostrzeżony. Zastosuje nowy kamuflaż.

Jaki w końcu sens ma udział w grze MUD, jeżeli nie napotyka się żadnych trudności?

Zerknął na zegar w komputerze: 16:45. Czas ruszać do szkoły im. św. Franciszka, gdzie miała się odbyć dzisiejsza gra. Zostały jeszcze ponad dwie godziny, lecz będzie musiał

przez jakiś czas obserwować szkołę, by sprawdzić, czy nie zmieniły się trasy patroli strażników. Poza tym wiedział, że mały Jamie Turner być może nie będzie potrafił usiedzieć spokojnie i wymknie się ze szkoły przed umówioną godziną, żeby poczekać na brata, spacerując po ulicy.

Phate zszedł do piwnicy i wyjął z szafki wszystko, czego potrzebował - nóż, pistolet, rolkę taśmy izolacyjnej. Potem z łazienki na parterze wziął stojącą pod umywalką plastikową butelkę, w której znajdował się środek przygotowany przez niego z kilku zmieszanych ze sobą płynów. Wciąż czuł ostrą woń znajdujących się w nim chemikaliów.

Gdy przygotował już wszystkie narzędzia, wrócił do jadalni i jeszcze raz sprawdził, czy nie przyszły inne ostrzeżenia od Shawna. Nie miał jednak żadnych nowych wiadomości.

Wylogował się i wyszedł z pokoju, wyłączając górne światło w jadalni.

Wtedy włączył się wygaszacz ekranu, rozjaśniając panujący w pokoju mrok. Przez monitor wolno przesunęły się słowa: BÓG TO DOSTĘP.

Rozdział

00001110/czternasty

Masz, przyniosłam ci. - Gillette odwrócił się. Patricia Nolan trzymała kubek kawy. -

Z mlekiem i cukrem, zgadza się? Skinął głową.

- Dzięki.

- Zauważyłam, że taką lubisz - powiedziała.

Już jej miał opowiedzieć, jak więźniowie w San Ho płacili papierosami za paczki prawdziwej kawy i parzyli ją w gorącej wodzie z kranu. Uznał jednak, że choć ta mało znacząca informacja może być ciekawa, to nie ma ochoty przypominać nikomu - w tym i sobie - że jest skazańcem.

Patricia usiadła obok niego, poprawiając bezkształtny kostium z dzianiny. Znow wyciągnęła z torebki od Louisa Vuittona lakier do paznokci i odkręciła. Zauważyła, że Gillette patrzy na buteleczkę.

- Odżywka - wyjaśniła. - Walenie w klawisze jest zabójcze dla moich paznokci. -

Zajrzała mu w oczy, a zaraz potem opuściła wzrok, oglądając pilnie końce palców. -

Mogłabym je krótko obciąć - powiedziała - ale mam inne plany. - Wyraźnie zaakcentowała słowo „plany”. Jak gdyby postanowiła wtajemniczyć go w jakąś osobistą sprawę, a on nie był

pewien, czy chce tego słuchać.

- Obudziłam się pewnego dnia - ściśle mówiąc to był Nowy Rok - po sylwestrze, którego spędziłam sama na pokładzie samolotu. I zdałam sobie sprawę, że jestem samotną trzydziestoczteroletnią dziewczyną, która cały czas poświęca komputerom, mieszka z kotem, a w sypialni ma zestaw sprzętu półprzewodnikowego wartości dwudziestu tysięcy dolarów.

Postanowiłam zmienić przyzwyczajenia. Nie jestem typem modelki, ale pomyślałam, że poprawię to, co się da poprawić. Paznokcie, włosy, wagę. Nie cierpię ćwiczyć, ale codziennie o piątej rano chodzę do klubu. Królowa aerobiku i ćwiczeń na stepperze z Seattle Health & Racquet.

- Masz naprawdę ładne paznokcie - powiedział Gillette - Dzięki. I niezłe mięśnie ud -

odparła, odwracając wzrok. (Gillette uznał, że do swoich planów powinna chyba jeszcze włączyć ćwiczenia z flirtu; przydałoby się jej trochę praktyki).

- Jesteś żonaty? - zapytała.

- Rozwiedziony.

- Ja też kiedyś o mało co... - Patricia Nolan zawiesiła głos, spoglądając na niego w oczekiwaniu reakcji.

Gillette nie zareagował, tylko pomyślał: marnujesz tylko czas, miła pani.

Beznadziejny ze mnie przypadek. Jednak równocześnie wyraźnie wyczuwał jej zainteresowanie i wiedział, że jego chudość, obsesja na punkcie komputerów i rok odsiadki, jaki mu pozostał, nie mają żadnego znaczenia. Dostrzegł jej spojrzenie pełne podziwu, kiedy pisał skrypt bota, i wiedział, że pociąga ją jego umysł i pasja, z jaką oddawał się swojemu rzemiosłu. Które ostatecznie mogły się okazać silniejszym atutem niż przystojna twarz i ciało chippendale'a.

Temat uczuć i samotności znów wywołały wspomnienia o jego byłej żonie, Elanie, które przygnębiły Gillette'a. Milczał i kiwał głową, gdy Nolan opowiadała mu o swoim życiu w Horizon On-Line, które, jak go zapewniała, było o wiele bardziej ekscytujące, niż mogłoby się wydawać (choć jej słowa wcale tego nie potwierdzały), o życiu w Seattle, o przyjaciołach i kocie, o dziwacznych randkach z cybermamiakami i chipowcami.

Przez dziesięć minut przyjmował wszystkie informacje, uprzejmie, choć z roztargnieniem. Nagle komputer wydał głośny sygnał dźwiękowy i Gillette zerknął na ekran.

Wyniki wyszukiwania:

Poszukiwane wyrażenie: Phate

Lokalizacja: alt.pictures.true.crime

Status: wzmianka w grupie dyskusyjnej

- Mój bot złapał rybkę - zawołał. - Jest coś o Phacie w jakiejś grupie dyskusyjnej.

Grupy dyskusyjne - zbiory wiadomości wymieniane przez ludzi o różnych zainteresowaniach na każdy temat pod słońcem - należą do części Internetu zwanej Usenetem (od sieci użytkowników Uniksa - *User Network*). System zaczął działać w 1979 roku, kiedy przesłano pierwsze wiadomości między Uniwersytetem Karoliny Północnej a Uniwersytetem Duke; z początku miał czysto naukowy charakter i obowiązywały w nim surowe zakazy dotyczące rozpowszechniania takich tematów jak hakerstwo, seks i narkotyki. Jednak w latach osiemdziesiątych grupa użytkowników uznała, że te ograniczenia pachną cenzurą.

Nastąpił „Wielki Bunt”, który doprowadził do utworzenia „alternatywnej” kategorii grup dyskusyjnych. Odtąd Usenet zaczął pełnić funkcję posterunku granicznego. Dziś można w nim znaleźć

wiadomości na każdy temat pod słońcem, od twardej pornografii przez krytykę literacką, teologię katolicką, politykę pronazistowską, po lekceważące i krytyczne uwagi pod adresem kultury popularnej (jak na przykład alt.barney.the.dinosaur.must.die - „dinozaur musi umrzeć”).

Bot Gillette’a dowiedział się, że ktoś umieścił wiadomość ze wzmianką o Phacie w jednej z grup alternatywnych, alt.pictures.true.crime („zdjęcia prawdziwych zbrodni”), i zaraz zaalarmował swojego pana.

Haker uruchomił przeglądarkę grup dyskusyjnych i połączył się z Siecią. Znalazł

grupę, a potem zaczął uważnie czytać tekst na ekranie. Ktoś używający ksywki Vlast453

umieścił tu wiadomość, w której pojawiał się pseudonim „Phate”. Z załącznikiem w postaci zdjęcia.

Mott, Miller i Nolan stłoczyli się przed monitorem.

Gillette kliknął na wiadomość. Rzucił okiem na nagłówek:

From: „Vlast” <vlastM53@euronet.net>

Newsgroups: alt.pictures.true.crime

Subject: Stary od Phate. Kto ma.

Date: 1 kwietnia 23:5M:08 + 0100

Lines: 1323

Message-ID: <8hj3M5dbf7\$!(S>newsg3.svr.pdd.cp.uk>

References:

<20000606164328.26619.0000227-@ng-fml.hcf.com>

N N T P - P o s t i n g - H o s t : modem-7b.flonase.dialup.pol.co.uk

[7b.flonase.dialup.pol.co.uk](http://modem-7b.flonase.dialup.pol.co.uk)

X-Trace: newsg3.svr.pdd.co.uk 07033234511751 62.136.95.76

X-Newsreader: Microsoft Outlook Express 5.00.2014.211

X-MimeOLE: Produced By Microsoft MimeOLE V5.00.2014.2211

Path: news.flliance-news.com/traffic.flliance-news.com/

Budapest, usenetserver.com/ **News-**

out.usenetserver.com/‘diablo.theWorld.net/news.theWorld.net/news/post.theWolrd.net/!

Potem przeczytał wiadomość nadesłaną przez Vlasta.

Do Grupy:

Dostał to od naszego przyjaciela Phate szesc miesiec, potem nic więcej. Mozę kto ma cos jak to.

- Vlast

- Spójrzcie na gramatykę i ortografię - powiedział Tony Mott.

- Gość jest z zagranicy.

Język, jakiego ludzie używają w Internecie, dużo o nich mówi. Najczęściej wybierają angielski, ale poważni hakerzy opanowują kilka języków - zwłaszcza niemiecki, holenderski i francuski - żeby mogli wymieniać informacje w jak najszerszym gronie hakerów.

Gillette otworzył załącznik towarzyszący wiadomości od Vlasta. Było to stare zdjęcie z miejsca zbrodni przedstawiające nagie ciało kobiety - z kilkunastoma ranami kłutymi.

Linda Sanchez, myśląc zapewne o swojej córce i nienarodzonym wnuku, tylko raz rzuciła okiem na fotografię, a potem szybko odwróciła głowę.

- Obrzydliwe - powiedziała półgłosem.

Gillette był podobnego zdania, starał się jednak nie myśleć o tym, co widzi na ekranie.

- Spróbujmy znaleźć tego Vlasta - zaproponował. - Jeżeli będziemy go mieli, może da nam jakiś namiar na Phate'a.

Były dwa sposoby wytropienia kogoś przez Internet. Jeśli miało się prawdziwy nagłówek e-mailu lub wiadomości grupy dyskusyjnej, wystarczyło prześledzić zapis ścieżki, który zawierał informację, skąd wiadomość zjawiała się w Internecie i jaką drogą dostała się do komputera, z którego się ją ściągnęło. Pokazując sysadminowi nakaz sądowy, policja mogła zażądać nazwiska i adresu użytkownika, który wysłał wiadomość.

Hakerzy jednak zwykle używali fałszywych nagłówek, aby zachować anonimowość.

Gillette natychmiast zauważył, że nagłówek Vlasta jest lipny - prawdziwe drogi internetowe zawierają tylko małe litery, a tu były i duże, i małe. Powiedział o tym członkom zespołu CCU, lecz dodał, że spróbuje odnaleźć Vlasta drugim sposobem: [przez jego adres -](#)

Vlast453@euronet.net. Gillette uruchomił HyperTrace. Wpisał adres Vlasta i program zabrał

się do pracy. Na ekranie pojawiła się mapa świata, a z San Jose - gdzie znajdował się komputer CCU - pomknęła na zachód czerwona nitka, przecinając Pacyfik. Za każdym razem, gdy na jej trasie znalazł się nowy ruter internetowy, maszyna wydawała elektroniczny „ping”

- dźwięk przypominający odgłos sonaru okrętu podwodnego.

- To twój program? - spytała Patricia Nolan.

- Tak.

- Świetny.

- Aha, to był niezły hak - odrzekł Gillette, zauważając, że jego umiejętności wzbudziły u niej jeszcze większy podziw.

Czerwona linia oznaczająca drogę między CCU a komputerem Vlasta dalej mknęła na zachód, by zatrzymać się w środkowej Europie, gdzie wyświetlił się kwadracik ze znakiem zapytania.

Gillette spojrział na wykres i postukał w monitor.

- W porządku, Vlast w tej chwili nie jest online albo ukrywa lokalizację swojego komputera, stąd ten znak zapytania. Możemy tylko ustalić jego dostawcę usług

internetowych: Euro-net.bulg.net. Loguje się przez bułgarski serwer Euronetu. Powiniennem się domyślić.

Nolan i Miller przytaknęli. W Bułgarii jest więcej hakerów niż w jakimkolwiek innym kraju. Po zburzeniu muru berlińskiego i upadku komunizmu w środkowej Europie rząd bułgarski próbował zrobić ze swojego kraju coś na kształt Doliny Krzemowej byłego bloku sowieckiego, zaczął więc importować kodologów i chipowców. Jednak, ku ich rozczarowaniu, światowy rynek zagarnęły IBM, Microsoft, Apple i inne firmy amerykańskie.

Zagraniczne spółki wypadały z gry jedna po drugiej, a młodym cybermania-kom pozostało tylko przesiadywanie w kafejkach i hakowanie. W Bułgarii co roku powstaje więcej wirusów komputerowych niż w jakimkolwiek kraju na świecie.

- Bułgarskie władze są skłonne do współpracy? - zapytała Millera Patricia Nolan.- A skąd. Rząd nawet nie raczy odpowiadać na nasze prośby o informacje. - Po chwili Miller zaproponował: - A może po prostu wyślemy e-mail temu Vlastowi?

- Nie - odparł Gillette. - Mógłby ostrzec Phate'a. Wydaje mi się, że to ślepa uliczka.

Ale w tym momencie znów odezwał się komputer, sygnalizując, że bot Gillette'a znów coś złowił.

Wyniki wyszukiwania:

Poszukiwane wyrażenie: Trzy-X

Lokalizacja: IRC, *hack

Status: Online

Trzy-X był hakerem, którego Gillette namierzył wcześniej i który prawdopodobnie sporo wiedział o Phacie i jego Trap-doorze.

- Jest na kanale hakerów w IRC-u - powiedział Gillette. - Nie wiem, czy zdradzi coś na temat Phate'a obcej osobie, ale spróbujemy. - Zwrócił się do Millera: - Zanim się zaloguję, będę potrzebował anonimizera. Swój musiałbym modyfikować do waszego systemu.

„Anonimizator”, inaczej „zasłona”, to program, który blokuje każdą próbę wytropienia użytkownika w Sieci i dzięki któremu można udawać kogoś innego, znajdującego się w zupełnie innym miejscu niż w rzeczywistości.

- Jasne, napisałem niedawno taki. Miller uruchomił program.

- Jeżeli Trzy-X będzie cię próbował namierzyć, zobaczy tylko, że logujesz się przez publicznie dostępny terminal w Austin. To duży ośrodek komputerowy i sporo studentów Uniwersytetu Teksaskiego poważnie zajmuje się hakerką.

- Dobra. - Gillette znów zaczął walić w klawiaturę. Sprawdził szybko program Millera, po czym wpisał do niego fałszywą nazwę użytkownika, Renegat334. Spojrzał na członków zespołu. - No, czas popływać z rekinami - rzekł. I wcisnął klawisz ENTER.

- Tam stał - powiedział strażnik. - Właśnie tam zaparkował. To był jasny sedan. Stał

chyba przez godzinę mniej więcej wtedy, kiedy porwano dziewczynę. Jestem prawie pewny, że ktoś siedział z przodu.

Strażnik pokazał rząd pustych miejsc parkingowych za trzypiętrowym budynkiem, który zajmowała firma Internet Marketing Solutions Unlimited Inc. Widać było stamtąd tył

parkingu pod „Vesta Grill” w Cupertino, gdzie Jon Holloway vel Phate zwabił za pomocą sztuczki socjotechnicznej i zabił Larę Gibson. Osoba siedząca w tajemniczym sedanie musiała mieć doskonały widok na samochód Phate'a, nawet gdyby nie była świadkiem samego porwania.

Lecz Frank Bishop, Bob Shelton i szefowa działu kadr w Internet Marketing właśnie skończyli przesłuchiwać trzydzieści dwie osoby pracujące w budynku i nie potrafili zidentyfikować właściciela sedana.

Obaj policjanci rozmawiali teraz ze strażnikiem, który zauważył wóz, wypyując go o szczegóły, które mogłyby im pomóc odnaleźć ten samochód.

- I naprawdę musiał należeć do kogoś, kto pracował w firmie? - zapytał Bob Shelton.

- Musiał - przytaknął wysoki strażnik. - Żeby wjechać przez bramę na parking, trzeba mieć przepustkę pracowniczą.

- A goście? - zapytał Bishop.

- Nie, parkują od frontu.

Bishop i Shelton wymienili ponure spojrzenia. Na razie żaden ślad nigdzie ich nie zaprowadził.

Opuściwszy biuro wydziału przestępstw komputerowych, zatrzymali się w centrali w San José, skąd wzięli zdjęcie Jona Hollowaya z kartoteki policji stanowej Massachusetts. Przedstawiało szczupłego mężczyznę o ciemnych włosach i bez żadnych znaków szczególnych - bliźniaczo podobnego do dziesięciu tysięcy innych młodych mężczyzn z Doliny Krzemowej. Huerto Ramirez i Tim Morgan też do niczego nie doszli po rozmowie w sklepie „Rekwizyty Teatralne Olliego” w Mountain View; jedyny obecny tam sprzedawca nie rozpoznał Phate’a na zdjęciu.

Zespół w CCU trafił na jakiś ślad - jak Linda Sanchez powiedziała Bishopowi przez telefon, program Wyatta Gillette’a odnalazł wzmiankę o Phacie - lecz to także był ślepy zaułek.

Bułgaria, pomyślał drwiąco Bishop. Co to za sprawa?

- Zadam panu jeszcze jedno pytanie - powiedział detektyw do strażnika. - Dlaczego zauważył pan ten samochód?

- Słucham?

- To jest parking. Zupełnie normalne, że stoją tu samochody. Dlaczego zwrócił pan uwagę na tego sedana?

- No, zwykle samochody nie parkują z tyłu. Już od dawna nie widziałem tam żadnego samochodu. - Rozejrzał się, by sprawdzić, czy są sami, po czym dodał: - Bo, widzą panowie, z firmą wcale nie jest tak różowo. Zatrudniamy już tylko czterdzieści osób. W zeszłym roku było prawie dwieście. Wszyscy mogą zaparkować swoje auta od frontu. Właściwie prezes nawet do tego namawia, żeby nikt się nie domyślił, że firma ledwie zipie. - Ściszył głos. -

Moim zdaniem cały ten chłam internetowy wcale nie jest takim złotym jajem, jak wszyscy gadają. Ja sam szukam roboty w Costco-Detal... to jest praca z przyszłością.

Dobra, powiedział sobie Frank Bishop, patrząc na restaurację „Vesta Grill”. *Samochód stał zaparkowany tam, gdzie nie musiał, zupełnie sam. Wykombinuj coś z tego.*

Zaświtała mu jakaś myśl, lecz zaraz umknęła.

Podziękowali strażnikowi i wrócili do samochodu zwirową ścieżką, która biegła wokół parkingu otaczającego biurowiec.

- Strata czasu - rzekł Shelton. Ale wyrażał tylko prostą prawdę - większość działań w śledztwie to strata czasu - nie wyglądając przy tym wcale na zniechęconego.

Myśl, powtórzył sobie w duchu Bishop.

Wykombinuj coś z tego.

Właśnie kończył się dzień pracy i kilkoro pracowników zmierzało ścieżką na parking od frontu. Bishop ujrzał trzydziestokilkuletniego biznesmena, który szedł w milczeniu obok młodej kobiety ubranej w elegancki kostium. Nagle mężczyzna odwrócił się i złapał kobietę za rękę. Ze śmiechem

zniknęli w krzakach bzu. Tam padli sobie w objęcia i zaczęli się namiętnie całować.

Widząc tak płomienny poryw uczuć, Bishop pomyślał o swojej rodzinie. Ciekawe, ile czasu będzie mógł spędzić z żoną i synem w ciągu najbliższego tygodnia. Pewnie niewiele.

Nagle, jak to się czasem zdarza, z dwóch myśli zrodziła się trzecia, nowa.

Wykombinuj coś...

Przystanął raptownie.

...z tego.

- Chodźmy - rzucił krótko Bishop i zaczął biec z powrotem tam, skąd przed chwilą wyszli. Był o wiele szczuplejszy od Sheltona, lecz w niewiele lepszej formie, i kiedy dobiegli do biurowca, dyszał ciężko, a poła koszuli znów łopotała jak sztandar.

- Dokąd się tak spieszymy? - wy dyszał jego partner.

Lecz detektyw nie odpowiedział. Przeciął hall biurowca Internet Marketing, kierując się do działu kadr. Nie zwracając uwagi na sekretarkę, która zaskoczona poderwała się z miejsca, otworzył drzwi do gabinetu szefa działu kadr i zobaczył panią dyrektor rozmawiającą z jakimś młodym mężczyzną.

- Słucham, detektywie - powiedziała zdziwiona kobieta. - O co chodzi?

Bishop z trudem łapał oddech.

- Muszę zadać pani kilka pytań na temat pracowników. - Zerknął na młodego człowieka. - Raczej na osobności.

- Proszę wybaczyć. - Skinęła głową mężczyźnie, który pospiesznie wycofał się z gabinetu. Shelton zamknął za nim drzwi.

- Chcą mnie panowie pytać o skład osobowy firmy?

- Nie, chciałbym zadać pani parę pytań osobistych.

Rozdział

00001111/piętnasty

Oto kraina spełnienia, kraina obfitości.

Kraina Króla Midasa, gdzie wszystko zmienia się w złoto nie dzięki machlojkom Wall Street czy sile przemysłu Środkowego Zachodu, ale wyłącznie za sprawą wyobraźni.

Oto kraina, gdzie sekretarki i stróże, którzy mogą kupić akcje po niższej cenie, są milionerami, a inni

jeżdżą całą noc autobusem linii 22 między San José a Menlo Park, żeby mieć gdzie się przespać; podobnie jak jedna trzecia bezdomnych w okolicy pracowali na cały etat, ale nie było ich stać na mały bungalow za milion dolarów ani na mieszkanie za trzy tysiące dolarów miesięcznie. Oto Dolina Krzemowa, kraina, która odmieniła świat. Okręg Santa Clara, zielona dolina o obszarze dwustu pięćdziesięciu mil kwadratowych, dawno temu została nazwana „Doliną Szczęścia”, choć wówczas określenie to odnosiło się do rozkoszy kulinarnych, nie do zdobyczy techniki. Na żyznej ziemi pięćdziesiąt mil na południe od San Francisco rosły dorodne morele, śliwki, orzechy włoskie i wiśnie. I dolina mogłaby pozostać znana tylko z płodów rolnych jak inne części Kalifornii - Castroville słynne z karczochów, Gilroy z czosnku - gdyby nie decyzja podjęta w 1909 roku przez Davida Starra Jordana, rektora Uniwersytetu Stanforda znajdującego się w samym środku doliny Santa Clara. Jordan pod wpływem impulsu postanowił zaryzykować, inwestując kapitał w mało znany wynalazek niejakiego Lee De Forresta.

Gadżet skonstruowany przez wynalazcę - audion - w niczym nie przypominał

gramofonu ani silnika spalinowego. Był to rodzaj innowacji, którego szeroka publiczność nie umiała do końca zrozumieć i właściwie w ogóle jej to nie obchodziło w dniu, kiedy ogłoszono wynalazek. Jednak zdaniem Jordana i innych inżynierów z Uniwersytetu Stanforda urządzenie mogło znaleźć parę zastosowań praktycznych, a niedługo potem okazało się, że mieli absolutną rację - audion był pierwszą elektroniczną lampą próżniową, której następcy umożliwili skonstruowanie radia, telewizora, radaru, monitorów medycznych, systemów nawigacji i komputerów.

Gdy tylko ukazano światu możliwości audionu, wszystko w zielonej spokojnej dolinie uległo zmianie.

Uniwersytet Stanforda stał się wylęgarnią inżynierów elektroników, których wielu po ukończeniu uczelni pozostało w dolinie - na przykład David Packard i William Hewlett.

Także Russell Varian i Philo Farnsworth, dzięki którym badaniom opracowano pierwsze rozwiązania techniczne telewizji, radaru i urządzeń mikrofalowych. Pierwsze komputery takie jak ENIAC i Univac powstały na wschodnim wybrzeżu, lecz ich ograniczenia - ogromne rozmiary i wyjątkowo wysoka temperatura rozgrzanych lamp elektronowych - kazały szukać wynalazcom rozwiązań w Kalifornii, gdzie rozwijały się prace nad małymi urządzeniami, zwanymi półprzewodnikowymi układami scalonymi, które były o wiele mniejsze, chłodniejsze i sprawniejsze od lamp. Kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych skonstruowano układ scalony, Świat Maszyn zaczął się rozwijać w szalonym tempie; powstał IBM, PARC

Xerox, Instytut Badań Stanforda, Intel, Apple, a potem tysiące spółek internetowych rozsianych dziś w zielonej dolinie.

Ziemia obiecana, Dolina Krzemowa...

Przez nią jechał teraz Jon Patrick Holloway, Phate, zmierzając zalaną deszczem autostradą 280 na południowy wschód, w stronę szkoły im. św. Franciszka, gdzie miał się spotkać z Jamiem Turnerem, by rozegrać z nim partię gry MUD w Realu.

W odtwarzaczu płyt w jaguarze tkwiło nagranie innej sztuki - "Hamleta" w wykonaniu Laurence'a Oliviera. Recytując kwestie równocześnie z aktorem, Phate skręcił z autostrady na zjazd San José i pięć minut później znalazł się pod murami z czasów kolonizacji hiszpańskiej - posępnym budynkiem szkoły im. św. Franciszka. Była siedemnasta piętnaście, miał więc ponad godzinę na dokładne obejrzenie kompleksu.

Zaparkował na pokrytej kurzem ulicy ze sklepami, niedaleko bramy północnej, którą Jamie zamierzał wymknąć się ze szkoły. Rozłożywszy schemat z rady planowania przestrzennego i plan terenu z dokumentacji nieruchomości, Phate przez dziesięć minut badał

dokumenty. Potem wysiadł z samochodu i powoli okrążył szkołę, przyglądając się wejściom i wyjściom. Wreszcie wrócił do jaguara.

Podkreślił głośność, odchylił oparcie siedzenia i zaczął się przyglądać ludziom spacerującym i jeżdżącym na rowerach po mokrym chodniku. Patrzył na nich zafascynowany.

Nie byli dla niego bardziej - lub mniej - rzeczywisci niż znękaný duński książę z dramatu Szekspira i Phate przez chwilę nie miał pewności, czy jest w Świecie Maszyn, czy w Realu.

Usłyszał głos, może własny, może nie, który recytował nieco inną wersję fragmentu sztuki:

„Jak doskonałym tworem jest maszyna! Jak wielkim przez rozum. Jak niewyczerpanym w swych zdolnościach! Jak szlachetnym postawą i w poruszeniach! Działaniem podobnym do anioła, dostępem zbliżonym do bóstwa!”*. * Parafraza fragmentu „Hamleta” Sprawdził nóż i plastikową butelkę z miksturą chemiczną o ostrym zapachu, starannie przygotowane w odpowiednich kieszeniach szarego kombinezonu, na którego plecach pieczołowicie wyszył napis „AAA - Czyszczenie i Konserwacja”.

Spojrzał na zegarek, a potem znów przymknął oczy i oparł się o luksusową skórę siedzenia. Myślał: jeszcze tylko czterdzieści minut i Jamie Turner wymknie się na szkolny dziedziniec, żeby spotkać się z bratem.

Jeszcze tylko czterdzieści minut i Phate dowie się, czy wygra, czy przegra tę partię gry.

Ostrożnie przesunął kciuk po ostrym jak brzytwa nożu.

Działaniem podobny do anioła.

Dostępem zbliżony do bóstwa.

Występując jako Renegat334, Wyatt Gillette zaczął się na kanale #hack, śledząc rozmowy, ale nie odzywając się ani słowem.

Zanim zastosuje się wobec kogoś socjotechnikę, trzeba się jak najwięcej dowiedzieć o tej osobie, żeby wybrać najbardziej wiarygodnie brzmiące oszustwo. Gillette głośno przekazywał swoje spostrzeżenia Patricii Nolan, która notowała wszystkie wnioski na temat Trzy-X, do jakich doszedł. Czując ładny zapach perfum, Gillette zastanawiał się, czy to też część planu nowej stylizacji.

Jak dotąd wydedukował tyle:

Trzy-X był w tej chwili w strefie czasowej Pacyfiku (wspomniął o zniżce na drinki w pobliskim barze; na zachodnim wybrzeżu dochodziła 17.50).

Prawdopodobnie był w północnej Kalifornii (narzekał na deszcz - a według supernowoczesnego źródła informacji meteorologicznych w CCU, telewizyjnego Weather Channel, deszcze na zachodnim wybrzeżu koncentrowały się przede wszystkim nad zatoką San Francisco).

Był Amerykaninem, starszym i zapewne z ukończonym college'em (interpunkcja i gramatyka jak na hakera były bardzo dobre - za dobre jak na cyberpunka ze szkoły średniej -

poza tym poprawnie używał slangu, co wskazywało, że nie jest typowym hakerem z Europy, którzy często próbują robić wrażenie na innych, rzucając idiomami i zawsze myląc ich znaczenie).

Prawdopodobnie znajdował się w jakimś centrum handlowym, łącząc się z IRC-em z komercyjnego miejsca dostępu do Internetu, zapewne z kawiarenki (wspomniął, że widział

dwie dziewczyny wchodzące do sklepu Victoria's Secret; komentarz o zniżkowych drinkach też na to wskazywał).

Był poważnym, potencjalnie niebezpiecznym hakerem (stąd wybór publicznie dostępnego komputera w centrum handlowym - większość ludzi zajmujących się ryzykownym hakowaniem raczej unika wchodzenia do Internetu z własnych maszyn, decydując się na publiczne komputery).

Miał dość wysokie mniemanie o sobie, uważając się za czarodzieja i starszego brata małolátów w grupie (niestrudzenie objaśniał trudniejsze sprawy hakowania nowicjuszom na kanale, ale nie miał cierpliwości do mądrali).

Wiedząc mniej więcej, z kim ma do czynienia, Gillette był już prawie gotów do namierzenia pana Trzy-X.

Łatwo zlokalizować kogoś w Błękitnej Pustce, jeżeli poszukiwana osoba nie ma nic przeciwko temu, by ją znaleźć. Jeśli jednak postanowi pozostać w ukryciu, namierzenie jej staje się mozolnym zadaniem zwykle skazanym na niepowodzenie.

Odnalezienie komputera połączonego z Siecią wymaga narzędzia do lokalizacji w Internecie - takiego jak napisany przez Gillette'a HyperTrace - ale czasem trzeba skorzystać z pomocy operatora telefonicznego.

Gdyby komputer Trzy-X miał połączenie z dostawcą usług internetowych przez światłowód lub inny kabel dużej szybkości zamiast linii telefonicznej, HyperTrace mógł im podać dokładną długość i szerokość geograficzną centrum handlowego, gdzie znajdował się komputer hakera.

Gdyby jednak Trzy-X miał tradycyjne połączenie modemowe przez linię telefoniczną

- jak większość domowych komputerów osobistych - HyperTrace doprowadziłby ich tylko do

dostawcy usług internetowych i ani kroku dalej. Wówczas miejsce, gdzie znajduje się komputer, musieliby ustalić ludzie od zabezpieczeń operatora.

Tony Mott pstryknął palcami, spojrzął na partnerów znad telefonu z szerokim uśmiechem i powiedział:

- Dobra, Pac Bell rusza na poszukiwania.

- No to zaczynamy - powiedział Gillette. Wstukał wiadomość i wcisnął ENTER. Na ekranach wszystkich zalogowanych w tym momencie na kanale #hack wyświetlił się komunikat:

Renegat33M: Hej Trzy co u ciebie.

Gillette wcielił się w rolę. Postanowił udawać siedemnastoletniego hakera, który ma niewielką wiedzę, ale sporo odwagi i typowe dla nastolatka nastawienie do świata - jak większość gości na kanale tego rodzaju.

Trzy-X: Dobrze, Renegat. Widziałem jak sie czaisz.

W pokojach IRC widać każdego, kto się loguje, nawet jeśli nie uczestniczy w rozmowie. Trzy-X przypominał Gillette'owi, że jest czujny, dając mu do zrozumienia: Uważaj, gnojku, ze mną nie ma żartów.

Renegat33M: Jestem w kafejce i ludzie mnie wkurzają, wszędzie chodzą.

Trzy-X: Gdzie jesteś?

Gillette spojrzął na Weather Channel.

Renegat33M: W Austin, upał na maksa. Byles tu.

Trzy-X: Tylko w Dallas.

Renegat33M: Dallas syf, Austin rządzi!!!!

- Wszyscy gotowi? - zapytał Gillette. - Spróbuję go wyprowadzić.

Członkowie zespołu przytaknęli. Gillette poczuł, jak ociera się o niego noga Patricii Nolan. Obok niej usiadł Stephen Miller. Gillette wstukał wiadomość i wcisnął ENTER.

Renegat33M: Trzy - może ICO?

ICQ (akronim *I seek you* - „szukam cię”) to system komunikacji bezpośredniej, który łączył dwie maszyny w taki sposób, że nikt inny nie mógł podglądać rozmowy użytkowników. Sugestia Renegata mogła oznaczać, że chce przekazać Trzy-X jakąś tajną lub nielegalną informację - takiej pokusie mogło się oprzeć niewielu hakerów.

Trzy-X: Dlaczego? Renegat33M: Tu nie moze.

Po chwili na ekranie otworzyło się mniejsze okienko.

Trzy-X: Co jest, koleś?

- Włącz! - zawołał Gillette do Stephena Millera, który uruchomił program HyperTrace. Na monitorze pojawiło się następne okienko przedstawiające mapę północnej Kalifornii. Niebieskie linie oznaczały drogę od komputera CCU do Trzy-X.

- Szuka - poinformował Miller. - Sygnał idzie do Oakland, potem do Reno, Seattle...

Renegat33M: Dzięki za ICQ. Mam problem i boje sie. Jeden koleś sie do mnie przyczepił, mowia ze z ciebie superczarodziej to pewnie cos wiesz.

Wyatt Gillette wiedział, że nie można za bardzo schlebiać hakerowi.

Trzy-X: Jaki koleś?

Renegat33M: Nazywa sie Phate.

Nie było odpowiedzi.

- Szybciej, człowieku - popędzał go szeptem Gillette, myśląc: Nie znikaj. Jestem tylko przerażonym dzieciakiem. Ty czarodziejem. Pomóż mi...

Trzy-X: Co z nim? To znaczy, z nim.

Gillette zerknął w okienko, w którym było widać postęp programu HyperTrace lokalizującego kolejne rutery. Sygnał Trzy-X skakał po całym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Wreszcie zatrzymał się w ostatnim hubie, Bay Area On-Line Services, w Walnut Creek, tuż na północ od Oakland.

- Mamy dostawcę - rzekł Stephen Miller. - To połączenie modemowe.

- Cholera - mruknęła Patricia Nolan. Potrzebowali więc pomocy operatora, który musiał wskazać ostatnie ogniwo łańcucha łączącego serwer w Walnut Creek z kawiarenką, w której siedział Trzy-X.

- Damy radę - zawołała z entuzjazmem cheerleaderki Linda Sanchez. - Tylko utrzymaj z nim kontakt, Wyatt.

Tony Mott zadzwonił do firmy Bay Area On-Line i wyjaśnił sytuację szefowi działu zabezpieczeń. Szef z kolei zawiadomił swoich techników, którzy w porozumieniu z Pacific Bell mieli namierzyć połączenie od Bay Area do komputera Trzy-X. Mott słuchał przez chwilę, po czym zawołał:

- Pac Bell skanuje. Na liniach jest duży ruch, więc to może potrwać dziesięć, może piętnaście minut.

- Za długo, za długo! - powiedział Gillette. - Powiedz im, żeby się pospieszyli.

Ale już od czasów, gdy sam włamywałem się do Pac Bell, Gillette wiedział, że pracownicy firmy telefonicznej być może sprawdzają centrale w taki sposób, że biegają z jednej do drugiej - były to duże pomieszczenia z elektrycznymi przekaźnikami - śledząc połączenia, by odnaleźć źródło.

Renegat33M: Słyszałem o tym haku Phata, podobno totalnie odporny. Spotkałem go online i pytałem ale mnie olał. potem zaczęły się dziać dziwne rzeczy, ten skrypt nazywa się Trapdoor i teraz totalnie robie w gacie.

Po chwili przerwy zobaczył:

Trzy_X: No to o co mnie pytasz?

- Boi się - powiedział Gillette. - Czuję to.

Renegat33M: ten trapdoor naprawdę umie ci wejść na kompa i przeszukać wszystko, WSZYSTKO, i nic nie będziesz wiedział? **Trzy-X:** Nie sadzę, żeby naprawdę istniał. Może to tylko legenda. **Renegat33M:** nie wiem, ale chyba jest prawdziwy, widziałem jak mi się pliki OTWIERAŁY same, nie kurwa nie robiłem.

- Odbieramy sygnał - powiedział Miller. - Pinguje nas. Trzy-X, jak przewidywał

Gillette, uruchomił własną wersję HyperTrace'a, żeby sprawdzić Renegata334. Jednak dzięki programowi maskującemu Stephena Millera maszyna hakera pomyśli, że Renegat naprawdę jest w Austin. Trzy-X chyba otrzymał komunikat zwrotny, ponieważ nie wylogował się.

Trzy-X: Czemu się nim przejmujesz? Siedzisz przy publicznym terminalu. Nie może wejść do twoich plików. **Renegat33M:** Jestem tu bo moi pieprzeni starzy zabrali mi na tydzień delia za stopnie. Jak w domu byłem online to się klawiatura spierdoliła a potem pliki same się otwierały. Wymiekle. Totalnie.

Kolejna przerwa. Wreszcie haker odpowiedział:

Trzy-X: I powinienes wymiekać. Znam Phate'a. **Renegat33M:** Skad?

Trzy-X: Zacząłem z nim gadać na czacie. Pomógł mi debugować skrypt.

Wymieniliśmy parę programów.

- Ten facet to skarb - szepnął Tony Mott.

- Może zna adres Phate'a - odezwała się Patricia Nolan. - Spytaj go.

- Nie - odrzekł Gillette. - Nie możemy go spłoszyć. Przez chwilę nie było żadnej nowej wiadomości, a potem:

Trzy-X: BRB

W pokojach rozmów obowiązywały skróty zastępujące całe wyrażenia - żeby oszczędzić czas i energię. BRB oznaczało *Be right back* - zaraz wracam.

- Poszedł sobie? - zapytała Linda Sanchez.

- Połączenie nie zostało zerwane - powiedział Gillette. - Może tylko poszedł do toalety czy coś w tym rodzaju. Niech Pac Bell dalej go namierza.

Odchylił się na krzesło, które głośno skrzypnęło. Czas mijał. Ekran wciąż wyglądał tak samo. *BRB*.

Gillette zerknął na Patricię Nolan, która otworzyła torebkę, wyciągnęła swoją odżywkę do paznokci i machinalnie zaczęła ją nakładać.

Kursor nadal migał. Ekran wciąż był pusty.

Duchy wróciły i tym razem było ich dużo więcej.

Idąc korytarzami szkoły im. św. Franciszka, Jamie Turner wyraźnie je słyszał.

Pewnie to tylko Booty albo któryś z nauczycieli sprawdza, czy drzwi i okna są dobrze zamknięte. Albo uczniowie szukają ustronnego miejsca, żeby zapalić papierosa lub grać na swoich gameboyach.

Jednak nie mógł zapomnieć o duchach: dusze Indian zamęczonych na śmierć i ucznia zamordowanego kilka lat temu przez szaleńca, który włamał się do szkoły, a teraz dołączył do galerii duchów, bo, jak Jamie zdał sobie sprawę, policjanci zastrzelili go w starej jadalni.

Jamie Turner był oczywiście produktem Świata Maszyn - jako haker i umysł ścisły -

wiedział więc, że duchy i mityczne stworzenia nie istnieją. Dlaczego więc tak strasznie się bał?

Wtedy przyszła mu do głowy dziwna myśl. Może dzięki komputerom życie cofnęło się do dawnych czasów, kiedy królowały duchy i czarownice. Przez komputery świat wyglądał trochę jak z dziewiętnastowiecznych książek Washingtona Irvinga i Nathaniela Hawthorne'a. „Legenda Sleepy Hollow” i „Dom o siedmiu szczytach”. Ludzie wierzyli wtedy w upiory, duchy i inne zjawiska, których nie mogli zobaczyć. Dzisiaj był Internet, kod, boty, elektrony i inne rzeczy, których też nie można zobaczyć - tak jak duchów. Krążyły wokół

człowieka, pojawiały się znikąd i potrafiły wykonywać różne zadania.

Myślał o tym, umierając ze strachu, ale przemógł się i szedł dalej ciemnymi korytarzami szkoły, czując stęchły zapach sztukaterii, słysząc przytłumione odgłosy rozmów i muzyki dobiegające z pokoi uczniów. Opuścił skrzydło mieszkalne i prześliznął się obok sali gimnastycznej.

Duchy...

Nie, zapomnij o nich, nakazał sobie.

Myśl o Santanie, o bracie, o fantastycznym wieczorze, jaki dzisiaj spędzisz.

Myśl o przepustkach za kulisy.

Wreszcie dotarł do drzwi pożarowych, które prowadziły do ogrodu.

Rozejrzał się. Ani śladu Booty'ego, ani śladu innych nauczycieli, którzy od czasu do czasu krążyli po korytarzach jak strażnicy w filmie o jeńcach wojennych.

Kłękając przed drzwiami, Jamie Turner przyjrzał się blokadzie alarmowej na drzwiach, tak jak zapaśnik ocenia przeciwnika.

UWAGA: PO OTWARCIU DRZWI WŁĄCZA SIĘ ALARM

Gdyby nie unieruchomił alarmu i włączyłby go przy próbie otwarcia drzwi, w całej szkole zapaliłyby się jasne światła, a po kilku minutach przyjechałaby policja i straż pożarna.

Musiałby wrócić sprintem do pokoju i miałby cały wieczór schrzaniony. Rozłożył kartkę ze schematem instalacji alarmowej, który przesłał mu uczynny szef serwisu producenta drzwi.

Oświetlając arkusz małą latarką, jeszcze raz dokładnie obejrzał rysunek. Potem przesunął rękę po metalowej blokadzie, przyglądając się, jak działa urządzenie uruchamiające alarm, gdzie są śruby i jak ukryto zasilacz. Szybko skojarzył ze schematem to, co zobaczył.

Głęboko nabrał powietrza.

Pomyślał o bracie.

Jamie Turner nałożył grube okulary, by osłonić swoje cenne oczy, po czym sięgnął do kieszeni, wyciągnął plastikowe pudełko z narzędziami, z których wybrał śrubokręt Phillips.

Mam mnóstwo czasu, mówił do siebie. Nie ma co się spieszyć.

Gotowy do rokendrola...

Rozdział

00010000/szesnasty

Frank Bishop zaparkował nieoznakowanego granatowego forda przed skromnym domem w stylu kolonialnym, który stał na wydzielonej dawno temu działce - na oko ledwie jedna ósma akra, jednak dzięki położeniu w samym sercu Doliny Krzemowej musiała być warta milion dolarów.

Na podjeździe stał jasny samochód - nowy lexus. Detektywi podeszli do drzwi i zapukali. Otworzyła im czterdziestokilkuletnia kobieta o zmęczonej twarzy, ubrana w dzinsy i wyblakłą bluzkę w kwiaty.

Z domu wionął zapach gotowanego mięsa i cebuli. Była już osiemnasta - pora, o jakiej rodzina Bishopa zwykle siadała do kolacji - i detektyw poczuł

nagle wilczy głód. Zdał sobie sprawę, że od rana nie miał nic w ustach.

- Słucham? - powiedziała kobieta.

- Pani Cargill?

- Zgadza się. Czym mogę służyć? - spytała ostrożnie. - Mąż w domu? - zapytał

Bishop, pokazując odznakę. - Mhm, ale...

- O co chodzi, Katie? - W drzwiach ukazał się zwalisty mężczyzna w różowej koszuli z kołnierzykiem na guziki i spodniach z gabardyny. W dłoni trzymał koktajl. Gdy zauważył

odznaki detektywów, odstawił drinka na stół przy wejściu.

- Możemy z panem chwilę porozmawiać? - spytał Bishop. - W jakiej sprawie?

- Co się dzieje, Jim? Spojrzał na żonę zirytowany.

- Nie wiem. Gdybym wiedział, chyba bym nie pytał, nie? Cofnęła się z ponurą miną.

- To nie potrwa długo - zapewnił Bishop. Razem z Sheltonem zeszli na ścieżkę przed domem i zatrzymali się. Cargill ruszył za nimi. Kiedy znaleźli się dostatecznie daleko, by jego żona nie mogła ich słyszeć, Bishop powiedział:

- Pracuje pan w Internet Marketing Solutions w Cupertino, zgadza się?

- Jestem regionalnym dyrektorem sprzedaży. Ale co to ma...

- Mamy powody przypuszczać, że widział pan pojazd, który staramy się zidentyfikować. Chodzi o zabójstwo. Wczoraj około dziewiętnastej ten samochód stał

zaparkowany za restauracją „Vesta Grill”, naprzeciw biurowca pańskiej firmy. Sądzymy, że mógł pan go widzieć.

Pokręcił głową.

- Nasza dyrektor kadr już mnie o to pytała. Ale powiedziałem jej, że nic nie widziałem. Nie mówiła wam?

- Mówiła, proszę pana - odparł spokojnie Bishop. - Ale mam powody przypuszczać, że nie powiedział jej pan prawdy.

- Zaraz, chwileczkę...

- Siedział pan w swoim lexusie zaparkowanym za biurowcem, uprawiając seks z Sally Jacobs z działu płac swojej firmy.

Cargill zrobił zabawną zszokowaną minę - powoli ustępującą miejsca wyrazowi zgrozy - upewniając Bishopa, że trafił w dziesiątkę. Jednak facet powiedział to, co musiał.

- To bzdura. Ktokolwiek wam to powiedział, kłamał. Jestem żonaty od siedemnastu lat. Poza tym Sally Jacobs... gdybyście ją zobaczyli, zrozumielibyście, jaki to idiotyczny zarzut. To najbrzydsza dziewczyna na szesnastym piętrze.

Bishop wiedział, że czas ucieka. Przypomniawszy sobie, jak Gillette opisywał grę

„Dostęp” - zabić jak najwięcej ludzi w ciągu tygodnia. Phate mógł być już blisko następnej ofiary.

- Proszę pana - rzekł krótko detektyw - nie obchodzi mnie pańskie życie osobiste.

Interesuje mnie tylko to, że wczoraj widział pan samochód zaparkowany za „Vesta Grill”.

Wóz należał do podejrzanego o morderstwo i muszę wiedzieć, co to był za samochód.

- Nie było mnie tam - powtórzył uparcie Cargill, rzucając okiem w stronę domu. Zza firanki spoglądała na nich jego żona.

Bishop rzekł łagodnie:

- Ależ był pan. I wiem, że widział pan samochód mordercy.

- Wcale nie - odburknął.

- Był pan. Wyjaśnię panu, skąd wiem. Cargill wybuchnął drwiącym śmiechem.

- Wczoraj - zaczął detektyw - mniej więcej w czasie, gdy ofiara została uprowadzona z restauracji, za Internet Marketing stał jasny sedan - nowy model, podobny do pańskiego lexusa. Wiem, że prezes firmy namawia pracowników, żeby parkowali od frontu, tak aby klienci nie zauważyli, że o ponad połowę zredukowaliście zatrudnienie. Tak więc rozumując logicznie, można twierdzić, że z tyłu mógłby zaparkować tylko ktoś, kto zamierzał robić coś nielegalnego i nie chciał, żeby go widziano z biurowca albo z ulicy. W grę wchodzi więc użycie środków odurzających albo, a może także, cel seksualny.

Cargill przestał się uśmiechać.

- Na parking mogą wjechać tylko uprawnione osoby - ciągnął Bishop - czyli ten, kto tam parkował, był pracownikiem firmy, nie gościem. Pytałem dyrektor kadr, czy jakiś pracownik, który jest właścicielem jasnego sedana, ma kłopoty z narkotykami albo romans.

Powiedziała mi, że spotyka się pan z Sally Jacobs. O czym zresztą wiedzą wszyscy w firmie.

Cargill mruknął tak cicho, że Bishop musiał się nachylić, by go usłyszeć:

- Pieprzone biurowe plotki, nic więcej.

Po dwudziestu dwóch latach pracy w policji Bishop był chodzącym wykrywaczem kłamstw. Ciągnął:

- A jeśli mężczyzna siedzi w samochodzie z kochanką...

- Ona nie jest moją kochanką!

-...na parkingu, na pewno obejrzy każdy wóz w pobliżu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie należy do żony albo sąsiada. Tak więc widział pan samochód podejrzanego.

Jakiej był marki?

- Niczego nie widziałem - burknął biznesmen. Przyszła kolej na Boba Sheltona.

- Nie mamy czasu na bzdury, Cargill - powiedział. - Chodź, przywieziemy tu Sally -

dodał, zwracając się do Bishopa. - Może razem przypomną sobie coś więcej.

Detektywi rozmawiali już z Sally Jacobs - na pewno nie najbrzydszą dziewczyną na szesnastym piętrze ani na żadnym innym - która potwierdziła, że ma romans z Cargillem. Ale jako osoba samotna i z jakiegoś powodu zakochana w tym dupku, była o wiele mniej znerwicowana niż on i nie przyglądała się stojącym w pobliżu samochodom. Wydawało się jej, że stał tam jakiś wóz, lecz nie pamiętała marki. Bishop uwierzył dziewczynie.

- Chcecie ją tu przywieźć? - zapytał wolno Cargill. - Sally? Bishop dał znak Sheltonowi i odwrócili się.

- Zaraz wrócimy! - zawołał przez ramię.

- Nie, chwileczkę - odezwał się błagalnie Cargill. Detektywi przystanęli.

Twarz Cargilla wykrzywił grymas obrzydzenia. Bishop już dawno nauczył się, że najbardziej winny zawsze wygląda na najbardziej udręczoną ofiarę.

- To był jaguar kabriolet. Nowy model. Srebrny albo szary. Z czarnym dachem.

- Jakie numery?

- Tablica z Kalifornii. Numerów nie widziałem.

- Widział pan już wcześniej ten samochód w okolicy? - Nie.

- Widział pan kogoś w środku albo obok wozu? - Nie, nie widziałem.

Bishop uznał, że mężczyzna mówi prawdę.

Nagle Cargill rozpromienił się w konfidenyjnym uśmiechu.

- Skoro rozmawiamy szczerze, detektywie, wie pan, jak to jest... mam nadzieję, że to zostanie między nami? - Zerknął w stronę domu, gdzie została żona.

Zachowując maskę uprzejmości, Bishop odparł: - Nie widzę przeszkód.

- Dzięki - powiedział biznesmen z widoczną ulgą.

- Tylko że w końcowym zeznaniu będzie się musiała pojawić wzmianka na temat pana romansu z panną Jacobs - dodał detektyw.

- W zeznaniu? - zapytał niespokojnie Cargill. - Nasz wydział dowodów prześle je panu.

- Pocztą? Do domu?

- Tak nakazuje prawo stanowe - rzekł Shelton. - Musimy dostarczyć każdemu świadkowi egzemplarz zeznania.

- Nie zrobicie tego.

Mając kamienną twarz z natury i zachowując kamienną twarz ze względu na powagę sytuacji, Bishop powiedział:

- Niestety, musimy. Jak mówi mój partner, tak nakazuje prawo stanowe.

- Pojadę do waszej centrali i sam odbiorę.

- Musi przyjść pocztą - wysła je z Sacramento. Dostanie pan zeznanie w ciągu kilku najbliższych miesięcy.

- Kilku miesięcy? Nie może mi pan podać dokładniejszego terminu?

- Sami nie wiemy, proszę pana. Może być już w przyszłym tygodniu, a może w lipcu czy sierpniu. Miłego wieczoru. I dziękujemy panu za pomoc.

Wrócili szybkim krokiem do granatowego forda crown victoria, pozostawiając wstrząśniętego biznesmena, który niewątpliwie zaczął już obmyślać plany przechwytywania poczty w ciągu najbliższych dwóch czy trzech miesięcy, aby żona nie zobaczyła zeznania.

- Wydział dowodów? - spytał Shelton, unosząc brew. - Dobrze brzmiało - odparł

Bishop, wruszając ramionami.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

Potem Bishop skontaktował się z centralą i poprosił o rozesłanie pilnego komunikatu o poszukiwaniu

samochodu Phate'a. Prośba oznaczała także, że w kartotekach wydziału pojazdów silnikowych zostaną sprawdzone wszystkie nowe srebrne i szare jaguary cabrio.

Bishop wiedział, że jeśli Phate korzystał z tego samochodu podczas popełniania zbrodni, wóz najprawdopodobniej był kradziony lub zarejestrowany na fałszywe nazwisko i adres, co oznaczało, że raport z wydziału niewiele im pomoże. Ale komunikat o poszukiwaniu zaalarmuje wszystkich policjantów i szeryfów w całej północnej Kalifornii, którzy natychmiast będą zgłaszać każdy przypadek zauważenia samochodu pasującego do opisu.

Dał znak Sheltonowi, żeby zajął miejsce za kółkiem - jego partner prowadził wóz agresywniej; i szybciej.

- Z powrotem do CCU - powiedział.

- A więc gość jeździ jaguarem - rzekł z zadumą Shelton. - Nie jest zwykłym hakerem.

O tym już wiedzieliśmy, pomyślał Bishop.

Wreszcie na ekranie Wyatta Gillette'a pojawiła się wiadomość.

Trzy-X: Sorry, stary. Jeden koleś pytał mnie o łamanie kodu wygaszaczy ekranu.

Jakiś lamer.

Przez kilka następnych minut Gillette, nadal udając wyalienowanego nastolatka z Teksasu, opowiadał Trzy-X, jak jemu udało się pokonać kody wygaszaczy ekranu Windows, a haker radził mu, jak można to zrobić lepiej. Podczas gdy Gillette cyfrowo oddawał hołd swemu guru, drzwi biura CCU otworzyły się i stanęli w nich Frank Bishop i Bob Shelton.

- Jesteśmy o krok od odnalezienia Trzy-X - poinformowała ich z przejęciem Patricia Nolan. - Siedzi w kawiarence internetowej w centrum handlowym gdzieś niedaleko.

Powiedział, że zna Phate'a.

- Nie mówi jednak nic konkretnego - zawołał do Bishopa Gillette. - Coś wie, ale się boi.

- Pac Bell i Bay Area On-Line zlokalizują go za pięć minut - powiedział Tony Mott, słuchając komunikatu przez słuchawki. - Zawężają obszar wymiany i wszystko wskazuje na to, że jest w Atherton, Menlo Park albo w Redwood City.

- Dobra, ile tam może być centrów handlowych? - spytał Bishop. - Wezwij tam oddział specjalny.

Bob Shelton zadzwonił, a potem oznajmił:

- Już wyjeżdżają. Powinni być na miejscu za pięć minut.

- Odezwij się, odezwij - powiedział do monitora Mott, głaszcząc kanciastą rękoięć srebrnego

pistoletu.

Czytając tekst na ekranie, Bishop rzekł:

- Naprowadź go z powrotem na Phate'a. Może uda ci się wydobyć z niego jakiś konkret.

Renegat33M: stary, może da się coś zrobić żeby ten phate dał spokój. Chce mu zrobić kolo dupy.

Trzy-X: słuchaj, lepiej nie próbuj robić Phate'owi kolo dupy. Bo on ci zrobi.

Renegat33M: Myślisz?

Trzy-X: Phate to śmierć, koleś. Tak samo jak jego przyjaciel, Shawn. Nie zbliżaj się do nich. Jeżeli Phate wsadził ci Trapdoora, wyrzuć twarde i zainstaluj nowego.

Zmień nicka.

Renegat33M: Myślisz, że może mnie trafić nawet w Teksasie? Gdzie on ma cel?

- Dobrze - mruknął Bishop.

Ale Trzy-X nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili na ekranie ukazała się wiadomość:

Trzy-X: Nie sadzę, żeby dostał cię w Austin. Ale muszę ci coś powiedzieć, koleś...

Renegat33M: Co?

Trzy-X: Na pewno nie jesteś bezpieczny w północnej Kalifornii, gdzie teraz siedzisz, pierdolony oszuście!!!!

- Cholera, wymacał nas! - krzyknął Gillette.

Renegat33M: Co ty stary jestem w Teksasie.

Trzy-X: „Co ty, stary”, nie jesteś. Sprawdź czas odpowiedzi w anonimizerze.

ESAD!

Trzy-X się wylogował.

- Niech to szlag - powiedziała Patricia Nolan.

- Zniknął - poinformował Bishopa Gillette i walnął otwartą dłońią w pulpit terminalu.

Detektyw zerknął na ostatnią wiadomość na ekranie.

- Co to jest „czas odpowiedzi”?

Gillette nie wytłumaczył mu od razu. Wstukał kilka poleceń i sprawdził anonimizer autorstwa Stephena Millera.

- Do diabła - mruknął, widząc, co się stało. Potem wyjaśnił: Trzy-X namierzał

komputer CCU, wysyłając pakiet elektroniczny, ping, taki sam jak Gillette wysyłał do niego, żeby go zlokalizować. Anonimizer powiedział wprawdzie hakerowi, że Renegat jest w Austin, ale po tym jak Trzy-X wpisał BRB, musiał przeprowadzić jeszcze jeden test, który wykazał, że czas, w jakim ping pokonał drogę do i z komputera Renegata, był o wiele za krótki - elektrony nie mogły tak szybko przebyć trasy do Teksasu i z powrotem.

Był to poważny błąd - bez kłopotu można było wbudować do programu małe opóźnienie, aby kilka dodatkowych milisekund przekonało hakera, że Renegat jest oddalony o tysiąc mil. Gillette nie rozumiał, dlaczego Miller o tym nie pomyślał.

- Kurwa! - powiedział krótko cyberglina i pokręcił głową, gdy zdał sobie sprawę z własnego błędu. - To moja wina. Przykro mi... po prostu nie wpadło mi to do głowy.

Rzeczywiście, pomyślał Gillette.

A tak niewiele brakowało.

Cichym i zrezygnowanym głosem Bishop rzekł do Sheltona:

- Odwołaj brygadę specjalną.

Detektyw wyciągnął komórkę i zadzwonił.

- A to ostatnie w wiadomości od Trzy-X? - zapytał Bishop. - ESAD?

- Sympatyczny akronim - odparł z goryczą Gillette. - Oznacza „Pierdol się”*. * Dosłowne rozwinięcie akronimu - *Eat shit and die*.

- Nerwus z niego - zauważył Bishop.

Nagle zadzwonił telefon - jego komórka - i detektyw odebrał.

- Tak? - Po chwili spytał szorstkim tonem: - Gdzie? - Zapisał coś i powiedział: -

Skierujcie tam wszystkie wolne patrole. I skontaktujcie się z policją miejską San Jose.

Szybko, nie ma czasu.

Wyłączył telefon i spojrzał na zespół.

- Coś się ruszyło. Jest zgłoszenie na nasz komunikat o poszukiwaniu wozu. Policjant z drogówki z San Jose jakieś pół godziny temu zauważył zaparkowanego nowego szarego jaguara. Samochód stał w starej części miasta, gdzie rzadko widuje się tak drogie auta. -

Podszedł do mapy i zakreślił skrzyżowanie, gdzie widziano jaguara.

- Znam trochę tę okolicę - odezwał się Shelton. - Sporo domów mieszkalnych, kilka winiarni, parę sklepów monopolowych. Dość uboga dzielnica.

Bishop pokazał mały kwadracik na mapie. Podpis brzmiał „Szkoła im. św.

Franciszka”.

- Pamiętasz tamtą sprawę sprzed kilku lat? - zapytał Sheltona detektyw.

- Aha.

- Jakiś psychopata wdarł się do szkoły i zabił ucznia czy nauczyciela. Dyrektor kazał

zamontować Bóg wie jakie zabezpieczenia - same najnowocześniejsze urządzenia. Pisały o tym wszystkie gazety. - Wskazał ruchem głowy tablicę. - Phate lubi wyzwania, pamiętacie?

- Jezu - mruknął wściekle Shelton. - Teraz zabrał się do dzieci. Bishop chwycił telefon i przekazał centrali kod alarmowy oznaczający groźbę ataku.

Nikt nie miał odwagi powiedzieć na głos tego, o czym wszyscy myśleli: że raport o odnalezieniu samochodu pochodził sprzed pół godziny. Phate miał dużo czasu, żeby przystąpić do makabrycznej rozgrywki.

Wszystko było tak jak w życiu, pomyślał Jamie Turner.

Bez fanfar, brzęczyka, głuchych grzechotów jak w filmach, nawet bez najcichszego kliknięcia, po prostu w drzwiach zgasła lampka.

W Realu nie ma efektów dźwiękowych. Robisz to, do czego się zabrałeś, i jedyną reakcją otoczenia jest tylko bezgłośnie wyłączenie małej lampki.

Wstał i zaczął nasłuchiwać. Z głębi korytarzy szkoły dobiegały odgłosy muzyki, okrzyków, śmiechu, radia - wszystko to zostawiał za sobą, wyruszając na superwieczór z bratem.

Delikatnie uchylił drzwi.

Cisza. Ani alarmu, ani krzyków Booty'ego.

Jego nozdrza wypełniło chłodne powietrze pachnące trawą. Przypomniały mu się długie samotne godziny po kolacji spędzone latem w domu rodziców w Mili Valley - Mark był wtedy w Sacramento, gdzie znalazł pracę, żeby wyrwać się z domu. Wieczory bez końca... matka częstowała Jamiego

deserami i słodyczami, żeby tylko dał jej spokój, ojciec mówił mu: „Idź się pobawić na dwór”, gdy tymczasem rodzice razem ze swoimi przyjaciółmi snuli różne bezsensowne opowieści, które z każdą butelką miejscowego wina stawały się coraz mniej wyraźne.

Idź się pobawić na dwór...

Jakby chodził do pieprzonego przedszkola!

Jednak Jamie w ogóle nie wychodził na dwór. Wchodził za to do Sieci i hakował bez opamiętania.

Takie wspomnienia wywołało w nim chłodne wiosenne powietrze. Jednak w tym momencie był zupełnie odporny na obrazy z domu rodzinnego. Podniecała go myśl o tym, że się udało i zaraz spędzi fantastyczny wieczór z bratem.

Unieruchomił zatrząsk drzwi taśmą samoprzylepną, żeby móc później wrócić do szkoły. Zatrzymał się jeszcze i odwrócił, nasłuchując. Żadnych kroków ani Booty'ego czy duchów. Postawił stopę za progiem.

Pierwszy krok na wolność. Tak! Zrobił go! Uda...

Właśnie wtedy dopadł go duch.

Nagle chwyciło go mocne męskie ramię, zaciskając się boleśnie na klatce piersiowej, a dłoń zasłoniła mu usta.

O Boże, Boże...

Jamie próbował uskoczyć, uciec z powrotem do szkoły, lecz napastnik ubrany w jakiś kombinezon roboczy był silny i powalił go na ziemię. Potem mężczyzna zerwał mu z twarzy grube nietłukące okulary.

- O, cóż tu mamy? - szepnął, ciskając okulary na ziemię i pieszczotliwie przesuwał palcami po powiekach chłopca.

- Nie, nie! - Jamie próbował zasłonić oczy rękami. - Co robisz?

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni kombinezonu przedmiot, który wyglądał jak butelka z rozpylaczem. Zbliżył to do twarzy Jamiego. Co on...

Z butelki trysnął mu prosto w oczy jakiś mlecznobiały płyn.

Chwilę później chłopiec poczuł straszliwy, palący ból i zaczął krzyczeć i trząść się w panice. Stała się rzecz, której bał się najbardziej na świecie. Będzie ślepy!

Jamie Turner zaczął wściekle potrząsać głową, usiłując pozbyć się bólu i przerażenia, ale piekło coraz mocniej. Wrzeszczał: „Nie, nie, nie...”, lecz słowa tłumiała ręka zasłaniająca mu usta.

Mężczyzna nachylił się i zaczął coś szeptać chłopcu do ucha, lecz Jamie nie miał pojęcia, co do niego mówi; ból i przerażenie trawiły go jak ogień pożerający suchy krzew.

Rozdział

00010001/siedemnasty

Frank Bishop i Wyatt Gillette minęli stare łukowe wejście szkoły im. św. Franciszka.

Ich buty skrzypiały na wystających kamieniach bruku.

Bishop skinął głową Huerto Ramirezowi, którego zwalista sylwetka wypełniała połowę wejścia i zapytał:

- To prawda?

- Taa, Frank. Przykro mi. Uciekł.

Ramirez i Tim Morgan, który teraz rozmawiał ze świadkami na ulicach wokół szkoły, byli jednymi z pierwszych na miejscu zdarzenia.

Ramirez odwrócił się i wprowadził Bishopa, Gillette'a i idących z tyłu Boba Sheltona i Patricię Nolan na teren szkoły. Dogoniła ich Linda Sanchez, która ciągnęła za sobą dużą walizkę na kółkach.

Na zewnątrz stały dwie karetki i kilkanaście radiowozów z bezgłośnie migającymi kogutami. Na chodniku po drugiej stronie ulicy tłoczył się tłum gapiów.

- Co się stało? - spytał go Shelton.

- Z tego, co już wiemy, wynika, że jaguar stał za tamtą bramą. - Ramirez wskazał na podwórko oddzielone od ulicy wysokim murem. - Podjeżdżaliśmy cicho, ale wygląda na to, że usłyszał, jak się zbliżamy, wypadł ze szkoły i uciekł. Ustawiliśmy blokady osiem i szesnaście przecznic dalej, ale jakoś się przedostał. Pewnie znał drogę przez aleje i boczne uliczki.

Gdy szli ciemnymi korytarzami, Patricia Nolan zrównała się z Gillette'em. Wydawało się, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i nie odezwała się.

Gillette nie widział po drodze żadnych uczniów; może nauczyciele nie wypuszczali ich z pokoi, dopóki nie przyjadą rodzice i psychologowie.

- Kryminalistyczny coś znalazł? - spytał Ramireza Bishop. - Wiesz, nic takiego, co pozwoliłoby nam od razu ustalić dokładny adres sprawcy.

Skręcili za róg i ujrzeni otwarte drzwi na końcu korytarza, za którymi krzątało się kilkudziesięciu policjantów i paru techników medycznych. Ramirez zerknął na Bishopa i szepnął mu coś do ucha. Bishop skinął głową, po czym zwrócił się do Gillette'a:

- Niezbyt przyjemnie to wygląda. Jak po morderstwie Andy'ego Andersona i Lary Gibson. Sprawca znowu użył noża - wbił go w serce. Ale tym razem ofiara umierała powoli.

Dość przykry widok. Może poczekasz na zewnątrz? Jeśli trzeba będzie zajrzeć do komputera, dam ci znać.

- Wytrzymam - odparł haker.

- Na pewno? - Aha.

- Ile ma lat? - spytał Ramirez Bishop. - Dzieciak? Piętnaście.

Bishop uniósł brwi, spoglądając na Patricję Nolan, pytając w ten sposób, czy też zniesie widok jatki.

- W porządku - powiedziała. Weszli do klasy.

Mimo swego wcześniejszego zapewnienia, Gillette przystanął wstrząśnięty. Krew była wszędzie. Zdumiewająco dużo - na podłodze, ścianach, krzesłach, ramach obrazów, tablicy, pulpicie. Na różnych powierzchniach krew przybrała odmienną barwę - od jasnoróżowej do prawie czarnej.

Ciało leżało pośrodku pomieszczenia pod ciemnozielonym przykryciem z gumowanego materiału. Gillette zerknął na Patricję Nolan, spodziewając się ujrzeć na jej twarzy podobny wyraz szoku. Tymczasem ona obrzuciła krótkim spojrzeniem czerwono-brunatne plamy, smugi i kałuże i zaczęła się spokojnie rozglądać, być może szukając komputera, który mieli zbadać.

- Jak chłopak się nazywa? - zapytał Bishop. Policjantka z departamentu San Jose powiedziała:- Jamie Turner.

Linda Sanchez weszła do sali i na widok krwi i zwłok głęboko wciągnęła powietrze.

Przez moment sprawiała wrażenie, jakby się wahała, czy zemdleć. W końcu wycofała się na korytarz.

Frank Bishop poszedł do sąsiedniej klasy, gdzie na krześle siedział kilkunastoletni chłopiec, obejmując się i kołysząc w przód i w tył. Gillette wszedł za detektywem.

- Jamie? - spytał Bishop. - Jamie Turner?

Chłopiec nie odpowiedział. Gillette zauważył, że ma czerwone oczy, a skóra wokół

nich wygląda na mocno podrażnioną. Bishop spojrzął na drugą osobę w sali. Był to szczupły dwudziestokilkuletni mężczyzna. Stał obok Jamiego, trzymając rękę na jego ramieniu.

- Tak, to Jamie - powiedział młody mężczyzna. - Jestem jego bratem. Mark Turner.

- Booty nie żyje - szepnął zbolalym głosem Jamie, przyciskając do oczu wilgotną chustkę.

- Booty?

Inny mężczyzna - czterdziestokilkuletni, ubrany w gabardynowe spodnie i koszulę -

przedstawił się jako wicedyrektor szkoły i powiedział:

- Chłopiec nadał mu takie przezwisko. - Wskazał salę obok, gdzie leżały zwłoki w worku. - Dyrektorowi.

Bishop kucnął przed Jamiem.

- Jak się czujesz, młody człowieku?

- On go zabił. Nożem. Wbił mu nóż, a pan Boethe ciągle krzyczał i biegał, próbował

uciec. A ja... - Głos uwiązał mu w gardle i chłopiec zaczął szlochać. Brat objął go mocniej.

- Nic mu nie jest? - spytał Bishop kobiety, której fartuch zdobił stetoskop i zaciski hemostatyczne.

- Wyjdzie z tego - odparła kobieta. - Sprawca prysnął mu w oczy wodą zmieszaną z odrobiną amoniaku i sosu Tabasco. Trochę zapiekło, ale nie stała mu się krzywda.

- Po co to zrobił? - zapytał Bishop. Wzruszyła ramionami.

- Wiem tyle, co pan.

Bishop przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało, Jamie. Wiem, że jesteś bardzo zdenerwowany, ale musisz nam powiedzieć, co widziałeś.

Po kilku minutach chłopiec uspokoił się i wyjaśnił, że wykradł się ze szkoły, żeby iść z bratem na koncert. Ale gdy tylko otworzył drzwi, złapał go mężczyzna w kombinezonie woźnego i prysnął mu czymś w oczy. Powiedział Jamiemu, że to kwas i jeżeli chłopiec zaprowadzi go do pana Boethe'a, poda mu antidotum. Gdyby jednak odmówił, kwas miał mu wyżreć oczy. Chłopcu drżały ręce i zaczął płakać.

- Bardzo się tego boi - rzekł ze złością Mark. - Że oślepnie. Ten drań jakoś się o tym dowiedział.

Bishop kiwnął głową i powiedział do Gillette'a:

- A więc celem był dyrektor. To duża szkoła - Phate'owi zależało na tym, żeby Jamie znalazł ofiarę jak najszybciej.

- Strasznie bolało! Naprawdę... Powiedziałem, że mu nie pomogę. Nie chciałem, próbowałem, ale nie mogłem nic na to poradzić. Nic... - Zamilkł.

Gillette miał wrażenie, że Jamie chce powiedzieć coś jeszcze, ale nie mógł tego z siebie wydusić.

Bishop dotknął ramienia chłopca.

- Zrobiłeś to, co było trzeba. Zrobiłeś to samo, co ja zrobiłbym na twoim miejscu, synu. Nie dręcz się tym. Powiedz mi, Jamie, wysyłałeś komuś e-mail o tym, co chciałeś wieczorem zrobić? To dla nas ważna informacja.

Chłopiec przełknął ślinę i spuścił głowę.

- Nic ci się nie stanie, Jamie. Nie martw się. Chcemy po prostu znaleźć tego człowieka.

- Chyba pisałem do brata. A potem... - Mów.

- No, później wszedłem do Sieci, żeby znaleźć hasła i tak dalej. Kody dostępu do głównej bramy. Musiał się wtedy włamać do mojego komputera i to zobaczyć, dlatego dostał

się na dziedziniec.

- A twoja obawa przed ślepotą? Też mógł o tym przeczytać w poczcie elektronicznej?

Jamie znów kiwnął głową.

- Czyli Phate zrobił sobie z Jamiego żywego Trapdoora, dzięki któremu dostał się do środka.

- Byłeś naprawdę dzielny, młody człowieku - rzekł ciepło Bishop. Ale chłopiec wyglądał, jak gdyby te słowa nie przyniosły mu żadnej pociechy.

Technicy medyczni zabrali ciało dyrektora, a policjanci naradzali się w korytarzu razem z Gillette'em i Patricią Nolan. Shelton relacjonował, czego się dowiedział od ludzi z wydziału kryminalistycznego.

- Ci od śladów gówno znaleźli. Mają kilkadziesiąt odcisków palców - sprawdzą je, ale wiemy już, że to Holloway. Miał buty bez żadnego charakterystycznego bieżnika. W sali są miliony różnych włókien. Laboratorium miałoby roboty na rok. Aha, znaleźli to. Należało do tego małego Turnera.

Wręczył kartkę Bishopowi, który ją przeczytał i podał Gillette'owi.

Najprawdopodobniej były to notatki chłopca na temat łamania kodu dostępu i wyłączenia alarmu w drzwiach.

- Nikt nie ma pewności, gdzie stał zaparkowany jaguar - odezwał się Huerto Ramirez.

- W każdym razie deszcz i tak zmył ślady opon. Przy drodze leżą tony śmieci, ale kto wie, co wyrzucił morderca?

- Phate to cracker - powiedziała Patricia Nolan. - Przestępca zorganizowany. Na pewno nie będzie rozrzucał reklamówek pocztowych z własnym adresem, kiedy osacza ofiarę.

- Tim ciągle łązi po ulicy z paroma gliniarzami z centrali - ciągnął Ramirez - ale nikt niczego nie widział.

Bishop spojrział na Nolan, Sanchez i Gillette'a.

- Dobra, zabezpieczyć komputer chłopaka i sprawdzić.

- Gdzie jest? - zapytała Linda Sanchez.

Wicedyrektor powiedział, że zaprowadzi ich do szkolnej pracowni komputerowej.

Gillette wrócił do sali, gdzie siedział Jamie i zapytał go, z której maszyny korzystał.

- Numer trzy - odparł ponuro chłopiec, dalej przyciskając chustkę do oczu.

Cały zespół ruszył ciemnym korytarzem. Po drodze Linda Sanchez zadzwoniła ze swojej komórki. Dowiedziała się - jak domyślił się Gillette - że córce jeszcze nie zaczął się poród. Wyłączyła aparat, mówiąc: „Dios”.

Kiedy znaleźli się w piwnicznej sali komputerowej, chłodnym i przygnębiającym pomieszczeniu, Gillette, Nolan i Sanchez podeszli do komputera z nalepką „Nr 3”. Gillette poprosił Lindę Sanchez, żeby na razie nie uruchamiała żadnego ze swoich programów

„przekopujących” dysk. Usiadł przed monitorem i powiedział:

- O ile wiemy, demon Trapdoor jeszcze nie dokonał samozniszczenia. Spróbuję się dowiedzieć, w którym miejscu systemu się zagnieździł.

Nolan rozejrzała się po wilgotnej gotyckiej sali. - Mam wrażenie, jakby to była scena z „Egzorcysty”... atmosfera grozy i opętanie przez demona.

Gillette uśmiechnął się słabo. Włączył komputer i sprawdził menu główne. Następnie uruchamiał różne aplikacje - edytor tekstów, arkusz kalkulacyjny, program faksowy, skaner antywirusowy, narzędzia dyskowe, parę gier, parę przeglądark internetowych i program do łamania haseł, najprawdopodobniej napisany przez Jamiego (Gillette zauważył, że był to dość odporny kod jak na nastolatka).

Stukając w klawisze, patrzył uważnie na ekran, obserwując, jak szybko znak pojawia się monitorze. Słuchał odgłosów pracy twardego dysku, chcąc sprawdzić, czy nie wydaje dźwięków niezgodnych z wykonywanym właśnie zadaniem.

Patricia Nolan usiadła obok niego, również patrząc w ekran.

- Czuję tego demona - szepnął Gillette. - Ale to dziwne... jakby krążył. Skacze z programu do programu. Kiedy tylko jakiś otworzę, przenosi się do następnego - może po to, żeby sprawdzić, czy go szukam. Kiedy uzna, że nie, wychodzi... Ale musi gdzieś rezydować na stałe.

- Gdzie? - spytał Bishop.

- Zobaczymy, czy uda się to sprawdzić. - Gillette otworzył i zamknął kilkanaście programów, potem kilkanaście innych, cały czas wściekle waląc w klawiaturę. - Dobra, w porządku... to najbardziej powolny katalog. - Spojrzał na listę plików, po czym zaśmiał się krótko. - Wiedzie, dokąd zabłądził Trapdoor?

- Gdzie?

- Do foldera gier. W tym momencie siedzi w pasjansie.

- Gdzie?

- W grze karcianej.

- Ale gry są zainstalowane w prawie każdym nowym komputerze w Ameryce -
powiedziała Sanchez.

- Dlatego pewnie Phate napisał kod tak, a nie inaczej - odrzekła Patricia Nolan.

Bishop pokręcił głową.

- Czyli każdy komputer z tą grą może mieć Trapdoora? - zapytał Bishop.

- Co by się stało, gdybyś zablokował albo usunął pasjansa? - spytała Nolan.

Dyskutowali o tym przez chwilę. Gillette był bardzo ciekawy, jak działa Trapdoor, i chciał wyciągnąć program i dokładnie go zbadać. Gdyby usunęli grę, demon mógł dokonać samozniszczenia - ale informacja o tym dawała im broń do ręki; każdy, kto podejrzewał

istnienie demona w komputerze, mógł po prostu usunąć grę. Postanowili skopiować zawartość twardego dysku komputera, z którego korzystał Jamie, a potem Gillette miał usunąć pasjansa i zobaczyć, co się stanie.

Gdy Sanchez skończyła kopiowanie zawartości dysku, Gillette skasował pasjans.

Zauważył jednak pewne opóźnienie wykonania operacji usuwania programu. Znow włączył i wyłączył kilka programów, po czym zaśmiał się z goryczą.

- Ciągle tam jest. Przeskoczył do innego programu i ma się świetnie. Jak on to, do diabła, zrobił?

Demon wyczuł, że jego kryjówka ma zostać zniszczona i opóźnił usunięcie programu na tyle, by uciec z pasjansa i usadowić się w innym programie.

Gillette wstał i pokręcił głową.

- Więcej nic tu nie mogę zrobić. Zabierzmy komputer do CCU i wtedy...

Nagle przy wejściu zakotłowało się i drzwi do sali komputerowej otworzyły się z hukiem pękającego szkła. Pomieszczenie wypełnił przeraźliwy krzyk, a do komputera przypadła jakaś postać. Patricia Nolan osunęła się na kolana, wydając zduszony okrzyk zaskoczenia.

Bishop odskoczył na bok. Linda Sanchez usiłowała wyciągnąć broń.

Gillette zdążył się schylić, unikając zderzenia z krzesłem, które przeleciało tuż obok jego głowy i trafiło w monitor, przed którym chwilę wcześniej siedział.

- Jamie! - zawołał ostrym tonem wicedyrektor. - Nie!

Ale chłopiec zrobił szeroki zamach i drugi raz grzmotnął krzesłem w monitor, który rozbił się z głuchym hukiem, przyskajac dookoła odłamkami szkła. Ze szczątków urządzenia uniósł się dym.

Administrator chwycił krzesło i wyrwał je z rąk Jamiego, a potem odciągnął chłopca na bok i pchnął go na podłogę.

- Cóż ty, u diabła, wyprawiasz, mój panie?

Jamie wygramolił się na nogi, pochlipując i znów zamierzył się na komputer.

Powstrzymali go Bishop i administrator.

- Rozwalę to! Ta maszyna go zabiła! Zabiła pana Boethe'a!

- Przestań w tej chwili, młody człowieku! - wrzasnął na niego wicedyrektor. - Nie pozwolę moim uczniom na takie zachowanie!

- Ręce przy sobie, kurwa! - rzucił wściekle Jamie. - Maszyna go zabiła, a ją zabiję ją! -

Trząsł się ze wzburzenia.

- Panie Turner, proszę się natychmiast uspokoić! Nie zamierzam tego powtarzać.

Po chwili do sal wbiegł Mark, brat Jamiego. Otoczył ramieniem chłopca, który padł mu ze szlochem w objęcia.

- Uczniowie muszą umieć się zachować - powiedział wstrząśnięty administrator, spoglądając na spokojne twarze członków zespołu CCU. - Takie mamy zasady.

Bishop zerknął na Lindę Sanchez, która oglądała zniszczenia.

- Procesor centralny ocalał. Zniszczył tylko monitor.

Wyatt Gillette ustawił dwa krzesła w rogu sali i gestem zaprosił Jamiego, by usiadł.

Chłopiec popatrzył na brata, który przyzwalająco skinął głową, więc usiadł obok hakera.

- Chyba spieprzyła mu się gwarancja - powiedział ze śmiechem Gillette, wskazując monitor.

Przez twarz Jamiego przemknął blady uśmiech, który zniknął niemal w tym samym momencie, kiedy się pojawił. Po chwili chłopiec rzekł:

- To moja wina, że Booty zginął. - Spojrzał na Gillette'a. - Złamałem kod do bramy, ściągnąłem schemat instalacji alarmowej... szkoda, że to ja nie umarłem! - Otarł twarz rękawem.

Gillette dostrzegł, że tym razem chłopiec znów nie powiedział wszystkiego.

- Powiedz mi, śmiało - zachęcił go łagodnie. Chłopiec spuścił głowę i w końcu rzekł:

- Ten człowiek... mówił, że gdybym nie hakował, pan Boethe dalej by żył. To ja go zabiłem. I nie powinienem już nigdy dotykać komputera, bo mógłbym zabić kogoś jeszcze.

Gillette kręcił głową.

- Nie, nie, Jamie. Człowiek, który to zrobił, to kompletny świr. Wbił sobie do łba, że zabije twojego dyrektora i nic nie mogło mu w tym przeszkodzić. Gdyby nie wykorzystał

ciebie, wykorzystałby kogoś innego. Mówił ci takie rzeczy, bo się ciebie boi.

- Boi się? Mnie?

- Obserwował cię, przyglądał się, jak piszesz skrypty i hakujesz. Przestraszył się tego, co mógłbyś mu kiedyś zrobić.

Jamie milczał.

Gillette wskazał dymiący monitor.

- Nie uda ci się rozwalić wszystkich maszyn na świecie. - Ale tę mogłem rozpieprzyć!

- rzucił wściekle.

- To tylko narzędzie - rzekł cicho Gillette. - Niektórzy włamują się do domów innych, używając śrubokrętów. Nie można pozbyć się wszystkich śrubokrętów.

Jamie oparł się o stos książek i zaniósł płaczem. Gillette otoczył go ramieniem.

- Już nigdy nie siądę przed żadnym pieprzonym komputerem. Nienawidzę ich!

- No to będziemy mieli problem. Chłopiec znów otarł twarz.

- Problem?

- Widzisz, potrzebujemy twojej pomocy - odparł Gillette.

- Wy, mojej?

Haker wskazał maszynę ruchem głowy. - Ty napisałeś ten skrypt? „Crackera”?

Chłopiec skinął głową.

- Jesteś dobry, Jamie. Naprawdę dobry. Niektórzy sysadmini nie umieliby sobie z tym poradzić. Zabierzemy ze sobą komputer do analizy. Ale resztę zamierzałem zostawić tutaj i miałem nadzieję, że do nich zajrzysz i spróbujesz znaleźć coś, co mogłoby nam pomóc złapać tego gnojka.

- Chcecie, żebym to zrobił? - Wiesz, kto to jest biały haker?

- Tak. Dobry haker, który pomaga szukać złych hakerów. - Zostaniesz naszym białym hakerem? Policja stanowa ma za mało ludzi. Może znajdziesz coś, czego my nie zauważymy.

Chłopiec wyglądał, jakby się teraz wstydził, że płakał. Ze złością otarł twarz.

- Nie wiem. Chyba nie chcę.

- Przydałaby nam się twoja pomoc.

- Dobrze, Jamie - odezwał się wicedyrektor. - Czas wracać do pokoju.

- Nie ma mowy - zaprotestował brat chłopca. - Dzisiaj tu nie zostanie. Idziemy na koncert, a potem Jamie nocuje u mnie.

Wicedyrektor odparł nieugięcie:

- Nie. Musi mieć na to pisemną zgodę rodziców, z którymi nie udało się nam skontaktować. Mamy swój regulamin i nawet po tym wszystkim - nieokreślonym gestem wskazał w stronę miejsca zbrodni - nie odstępimy od niego.

Mark Turner nachylił się i syknął mu do ucha:

- Jezu, mógłby pan chyba trochę mu poluzować? Dzieciak przeżył najgorszy wieczór w swoim życiu, a pan...

- Pan akurat nie ma głosu w sprawie moich stosunków z uczniami - przerwał mu administrator.

- Ale ja mam - włączył się Frank Bishop. - Jamie ani nie zostanie tutaj, ani nie pójdzie na żaden koncert. Pojedzie z nami do centrali policji i złoży zeznanie. Potem odwieziemy go do rodziców.

- Nie chcę tam jechać - powiedział ze smutkiem chłopiec. - Nie do rodziców.

- Obawiam się, że nie mam wyboru, Jamie - odparł detektyw. Chłopiec westchnął i przez chwilę

wyglądał, jakby znów miał się rozpłakać.

Bishop spojrzał na wicedyrektora i rzekł:

- Zajmę się tym. Pan będzie tu miał dziś sporo pracy z resztą chłopców.

Mężczyzna zmierzył detektywa pełnym niesmaku spojrzeniem, potem popatrzył na rozbite drzwi i wyszedł z sali komputerowej.

Frank Bishop uśmiechnął się i powiedział do chłopca:

- W porządku, młody człowieku, możesz iść z bratem. Pewnie spóźnicie się na pierwszą część koncertu, ale jeżeli się pospieszycie, zobaczycie główną atrakcję wieczoru.

- A rodzice? Mówił pan...

- Zapomnij o tym, co mówiłem. Zadzwoń do twoich rodziców i powiem im, że nocujesz u brata. - Spojrzał na Marka. - Proszę pamiętać, żeby zdążył na lekcje jutro rano.

Chłopiec nie był w stanie się uśmiechnąć - po tym, co się stało - ale słabym głosem bąknął: „Dziękuję”, a później podszedł do drzwi.

Mark Turner uściśnął detektywowi rękę.

- Jamie - zawołał Gillette. Chłopiec odwrócił się.

- Pomyśl o tym, o co cię prosiłem. Że mógłbyś nam pomóc. Jamie patrzył przez chwilę na dymiący monitor. Odwrócił się i wyszedł bez słowa.

- Sądziś, że mógłby coś znaleźć? - zapytał Gillette'a Bishop.

- Nie mam pojęcia. Nie dlatego prosiłem go o pomoc. Doszedłem do wniosku, że po czymś takim trzeba go posadzić z powrotem na konia, który go zrzucił. - Wskazał notatki Jamiego. - Jest naprawdę świetny. Gdyby trwale zraził się do komputerów, byłby to niewybaczalny grzech.

Detektyw zaśmiał się krótko.

- Im lepiej cię znam, tym częściej wydaje mi się, że nie jesteś typowym hakerem.

- Kto wie? Może nie jestem.

Gillette pomógł Lindzie Sanchez odłączyć komputer - współsprawcę śmierci biednego Willema Boethe'a. Linda opakowała maszynę pokrowcem ochronnym i przypięła do wózka bardzo ostrożnie, jak gdyby bała się, że silniejszy wstrząs mógłby usunąć ulotne i kruche ślady, jakie zostawił w niej ich przeciwnik.

W siedzibie CCU śledztwo utknęło.

Ani razu nie rozległ się sygnał, którym bot zawiadomiłby, że znalazł w Sieci wzmiankę o Phacie lub Shawnie, Trzy-X też więcej nie pojawił się online.

Tony Mott, który wciąż wydawał się niepokieszony, że nie mógł zagrać „prawdziwego gliny”, ślęczał markotny nad dokumentami, w których razem z Millerem sporo już zapisali, podczas gdy reszta zespołu była w szkole im. św. Franciszka.

- Ani w VICAP-ie, ani w stanowych bazach danych nie było nic ciekawego pod nazwiskiem „Holloway”. Brakuje wielu plików, a z tych, co zostały, gówno się można dowiedzieć.

- Rozmawialiśmy z ludźmi z firm, w których pracował Holloway - ciągnął Mott. -

Western Electric, Apple i Nippon Electronics - czyli NEC. Ci, którzy go pamiętają, mówili, że był świetnym kodologiem... i doskonałym socjotechnikiem.

- TMS IDK - wyrecytowała Linda Sanchez. Gillette i Patricia Nolan parsknęli śmiechem.

Mott przetłumaczył Bishopowi i Sheltonowi kolejny akronim z Błękitnej Pustki.

- „Tyle to i ja wiem”*. * *Tell me something I don't know*. Ale, tu niespodzianka - ciągnął - z wydziału kadr i wydziału kontroli zniknęła cała jego kartoteka.

- Potrafię zrozumieć, jak się włamuje do komputera i usuwa informacje - powiedziała Linda Sanchez.

- Ale w jaki sposób pozbywa się drewna?

- Czego? - spytał Shelton.

- Papierowej kartoteki - objaśnił Gillette. - Ale to proste; włamuje się do komputera kartoteki, gdzie zostawia służbową notatkę dla personelu, żeby zniszczyli dokumenty.

Mott dodał, że zdaniem niektórych pracowników ochrony firm, w których pracował

Phate, haker zarabiał na życie - i być może nadal tak zarabia - pośrednicząc w handlu kradzionymi częściami superkomputerów, na które był spory popyt, zwłaszcza w Europie i krajach Trzeciego Świata.

Na moment odżyła w nich nadzieja, ponieważ zadzwonił Ramirez z informacją, że w końcu dowiedział się czegoś od właściciela sklepu „Rekwizyty Teatralne Olliego”. Człowiek spojrział na zdjęcie młodego Jona Hollowaya i potwierdził, że w ciągu zeszłego miesiąca ten człowiek kilka razy odwiedził sklep. Właściciel nie potrafił sobie przypomnieć, co dokładnie kupował, ale pamiętał, że były to duże zakupy i klient płacił gotówką. Właściciel nie miał

pojęcia, gdzie mieszka Holloway, lecz pamiętał krótką rozmowę z nim. Zapytał Hollowaya, czy jest aktorem, a jeśli tak, to czy trudno mu znaleźć pracę.

Morderca odparł: „Nie, to wcale nie jest trudne. Gram dosłownie codziennie”.

Pół godziny później Frank Bishop przeciągnął się i rozejrzał po zagrodzie dinozaura.

W biurze panowała atmosfera odrętwienia. Linda Sanchez rozmawiała przez telefon z córką. Stephen Miller siedział samotnie, przeglądając z posępną miną notatki, być może wciąż rozpamiętując swój błąd w anonimizerze, przez który umknął im Trzy-X. Gillette był w laboratorium, badając zawartość komputera Jamiego Turnera. Patricia Nolan zajęła boks obok, skąd rozmawiała przez telefon. Bishop nie wiedział, gdzie jest Bob Shelton.

Zadzwonił telefon detektywa i Bishop odebrał. Zgłosił się patrol drogówki. Policjant na motocyklu znalazł jaguara Phate'a w Oakland.

Nie było żadnego dowodu, który mógł łączyć samochód z osobą hakera, ale to musiał

być jego wóz; jedynym powodem oblania benzyną auta wartego sześćdziesiąt tysięcy dolarów i podpalenia go musiała być chęć zniszczenia dowodów.

Według wydziału kryminalistyki ogień doskonale sobie poradził z tym zadaniem; nie zostało nic, co mogłoby pomóc w śledztwie zespołowi z CCU.

Bishop wrócił do wstępnego raportu wydziału kryminalistyki ze szkoły im. św.

Franciszka. Huerto Ramirez opracował go w rekordowym czasie, jednak tu też nie było nic godnego szczególnej uwagi. Narzędziem zbrodni znów okazał się nóż Ka-bar. Nie można było ustalić miejsca pochodzenia taśmy, którą skrupowano Jamiego Turnera, ani sosu Tabasco czy amoniaku, które dostały się do oczu chłopca. Znaleziono mnóstwo odcisków palców Hollowaya, ale co z tego, skoro i tak znali już jego tożsamość.

Bishop podszedł do tablicy i dał znak Motcie, by rzucił mu pisak. Detektyw zanotował

te szczegóły, ale kiedy zaczął pisać „Odciski palców”, znieruchomiał.

Odciski palców Phate'a...

Płonący jaguar...

Z jakiegoś powodu zaniepokoiły go te fakty. Dlaczego? W zamyśleniu potarł

bokobrody kostkami dłoni.

Wykombinuj coś z tego...

Pstryknął palcami.

- Co jest? - zapytała Linda Sanchez. Mott, Miller i Nolan spojrzeli na niego.

- Tym razem Phate nie miał rękawiczek.

W restauracji „Vesta Grill”, porywając Larę Gibson, Phate dokładnie owinał butelkę piwa serwetką, żeby nie zostawić odcisków. W szkole nie zawracał sobie tym głowy.

- Czyli wie, że znamy jego prawdziwą tożsamość. - Po chwili detektyw dodał: - To samo z samochodem. Zniszczył go, bo orientuje się, że już wiemy, że jeździ jaguarem. Skąd to może wiedzieć?

W prasie nie pojawiło się ani jego nazwisko, ani informacja o tym, że jeździ jaguarem.

- Sądziś, że mamy szpiega? - spytała Linda Sanchez. Bishop znów zatrzymał wzrok na tablicy, gdzie zapisał imię

„Shawn”. Tajemniczy wspólnik Phate’a. Wskazał je i zapytał:

- Jaki jest cel jego gry? Znaleźć ukryty sposób uzyskania dostępu do ofiary.

- Sądziś, że Shawn jest żywym Trapdoorem? - odezwała się Nolan. - Wtyczką?

Tony Mott wzruszył ramionami.

- Może to dyżurny w centrali? Albo któryś z policjantów? - Albo ze Stanowego Centrum Zarządzania Danymi Kalifornii? - podsunął Miller.

- A może - warknął męski głos - Shawn to Gillette?

Bishop odwrócił się i ujrzał Boba Sheltona stojącego przed boksem znajdującym się w głębi biura.

- O czym ty mówisz? - zdumiała się Patricia Nolan. - Podejdźcie tu - rzekł detektyw.

Monitor stojącego w boksie komputera wyświetlał jakiś tekst. Shelton usiadł za biurkiem i przewinął obraz na ekranie, gdy tymczasem reszta zespołu wcisnęła się do ciasnej przegródki.

Linda Sanchez spojrzała na ekran.

- Jesteś w ISLEencie - powiedziała lekko zaniepokojona. - Gillette mówił, żebyśmy nie logowali się do niego z biura.

- Jasne, że tak mówił - odburknął gorzko Shelton. - A wiecie dlaczego? Bo się bał, że znajdziemy to. - Przewinął tekst do dołu i wskazał ekran. - To stary raport Departamentu Sprawiedliwości, który znalazłem w archiwum okręgu Contra Costa. Może Phate skasował

kopię z Waszyngtonu, ale tę przegapił. - Stuknął palcem w monitor. - To Gillette był

Valleymanem. Obaj z Hollowayem byli w tym gangu - Rycerzach Dostępu. Oni go założyli.

- Cholera jasna - mruknął Miller.

- Nie - wyszeptał Bishop. - Niemożliwe.

- Nas też skurwiel wykiwał socjotechnicznie! - prychnął Tony Mott.

Bishop zamknął oczy, porażony zdradą.

- Gillette i Holloway znają się od wielu lat - mruknął Shelton. - „Shawn” to może być jeden z pseudonimów Gillette’a. Pamiętajcie, jak naczelnik mówił, że złapali go kiedyś online.

Pewnie kontaktował się wtedy z Phate’em. Może to od początku był plan wyciągnięcia Gillette’a z więzienia. Co za pieprzony skurwysyn.

- Ale Gillette zaprogramował bota, żeby poza Hollowayem i Phate’em szukał też Valleymana - zauważyła Patricia Nolan.

- Mylisz się. - Shelton przysunął Bishopowi wydruk. - Zobacz, jak zmodyfikował program.

Wydruk brzmiał:

Szukaj w: IRC, Undernet, Dalnet, WAIS, gopher, Usenet, BBS, WWW, FTP, archiwa.

Szukaj: [Phate LUB Holloway LUB „Jon Patrick Holloway” LUB „Jon Holloway”] NIE Valleyman LUB Gillette

Bishop pokręcił głową.

- Nie rozumiem.

- Sformułował kwerendę w ten sposób - powiedziała Nolan - żeby bot wyszukiwał

wszystkie wzmianki o Phacie, Hollowayu albo Trapdoorze, ale tylko takie, w których nie pojawia się „Gillette” albo „Yalleyman”. Te będzie ignorował.- To on ostrzegł Phate’a -

ciągnął Shelton. - Dlatego Phate zdążył uciec ze szkoły św. Franciszka. Gillette powiedział mu, że wiemy, jakim jeździ samochodem, więc spalił jaguara.

- I jak się upierał, że chce zostać i pomagać nam, pamiętacie? - dodał Miller.

- Jasne, że się upierał - odrzekł Shelton, kiwając głową. - Inaczej straciłby okazję...

Detektywi spojrzeli po sobie.

-...okazję do ucieczki - dokończył szeptem Bishop. Rzucili się w stronę korytarza, gdzie znajdowało się laboratorium. Bishop zauważył, że Shelton wyciągnął broń.

Pracownia była zamknięta na klucz. Bishop zaczął łomotać do drzwi, lecz nie usłyszeli żadnej odpowiedzi. - Klucz! - krzyknął do Millera.

- Pieprzyć klucz - warknął Shelton i kopnął drzwi, unosząc broń.

Pomieszczenie było puste.

Bishop pobiegł na koniec korytarza i pchnął drzwi do magazynu w głębi budynku.

Zobaczył wyjście pożarowe wychodzące na parking. Drzwi były szeroko otwarte.

Mechanizm alarmu pożarowego został zdemontowany - to samo zrobił Jamie Turner, próbując wymknąć się ze szkoły.

Bishop zamknął oczy, opierając się o wilgotną ścianę. Myśl o zdradzie przeszła go zimnem jak stalowe ostrze noża, który Phate wbijał w serca ofiar.

- Im lepiej cię znam, tym częściej wydaje mi się, że nie jesteś typowym hakerem.

- Kto wie? Może nie jestem.

Detektyw odwrócił się i popędził z powrotem do głównego biura. Zadzwoił do Biura Koordynacji Departamentu Więziennictwa w okręgu Santa Clara. Przedstawił się i powiedział:

- Zgłaszam ucieczkę więźnia z bransoletą identyfikacyjną. Potrzebujemy namiaru.

Podaję numer identyfikatora. - Zajrzał do notatnika. - Numer...

- Mógłby pan zadzwonić później, poruczniku? - odezwał się znużony głos.

- Później? Przepraszam, ale chyba pan nie zrozumiał. Właśnie uciekł nam więzień.

Nie dawniej niż pół godziny temu. Musimy go zlokalizować.

- W ogóle nie możemy nikogo zlokalizować. Zawiesił się cały system. Rozwalił się jak Hindenburg. Nasi technicy nie mają pojęcia, co się stało.

Bishop poczuł lodowaty dreszcz przebiegający całe ciało.

- Proszę im powiedzieć, że mieliście włamanie do systemu - powiedział. - To się stało.

Głos po drugiej stronie zaśmiał się z pobłażaniem.

- Naoglądał się pan filmów, detektywie. Nikt nie może się włamać do naszych komputerów. Proszę zadzwonić za trzy, cztery godziny. Nasi ludzie mówią, że do tego czasu wszystko powinno zacząć działać.

Socjotechnika

Jedną z rzeczy, jakie zlikwiduje następna fala komputeryzacji, będzie anonimowość.

„*Newsweek*”

Rozdział

0010010/osiemnasty

Rozbiera wszystkie rzeczy na części.

Zdyszany Wyatt Gillette biegi chodnikiem w Santa Clara w chłodnym wieczornym deszczu, czując ostry ból w piersi. Minęło już wpół do dziesiątej, a jego dzieliły od biura CCU prawie dwie mile.

Znał tę dzielnicę - niedaleko stał dom, w którym mieszkał jako chłopiec - i przypomniał sobie, jak kiedyś matka powiedziała przyjaciółce, która spytała ją, czy dziesięcioletni Wyatt woli baseball czy piłkę nożną: „Och, on w ogóle nie lubi sportu. Ma chyba tylko jedno zainteresowanie. Rozbiera wszystkie rzeczy na części”.

Zbliżył się do niego radiowóz, więc Gillette zwolnił do szybkiego marszu, chowając głowę pod parasolem, który znalazł w laboratorium.

Samochód zniknął, mijając go z pełną prędkością. Haker znów przyspieszył. System lokalizujący jego bransoletę nie będzie działał przez kilka godzin, ale nie mógł sobie pozwolić na marudzenie.

Rozbiera wszystkie rzeczy na części...

Natura pokarała Wyatta Edwarda Gillette'a chorobliwą ciekawością, która zdawała się gwałtownie rosnać z każdym kolejnym rokiem. Na szczęście obdarowała go równocześnie zręcznymi dłońmi i wyjątkową bystrością, które w większości wypadków pozwalały mu zaspokoić obsesję.

Celem jego życia stało się zrozumienie, jak wszystko działa, a istniał tylko jeden sposób, aby to osiągnąć: rozebrać wszystko na części.

Nic w domu Gillette'ów nie mogło się obronić przed chłopcem i jego zestawem narzędzi.

Po powrocie z pracy matka zastawała małego Wyatta siedzącego przed robotem kuchennym i wnikliwie badającego elementy urządzenia.

- Wiesz, ile to kosztowało? - pytała go ze złością. Nie wiedział i nic go to nie obchodziło.

Lecz dziesięć minut później maszyna była cała i sprawna, jak gdyby w ogóle jej nie demontowano.

Operacja na robocie „Cuisinart” odbyła się, gdy chłopiec miał zaledwie pięć lat.

Później rozebrał i złożył z powrotem wszystkie urządzenia mechaniczne, jakie były w domu. Zrozumiał działanie wielokrążków, kół, przekładni i silników, które zaczęły go nudzić, więc zabrał się do elektroniki. W ciągu następnego roku polował na radia, gramofony i magnetofony.

Rozbierał je na części, składał z powrotem...

W niedługim czasie zgłębił tajniki lamp elektronowych i płytek drukowanych i jego ciekawość znów ruszyła na poszukiwania jak tygrys, w którym obudził się głód.

Wtedy odkrył komputery.

Pomyślał o swoim ojcu, wysokim mężczyźnie, który po służbie w lotnictwie zachował

nienaganną postawę i zawsze miał starannie przystrzyżone włosy. Kiedy Wyatt miał osiem lat, ojciec wziął go sklepu sieci Radio Shack i powiedział, że może sobie coś wybrać.

- Możesz wziąć, co tylko zechcesz.

- Co zechcę? - spytał chłopiec, oglądając setki rzeczy na półkach.

Co tylko zechcesz...

Wybrał komputer.

Doskonały wybór dla chłopca, który wszystko rozbiera na części - ponieważ niewielki komputer TRS-80 był bramą do Błękitnej Pustki, świata nieskończenie głębokiego i wielowarstwowego, złożonego z elementów wielkości cząsteczek i ogromnego jak wybuchający Wszechświat. Tam ciekawość mogła wędrować wiecznie.

Ale szkoły wołały, aby uczniowie byli przede wszystkim posłuszni, a dopiero potem ciekawi, jeżeli w ogóle stawiały taki wymóg. Przechodząc z klasy do klasy, młody Wyatt Gillette zaczął tonąć.

Zanim jednak sięgnął dna, mądry pedagog wyłuskał go z tłumu uczniów szkoły średniej, ocenił i wysłał do specjalistycznej szkoły nr 3 w Santa Clara.

Szkołę nazywano „azylem dla utalentowanych, ale trudnych uczniów z Doliny Krzemowej” - co oczywiście można było tłumaczyć tylko w jeden sposób: raj dla hakerów. W

ciągu typowego dnia w „Trójce” typowy uczeń zwykle opuszczał lekcje wychowania fizycznego i angielskiego, znosił historię i zbierał piątki na matematyce i fizyce, koncentrując się przede wszystkim na swoim głównym szkolnym zajęciu: niekończących się rozmowach z kumplami o Świecie Maszyn.

Maszerując teraz mokrym chodnikiem niedaleko tej właśnie szkoły, wspominał swoje pierwsze doświadczenia z Błękitnej Pustki.

Gillette doskonale pamiętał, jak siedział na podwórku szkoły, godzina za godziną ćwicząc gwizdanie.

Jeżeli udało się wydobyć z gwizdka dźwięk o właściwej wysokości do zabezpieczonego automatu telefonicznego, można było oszukać centralę, która brała dzwoniącego za inną centralę i nagradzała złotym pierścieniem DOSTĘPU. (Wszyscy słyszeli o Kapitanie Crunchu - młodym hakerze, który przybrał pseudonim po nazwie płatków śniadaniowych. Dołączano do nich gwizdki, które, jak odkrył haker, wydają tony o częstotliwości 2600 herców, akurat takie, aby można uzyskać dostęp do zamiejscowych linii i dzwonić za darmo).

Przypominał sobie godziny spędzone w szkolnej stołówce pachnącej mokrym surowym ciastem albo we wspólnej sali, albo w zielonych korytarzach, na długich rozmowach o jednostkach centralnych, kartach graficznych, BBS-ach, wirusach, dyskach wirtualnych, hasłach, rozszerzalnej pamięci RAM i o biblii - czyli powieści Williama Gibsona

„Neuromancer”, która spopularyzowała termin „cyberprzestrzeń”.

Przypominał sobie, jak pierwszy raz włamał się do komputera rządowego i jak pierwszy raz został zatrzymany i aresztowany za hakerstwo - miał siedemnaście lat, więc nie był jeszcze pełnoletni. (Mimo to musiał odsiedzieć wyrok; sędzia był surowy dla chłopców, którzy przejmują root mainframe'u spółki Ford Motor Company, zamiast grać w baseball - a jeszcze większą surowość okazywał chłopcom, którzy mieli czelność pouczyć go, że świat byłby dziś w zupełnie innym miejscu rozwoju, gdyby Thomas Alva Edison zamiast wynalazkami zajmował się sportem). Jednak najbardziej wyraziste wspomnienie, jakie stało mu przed oczami, wiązało się z wydarzeniem, do którego doszło kilka lat po ukończeniu przez niego Berkeley: pierwsze spotkanie na kanale IRC-u #hack z młodym hakerem używającym pseudonimu CertainDeath, czyli Jonem Patrickiem Hollowayem.

Gillette w ciągu dnia pracował jako programista. Lecz jak wielu stukaczy nudziło go to zajęcie i liczył godziny do chwili, gdy mógł wrócić do domu i wyruszać w Błękitną Pustkę, gdzie spotykał bratnie dusze, z których jedną na pewno był Holloway; ich pierwsza rozmowa online trwała cztery i pół godziny.

Z początku wymieniali się informacjami na temat phreakingu. Potem wypróbowali teorię w praktyce, dokonując według ich określenia „totalnych gigahaków” do central Pac Bell, AT&T i British Telecom.

Po tak skromnym starcie zaczęli grasować w komputerach różnych firm i agend rządowych. Było o nich coraz głośniej i wkrótce zaczęli ich szukać inni hakerzy, przeczesując Sieć uniksowym programem „finger”, aby potem sięść u wirtualnych stóp swoich guru i słuchać ich nauk. Mniej więcej po roku spotkań online w dość stałym gronie Gillette i Holloway zorientowali się, że zostali cybergangiem - i to nawet legendarnym. CertainDeath, przywódca i autentyczny czarodziej. Valleyman, zastępca głównodowodzącego, filozof grupy, prawie tak dobry kodolog jak CertainDeath. Sauron i Klepto, trochę mniej zdolni, ale szaleni i gotowi na wszystko. Byli też inni: Mosk, Replicant, Grok, NeRO, BYTEr...

Potrzebowali nazwy, którą wymyślił Gillette: „Rycerze Dostępu” przyszli mu do głowy po szesnastu godzinach spędzonych w średniowiecznej grze MUD.

Ich sława obiegła cały świat - głównie dlatego, że pisali programy, dzięki którym komputery

dokonywały zdumiewających rzeczy. Bardzo wielu hakerów i cyberpunków w ogóle nie znało się na programowaniu - mówiło się o nich z pogardą „klikacze”. A przywódcy Rycerzy byli zdolnymi programistami obdarzonymi takim talentem, że nie zawracali sobie nawet głowy kompilowaniem swoich dzieł - robiąc działający program z surowego kodu źródłowego - bo świetnie wiedzieli, jak program będzie pracował. (Elana - była żona Gillette'a, którą poznał mniej więcej w tym czasie - była nauczycielką gry na fortepianie i mówiła, że Gillette i Holloway przypominają jej Beethovena, który tak doskonale wyobrażał

sobie swoją muzykę, że jej wykonanie mogło się okazać wielkim rozczarowaniem).

Pomyślał o swojej byłej żonie. Niedaleko stąd było mieszkanie o beżowych ścianach, gdzie spędzili z Elaną kilka lat. Miał w pamięci tysiące niezwykle wyraźnych obrazów z tamtych czasów. Ale w przeciwieństwie do systemu operacyjnego Unix czy koprocatora matematycznego jego związek z Elaną był czymś, czego nie potrafił zrozumieć. Nie wiedział, jak go rozebrać na części i zbadać wszystkie elementy.

Nie miał pojęcia, jak go naprawić.

Wciąż zaprzętał sobie myśli tą kobietą, tęsknił za nią, chciał mieć z nią dziecko... lecz w dziedzinie miłości Wyatt Gillette nie był czarodziejem.

Porzucając te niewesołe refleksje, schronił się pod markizą odrapanego budynku, w którym mieścił się sklep z używaną odzieżą, niedaleko granicy Sunnyvale. Rozejrzawszy się, stwierdził, że jest sam, po czym sięgnął do kieszeni i wydobyl małą płytkę z obwodem elektronicznym, którą nosił przy sobie cały dzień. Kiedy rano wrócił do celi w San Ho po czasopisma i wycinki, żeby je zabrać do biura CCU, przykleił płytkę taśmą do uda, tuż obok pachwiny.

Właśnie tę płytkę, nad którą pracował przez ostatnie pół roku, od początku zamierzał

przemycić z więzienia - nie czerwoną skrzynkę, którą wsunął do kieszeni na przynętę, żeby znaleźli ją strażnicy i wypuścili go, nie kazać mu jeszcze raz przechodzić przez bramkę wykrywacza metali.

Czterdzieści minut temu w laboratorium CCU odkleił płytkę od skóry i sprawdził, działała bez zarzutu. Teraz w bladym świetle jarzeniówek padającym z wnętrza sklepu jeszcze raz obejrzał płytkę i uznał, że przetrwała jego bieg z CCU.

Wsunął ją z powrotem do kieszeni i wszedł do sklepu. Skinął głową sprzedawcy, który powiedział:

- Zamykamy o dziesiątej.

Gillette wiedział o tym - już wcześniej sprawdził godziny otwarcia sklepu.

- Nie zabawię długo - zapewnił sprzedawcę i ruszył między półki, by zgodnie z najlepszymi tradycjami socjotechniki wybrać takie rzeczy, których zwykle nie nosił.

Zapłacił pieniędzmi, które buchnął z czyjejs marynarki w biurze, a potem ruszył do drzwi. Zatrzymał się na progu i odwrócił do sprzedawcy.

- Przepraszam, tu niedaleko jest chyba przystanek autobusowy, prawda?

Starszy mężczyzna pokazał na zachód.

- Pięćdziesiąt stóp stąd. To punkt przesiadkowy. Może pan stąd pojechać, dokąd pan chce.

- Dokąd chcę? - spytał wesoło Wyatt Gillette. - Więcej nie można sobie chyba życzyć.

Wyszedł w deszcz, otwierając pożyczony parasol.

Po ujawnionej zdradzie w wydziale przestępstw komputerowych wszyscy milczeli.

Frank Bishop czuł wokół siebie pałący dotyk ciszy. Bob Shelton koordynował akcję z miejscową policją. Tony Mott i Linda Sanchez też rozmawiali przez telefon, sprawdzając różne tropy. Cichy, niemal pokorny ton ich głosów wymownie świadczył, że nie pragną niczego innego, jak tylko schwytać zdrajcę.

Im lepiej cię znam, tym częściej wydaje mi się, że nie jesteś typowym hakerem...

Oprócz Bishopa na najbardziej zdenerwowaną wyglądała Patricia Nolan, która bardzo przejęła się ucieczką Gillette'a. Bishop wyczuł pewnego rodzaju więź między nimi - w każdym razie przynajmniej Patricia odczuwała pewnego rodzaju pociąg do hakera. Detektyw zastanawiał się, czy sprawa nie będzie przebiegać według znanego schematu: inteligentna, lecz niezbyt atrakcyjna kobieta zadurzy się bez pamięci w błyskotliwym renegacie, który zauroczy ją na chwilę, a potem zniknie z jej życia. Piętnasty raz w ciągu dnia Bishop pomyślał o swojej żonie Jennie, ciesząc się w duchu, że tak szczęśliwie się ożenił.

Napływały coraz to nowe raporty, lecz nie było żadnych tropów. Nikt w budynkach położonych w pobliżu CCU nie widział uciekającego Gillette'a. Z parkingu nie zniknął żaden samochód, ale biuro znajdowało się tuż obok głównej trasy autobusowej w okręgu, więc haker mógł uciec właśnie tamtędy. Żaden patrol policji okręgowej ani miejskiej nie zauważył

przechodnia odpowiadającego rysopisowi.

Nie mając pewnych informacji na temat obecnego miejsca pobytu Gillette'a, Bishop postanowił przyjrzeć się historii hakera - spróbować odnaleźć jego ojca lub brata. A także przyjaciół i byłych współpracowników. Detektyw przejrzał papiery na biurku Andy'ego Andersona, szukając kopii dokumentów sądowych i kartoteki więziennej Gillette'a, ale nie mógł niczego znaleźć. Kiedy zgłosił błyskawiczną prośbę o kopie z centralnej ewidencji, dowiedział się, że zniknęły.

- Ktoś napisał notatkę służbową, żeby je zniszczyć, prawda? - spytał dyżurnego Bishop.

- Rzeczywiście, panie poruczniku. Skąd pan wie?

- Zgadłem. - Detektyw odłożył słuchawkę.

Ale coś mu przyszło do głowy. Przypomniawszy sobie, że haker został kiedyś skazany przez sąd dla

nieletnich.

Zadzwoił więc do znajomego, który dyżurował w biurze sędziego pokoju. Ten sprawdził i rzeczywiście, znaleźli kartotekę Wyatta Gillette'a, który został aresztowany i skazany w wieku siedemnastu lat. Mieli jak najszybciej przesłać ją do CCU.

- Zapomniał wydać dyspozycje, żeby je zniszczono - powiedział Bishop do Patricii Nolan. - Przynajmniej coś mamy.

Nagle Tony Mott zerknął na jeden z terminali i skoczył jak oparzony, krzycząc:

- Patrzcie!

Podbiegł do komputera i zaczął walić w klawiaturę.

- Co jest? - zapytał Bishop.

- Program porządkujący zaczął właśnie czyścić puste miejsca na dysku - odrzekł bez tchu Mott, nie przerywając stukania. Wcisnął ENTER i uniósł głowę. - No, już przestał.

Bishop dostrzegł jego niepokój, ale nie miał pojęcia, o co chodzi.

Wyjaśniła mu Linda Sanchez:

- Prawie wszystkie dane w komputerze - nawet jeżeli je usuniesz albo znikną po wyłączeniu komputera - zostają w pustym miejscu na twardym dysku. Nie widać ich jako plików, ale łatwo można je odzyskać. W ten sposób łapiemy dużo sprawców, którym się wydaje, że usunęli obciążające ich dowody. Żeby zupełnie zniszczyć te informacje, trzeba uruchomić program, który „czyści” puste miejsca. Jak cyfrowa niszcarka. Przed ucieczką Wyatt musiał ustawić czas startu programu.

- Czyli - powiedział Tony Mott - nie chce, żebyśmy wiedzieli, co robił online.

- Mam program, który znajdzie to, co oglądał - odrzekła Linda Sanchez.

Przerzuciła dyskietki w pudełku, wyciągnęła jedną i załadowała do napędu. Jej grube palce zaczęły tańczyć na klawiszach, a po chwili ekran wypełniły zagadkowe symbole. Dla Franka Bishopa nie miały żadnego sensu, lecz detektyw zauważył, że chyba odnieśli jakieś zwycięstwo, bo Linda uśmiechnęła się lekko i przywołała gestem kolegów.

- Ciekawe - mruknął Mott.

Stephen Miller skinął głową i zaczął notować.

- Co takiego? - spytał Bishop.

Ale Miller był pochłonięty pisaniem, nie miał więc okazji odpowiedzieć.

Rozdział

00010011/dziewiętnasty

Phate siedział w jadalni swego domu w Pało Alto, słuchając na przenośnym odtwarzaczu „Śmierci komiwojażera”. Garbił się nad laptopem, ale nie potrafił się skupić. Był

zbyt wstrząśnięty po tym, jak o mały włos nie został złapany w szkole im. św. Franciszka.

Przypomniawsobie, jak stał, trzymając drżącego Jamiego Turnera - obaj przyglądali się Booty'emu miotającemu się w przedśmiertnych drgawkach - i mówił dzieciakowi, żeby nigdy więcej nie zbliżał się już do komputerów. Ale jego przekonujący monolog przerwał alarm Shawna, który ostrzegł go, że do szkoły jedzie policja.

Phate zdążył wybiec ze szkoły w ostatniej chwili, bo z trzech różnych stron nadjeżdżały radiowozy. Jakim cudem się domyślili?

Owszem, był wstrząśnięty, ale jako wytrawny strateg, ekspert gier MUD, Phate dobrze wiedział, że wobec niedoszęłego sukcesu wroga może zrobić tylko jedno.

Znów zaatakować.

Musiał znaleźć nową ofiarę. Przewinął zawartość katalogu i otworzył folder opatrzony nazwą „Tydzień Univaca”, w którym przechowywał informacje na temat Lary Gibson, szkoły im. św. Franciszka i innych potencjalnych ofiar z Doliny Krzemowej. Zaczął czytać artykuły z witryn miejscowych gazet; o ogarniętych paranoicznym strachem gwiazdach rapu, które podróżowały z uzbrojoną po zęby świtą, o politykach wspierających niepopularne sprawy i dokonujących aborcji lekarzach, którzy mieszkali w prawdziwych fortecach.

Zastanawiał się, kogo wybrać. Kto może stanowić większe wyzwanie niż Boethe i Lara Gibson?

Zatrzymał wzrok na artykule, który Shawn przysłał mu mniej więcej przed miesiącem.

O rodzinie mieszkającej w bogatej części Pało Alto.

Zaawansowane bezpieczeństwo w świecie zaawansowanej techniki Czterdziestosiedmioletni Donald W. jest człowiekiem, który raz w życiu znalazł się na krawędzi. I stwierdził, że to nic przyjemnego.

Donald, który zgodził się rozmawiać z nami tylko pod warunkiem, że nie podamy jego nazwiska, jest dyrektorem naczelnym w jednej z nowych, świetnie prosperujących firm w Dolinie Krzemowej. Inni na jego miejscu zapewne przechwalaliby się sukcesem, jednak Donald ze wszystkich sił stara się go ukryć, podobnie jak inne fakty ze swojego życia.

Ma swoje powody: sześć lat temu podczas pobytu w Argentynie związanego z finalizacją transakcji z inwestorami został uprowadzony i był przez dwa tygodnie przetrzymywany. Firma musiała zapłacić za jego uwolnienie okup nieznanego wysokości.

Policja Buenos Aires znalazła go później całego i zdrowego, ale Donald twierdzi, że od tego czasu nie jest już taki jak dawniej.

„Zagładasz w oczy śmierci i myślisz: w ile rzeczy wierzymy bez zastrzeżeń. Wydaje się nam, że żyjemy w cywilizowanym świecie, ale prawda jest zupełnie inna”.

Donald należy do coraz liczniejszej grupy bogaczy w Dolinie Krzemowej, którzy zaczynają traktować bezpieczeństwo bardzo poważnie.

Doszło do tego, że państwo W. wybrali z żoną szkołę dla swojej ośmioletniej córki Samantha, kierując się przede wszystkim informacją o najnowocześniejszych zabezpieczeniach, jakie zapewniała uczniom jedna z prywatnych placówek.

Świetnie, pomyślał Phate i przełączył się w tryb online.

Oczywiście anonimowość bohaterów artykułu stanowiła tylko drobny kłopot. Po dziesięciu minutach dostał się do systemu komputerowego redakcji gazety i zaczął przeglądać notatki reportera, który napisał artykuł. Niedługo potem miał już wszystkie niezbędne dane na temat Donalda Wingate'a, który mieszkał w Palo Alto przy Hesperia Way 32983 z żoną Joyce (czterdzieści dwa lata, panięskie nazwisko Shearer), a ich córka chodziła do trzeciej klasy szkoły Junípero Serra na Rio Del Vista 2346, także w Palo Alto. Phate dowiedział się też, że Wingate ma brata, Irvinga (jego żona miała na imię Kathy), oraz zatrudnia dwóch ochroniarzy.

Niektórzy gracze z MUD uznaliby, że kolejny atak na podobny cel - w tym wypadku na prywatną szkołę - to złe posunięcie strategiczne. Phate był odmiennego zdania; uważał, że to świetny pomysł, który zupełnie zaskoczy policję.

Znów wolno przewinał listę plików.

Kim chcesz być?

- Chyba nie zrobisz mu krzywdy? - spytała Patricia Nolan. - Przecież wiesz, że nie jest niebezpieczny.

Frank Bishop odburknął, że nie zamierzają strzelać Wyattowi Gillette'owi w plecy, lecz niczego więcej nie może zagwarantować. Jego odpowiedź nie zabrzmiała zbyt uprzejmie, ale w tym momencie miał tylko jeden cel - schwycić uciekiniera, a nie pocieszać zadurzone w nim konsultantki.

Zadzwoił aparat głównej linii CCU.

Tony Mott odebrał i słuchał, kiwając energicznie głową i otwierając oczy szerzej niż zwykle. Bishop zmarszczył brwi, zastanawiając się, kto może być po drugiej stronie.

- Proszę chwileczkę zaczekać - powiedział z respektem Mott i podał detektywowi słuchawkę takim gestem, jakby to była bomba. - Do ciebie - szepnął niepewnie. - Przykro mi.

Przykro? Bishop uniósł pytająco brew.

- To z Waszyngtonu, Frank. Pentagon.

Pentagon. Było już po pierwszej w nocy czasu wschodniego. Czyli szykują się kłopoty... Wziął słuchawkę. - Halo?

- Detektyw Bishop? - Tak jest.

- Tu David Chambers. Jestem szefem wydziału dochodzeniowego w Departamencie Obrony.

Bishop ujął słuchawkę drugą ręką, jak gdyby nowiny, które miał usłyszeć, bezpieczniej było przyjmować lewym uchem.- Z różnych źródeł doszły do mnie sygnały, że w północnym okręgu Kalifornii wydano nakaz zwolnienia na fikcyjne nazwisko. I że nakaz może dotyczyć osoby, na której nam zależy. Proszę nie wymieniać tego nazwiska przez telefon - dodał pospiesznie Chambers.

- Zgadza się - odrzekł Bishop.

- Gdzie on teraz jest?

W Brazylii, w Cleveland, w Paryżu, albo włamuje się do systemu giełdy nowojorskiej, żeby powstrzymać rozwój światowej gospodarki.

- Pod moim nadzorem - powiedział Bishop.

- Pan pracuje w policji stanowej Kalifornii, zgadza się? - Tak jest.

- Jak więc, u diabła, udało się wam wyciągnąć więźnia federalnego? A tym bardziej na anonim? Nawet naczelnik z San Jose o niczym nie wiedział... w każdym razie tak twierdzi.

- Prokurator jest moim przyjacielem. Kilka lat temu doprowadziliśmy razem do końca sprawę zabójstw Gonzalezów i od tej pory współpracujemy.

- Prowadzi pan teraz sprawę morderstwa?

- Tak jest. Pewien haker włamuje się do komputerów różnych osób i wykorzystuje zawarte tam informacje, żeby zbliżyć się do ofiar.

Bishop zerknął na przygnębioną minę Boba Sheltona i przesunął palcem po gardle.

Shelton przewrócił oczami.

Przykro mi...

- Wie pan, dlaczego się nim interesujemy, prawda? - zapytał Chambers.

- Podobno napisał jakiś program, który potrafi złamać wasz program. - Starał się wyrażać jak najmniej konkretnie. Przypuszczał, że w Waszyngtonie często toczy się dwie rozmowy równocześnie: tę, którą naprawdę chce się przeprowadzić, i tę, którą prowadzi się na głos.

- Czyli jeśli to zrobił, złamał prawo, a jeżeli kopia tego, co ten osobnik napisał, wydostanie się z kraju, będzie można mówić o zdradzie.

- Rozumiem. - Ciszę, która potem zapadła, Bishop wypełnił pytaniem. - I chce pan, żeby wrócił do więzienia, tak?

- Owszem.

- Nakaz obowiązuje trzy dni - rzekł stanowczo Bishop.

Na drugim końcu linii rozległ się śmiech.

- Wystarczy mój jeden telefon i ten nakaz będzie miał wartość papieru toaletowego.

- Przypuszczam, że istotnie jest pan w stanie to zrobić. Nastąpiła chwila milczenia.

- Ma pan na imię Frank, tak?

- Tak jest.

- A więc posłuchaj, Frank. Między nami gliniarzami. Czy ten człowiek pomógł wam w śledztwie?

Poza jednym drobiazgiem...

- Bardzo - odparł Bishop. - Widzi pan, sprawca to ekspert komputerowy. Nie dalibyśmy rady bez kogoś takiego jak osoba, o której rozmawiamy.

Znów chwila ciszy.

- Powiem tak - odezwał się Chambers. - Osobiście nie uważam go za diabła wcielonego, jak niektórzy go u nas odmalowują. Nie było żadnych pewnych dowodów na to, że złamał nasz system. Ale wiele osób w Waszyngtonie uważa, że to zrobił i w departamencie zanoszą się na polowanie na czarownice. Jeśli naruszył prawo, pójdzie do więzienia. Ale ja jestem skłonny wierzyć w jego niewinność, jeśli nie udowodni mu się winy.

- Tak jest - powiedział Bishop, po czym dodał delikatnie. - Mógłby pan spojrzeć na to w ten sposób: jeżeli jakiś dzieciak może złamać wasz kod, to może lepiej napisać lepszy.

Pięknie, przez taką uwagę mogę pożegnać się z robotą, pomyślał detektyw.

Lecz Chambers parsknął śmiechem.

- Nie jestem pewien, czy Standard 12 rzeczywiście jest tak doskonały, jak go reklamują - powiedział. - Ale w szyfrowaniu pracuje u nas wiele osób, które nie chcą tego słuchać. Wolą pozostać w ukryciu i na pewno nie spodobałoby się im, gdyby zaczęły ich pokazywać media. Jest tu taki zastępca podsekretarza stanu, Peter Kenyon, który narobiłby w portki, gdyby się dowiedział, że nasz bezimienny wydostał się z więzienia i mogą go pokazać w wiadomościach. Widzisz, Kenyon był

szeferem zespołu, który zamówił Standard 12.

- Tylko się głośno zastanawiałem.

- Kenyon nie wie, że ptaszek wyfrunął, ale słyszał plotki i jeżeli się dowie, może to się bardzo źle skończyć dla mnie i wielu innych osób. - Pozwolił Bishopowi przemyśleć przez chwilę subtelności wewnętrznych rozgrywek rządowych. - Zanim trafiłem do tego biurokratycznego bagna, byłem gliną - dodał Chambers.

- Gdzie?

- Byłem żandarmem w marynarce. Większość czasu spędzałem w San Diego.

- Rozdziałał pan ludzi, którzy wdawali się w bójki, tak?

- Tylko kiedy wygrywali żołnierze. Posłuchaj, Frank, jeżeli chłopak pomaga wam złapać mordercę, w porządku, niech robi to dalej. Może u was zostać do końca obowiązywania nakazu.

- Dziękuję panu.

- Nie muszę ci chyba jednak przypominać, że to ty pójdziesz do odstrzału, jeżeli włamie się na czyjąś stronę. Albo jeśli zniknie.

- Tak jest, rozumiem.

- Informuj mnie na bieżąco, Frank. Głos po drugiej stronie zamilkł.

Bishop odłożył słuchawkę i pokręcił głową.

Przykro mi...

- O co chodziło? - zapytał Shelton.

Wyjaśnienia detektywa przerwał triumfalny okrzyk Millera.

- Mam coś! - zawołał podniecony.

Linda Sanchez kiwała ze znużeniem głową.

- Udało się nam odzyskać listę witryn, na których logował się Gillette tuż przed ucieczką.

Podawała Bishopowi kilka wydruków. Widniało na nich mnóstwo tajemniczych symboli komputerowych, fragmentów danych i tekstów, które nic nie mówiły detektywowi. Jednak w gąszczu maszynowego bełkotu dostrzegł numery linii lotniczych i informacje o wieczornych połączeniach zagranicznych z międzynarodowego lotniska San Francisco.

Miller podał mu jeszcze jeden arkusz.

- Ściągnął też sobie to - rozkład jazdy autobusów z Santa Clara na lotnisko. - Pękaty detektyw uśmiechnął się uradowany, prawdopodobnie ciesząc się z tego, że udało mu się zrewanżować za wcześniejszą gafę.

- Ale jak zamierza zapłacić za bilet? - zastanawiał się głośno Shelton.

- Pieniądze? Żartujesz? - odezwał się Tony Mott, parszkając pogardliwym śmiechem. -

Pewnie stoi już przy bankomacie i opróżnia twoje konto.

Bishopowi przyszła do głowy pewna myśl. Poszedł do laboratorium, podniósł

słuchawkę telefonu i wcisnął przycisk powtórnego wybierania numeru.

Przez chwilę rozmawiał z kimś, kto zgłosił się po drugiej stronie. Potem odłożył

słuchawkę.

Następnie zrelacjonował zespołowi przebieg rozmowy.

- Przed ucieczką Gillette dzwonił do lumpeksu w Santa Clara, kilka mil stąd. Sklep jest zamknięty, ale sprzedawca jeszcze w nim siedzi. Powiedział, że dwadzieścia minut temu był tam ktoś odpowiadający rysopisowi Gillette'a. Kupił czarny trenecz, parę białych dżinsów, czapkę z logo A Oakland i torbę sportową. Sprzedawca zapamiętał go, bo facet cały czas rozglądał się nerwowo. Gillette pytał go jeszcze, gdzie jest najbliższy przystanek autobusowy.

A na przystanku najbliższym sklepu zatrzymuje się autobus jadący na lotnisko.

- Droga na lotnisko trwa jakieś czterdzieści pięć minut - rzekł Tony Mott. Sprawdził

pistolet i zaczął wstawać.

- Nie, Mott - powiedział Bishop. - Mamy w tym większe doświadczenie.

- Daj spokój - upierał się młody policjant. - Jestem w lepszej formie niż pozostałe dziewięćdziesiąt procent zespołu. Co tydzień robię na rowerze sto mil i biegam dwa maratony rocznie.

- Nie płacimy ci za to, żebyś zamęczył Gillette'a bieganiem. Zostaniesz tutaj. Albo jeszcze lepiej, pojedziesz do domu i trochę odpoczniesz. Ty też, Lindo. Bez względu na to, co się stanie z Gillette'em, sporo się jeszcze napracujemy, żeby znaleźć mordercę.

Mott pokręcił głową z dezaprobatą, niezadowolony z rozkazu detektywa. Ale musiał

się zgodzić.

- Za dwadzieścia minut możemy być na lotnisku - powiedział Bob Shelton. -

Zadzwoń na posterunek policji lotniska i podaj jego rysopis. Obstawiają wszystkie przystanki autobusowe. Ale sam chcę być przed terminalem międzynarodowym. Nie mogę się doczekać jego miny, gdy mnie zobaczy.

Na twarzy grubego detektywa zagościł uśmiech, jaki Bishop zobaczył u niego po raz pierwszy od wielu dni.

Rozdział

00010100/dwudziesty

Wyatt Gillette wysiadł z autobusu i przyglądał się, jak odjeżdża z przystanku.

Spojrzał w ciemne niebo. Przesuwały się po nim szybko widma chmur, rosząc ziemię kroplami deszczu. Wilgoć wydobywała zapachy Doliny Krzemowej: spaliny i woń eukaliptusów przywodząca na myśl lekarstwa.

Autobus - który wcale nie jechał na lotnisko, tylko objeżdżał okręg Santa Clara, zatrzymując się w różnych miejscach - wysadził go na ciemnej, pustej ulicy na ładnym przedmieściu Sunnyvale, dziesięć mil od lotniska San Francisco, gdzie Bishop, Shelton i kupa glin będą gorączkowo szukać fana drużyny A z Oakland ubranego w białe dżinsy i czarny płaszcz.

Gdy tylko wyszedł z lumpeksu, wyrzucił ten strój i ze skrzynki przed wejściem, gdzie składano darowaną odzież, ukradł inne rzeczy, w które zaraz potem się przebrał - beżową kurtkę i niebieskie dżinsy. Zostawił sobie tylko płócienną torbę sportową.

Otwierając parasol i ruszając w głąb słabo oświetlonej ulicy, Gillette wziął głęboki oddech, aby się uspokoić. Nie martwił się, że go złapią - dobrze zatarł za sobą ślady w CCU, odwiedzając strony internetowe linii lotniczych i sprawdzając informacje na temat połączeń międzynarodowych, a potem ustawiając czas uruchomienia programu czyszczącego - żeby skierować uwagę całego zespołu na fałszywy trop i utrzymać ich w przekonaniu, że chce uciec za granicę.

Nie, Gillette denerwował się jak diabli, gdy myślał o miejscu, do którego zmierzał.

Minęło wpół do jedenastej i w oknach wielu domów było już ciemno. Ich właściciele poszli już spać, ponieważ dzień w Dolinie Krzemowej zaczynał się bardzo wcześnie.

Szedł na północ, oddalając się od El Camino Real, wkrótce więc ucichły odgłosy dobiegające z tej ruchliwej i tętniącej życiem ulicy.

Po dziesięciu minutach zobaczył przed sobą ten dom i zwolnił kroku.

Nie, opomniał się w duchu. Nie zatrzymuj się... Nie zachowuj się podejrzanie. Znow ruszył, wbijając wzrok w chodnik, unikając spojrzeń nielicznych przechodniów. Jakaś kobieta w śmiesznym plastikowym kapeluszu przeciwdeszczowym spacerowała z psem. Dwóch mężczyzn zaglądało pod maskę samochodu. Jeden trzymał parasol i latarkę, drugi mocował

się z kluczem.

Mimo to, zbliżając się do starego, klasycznego kalifornijskiego bungalowu, Gillette zwalniał coraz bardziej, zatrzymując się zupełnie w odległości dwudziestu stóp od domu.

Płytką elektroniczną w torbie, która ważyła zaledwie kilka uncji, zaczęła mu nagle ciążyć jak ołów.

No, dalej, nakazał sobie. Musisz to zrobić. Idź.

Głęboki oddech. Zamknął oczy, opuścił parasol i zadarł głowę, wystawiając twarz na deszcz.

Zastanawiał się, czy to, co chce zrobić, to wspaniały pomysł, czy zupełna głupota. Co ryzykował?

Wszystko, pomyślał.

Uznał jednak, że to bez znaczenia. Nie miał wyboru. Gillette ruszył naprzód w stronę domu. Zdjęli go trzy sekundy później.

Kobieta odwróciła się nagle i zabiegła mu drogę, a jej pies - owczarek niemiecki -

zaczął groźnie warczeć. Trzymała pistolet, krzycząc:

- Stać, Gillette! Stać!

Mężczyźni rzekomo naprawiający auto też wyciągnęli broń i ruszyli biegiem w jego stronę, oślepiając go blaskiem latarek.

Oszołomiony Gillette upuścił parasol i torbę sportową. Podniósł ręce i cofnął się wolno. Poczul na ramieniu silny uścisk i odwrócił się. Zobaczył za sobą Franka Bishopa i Boba Sheltona, który trzymał wielki czarny pistolet wycelowany prosto w jego pierś.- Skąd wiedzie... - zaczął Gillette.

Ale wtedy wystrzeliła pięść Boba Sheltona, lądując prosto na jego szczękę. Głowa poleciała mu do tyłu i Gillette jak nieprzytomny runął na chodnik.

Frank Bishop podał mu chusteczkę, wskazując na jego szczękę. - Jeszcze tutaj. Nie, bardziej z prawej. Gillette starł krew.

Uderzenie Sheltona nie było bardzo silne, ale kostki detektywa rozcięły mu skórę i do rany dostały się krople deszczu, wzmagając piekący ból.

Jeśli nie liczyć zaoferowania mu chusteczki, Bishop w ogóle nie zareagował na cios zadany przez swojego partnera. Kucnął i otworzył płócienną torbę. Wyciągnął płytkę i zaczął

ją obracać w palcach.

- A to co, bomba? - spytał z roztargnieniem świadczącym o tym, że nie spodziewa się usłyszeć odpowiedzi twierdzącej.

- Taka rzecz, którą zrobiłem - wymamrotał Gillette, przyciskając dłoń do nosa. -

Wolałbym, żeby nie zmokła.

Bishop wstał i wsunął płytkę do kieszeni. Shelton patrzył na niego, a jego dziobata i poczerwieniała twarz lśniła od deszczu. Gillette lekko się skulił, zastanawiając się, czy detektyw nie straci panowania nad sobą i nie uderzy go ponownie.

- Skąd wiedzieliście? - spytał znowu Gillette.

- Byliśmy już w drodze na lotnisko - odrzekł Bishop - ale przemyślałem wszystko jeszcze raz. Gdybyś naprawdę sprawdzał coś związanego z prawdziwym celem ucieczki, od razu zniszczyłbyś twardego dysk. Nie ustawiałbyś tego programu, żeby włączył się dopiero później. W ten sposób naprowadziłeś nas tylko na wskazówki, według których powinniśmy cię szukać na lotnisku. Tak sobie zaplanowałeś, prawda?

Gillette skinął głową.

- I po co w ogóle miałbyś udawać, że lecisz do Europy? Przecież zatrzymaliby cię na kontroli celnej.

- Nie miałem zbyt wiele czasu na szczegółowe planowanie - mruknął Gillette.

Detektyw spojrział na ulicę.

- Wiesz, jak się domyśliliśmy, że zamierzałeś tu przyjechać, prawda?

Oczywiście, że wiedział. Bishop zadzwonił do operatora telefonicznego i dowiedział

się, z jakim numerem łączył się Gillette, zanim zadzwonił do sklepu. Potem dostał adres domu, przed którym stali, i zdążył urządzić zasadzkę.

Gdyby sposób, w jaki Bishop rozpracował jego ucieczkę i zorganizował zasadzkę, był

programem komputerowym, Gillette jako haker musiałby go nazwać gigakludgem.

- Powinienem włamać się do centrali Pac Bell i zmienić rejestr rozmów lokalnych -

powiedział. - I zrobiłbym to, gdybym miał czas.

Szok spowodowany aresztowaniem zaczął ustępować i Gillette'a zaczęła ogarniać rozpacz - zwłaszcza gdy spoglądał na kieszeń płaszcza Bishopa, gdzie pod materiałem rysował się kształt jego elektronicznego dzieła. A był już tak blisko celu, o którym myślał

obsesyjnie od wielu miesięcy. Spojrział na dom. Światła w oknach paliły się ciepło i zachęcająco.

- To ty jesteś Shawn, prawda? - zapytał Shelton. - Nie, to nie ja. Nie wiem, kim jest Shawn.

- Ale byłeś Valleymanem, zgadza się?

- Tak. Byłem członkiem Rycerzy Dostępu.

- Znasz Hollowaya?

- Znałem.

- Jezu - ciągnął korpulentny detektyw. - Oczywiście, że to ty jesteś Shawn. Wszyscy macie po kilkanaście różnych tożsamości. Właśnie jechałeś na spotkanie z Phate'em. - Złapał

hakera za kołnierz kurtki z lumpeksu.

Tym razem wtrącił się Bishop, który dotknął ramienia partnera. Shelton puścił

Gillette'a, lecz cały czas wskazywał dom i mówił cichym głosem, w którym pobrzmiwała nuta groźby. - Phate mieszka tu jako Donald Papándolos. To do niego dzwoniłeś z CCU -

kilka razy zresztą. Żeby go ostrzec przed nami. Widzieliśmy billing od operatora.

Gillette pokręcił przecząco głową.

- Nie, ja...

- Budynek okrążają już oddziały specjalne - ciągnął Shelton. - A ty pomożesz nam go stamtąd wykurzyć.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest Phate. Ale mogę wam przysiąc, że na pewno nie w tym domu.

- To kto tam mieszka? - spytał Bishop. - Moja żona. To dom jej ojca.

Rozdział

00010101/dwudziesty pierwszy

Dzwoniłem do Elany - wyjaśnił Gillette. - Miałeś rację. Rzeczywiście, byłem online, kiedy pierwszy raz przyjechałem do CCU - dodał, zwracając się do Sheltona. - Skłamałem wtedy. Dostałem się do DMV, żeby sprawdzić, czy nadal mieszka u ojca. Potem zadzwoniłem wieczorem, żeby sprawdzić, czy jest w domu.

- Myślałem, że jesteś rozwiedziony - powiedział Bishop. - Bo jestem. - Zawahał się. -

Ale ciągle uważam ją za swoją żonę.

- Elana - rzekł Bishop. - Nosi nazwisko „Gillette”?

- Nie. Wróciła do panieńskiego nazwiska. Papándolos.

- Sprawdź - powiedział Bishop do Sheltona. Detektyw zadzwonił i po chwili skinął głową.

- To ona. Jej adres. Dom należy do Donalda i Irene Papandolosów. Czysty.

Bishop nałożył mikrofon ze słuchawką i powiedział do aparatu:

- Alonso? Tu Bishop. Jesteśmy prawie pewni, że tam są niewinni ludzie. Zajrzyj do domu i powiedz, co widzisz. - Na parę minut zapadła cisza. Potem Bishop spojrzał na Gillette'a. - Kobieta, sześćdziesiąt kilka lat, siwe włosy.

- To matka Elany, Irene.

- Dwudziestokilkuletni mężczyzna.

- Czarne, kręcone włosy?

Bishop powtórzył pytanie do mikrofonu i po chwili kiwnął głową.

- To jej brat, Christian.

- Jest jeszcze jakaś blondynka, trzydzieści kilka lat. Czyta dwóm małym chłopcom.

- Elana ma ciemne włosy. To pewnie Camilla, jej siostra. Była ruda, ale co parę miesięcy zmienia kolor włosów. Dzieci są jej. Ma czworo.

- Dobra, wygląda na to, że wszystko w porządku. Przekaż wszystkim, że się wycofujemy. Koniec akcji. O co tu w ogóle chodzi? - spytał Gillette'a detektyw. - Miałeś sprawdzić komputer ze świętego Franciszka, a ty uciekasz.

- Sprawdziłem tę maszynę. Nie znalazłem nic, co pomogłoby nam go złapać. Gdy tylko odpałem komputer, demon coś wyczuł - może to, że modem był odłączony - i się zniszczył. Gdybym coś znalazł, zostawiłbym wam wiadomość.

- Wiadomość? - warknął Shelton. - Mówisz, jakbyś wyskoczył na róg po papierosy.

Facet, uciekłeś z aresztu.

- Nie uciekłem. - Wskazał na swoją bransoletkę na nodze. - Możecie zajrzeć do systemu lokalizacji. Miał się włączyć po godzinie. Chciałem później zadzwonić do was z jej domu i poprosić, żebyście kogoś po mnie przysłali. Po prostu musiałem zobaczyć się z Ellie.

Bishop przyglądał mu się przez chwilę uważnie, po czym spytał:

- A ona chciała się z tobą widzieć? Haker zawahał się.

- Pewnie nie. Nie wie, że do niej szedłem.

- Przecież mówisz, że dzwoniłeś - zauważył Shelton.

- I odłożyłem słuchawkę, kiedy się tylko odezwała. Chciałem mieć tylko pewność, że jest wieczorem w domu.

- Dlaczego mieszka u rodziców?

- Przeze mnie. Nie ma ani grosza. Wszystko wydała na adwokata i grzywnę... -

Wskazał kieszeń płaszcza Bishopa. - Dlatego pracowałem nad tym - drobiazgiem, który przemyśliłem z więzienia.

- Schowałeś to pod tamtą skrzynką do telefonów, tak? Gillette skinął głową.

- Powinienem wtedy kazać sprawdzić cię detektorem jeszcze raz. Nie dopilnowałem.

Ale co ta płytką ma wspólnego z twoją żoną?- Chciałem ją dać Ellie. Mogłaby ją opatentować, sprzedać licencję jakiejś firmie produkującej sprzęt i trochę na tym zarobić. To nowy typ modemu bezprzewodowego, który można używać z laptopem. Można pracować online w drodze bez telefonu komórkowego. Modem wykorzystuje GPS, dzięki któremu podaje centrali komórkowej pozycję, a potem automatycznie łączy użytkownika z najlepszym sygnałem transmisji danych. Może...

Bishop machnął ze zniecierpliwieniem ręką, powstrzymując potok technicznego żargonu.

- Sam to zrobiłeś? Z rzeczy znalezionych w więzieniu?

- Znalezionych albo kupionych.

- Albo ukradzionych - dodał Shelton.

- Znalezionych albo kupionych - powtórzył Gillette. - Dlaczego nam nie powiedziałaś, że to ty byłeś Valleymanem? - spytał Bishop. - I że razem z Phate'em należeliście do Rycerzy Dostępu?

- Bo od razu odesłalibyście mnie do więzienia. I nie mógłbym pomóc go znaleźć. -

Zamilkł na moment. - I nie miałbym okazji zobaczyć się z Ellie... Posłuchajcie, gdybym wiedział o Phacie coś, co mogłoby pomóc go złapać, na pewno bym wam powiedział. Fakt, obaj byliśmy Rycerzami Dostępu, ale wiele lat temu. Ludzie z cybergangów nie spotykają się osobiście - w ogóle nie wiedziałem, jak wygląda, czy jest homo-, czy heteroseksualny, czy jest żonaty, czy samotny. Znałem tylko jego prawdziwe nazwisko i wiedziałem, że mieszka w Massachusetts. Ale sami dowiedzieliście się o tym wtedy, kiedy ja. Poza tym aż do dziś nigdy nie słyszałem o Shawnie.

- Czyli byłeś jednym z tych gnojków, którzy wysyłali wirusy i instrukcje budowy bomby i blokowali centralę pogotowia 911? - spytał ze złością Shelton.

- Nie - odparł stanowczo Gillette. Zaczął im tłumaczyć, że w pierwszym roku swojej działalności Rycerze Dostępu stanowili jeden z najważniejszych cybergangów na świecie, ale nigdy nie robili krzywdy cywilom. Toczyli bitwy z innymi gangami i włamywali się do systemów firm i agend rządowych. - Nasze największe przestępstwo polegało na tym, że napisaliśmy własny darmowy program, który robił to samo co drogie komercyjne oprogramowanie i rozdaliśmy kopie. Kilka dużych firm straciło parę tysięcy dolców, i tyle.

Ale Gillette zaczął sobie zdawać sprawę, że za pseudonimem CertainDeath, którego używał wówczas Holloway, kryje się ktoś inny. Ktoś, kto stawał się niebezpieczny i mściwy, kto szukał nowego, szczególnego rodzaju dostępu, który pozwalałby mu krzywdzić innych.

- Zaczęło mu się mieszać, kto jest prawdziwy, a kto jest postacią z gier komputerowych, w których brał udział.

Gillette spędził wiele godzin na wirtualnych rozmowach z Hollowayem, starając się odwieść go od złego hakowania i planów „wyrównania rachunków” z ludźmi, których uważał

za swoich wrogów.

W końcu włamał się do komputera Hollowaya i ze zgrozą stwierdził, że jego towarzysz z gangu pisze zabójcze wirusy - programy takie jak ten, który wyłączył system centrali 911 w Oakland albo które mogły blokować transmisję między naziemną kontrolą lotów a pilotami. Gillette ściągnął wirusy, napisał do nich szczepionki i umieścił je w Sieci.

Znalazł też w komputerze Hollowaya oprogramowanie ukradzione z Uniwersytetu Harvarda.

Przesłał kopię do szkoły i do policji stanowej Massachusetts, dołączając adres poczty elektronicznej CertainDeath. Holloway został aresztowany.

Gillette porzucił pseudonim Valleymana - w pełni zdając sobie sprawę z mściwej natury Hollowaya - i wrócił do hakowania, przybierając kilka różnych tożsamości.

- Odstawmy tę gnidę z powrotem do San Ho - powiedział Shelton. - Zmarnowaliśmy już dość czasu.

- Nie, proszę, nie róbcie tego!

Bishop przyglądał mu się nie bez rozbawienia.

- Chcesz dalej z nami pracować?

- Muszę. Przekonaliście się, do czego jest zdolny Phate. Nie powstrzymacie go bez kogoś tak dobrego jak ja.

- Nie ma co, skromny jesteś - rzucił ze śmiechem Shelton.

- Wiem, że jesteś dobry, Wyatt - rzekł Bishop. - Ale nie zapominaj, że właśnie mi uciekłeś, przez co mogli mnie wylać. Nie sądzisz, że trudno nam będzie teraz ci zaufać?

Damy sobie radę, ktoś inny nam pomoże.

- Nie można „dać sobie rady” z kimś takim jak Phate. Stephen Miller sobie nie poradzi. To go przerasta. Patricia Nolan zna się na zabezpieczeniach - ludzie od zabezpieczeń są dobrzy, ale zawsze zostają krok za hakerami. Potrzebujecie kogoś, kto już był w okopach.

- W okopach - powtórzył cicho Bishop. Wyglądał, jakby rozbawiło go to określenie.

Zamilkł, a po chwili rzekł: - Chyba dam ci jeszcze jedną szansę. W oczach Sheltona błysnęła uraza.

- Poważny błąd.

Bishop nieznacznie skinął głową, jak gdyby częściowo przyznawał mu rację. Potem zwrócił się do Sheltona:

- Powiedz wszystkim, żeby coś przegryźli i przespali się kilka godzin. Na noc odwiozę Wyatta do San Ho.

Shelton pokręcił głową, rozczarowany planami partnera, ale poszedł spełnić jego prośbę.

Gillette potarł szczękę i rzekł:

- Daj mi z nią pogadać dziesięć minut.

- Z kim?

- Z moją żoną.

- Mówisz serio?

- Proszę tylko o dziesięć minut.

- Nie dalej jak godzinę temu dzwonił do mnie David Chambers z Departamentu Obrony, który jest o krok od uchYLENIA nakazu zwolnienia.

- Już się dowiedzieli?

- No pewnie. To, że jeszcze oddychasz świeżym powietrzem i masz wolne ręce, synu, to wygrana na loterii. Na dobrą sprawę powinieneś teraz spać na więziennym materacu. -

Detektyw chwycił hakera za nadgarstek, ale zanim szczęknął metal kajdanek, Gillette zapytał:

- Jesteś żonaty, Bishop?

- Tak.

- Kochasz swoją żonę?

Policjant milczał przez chwilę. Spojrzał na chmury, z których wciąż siąpił deszcz, a potem schował kajdanki.

- Dziesięć minut.

Najpierw zobaczył oświetloną od tyłu sylwetkę.

Nie miał jednak wątpliwości, że to Ellie. Zmysłowa figura, burza długich, ciemnych włosów, które spływając do połowy pleców, wydawały się jeszcze gęstsze i bardziej splątane.

Okręła twarz.

Jedyną oznaką napięcia był kurczowy uścisk jej dłoni na klamce. Przez siatkę na drzwiach widział, że jej palce pianistki poczerwieniały od wysiłku.

- Wyatt... - szepnęła. - Czy oni...?

- Zwolnili mnie? - Pokręcił przecząco głową.

Błysnęły jej oczy, gdy spojrzała ponad jego ramieniem i dostrzegła czujnego Franka Bishopa, który czekał na chodniku.

- Wyszedłem tylko na parę dni - ciągnął Gillette. - Coś w rodzaju zwolnienia warunkowego. Pomagam im kogoś znaleźć - Jona Hollowaya.

- Kumpla z gangu - mruknęła.

- Miałaś od niego jakieś wiadomości? - spytał.

- Ja? Nie. Po co miałyby się ze mną kontaktować? Zresztą nie widuję już żadnych twoich kumpli. - Obejrzała się przez ramię na dzieci siostry i wyszła przed dom, zamykając za sobą drzwi, jak gdyby chciała jednoznacznie oddzielić Gillette'a - i całą przeszłość - od swego obecnego życia.

- Co ty tu robisz? Skąd wiedziałeś, że... Zaraz. To te głuche telefony. Na wyświetlaczu cały czas było „połączenie zablokowane”. To ty.

Skinął głową.

- Chciałem się upewnić, że jesteś w domu.

- Dlaczego? - spytała z goryczą.

Jej ton zabrzmiał okropnie. Gillette pamiętał go z procesu. I przypomniał sobie to pytanie. „Dlaczego?”. Zanim trafił do więzienia, często je od niej słyszał.

Dlaczego nie rzuciłeś tych cholernych komputerów? Nie trafiłbyś do więzienia, nie straciłbyś mnie. Dlaczego?

- Chciałem z tobą porozmawiać - powiedział.

- Nie mamy o czym, Wyatt. Mieliliśmy parę dobrych lat na rozmowy, ale ty miałeś inne rzeczy do roboty.

- Proszę - rzekł, wyczuwając, że Ellie za chwileczkę cofnie się do domu. Usłyszał we własnym głosie rozpacz, ale miał w nosie dumę. - Wyrósł. - Gillette wskazał bukszpan. Elana spojrzała na krzew i na chwilę jej zacięta mina złagodniała. Parę lat temu, pewnego ciepłego wieczoru w listopadzie kochali się pod tym krzewem, podczas gdy jej rodzice oglądali w domu wyniki wyborów.

Wróciło do niego więcej wspomnień z ich wspólnego życia - restauracja ze zdrową żywnością w Paño Alto, którą odwiedzali w piątki, wyprawy o północy po pudełko popartów i pizzę, przejażdżki rowerowe po kampusie Stanforda. Przez moment Wyatt Gillette beznadziejnie zatracił się w tych obrazach z przeszłości.

Później jednak twarz Elany znów stężała. Jeszcze raz zajrzała do domu przez przysłonięte firanką okno. Dzieci, ubrane już w pizamy, pobiegły truchtem w głąb domu, znikając im z oczu. Elana odwróciła się, spoglądając na tatuaż na jego ramieniu przedstawiający palmę i mewę. Przed laty powiedział jej, że chciałby go usunąć. Wtedy spodobał się jej ten pomysł, ale on nigdy się nie zdecydował. Teraz odniósł wrażenie, że ją rozczarował.

- Co u Camilli i dzieci? - W porządku.

- A u rodziców?

- Czego chcesz, Wyatt? - spytała zirytowana Elana.

- Przyniosłem ci to.

Podał jej płytkę elektroniczną i wyjaśnił, co to jest. - Po co mi to dajesz?

- Jest warte dużo pieniędzy. - Dał jej kartkę ze specyfikacją techniczną, którą napisał

w autobusie. - Poszukaj sobie adwokata na Sand Hill Road i sprzedaj jakiejś dużej firmie.

Compaq, Apple czy Sun. Będą chcieli licencję, w porządku, ale niech najpierw zapłacą ci dużą zaliczkę. Bezzwrotną. Nie tylko tantiemy. Adwokat będzie wiedział.

- Nie chcę tego.

- To nie jest prezent. Oddaję dług. Przeze mnie straciłaś dom i oszczędności. Dzięki temu możesz odzyskać jedno i drugie.

Popatrzyła na płytkę leżącą na jego otwartej dłoni, ale jej nie wzięła.

- Powinnam już iść.

- Zaczekaj - rzekł. Miał jej jeszcze tyle do powiedzenia. Całe dni ćwiczył sobie tę przemowę, próbując nadać swoim argumentom jak najlepszą formę.

Jej silne palce o paznokciach pomalowanych na jasny fiolet ścisnęły teraz moką poręcz werandy. Elana spojrzała na zalane deszczem podwórko.

Patrzył na jej ręce, włosy, podbródek, stopy.

Nie mów tego, nakazał sobie. Nie. Mów. Tego.

Jednak powiedział.

- Kocham cię.

- Nie - odrzekła ostro, podkreślając swój sprzeciw gwałtownym gestem, jak gdyby chciała odbić jego słowa.

- Chcę spróbować jeszcze raz.

- Za późno, Wyatt.

- Myliłem się. To, co zrobiłem, już się nigdy nie powtórzy.

- Za późno - powtórzyła.

- Poniosło mnie. Nie miałem dla ciebie czasu. Teraz będę miał. Obiecuję. Chciałaś dzieci. Możemy jeszcze mieć dzieci.

- Ty masz komputery. Po co ci dzieci?

- Zmieniłem się.

- Siedzisz w więzieniu. Nie miałeś jeszcze okazji komukolwiek udowodnić - nawet sobie - że w ogóle potrafisz się zmienić.

- Chcę założyć z tobą rodzinę.

Podeszła do drzwi i uchyliła osłonę z siatki.

- Też tego chciałam. Sam widzisz, jak to się skończyło.

- Nie wyjeżdżaj do Nowego Jorku - wyrzucił z siebie nagle. Elana stanęła jak wryta i odwróciła się.

- Do Nowego Jorku?

- Przeprowadzasz się do Nowego Jorku ze swoim przyjacielem Edem.

- Skąd wiesz o Edzie?

Tracąc nad sobą panowanie, spytał: - Wyjdiesz za niego?

- Skąd o nim wiesz? - powtórzyła. - I skąd wiesz o Nowym Jorku?

- Nie rób tego, Elano. Zostań. Daj mi...

- Skąd? - syknęła.

Gillette spuścił głowę, spoglądając na krople deszczu rozpryskujące się na szarych deskach werandy.

- Włamałem się na twoje konto e-mailowe i przeczytałem pocztę.

- Co? - Puściła siatkową osłonę, która się zatrzasnęła. Grecki temperament zaróżowił

jej piękną twarz.

Nie było odwrotu.

- Kochasz Eda? - wyrzucił z siebie. - Wyjdiesz za niego?

- Chryste, nie wierzę! Z więzienia? Włamałeś się na moje konto z więzienia?

- Kochasz go?

- Nic ci do Eda. Miałeś okazję założyć ze mną rodzinę, ale postanowiłeś inaczej. Nie masz żadnego prawa wtrącać się w moje życie osobiste!

- Proszę...

- Nie! Ed i ja rzeczywiście jedziemy do Nowego Jorku. Za trzy dni. I choćbyś nie wiem co zrobił, nie powstrzymasz mnie. Żegnaj, Wyatt. Nie zawracaj mi więcej głowy.

- Kocham...

- Nikogo nie kochasz - przerwała mu. - To tylko socjotechnika. Weszła do domu, zamykając za sobą cicho drzwi.

Gillette zszedł po schodkach do Bishopa.

- Jaki jest numer telefonu do CCU? - zapytał.

Bishop podał mu numer, który haker zapisał na specyfikacji i zanotował obok

„Zadzwoń, proszę”. Potem owinał płytkę w arkusz i zostawił w skrzynce na listy.

Ruszyli z Bishopem w kierunku samochodu po mokrym chodniku z grubego piaskowca. Detektyw ani słowem nie skomentował tego, co przed chwilą rozegrało się na werandzie.

Gdy zbliżyli się do forda - jeden o nienagannej postawie, drugi wiecznie zgarbiony - z cienia po drugiej stronie ulicy wyłonił się jakiś mężczyzna.

Był szczupły, miał pod czterdziestkę, staranną fryzurę i wąsy. W pierwszej chwili Gillette odniósł wrażenie, że jest gejem. Miał na sobie płaszcz, ale był bez parasola. Haker zauważył, że kiedy mężczyzna do nich podszedł, ręka detektywa zawisła nad pistoletem.

Nieznajomy zwolnił i ostrożnym ruchem wyjął portfel, pokazując odznakę i legitymację.

- Charlie Pittman, biuro szeryfa okręgu Santa Clara. Bishop uważnie obejrzał

legitymację i uznał, że dokumenty Pittmana są w porządku.

- Jesteście ze stanowej? - zapytał Pittman.

- Frank Bishop.

Pittman zerknął na Gillette'a. - A pan...

Zanim haker zdążył się odezwać, Bishop spytał:

- Czym możemy ci służyć, Charlie?

- Prowadzę śledztwo w sprawie Petera Fowlera.

Gillette przypomniał sobie, że to handlarz bronią, którego Phate zabił na Kopcu Hakerów po zamordowaniu Andy'ego Andersona.

- Dowiedzieliśmy się, że miała tu być jakaś akcja związana z naszą sprawą.

Bishop pokręcił głową.

- Fałszywy alarm. Raczej ci nie pomożemy. Dobranoc. Chciał go wyminąć, dając znak Gillette'owi, by poszedł za nim, lecz Pittman rzekł:

- Śledztwo ma pod górkę, Frank. Każda informacja będzie na wagę złota. Ludzie ze Stanforda są zaszokowani tym, że ktoś sprzedawał broń w kampusie. I my dostajemy za to w tyłek.

- Nie zajmujemy się bronią w tej sprawie. Szukamy faceta, który zabił Fowlera, ale jeżeli potrzebujesz informacji, będziesz musiał zwrócić się do centrali w San José. Znasz procedurę.

- Tam jest centrum dowodzenia akcją?

Bishop znał pewnie zasady działania policji równie dobrze jak mroczne strony życia na ulicach Oakland. Odpowiedział więc wymijająco:

- Z nimi powinieneś pogadać. Kapitan Bernstein na pewno chętnie ci pomoże.

Ciemne oczy Pittmana zmierzyły Gillette'a od stóp do głów. Potem spojrzały w mroczne niebo.

- Niedobrze mi od tej pogody. Mogłoby już przestać padać. - Ponownie spojrzął na Bishopa. - Dobrze wiesz, Frank, że my, ludzie z prowincji, zawsze dostajemy czarną robotę.

Przegrywamy w każdym rozdaniu i kończy się na tym, że robimy coś, co ktoś już wcześniej zrobił. Czasem zaczyna mnie to męczyć.

- Bernstein to chodząca szlachetność. Pomoże wam, jeżeli tylko będzie mógł.

Pittman jeszcze raz popatrzył na Gillette'a, zastanawiając się zapewne, co tutaj robi chudzielec w brudnej kurtce - na pewno nie glina.

- Powodzenia - powiedział Bishop.

- Dzięki, detektywie. - Pittman zniknął w ciemnościach nocy. Kiedy wsiedli do radiowozu, Gillette powiedział:

- Naprawdę nie mam ochoty wracać do San Ho.

- Ja wracam do CCU przejrzeć to, co już mamy, i trochę się zdrzemnąć. Nie widziałem tam aresztu.

- Już więcej nie ucieknę - obiecał Gillette. Bishop nie odpowiedział.

- Nie chcę wracać do pudła. - Detektyw nadal milczał, więc haker dodał: - Jeśli mi nie ufasz, przykuj mnie do krzesła.

- Zapnij pas - rzekł Bishop.

Rozdział

00010110/dwudziestydrugi

W porannej mgle szkoła Junípero Serra wyglądała idyllicznie. Ekskluzywna placówka prywatna zajmowała osiem akrów położone między centrum badawczym Xerox w Palo Alto a jednym z wielu budynków Hewlett Packarda niedaleko Uniwersytetu Stanforda.

Cieszyła się doskonałą reputacją i prawie wszyscy jej uczniowie trafiali do wybranych przez siebie (no, właściwie przez rodziców) szkół. Otoczenie było niezwykle malownicze, a pracownicy zarabiali wyjątkowo dobrze.

Jednak w tym momencie kobieta, która od kilku lat pracowała jako recepcjonistka szkoły, w ogóle nie myślała o dobrodziejstwach, jakie dawała jej lukratywna posada; miała oczy pełne łez i z trudem opanowywała drżenie głosu.

- Boże, mój Boże - szepnęła. - Joyce była tu ledwie pół godziny temu, przywiozła małą. Widziałam ją, czuła się doskonale. Pół godziny temu.

Stał przed nią młody mężczyzna o rudawych włosach i wąsach, ubrany w drogi garnitur. Miał zaczerwienione oczy, jakby też płakał i zaciskał dłonie gestem zdradzającym wielkie zdenerwowanie.

- Jechała z Donem do Napa. Do winnicy. Mieli się spotkać z inwestorami Dona na lunchu.

- Co się stało? - spytała niemal bez tchu.

- Autobus wiozący sezonowych robotników... skręcił ostro i wjechał prosto w nich.

- Boże - powtórzyła. Widząc przechodzącą obok kobietę, recepcjonistka powiedziała:

- Amy, chodź tutaj.

Kobieta była ubrana w jaskrawoczerwony kostium i trzymała w dłoni kartkę opatrzoną nagłówkiem „Plan lekcji”. Kiedy podeszła, recepcjonistka poinformowała ją szeptem:

- Joyce i Don Wingate mieli wypadek. - Nie!

- Wygląda na to, że poważny. - Recepcjonistka wskazała mężczyznę. - To brat Dona, Irv.

Powitali się skinieniem głowy, po czym wstrząśnięta Amy spytała:

- Co z nimi?

Brat przełknął ślinę przez ściśnięte gardło i odchrząknął.

- Będą żyć. Tak przynajmniej mówią lekarze. Ale wciąż oboje są nieprzytomni. Mój brat złamał kręgosłup. - Powstrzymał szloch.

Recepcjonistka otarła łzy.

- Joyce tak aktywnie działa w stowarzyszeniu nauczycieli i rodziców. Wszyscy ją uwielbiają. Możemy coś zrobić?

- Jeszcze nie wiem. - Irv pokręcił głową. - Nie potrafię zebrać myśli.

- No tak, oczywiście.

- Ale wszyscy w szkole będą do dyspozycji, gdy tylko będzie pan potrzebował

pomocy - powiedziała Amy i po chwili przywołała postawną pięćdziesięciokilkuletnią kobietę. - Och, pani Nagler!

Dama w szarym kostiumie zbliżyła się i spojrzała na Irva, który skinął jej głową.

- Pani Nagler - rzekł. - To pani jest tu dyrektorem, zgadza się?

- Owszem.

- Jestem Irv Wingate, wuj Samantha. Poznaliśmy się w zeszłym roku na wiosennych występach w szkole. Podała mu rękę.

Wingate streścił historię wypadku. - Boże, nie - wyszeptała pani Nagler. - Tak mi przykro. - Jest tam teraz Kathy, moja żona - powiedział Irv. - Przyjechałem po Samanthę.

- Oczywiście.

Mimo swego współczucia pani Nagler rządziła w szkole twardą ręką i nie zamierzała odstąpić od obowiązujących reguł. Pochyliła się nad komputerem i wstukowała coś palcami o krótko obciętych i pozbawionych lakieru paznokciach. Zerknęła na monitor i powiedziała:

- Jest pan na liście krewnych upoważnionych do odbierania Samantha. - Wcisnęła kolejny klawisz, a na ekranie pojawiło się zdjęcie Irvinga Wingate'a z prawa jazdy.

Dyrektorka porównała jego twarz - wszystko świetnie się zgadzało. - Obawiam się jednak, że musimy sprawdzić jeszcze jedną rzecz - powiedziała. - Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy?

- Oczywiście. - Irv pokazał jej dokument. Zdjęcie zgadzało się z rzeczywistością i fotografią w komputerze.

- Przykro mi, ale jeszcze jedno. Wie pan, że pański brat przykładał wielką wagę do zabezpieczeń.

- Ach tak, naturalnie. Hasło. SHEP - szepnął do pani Nagler. Dyrektorka skinęła głową. Irv utkwił spojrzenie w oknie, patrząc na promienie słońca padające na żywopłot z bukszpanu. - Tak wabił się pierwszy airedale terier Donalda. Dostaliśmy go, kiedy Don miał

dwanaście lat. Shep to był wspaniały pies. Don dalej hoduje airedale.

- Wiem - odrzekła ze smutkiem pani Nagler. - Czasem wymieniamy się w e-mailach zdjęciami naszych psów. Mam dwa wyżły weimarskie.

Głos jej zadrzał i powstrzymując smutne myśli, zadzwoniła do nauczycielki dziewczynki i poprosiła ją, by przyprowadziła do holu Samanthę.

- Proszę o niczym nie mówić Sammie - powiedział Irv. - Sam jej powiem w drodze.

- Oczywiście.

- Zatrzymamy się gdzieś na śniadanie. Najbardziej lubi Egg McMuffiny.

Słyszając to, Amy stłumiła szloch.

- Jadła je na wycieczce klasowej do Yosemite... - Zasłoniła oczy i przez chwilę płakała bezgłośnie.

Azjatka - prawdopodobnie nauczycielka Samantha - przyprowadziła chudą rudowłosą dziewczynkę. Pani Nagler uśmiechnęła się i powiedziała:

- Przyszedł twój wujek Irving.

- Irv - poprawił ją Wingate. - Nazywa mnie wujkiem Irvem. Cześć, Sammie.

- Jeju, ale szybko ci wąsy odrosły. Wingate się zaśmiał.

- Ciocia Kathy mówi, że wyglądam bardziej dystyngowanie. - Kucnął. - Posłuchaj, mama i tata postanowili, że możesz sobie dzisiaj zrobić wolne. Pojedziemy spędzić z nimi dzień w Napa. - Pojechali do winnicy?

- Zgadza się.

Dziewczynka zmarszczyła brwi, krzywiąc piegowatą twarz. - Tata mówił, że pojedą dopiero w przyszłym tygodniu. Przez malarzy.

- Zmienili zdanie. A ty pojedziesz tam ze mną.

- Super!

- Idź teraz po książki, dobrze? - powiedziała nauczycielka. Dziewczynka odbiegła, a pani Nagler streściła nauczycielce, co się stało.

- Och, nie - szepnęła kobieta, przyjmując ze zgrozą wiadomość o tragedii. Kilka minut później wróciła Samantha, taszcząc na ramieniu ciężką torbę. Razem z wujkiem Irvem ruszyła do drzwi. Recepcjonistka zwróciła się do pani Nagler:

- Dzięki Bogu, że będzie w dobrych rękach.

Irv Wingate musiał to słyszeć, bo odwrócił się i skinął głową. Recepcjonistce zdawało się przez chwilę, że uśmiechnął się w dziwny sposób, jak gdyby z mściwym triumfem. Uznała jednak, że się pomyliła, składając to na karb okropnego stresu, jaki przeżywał ten biedak.

- Wstawaj - odezwał się burkliwy głos.

Gillette otworzył oczy i spojrzał na Franka Bishopa, ogolonego i po prysznicu, który odruchowo wypchał do spodni niesformą połę koszuli.

- Jest wpół do dziewiątej - powiedział Bishop. - Pozwalają wam spać do tej godziny w więzieniu?

- Zasnąłem dopiero po czwartej - wyjęczał haker. - Niewygodnie mi było. Ale chyba nic w tym dziwnego, co? - Wskazał wymownie na żelazne krzesło, do którego przykuł go Bishop.

- Pomysł z krzesłem i kajdankami był twój.

- Nie sądziłem, że zrozumiesz to dosłownie.

- A jak to inaczej rozumieć? - odparł Bishop. - Albo kogoś przykuwasz do krzesła, albo nie.

Detektyw uwolnił Gillette'a z kajdanek i haker podniósł się zeszywniały, masując nadgarstek. Poszedł do kuchni, gdzie nalał sobie kawy i wziął wczorajszego obwarzanka.

-Nie macie tu przypadkiem pop-tartów? - zawołał Gillette, wracając do głównego biura.

- Nie wiem - odpowiedział Bishop. - Nie jestem tu u siebie, pamiętasz? Poza tym nie przepadam za słodyczami. Ludzie powinni jeść na śniadanie bekon i jajka. Wiesz, coś konkretnego. - Pociągnął łyk kawy. - Przyglądałem ci się, jak spałeś.

Gillette nie wiedział, jak ma to rozumieć. Uniósł pytająco brew.

- Pisałeś przez sen na komputerze.

- Stukałem. Już się nie mówi „pisać na komputerze”.

- Wiedziałeś, że to robisz? Haker skinął głową.

- Ellie często mi o tym mówiła. Czasami mam sny w kodzie.

- Co?

- Widzę skrypt - wiesz, kod źródłowy programu. W Basicu, C++ albo Javie. -

Rozejrzał się. - Gdzie są wszyscy?

- Linda i Tony już jadą. Miller też. Linda ciągle nie została babcią. Patricia Nolan dzwoniła z hotelu. - Na moment utkwiał wzrok w oczach Gillette'a. - Pytała, czy nic ci nie jest.

- Naprawdę?

Detektyw z uśmiechem pokiwał głową.

- Ochrzaniła mnie za to, że cię przykułem do krzesła. Powiedziała, że mogłeś nocować na kanapie w jej pokoju hotelowym. Możesz to rozumieć, jak chcesz.

- A Shelton?

- Jest w domu z żoną. Dzwoniłem, ale nikt nie odbierał. Czasami musi na chwilę zniknąć i spędzić z nią trochę czasu - wiesz, po tym, co się stało. Po śmierci syna.

Komputer stojący blisko nich wydał sygnał dźwiękowy. Gillette wstał, podszedł i popatrzył na ekran. Jego niezmordowany bot pracował przez noc, podróżując po całym świecie, i chciał się pochwalić nowym znaleziskiem. Haker odczytał wiadomość i poinformował Bishopa:

- Trzy-X znowu jest online. Wrócił na kanał hakerów. Gillette zasiadł przed komputerem.

- Znowu weźmiemy go na socjotechnikę? - zapytał detektyw.

- Nie, mam inny pomysł.

- Jaki?

- Spróbujemy prawdy.

Tony Mott pędził swoim drogim rowerem Fisher na wschód, jadąc Sevens Creek Boulevard i wyprzedzając po drodze wiele samochodów i ciężarówek. Wreszcie skręcił na parking pod biurem wydziału przestępstw komputerowych.

Zawsze w niezłym tempie pokonywał ponad sześć mil ze swojego domu w Santa Clara - szczupły i muskularny policjant jeździł na rowerze z taką samą energią, z jaką uprawiał inne sporty - narciarstwo w A Basin w Kolorado, narciarstwo wysokogórskie w Europie, rafting czy wspinaczkę skałkową na nagich ścianach, co wręcz uwielbiał.

Ale dziś jechał jeszcze szybciej niż zwykle, myśląc, że prędzej czy później zmęczy Franka Bishopa - Andy'ego Andersona nie udało mu się zmęczyć - i doczeka chwili, gdy będzie mógł nałożyć kamizelkę kuloodporną i zabrać się do prawdziwej policyjnej roboty. W

akademii uczył się bardzo pilnie i choć był dobrym cyber-gliną, przydział do CCU okazał się podobnie ekscytujący jak pisanie pracy magisterskiej. Jak gdyby dyskryminowano go za to, że w MIT miał średnią 4,97.

Zapinając na ramie roweru starą i zniszczoną blokadę Kryptonite, Tony zauważył

szczupłego mężczyznę z wąsikami i w płaszczu, który zmierzał w jego stronę.

- Cześć - odezwał się z uśmiechem nieznajomy.

- Cześć.

- Jestem Charlie Pittman, biuro szeryfa okręgu Santa Clara. Mott uściśnął jego wyciągniętą dłoń. Znał wielu detektywów z okręgu, ale tego sobie nie przypominał.

Zerknąwszy jednak szybko na zawieszoną na jego szyi odznakę, stwierdził, że zdjęcie się zgadza.

- Pewnie jesteś Tony Mott.

- Zgadza się.

Gliniarz z okręgu spojrzał z podziwem na fishera. - Podobno niesamowicie jeździsz.

- Tylko z górki - odparł ze skromnym uśmiechem Mott, chociaż rzeczywiście, jeździł

niesamowicie z górki, pod górkę i po płaskim, bez wyjątku.

Pittman parsknął śmiechem.

- Ja nie mam nawet w połowie tyle ruchu, ile powinienem. Zwłaszcza kiedy szuka się takiego ptaszka jak ten komputerowiec.

Zabawne - Mott nie słyszał, żeby ktokolwiek z okręgu współpracował z nimi w tej sprawie.

- Wchodzisz? - spytał Mott, zdejmując kask.

- Już tam byłem. Frank informował mnie o postępach śledztwa. Pokręcona sprawa.

- No - zgodził się Mott, wsuwając za pasek spodenek ze spandeksu rękawice do strzelania, które spełniały też funkcję rękawiczek kolarskich.

- Ten facet, konsultant, który pomaga Frankowi... ten młody.

- Pytasz o Wyatta Gillette'a?

- Tak, tak się nazywa. Gość naprawdę zna się na rzeczy, nie?

- To czarodziej - rzekł Mott.

- Jak długo będzie wam pomagał? - Pewnie dopóki nie złapiemy tego gnojka. Pittman spojrział na zegarek.

- Będę leciał. Wpadnę do was później.

Tony Mott skinął mu na pożegnanie głową, a Pittman odszedł, wyciągając po drodze telefon komórkowy i dzwoniąc do kogoś. Przeciął cały parking CCU i wszedł na sąsiedni.

Mott dostrzegł to i przez moment wydawało mu się to trochę dziwne, że zaparkował tak daleko, skoro przed budynkiem jest tyle pustych miejsc. Po chwili jednak ruszył w stronę biura, myśląc już tylko o sprawie i o tym, że w końcu uda mu się jakoś dostać do brygady specjalnej, która rozwali drzwi i złapie Jona Patricka Hollowaya.

- Ani, Ani, Animorphy - powiedziała dziewczynka.

- Co? - spytał z roztargnieniem Phate. Jechali hondą acura legend - niedawno ukradzioną, ale potem sumiennie zarejestrowaną na jedno z jego licznych nazwisk -

zmierzając do piwnicy jego domu w Pało Alto, gdzie na przyjazd Samantha Wingate czekała taśma izolacyjna, nóż Ka-bar i kamera cyfrowa.

- Ani, Ani, Animorphy. Wujku Irv, lubisz Animorphy?

Nie, kurwa, ani trochę, pomyślał Phate. Ale wujek Irv odrzekł:

- Ma się rozumieć.

- Czemu pani Gitting była zdenerwowana? - zapytała Sammie Wingate.

- Kto?

- Pani za biurkiem.

- Nie wiem.

- Mama i tata już są w Napa?

- Aha.

Phate nie miał zielonego pojęcia, gdzie są jej rodzice. W każdym razie na pewną cieszę się ostatnimi chwilami spokoju, bo niedługo ogarnie ich taka panika, jakiej w życiu nie doznali. Na pewno już za parę minut ktoś ze szkoły Junípero Serra zacznie dzwonić do przyjaciół i rodziny Wingate'ów i dowie się, że nie było żadnego wypadku.

Phate zastanawiał się, kto będzie bardziej przerażony: rodzice zaginionego dziecka czy dyrekcja i nauczyciele, którzy sami oddali je w ręce mordercy?

- Ani, Ani, Ani, Ani, Animorphy. Kto jest twoim ulubionym?

- Ulubionym kim? - spytał Phate.

- A jak myślisz? - odparła Samantha. Obaj, Phate i wujek Irv, uznali, że zabrzmiało to trochę lekceważąco.

- Ulubionym Animorphem. Ja chyba najbardziej lubię Rachel. Zmienia się w lwa.

Wymyśliłam o niej taką bajkę. Zobaczysz, jest super. To było tak...

Trajkotała dalej, opowiadając mu jakąś bezsensowną historyjkę, bez najmniejszej zachęty ze strony wujka Irva, którego jedynym pokrzepieniem była myśl o ostrym nożu w domu i o minie Donalda Wingate'a, kiedy jeszcze dziś dostanie dość makabryczną przesyłkę w torbie foliowej. Według zasad gry „Dostęp”, kurierem UPS, który podrzuci paczkę i zdobędzie na pokwitowaniu podpis D. Wingate'a, będzie sam Phate. Zdobędzie w ten sposób dwadzieścia pięć punktów, maksimum za jedno morderstwo.

Przypomniał sobie numer socjotechniczny przeprowadzony przed chwilą w szkole.

Naprawdę niezły hak. Nielatwy, ale czysty (mimo że nieużyty wujek Irv zgolił wąsy po zrobieniu sobie ostatniego zdjęcia do prawa jazdy).

Dziewczynka podskakiwała na siedzeniu w obrzydliwy sposób.

- Myślisz, że będziemy mogli pojeździć na kucyku, którego dał mi tata? Jej, ale fajnie.

Billy Tomkins cały czas gadał o tym swoim głupim psie, ale co z tego? Wszyscy mają psy. A ja mam kucyka.

Phate zerknął na dziewczynkę. Nienagannie ułożona fryzura. Drogi zegarek, którego skórzany pasek zeszcyciła jakimiś nieczytelnymi rysunkami. Buty wyczyszczone przez kogoś innego. Oddech o zapachu sera.

Uznał, że Sammie w niczym nie przypomina Jamiego Turnera, którego nie miał

ochoty zabijać, bo za bardzo przypominał mu jego samego. Nie, ten dzieciak był taki sam jak banda bachorów, która zmieniła szkolne życie Jona Patricka Hollowaya w prawdziwe piekło.

Był pewien, że prawdziwą przyjemność sprawi mu zrobienie paru zdjęć małej Samancie przed wycieczką do piwnicy i później.

- Chcesz się przejechać na Charizardzie, wujku?

- Na kim? - spytał Phate.

- No nie mogę, na moim kucyku. Tata dał mi go na urodziny. Przecież byłeś tam wtedy.

- Ach tak, zapomniałem.

- Jeździmy czasem z tatą na przejażdżki. Charizard jest super. Sam zna drogę do stajni. Wiem, mógłbyś wziąć konia taty i razem pojeździlibyśmy sobie dookoła jeziora. Jak mnie dogonisz.

Phate zastanawiał się, czy uda mu się doczekać chwili, gdy weźmie małą do piwnicy.

Dziewczynka dalej paplała o przepoczwarczających się psach i lwach, gdy nagle wewnątrz samochodu wypełnił sygnał pagera. Phate zdjął z paska aparat i przewinął tekst na wyświetlaczu.

Zaparło mu dech.

W wiadomości Shawn informował go, że w centrali CCU jest Wyatt Gillette.

Phate poczuł wstrząs, jakby dotknął przewodu pod napięciem. Musiał zjechać na pobocze.

Chryste panie... Gillette - Valleyman - pomagał glinom! To dlatego tyle o nim wiedzieli i deptali mu po piętach. W jednej chwili stanęły mu przed oczami setki wspomnień z czasów Rycerzy Dostępu. Niewiarygodne haki. Długie godziny wypełnione gorączkowymi rozmowami, szalone stukanie w klawiaturę w obawie, żeby nie uronić żadnej myśli. Paranoja.

Ryzyko. Radosne podniecenie, gdy docierali do sieciowych zakamarków, do których nikt nie mógł

się dostać.

Zaledwie wczoraj myślał o artykule, który napisał Gillette. Przypomnił sobie ostatnie linijki: „Gdy spędziłeś pewien czas w Błękitnej Pustce, już nigdy nie dasz rady w pełni wrócić do Realu”.

Valleyman - którego dziecinna ciekawość i upór nie pozwalały mu usiedzieć spokojnie, dopóki nie zrozumiał w najdrobniejszym szczególe czegoś, czego wcześniej nie znał.

Valleyman - którego błyskotliwy talent pisania kodów dorównywał, a czasem nawet przewyższał umiejętności Phate'a.

Valleyman - którego zdrada zniszczyła Hollowayowi życie i obróciła w gruzy Wielką Socjotechnikę. I który żył tylko dlatego, że Phate jeszcze nie zaplanował zamordowania go.

- Wujku, czemu się tu zatrzymaliśmy? Coś... coś się stało z samochodem?

Spojrzał na dziewczynkę. Potem rozejrzał się po pustej drodze.

- Wiesz co, Sammie - chyba rzeczywiście coś się stało. Może zobaczysz?

- Ja? - Tak.

- Nie wiem za bardzo, co robić.

- Sprawdź, czy nie mamy kapcia - poradził uprzejmie wujek Irv. - Mogłabyś?

- Chyba tak. Które koło?

- Prawe tylne.

Dziewczynka popatrzyła w lewo. Phate wskazał w drugą stronę.

- Aha, tu. Mam coś znaleźć?

- A czego szukałyby Animorphy?

- Nie wiem. Może gwoźdź albo czegoś takiego. - Doskonale. Zobacz, czy nie najechaliśmy na jakiś gwoźdź.

- Dobra.

Phate odpiął pas dziewczynki. Potem sięgnął do klamki po jej stronie.

- Sama to umiem zrobić - burknęła. - Nie musisz mi otwierać. - Dobrze. - Phate cofnął

rękę i przyglądał się, jak mała niezdarnie szarpie za klamkę i otwiera sobie drzwi.

Sammie wysiadła i podeszła do tyłu samochodu.

- Wygląda całkiem normalnie - zawołała.

- To dobrze - odpowiedział Phate i wcisnął gaz do dechy. Drzwi zatrzasnęły się, a samochód ruszył z kopyta, osypując Samanthę żwirem i pyłem spod kół. Dziewczynka zaczęła krzyczeć:

- Zaczekaj, wujku Irv...

Hondą lekko zarzuciło i Phate wyjechał na autostradę.

Dziewczynka ze szlochem biegła za autem, ale po chwili zasłonił ją obłok pyłu spod kół. A Phate przestał myśleć o Samancie Wingate, gdy tylko zatrzasnęły się drzwi.

Rozdział

00010111/dwudziesty trzeci

Renegat334: Trzy-X, to znowu ja. Chce pogadać. NBS.

- Akronim oznacza „Bez kitu” * * *No bull shit* - wyjaśniła Bishopowi Patricia Nolan. Patrzyli w ekran monitora, przed którym siedział Wyatt Gillette.

Nolan przyjechała z hotelu przed kilkoma minutami w momencie, gdy Gillette szybkim krokiem zmierzał do komputera. Przez chwilę stała obok niego, jakby chciała uścisnąć go na dzień dobry. Lecz zmieniła zamiar, widząc jego całkowite skupienie.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła blisko monitora. Tony Mott też zajął miejsce nieopodal.

Bob Shelton dzwonił wcześniej i powiedział Bishopowi, że żona źle się czuje, więc trochę się spóźni.

Gillette wstukał następną wiadomość i wcisnął klawisz ENTER.

Renegat334: Jesteś tam? Chce pogadać.

- No już - poganiał go szeptem Gillette. - Odezwij się wreszcie. Wreszcie otworzyło się okno ICQ i Trzy-X odpowiedział.

Trzy-X: Teraz piszesz o wiele lepiej. Pisownia i gramatyka bez zarzutu. BTW, nadaje z anonimowej platformy w Europie. Nie namierzysz mnie.

Renegat334: Wcale nie chcemy cie namierzać. Przepraszam za tamten numer.

Jesteśmy w kropce. Potrzebujemy twojej pomocy. Proszę cie o pomoc.

Trzy-X: Kim kurwa jesteś?

Renegat334: Słyszałeś o Rycerzach Dostępu?

Trzy-X: WSZYSCY słyszeli o RD. Mówisz, że byles w grupie?

Renegat334: Jestem Valleyman.

Trzy-X: Jesteś Valleyman? NFW.

- Pieprzysz* * *No fucking way.* - przetłumaczył akronim Tony Mott.

Otworzyły się drzwi i w biurze zjawili się Stephen Miller i Linda Sanchez. Bishop poinformował ich krótko, co się dzieje.

Renegat334: To naprawdę ja.

Trzy-X: W takim razie powiedz, gdzie się włamałeś szesc lat temu - chodzi o ten duzy hak.

- Chce mnie sprawdzić - powiedział Gillette. - Pewnie słyszał od Phate'a o haku Rycerzy i chce zobaczyć, czy wiem. Wstukał:

Renegat334: Do Fort Meade.

Fort Meade był siedzibą NSA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie znajdowało się więcej superkomputerów niż gdziekolwiek indziej na świecie. Miał też szczelniejsze zabezpieczenia niż inne systemy rządowe.

- Jezu - szepnął Mott. - Włamałeś się do Meade? Gillette wzruszył ramionami.

- Pokonaliśmy tylko łącze internetowe. Nie dostaliśmy się do czarnych skrzynek.

- Mimo wszystko. Jezu...

Trzy-X: Jak pokonaliście firewalle?

Renegat334: Słyszeliśmy, że NSfl instaluje nowy system.

Dostaliśmy się przez dziurę pocztowa w Uniksie. Mielliśmy trzy minuty po zainstalowaniu maszyny, dopóki nie załadowali luty. I zdążyliśmy.

Znana dziura pocztowa była błędem we wcześniejszej wersji systemu Unix, który później został naprawiony, i pozwalała przysyłać pewien typ e-maili do administratora systemu, umożliwiając czasem nadawcy przejęcie kontroli nad komputerem.

Trzy-X: Jesteś czarodziejem. Wszyscy o tobie słyszeli. Myślałem, że siedzisz w więzieniu.

Renegat334: Bo siedzę. Teraz w areszcie policyjnym, file nie martw się - do ciebie nic nie maja.

- Proszę, tylko nie uciekaj - szepnął Tony Mott.

Trzy-X: Czego chcesz?

Renegat334: Próbujemy znaleźć Phate'a - Jona Hollowaya.

Trzy-X: Po co wam Phate?

Gillette zerknął na Bishopa, który skinął przyzwalająco głową.

Renegat334: Bo zabija ludzi.

Kolejna przerwa. Przez trzydzieści sekund Gillette poruszał palcami w powietrzu, wpisując niewidzialne wiadomości, wreszcie Trzy-X odpowiedział: **Trzy-X: Słyszałem plotki. Szuka ludzi tym swoim programem, Trapdoorem, nie?**

Renegat334: Tak.

Trzy-X: WIEDZIRLEM, że wykorzysta go przeciw ludziom. Ten facet to chory S.K.S.

Gillette uznał, że nie ma potrzeby tłumaczenia tych inicjałów.

Trzy-X: Czego ode mnie chcecie?

Renegat334: Żebyś pomógł nam go znaleźć.

Trzy-X: IDTS.

- „Nie sądzę” * *I don't think so.* - spróbował Bishop.

Linda Sanchez parsknęła śmiechem.

- Brawo, szefie. Uczysz się slangu. - Gillette zauważył, że Bishop zasłużył sobie wreszcie na tytuł „szefa”, który Linda rezerwowała wcześniej dla Andy'ego Andersona.

Renegat334: Potrzebujemy pomocy.

Trzy-X: Nie macie pojęcia, jaki to niebezpieczny skurwiel. Psychol. Będzie się na mnie mścił.

Renegat334: Możesz zmienić nicka i adres.

Trzy-X: LTW.

- „Jakby to mogło pomóc” * *Like that'd work.* - powiedziała do Bishopa Patricia Nolan. - Z przekazem.

Trzy-X: Znalazłby mnie w dziesięć minut.

Renegat334: To zostać offline, dopóki go nie złapiemy.

TrzyX: W czasach hakerki miałeś kiedyś jeden dzień bez Netu?

Teraz Gillette zamilkł na moment. W końcu napisał:

Renegat334: Nie.

Trzy-X: I chcesz, żebym ryzykował życie i trzymał się z daleka od sieci, bo nie umiesz znaleźć gnojka? **Renegat334:** On ZBBIJA cywili.

Trzy-X: Możliwe, że teraz na nas patrzy. Możesz mieć w maszynie Trapdoora.

Albo ja. Możę teraz widzieć wszystko, co piszemy.

Renegat334: Nie, na pewno nie widzi. Poczulbym to. Ty chyba też. Masz wycucie, nie?

Trzy-X: Zgadza się.

Renegat334: Wiemy, że lubi fotki zamordowanych ludzi i zdjęcia z miejsc zbrodni. Masz coś od niego?

Trzy-X: Nie, skasowałem wszystko. Nie chciałem mieć z nim nic wspólnego.

Renegat334: Znasz Shawna?

Trzy-X: Wiem tylko, że zadaje się z Phate'em. Podobno Phate nie umiał dać sobie rady z Trapdoorem i Shawn mu pomógł.

Renegat334: Też jest czarodziejem?

Trzy-X: Tak słyszałem. I też jest cholernie straszny.

Renegat334: Gdzie jest Shawn?

Trzy-X: Moim zdaniem w okolicy Zatoki, file wiem tylko tyle.

Renegat334: Jesteś pewien, że to mężczyzna?

Trzy-X: Nie, ale ilu znasz hakerów w spódnicy?

Renegat334: Pomożesz nam? Musimy znaleźć prawdziwy adres e-mailowy Phate'a, adres internetowy, strony i serwisy FTP, które odwiedza, i tak dalej.

- Nie będzie chciał się z nami kontaktować ani online, ani tu, w CCU - powiedział do Bishopa Gillette. - Podaj mi numer swojej komórki.

Bishop podyktował mu numer i Gillette przekazał go hakerowi. Ten w ogóle nie zareagował na tę informację, wystukując tylko:

Trzy-X: Wyloguje się. Za długo gadamy. Pomyśle o tym.

Renegat334: Potrzebujemy twojej pomocy. Proszę...

Trzy-X: Dziwne.

Renegat334: Co?

Trzy-X: Jeszcze chyba nie widziałem, żeby haker pisał proszę.

Połączenie zostało zakończone.

Kiedy Phate dowiedział się, że glinom pomaga Wyatt Gillette i zostawił małego Animorpha na poboczu drogi, porzucił samochód - ten zapłakany bachor mógłby go rozpoznać - a potem za gotówkę kupił starego gruchota i nim pognął do położonego niedaleko San Jose magazynu, który wynajmował.

Kiedy grał w Dostęp w Realu, zwykle jechał do innego miasta i na jakiś czas urządzał

tam sobie dom, ale magazyn stanowił mniej więcej stały adres. To tu trzymał wszystko, co było dla niego ważne.

Gdyby za tysiąc lat archeolodzy przekopali się przez warstwy ziemi i piasku i znaleźliby zasnutę pajęczynami i zakurzone pomieszczenie, mogliby dojść do wniosku, że odkryli świątynię z początku epoki komputerów - równie ważne znalezisko historyczne jak grobowiec Tutenchamona odkryty przez Howarda Cartera w Egipcie.

W zimnej i pustej dawnej zagrodzie dinozaura Phate trzymał wszystkie swoje skarby.

Kompletny EAITR-20, analogowy komputer z lat sześćdziesiątych, elektroniczny analogowy zestaw komputerowy Heath z 1956 roku, komputery Altair 8800 i 680b, dwudziestopięcioletni przenośny IBM 510, Commodore KIM-1, słynny TRS-80, przenośny Kaupro, COSMAC VIP, kilka maszyn Apple'a i maców, lampy z oryginalnego Univaca, mosiężne elementy i dysk liczbowy z prototypu nigdy nieukończonej maszyny różnicowej Charlesa Babbage'a z XIX wieku i notatki na jej temat sporządzone przez Adę Byron - córkę lorda Byrona i towarzyszkę Babbage'a - która napisała instrukcje do jego urządzeń; dlatego uważa się ją za pierwszego na świecie programistę komputerowego. Poza tym w magazynie było kilkadziesiąt sztuk innego sprzętu.

Na półkach stały wszystkie książki wydane przez Rainbow Books - podręczniki techniczne omawiające wszystkie aspekty sieci komputerowych i bezpieczeństwa. Ich obwoluty wyróżniały się w półmroku tęczą barw na grzbietach, mieniącą się pomarańczowo, czerwono, żółto, zielono, fioletowo, błękitno i turkusowo.

Chyba najbardziej ulubionym eksponatem Phate'a był oprawiony w ramki plakat z nagłówkiem firmy Traf-O-Data, pierwotną nazwą Microsoftu Bilia Gatesa.

Lecz magazyn nie był tylko muzeum. Pełnił również funkcję użytkową. Znajdowało się tu mnóstwo ustawionych w długie rzędy pudełek z dyskietkami, kilkanaście działających komputerów i wiele części elektronicznych wartych ze dwa miliony dolarów - głównie do budowy i naprawy superkomputerów. Jednym z głównych źródeł dochodów Phate'a był

handel tymi częściami prowadzony za pośrednictwem fikcyjnych spółek.

Także tu mieściła się baza operacyjna, gdzie Phate planował każdą rozgrywkę, zmieniał wygląd i osobowość. Miał tu większość swoich kostiumów i środków do charakteryzacji. W kącie stał ID 4000 - urządzenie do produkcji kart identyfikacyjnych - wraz z wypalarką pasków magnetycznych. Dzięki innym maszynom mógł sobie zrobić aktywne karty identyfikacyjne, które transmitowały hasła dostępne do szczególnie strzeżonych systemów. Maszyny i szybki hak do wydziału pojazdów silnikowych, różnych szkół i instytucji prowadzących potrzebne kartoteki pozwalały mu przeistoczyć się w kogokolwiek zechciał i sfabrykować wszystkie potrzebne dokumenty. Mógł nawet wypisać sobie paszport.

Kim chcesz być?

Przyjrzał się całemu sprzętowi. Z półki nad biurkiem zdjął telefon komórkowy i kilka szybkich laptopów Toshiba - do jednego załadował plik JPEG, skompresowane zdjęcie.

Znalazł też duże pudło na dyskietki, które idealnie nadawało się do jego celów.

Początkowy szok na wieść, że po stronie przeciwnika znalazł się Valleyman, minął, ustępując miejsca parzącemu jak prąd elektryczny podekscytowaniu. W grze nastąpił

dramatyczny zwrot, dobrze znany każdemu, kto brał udział w Dostępie czy innych grach MUD: akcja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i ścigający stali się ofiarą.

Przemierzając Błękitną Pustkę jak delfin, penetrując przybrzeżne zatoki i zapuszczając się na otwarte morze, wyskakując nad powierzchnię i szperając w wodorostach porastających dno, niezmordowany bot Wyatta Gillette'a wysłał swemu panu pilną wiadomość.

W centrali CCU odezwał się sygnał komputera.

- Co tam mamy? - zapytała Patricia Nolan. Gillette wskazał na ekran.

Wyniki wyszukiwania:

Poszukiwane wyrażenie: Phate

Lokalizacja: Grupa dyskusyjna: alt.pictures.true.crime Status: Zamieszczona wiadomość

Twarz Gillette'a stężała.

- Phate sam coś wywiesił - zawołał do Bishopa. Otworzył wiadomość.

Message-ID:

<1000423454210815.NP16015@k2rdka>

X-Newsheader: newspost-1.2

Newsgroups: alt.pictures.true.crime

From: <phate@icsnet.com>

To: Group

Subject: Ostatnia postać

Encoding: Jpg

Lines:1276

NNTP-Posting-Date: 2 kwietnia

Date: 2 kwie 11:22

Path:news.newspost.com!southwest.com!newscom.mesh.ad.jp!counterculturesyste.ms.com!la.rive.ga.uche.fr.net!frankfrt.de.net!swip.net!newsserve.deluxe.interpost.net!internet.gateway.net!roma.internet.it!globalsystems.uk!

Pamiętaj: Świat jest MUD-em, postaciami ludzie.

Nikt się domyślał, co może oznaczać ta parafraza Szekspira*.* „Świat jest teatrem, aktorami ludzie”. „Jak wam się podoba”, akt II, scena 7 (przeł. L. Ulrich).

Dopóki Gillette nie ściągnął fotografii będącej załącznikiem wiadomości.

Powoli ukazywała się na ekranie.

- O Boże - powiedziała cicho Linda Sanchez, patrząc na straszne zdjęcie.

- Skurwysyn - szepnął Tony Mott. Stephen Miller milczał, a po chwili odwrócił głowę.

Monitor wyświetlał zdjęcie Lary Gibson. Była na wpół naga i leżała na wyłożonej płytkami podłodze - chyba w jakiejś piwnicy. Na zakrwawionym ciele miała cięte rany.

Zasnute mgłą oczy patrzyły z rozpaczą w obiektyw. Czując ogarniające go mdłości, Gillette pomyślał, że zdjęcie zostało zrobione na kilka minut przed jej śmiercią. Podobnie jak Stephen Miller, on też musiał odwrócić wzrok.

- A ten adres - Phate@icsnet.com - może być prawdziwy? Gillette uruchomił program HyperTrace i sprawdził adres.

- Fałszywy - oznajmił, co nikogo nie zdziwiło.

- Wiemy, że Phate jest gdzieś w okolicy - odezwał się Miller. - Może by wysłać ludzi, żeby sprawdzili punkty ekspresowego wywoływania zdjęć? Mogliby je rozpoznać.

Zanim Gillette zdążył odpowiedzieć, Patricia Nolan odparła zniecierpliwiona:

- Nie będzie ryzykował wizyt w zakładzie fotograficznym. Używa aparatu cyfrowego.

Domyślił się tego nawet mało obeznany z techniką Frank Bishop.

- Czyli nic nam po tym tropie - powiedział detektyw. - Może jednak nie - odrzekł

Gillette. Nachylił się, pokazując na monitorze wers „Path” oznaczający ścieżkę. Przypomniał

Bishopowi, że nagłówek wiadomości zawiera informacje na temat sieci, jakie pokonała wiadomość Phate’a w drodze do serwera, z którego ją ściągnęli.

- To jak zapis adresów na kopercie. Pamiętasz tego hakera z Bułgarii, Vlasta? U niego zapis ścieżki był od początku do końca fałszywy. Ale ten może być prawdziwy, a przynajmniej może zawierać informacje o niektórych sieciach, z których Phate naprawdę korzystał, wysyłając zdjęcie Lary Gibson.

Gillette zaczął sprawdzać HyperTrace’em wszystkie sieci wymienione w nagłówku.

Według programu jedna z nich była autentyczna.

- Jest, z tą siecią łączył się komputer Phate’a: newsserve.de-luxe.interpost.net.

Gillette polecił HyperTrace’owi zdobyć więcej informacji na temat tej firmy. Po chwili na ekranie pojawił się komunikat:

Nazwa domeny: Interpost.net

Zarejestrowany dla: Interpost Europe SA

23443 Grand Palais

Brugia, Belgia

Usługi: dostawca usług internetowych,

host, anonimowe przeglądanie i przesyłanie wiadomości.

- To przekaźnik łańcuchowy - rzekł Gillette, kręcąc głową. - Wcale się nie dziwię.

Patricia Nolan wytłumaczyła Bishopowi powód zniechęcenia hakera:

- Dzięki przekaźnikom poczty anonimowej można ukryć swoją tożsamość, wysyłając e-maile albo zamieszczając wiadomości w grupach.

- Phate wysłał fotografię do Interposta - ciągnął Gillette - a ich komputery usunęły prawdziwy adres zwrotny, dodały fałszywe i puściły dalej.

- Nie można tego namierzyć? - zapytał Bishop.

- Nie - odparła Nolan. - To martwy punkt. Dlatego Phate nie zawracał sobie głowy pisaniem fałszywego nagłówka tak jak Vlast.

- Ale Interpost wie, gdzie jest komputer Phate'a - zauważył detektyw. - Zadzwońmy do nich, to się dowiemy. Haker znów pokręcił głową.

- Przekazniki anonimowe działają w Sieci dzięki gwarancji, że nikt nie dowie się, kim jest nadawca - nawet policja.

- Czyli stoimy pod ścianą - podsumował Bishop.

- Niekoniecznie - powiedział Wyatt Gillette. - Myślę, że powinniśmy jeszcze trochę pogrzebać. - Po czym uruchomił w komputerze CCU jedną ze swoich wyszukiwarek.

Rozdział

00011000/dwudziesty czwarty

Gdy komputer w wydziale przestępstw komputerowych policji stanowej wysłał

prośbę o informacje na temat Interposta, Phate siedział w pokoju motelu Bay View, ruderze przy piaszczystym pasażu handlowym we Fremont na północ od San José. Ze wzrokiem utkwionym w monitor laptopa, obserwował postęp poszukiwań Gillette'a.

Gillette naturalnie będzie wiedział, że zagraniczny przekaźnik anonimowy taki jak Interpost nie wyświadczy uprzejmości amerykańskiemu gliniarzowi i nie poda mu tożsamości swojego klienta.

Zatem Gillette, zgodnie z przewidywaniami Phate'a, zaczął przeczesywać Sieć za pomocą wyszukiwarki, rozglądając się za informacjami na temat Interpostu, które pozwoliłyby prośbą lub groźbą nakłonić belgijski serwis do współpracy.

W ciągu kilku sekund wyszukiwarka Gillette'a odnalazła kilkadziesiąt stron ze wzmiankami o Interpoście i zaczęła przysyłać ich nazwy i adresy do komputera CCU. Ale pakiety danych trafiały tam drogą okrężną - przez laptop Phate'a. Trapdoor modyfikował je, umieszczając w nich demona, po czym odsyłał do CCU.

Phate otrzymał wiadomość:

Trapdoor

Połączenie nawiązane

Chcesz wejść do komputera celu? Y/N

Phate wcisnął Y, potem ENTER, a chwilę później wędrował już po systemie CCU.

Wstukał jeszcze kilka poleceń i zaczął przeglądać pliki, myśląc mimochodem o swojej sztuczce - gliny doszły do wniosku, że on, jako opętany obsesją seryjny morderca, umieścił w Sieci zdjęcie umierającej Gibson, żeby ich nastraszyć albo zaspokoić jakieś chore sadystyczno-ekshibicjonistyczne żądze. Tymczasem on podsunął fotografię na przynętę, żeby poznać adres internetowy maszyny CCU. Wydał polecenie botowi, aby przekazał mu adres każdego, kto ściągnąłby zdjęcie z grupy dyskusyjnej. Jeden z adresów należał do komputera instytucji stanowej Kalifornii z zachodniej części San Jose - Phate odgadł, że to biuro CCU, mimo iż nazwa domeny sugerowała, że chodzi o firmę turystyczną.

Phate przerzucał zawartość policyjnego komputera, kopiując informacje, a potem otworzył folder opatrzony nazwą Akta Personalne - Wydział Przestępstw Komputerowych.

Dane - nic dziwnego - były zaszyfrowane. Phate przeciągnął okno na Trapdoora i kliknął przycisk „Deszyfruj”. Program zabrał się do łamania kodu.

Gdy twardy dysk zaczął wydawać jęki, Phate wstał i z chłodziarki na podłodze wziął

puszkę mountain dew. Wrzucił do napoju pastylkę No-Doz z kofeiną i popijając słodką ciecz, podszedł do okna, za którym spoza burzowych chmur przebijały się jasne promienie słońca.

Poraził go oślepiający blask, więc szybko opuścił żaluzję i wrócił, żeby spojrzeć na stonowane barwy monitora, które były dla niego znacznie piękniejsze niż jakakolwiek stworzona przez Boga paleta barw.

- Mamy go - oznajmił wszystkim Gillette. - Phate jest w naszej maszynie. Zaczynamy namierzać.

- Świetnie! - rzekł Tony Mott, wydając przenikliwy gwizd triumfu.

Gillette uruchomił HyperTrace'a i na ekranie zaczęła się powoli rysować cienka żółta linia łącząca komputer CCU z maszyną Phate'a.

- Dobry jest, co, szefie? - powiedziała z podziwem Linda Sanchez, wskazując Gillette'a.

- Chyba zna się na rzeczy - przytaknął Bishop.

Dziesięć minut wcześniej hakerowi przyszła do głowy pewna myśl: może wiadomość Phate'a to fortel. Uznał, że morderca zastawia na nich pułapkę jak wytrawny gracz MUD i zamieścił w grupie dyskusyjnej zdjęcie Lary Gibson nie po to, aby z nich zadrwić czy ich przestraszyć, ale żeby zdobyć

adres internetowy CCU i dostać się do ich komputera.

Gillette podzielił się swoimi podejrzeniami z zespołem, dodając:

- I puścimy go, kiedy zapuka.

- A potem namierzemy - rzekł Bishop.

- Otóż to - potwierdził Gillette.

- Ależ nie możemy go wpuścić do naszego systemu - zaprotestował Stephen Miller, machnięciem ręki wskazując wszystkie komputery CCU.

- Przenieś wszystkie prawdziwe dane na taśmy - odparł krótko Gillette - i załaduję jakieś zakodowane pliki. Będzie je próbował rozkodować, a wtedy go znajdziemy.

Bishop się zgodził i Gillette przeniósł najważniejsze dane, takie jak akta osobowe, na taśmę, zastępując je zaszyfrowanymi plikami. Potem zaczął szukać informacji o serwisie Interpost i kiedy dostał odpowiedź, był w niej demon Trapdoor.

- Facet zachowuje się jak gwałcieł - zauważyła Linda Sanchez, patrząc, jak katalogi w ich systemie otwierają się i zamykają, gdy Phate sprawdzał ich zawartość.

Zbrodnia nowego wieku to gwałt...

- Szybciej, szybciej - zachęcał Gillette HyperTrace'a, który wydawał ciche odgłosy sonaru za każdym razem, gdy identyfikował nowe ogniwo w łańcuchu połączeń.

- A jeżeli używa anonimizera? - zapytał Bishop.

- Wątpię. Na jego miejscu stosowałbym taktykę pojedynczego ataku i ucieczki.

Prawdopodobnie loguje się z automatu telefonicznego albo hotelu. I pewnie używa gorącej maszyny.

- To komputer, z którego korzysta się tylko raz, a potem się go porzuca - wyjaśniła Patricia Nolan. - Nie ma żadnych cech, które pozwoliłyby zidentyfikować użytkownika.

Gillette pochylał się ze spojrzeniem utkwionym w monitorze, na którym żółta linia wolno pełzła w kierunku Phate'a. Wreszcie zatrzymała się w miejscu położonym niedaleko na północny wschód od siedziby CCU.

- Mam jego dostawcę! - krzyknął haker, czytając informacje z ekranu. - Wdzwania się przez ContraCosta On-Line w Oakland. Połącz się z Pac Bell - zwrócił się do Stephena Millera. Operator telefoniczny miał wykonać ostatni krok i zamknąć łańcuch ostatnim ogniwoem łączącym ContraCosta On-Line z komputerem Phate'a. Miller zaczął gorączkowo rozmawiać z działem zabezpieczeń Pac Bella.

- Jeszcze tylko kilka minut - powiedziała zdenerwowanym głosem Nolan. - Nie rozłączaj się, nie rozłączaj...

Stephen Miller znieruchomiał na moment, po czym na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Pac Bell już go ma - powiedział. - Jest w motelu Bay View we Fremont.

Bishop zadzwonił z telefonu komórkowego do centrali, żeby ogłosiła alarm dla brygady specjalnej.

- Cicha akcja - rozkazał. - Oddział ma się tam zjawić w ciągu pięciu minut. Facet pewnie siedzi przy oknie, obserwując parking, i ma włączony silnik w samochodzie.

Przekażcie to chłopakom. - Potem skontaktował się z Huertem Ramirezem i Timem Morganem, których też skierował do motelu.

Tony Mott uznał, że to kolejna okazja, by wystąpić w roli prawdziwego gliny. Tym razem jednak zdziwiła go reakcja Bishopa.

- Dobra, możesz się włączyć w tę akcję. Ale trzymaj się z tyłu.

- Tak jest - odrzekł poważnie młody policjant, wyciągając z szuflady biurka pudełko zapasowej amunicji.

Bishop wskazał głową pas Motta.

- Wydaje mi się, że te dwa magazynki w zupełności wystarczą.

- Jasne, w porządku. - Jednak gdy Bishop się odwrócił, Tony Mott ukradkiem wsypał garść naboju do kieszeni wiatrówki.

- Pojedziesz ze mną - powiedział do Gillette'a Bishop. - Wstąpimy po Boba Sheltona.

To po drodze. Potem ruszamy na polowanie.

Detektyw Robert Shelton mieszkał na skromnym osiedlu w San Jose, niedaleko autostrady 280.

Na przydomowych podwórkach było pełno plastikowych zabawek, na podjazdach stały niedrogie samochody - toyoty, fordy i chevrolety.

Frank Bishop zatrzymał wóz obok domu. Nie wysiadł od razu, jak gdyby nad czymś się zastanawiał. Wreszcie powiedział:

- Chciałbym, żebyś wiedział coś o żonie Boba... Pamiętasz, że ich syn zginął w wypadku? Nigdy nie doszła po tym do siebie. Trochę za dużo pije. Bob twierdzi, że jest chora. Ale sprawy mają się inaczej.

- Rozumiem.

Podeszli do drzwi. Bishop nacisnął guzik dzwonka. W domu nie rozległ się żaden dźwięk, usłyszeli za to przytłumione głosy pełne złości.

Potem krzyk.

Bishop zerknął na Gillette'a, zawahał się przez moment, po czym nacisnął klamkę.

Drzwi były otwarte. Wszedł do środka z ręką na pistolecie. Gillette wkroczył za nim.

W środku panował bałagan. W salonie walały się brudne naczynia, czasopisma i ubrania. Wszędzie unosił się kwaśny zapach - niewypranych ubrań i alkoholu. Na stole stał

posiłek dla dwóch osób - nędzne kanapki z serem. Była pora lunchu - wpół do pierwszej -

lecz Gillette nie potrafił stwierdzić, czy jedzenie zostało przygotowane dziś, czy stało tu od wczoraj albo jeszcze dłużej. Nie widzieli nikogo, tylko z pokoju w głębi domu dobiegł ich jakiś trzask i odgłos kroków.

Obaj drgnęli na dźwięk krzyku.

- Nic mi nie jest! Zdaje ci się, że możesz mi, kurwa, rozkazywać. Nich ci się nie wydaje... To przez ciebie tak ze mną źle - bełkotał kobiecy głos.

- Nie przeze mnie... - powiedział głos Boba Sheltona. Jednak słowa zagłuszył kolejny huk: coś spadło na podłogę albo zostało zrzucone przez jego żonę. - Jezu! - krzyknął Shelton.

- Zobacz, co zrobiłaś!

Haker i detektyw stali bezradnie w salonie, nie wiedząc, jak się zachować w tej sytuacji.

- Posprzątam - mruknęła żona Sheltona. - Nie, ja sam...

- Daj mi spokój! Niczego nie rozumiesz. Nigdy cię nie ma. Jak możesz rozumieć?

Gillette zajrzał przez uchylone drzwi do pokoju obok. Zmrużył oczy. W pokoju było ciemno i wydobywała się stamtąd przykra woń stęchlizny. Uwagi hakera nie zwrócił jednak zapach, ale przedmiot stojący przy drzwiach. Kanciasta metalowa skrzynka.

- Spójrz.

- Co to jest? - zapytał Bishop.

Gillette obejrzał skrzynkę i zaśmiał się zaskoczony.

- Stary twardy dysk typu Winchester. Duży. Już się takich nie używa, ale parę lat temu to był

najnowocześniejszy sprzęt. Ludzie używali ich do prowadzenia BBS-ów -

komputerowych tablic ogłoszeń - i pierwszych stron WWW. Zdawało mi się, że Bob nie za bardzo zna się na komputerach. Bishop wzruszył ramionami.

Pytanie, po co Bob Shelton miał dysk serwera, nie znalazło jednak odpowiedzi, ponieważ właśnie w tym momencie detektyw wyszedł do holu i na widok Bishopa i Gillette'a stanął jak wryty.

- Dzwoniliśmy - wyjaśnił krótko Bishop.

Shelton ani drgnął, jak gdyby starał się ocenić, ile intruzi usłyszeli.

- Jak Emma? - spytał Bishop. - Dobrze - odrzekł ostrożnie detektyw. - Słysząc było jednak... - zaczął Bishop.

- Złapała lekką gripę - powiedział szybko. Zmierzył zimnym wzrokiem Gillette'a. - A on co tu robi?

- Przyjechaliśmy po ciebie, Bob. Mamy sygnał, że Phate jest we Fremont. Musimy brać się do roboty.

- Macie sygnał?

Bishop wyjaśnił, że w motelu Bay View szykuje się akcja.

- Dobra - powiedział detektyw, oglądając się na drzwi, za którymi jego żona chyba zaczęła cicho płakać. - Będę gotowy za minutę. Możecie poczekać w samochodzie?

- Jasne, Bob.

Shelton czekał, aż Bishop i Gillette zbliżą się do drzwi wyjściowych, a potem zawrócił do sypialni. Wahał się przez moment, jak gdyby zbierając się na odwagę, wreszcie wszedł do pokoju.

Rozdział

00011001/dwudziesty piąty

Wszystko sprowadza się do jednego...

Tak powiedział kiedyś do nieopierzonego gliniarza Franka Bishopa jeden z jego mentorów z policji stanowej tuż przed szturmem na mieszkanie na piętrze niedaleko przystani Oakland. W mieszkaniu znajdowało się pięć czy sześć kilogramów substancji, z którą lokatorzy nie mieli się ochoty rozstać, i parę sztuk broni automatycznej, z której mieli ogromną ochotę skorzystać.

- Wszystko sprowadza się do jednego - mówił stary policjant. - Zapomnij o wsparciu, zapomnij o helikopterach ratunkowych, o dziennikarzach i sprawach publicznych, o dowództwie w Sacramento, radiach i komputerach. Wszystko sprowadza się do jednego: stajesz oko w oko z przestępcą, tylko ty i on. Wyważasz drzwi, osaczasz kogoś w ślepej uliczce, podchodzisz do samochodu, w którym za kierownicą siedzi facet i patrzy prosto przed siebie, może porządny obywatel, może trzyma w ręce

portfel i prawo jazdy, może swojego fiuta, a może odbezpieczonego browninga.380 z odciągniętym kurkiem, ustawionego na pojedynczy strzał. Rozumiesz, o czym mówię?

Och tak, Bishop rozumiał doskonale: sens bycia gliniarzem polegał właśnie na pokonaniu tych drzwi.

Pędząc do motelu Bay View we Fremont, skąd Phate atakował komputer CCU, Frank Bishop myślał o tym, co wiele lat temu usłyszał od starszego policjanta.

Myślał też o tym, co zauważył w kartotece Wyatta Gillette'a, którą pokazał im naczelnik San Ho - artykuł, który napisał haker, nazywając w nim świat komputerów Błękitną Pustką. Zdaniem Franka Bishopa to określenie mogłoby się również odnosić do świata policji.

Błękitny - od barwy munduru.

Pustka - miejsce za drzwiami, które masz wyważyć, albo w głębi ślepego zaułka, albo za kierownicą samochodu, który właśnie zatrzymałeś, zupełnie inne, niż wszystkie znane ci dotąd miejsca.

Wszystko sprowadza się do jednego...

Prowadził Shelton, wciąż w złym humorze po incydencie w domu. Bishop siedział z tyłu, a Gillette z przodu (Shelton nie chciał słyszeć, żeby więzień bez kajdanek miał siedzieć za plecami dwóch funkcjonariuszy).

- Phate wciąż jest online, próbuje się dostać do plików CCU - powiedział Gillette.

Haker siedział wpatrzony w ekran laptopa, który podłączył do Sieci za pomocą telefonu komórkowego.

Przyjechali do motelu Bay View. Bob Shelton ostro zahamował, a potem wjechali z poślizgiem na boczny parking, gdzie skierował ich umundurowany policjant.

Stało tu już kilkanaście wozów policji stanowej i radiowozów patroli, wokół których tłoczyło się wielu gliniarzy w mundurach, ryszunku bojowym albo po cywilnemu. Parking znajdował się obok budynku, lecz nie było go widać z okien motelu.

W drugim fordzie crown victoria siedziała Linda Sanchez z Tonym Mottem, który przesłonił twarz ciemnymi okularami - mimo mgły i zaciągniętego chmurami nieba - a na dłoniach miał wykończone gumą rękawice strzeleckie. Bishop zastanawiał się, co ma zrobić, żeby podczas akcji Mott nie skrzywdził siebie ani nikogo innego.

Zauważył ich szykowny jak zawsze Tim Morgan, dziś ubrany w dwurzędowy oliwkowy garnitur, którego nienaganny krój psuła kamizelka kuloodporna. Podbiegł do samochodu i pochylił się nad oknem. Łapiąc oddech, powiedział:

- Dwie godziny temu zameldował się facet, którego wygląd zgadza się z rysopisem Hollowaya. Przedstawił się jako Fred Lawson. Zapłacił gotówką. Wpisał do karty motelu dane samochodu, ale na parkingu nie ma takiego wozu. Numery były fałszywe. Jest w pokoju sto osiemnaście. Opuścił

żaluzje, ale ciągle ma zajęty telefon.

Bishop zerknął na Gillette'a.

- Ciągle jest online?

Gillette spojrział na ekran laptopa. - Tak.

Bishop, Shelton i Gillette wysiedli z samochodu. Po chwili dołączyli do nich Sanchez i Mott.

- Al! - zawołał Bishop do dobrze zbudowanego czarnego funkcjonariusza. Alonso Johnson dowodził oddziałem specjalnym policji stanowej w San Jose. Bishop lubił go, bo był

spokojny i zorganizowany, w przeciwieństwie do narwanych młodzieńców w rodzaju Tony'ego Motta. - Jaki plan? - spytał detektyw.

Dowódca otworzył schemat motelu.

- Moi ludzie są tu, tu i tu. - Wskazał kilka punktów wokół budynku i w korytarzu na pierwszym piętrze. - Ale mamy za mało swobody. To będzie standardowe zatrzymanie w pokoju motelowym. Zabezpieczymy pokoje po obu stronach i nad nim. Weźmiemy klucz uniwersalny i przecinak. Po prostu wejdziemy przez drzwi i go zdejmujemy. Jeśli będzie próbował uciec przez patio, będzie tam na niego czekać drugi oddział. Snajperzy są w pogotowiu, w razie gdyby miał broń.

Bishop zauważył, że Tony Mott nakłada kamizelkę. Potem wziął krótki karabinek automatyczny i przyjrzał mu się tęsknym wzrokiem. W ciemnych okularach na gumce i spodenkach kolarskich przypominał bohatera jakiegoś kiepskiego filmu science fiction.

Bishop przywołał młodego policjanta gestem, po czym spytał go, wskazując karabinek:

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Pomyślałem sobie, że powinienem mieć lepsze uzbrojenie.

- Strzelałeś już kiedyś z broni gładkolufowej? - Każdy to potrafi...

- Strzelałeś? - powtórzył cierpliwie Bishop.

- Jasne.

- Od treningów na strzelnicy w akademii policyjnej?

- Niezupełnie. Ale...

- Odłóż to - uciął krótko Bishop.

- I ściągnij te okulary - mruknął Alonso Johnson, przewracając oczami.

Mott oddalił się i oddał karabinek policjantowi z oddziału specjalnego.

Linda Sanchez, rozmawiająca teraz przez telefon komórkowy - na pewno ze swoją ciężarną córką - trzymała się daleko z tyłu.

Przynajmniej jej nie trzeba było przypominać, że akcje szturmowe to nie jej domena.

Nagle Johnson zaczął pilnie słuchać meldunku w słuchawkach. Lekko skinął głową i spojrzał na Bishopa.

- Jesteśmy gotowi.

- Proszę, zaczynajcie - rzekł detektyw takim tonem, jakby przepuszczał kogoś przodem w windzie.

Dowódca oddziału szturmowego powiedział coś do małego mikrofonu. Potem dał znak paru ludziom, żeby ruszyli za nim i wszyscy pobiegli przez krzaki w stronę motelu.

Tony Mott biegł za nimi, trzymając się z tyłu, tak jak mu rozkazano.

Bishop wrócił do samochodu i ustawił radio na częstotliwość operacyjną.

Wszystko sprowadza się do jednego...

Nagle w słuchawkach usłyszał głos Alonsa Johnsona:

- Naprzód!

Bishop stęzał w napięciu. Czy Phate czeka na nich z bronią? Może będzie zupełnie zaskoczony? Co się stanie? Ale odpowiedź brzmiała: nic.

W radiu słyhać było elektryczne trzaski, a potem Alonso Johnson powiedział:

- Frank, pokój jest pusty. Nie ma go.

- Nie ma? - powtórzył z niedowierzaniem Bishop. Może pomylili numer pokoju?

Chwilę później ponownie zgłosił się Johnson. - Uciekł.

Bishop odwrócił się do Gillette'a, który zerknął na ekran komputera w samochodzie.

Phate wciąż był online, a Trapdoor nadal próbował się dostać do plików z danymi osobowymi. Haker pokazał monitor i wzruszył ramionami.

Detektyw powiedział przez mikrofon do Johnsona:

- Widzimy, że nadaje z motelu. Musi tam być.

- Nie, Frank - odpowiedział Johnson. - Pokój jest pusty, jeśli nie liczyć komputera podłączonego do telefonu. Jest parę pustych puszek po mountain dew. I kilka pudełek dyskietek. Nic więcej. Żadnej walizki ani ubrań.

- Dobra, Al, idziemy zobaczyć - powiedział Bishop.

W dusznym pokoju motelowym kręciło się kilku policjantów, otwierając szuflady i zaglądając do szaf. Tony Mott stał w kącie, szukając tak samo pilnie jak reszta. Gillette uznał, że młody glina wygląda w hełmie z kevlaru mniej naturalnie niż w kasku kolarskim.

Bishop dał znak Gillette'owi, żeby podszedł do komputera stojącego na biurku. Na ekranie haker zobaczył program deszyfrujący. Wstukał kilka poleceń i zmarszczył brwi.

- Cholera, to atrapa. Program deszyfruje ciągle ten sam fragment.

- Nabrał nas, żebyśmy myśleli, że jest tutaj - podsumował Bishop. - Ale po co?

Zastanawiali się przez kilka minut, lecz żaden z nich nie potrafił odpowiedzieć -

dopóki Wyatt Gillette nie uniósł wieczka dużego plastikowego pudełka na dyskietki i zajrzał

do środka. Zobaczył szarooliwkową metalową skrzynkę z wymalowanym przez szablon napisem:

SIŁY ZBROJNE USA ŁADUNEK PRZECIWPIECHOTNY SILNY MATERIAŁ

WYBUCHOWY ŁADOWAĆ TĄ STRONĄ

Do skrzynki była podłączona mniejsza, czarna, w której zaczęło szybko mrugać czerwone oko.

Rozdział

00011010/dwudziesty szósty

W tym momencie Phate był jednak w motelu. We Fremont w Kalifornii. I siedział przed laptopem.

Ale motel nazywał się Ramada Inn i był oddalony o dwie mile od Bay View, gdzie Gillette - Judasz Valleyman - i gliny na pewno spieszą z pokoju, uciekając przed bombą, która w ich przekonaniu miała lada chwila wybuchnąć.

Nic im jednak nie groziło; skrzynka była wypełniona piaskiem i mogła co najwyżej śmiertelnie przerazić każdego, kto ujrzał ją z bliska i dostrzegł lampkę na domniemanym detonatorze, mrugającą sugestywnie jak bomby w filmach telewizyjnych.

Naturalnie, Phate nigdy nie zabiłby przeciwników w tak nieelegancki sposób. Byłby to wysoce nietaktowny manewr w wykonaniu kogoś, kto jako wytrawny uczestnik gry w Dostęp miał jasno określony cel - znaleźć się tak blisko ofiar, by wbijając w ich ciała ostrze noża, poczuć drżenie ich serca. Poza tym gdyby zabił kilkunastu gliniarzy, zaraz pojawiłaby się masa federalnych i Phate musiałby zakończyć rozgrywkę w Dolinie Krzemowej. Nie, wystarczyło zająć czymś Gillette'a i gliniarzy z CCU mniej więcej przez godzinę, bo zapewne tyle potrwa operacja wyniesienia podejrzanego urządzenia z Bay View przez pirotechników, a tymczasem Phate miał okazję zrobić to, co od początku planował: wykorzystać komputer CCU do włamania się do ISLEnetu. Dzięki temu ISLEnet rozpozna go jako administratora systemu i da mu nieograniczony dostęp do Sieci.

Phate rozegrał wiele partii MUD z Valleymanem i wiedział, że Gillette przewidzi jego włamanie do komputera CCU i będzie go próbował namierzyć.

Kiedy więc tylko Trapdoor dostał się do maszyny CCU, Phate wyszedł z motelu Bay View i przyjechał tu, gdzie czekał już włączony drugi laptop, niemal niewykrywalny, bo podłączony do Sieci przez telefon komórkowy za pośrednictwem dostawcy z Karoliny Południowej, który miał dodatkowe łącze z platformą w Pradze zapewniającą użytkownikowi zupełną anonimowość.

Phate przeglądał pliki skopiowane wcześniej z systemu CCU. Zostały skasowane, ale nie wymazane - czyli trwale usunięte - więc bez trudu przywrócił je dzięki Restore8, bardzo skutecznemu programowi do odzyskiwania danych. Znalazł numer identyfikacyjny komputera CCU, a po dalszych poszukiwaniach, następujące dane: **System: ISLEnet**

Login: RobertSShelton

Hasło: NiebieskiFord

Baza danych: Archiwa Kryminalne Policji Stanowej Kalifornii Poszukiwane wyrażenie: [Wyatt Gillette LUB Gillette, Wyatt LUB Rycerz*

Dostępu LUB Gillette, W.] I [kompute* LUB hak*].

Następnie zmienił numer identyfikacyjny swojego laptopa i adres internetowy na zgodny z danymi maszyny CCU, a potem polecił modemowi wybrać numer ogólnego dostępu do sieci ISLEnet. Usłyszał gwizd i szum elektronicznego sygnału potwierdzenia. W tym momencie firewall ISLEnetu powinien odmówić dostępu użytkownikowi z zewnątrz, ale ponieważ komputer Phate'a udawał komputer CCU, ISLEnet rozpoznał go jako „zaufany system” uprawniony do superdostępu i natychmiast powitał Phate'a. Po chwili system zapytał:

Nazwa użytkownika?

Phate wpisał: *RobertSShelton*

Hasło?

Wpisał: *NiebieskiFord*

Potem z ekranu zniknął obraz i po chwili pojawiła się okropnie nudna grafika i napis: **Zintegrowana Sieć Agencji Egzekwowania Prawa Stanu Kalifornia Menu główne**

Wydział Pojazdów Silnikowych Policja Stanowa

Wydział Danych Demograficznych

Zakłady kryminalistyki

Lokalne Agencje Egzekwowania Prawa

Los Angeles

Sacramento

San Francisco

San Diego

Okręg Monterey

Okręg Orange

Okręg Santa Barbara

Inne

Urząd Prokuratora Stanowego

Agencje Federalne

FBI

ATF

Służby skarbowe

Służby szeryfów federalnych

IRS

Urząd Pocztowy Inne

Koordynacja prawna

Administracja systemów

Jak lew rzucający się na szyję gazeli, Phate od razu zaatakował plik administracji systemów. Złamał hasło i przejął root w ISLEencie i wszystkich systemach, z którymi ISLEnet był połączony.

Następnie wrócił do menu głównego i kliknął następną pozycję.

Policja stanowa

Wydział ruchu drogowego

Wydział kadr

Księgowość

Przestępstwa komputerowe

Przestępstwa przeciw zdrowiu i życiu

Przestępstwa nieletnich

Archiwum kryminalne

Przetwarzanie danych

Służby administracyjne

Operacje oddziałów specjalnych

Szczególnie groźne przestępstwa

Wydział prawny

Zarząd nieruchomości

Listy gończe

Phate nie musiał się namyślać ani chwili. Doskonale wiedział, dokąd chce iść.

Pirotechnicy zabrali szarą skrzynkę z motelu Bay View i po rozmontowaniu stwierdzili, że w środku jest tylko piasek.

- Cholera, co to ma być? - burknął wściekle Shelton. - Część jego pieprzonej gry?

Żeby nam namieszać w głowach?

Bishop wzruszył ramionami.

Pirotechnicy zbadali też komputer Phate'a sondami wykrywającymi azot i oświadczyli, że nie ma w nim materiałów wybuchowych. Gillette przejrzał pobieżnie zawartość laptopa. Były w nim setki plików - otwierał różne na chybił trafił.

- Bełkot.

- Zaszyfrowane? - spytał Bishop.

- Nie - popatrz, po prostu strzępy książek, stron internetowych, grafiki. Zwykłe wypełniacze. - Gillette uniósł głowę i spojrzał w sufit, poruszając w powietrzu palcami, jakby pisał na niewidzialnej klawiaturze. - Co to może znaczyć, fałszywa bomba, śmieci w komputerze...

Tony Mott, który zdążył się już pozbyć hełmu i kamizelki, powiedział:

- No dobrze. Phate wymyślił to wszystko, żeby nas wyciągnąć z biura... Ale po co?

- Jezu Chryste! - krzyknął Gillette. - Już wiem po co! Frank Bishop też już wiedział.

Spojrzał szybko na Gillette'a. - Próbuje się dostać do ISLEnetu!

- Właśnie! - potwierdził Gillette. Chwycił telefon i zadzwonił do CCU.

- Przystępstwa komputerowe, sierżant Miller.

- Tu Wyatt. Posłuchaj...

- Znaleźliście go?

- Nie, posłuchaj. Zadzwoń do sysadmina ISLEnetu i każ mu zawiesić całą sieć.

Natychmiast. Na moment zapadła cisza.

- Nie zrobią tego - powiedział Miller. - To przecież...

- Muszą. W tej chwili! Phate próbuje się tam włamać. Pewnie już to zrobił. Niech nie zamykają systemu, tylko wstrzymają. Wtedy będę mógł ocenić szkody.

- Ale cały stan funkcjonuje dzięki...

- Musisz to zrobić!

Bishop zabrał mu słuchawkę.

- To rozkaz, Miller. Wykonać.

- Już, w porządku. Zadzwonię. Nie będą zachwyceni. Ale zadzwonię.

Gillette westchnął.

- Wykiwał nas. Wszystko od początku do końca było podstępem - wystawienie na przynętę zdjęcia Lary Gibson, żeby zdobyć nasz adres, włamanie do komputera CCU, zwabienie nas tutaj. Kurczę, a zdawało mi się, że to my wyprzedzamy go o krok.

Linda Sanchez zabezpieczyła wszystkie dowody, dołączając do nich karty identyfikacyjne, i załadowała dyskiety i komputer do składanych pudeł kartonowych, które nosiła ze sobą, jak gdyby na co dzień zajmowała się przewodzkami. Potem spakowali wszystkie narzędzia i wyszli z pokoju.

Wracając do samochodu, Frank Bishop i Gillette zauważyli szczupłego mężczyznę z wąsikami, który przyglądał im się z drugiego końca parkingu.

Wydawał się znajomy i po chwili Gillette przypomniał sobie: Charles Pittman, detektyw z okręgu Santa Clara.

- Nie mogę pozwolić, żeby ten gość cały czas wtrącał się do naszych działań -

powiedział Bishop. - Połowa chłopaków z okręgów prowadzi obserwację, jakby się przyglądali imprezie bractwa absolwentów.

Ruszył w stronę Pittmana, ale detektyw zdążył wsiąść do swojego nieoznakowanego samochodu, uruchomić silnik i odjechać.

Bishop zadzwonił do biura szeryfa okręgu. Połączył się z pocztą głosową Pittmana i zostawił mu wiadomość, aby jak najszybciej się z nim skontaktował.

Zadzwonił telefon Boba Sheltona. Po chwili rozmowy detektyw powiedział:

- To Miller. Administrator systemu był wściekły jak diabli, ale zawiesił ISLEnet.

Mówiłeś, że zadbałeś o to, żeby nie dostał się do tej sieci - warknął do Gillette'a.

- I zadbałem - odparł Gillette. - Odłączyłem system od sieci i usunąłem wszystkie informacje o nazwach użytkowników i hasłach. Prawdopodobnie Phate włamał się do ISLEnetu dlatego, że sam wszedłeś do sieci, żeby mnie sprawdzić. W ten sposób zdobył

numer identyfikacyjny komputera CCU, pokonał firewall i zalogował się, używając twojej nazwy i hasła.

- Niemożliwe, wszystko skasowałem.

- A wymazałeś wolne miejsce na dysku? Nadpisałeś tymczasowe i niepotrzebne pliki?

Zaszyfrowałeś logi i nadpisałeś?

Shelton milczał. Odwrócił głowę, unikając spojrzenia Gillette'a i utkwiał wzrok w strzępach mgły płynącej w stronę zatoki San Francisco.

- Nie zrobiłeś tego - rzekł Gillette. - Dlatego Phate dostał się do sieci. Wykorzystał

program do odzyskiwania skasowanych danych i zdobył wszystko, czego potrzeba do włamania. Mógłbyś nie wciskać mi kitów na ten temat.

- Gdybyś nie kłamał i powiedział, że byłeś Valleymanem i znałeś Phate'a, nie sprawdzałbym cię - bronił się Shelton.

Gillette odwrócił się ze złością i ruszył w stronę samochodu. Bishop go dogonił.

- Jeżeli naprawdę dostał się do ISLEnetu, wiesz, do czego ma dostęp? - spytał

detektywa Gillette.

- Do wszystkiego - odrzekł Bishop. - Ma dostęp do wszystkiego.

Wyatt wyskoczył na parking CCU, zanim Bishop zdążył zatrzymać samochód.

Sprintem wbiegł do budynku.

- Jakie szkody? - spytał. Miller i Patricia Nolan siedzieli przy komputerach, lecz haker skierował pytanie tylko do Patricii.

- Ciągłe są offline - odparła - ale jeden z asystentów sysadmina podrzucił nam dyskietkę z logami. Właśnie ją sprawdzam.

Pliki rejestrowe - logi - przechowują informacje o tym, jacy użytkownicy łączyli się z systemem, jak długo, co robili i czy podczas połączenia logowali się do innego systemu.

Gillette zasiadł przed monitorem i zaczął wściekle walić w klawiaturę. Z

roztargnieniem podniósł kubek ze swoją poranną kawą, napił się i wzdrygnął, czując gorzki smak zimnego płynu. Odstawił kubek i wrócił do przeglądania logów ISLEnetu, tłukąc w klawisze.

Chwilę później uświadomił sobie, że siedzi obok niego Patricia Nolan. Postawiła przed nim kubek świeżo parzonej kawy. Zerknął na konsultantkę.

- Dzięki.

Uśmiechnęła się. W odpowiedzi kiwnął głową i na moment zatrzymał spojrzenie na jej twarzy. Siedząc blisko niej, Gillette dostrzegł, że Patricia ma bardzo napiętą skórę twarzy.

Być może potraktowała swój plan odnowy na tyle poważnie, że poddała się operacji plastycznej. Pomyślał przelotnie, że gdyby używała mniej pudru, zaczęła kupować nieco lepsze ubrania i przestała co kilka minut odgarniać sobie włosy z twarzy, można by ją uznać za całkiem ładną kobietę. Nie przesadnie piękną, ale atrakcyjną.

Wrócił do pracy. Jego palce grzmociły ze złością w klawisze. Gillette cały czas myślał

o Bobie Sheltonie. Jakim cudem ktoś, kto miał pewne pojęcie o komputerach i był

właścicielem dysku Winchester, mógł się zachować tak lekkomyślnie?

Wreszcie uniósł wzrok i oznajmił:

- Nie jest tak źle. Phate faktycznie był w ISLEnecie, ale zdążył tam spędzić zaledwie czterdzieści sekund, zanim Stephen zawiesił system.

- Czterdzieści sekund. To chyba za mało, żeby mógł coś zdobyć, nie? - zapytał

Bishop.

- Jasne - odrzekł haker. - Mógł co najwyżej popatrzeć na menu główne i otworzyć kilka plików, ale żeby się dostać do zastrzeżonych informacji, musiałby znać inne hasła.

Mógłby je złamać specjalnym programem, ale to zajęłoby co najmniej pół godziny.

Bishop skinął głową.

- No to udało się przynajmniej jedno.

W zewnętrznym świecie dochodziła siedemnasta, znów padało, a na ulicach powoli zaczynał się popołudniowy szczyt. Dla hakera nie istnieje jednak popołudnie ani rano, ani noc. Jest czas spędzony w Świecie Maszyn i poza nim. Phate był w tym momencie offline.

Choć oczywiście nadal siedział przed komputerem w ślicznym, udającym dom budynku przy EL Monte w Los Altos. Przeglądał strony zawierające dane, które ściągnął z ISLEnetu.

Wszyscy w wydziale przestępstw komputerowych byli przekonani, że Phate spędził w ISLEnecie zaledwie czterdzieści dwie sekundy. Nie wiedzieli jednak, że gdy tylko dostał się do systemu, jeden ze sprytnych demonów Trapdoora przejął kontrolę nad wewnętrznym zegarem i nadpisał wszystkie logi z informacjami o połączeniach i pobieraniu danych. W

rzeczywistości Phate był w ISLEnecie pięćdziesiąt dwie minuty i bez pośpiechu ściągnął stamtąd gigabajty informacji.

Sporo wiadomości było nudnych, ale niektóre - ze względu na to, że komputer CCU

miał dostęp na prawach administratora systemu - były ściśle tajne i mogła je znać tylko garstka osób z instytucji stanowych i federalnych: numery dostępu i hasła do supertajnych komputerów rządowych; kody operacji specjalnych; zaszyfrowane akta toczących się operacji; zasady działań inwigilacyjnych; reguły prowadzenia akcji i poufne informacje o policji stanowej, FBI, ATF, Secret Service i większości innych agencji pilnujących egzekwowania prawa.

Deszcz cicho spływał po szybach, a Phate przeglądał zawartość jednego z tajnych folderów - ewidencji kadr policji stanowej. Były tu dane na temat wszystkich osób zatrudnionych w policji stanowej Kalifornii. Wśród wielu podfolderów Phate'a szczególnie interesował jeden, który właśnie czytał. Nosił nazwę „Wydział detektywów” i zawierał

bardzo przydatne informacje.

IV

Dostęp

W Internecie jest mniej więcej tak bezpiecznie jak w nocnym sklepie we wschodnim Los Angeles w sobotę wieczorem.

Jonathan Littman „The Fugitive Game”

Rozdział

00011011/dwudziesty siódmy

Przez resztę wieczoru zespół wydziału przestępstw komputerowych studiował raporty z motelu Bay View, cały czas szukając śladów, które pozwoliłyby odnaleźć Phate'a, słuchając radiowych komunikatów policyjnych i czekając w napięciu na wieści o nowych morderstwach.

We wcześniejszym zgłoszeniu usłyszeli, że rano z prywatnej szkoły porwał małą dziewczynkę jakiś człowiek podający się za jej wujka, ale później ją wypuścił. Metoda działania wskazywała na Phate'a, lecz Huerto Ramirez i Tim Morgan, którzy pojechali do szkoły porozmawiać z małą, wrócili z pustymi rękami. Rozhisteryzowana dziewczynka nie pamiętała nawet koloru włosów porywacza.

Rozmawiano z większością gości motelu Bay View i ludźmi z okolicy, jednak nie znaleziono świadka, który by widział samochód Phate'a.

Sprzedawca w sklepie Seven-Eleven we Fremont przed kilkoma godzinami sprzedał

dwa sześciopaki mountain dew człowiekowi, którego wygląd odpowiadał rysopisowi Phate'a.

Jednak morderca nie powiedział nic, co mogłoby naprowadzić policję na jego trop. Ludzie ze sklepu czy też stojący pod sklepem nie widzieli jego auta.

Technicy z wydziału kryminalistycznego przeszukali pokój motelowy, ale także niczego nie znaleźli.

Wyatt Gillette pomógł Stephenowi Millerowi, Lindzie Sanchez i Tony'emu Motcie przeprowadzić analizę komputera pozostawionego w pokoju. Haker stwierdził, że to faktycznie gorąca maszyna, w której zainstalowano tylko tyle oprogramowania, aby można było dokonać włamania. Nie znaleźli żadnej wskazówki co do prawdopodobnego miejsca pobytu Phate'a. Numer seryjny toshiby wskazywał, że pochodziła z partii sprowadzonej przez Computer World w Chicago pół roku wcześniej. Nabywca zapłacił gotówką, nie wypełnił

rejestracji gwarancyjnej ani nie zarejestrował się on-line. Wszystkie pozostawione przez Phate'a dyskietki były puste. Linda Sanchez, królowa archeologów komputerowych, sprawdziła każdą programem Restore8 i stwierdziła, że na żadnej nigdy nie zapisano danych.

Sanchez wciąż martwiła się córką i dzwoniła do niej co kilka godzin. Wszyscy widzieli, że ma wielką ochotę odwiedzić biedną dziewczynę, więc Bishop wysłał ją do domu.

Zwolnił też resztę zespołu. Miller i Mott - który po doświadczeniu bojowym był w znacznie lepszym nastroju - pojechali coś zjeść i przespać się.

Natomiast Patricii Nolan nie spieszyło się z powrotem do hotelu. Siedziała obok Gillette'a i razem z nim przeglądała pliki ISLE-netu, starając się lepiej poznać Trapdoora. Nie znaleźli jednak żadnych śladów demona, więc Gillette doszedł do wniosku, że bot zapewne dokonał samozniszczenia.

W pewnym momencie Gillette odchylił się na krześle, przeciągnął i rozprostował z chrzęstem palce. Bishop zauważył, że haker dostrzegł plik różowych karteczek z notatkami o wiadomościach telefonicznych. Twarz mu pojaśniała i złapał je niecierpliwie. Jednak spotkał

go zawód, bo żadna wiadomość nie była dla niego - była żona nie zadzwoniła, mimo że prosił ją o to poprzedniego wieczoru.

Frank Bishop dobrze wiedział, że uczucia do najbliższych wcale nie dotyczą wyłącznie praworządnych obywateli. W swojej karierze zatrzymał już kilkudziesięciu najgorszych morderców, którzy kiedy odprowadzano ich w kajdankach, uderzali w płacz - nie na myśl o czekających ich ciężkich latach więzienia, ale o rozstaniu z żonami i dziećmi.

Bishop spostrzegł, że palce hakera znów zaczynają pisać - stukać - w powietrzu.

Czyżby pisał coś do żony? A może wpatrzony w sufit prosił ojca - inżyniera przebywającego wśród piasków Bliskiego Wschodu - o radę albo pomoc, może informował brata, że korzystając z tymczasowego zwolnienia, chciałby z nim spędzić trochę czasu.

- Nic - mruknęła Nolan. - Szukamy i ciągle nic.

Na chwilę Bishopa ogarnęło takie samo zniechęcenie, jakie ujrzał na jej twarzy. Ale zaraz pomyślał - chwileczkę... rozpraszam się. Zdał sobie sprawę, że wciągnął go hipnotyczny, nieodparty urok Błękitnej Pustki, który spaczył mu myśli. Detektyw podszedł do tablicy i popatrzył na spisane dowody, wydruki i zdjęcia. Należały do świata, który znał.

Wykombinuj coś z tego...

Bishop spojrział na wydruk okropnego zdjęcia Lary Gibson.

Wykombinuj coś...

Podszedł bliżej fotografii i przyjrzał się uważnie. - Popatrz - powiedział do Sheltona.

Pękaty gliniarz stanął obok niego z ponurą miną.

- Niby na co?

- Co widzisz?

Shelton wzruszył ramionami.

- Nie wiem. A ty?

- Wskazówki - odparł Bishop. - Szczegóły widoczne na zdjęciu - to, co jest na podłodze, na ścianach... mogą powiedzieć nam coś o miejscu, w którym Phate ją zabił.

Gillette zerwał się z miejsca, podszedł do nich i też popatrzył na makabryczną fotografię.

Na pierwszym planie widać było nieszczęsną dziewczynę. Bishop wskazał inne elementy: podłoga była wyłożona zielonkawymi płytkami. Z jakiegoś aparatu - klimatyzatora albo pieca - biegł kanciasty ocynkowany przewód. Ścianą była tylna strona płyty gipsowej przybitej do drewnianych słupków. Prawdopodobnie pomieszczenie z piecem w niewykończonej piwnicy. Widać też było fragment pomalowanych na biało drzwi i jakiś kosz pełen po brzegi śmieci.

- Wyślemy zdjęcie do FBI - powiedział Bishop. - Niech obejrzą je ich technicy.

Shelton pokręcił głową.

- Sam nie wiem, Frank. Chyba nie jest taki głupi, żeby sikać tam, gdzie je. To by było za łatwe. - Wskazał fotografię. - Zabił ją gdzie indziej. Na pewno nie tam, gdzie mieszka.

- Nie zgadzam się - odezwała się Nolan. - Masz rację, że nie jest głupi, ale nie widzi pewnych rzeczy tak jak my. - Co masz na myśli? Gillette chyba zrozumiał w lot.

- Phate nie myśli o Realu. Stara się zacierać za sobą każdy ślad komputerowy, ale moim zdaniem może przeoczyć jakiś fizyczny trop.

Bishop wskazał zdjęcie.

- Piwnica wygląda na dość nową, piec też. Albo klimatyzator czy co tam jest. Może FBI będzie mogło się dowiedzieć, czy jakiś konkretny wykonawca buduje domy mieszkalne z materiałów takiej marki. Moglibyśmy zawęzić pole poszukiwań budynku.

Shelton wzruszył ramionami.

- Nie liczyłbym na wiele. Ale sprawdzić nie zaszkodzi.

Bishop zadzwonił do znajomego w FBI. Opowiedział mu o zdjęciu i informacjach, jakich potrzebują. Po paru chwilach detektyw odłożył słuchawkę.

- Sam ściągnie z Sieci oryginał zdjęcia i wyśle do laboratorium - powiedział.

Rzuciwszy okiem na biurko obok, zauważył dużą kopertę zaadresowaną do siebie. Nadruk głosił, że wysłano ją z wydziału przestępczości nieletnich policji stanowej Kalifornii i musiała nadejść w czasie, gdy byli w motelu Bay View. Detektyw otworzył ją i przejrzał zawartość.

Były to akta Gillette'a z sądu dla nieletnich, o które prosił poprzedniego wieczoru po ucieczce hakera. Rzucił dokumenty na biurko i zerknął na zakurzony zegar ścienny. Było wpół do jedenastej.

- Chyba wszyscy potrzebujemy odpoczynku.

Shelton nie wspomniał o swojej żonie, ale Bishop miał wrażenie, że bardzo chciałby już wracać do domu. Korpulentny detektyw wyszedł, skinąwszy na pożegnanie partnerowi.

- Do zobaczenia rano, Frank. - Uśmiechnął się do Patricii Nolan. Gillette'a nie zaszczycił słowem ani spojrzeniem.

- Nie mam ochoty spędzać tu kolejnej nocy - powiedział do hakera Bishop. - Jadę do domu. Jedziesz ze mną.

Słyszac to, Patricia Nolan spojrzala szybko na Gillette'a. Powiedziala od niechcienia:

- Mam mnóstwo miejsca w hotelu. Firma zafundowała mi apartament. Możesz tam przenocować, jeśli chcesz. Mam świetny barek.

Detektyw zachichotał i rzekł:

- Zdaje się, że grozi mi bezrobocie. Chyba jednak lepiej, żeby pojechał ze mną. W

końcu jest więźniem pod naszym nadzorem.

Nolan spokojnie przyjęła porażkę, Bishop przypuszczał, że powoli porzucała nadzieje, jakie mogła wiązać z osobą Gillette'a jako obiektem romantycznych uczuć. Wzięła torebkę, plik dyskietek, laptop i wyszła.

Gdy szli do drzwi, haker spytał Bishopa:

- Moglibyśmy zatrzymać się gdzieś po drodze?

- Zatrzymać się?

- Muszę wstąpić po pewną rzecz. A przy okazji, mógłbyś pożyczyć parę dolarów?

Rozdział

00011100/dwudziesty ósmy

Jesteśmy na miejscu - oznajmił Bishop. Zatrzymali się przed wiejskim domem, niewielkim, ale stojącym na zielonej połaci ziemi wielkości pół akra - czyli ogromnej działce jak na warunki Doliny Krzemowej.

Gillette spytał, jakie to miasto. Detektyw odrzekł, że Mountain View, po czym dodał:

- Oczywiście, nie mam tu żadnego widoku na góry*. * *Mountain View* - widok na górę lub góry. Z okien widzę tylko stojącego na klockach dodge'a mojego sąsiada, a w ładne dni ten hangar na Moffett Field. - Wskazał na północ, na drugą stronę autostrady 101, którą ciągnął nieskończony sznur świateł.

Ruszyli długim i krętym chodnikiem, mocno spękany i powykrzywiany.

- Patrz pod nogi - powiedział Bishop. - Zamierzam go wyremontować. To zasługa uskoku San Andreas. Ciągnie się trzy mile stąd. Bądź tak dobry i wytrzymaj buty przed wejściem.

Otworzył drzwi i wpuścił hakera do domu.

Żona Franka Bishopa, Jennie, była drobną kobietą pod czterdziestkę. Jej tryskająca zdrowiem twarz z zadartym nosem nie była piękna, ale na swój sposób pociągająca. Bishop ze swoją lakierowaną fryzurą, bokobrodami i białymi koszulami z krótkim rękawem wyglądał

jak przybysz z lat pięćdziesiątych, natomiast jego żona była na wskroś współczesna. Długie włosy nosiła splecione w warkocz, była ubrana w dżinsy i markową koszulę. Szczupła i wysportowana, choć Gillette'owi wydawała się nieco blada na tle opalonych Kalifornijczyków, którzy otaczali go od czasu wyjścia z więzienia.

Nie była ani trochę stropiona - nawet nie zaskoczona - że mąż przywiózł do domu przestępcę na nocleg i Gillette przypuszczał, że została uprzedzona telefonicznie o jego wizycie.

- Jedliście coś? - spytała.

- Nie - odrzekł Bishop.

Ale Gillette pokazał papierową torbę z tym, co kupił po drodze.

- Mnie wystarczy to.

Jennie bez ceregieli zabrała mu torbę i zajrzała do środka. Roześmiała się.

- Przecież nie będziesz jadł pop-tartów. Potrzebujesz prawdziwej kolacji.

- Nie, naprawdę... - Z uśmiechem na twarzy, ale smutkiem w sercu Gillette przyglądał się, jak ciastka znikają w kuchni.

Tak blisko, a tak daleko...

Bishop rozwiązał i zdjął buty, a potem nałożył kaptcie-mokasyny. Hacker też zdjął buty i w skarpetkach wkroczył do salonu, rozglądając się.

Pokój przypominał mu jego własne domy z dzieciństwa. Sięgający od ściany do ściany biały dywan, który należałoby już wymienić. Meble od JCPenneya albo Searsa. Drogi telewizor i tania wieża stereo. Sfatygowany stół, który dziś pełnił funkcję biurka: zdaje się, że nadszedł dzień opłat. Na blacie leżały starannie posortowane koperty z rachunkami do wysłania. Pacific Bell, Mervyn, MasterCard, Visa.

Gillette spojrzał na kilka spośród kilkudziesięciu zdjęć ustawionych nad kominkiem.

Jeszcze więcej fotografii wisiało na ścianach, stało na stolikach i półkach. Frank Bishop na zdjęciu ślubnym wyglądał tak samo jak dziś, włącznie z lakierowaną fryzurą i bokobrodami (choć białą koszulę pod smokingiem mocno przytrzymał szeroki pas).

Bishop spostrzegł zainteresowanie Gillette'a zdjęciami.

- Jennie mówi o nas „Świat w obiektywie”. Mamy więcej zdjęć niż każde dwie rodziny z naszej dzielnicy razem wzięte. - Wskazał w głąb domu. - Jeszcze w sypialni i w łazience. Teraz oglądasz zdjęcie moich rodziców.

- Twój ojciec też był gliną? Chyba się nie obrazisz, że cię tak nazywam?

- A ty obrażasz się o hakera?

Gillette wzruszył ramionami.

- Nie. To pasuje.

- „Glina” też. A ojciec - nie, miał drukarnię w Oakland. Bishop i Synowie. Właściwie

„Synowie” to niezbyt precyzyjne określenie, bo firmę prowadzą dwie z moich sióstr i większość braci.

- Dwie z sióstr? - powtórzył Gillette, unosząc brwi. - Większość braci?

Bishop zaśmiał się.

- Jestem ósmy z dziewięciorga rodzeństwa. Pięciu chłopaków i cztery dziewczyny.

- To się nazywa rodzina.

- Siostrzeńców, siostrzenic, bratanków i bratanic mam dwadzieścioro dziewięcioro -

oznajmił z dumą detektyw.

Gillette spojrział na zdjęcie szczupłego mężczyzny w tak samo workowatej koszuli jak koszula Bishopa, stojącego przed parterowym budynkiem z wymalowanym na fasadzie napisem BISHOP I SYNOWIE, DRUK I SKŁADANIE.

- Nie chciałeś tam pracować?

- Wystarczyło mi, że firma zostanie w rodzinie. - Wziął zdjęcie i sam zaczął je oglądać. - Rodzina to chyba najważniejsza rzecz na świecie. Ale byłbym kiepski w drukarni.

To nudna robota. A jak jesteś gliną... jak to powiedzieć? To nieskończone pole do działania.

Zawsze, codziennie jest coś nowego. Już ci się wydaje, że rozgryzłeś umysł przestępcy i nagle

- trach - masz zupełnie nowy obraz.

Usłyszeli za sobą jakiś ruch i odwrócili się.

- Proszę, a któż to taki? - rzekł Bishop.

Do salonu zaglądał z korytarza mniej więcej ośmioletni chłopiec.

- Chodź no tu, młody człowieku.

Chłopczyk ubrany w piżamę w dinozaury wkroczył do salonu, patrząc na Gillette'a.

- Przywitaj się z panem Gillette'em, synu. To jest Brandon.

- Dzień dobry.

- Cześć, Brandon - powiedział Gillette. - Późno chodzisz spać.

- Lubię powiedzieć „dobranoc” tacie. Jak nie wraca za późno, mama pozwala mi zaczekać.

- Pan Gillette pisze programy komputerowe.

- Pisze pan skrypt? - spytał chłopiec z błyskiem entuzjazmu w oczach.

- Owszem - odparł Gillette, śmiejąc się ze swobody, z jaką mały używał komputerowego żargonu.

- My też piszemy programy w pracowni komputerowej w szkole - rzekł chłopiec. - W zeszłym tygodniu zrobiliśmy tak, że po ekranie skakała piłka.

- To chyba fajnie wyglądało - uznał Gillette, spoglądając w okrągłe z podniecenia oczy chłopca. Brandon był bardziej podobny do matki.

- Nie - odrzekł z pogardą. - Totalna nuda. Musieliśmy używać QBasica. Ale nauczę się OOP.

Programowanie obiektowe - najnowszy trend, którego przykładem był skomplikowany język C++. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Potem Javy i HTML, do Sieci. Chyba wszyscy powinni to znać.

- A więc w przyszłości chcesz się zajmować komputerami.

- Nie, będę zawodowo grał w baseball. Ale chcę się nauczyć OOP, bo tam się teraz wszystko dzieje.

Oto uczeń podstawówki, którego zmęczył już Basic i który postanowił zgłębić tajniki najnowszych osiągnięć programowania.

- Może pokażesz panu Gillette'owi swój komputer.

- Gra pan w Tomb Raider? - spytał chłopiec. - Albo w Earth-worm Jim?

- Nie bawię się za często grami.

- Pokażę panu. Chodźmy.

Gillette poszedł za Brandonem do pokoju zapchanego książkami, zabawkami, ubraniami i sprzętem sportowym. Na stoliku przy łóżku stały książki o Harrym Potterze, obok konsola Game Boy, dwie płyty 'N Sync i kilkanaście dyskietek. Oto nasza epoka w pigułce, pomyślał Gillette.

Pośrodku pokoju stał pecet i kilkadziesiąt podręczników programowania. Brandon usiadł i stukając w klawisze z szybkością błyskawicy, odpalił maszynę i uruchomił grę.

Gillette uzmysłowił sobie, że gdy był w tym wieku, najnowszym osiągnięciem elektroniki był

TRS-80, który wybrał sobie na prezent w sklepie RadioShack. Tamten mały komputer wzbudzał w nim prawdziwe emocje, choć naturalnie był tylko prymitywną zabawką nawet w porównaniu z dzisiejszą tanią, zamówioną w sprzedaży wysyłkowej maszyną. Wtedy -

zaledwie parę lat temu - tylko garstka ludzi na świecie miała równie szybkie komputery jak ten, na którym Brandon Bishop prowadził piękną uzbrojoną kobietę w obcisłej zielonej bluzce w ręce przez labirynt pieczar.

- Chce pan zagrać?

Przypomniała mu się jednak potworna gra w Dostęp i cyfrowe zdjęcie, jakie Phate zrobił umierającej dziewczynie (która miała na imię tak samo jak bohaterka gry Brandona -

Lara); nie chciał mieć w tym momencie nic wspólnego z przemocą, nawet dwuwymiarową.

- Może później.

Przez parę minut przyglądał się, jak chłopiec zafascynowany śledzi ekran. Potem w drzwiach ukazała się głowa detektywa.

- Gasimy światło, synu.

- Tato, zobacz, na którym jestem poziomie! Jeszcze pięć minut.

- Nie. Pora spać.

- Oj, tato...

Bishop sprawdził, czy chłopiec umył zęby, odrobił lekcje i spakował się do szkoły.

Pocałował Brandona na dobranoc, wyłączył komputer i zgasił górne światło, zostawiając tylko nocną lampkę w kształcie statku kosmicznego z „Gwiezdných wojen”.

- Chodź - powiedział do Gillette'a. - Pokażę ci moją czterdziestkę za domem.

- Co?

- Zobaczysz.

Bishop poprowadził Gillette'a przez kuchnię, gdzie Jennie robiła kanapki, przez tylne wyjście na zewnątrz.

Na werandzie haker zatrzymał się jak wryty zaskoczony tym, co zobaczył. Parsknął śmiechem.

- Aha, jestem farmerem - oświadczył Bishop.

Na podwórku za domem ciągnęły się rzędy drzewek owocowych, których było kilkadziesiąt.

- Wprowadziliśmy się tu osiemnaście lat temu - czyli wtedy kiedy zaczynała działać dolina. Pożyczka wystarczyła mi na dwie działki. Na tej została część farmy, która tu kiedyś była. To morele i wiśnie.

- Co z tym robisz, sprzedajesz?

- Większość rozdaję. Na Boże Narodzenie, jeśli jesteś znajomym Bishopów, dostaniesz dżem z suszonych owoców. A ci, których naprawdę lubimy, dostają wiśnie w brandy.

Gillette obejrzał zraszacze i pojemniki do odymiania drzewek.

- Poważnie podchodzisz do rzeczy - zauważył.

- Dzięki temu utrzymuję równowagę. Wracam do domu i razem z Jennie doglądamy drzewek. Jak gdybym zostawiał za sobą cały brud, z jakim mam co dzień do czynienia.

Przeszli między rzędami drzew. W ogrodzie było pełno plastikowych rurek i węży, z których składał się system irygacyjny. Gillette wskazał je ruchem głowy.

- Wiesz, że można zrobić komputer na wodę?

- Naprawdę? Aha, masz na myśli wodospad napędzający turbinę elektryczną.

- Nie, po prostu zamiast prądu płynącego przewodami można wykorzystać wodę płynącą rurami i założyć na nich zawory, które by otwierały albo zamykały przepływ.

Właśnie tak działa komputer. Zamyka i otwiera przepływ prądu.

- Jak to? - Bishop wydawał się naprawdę zaintrygowany.

- Procesory komputerów to małe przełączniki, które przepuszczają porcję energii elektrycznej albo jej nie przepuszczają. Wszystkie obrazki, jakie możesz zobaczyć na komputerze, muzyka, filmy,

edytory tekstu, arkusze kalkulacyjne, przeglądarki, wyszukiwarki, Internet, obliczenia matematyczne, wirusy... wszystko w komputerze sprowadza się właśnie do tego. To nie jest żadna magia. Tylko włączanie i wyłączanie małych przełączników.

Glina kiwnął głową, po czym posłał hakerowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Ale ty w to nie wierzysz, zgadza się?

- W co?

- Tobie się wydaje, że komputery to czysta magia.

Po chwili Gillette parsknął śmiechem.

- Tak, masz rację.

Stali jeszcze kilka minut na werandzie, przyglądając się lśniącej gałęziom drzew.

Potem Jennie zawołała ich na kolację. Weszli do kuchni.

- Idę spać - oznajmiła Jennie. - Mam jutro ciężki dzień. Miło cię było poznać, Wyatt. -

Uścisnęła mu mocno rękę.

- Dzięki, że zgodziłaś się mnie przenocować. Jestem naprawdę wdzięczny.

- Wizytę mam o jedenastej - powiedziała do męża.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł? Pójdę. Na kilka godzin sprawę może przejąć Bob.

- Nie. Masz tyle na głowie. Dam sobie radę. Jeżeli doktor Williston zobaczy coś zabawnego, zadzwonię do ciebie ze szpitala. Ale na pewno nic nie znajdzie.

- Będę miał przy sobie komórkę.

Ruszyła do drzwi, ale nagle odwróciła się z poważną miną. - Aha, jest jednak coś, co powinieneś jutro zrobić.

- Co takiego, kochanie? - spytał z troską w głosie detektyw.

- Odkurzac. - Wskazała na stojące w kącie urządzenie. Odkurzac miał zdjętą przednią płytę obudowy, a z boku wisiał zakurzony wąż. Na gazecie obok leżało parę innych części. - Zajmij się nim.

- Naprawię go - obiecał Bishop. - Pewnie kurz dostał się do silnika.

- Miałeś na to cały miesiąc - zbesztła go. - Czas, żeby zajrzeli do niego fachowcy.

- Znasz się na odkurzaczach? - zapytał Gillette'a Bishop.

- Przykro mi, ale nie. Detektyw zerknął na żonę.

- Zabiorę się do niego jutro. Albo pojutrze. Znaczący uśmiech.

- Adres warsztatu jest na żółtej karteczce, tam. Widzisz? Pocałował ją.

- Dobranoc, skarbie.

Jennie zniknęła w ciemnym holu. Bishop wstał i podszedł do lodówki.

- Mam już takie kłopoty, że pewnie nie wpadnę w większe, jeżeli zaproponuję więźniowi piwo.

Gillette pokręcił głową.

- Dzięki, ale nie piję.

- Nie?

- Przypadłość hakerów: nigdy nie pijemy niczego, co wywołuje senność. Zajrzyj kiedyś do grupy dyskusyjnej hakerów - na przykład alt.hack. Połowa wiadomości będzie o sposobach włamania do centrali Pac Bell albo pokonania zabezpieczeń Białego Domu, a połowa o zawartości kofeiny w najnowszych napojach.

Bishop nalał sobie budweisera. Zerknął na tatuaż na ręce Gillette'a przedstawiający mewę i palmę.

- Muszę przyznać, że to paskudne. Zwłaszcza ptak. Po co dałeś to sobie zrobić?

- Byłem w college'u - w Berkeley. Hakowałem trzydzieści sześć godzin bez przerwy, a potem poszedłem na imprezę. - I co? Dałeś się podpuścić?

- Nie, zasnąłem i obudziłem się z tatuażem. Do dzisiaj nie wiem, kto mi go zrobił.

- Wyglądasz z tym jak jakiś weteran piechoty morskiej.

Haker zajrzał do korytarza - chcąc się upewnić, że Jennie naprawdę poszła się położyć

- i poszedł po pop-tarty, które zostawiła na kuchennym blacie. Otworzył, wyciągnął ciastka i poczęstował jednym Bishopa.

- Nie, dzięki.

- Wołowinę też zjem - powiedział Gillette, wskazując kanapki, które zrobiła im Jennie. - Ale te ciastka śniły mi się w więzieniu. Najlepsze hakerskie jedzenie - mają dużo cukru, kupujesz je w pudełkach i nie psują się. - Pożarł dwa naraz. - Pewnie zawierają nawet witaminy. Nie wiem. Tym się żywiłem w czasie hakowania. Pop-tartami i pizzą, piłem mountain dew i jolt colę. - Po chwili

milczenia Gillette zapytał przyciszonym głosem. - Z

twoją żoną wszystko w porządku? Mówiła coś o wizycie w szpitalu.

Dostrzegł wahanie w ruchach detektywa, kiedy Bishop pociągnął łyk piwa i opuścił szklanekę.

- Nic poważnego... parę badań. - Potem, jak gdyby chcąc skierować rozmowę na inne tory, rzekł: - Zajrzę do Brandona.

Kiedy po kilku minutach wrócił, Gillette pokazał mu puste pudełko po pop-tartach.

- Nie zostawiłem ci ani jednego.

- Nic nie szkodzi - odparł ze śmiechem Bishop.

- Jak tam twój syn?

- Śpi. A ty masz dzieci?

- Nie. Na początku nie chcieliśmy... No, właściwie to ja nie chciałem. A kiedy zacząłem chcieć, to mnie przymknęli. Potem się rozwiedliśmy.

- Czyli chciałbyś mieć dzieci?

- Tak. - Wzruszył ramionami, zmiotł ręką okruchy ze stołu i strzepnął na serwetkę. -

Mój brat ma dwójkę, chłopca i dziewczynkę. Zawsze świetnie się bawimy.- Twój brat? - zapytał Bishop.

- Ricky - odrzekł Gillette. - Mieszka w Montanie. Pewnie nie uwierzysz, ale jest strażnikiem w parku. Mają z Carole - z żoną - wielki dom. Właściwie drewnianą chatę, ale naprawdę dużą. - Ruchem głowy wskazał podwórkę za domem. - Spodobałaby ci się ich grządka z warzywami. Carole jest doskonałym ogrodnikiem.

Bishop wbił wzrok w blat stołu.

- Czytałem twoje akta. - Moje akta?

- Z sądu dla nieletnich. Te, które zapomniałeś zniszczyć. Haker wolno zwinął, a potem rozwinął serwetkę. - Myślałem, że zostały utajnione.

- Bo zostały - nikt nie miał do nich wglądu. Poza policją.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał chłodno Gillette. - Dlatego, że uciekłeś z CCU.

Zamówiłem kopię, kiedy tylko odkryliśmy, że nawiałeś. Myślałem, że znajdziemy tam informacje, które pomogą ci namierzyć - ciągnął spokojnym głosem detektyw. - Do akt był

dołączony raport z opieki społecznej. O twoim życiu rodzinnym. A właściwie o braku życia rodzinnego... Powiedz mi, dlaczego wszystkich okłamujesz?

Gillette bardzo długo milczał.

Dlaczego kłamię? - myślał.

Kłamiesz, bo możesz.

Kłamiesz, bo gdy jesteś w Błękitnej Pustce, możesz wymyślić co tylko zechcesz i nikt nie ma pojęcia, że to nieprawda. Możesz wpaść do każdego pokoju rozmów i powiedzieć światu, że mieszkasz w ogromnym domu w Sunnyvale, Menlo Park albo Walnut Creek, twój ojciec jest adwokatem, lekarzem czy pilotem, matka projektantką albo właścicielką kwaciarni, a brat Rick gwiazdą i mistrzem stanu w biegach. Możesz bez końca wszystkim opowiadać, jak z ojcem zbudowaliście z zestawu komputer Altair, pracując przez sześć wieczorów z rzędu, gdy tylko wrócił z pracy, i dzięki temu wciągnął cię świat komputerów.

Naprawdę wspaniały człowiek...

Możesz wmawiać światu, że mimo tragicznej śmierci matki, która nieoczekiwanie zmarła na atak serca, wciąż utrzymujesz bardzo silną więź z ojcem. Jako inżynier petrochemii jeździ po całym świecie, ale zawsze przyjeżdża do domu, żeby spędzić wakacje z tobą i twoim bratem. I kiedy jest w mieście, co niedzielę chodzisz na obiad do niego i jego nowej żony, która jest naprawdę miła, a czasem idziecie do jego pokoju debugować skrypt albo grać w grę MUD. I wiecie co?

Świat ci wierzy. Bo w Błękitnej Pustce ludzie budują swoje sądy, tylko opierając się na bajtach, które wstukujesz zdrętwiałymi palcami.

Świat nie wie, że to wszystko kłamstwo.

Świat nie wie, że jesteś jedynakiem, synem rozwódki, która trzy albo cztery dni w tygodniu pracuje do późna, a w pozostałe dni wychodzi gdzieś ze swoimi „przyjaciółmi” -

zawsze mężczyznami. I że wcale nie umarła na serce, tylko na chorobę duszę i wątrobę, które odmówiły posłuszeństwa niemal jednocześnie, gdy miałeś osiemnaście lat.

Świat nie wie, że największym osiągnięciem twojego ojca, człowieka pracującego w bliżej nieznanym zawodzie, była decyzja o odejściu od matki i ciebie, którą podjął w dniu, gdy poszedłeś do trzeciej klasy.

I że mieszkałeś w bungalowach i przyczepach w najpodlejszych rejonach Doliny Krzemowej, że twoim jedynym skarbem był tani komputer, a jedynym rachunkiem płaconym zawsze na czas był rachunek telefoniczny - dlatego że płaciłeś sam pieniędzmi zarobionymi na roznoszeniu gazet, żeby nie stracić łączności ze światem, dzięki któremu nie oszalałeś z żalu i samotności: z Błękitną Pustką.

Dobra, Bishop, przyłapałeś mnie. Nie ma ojca, nie ma rodzeństwa. Tylko dręczona nałogiem egoistyczna matka. I ja - Wyatt Edward Gillette, sam w pokoju z moimi towarzyszami: TRS-80, apple'em, kaypro, pecetem, toshibą, stacją SPARC Suna...

Wreszcie uniósł głowę i zaczął mówić. Nigdy nie opowiedział wszystkiego o sobie żadnemu człowiekowi - nawet własnej żonie. Frank Bishop słuchał nieporuszony, wpatrując się w skupieniu w ciemną, zapadniętą twarz Gillette'a. Gdy haker skończył, Bishop rzekł:

- Opracowałeś socjotechnicznie całe dzieciństwo. - Tak.

- Kiedy odszedł, miałem osiem lat - powiedział Gillette, trzymając w dłoniach puszkę coli i przyciskając do zimnego metalu stwardniałe palce, jak gdyby wystukiwał słowa. M-I-A-

Ł-E-M O-S-I-E-M L-A-T... - Tato służył kiedyś w lotnictwie. Stacjonował w Travis, a gdy go zwolnili, został w tej okolicy. Właściwie bywał w tej okolicy. Częściej włączył się z kumplami ze służby albo... zresztą domyślasz się, dokąd chodził, kiedy nie wracał na noc do domu. W dniu, kiedy od nas odszedł, odbył ze mną jedyną poważną rozmowę. Matki nie było w domu, a on wszedł do mojego pokoju i powiedział, że chce się wybrać na zakupy i spytał, czy będę mu towarzyszyć. To było bardzo dziwne, bo nigdy nie robiliśmy niczego razem.

Gillette głęboko wciągnął powietrze, próbując się uspokoić. Jego palce wciąż stukały bezgłośnie o puszkę.

S-P-O-K-Ó-JD-U-C-H-A... S-P-O-K-Ó-JD-U-C-H-A...

- Mieszkaliśmy w Burlingame, niedaleko lotniska. Wsiadłem z ojcem do samochodu i pojechaliśmy do pasażu handlowego. Kupił parę rzeczy w drogerii, a potem zabrał mnie do knajpki obok dworca kolejowego. Podali jedzenie, ale ze zdenerwowania nie mogłem jeść.

Ojciec zresztą nawet tego nie zauważył. W pewnym momencie odłożył widelec, popatrzył na mnie i powiedział, że jest bardzo nieszczęśliwy z moją matką i musi się z nią rozstać.

Pamiętam, jak to ujął. Powiedział, że jego spokój ducha jest zagrożony, więc musi odejść dla dobra własnego rozwoju.

S-P-O-K-Ó-J D-U-C-H-A...

Bishop pokręcił głową.

- Mówił do ciebie jak do kumpla w barze. Nie jak do małego chłopca, do syna.

Okropne.

- Powiedział, że to dla niego trudna decyzja, ale tak trzeba, i zapytał, czy się cieszę z jego szczęścia.

- Naprawdę tak cię zapytał? Gillette skinął głową.

- Nie pamiętam, co odpowiedziałem. Potem wyszliśmy z restauracji. Chyba zauważył, że jestem zdenerwowany i zobaczył sklep. Powiedział: „Wiesz co, synu, wejdź tam i kup sobie, co zechcesz”.

- Nagroda pocieszenia.

Gillette zaśmiał się, kiwając głową.

- Właśnie tak. Ten sklep to był Radio Shack. Wszedłem i stałem, rozglądając się.

Niczego nie widziałem, czułem się nieszczęśliwy i starałem się nie płakać. Wybrałem pierwszą rzecz, jaką zauważyłem na półce. TRS-80.

- Co?

- Jeden z pierwszych komputerów osobistych.

C-O Z-E-C-H-C-E-S-Z...

- Wziąłem go do domu i wieczorem zacząłem grać. Potem usłyszałem, jak wróciła matka. Wybuchła okropna awantura, a potem ojciec wyszedł. I tyle.

B-L-E-K-I-T-N-A P-U...

Gillette uśmiechnął się przelotnie, stukając palcami w blachę... - Pamiętasz artykuł, który napisałem? „Błękitna Pustka”?

- Pamiętam - odrzekł Bishop. - Tak nazwałeś cyberprzestrzeń.

- Ta nazwa oznacza coś jeszcze - rzekł wolno Gillette.

P-U-S-T-K-A

- Co?

- Jak mówiłem, mój ojciec służył w lotnictwie. Kiedy byłem naprawdę mały, przychodzili do niego kumple z wojska napić się i pośpiewać. Parę razy śpiewali piosenkę lotników „W błękitną dal”. Po odejściu ojca ciągle słyszałem tę piosenkę w głowie, tylko

„dal” zmieniłem na „pustkę” - „w błękitną pustkę”, bo go nie było. Przepadł. - Gillette przełknął ślinę przez ściśnięte gardło. - Głupie, co?

Lecz Frank Bishop uważał, że nie było w tym nic głupiego. Ze współczuciem zwykłego człowieka i ojca rodziny zapytał:

- Miałeś potem od niego jakieś wiadomości? Słyszałeś, co się z nim działo?

- Nie. Nie mam pojęcia. - Gillette parsknął śmiechem. - Co pewien czas myślę, że powinienem go

namierzyć.

- Jesteś niezły w wyszukiwaniu ludzi w Sieci. Gillette skinął głową.

- Ale nie sądzę, żebym to zrobił.

Jego palce poruszały się w szalonym tempie. Przez stwardniałą skórę na opuszkach w ogóle nie czuł zimna puszki, w którą stukał.

L-E-C-I-M-Y W B-Ł-E-Ź-K-I...

- Potem było jeszcze lepiej, w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat nauczyłem się Basica, języka programowania, i długie godziny pisałem programy. Pierwsze z nich zmusiły komputer do rozmowy ze mną. Wstukiwałem „Cześć”, a komputer odpowiadał: „Witaj, Wyatt. Jak się masz?”. Stukałem „Dobrze”. Wtedy mnie pytał: „Jak było dzisiaj w szkole?”.

Próbowałem wymyślać takie rzeczy, o jakie mógłby pytać prawdziwy ojciec.

C-O Z-E-C-H-C-E-S-Z...

- Te wszystkie e-maile do sędziego, rzekomo od mojego ojca, faksy od brata z prośbą, żebym zamieszkał z nim w Montanie, raporty psychologów o moim wspaniałym życiu rodzinnym i cudownym ojcu... wszystko sam napisałem.

- Przykro mi - rzekł Bishop. Gillette wzruszył ramionami.

- Jakoś przeżyłem. Tamto już się nie liczy.

- Chyba jednak się liczy - powiedział cicho Bishop.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Potem detektyw zaczął zmywać naczynia.

Gillette stanął do pomocy i rozmawiali o niczym - o sędzie Bishopa, o życiu w San Ho. Kiedy skończyli wycierać talerze, Bishop dopił piwo i spojrzał z wahaniem na hakera.

- Może do niej zadzwonisz? - spyta.

- Zadzwonić? Do kogo?

- Do żony.

- Już późno - zaprotestował Gillette.

- No to ją obudzisz. Nic się jej nie stanie. Wydaje mi się, że nie masz zbyt wiele do stracenia. - Bishop podsunął mu telefon.

- Co mam powiedzieć? - Niepewnie podniósł słuchawkę.

- Coś wymyślisz. - Sam nie wiem...

- Znasz numer? - spytał glina.

Gillette wystukał go z pamięci - szybko, żeby się nie rozmyślić. Zastanawiał się: a jak odbierze jej brat? A jak odbierze matka? A jak...

- Halo?

Ścisnęło go w gardle.

- Halo? - powtórzyła Elana. - To ja.

Chwila ciszy - pewnie patrzyła na zegarek albo budzik. Jednak nie usłyszał żadnej uwagi na temat późnej pory.

Dlaczego nic nie mówiła?

Dlaczego on nic nie mówił?

- Chciałem po prostu zadzwonić. Znalazłaś modem? Zostawiłem go w skrzynce.

Przez moment nie odpowiadała. Potem rzekła:

- Jestem w łóżku.

Przeszywająca myśl: czy jest w łóżku sama? Czy obok niej leży Ed? W domu jej rodziców? Zdusił jednak zazdrość i zapytał cicho:

- Zbudziłem cię?

- Czego chcesz, Wyatt?

Popatrzył na Bishopa, lecz glina przyglądał mu się tylko, unosząc w zniecierpliwieniu brwi.

- Ja...

- Idę spać - powiedziała Elana.

- Mogę zadzwonić jutro?

- Wolałabym, żebyś nie dzwonił do domu. Christian widział cię wczoraj wieczorem i nie był zachwycony.

Dwudziestodwuletni brat Elany, jeden z najlepszych studentów marketingu, młodzieniec o temperamencie greckiego rybaka, już na procesie groził, że pobije Gillette'a.

- A więc ty zadzwoń, kiedy będziesz sama. Będę pod numerem, który ci wczoraj zostawiłem.

Cisza.

- Masz ten numer? - spytał.

- Mam... Dobranoc.

- Nie zapomnij zadzwonić do adwokata w sprawie tego... Po drugiej stronie rozległ się trzask i zapadła cisza. Gillette odłożył słuchawkę.

- Chyba nie rozegrałem tego najlepiej.

- Przynajmniej nie rozłączyła się od razu. To już coś. - Bishop wrzucił do kosza butelkę po piwie. - Nie cierpię pracować do późna, nie potrafię zjeść kolacji bez piwa, ale wtedy w nocy muszę kilka razy wstawać i sikać. Dlatego się starzeję. No, jutro czeka nas ciężki dzień. Pora się trochę przekimać.

- Dzisiaj też mnie gdzieś przykujesz? - spytał Gillette.

- Nie uchodzi uciekać dwa razy w ciągu dwóch dni, nawet hakerowi. Chyba obejdziemy się bez bransoletek. Tam jest pokój gościnny. W łazience znajdziesz ręczniki i nową szczoteczkę do zębów.

- Dzięki.

- Wstajemy tu piętnaście po szóstej. - Detektyw zniknął w ciemnym korytarzu.

Gillette słuchał skrzypu desek podłogi i szumu wody w rurach. Potem szczęknęły zamykane drzwi.

Został sam otoczony gęstą nocną ciszą obcego domu. Jego palce odruchowo wystukiwały kilkanaście komunikatów na niewidzialnej klawiaturze.

Wbrew swoim zapowiedziom gospodarz nie obudził go o szóstej piętnaście, lecz parę minut po piątej.

- Boże Narodzenie czy co - powiedział detektyw, zapalając górne światło. Miał na sobie brązową piżamę. - Dostaliśmy prezent.

Gillette jak większość hakerów uważał, że snu najlepiej unikać jak grypy, ale zaraz po przebudzeniu nie był w najlepszej formie. Leżąc z zamkniętymi oczami, mruknął:

- Prezent?

- Pięć minut temu zadzwonił na moją komórkę Trzy-X. Zdobył prawdziwy adres e-mailowy Phate'a. Deathknell@mol.com*. * *Deathknell* - dzwon pogrzebowy.

- MOL? Nie słyszałem o takim dostawcy Internetu. - Gillette zwałókl się z łóżka, walcząc z sennością.

- Zadzwoniłem do wszystkich - ciągnął Bishop. - Są już w drodze do biura.

- Czyli my też jedziemy? - mruknął sennie haker.

- Czyli my też jedziemy.

Dwadzieścia minut później obaj byli już umyści i ubrani. Jennie zrobiła im kawę, ale za jedzenie podziękowali; chcieli jak najszybciej jechać do CCU. Bishop pocałował żonę. Wziął

ją za rękę i powiedział:

- Ta wizyta... wystarczy jedno twoje słowo i w piętnaście minut będę w szpitalu.

Pocałowała go w czoło.

- Przecież to tylko kilka badań, kochanie. Nic więcej.

- Nie, nie, posłuchaj - rzekł poważnie. - Jeżeli będziesz mnie potrzebowała, przyjadę.

- Jeżeli będę cię potrzebowała, zadzwonię - ustąpiła. - Obiecuję.

Kiedy byli już na progu, nagle kuchnię wypełnił jakiś ryk. Jennie Bishop odkurzała dywan. Wyłączyła złożony z powrotem odkurzaczy i uściśnęła męża.

- Działa doskonale - powiedziała. - Dziękuję, kochanie.

Zdezorientowany Bishop zmarszczył brwi.

- Ale...

- Taka naprawa trwała pewnie pół nocy - wtrącił szybko Gillette.

- A potem jeszcze posprzątał - dodała Jennie z krzywym uśmiechem. - To dopiero cud.

- No... - zaczął Bishop.

- Lepiej już chodźmy - przerwał mu Gillette.

Jennie wygoniła ich gestem i zaczęła przygotowywać śniadanie dla Brandona, zerkając czule na swój zmartwychwstały odkurzaczy.

Gdy wyszli, Bishop spytał szeptem Gillette'a:

- I co? Rzeczywiście trwała pół nocy?

- Naprawa odkurzaczy? Nie, ledwie dziesięć minut. Mógłbym to zrobić w pięć, ale nie mogłem znaleźć żadnych narzędzi. Musiałem użyć noża i dziadka do orzechów.

- Nie sądziłem, że znasz się na odkurzaczy - powiedział detektyw.

- Bo się nie znałem. Ale ciekawiło mnie, dlaczego nie działa. Teraz więc wiem już wszystko o odkurzaczach. - Gillette wszedł do samochodu i spytał: - Można jeszcze raz wstąpić do Seven-Eleven? Oczywiście, jeżeli będzie po drodze. Rozdział

Rozdział

00011101/dwudziesty dziewiąty

Ale mimo wszystkiego, co Trzy-X powiedział Bishopowi przez telefon, Phate - w swoim nowym wcieleniu Deathknell - wciąż pozostawał nieuchwytny.

Gdy tylko Gillette zjawił się w CCU, uruchomił program Hyper-Trace, aby poszukać

MOL.com. Wkrótce dowiedział się, że pełna nazwa dostawcy to Monterey Internet On-Line.

Główna siedziba firmy znajdowała się w Pacific Grove w Kalifornii, mniej więcej sto mil na południe od San Jose. Jednak kiedy skontaktowali się z działem zabezpieczeń Pac Bell w Salinas w sprawie namierzenia łącza z MOL do komputera Phate'a, okazało się, że Monterey Internet On-Line nie istnieje, a serwer w rzeczywistości jest w Singapurze.

- Och, to spryciarz - mruknęła nieprzytomnie Patricia Nolan, popijając kawę Starbucks. Rano mówiła niskim głosem, prawie męskim. Usiadła obok Gillette'a. Jak zwykle miała na sobie byle jaką wełnianą sukienkę, tym razem zieloną. Nieprzyzwyczajona do tak wczesnego wstawania, nie miała już nawet ochoty odgarniać z twarzy opadających włosów.

- Nie rozumiem - powiedział Shelton. - Dlaczego spryciarz. O co chodzi?

- Phate stworzył sobie własnego dostawcę Internetu - wyjaśnił Gillette. - I jest jego jedynym klientem. No, może jeszcze Shawn. Łączą się przez serwer w Singapurze - nie ma szans, żebyśmy zdołali namierzyć ich komputery.

- Coś w rodzaju fikcyjnej spółki na Kajmanach - odezwał się Frank Bishop, który mimo nikłej wiedzy na temat Błękitnej Pustki z łatwością wynajdywał porównania w Realu.

- Ale adres też jest ważny - dodał Gillette, widząc rozczarowanie na wszystkich twarzach.

- Dlaczego? - zapytał Bishop.

- Bo możemy mu wysłać liścik miłosny.

Do biura CCU weszła Linda Sanchez, trzymając w ramionach torbę pączków z Dunkin Donuts. Miała zaczerwienione oczy i poruszała się bardzo wolno. Spojrzawszy w dół, zauważyła, że krzywo zapięła beżowy zakiet. Nie przejmując się tym, postawiła torbę na talerzu.

- Jak tam, wyrosła nowa gałąź na twoim drzewie genealogicznym? - spytał ją Bishop.

Pokręciła głową.

- Nie, zaraz wam opowiem. Pożyczyłam dreszczowiec. Babcia mówiła mi, że poród można przyspieszyć opowieściami o duchach. Widziałeś o tym, szefie?

- Pierwsze słyszę - odrzekł Bishop.

- W każdym razie pomyśleliśmy, że równie dobrze podziała horror. I wypożyczyłam

„Krzyk”. I wiecie, co się stało? Moja córka i mąż zasnęli na kanapie, ale ja tak się przeraziłam, że nie mogłam zasnąć. Do rana.

Zniknęła w kuchence i po chwili przyniosła stamtąd dzbanek z kawą.

Wyatt Gillette z wdzięcznością przyjął już drugą dziś kawę, ale uparł się, że na śniadanie wystarczą mu pop-tarty.

Kilka minut później zjawił się Stephen Miller, a zaraz po nim Tony Mott, spocony po szybkiej jeździe na rowerze.

Gillette poinformował resztę zespołu, że Trzy-X podał im prawdziwy adres e-mailowy Phate'a i że zamierzają wysłać Phate'owi wiadomość.

- Co ma w niej być? - spytała Patricia Nolan.

- Drogi Phate - odparł Gillette. - Dobrze się bawimy, bardzo nam ciebie brakuje, a przy okazji obejrzyj sobie zdjęcie nieboszczyka.

- Co? - zdumiał się Miller.

- Możesz zdobyć jakieś zdjęcie z miejsca zbrodni? - zapytał Bishopa Gillette.

- Chyba tak.

Gillette wskazał tablicę.

- Mam zamiar podszyć się pod Vlasta, tego hakera z Bułgarii, z którym wymieniał się zdjęciami. Wyślę Phate'owi zdjęcie.

Nolan roześmiała się, kiwając głową.

- A razem z nim dostanie wirusa. Przejmiesz jego maszynę. - Spróbuję.

- Dlaczego trzeba mu wysłać zdjęcie? - zapytał Shelton. Wyglądał, jakby zaniepokoił

go pomysł wysyłania w Błękitną Pustkę dowodu jakichś makabrycznych zbrodni.

- Mój wirus nie jest tak sprytny jak Trapdoor. Żebym mógł się dostać do systemu Phate'a, sam musi go uruchomić. Będzie musiał otworzyć załącznik ze zdjęciem.

Bishop zadzwonił do centrali i kazał przefaksować do CCU fotografię jakiejś ofiary niedawnego morderstwa.

Po chwili Gillette zerknął na zdjęcie - przedstawiające zatłuczoną na śmierć młodą kobietę - lecz szybko odwrócił wzrok. Stephen Miller przeskanował zdjęcie do postaci cyfrowej, by można je było wysłać pocztą elektroniczną. Glina wydawał się zupełnie niewrażliwy na okropny widok, który przedstawiała fotografia, i metodycznie przystąpił do dzieła. Podał Gillette'owi dyskietkę ze zdjęciem.

- A jeżeli Phate zechce napisać do Vlasta, żeby sprawdzić, czy to rzeczywiście on wysłał mi wiadomość, albo żeby mi odpowiedzieć? - zapytał Bishop.

- Pomyślałem o tym. Wyślę Vlastowi innego wirusa, który zablokuje wszystkie e-maile ze Stanów.

Gillette wszedł do sieci i pobrał ze schowka w centrum lotniczym w Los Alamos swoje narzędzia. Zmodyfikował to, co było mu potrzebne - wirusy i własny program zapewniający anonimowość nadawcy e-maili - nie mógł już zaufać Stephenowi Millerowi.

Potem wysłał do Vlasta do Bułgarii wirusa MailBlocker, a do Phate'a swoją wersję dobrze znanego wirusa Backdoor-G, dzięki któremu użytkownik mógł przejąć zdalną kontrolę nad innym komputerem - zazwyczaj pracującym w tej samej sieci, na przykład należącym do innego pracownika jednej firmy. Jednak wersja Gillette'a mogła działać z dowolnymi komputerami; nie musiały być połączone w sieć.

- Ustawiłem alarm. Jeśli Phate otworzy załącznik, mój wirus uaktywni się i usłyszymy sygnał. Wtedy dostanę się do jego komputera i będziemy mogli sprawdzić, czy znajdziemy coś, co naprowadzi nas na jego ślad albo ślad Shawna... albo następnej ofiary.

Zadzwonił telefon, który odebrał Miller. Po chwili przekazał słuchawkę Bishopowi.

- Do ciebie. Charlie Pittman.

Bishop, który właśnie nalewał mleko do kawy, włączył przycisk głośnika.

- Dzięki za telefon, Pittman.

- Nie ma sprawy, detektywie. - Kiepski głośnik zniekształcał jego głos. - Czym mogę służyć?

- Charlie, wiem, że prowadzisz sprawę Petera Fowlera. Ale kiedy następnym razem będziemy organizować akcję, muszę prosić, żebyś ty albo ktoś z okręgowki przyszedł

najpierw do mnie, żeby skoordynować działania.

Cisza.

- Słucham? - rozległo się po chwili.

- Mówię o wczorajszej akcji w motelu Bay View.

- Hm, o czym? - W jego głosie dało się słyszeć zakłopotanie.

- Jezu - powiedział Bob Shelton, spoglądając na partnera z ogromnym niepokojem. -

On o niczym nie wie. Tamten facet to nie był Pittman.

- Pittman, czy poznaliśmy się przedwczoraj wieczorem w Sunnyvale? - spytał z naciskiem Bishop.

- Chyba nastąpiło jakieś nieporozumienie, detektywie. Jestem na rybach w Oregonie.

Od tygodnia mam urlop i zabawię tu jeszcze trzy dni. Zadzwoiłem do biura, żeby odsłuchać wiadomości. Usłyszałem pańską, więc dzwonię. Nic więcej nie wiem.

Tony Mott nachylił się nad głośnikiem.

- To znaczy, że nie było pana wczoraj w biurze wydziału przestępstw komputerowych?

- Hm, nie. Jak mówię, łowię ryby w Oregonie. Mott popatrzył na Bishopa.

- Wczoraj spotkałem pod biurem faceta, który twierdził, że nazywa się Pittman.

Mówił, że był tu na spotkaniu z tobą. Uznałem, że to nic ważnego.

- Nie było go tu - powiedział Miller.

- Pittman, czy zostawił pan jakąś notatkę o swoim urlopie?

- Jasne. Zawsze rozsyłamy notatkę.

- Na papierze? Może pocztą elektroniczną?

- Teraz wszystko wysyła się e-mailem - bronił się policjant. - Ludzie myślą, że w okręgach jesteśmy do tyłu z techniką, ale wcale tak nie jest.

- Ktoś się pod pana podszył - wyjaśnił Bishop. - Pokazał fałszywą odznakę i legitymację.

- Cholera. Dlaczego?

- Zapewne miało to związek ze śledztwem w sprawie zabójstwa, jakie prowadzimy.

- Co mam zrobić?

- Niech pan zadzwoni do dowództwa i złoży raport. Ale na razie będziemy wdzięczni, jeżeli zachowa to pan dla siebie. Lepiej, żeby sprawca nie wiedział, że znamy już prawdę. I proszę nie wysyłać niczego e-mailem. Proszę korzystać z telefonu.

- Jasne. Zaraz dzwonię do centrali.

Bishop przeprosił Pittmana za reprimendę i odłożył słuchawkę. Spojrzał na zespól.

- Znowu socjotechnika. Opisz tego faceta - powiedział do Motta.

- Szczupły, z wąsikami. Ubrany w ciemny płaszcz.

- Ten sam, którego spotkaliśmy w Sunnyvale. Co tu robił? - Wyglądało, jakby przed chwilą był w biurze, ale nie widziałem, żeby wychodził z budynku. Może węszył.

- To musi być Shawn - rzekł Gillette. Bishop przytaknął. Zwrócił się do Motta:

- Spróbujemy sporządzić portret pamięciowy. Macie tu zestaw? - spytał Millera.

Zestaw składał się z plastikowych arkuszy z różnymi szczegółami twarzy, które można było dowolnie ze sobą układać, by świadkowie rozpoznali portret podejrzanego - w gruncie rzeczy był to policyjny rysownik w pudełku.

Linda Sanchez pokręciła głową.

- Zwykle rzadko mamy do czynienia z identyfikacją twarzy.

- Ja mam zestaw w samochodzie - rzekł Bishop. - Zaraz wracam.

W swojej jadalni-pracowni Phate stukał w najlepsze, gdy na ekranie pojawiła się flaga oznaczająca, że ktoś przysłał e-mail pod adres jego prywatnego pseudonimu Deathknell.

Stwierdził, że nadawcą jest Vlast, znajomy z Bułgarii. Wiadomość miała załącznik.

Kiedyś regularnie wymieniali się z Vlastem zdjęciami morderstw, ale potem nastąpiła dłuższa przerwa i Phate zastanawiał się, czy dostał od niego właśnie taką fotografię.

Mimo ciekawości musiał trochę poczekać z otwarciem wiadomości. W tym momencie za bardzo pochłaniała go nowa misja Trapdoora. Po długiej godzinie łamania haseł na wypożyczonym superkomputerze Phate wreszcie przejął root w pewnym systemie działającym niedaleko jego domu w Los Alamos.

Teraz przewijał na ekranie menu.

Centrum Medyczne Stanford-Packard Pało Rito, Kalifornia 1. Administracja

2. Personel

3. Przyjęcia pacjentów M. Kartoteki pacjentów

5. Oddziały wg specjalności b. Zarząd nieruchomości 7. Komputerowe usługi medyczne

8. Centrum rehabilitacji Tyler-Kresge

9. Pogotowie

10. Oddział intensywnej opieki medycznej

Po namyśle wybrał pozycję nr 6. Rozwinęło się nowe menu.

Komputerowe usługi medyczne

1. Harmonogram operacji

2. Dystrybucja leków i harmonogram podawania

3. Uzupełnianie tlenu

M. Harmonogram chemio - i radioterapii onkologicznej 5. Diety pacjentów i harmonogram żywienia

Wcisnął 2 i ENTER.

Idąc przez parking do samochodu po zestaw do portretów pamięciowych, Frank Bishop wyczuł zagrożenie, zanim jeszcze spojrzał na tego człowieka.

Wiedział, że intruz - stojący w odległości pięćdziesięciu stóp i częściowo ukryty w porannej mgle - jest niebezpieczny, tak jak poznaje się osobę noszącą broń po sposobie, w jaki pokonuje krawężniki. Albo jak jest się przekonany, że zagrożenie czai się za drzwiami, w głębi alei lub na siedzeniu zatrzymanego samochodu. Bishop zawahał się tylko przez krótką chwilę. Lecz potem ruszył dalej, jak gdyby niczego nie podejrzewał. Nie widział wyraźnie twarzy intruza, ale wiedział, że to Pittman - czyli Shawn. Obserwował ich wczoraj, kiedy widział go Tony Mott, i dziś też ich obserwował.

Jednak teraz detektyw miał przeczucie, że to coś więcej; może Shawn przyszedł zapolować.

I Frank Bishop, weteran frontowy, domyślił się, że jeśli ten człowiek tu jest, to wie, jakim samochodem jeździ detektyw i zatrzyma go w drodze do wozu, a poza tym dokładnie sprawdził teren.

Szedł jednak dalej, klepiąc się po kieszeniach, jakby szukał papierosów, choć rzucił

palenie wiele lat temu, i spoglądając w zaciągnięte chmurami niebo ze zmarszczonymi brwiami, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nie zanoszą się na zmianę pogody.

Nic nie powoduje takiego popłochu u przestępcy i nie zwiększa prawdopodobieństwa ucieczki - albo ataku - jak nagłe i nieprzewidywalne ruchy gliniarza.

Wiedział, że mógłby wrócić biegiem do biura i sprowadzić pomoc, ale wówczas Shawn rozplątałby się w powietrzu i nigdy nie powtórzyłaby się podobna szansa. Nie, Bishop nie zamierzał zmarnować okazji złapania współnika mordercy.

Tylko iść, cały czas iść.

Wszystko sprowadza się do jednego...

Zobaczył przed sobą ruch, gdy Shawn ukrywający się za dużym wozem kempingowym - chevroletem winnebag - wyrzwał, żeby sprawdzić pozycję Bishopa, a potem się cofnął. Detektyw nie zwalniał

kroku, krocząc asfaltem, jakby niczego nie widział.

Kiedy był już obok winnebago, gwałtownie skręcił w prawo, wyciągając równocześnie z kabury wysłużony pistolet, a potem pobiegł co sił w nogach za samochód kempingowy. Uniósł broń.

Ale zaraz się zatrzymał.

Shawna nie było. W ciągu kilku sekund, gdy Bishop okrążał wóz, współnik Phate'a zniknął.

Z prawej, po drugiej stronie parkingu, trzasnęły drzwi. Bishop odwrócił się w stronę, skąd dobiegł dźwięk, kucnął i uniósł pistolet. Zobaczył furgonetkę dostawczą. Zwalisty czarny mężczyzna niósł jakąś skrzynkę w stronę niedalekiej fabryki.

Gdzie się podział Shawn?

Zaraz potem uzyskał odpowiedź. Drzwi samochodu kempingowego rozsunęły się i zanim Bishop zdążył się odwrócić, poczuł, jak w szyję wbija mu się lufa pistoletu.

Detektyw dostrzegł przelotnie wąsatą twarz drobnego mężczyzny, gdy Shawn pochylił się, a jego ręka wystrzeliła jak wąż i wyrwała Bishopowi broń z ręki.

Detektyw pomyślał o Brandonie i o Jennie.

Westchnął.

Wszystko sprowadza się do jednego...

Frank Bishop zamknął oczy.

Rozdział

00011110/trzydziesty

Sygnal komputera CCU był zwykłym standardowym dźwiękiem WAV, ale zespół podskoczył jak na odgłos syreny alarmowej.

Wyatt Gillette podbiegł do terminalu.

- Tak! - szepnął. - Phate obejrzał zdjęcie. Wirus jest już w jego maszynie.

Na ekranie wyświetlił się komunikat:

Plik Config.sys został zmodyfikowany

- Już. Ale nie mamy zbyt wiele czasu - wystarczy, żeby raz sprawdził system i zauważy, że jesteśmy

w środku.

Gillette zasiadł przed komputerem. Uniósł dłonie nad klawiaturą, czując nieporównywalne z niczym podniecenie, które zawsze towarzyszyło mu tuż przed wyprawą w nieznany - zakazany - obszar Błękitnej Pustki.

Zaczął stukać.

- Gillette! - krzyknął męski głos od drzwi, które otworzyły się z trzaskiem.

Haker odwrócił się i ujrzał przybysza. Ze zdumienia wstrzymał oddech. Do zagrody dinozaura wkroczył Shawn - człowiek, który podawał się za Charliego Pittmana.

- Jezu! - zawołał zaskoczony Shelton.

Tony Mott szybkim ruchem sięgnął po swój srebrny pistolet. Ale Shawn miał broń w ręce i zanim młody policjant zdążył wyciągnąć swoją, wycelował w jego głowę, odciągając kurek. Mott wolno podniósł ręce.

Shawn dał znak Lindzie Sanchez i Millerowi, aby się cofnęli. Ruszył w kierunku Gillette'a, celując w niego.

Haker wstał i dał krok do tyłu, unosząc ręce.

Nie było dokąd uciec.

Zaraz... co tu się działo?

W drzwiach stanął z ponurą miną Frank Bishop, mając po bokach dwóch wysokich mężczyzn w garniturach. A więc to nie był Shawn. W dłoni mężczyzny błysnęła legitymacja.

- Jestem Arthur Backle z wydziału dochodzeniowego Departamentu Obrony. -

Wskazał swoich dwóch towarzyszy. - A to agenci Luis Martinez i Jim Cable.

- Jesteście z dochodzeniówki? Co się tu dzieje? - warknął Shelton.

- Mamy połączenie z maszyną Phate'a - powiedział do Bishopa Gillette. - Ale zostało nam tylko kilka minut. Muszę tam natychmiast wejść!

Bishop zaczął coś mówić, ale w tym momencie Backle rzucił jednemu ze swoich partnerów:

- Skuć go.

Mężczyzna zbliżył się do hakera i zatrzasnął na jego przegubach kajdanki. - Nie!

- Przedstawił mi się pan jako Pittman - powiedział Mott. Backle wzruszył ramionami.

- Konspiracja. Miałem powody podejrzewać, że nie zechce pan współpracować, jeżeli się ujawnię.
- Jasne, kurwa, że nie zechcielibyśmy współpracować - odezwał się Bob Shelton.
- Przyszliśmy odstawić cię z powrotem do zakładu karnego w San Jose - zwrócił się do Gillette'a Backle.
- Nie możecie tego zrobić!
- Rozmawiałem z Pentagonem, Wyatt - rzekł Bishop. - Mają do tego prawo. To już koniec. - Pokręcił głową.
- Przecież dyrektor wydziału wydał zgodę na to zwolnienie - powiedział Mott.
- Dave Chambers już się nie liczy - wyjaśnił detektyw o wąskiej twarzy. - Obowiązki szefa dochodzeniówki pełni Peter Kenyon. Uchylił rozkaz zwolnienia.

Gillette przypomniał sobie, że Kenyon to ten, który nadzorował pracę nad programem szyfrującym Standard 12. Człowiek, który mógłby przeżyć największy wstyd - jeżeli w ogóle nie zostałby zwolniony - gdyby wyszło na jaw, że szyfr został złamany.

- Co się stało z Chambersem?
- Wykroczenia finansowe - poinformował ich teatralnym głosem Backle. - Transakcje przy wykorzystaniu poufnych informacji, spółki rejestrowane za granicą. Nie wiem dokładnie i nic mnie to nie obchodzi. - Backle zwrócił się do Gillette'a: - Dostaliśmy rozkaz sprawdzenia wszystkich plików, do których miałeś dostęp, żeby poszukać dowodów związanych z nielegalnym uzyskaniem przez ciebie dostępu do programu szyfrującego Departamentu Obrony.
- Frank, mamy teraz Phate'a online! - zawołał do Bishopa Mott z rozpaczą w głosie.

Bishop spojrział na ekran.

- Proszę! - powiedział do Backle'a. - Mamy okazję dowiedzieć się, gdzie jest podejrzany. Tylko Wyatt może nam pomóc.
- Mam mu pozwolić pracować online? Wykluczone.
- Musicie mieć nakaz, żeby w ogóle... - zaczął wściekle Shelton.

Jeden z partnerów Backle'a pokazał im dokument z niebieskim rewersem. Bishop przebiegł go wzrokiem i z kwaśną miną skinął głową.

- Mogą go zabrać i skonfiskować wszystkie dyskiety i komputery, z których korzystał.

Rozejrzawszy się, Backle dostrzegł puste pomieszczenie i kazał agentom zamknąć tam Gillette'a, dopóki nie przeszukają plików.

- Nie pozwól im na to, Frank! - zawołał Gillette. - Właśnie miałem przejąć root w jego maszynie. Jego prawdziwej maszynie, nie gorącej. Mógłbym tam znaleźć adresy, prawdziwe nazwisko Shawna. Może nawet adres przyszłej ofiary!

- Zamknij się, Gillette - warknął Backle.

- Nie! - zaprotestował haker, szamocząc się w uchwycie agentów, którzy bez trudu wlekli go w stronę pokoju. - Zabierzcie ode mnie łapy! Mamy...

Wepchnęli go do środka i zamknęli drzwi.

- Potrafisz wejść do maszyny Phate'a? - zapytał Bishop Stephena Millera.

Pękaty policjant spojrzał z niepokojem na ekran monitora.

- Nie wiem. Może. Tylko że... wystarczy wcisnąć nie ten klawisz i Phate od razu się dowie, że u niego jesteśmy.

Bishop cierpiał męki. Pierwszy prawdziwy przełom w sprawie, który mógł zostać zaprzepaszczony przez jakieś bezsensowne wewnętrzne tarcia i biurokrację rządową. Mieli jedyną i niepowtarzalną okazję, by zajrzeć do wnętrza elektronicznego umysłu mordercy.

- Gdzie są pliki używane przez Gillette'a? - zapytał Backle. - I dyskietki?

Nikt się nie kwapił z odpowiedzią. Cały zespół mierzył agenta wrogim spojrzeniem.

Backle wzruszył ramionami i rzekł wesoło:

- Wobec tego skonfiskujemy wszystko. Dla nas bez różnicy. Będziecie mogli zobaczyć swój sprzęt za pół roku, jeśli dopisze wam szczęście.

Bishop dał znak Lindzie Sanchez.

- Tamten terminal - mruknęła, wskazując.

Backle i dwaj agenci zaczęli oglądać trzyipółcalowe dyskietki, jak gdyby potrafili przeniknąć wzrokiem obudowy z kolorowego plastiku i gołym okiem zidentyfikować dane w środku.

Miller nadal niespokojnie patrzył w ekran, a Bishop zwrócił się do Patricii Nolan i Motta:

- Czy któreś z was umie obsługiwać program Wyatta? - Wiem, jak działa, teoretycznie

- odparła Nolan. - Ale nigdy nie włamywałam się do cudzego systemu za pomocą Backdoora-G. Próbowałam tylko szukać wirusów i zaszcześcić programy.

- Ja też - powiedział Mott. - Poza tym program Wyatta to hybryda, którą sam napisał.

Pewnie ma jakieś nietypowe wiersze poleceń.

Bishop podjął decyzję. Wybrał cywila, mówiąc do Patricii Nolan: - Postaraj się.

Usiadła przed komputerem. Otarła dłonie o grubą spódnicę i odgarnęła włosy z twarzy, patrząc w ekran i starając się zrozumieć polecenia w menu, które dla Bishopa były tak niezrozumiałe, jakby napisano je po rosyjsku.

Zadzwonił telefon komórkowy detektywa.

- Tak? - Bishop słuchał przez chwilę. - Tak jest. Kto, agent Backle? Agent uniósł głowę.

- Jest tu... - ciągnął Bishop. - Ale... nie, to nie jest bezpieczna linia. Tak, zadzwoni z telefonu stacjonarnego z biura. Tak jest, przekażę mu natychmiast. - Detektyw zanotował

szybko numer i odłożył słuchawkę. Spojrzał na Backle'a spod uniesionych brwi. - Dzwonili z Sacramento. Ma pan zatelefonować do sekretarza obrony. Do Pentagonu. Z bezpiecznej linii.

To jego prywatny numer.

Jeden z partnerów Backle'a posłał swojemu szefowi niepewne spojrzenie.

- Sekretarz Metzger? - szepnął. Respekt w jego głosie wskazywał, że telefon tego rodzaju był wydarzeniem bez precedensu.

Backle wolno podniósł słuchawkę telefonu, który podsunął mu Bishop.

- Może pan skorzystać z tego - powiedział detektyw. Po chwili wahania agent wystukał numer. Potem wyprężył się na baczność.

- Mówi agent Backle z wydziału dochodzeniowego, panie sekretarzu. Tak jest, dzwonię z bezpiecznej linii. - Backle energicznie kiwał głową. - Tak jest... z polecenia Petera Kenyona. Policja stanowa Kalifornii ukrywała to przed nami. Zwolniono go na podstawie nakazu wystawionego na fikcyjne nazwisko... tak jest. Skoro życzy pan sobie. Rozumie pan jednak, co zrobił Gillette. Przecież... - Znów kiwał głową. - Przepraszam. Nie ma mowy o niesubordynacji. Zajmę się tym, panie sekretarzu.

Odłożył słuchawkę i powiedział do swoich partnerów:

- Ktoś ma cholernie wysoko postawionych przyjaciół. - Pokazał na tablicę. - Jedna z ofiar tego waszego Hollowaya, facet z Wirginii, był spokrewniony z jakimś ważnym współpracownikiem Białego Domu. Gillette ma zostać na wolności, dopóki nie złapiecie mordercy. - Syknął ze wstrętem. - Pieprzeni politycy. Jesteście wolni. A wy wracajcie do biura - rzucił do swoich partnerów. A do Bishopa powiedział: - Na razie może u was zostać.

Ale będę tu siedział, aż zamkniecie sprawę.

- Rozumiem - odrzekł Bishop, biegnąc do biura, w którym agenci zamknęli Gillette'a.

Nie pytając, dlaczego go wypuszczono, Gillette przypadł do komputera. Patricia Nolan z wdzięcznością ustąpiła mu miejsca.

Gillette usiadł. Popatrzył na Bishopa, który go poinformował:

- Na razie wciąż należysz do zespołu.

- To dobrze - odrzekł oficjalnym tonem haker, przysuwając się bliżej klawiatury.

Jednak gdy byli pewni, że Backle ich nie słyszy, Bishop parsknął śmiechem i szepnął do Gillette'a:

- Jak tyś to u diabła zrobił?

Do Bishopa wcale nie dzwonił Pentagon, tylko Wyatt Gillette. Skorzystał z telefonu w biurze, gdzie go zamknęto i wystukał numer komórki detektywa. Prawdziwa rozmowa odrobinę różniła się od tej toczonej pozornie:

- *Tak?*

- *Frank, tu Wyatt. Dzwonię z tego pustego pokoju. Udawaj, że jestem twoim szefem.*

Powiedz mi, że jest u ciebie Backle.

- *Tak jest. Kto, agent Backle?*

- *Dobrze* - odparł haker.

- *Jest tu...*

- *Powiedz mu, żeby zadzwonił do sekretarza obrony. Ale niech zadzwoni z głównego numeru CCU, nie ze swojej ani cudzej komórki. Powiedz mu, że to bezpieczna linia.*

- *Ale...*

- *Wszystko w porządku* - zapewnił go Gillette. - *Podaj mu ten numer.* - Podyktował

Bishopowi waszyngtoński numer telefonu.

- *Nie, to nie jest bezpieczna linia. Tak, zadzwoni z telefonu stacjonarnego z biura. Tak jest, przekażę mu natychmiast.* Gillette wyjaśnił mu teraz szeptem:

- *Z komputera w tamtym pokoju włamałem się do miejscowej centrali Pac Bell i przełączyłem do siebie wszystkie rozmowy z CCU pod numer, który ci podałem.*

Bishop pokręcił głową, zaniepokojony i rozbawiony zarazem.

- Czyj to numer?

- Och, to naprawdę numer sekretarza obrony. Można wejść na jego linię równie łatwo jak na każdą inną. Ale nie przejmuj się - przywróciłem już w centrali poprzednie ustawienia.

Zaczął stukać.

Dzięki swojej wersji wirusa Backdoor-8 Gillette od razu dostał się do środka komputera Phate'a. Pierwszym katalogiem, jaki zobaczył, był folder o nazwie „Trapdoor”.

Serce zaczęło mu walić jak młotem. Ogarnęła go odurzająca jak narkotyk ciekawość, poczuł radosne podniecenie, ale i lekkie zdenerwowanie. Miał okazję poznać ten cudowny program, może nawet uda mu się zerknąć na kod źródłowy. Miał jednak dylemat: choć dzięki pełnej kontroli nad maszyną potrafił bez kłopotu wśliznąć się do katalogu Trapdoora, Phate mógłby go szybko zdemaskować - tak samo jak Gillette wyczuł obecność Phate'a, gdy morderca wdarł się do komputera CCU. Gdyby tak się stało, Phate natychmiast wyłączyłby maszynę i stworzył sobie nowego dostawcę Internetu i nowy adres elektroniczny. Nigdy już by go nie znaleźli, a na pewno nie zdołaliby zapobiec kolejnej zbrodni.

Nie, mimo trawiącej go ciekawości, Gillette rozumiał, że musi zrezygnować z badania Trapdoora i szukać wskazówek, które mogłyby im powiedzieć, gdzie znajdą Phate'a i Shawna albo kim będzie kolejna ofiara.

Niechętnie wycofał się z folderu Trapdoora i ostrożnie ruszył na wyprawę w głąb komputera Phate'a.

Wielu ludzi uważa, że struktura komputera przypomina idealnie symetryczny i sterylny budynek, że jest proporcjonalna, logiczna i doskonale zorganizowana. Wyatt Gillette wiedział jednak, że wnętrze maszyny ma więcej wspólnego z żywym organizmem i ulega ciągłym zmianom, ilekroć użytkownik dodaje nowy program, instaluje nowy sprzęt lub po prostu włącza i wyłącza zasilanie. W każdym komputerze są tysiące miejsc, które można odwiedzić, a prowadzą do nich miriady różnych ścieżek. Każda maszyna jest wyjątkowa i niepodobna do innej. Badanie cudzego komputera można przyrównać do przechadzki w jednej z atrakcji turystycznych Doliny Krzemowej, Tajemniczym Domu Winchester, ogromnym labiryncie złożonym ze stu sześćdziesięciu pokoi, gdzie mieszkała kiedyś wdowa po wynalazcy samopowtarzalnego karabinu Winchester. W posiadłości było mnóstwo ukrytych korytarzy i tajemnych komnat (a także - według ekscentrycznej pani domu -

duchów).

Wirtualne korytarze w komputerze Phate'a zaprowadziły Gillette'a do foldera o nazwie „Korespondencja”, na który haker rzucił się jak rekin.

Otworzył pierwszy z podfolderów, „Poczta wychodząca”.

Były tu przede wszystkim e-maile do Shawn@MOL.com od Hollowaya występującego pod pseudonimem Phate albo Death-knell.

- Miałem rację - mruknął Gillette. - Shawn ma tego samego dostawcę Internetu co Phate - Monterey

On-Line. Jego też nie da się namierzyć.

Otworzył kilka wiadomości na chybił trafił i przeczytał. Od razu zauważył, że obaj używają tylko swoich pseudonimów: Phate lub Deathknell i Shawn. Korespondencja miała charakter przede wszystkim techniczny - łąty do programów, kopie danych sprzętowych i specyfikacje ściągnięte z Sieci i baz danych. Wyglądało, jak gdyby w obawie przed włamaniem do swych maszyn umówili się, że w ogóle nie będą mówić o życiu osobistym poza Błękitną Pustką. Gillette nie znalazł ani skrawka informacji o tym, kim może być Shawn i gdzie mieszka Phate.

Trafił jednak na nieco inną wiadomość. Została wysłana do Shawna przed kilkoma tygodniami - o trzeciej nad ranem, porze uważanej przez hakerów za godzinę duchów, o której przed komputerem zostają tylko najtwardsi maniacy.

- Popatrzcie na to - powiedział Gillette.

Patricia Nolan czytała Gillette'owi przez ramię. Pokazując fragment tekstu na ekranie, otarła się o niego ręką.

- Zdaje się, że są dla siebie kimś więcej niż przyjaciółmi. Przeczytał głośno początek.

- Wczoraj wieczorem skończyłem pracę nad łątą i leżałem w łóżku. Sen nie nadchodził, a ja myślałem tylko o tobie, o spokoju, jaki mi dajesz... Zacząłem się dotykać. Nie mogłem przestać...

Gillette uniósł głowę. Patrzył na niego cały zespół - agent Departamentu Obrony Backle też. - Mam czytać dalej?

- Jest tam jakiś ślad, który może pomóc go namierzyć? - zapytał Bishop.

Haker szybko przebiegł wzrokiem resztę wiadomości. - Nie. List jest dość pikantny w szczegółach.

- To szukaj dalej - powiedział Frank Bishop.

Gillette wycofał się z „Poczty wychodzącej” i zbadał folder korespondencji przychodzącej. Większość wiadomości pochodziła z serwerów list dyskusyjnych, które automatycznie wysyłały abonentom biuletyny na interesujące ich tematy. Było tu kilka starych listów od Vlasta i parę od Trzy-X - informacje techniczne o oprogramowaniu i kradzionych skryptach. Nic, co mogłoby im pomóc. Pozostałe były od Shawna, ale wszystkie stanowiły odpowiedź na prośby Phate'a o sposoby usunięcia błędów Trapdoora lub napisanie łąt do innych programów. Te e-maile były jeszcze bardziej techniczne i bezosobowe niż listy Phate'a.

Gillette otworzył następny.

Od: Shawn

Do: Phate

Odp: PD: Operatorzy telefonii komórkowej

Shawn znalazł w Sieci artykuł o najlepszych firmach oferujących łączność komórkową i przesłał go Phate'owi. Bishop spojrział na wiadomość i rzekł:

- Tam może coś być na temat telefonów, których używają. Możesz to skopiować?

Haker wcisnął klawisz Print Screen - klawisz zrzutu ekranu - który przesyłał

zawartość monitora do drukarki.

- Ściągnij to - powiedział Miller. - Będzie dużo szybciej.

- Lepiej nie. - Haker wyjaśnił, że zrzut ekranu nie ma żadnego wpływu na operacje wewnątrz komputera Phate'a, ale wysyła tylko tekst i grafikę z ekranu monitora CCU do drukarki. Phate nie będzie wiedział, że Gillette kopiuje dane. Natomiast ściągnięcie danych mogłoby zwrócić jego uwagę, a może nawet uruchomić alarm w komputerze Phate'a.

Gillette kontynuował poszukiwania.

Otwierał, przeglądał i zamykał kolejne pliki. Nie mógł powstrzymać radosnego podniecenia i zachwytu, jakie wywoływała w nim ilość - i doskonała jakość - materiału technicznego w komputerze mordercy.

- Można coś powiedzieć o Shawnie na podstawie jego e-maili? - zapytał Tony Mott.

- Niewiele - odparł Gillette. Wywnioskował tylko, że Shawn jest błyskotliwy, rzeczowy i chłodny. Odpowiedzi Shawna były zwięzłe i zakładały sporą wiedzę u Phate'a, co doprowadziło Gillette'a do wniosku, że Shawn jest arogancki i nie ma cierpliwości do ludzi, którzy nie nadążają za tokiem jego rozumowania. Prawdopodobnie skończył jakąś dobrą uczelnię - choć rzadko pisał pełnymi zdaniami, gramatyka, składnia i interpunkcja były bez zarzutu. Kod, jaki przesyłali sobie Shawn i Phate, został napisany w wersji Uniksa ze wschodniego wybrzeża, nie w wersji z Berkeley.

- Czyli - wyraził przypuszczenie Bishop - Shawn mógł znać Phate'a na Harvardzie.

Detektyw zapisał to na tablicy i polecił Sheltonowi zadzwonić na uniwersytet i sprawdzić, czy w ciągu ostatnich dziesięciu lat studiował tam ktoś o imieniu Shawn.

Patricia Nolan zerknęła na swojego roleksa i powiedziała:

- Jesteś tam już osiem minut. W każdej chwili może sprawdzić system.

Bishop skinął głową.

- Ruszajmy dalej. Trzeba sprawdzić, czy znajdziemy coś o następnej ofierze.

Stukając cicho, jakby w obawie, że Phate może usłyszeć, Gillette wrócił do katalogu głównego - drzewa folderów i podfolderów.

A:/ C:/

- System operacyjny

- Korespondencja

- Trapdoor

- Interesy

- Gry

- Narzędzia

- Wirusy

- Obrazy D:/

- Kopia zapasowa

- Gry! - krzyknęli równocześnie Gillette i Bishop. Haker wszedł do katalogu.

- Gry

- Tydzień ENIROa

- Tydzień IBM PC

- Tydzień Univaca

- Tydzień flpple'a

- Tydzień Rltaira

- Projekty na przyszły rok

- Skurwiel, wszystko ma pięknie rozplanowane - powiedział Bob Shelton.

- I przygotował następne morderstwa - dodał Gillette, dotykając ekranu. - Data wypuszczenia na rynek pierwszego apple'a. I starego komputera Altair. Jezu, na przyszły rok też.

- Sprawdź tydzień Univaca - rzekł Bishop.

Gillette rozwinął tę gałąź drzewa.

- Tydzień Univaca

- **Zakończone gry**

- **Lara Gibson**

- **Szkoła im. św. Franciszka**

- **Następne projekty**

- Jest! - zawołał Tony Mott. - Następne projekty. Gillette kliknął folder.

Katalog zawierał kilkadziesiąt plików - strony gęste od notatek, grafiki, diagramów, rysunków, schematów, wycinków z gazet. Za dużo, by móc wszystko szybko przeczytać, więc Gillette zaczynał od początku, przewijał pierwszy plik i wciskał klawisz zrzutu ekranu, przeskakując jednocześnie na następną stronę. Robił wszystko jak najszybciej, ale zrzut ekranu jest bardzo wolny; wydruk każdej strony trwał około dziesięciu sekund.

- To za długo trwa - powiedział.

- Powinniśmy chyba ściągnąć te dane - odezwała się Patricia Nolan.

- Ryzyko - przypomniał Gillette. - Mówiłem o tym.

- Pamiętaj o zadufaniu Phate'a - odparła Nolan. - Sądzi przecież, że nikt nie jest na tyle dobry, żeby się dostać do jego maszyny, może więc nie zainstalował żadnego alarmu.

- To rzeczywiście trwa strasznie długo - przytaknął Stephen Miller. - Na razie mamy ledwie trzy strony.

- Musisz zdecydować - powiedział do Bishopa Gillette. Detektyw nachylił się nad ekranem, gdy tymczasem palce

Gillette zawisły w powietrzu, waląc wściekle w niewidzialną klawiaturę.

Phate siedział wygodnie przy laptopie w swojej nieskazitelnie czystej jadalni.

Choć tak naprawdę wcale go tam nie było.

Zagubił się po uszy w Świecie Maszyn, wędrując po wnętrzu komputera, do którego włamał się wcześniej, i planując dzisiejszy atak.

Nagle w głośnikach maszyny zabrzmiał ostrzegawczy sygnał. Jednocześnie w prawym górnym rogu ekranu wyświetliła się czerwona ramka. Było w niej jedno słowo: **DOSTĘP**

Ze zdumienia zaparło mu dech w piersiach. Ktoś próbował ściągnąć pliki z jego maszyny! Nigdy wcześniej nic takiego się nie stało. Wstrząśnięty i zlany potem Phate nawet nie sprawdzał systemu, by się dowiedzieć, co się dzieje. Domyślił się natychmiast: zdjęcie rzekomo od Vlasta w rzeczywistości zostało przysłane przez Wyatta Gillette'a, żeby zainstalować w jego komputerze wirusa.

Pieprzony judasz Valleyman buszował teraz w jego systemie!

Phate sięgnął do wyłącznika - gestem kierowcy, który instynktownie wciska hamulec, gdy widzi na drodze wiewiórkę.

Jednak po chwili, jak niektórzy kierowcy, uśmiechnął się zimno i nie zrobił nic, żeby zatrzymać maszynę.

Położył palce z powrotem na klawiaturze, przytrzymując klawisze SHIFT i CTRL i wciskając jednocześnie klawisz E.

Rozdział

0001111/trzydziesty pierwszy

Na monitorze przed Wyattem Gillette'em wyświetlił się komunikat: **POCZĄTEK SZYFROWANIA BLOKOWEGO**

A zaraz potem następny:

SZYFROWANIE - STANDARD 13 DEPARTAMENTU OBRONY

- Nie! - krzyknął Gillette, widząc, że maszyna przestała ściągać pliki z komputera Phate'a, a zawartość folderu „Następne projekty” zmienia się w cyfrową owsiankę.

- Co się stało? - spytał Bishop.

- Jednak Phate miał alarm - mruknęła Patricia Nolan, zła na siebie. - Pomyliłam się.

Gillette bezradnie patrzył w ekran.

- Przerwał transfer plików, ale się nie wylogował. Wcisnął klawisz skrótu i teraz szyfruje wszystko, co ma w maszynie.

- Możesz to zdekodować? - spytał Shelton. Agent Backle uważnie przyglądał się Gillette'owi.

- Bez klucza Phate'a nie mogę - odrzekł stanowczo haker. - Nawet Fort Meade ze swoimi równoległymi superkomputerami deszyfrowałby tyle danych ponad miesiąc.

- Nie pytałem, czy masz klucz - powiedział Shelton. - Pytałem, czy umiesz złamać szyfr.

- Nie umiem. Już mówiłem. Nie wiem, jak złamać Standard 12.

- Kurwa - mruknął Shelton, patrząc na Gillette'a. - Jak się nie dowiemy, co ma w komputerze, znowu zginą ludzie.

Agent Backle westchnął. Gillette zauważył, jak jego wzrok prześliznął się po zdjęciu Lary Gibson

przyklejonym do tablicy.

- Zrób to - powiedział do hakera Backle. - Jeżeli to ma ocalić komuś życie, zrób to.

Gillette odwrócił się z powrotem do monitora. Na moment przestał poruszać palcami w powietrzu, wpatrując się w gęste strumienie bełkotu przepływające przez ekran. W każdym znaku mogła ukrywać się wskazówka na temat tożsamości Shawna, miejsca pobytu Phate'a lub adresu kolejnej ofiary.

- Zrób to, na litość boską - mruknął Shelton.

- Mówię serio - szepnął Backle. - Zapomnę, że widziałem. Gillette jak zahipnotyzowany patrzył na strumień danych. Położył palce na klawiszach, czując na sobie wzrok wszystkich.

Ale nagle odezwał się Bishop z zaniepokojeniem w głosie: - Zaraz. Dlaczego po prostu nie wyszedł z Sieci? Dlaczego wszystko zaszyfrował? To nie ma sensu.

- Jezu - powiedział Gillette. W jednej chwili znalazł odpowiedź na to pytanie. Obrócił

się i wskazał szarą skrzynkę na ścianie; pośrodku wystawał czerwony guzik. - Szybko, wyłącznik awaryjny! - krzyknął do Stephena Millera, który stał najbliżej.

Miller zerknął na wyłącznik, potem z powrotem na Gillette'a.

- Dlaczego?

Haker zerwał się na nogi, odpychając krzesło daleko do tyłu. Rzucił się w stronę czerwonego wyłącznika. Za późno. Zanim zdążył go wcisnąć, w głównej jednostce komputera CCU rozległ się zgrzyt i monitory wszystkich terminali w pomieszczeniu pokazały gładki niebieski obraz - słynny „niebieski ekran śmierci”, który oznaczał uszkodzenie systemu.

Bishop i Shelton odskoczyli, bo z otworu wentylacyjnego komputera trysnęły iskry.

Biuro zaczął wypełniać duszący dym o zapachu spalenizny.

- Chryste... - Mott odsunął się od maszyny.

Haker uderzył otwartą dłonią wyłącznik, odcinając dopływ prądu; obudowę komputera wypełnił gaz halonowy, gasząc pożar.

- Co się stało, do cholery? - spytał Shelton.- Właśnie dlatego Phate zaszyfrował dane, ale się nie rozłączył - mruknął wściekle Gillette. - Żeby wysłać nam bombę.

- Co zrobił? - zdumiał się Bishop. Haker wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że wysłał polecenie wyłączające wentylator, a potem skierował

głowicę twardego dysku do nieistniejącego sektora. Silnik napędu zablokował się i przegrzał.

Bishop obejrzał tłącą się jeszcze skrzynkę.

- Za pół godziny wszystko ma działać - powiedział do Millera.

- Zajmij się tym, dobrze?

- Nie wiem, jaki sprzęt ma na składzie centrala - odrzekł z powątpiewaniem Miller. -

Działają dość wolno. Ostatnim razem na wymianę napędu czekaliśmy kilka dni, a co dopiero mówić o całej maszynie. Chodzi o to...

- Nie - uciał z wściekłością Bishop. - Pół godziny. Niedźwiedziowaty glina spojrzał na podłogę. Wskazał kilka małych komputerów osobistych.

- Moglibyśmy połączyć je w minisieć i załadować kopie zapasowe. Wtedy...

- Więc zróbcie to - rzekł Bishop, wyciągając arkusze z drukarki - to, co zdołali wykraść z komputera Phate'a za pomocą zrzutu ekranu przed zaszyfrowaniem danych. -

Zobaczymy, czy coś da się tu znaleźć - powiedział do reszty zespołu.

Od dymu ze spalonego komputera Gillette'a piekły oczy i usta. Haker zauważył, że Bishop, Shelton i Sanchez znieruchomieli na chwilę, spoglądając niespokojnie na dymiącą maszynę i niewątpliwie myśląc o tym samym: to straszne, że coś tak niematerialnego jak kod programu - zwykle ciągi zer i jedynek - może z taką łatwością zrobić krzywdę, a nawet uśmiercić.

Dysząc ze złości, Phate przemierzał pokój pod badawczymi spojrzeniami swojej fałszywej rodziny, która patrzyła na niego ze zdjęć w salonie.

Valleyman dostał się do jego maszyny...

Na domiar złego zrobił to za pomocą prymitywnego wirusa, który potrafił napisać byle gówniarz ze szkoły średniej.

Oczywiście, natychmiast zmienił tożsamość maszyny i adres internetowy. Gillette nie mógł się już włamać. Lecz Phate martwił się teraz czym innym: ile zobaczyła policja? Nic w maszynie nie zaprowadziłoby glin do domu w Los Altos, ale było tam dużo informacji na temat jego obecnych i przyszłych ataków. Czy Valleyman widział folder „Następne projekty”? Wie, co Phate zamierza zrobić za kilka godzin?

Plany następnego uderzenia... Do diabła, przecież wszystko już się zaczęło.

Może powinienem wybrać inną ofiarę?

Nie mógł jednak znieść myśli o porzuceniu planu, któremu poświęcił tyle czasu i uwagi. Ale jeszcze

bardziej drażniła go świadomość, że zrezygnowałby z planów z powodu człowieka, który go zdradził - człowieka, który wydał go policji Massachusetts, ujawnił

Wielką Socjotechnikę i w rezultacie zamordował Jona Patricka Hollowaya, spychając Phate'a na zawsze do podziemi.

Jeszcze raz usiadł przed monitorem komputera, kładąc stwardniałe opuszki palców na klawiszach gładkich jak lakierowane paznokcie kobiety. Zamknął oczy i jak każdy haker szukający sposobu usunięcia usterki w programie pozwolił myślom wędrować tam, dokąd chciały.

Jennie Bishop była ubrana w jedną z tych okropnych długich koszul bez pleców, jakie dają w szpitalach. Zastanawiała się, po co właściwie są te małe niebieskie kropki na materiale.

Wsparta na poduszce patrzyła nieobecny wzrokiem na żółte pomieszczenie, czekając na doktora Willistona. Było piętnaście po jedenastej i lekarz się spóźnił.

Myślała o tym, co ma do zrobienia po badaniach. Zakupy, odebrać Brandona ze szkoły, zaprowadzić na kort. Dzisiaj chłopiec miał grać w tenisa z Lindą Garland, najśliczniejszą osobką w czwartej klasie - złośliwą pannicą, której jedyna strategia polegała na szybkim biegu pod siatkę przy każdej nadarzającej się okazji i, jak była przekonana Jennie, próbie rozkwaszenia przeciwnikowi nosa zabójczym wolejem.

Naturalnie, myślała też o Franku. Uznała, że jego nieobecność sprawiła jej ogromną ulgę. Tyle w nim było sprzeczności. Ścigał bandytów na ulicach Oakland. Bez drgnienia powieki aresztował morderców dwa razy wyższych od siebie i gawędził z prostytutkami i handlarzami narkotyków. Nie sądziła, że kiedykolwiek ujrzy szok na jego twarzy.

Aż do zeszłego tygodnia. Kiedy badanie wykazało, że bez żadnej logicznej przyczyny coś jest nie tak z liczbą białych krwinek u Jennie. Kiedy mu o tym powiedziała, Frank Bishop zrobił się błydy jak ściana i zamilkł. Kilkanaście razy pokiwał głową. Z początku pomyślała, że Frank się rozpłacze - nigdy tego nie widziała - i zastanawiała się, jak ona przyjęłaby taką wiadomość.

- No i co to znaczy? - zapytał w końcu drżącym głosem. - Może to jakaś infekcja -

powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - A może rak.

- Aha, aha - powtarzał szeptem, jak gdyby jakieś głośniejsze słowo mogło ją narazić na nieuchronne niebezpieczeństwo.

Rozmawiali o zupełnie nieistotnych szczegółach - porze umówionych wizyt, renomie doktora Willistona - a potem wyrzuciła go do sadu, a sama zabrała się do przygotowania kolacji.

Może to jakaś infekcja...

Och, Jennie kochała Franka Bishopa bardziej niż kogokolwiek na świecie. Lecz była wdzięczna, że męża nie ma teraz przy niej. Nie miała nastroju, by kogoś pocieszać.

A może rak...

Cóż, niedługo sama się przekona, co to jest. Spojrzała na zegar. Gdzie jest doktor Williston? Nie miała nic przeciwko szpitalom, nie miała też nic przeciwko badaniom, ale nie cierpiała czekać. Może coś leci w telewizji. Kiedy zaczynają się „The Young and the Restless”? A może posłuchałaby radia...

Do sali weszła przysadzista pielęgniarka, pchając przed sobą wózek z lekami.

- Dzień dobry - powiedziała wyraźnie latynoskim akcentem.

- Witam.

- Pani Jennifer Bishop?

- Zgadza się.

Pielęgniarka podłączyła Jennie do monitora zamontowanego na ścianie nad łóżkiem.

Rozległ się cichy rytmicznie pulsujący sygnał. Kobieta zerknęła na wydruk komputerowy, a potem na potężny zestaw leków.

- Panie jest pacjentką doktora Willistona, tak?

- Zgadza się.

Pielęgniarka spojrzała na plastikową bransoletkę na przegubie Jennie i skinęła głową.

Jennie uśmiechnęła się.

- Nie wierzy mi pani?

- Zawsze trzeba sprawdzić dwa razy - odparła pielęgniarka. - Mój ojciec był

stolarzem. I zawsze mówił: „Zmierz dwa razy, a utnij raz”.

Jennie powstrzymała wybuch śmiechu, myśląc, że to niezbyt fortunna uwaga, którą należałoby się dzielić z pacjentami szpitala.

Przyglądając się, jak pielęgniarka napełnia strzykawkę jakimś przezroczystym płynem, zapytała:

- Doktor Williston kazał zrobić mi zastrzyk?

- Tak.

- Ale przyszedłam tu tylko na badania.

Jeszcze raz sprawdzając wydruk, pielęgniarka skinęła głową.

- Takie wydał polecenie.

Jennie spojrzała na kartkę, ale niczego nie potrafiła zrozumieć z zapisanych tam słów i liczb.

Pielęgniarka przemyła jej ramię tamponem i wstrzyknęła lek. Gdy wyciągnęła igłę, Jennie poczuła dziwne mrowienie wokół miejsca wkłucia - parzący chłód.

- Lekarz zaraz do pani przyjdzie.

Wyszła, zanim Jennie zdążyła zapytać, co właściwie dostała. Zastrzyk odrobinę ją niepokoił. Wiedziała, że w jej stanie trzeba bardzo uważać z lekarstwami, lecz uspokajała się, że nie ma się czym martwić. Wiedziała, że w jej karcie odnotowano fakt, że jest w ciąży i z pewnością nikt nie będzie narażał dziecka na niepotrzebne ryzyko.

Rozdział

0010000/trzydziesty drugi

Muszę mieć tylko numery jego komórki i mniej więcej milę kwadratową do dyspozycji. Wtedy dam radę zająć go od tyłka. Takie zapewnienie padło z ust Garvy'ego Hobbesa, blondyna w nieokreślonym wieku, szczupłego, jeśli nie liczyć mocno zaokrąglonego brzucha, który świadczył o słabości do piwa. Hobbes był ubrany w niebieskie dżinsy i kraciastą koszulę.

Był szefem zabezpieczeń w największej firmie telefonii komórkowej w północnej Kalifornii, Mobile America.

E-mail od Shawna na temat usług łączności komórkowej, który Gillette znalazł w komputerze Phate'a, był przeglądem firm oferujących najlepsze usługi klientom, którzy chcieli łączyć się z Internetem za pośrednictwem komórek. Numerem jeden na liście był

właśnie Mobile America, a zespół przyjął założenie, że Phate skorzystał z rekomendacji Shawna. Tony Mott zadzwonił do Hobbesa, z którym wydział przestępstw komputerowych współpracował już w przeszłości.

Hobbes potwierdził, że z usług jego firmy korzysta wielu hakerów, ponieważ do łączenia z Siecią potrzeba stabilnego sygnału o wysokiej jakości, który zapewnia Mobile America. Wskazując Stephena Millera, który pracował z Lindą Sanchez nad ponownym podłączeniem komputerów CCU do sieci, Hobbes powiedział:

- Steve i ja rozmawialiśmy o tym w zeszłym tygodniu. Mówił, że powinniśmy zmienić nazwę na Hacker America.

Bishop zapytał, jak mogą namierzyć Phate'a, skoro już wiadomo, że jest klientem, choć prawdopodobnie nielegalnym.

- Trzeba mieć tylko ESN i MIN telefonu, z którego korzysta - odrzekł Hobbes.

Gillette - który miał za sobą doświadczenia phreakera - wiedział, co oznaczają te skróty, więc wyjaśnił pozostałym członkom zespołu: każdy telefon komórkowy ma ESN

(elektroniczny numer seryjny, który jest tajny) i MIN (numer identyfikacyjny - kod kierunkowy i siedmiocyfrowy numer samego telefonu).

Hobbes tłumaczył, że gdyby znał te numery i znalazł się w odległości mniej więcej jednej mili od działającego telefonu, mógłby dzięki sprzętowi radionamierzającemu określić pozycję użytkownika z dokładnością do kilku stóp. Czyli, według słów Hobbesa, „zajść go od tyłka”.

- Jak ustalimy numeru telefonu? - zapytał Bishop.

- Ha, z tym będzie ciężko. Zwykle znamy numery, bo klient zgłasza kradzież telefonu.

Ale ten gość chyba nie jest kieszonkowcem. Jakoś jednak musicie zdobyć numery. Inaczej nie damy rady wam pomóc.

- Jak szybko możecie go znaleźć, jeśli będziemy mieli numery?

- My? Migiem. Zwłaszcza jeżeli będę mógł jeździć samochodem z migającymi światłami na dachu - zażartował. Wręczył im wizytówkę. Hobbes miał dwa służbowe numery, numer faksu, pager i dwa telefony komórkowe. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Mojej dziewczynie podoba się, że zawsze można się ze mną skontaktować. Mówię jej, że to z miłości do niej, ale tak naprawdę to firma chce, żebym był zawsze osiągalny, bo co chwila coś się dzieje. Możecie mi wierzyć, kradzież impulsów w łączności komórkowej to będzie poważna zbrodnia nowego wieku.

- Albo jedna z poważniejszych - mruknęła Linda Sanchez, spoglądając przelotnie na zdjęcie Andy'ego Andersona i jego rodziny stojące na biurku.

Hobbes wyszedł, a zespół wrócił do badania dokumentów, które udało się wydrukować, zanim Phate zaszyfrował dane.

Milles oznajmił, że zaimprovizowana sieć CCU już działa. Gillette sprawdził ją, a potem pilnował instalacji kopii zapasowych z taśm - chciał się upewnić, czy maszyna nadal nie będzie miała połączenia z ISLEnetem. Gdy tylko skończył ostatni test diagnostyczny, komputer zaczął wydawać sygnał dźwiękowy. Gillette spojrzał na ekran, ciekaw, czy jego bot znalazł coś nowego. Jednak sygnał oznaczał nadejście e-mailu. OdTrzy-X. Czytając wiadomość na głos, Gillette powiedział: - Mamy coś dobrego na temat naszego przyjaciela.

- Myślałem, że Trzy-X boi się i będzie korzystał tylko z telefonu - rzekł Bishop.

- Nie wymienił imienia Phate'a, a sam plik jest zaszyfrowany. - Gillette dostrzegł, że agent z Departamentu Obrony poruszył się niespokojnie. - Przykro mi pana rozczarować, agencje Backle, ale to nie Standard 12, tylko komercyjny program szyfrowania kluczem publicznym. - Zmarszczył brwi. - Ale nie przysłał nam klucza. Ktoś dostał wiadomość od Trzy-X?

Haker z nikiem się nie kontaktował.

- Masz jego numer? - zapytał Bishopa Gillette.

Detektyw poinformował go, że gdy Trzy-X do niego dzwonił, podając adres Phate'a, wyświetlacz telefonu wskazywał, że haker dzwoni z automatu.

Mimo to Gillette obejrzał program szyfrujący. Zaśmiał się i rzekł:

- Założę się, że potrafię to złamać bez klucza. - Wsunął do napędu dyskietkę ze swoimi narzędziami i uruchomił program deszyfrujący, który napisał kilka lat temu.

Linda Sanchez, Tony Mott i Shelton przeglądali strony ze zrzutem ekranu, które Gillette zdążył wydrukować z katalogu „Następne projekty” w maszynie Phate'a.

Mott przykleił kartki na tablicy i zespół stanął przed nią, przyglądając się wydrukowi.

- Tu jest dużo informacji o zarządzaniu budynkami i usługami - zauważył Bishop. -

Dozór, parkowanie, ochrona, wyżywienie, personel, płace. Zdaje się, że wziął sobie na cel jakieś duży obiekt.

- Patrzcie na ostatnią stronę - odezwał się Mott. - Usługi medyczne.

- Szpital - powiedział Bishop. - Zamierza zaatakować szpital.

- To ma sens - dodał Shelton. - Ochrona, sporo ofiar do wyboru. Patricia Nolan skinęła głową.

- Rzeczywiście, pasuje do jego sylwetki psychologicznej: podejmowanie wyzwań i gra. Mógłby tam udawać kogokolwiek - lekarza, pielęgniarkę, stróża. Jest jakaś wskazówka, który szpital mógł wybrać?

Nikt nie znalazł jednak żadnego śladu takich informacji.

Bishop wskazał fragment druku na jednym z arkuszy.

*Numery wniosków CSGEI - Jednostka 44** California State Government Employees Insurance Company.

- To mi wygląda znajomo.

Pod nagłówkiem ciągnęła się długa lista liczb - prawdopodobnie numerów ubezpieczeń.

- CSGEI - powiedział w zadumie Shelton, usiłując przypomnieć sobie, skąd zna skrót.

- Tak, gdzieś słyszałem.

Nagle odezwała się Linda Sanchez:

- No jasne, już wiem: to nasz ubezpieczyciel, Towarzystwo Ubezpieczeniowe Pracowników

Administracji Stanu Kalifornia*. A dalej pewnie numery ubezpieczeń pacjentów.

Bishop podniósł słuchawkę i zadzwonił do biura CSGEI w Sacramento. Opowiedział specjalistom od odszkodowań o ich odkryciu i spytał, co oznacza znaleziona informacja.

Wysłuchał wyjaśnień i uniósł głowę.

- To są ostatnie wnioski za usługi medyczne świadczone pracownikom stanowym. A co to jest „Jednostka 44”? - powiedział do słuchawki.

Po chwili zmarszczył brwi i spojrzał na zespół.

- Jednostka 44 to policja stanowa - biuro w San José. Czyli my. To poufna informacja... jak Phate ją zdobył?

- Jezu - powiedział cicho Gillette. - Spytaj, czy kartoteki tej jednostki są w ISLEencie.

Bishop przekazał pytanie, a po chwili rzekł:

- Jasne, że są.

- Niech to szlag - syknął Gillette. - Kiedy Phate włamał się do ISLEnetu, wcale nie był tam tylko czterdzieści sekund - cholera, zmienił logi, żebyśmy tak myśleli. Pewnie ściągnął gigabajty danych. Powinniśmy...

- O nie - szepnął nabrzmiały przerażeniem męski głos.

Cały zespół zobaczył, jak Frank Bishop, łapiąc otwartymi ustami powietrze, pokazuje na listę numerów przyklejoną na tablicy.

- Co się dzieje, Frank? - spytał Gillette.

- On zaatakuje Centrum Medyczne Stanford-Packard - wyszeptał detektyw.

- Skąd wiesz?

- Widzicie ten numer ubezpieczenia, drugi wiersz od dołu? To numer mojej żony.

Jennie jest teraz w szpitalu.

Do sali, w której leżała Jennie Bishop, wszedł jakiś mężczyzna.

Oderwała wzrok od telewizora, w którym nieuważnie oglądała melodramatyczne zbliżenia twarzy i fryzur bohaterki serialu. Spodziewała się zobaczyć w drzwiach doktora Willistona, ale zjawił się ktoś inny - mężczyzna w granatowym uniformie. Był młody i nosił

gęsty czarny wąsik, który nie bardzo pasował do rudo-blond czupryny. Prawdopodobnie zarost miał dodawać powagi jego młodzieńczym rysom.

- Pani Bishop? - Mówił z lekkim południowym akcentem, rzadko słyszonym w tej części Kalifornii.

- Owszem.

- Nazywam się Hellman. Pracuję w ochronie szpitala. Dzwonił pani mąż i prosił, żebym został w pani pokoju. - Dlaczego?

- Nie mówił. Powiedział tylko, żebyśmy pilnowali, aby nikt nie wchodził do sali poza nim, policją i pani lekarzem.

- Dlaczego? - Nie powiedział.

- Czy wszystko w porządku z moim synem? Z Brandonem?

- Nie słyszałem, żeby coś było z nim nie w porządku. - Dlaczego Frank nie zadzwonił

bezpośrednio do mnie? Hellman bawił się zawieszonym na pasie pojemnikiem z gazem.

- Pół godziny temu zepsuły się telefony w całym szpitalu. Właśnie je naprawiają. Pani mąż połączył się z nami przez radio, przez które rozmawiamy z karetkami.

Jennie miała w torebce telefon komórkowy, ale zobaczyła na ścianie ostrzeżenie, aby nie używać komórek w szpitalu - ponieważ czasem sygnał zakłócał pracę rozruszników serca i innych urządzeń.

Strażnik rozejrzał się, a potem przysunął do łóżka krzesło i usiadł. Jennie nie patrzyła na niego, lecz czuła na sobie jego badawczy wzrok, jak gdyby chciał zajrzeć w rozcięcie koszuli w kropki i zobaczyć jej piersi. Posłała mu piorunujące spojrzenie, ale zdążył odwrócić wzrok.

Do sali wszedł doktor Williston, krągły, łysiejący mężczyzna pod sześćdziesiątkę.

- Witaj, Jennie, jak się czujesz tego ranka?

- W porządku - odparła niepewnie.

Lekarz zauważył strażnika i uniósł pytająco brwi.

- Detektyw Bishop prosił mnie, żebym został z jego żoną w sali - wyjaśnił pośpiesznie młodzieniec.

Doktor Williston zlustrował go i spytał: - Pracuje pan w ochronie szpitala?

- Tak jest.

- Czasem miewamy kłopoty z powodu spraw, nad którymi pracuje Frank -

powiedziała Jennie. - Woli być ostrożny.

Lekarz skinął głową i uśmiechnął się pokrzepiająco.

- No dobrze, Jennie. Badania nie potrważą długo, ale najpierw chcę ci powiedzieć, co zamierzamy zrobić i czego będziemy szukać. - Pokazał opatrunek na ramieniu, w miejscu, gdzie zrobiono jej zastrzyk. - Widzę, że krew już pobrali, tak więc...

- Nie. To po szprycy.

- Po czym?

- No, po zastrzyku.

- Jak to? - spytał, marszcząc brwi.

- Dwadzieścia minut temu. Podobno na pana polecenie.

- Nie ordynowałem żadnego zastrzyku.

- Ale... - Poczła przeszywający dreszcz strachu, lodowaty jak lek płynący w jej żyłach. - Pielęgniarka miała wydruk komputerowy... wynikało z niego, że to pan kazał zrobić zastrzyk.

- Co to za środek? Powiedziała ci? Tracąc w panice oddech, wyszeptała: - Nie wiem.

Doktorze, dziecko...

- Nie martw się - rzekł. - Wszystkiego się dowiem. Która to pielęgniarka?

- Nie zauważyłam nazwiska. Niska, krępa, ciemnowłosa. Latynoska. Miała wózek. -

Jennie zaczęła płakać.

Strażnik się nachylił.

- Coś się stało? Mogę coś dla pani zrobić?

Oboje nie zwrócili na niego uwagi. Mina lekarza śmiertelnie ją przeraziła, on też wpadł w panikę. Nachylił się nad nią, wyciągając latarkę. Zaświecił jej w oczy i zmierzył

puls. Potem zerknął na monitor.

- Puls i ciśnienie trochę podwyższone. Ale na razie nie ma powodów do obaw. Pójdę sprawdzić, co się stało.

Wybiegł z sali.

Na razie nie ma powodów do obaw...

Strażnik wstał i zamknął za nim drzwi.

- Nie - zaprotestowała. - Niech zostaną otwarte.

- Przykro mi - odparł. - Ale tak kazał mąż.

Usiadł z powrotem, przysuwając krzesło bliżej łóżka.

- Trochę tu cicho. Może dam głośniejszy telewizor? Jennie nie odpowiedziała.

Na razie nie ma powodów do obaw...

Strażnik wziął pilota i zrobił głośniejszy. Przełączył telewizor na inny serial i wygodnie usiadł na krześle.

Jennie znów poczuła na sobie jego wzrok, ale prawie nie zwracała uwagi na strażnika.

Myślała tylko o dwóch rzeczach: o okropnym lodowatym zastrzyku i o dziecku. Zamknęła oczy, modląc się, żeby wszystko dobrze się skończyło, i tuląc wypukłość brzucha, gdzie spoczywało dwumiesięczne maleństwo - może spało, może unosiło się bez ruchu, słuchając oszalałego bicia serca matki, które na pewno wypełniało teraz jego cały ciemny świat.

Rozdział

00100001/trzydziesty trzeci

Zeszywniały i zirytowany agent Departamentu Obrony Arthur Backle przysunął

sobie bliżej krzesło, by mieć lepszy widok na komputer Wyatta Gillette'a.

Na dźwięk skrzypnięcia krzesła na linoleum haker zerknął przelotnie w stronę agenta, ale zaraz wrócił wzrokiem na ekran, nie przerywając stukania. Jego palce zdawały się fruwać na klawiaturze.

Obaj mężczyźni zostali sami w biurze CCU. Kiedy Bishop dowiedział się, że jego żona może być następną ofiarą mordercy, natychmiast pognął do szpitala. Reszta ruszyła za nim z wyjątkiem Gillette'a, który został, aby rozszyfrować wiadomość od człowieka o dziwnym pseudonimie Trzy-X. Haker zasugerował, że Backle może się okazać bardziej przydatny w szpitalu, lecz agent posłał mu tylko zagadkowy półuśmiech, który, jak dobrze wiedział, doprowadzał podejrzanych do szaleństwa, i przysunął sobie krzesło bliżej Gillette'a.

Backle nie potrafił nadążyć za szybkością, z jaką zgrubiałe opuszki palców hakera tańczyły po klawiszach.

Co ciekawe, agent potrafił docenić talent stukania w klawisze. Jego pracodawca, Departament Obrony, był agencją federalną mającą najdłuższe związki ze światem komputerów (a także - jak szybko przypomnieliby rzeczniczy Departamentu - jednym z twórców Internetu). Poza tym Backle w ramach szkolenia brał udział w różnych kursach organizowanych przez CIA, Departament Sprawiedliwości i Departament Obrony, a dotyczących przestępstw komputerowych. Spędził wiele godzin, oglądając na taśmach hakerów przy pracy.

Obserwując teraz Gillette'a, przypomniał sobie niedawno ukończony kurs w Waszyngtonie.

Siedząc przy stołach z płyt pilśniowych w jednej z sal konferencyjnych w Pentagonie, agenci z wydziału dochodzeniowego spędzili wiele godzin z dwoma młodymi wykładowcami, którzy raczej nie przypominali typowych instruktorów wojskowych. Jeden miał włosy do ramion, nosił sznurkowe sandały, szorty i wymięty podkoszulek. Drugi ubierał

się bardziej konserwatywnie, ale w różnych miejscach ciała nosił kolczyki, a krótko obcięte włosy miał ufarbowane na zielono. Obaj należeli do „zespołu tygrysów”, jak nazwano grupę byłych „złych” hakerów, którzy porzucili Ciemną Stronę na rzecz działalności legalnej (gdy zdali sobie sprawę, ile można zarobić, chroniąc firmy i agencje rządowe przed swoimi byłymi kolegami).

Mimo że Backle z początku sceptycznie odnosił się do tych punków, potem się zorientował, że świetnie potrafią uprościć niezrozumiałe dotąd zagadnienia szyfrowania i hakerki. Były to najlepiej i najprzystępniej prowadzone wykłady, w których agent uczestniczył w ciągu sześciu lat pracy w wydziale dochodzeniowym Departamentu Obrony.

Backle nie uważał się za eksperta, lecz dzięki tamtym zajęciom rozumiał mniej więcej, co robi teraz program Gillette'a, który najwyraźniej nie miał nic wspólnego z systemem szyfrowania Standard 12. Jednak pan Zielonowłosy tłumaczył im, jak można kamuflować programy. Można na przykład włożyć Standard 12 do powłoki, która sprawi, że będzie wyglądał jak zupełnie inny program - gra czy nawet edytor tekstów. Dlatego właśnie agent nachylał się teraz nad monitorem, głośno dając wyraz swojej irytacji.

Gillette znów znieruchomiał i przestał stukać w klawisze. Spojrzał na Backle'a.

- Naprawdę muszę się skoncentrować. Nie ułatwia mi pan, dysząc mi nad głową.

- Powiedz mi jeszcze raz, co to za program?

- Nie „jeszcze raz”, bo w ogóle nie mówiłem, co to jest.

Znów lekki uśmieszek.

- A więc powiedz mi, dobrze? Jestem ciekawy.

- Program szyfrująco/deszyfrujący, który ściągnąłem ze strony HackerMart i trochę zmodyfikowałem. Jest bezpłatny, więc chyba nie naruszyłem praw autorskich. Zresztą to chyba i tak nie należy do pańskich kompetencji. Co, mam podać algorytm, według którego działa?

Backle nie odpowiedział, tylko patrzył w ekran, pilnując, aby denerwujący uśmieszek nie zniknął z jego twarzy.

- Słuchaj, Backle - rzekł Gillette. - Muszę to skończyć. Może pójdziesz do kuchni na kawę i obwarzanka, czy co tam jeszcze mają, i pozwolisz mi pracować, dobra? Kiedy skończę, będziesz mógł sprawdzić i aresztować mnie pod jakimś nowym gównianym zarzutem - dorzucił wesoło.

- Oho, troszkę jesteśmy przewrażliwieni - rzekł Backle, skrzypiąc głośno krzesłem. -

Robię tylko, co do mnie należy.

- Ja też. - Haker wrócił do przerwanej pracy.

Backle wzruszył ramionami. Postawa hakera bynajmniej go nie uspokoiła, ale myśl o kawie i obwarzanku wydała mu się zachęcająca. Agent wstał, przeciągnął się i ruszył w głąb korytarza, kierując się zapachem kawy.

Frank Bishop z piskiem opon zatrzymał forda crown victoria na parkingu Centrum Medycznego Stanford-Packard i wyskoczył z samochodu, zapominając wyłączyć silnik i zamknąć drzwi.

W połowie drogi przed wejściem do budynku zorientował się, co zrobił, zatrzymał się i odwrócił. Usłyszał kobiecy głos:

- Idź, szefie. Zajmę się tym.

Była to Linda Sánchez. Ona, Bob Shelton i Tony Mott przyjechali nieoznakowanym wozem zaraz po Bishopie, który tak się spieszył do żony, że wybiegł z biura CCU, nie czekając na resztę zespołu. Trzecim samochodem przyjechali Patricia Nolan i Stephen Miller.

Bishop co tchu popędził do głównego wejścia.

W recepcji minął kilkunastu czekających pacjentów. Przy biurku obok dyżurnej tłoczyły się trzy pielęgniarki, patrząc w ekran komputera. Żadna nie spojrzała na detektywa.

Coś było nie tak. Wszystkie miały zatroskane miny i zmieniały się przy klawiaturze.

- Przepraszam, policja - rzucił krótko, pokazując odznakę. - Muszę wiedzieć, w której sali jest Jennie Bishop. Jedna z pielęgniarek uniosła głowę. - Przykro mi, ale sfiksował nam cały system. Nie wiemy, co się dzieje, ale nie możemy podać żadnych informacji o pacjentach.

- Muszę ją znaleźć. Natychmiast.

Pielęgniarka zauważyła rozpaczą w jego oczach i wyszła zza biurka.

- Stała czy ambulatoryjna?

- Słucham?

- Czy pacjentka zostaje na noc w szpitalu?

- Nie. Miała tylko zrobić parę badań. Przyszła na godzinę albo dwie. Jest pacjentką doktora Willistona.

- Ambulatoryjna na onkologii - oznajmiła pielęgniarka. - To będzie trzecie piętro w zachodnim

skrzydle. Proszę tędy. - Pokazała mu i chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz Bishop pobiegł już korytarzem. Z boku mignęło coś białego. Spojrzał i stwierdził, że już cała koszula wyszła mu ze spodni. Wepchnął ją z powrotem, nie zatrzymując się.

Schodami w górę i do zachodniego skrzydła przez korytarz, który wydawał się ciągnąć przez milę.

Na jego końcu znalazł pielęgniarkę, która skierowała go do sali. Na twarzy młodej blondynki malowała się troska, choć Bishop nie wiedział, czy z powodu Jennie, czy na widok jego miny.

Wpadł z impetem do sali, niemal zderzając się z młodym, szczupłym strażnikiem, który siedział przy łóżku. Młodzieniec zerwał się na nogi, sięgając po pistolet.

- Kochanie! - krzyknęła Jennie.

- W porządku - powiedział do strażnika Bishop. - Jestem jej mężem.

Jennie płakała cicho. Przypadł do niej i chwycił w ramiona.

- Pielęgniarka dała mi zastrzyk - szepnęła. - Ale wcale nie na polecenie lekarza. Nie wiedzą, co to było. Co się dzieje, Frank?

Spojrzał na strażnika, który miał na piersi plakietkę z nazwiskiem „R. Hellman”.

Młody człowiek rzekł:

- To się zdarzyło, zanim tu przyszedłem. Szukają tej pielęgniarki.

Bishop był wdzięczny, że strażnik w ogóle tu trafił. Detektyw miał ogromne trudności w skontaktowaniu się z ochroną szpitala, żeby poprosić o wysłanie kogoś do pokoju Jennie.

Phate włamał się do centrali telefonicznej szpitala, a w połączeniu radiowym były takie zakłócenia, że Bishop nie wiedział za bardzo, co mówi do niego człowiek po drugiej stronie.

Okazało się jednak, że zrozumieli wiadomość. Bishop z ulgą zauważył też, że strażnik - w przeciwieństwie do innych, których widywał w szpitalach - ma broń.

- Co się dzieje, Frank? - powtórzyła Jennie.

- To ten człowiek, którego szukamy. Dowiedział się, że jesteś w szpitalu. Być może gdzieś tu jest.

Do sali wbiegła Linda Sanchez. Strażnik spojrzał na legitymację policyjną, którą nosiła na łańcuszku na szyi, i wpuścił ją. Obie kobiety znały się, ale Jennie była zbyt zdenerwowana, by się z nią przywitać.

- Frank, co z dzieckiem? - szlochała. - A jeżeli dał mi coś, co zrobi krzywdę dziecku?

- Co powiedział lekarz?

- Nic nie wie!

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Na pewno nic ci nie będzie.

Bishop powiedział Lindzie Sanchez, co się stało. Krępa kobieta usiadła na łóżku, wzięła Jennie za rękę, nachyliła się i powiedziała ciepło, lecz stanowczo:

- Spójrz na mnie, skarbie. Spójrz na mnie... - Gdy Jennie posłuchała, Linda ciągnęła: -

Jesteśmy w szpitalu, prawda? Jennie skinęła głową.

- Gdyby więc ktokolwiek zrobił ci coś złego, masz pomoc na miejscu. Od razu się tobą zajmą. - Ciemne, krótkie palce policjantki energicznie pocierały jej rękę, jakby Jennie przyszła zziębnięta prosto z deszczu. - Tu jest więcej lekarzy na cal kwadratowy niż gdziekolwiek w dolinie. Mam rację? Spójrz na mnie. Mam rację?

Jennie otarła oczy i znów skinęła głową. Trochę się uspokoiła.

Bishop też poczuł ulgę, obserwując, jak Linda pociesza jego żonę. Jednak przemknęła mu przez głowę inna myśl: gdyby Jennie lub dziecku stała się krzywda, ani Shawn, ani Phate nie trafią do aresztu żywi.

W drzwiach pojawił się Tony Mott, ani trochę nie zdyszany po biegu przez korytarze, w przeciwieństwie do Boba Sheltona, który wtoczył się do sali, opierał o framugę i z trudem łapał powietrze.

- Phate mógł coś zrobić z lekarstwem Jennie - powiedział Bishop. - Lekarze właśnie to sprawdzają.

- Jezu - mruknął Shelton. Tym razem Bishop ucieszył się na widok Tony'ego Motta w akcji i chromowanego colta na jego biodrze. Doszedł do wniosku, że gdy ma się takich przeciwników jak Phate i Shawn, sojuszników i broni nigdy nie jest za dużo. Sanchez nadal pocieszała Jennie, szepcząc jej różne głupstwa. Mówiła jej, że świetnie wygląda, że jedzenie pewnie będzie okropne i że tamten sanitariusz w korytarzu to prawdziwy przystojniak. Bishop pomyślał, że córka Sanchez jest wybrańcem losu, mając taką matkę - która na pewno będzie na posterunku podczas porodu, gdy dziewczyna w końcu wyda na świat swoje leniwe dziecko.

Mott zachował na tyle przytomności umysłu, by zabrać ze sobą zdjęcia Hollowaya z Massachusetts. Rozdał je strażnikom na dole, a oni przekazali je personelowi. Jednak jak dotąd nikt w szpitalu nie widział mordercy.

- Patricia Nolan i Miller są w dziale komputerowym - powiedział do Bishopa młody policjant. - Szacują straty.

Detektyw skinął głową i zwrócił się do Sheltona i Motta:

- Chciałbym, żebyście...

Nagle monitor na ścianie zaczął głośno buczeć. Linia pokazująca rytm serca Jennie skakała jak oszalała w górę i w dół. Potem na ekranie wyświetlił się czerwony komunikat: **UWAGA: Arytmia**

Wstrzymując oddech, Jennie przechyliła głowę i spojrzała na monitor.

- Chryste! - krzyknął Bishop, złapał przycisk przywołujący pielęgniarkę i gorączkowo zaczął go wduszać. Bob Shelton wybiegł na korytarz z wrzaskiem:

- Na pomoc! Szybko! Niech ktoś tu przyjdzie!

Linie na monitorze nagle się spłaszczyły. Sygnał ostrzegawczy przeszedł w przeraźliwy pisk i pojawił się nowy komunikat:

UWAGA: Zatrzymanie akcji serca

- Kochanie - załkała Jennie. Bishop objął ją mocno, czując się zupełnie bezradny. Pot lał się z twarzy Jennie, która drżała, ale była przytomna. Linda Sanchez podbiegła do drzwi i krzyknęła:

- Sprowadźcie tu lekarza, do jasnej cholery!

Po chwili do sali wpadł doktor Williston. Rzucił okiem na monitor, potem na pacjentkę, a następnie sięgnął i wyłączył aparat. - Proszę coś zrobić! - krzyknął Bishop.

Williston osłuchał Jennie i zmierzył jej ciśnienie. Potem odsunął się i oznajmił:

- Wszystko w porządku.

- W porządku? - zdziwił się Mott.

Sanchez posłała lekarzowi takie spojrzenie, jakby miała zamiar złapać go za kołnierz i siłą przyciągnąć z powrotem do pacjentki.

- Niech pan ją zbada jeszcze raz!

- Nie dzieje się nic złego - zapewnił policjantkę lekarz. - Ale monitor... - wykrztusił

Bishop.

- Awaria - wyjaśnił doktor Williston. - Coś się stało z głównym systemem komputerowym. Wszystkie monitory na tym piętrze tak się zachowują.

Jennie zamknęła oczy, wciskając głowę w poduszkę. Bishop wciąż mocno trzymał żonę.

- Dowiedziałem się, co to był za zastrzyk - ciągnął lekarz. - Oddział dystrybucji leków dostał polecenie podania witaminy. Niczego więcej.

- Witaminy?

Drżąc z ulgi, Bishop powstrzymywał łzy.

- Nie ma żadnego zagrożenia dla ciebie ani płodu - dodał lekarz, kręcąc głową. -

Bardzo dziwne - polecenie rzekomo wydałem ja. Ten, kto to zrobił, zdobył moje hasło, żeby je autoryzować. Trzymałem hasło w prywatnym pliku w komputerze. Nie wyobrażam sobie, jak ktoś mógłby je wykraść.

- Nie wyobraża pan sobie - powtórzył z przekąsem Tony Mott, spoglądając na Bishopa.

Do sali wszedł pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna o sylwetce żołnierza ubrany w klasyczny garnitur. Przedstawił się jako Les Allen. Był szefem ochrony szpitala. Hellman, strażnik obecny w sali, skinął zwierzchnikowi głową, lecz Allen nie zareagował.

- Co tu się dzieje, detektywie? - zapytał Bishopa.

Bishop poinformował go, co się stało z jego żoną i monitorami.

- A więc dostał się do naszego głównego komputera - powiedział Allen. - Będę to musiał poruszyć na dzisiejszym zebraniu ochrony. Ale co możemy w tej chwili zrobić? Sądzi pan, że ten człowiek może tu gdzieś być?

- Tak, na pewno tu jest. - Wskazał monitor nad głową Jennie. - Zrobił to, żeby odwrócić naszą uwagę, byśmy skupili się na Jennie i tym skrzydle budynku. Czyli jego ofiarą ma być inny pacjent.

- Albo pacjenci - wtrącił Bob Shelton.

- Albo ktoś z personelu - dodał Mott. - Podejrzany bardzo lubi wyzwania - rzekł

Bishop. - Dokąd w szpitalu najtrudniej się dostać?

Doktor Williston i Les Allen zamyślili się. - Jak pan sądzi, doktorze? Bloki operacyjne? Dostęp do wszystkich jest kontrolowany.

- Też tak przypuszczam.

- Gdzie są bloki operacyjne?

- W oddzielnym budynku, przechodzi się tam tunelem z tego skrzydła.

- Większość lekarzy i pielęgniarek na bloku nosi maski i fartuchy, prawda? - spytała Linda Sanchez.

- Tak.

A więc Phate bez kłopotu mógł się tam poruszać.

- Odbywa się teraz jakaś operacja? - zapytał Bishop. Doktor Williston parsknął

śmiechem.

- Jakaś operacja? Pewnie w tej chwili trwa ze dwadzieścia. Wrócę za dziesięć minut -

powiedział do Jennie. - Zrobimy badania i będziesz mogła iść do domu. - Wyszedł z sali.

- Chodźmy przeczesać szpital - zwrócił się do Motta, Sanchez i Sheltona Bishop.

Jeszcze raz przytulił Jennie. Kiedy wychodził, młody strażnik przysunął sobie krzesło bliżej łóżka. Znaleźli się w korytarzu, strażnik zamknął drzwi, a potem detektyw usłyszał szcęk zasuwki.

Ruszyli szybkim krokiem. Mott trzymał rękę blisko swojego automatu i rozglądał się, jak gdyby miał zamiar zastrzelić każdego, kto będzie choć trochę podobny do Phate'a.

Bishop też czuł się wytrącony z równowagi, gdy przypominał sobie, że morderca to prawdziwy kameleon i być może w tym momencie mija ich korytarzem, a oni nawet o tym nie wiedzą.

Doszli już do windy, gdy Bishopowi przyszła do głowy pewna myśl. Zaniepokojony obejrzał się na drzwi, z którymi została Jennie. Nie wdając się w szczegóły sztuczek socjotechnicznych Phate'a, powiedział do Allena:

- Podejrzany ma tę szczególną cechę, że nigdy nie jesteśmy pewni, jak będzie wyglądał. Nie przyjrzałem się uważnie strażnikowi w pokoju mojej żony. Jest mniej więcej w tym samym wieku co morderca i wzrost ma podobny. Jest pan pewien, że pracuje w ochronie?

- Kto? Dick Hellman? - Allen wolno pokiwał głową. - Mogę panu z całą pewnością powiedzieć, że jest mężem mojej córki i znam go od ośmiu lat. A jeżeli chodzi o „pracę” w pana pytaniu, jeśli można nazwać pracą poświęcanie jej czterech godzin w ciągu ośmiogodzinnej zmiany, to odpowiedź brzmi: tak.

W małej kuchence wydziału przestępstw komputerowych agent Art Backle szperał w lodówce, bez skutku szukając mleka albo śmietanki. Od czasu pojawienia się nad zatoką Starbucksa Backle nie pił innej kawy i wiedział, że mdły płyn o zapachu spalenizny będzie smakował obrzydliwie, jeśli się czegoś do niego nie doda. Z niesmakiem wsypał do kubka dużą porcję śmietanki w proszku.

Wziął z talerza obwarzanek i ugryzł. Niech to szlag, guma... Cisnął atrapę na podłogę, myśląc oczywiście, że Gillette wysłał go tu, żeby spłatać mu figła. Postanowił, że kiedy haker wróci do więzienia...

Co to za hałas?

Zaczął się odwracać w stronę drzwi.

Jednak zanim zdążył zidentyfikować odgłos biegnących kroków, napastnik rzucił się na niego. Pchnął szczupłego agenta w plecy, rzucając go o ścianę. Backle poczuł, że z płuc uszło mu całe powietrze.

Napastnik zgasił światło. Pozbawione okien pomieszczenie zalała zupełna ciemność.

Potem chwycił agenta za kołnierz i rzucił go twarzą na podłogę. Głowa Backle'a uderzyła w beton z głuchym łoskotem.

Łapiąc oddech, agent sięgnął po pistolet.

Ale wcześniej znalazła się tam inna ręka i wyszarpnęła broń.

Kim chcesz być?

Phate szedł wolno korytarzem biura wydziału przestępstw komputerowych policji stanowej. Miał na sobie sfatygowany i poplamiony uniform firmy Pacific Gas and Electric oraz kask. W kombinezonie ukrył nóż Ka-bar i duży pistolet automatyczny - glock - z trzema magazynkami. Miał coś jeszcze, choć na pierwszy rzut oka trudno byłoby uznać to za broń, zwłaszcza w rękach mechanika: duży klucz francuski.

Kim chcesz być?

Kimś, komu gliny zaufają, kimś, kogo obecność nie wzbudziłaby w nich żadnych podejrzeń. Oto kim chcę być.

Phate rozejrzał się, zdziwiony, że CCU urządziło sobie siedzibę w zagrodzie dinozaura. Zbieg okoliczności? Czy świadoma i celowa decyzja nieżyjącego Andy'ego Andersona?

Zatrzymał się, żeby określić kierunek, po czym ruszył dalej wolno - i cicho - w kierunku boksu z terminalem w ocienionym kącie pomieszczenia. Dobiegał stamtąd odgłos szaleńczego walenia w klawiaturę.

Zdziwił się też na widok takiej pustki w biurze. Spodziewał się spotkać tu co najmniej trzy lub cztery osoby - dlatego wziął pistolet i zapas amunicji - lecz wszyscy najprawdopodobniej pojechali do szpitala, gdzie żona Franka Bishopa przeżywa zapewne katusze z powodu zaaplikowania zastrzyku z witaminą B, który zlecił dziś rano.

Z początku Phate zastanawiał się, czy ją zabić - wystarczyło wydać polecenie oddziałowi dystrybucji leków, by na przykład podano jej dużą dawkę insuliny - lecz nie byłaby to najszcześniejsza taktyka w tej fazie gry. Lepiej, aby żywa i wrzeszcząca z przerażenia przyciągnęła ich uwagę. Gdyby zmarła, policja mogłaby dojść do wniosku, że to pani Bishop była jego celem i od razu wróciłaby do biura. A teraz gorączkowo przeszukiwali szpital, próbując odnaleźć prawdziwą ofiarę.

W rzeczywistości ofiara była gdzie indziej. Ale nie była ani pacjentem, ani członkiem personelu Centrum Medycznego Stanford-Packard. Była właśnie tu, w biurze CCU.

I nazywała się Wyatt Gillette.

Znajdowała się ledwie dwadzieścia stóp od Phate'a, w tym ciemnym boksie.

Phate słuchał zdumiewającego staccata klawiatury. Valleyman walił w klawisze bez chwili przerwy, jak gdyby wszystkie myśli miały ulecieć jak dym, gdyby natychmiast nie wstukał ich do centralnego procesora.

Phate powoli zbliżył się do boksu, mocniej ściskając masywny klucz.

W czasach gdy obaj byli Rycerzami Dostępu, Gillette często mówił, że hakerzy muszą biegle znać sztukę improwizacji.

Phate posiadał tę umiejętność i dziś improwizował.

Uznał, iż istnieje za duże ryzyko, że Gillette dowiedział się o ataku na szpital, gdy włamał się do maszyny Phate'a. Zmienił więc trochę plany. Zamiast zabić kilku pacjentów na bloku operacyjnym, jak wcześniej zamierzał, postanowił złożyć wizytę w biurze CCU.

Oczywiście, Gillette mógł pojechać z policją do szpitala, więc wcześniej Phate przysłał jakiś zaszyfowany bełkot, wiadomość rzekomo od Trzy-X, żeby Gillette został i próbował ją zdeszyfrować.

Doskonała runda. Samo dostanie się do CCU było dla Phate'a prawdziwym wyzwaniem - wartym dwadzieścia pięć punktów w grze - ale jeśli szczęście będzie mu sprzyjać, zniszczy człowieka, którego ścigał od wielu lat.

Znów rozejrzał się, nasłuchując. Poza judaszem Valleymanem w pomieszczeniu nie było żywej duszy. Zabezpieczenia okazały się o wiele słabsze, niż przypuszczał. Mimo to nie żałował, że zadał sobie tyle trudu - przebrał się w uniform PG&E, sfalszował zlecenie sprawdzenia jakichś skrzynek rozdzielczych, starannie spreparował na swojej maszynie zalaminowaną legitymację, poświęcił mnóstwo czasu na otwarcie drzwi wytrychem. Gdy grasz w Dostęp z prawdziwym czarodziejem, ostrożności nigdy nie za wiele, zwłaszcza gdy czarodziej ukrywa się w lochu wydziału policji.

Już tylko parę stóp dzieliło go od przeciwnika, którego powolną śmierć w męczarniach oglądał w wyobraźni wiele razy, rozkoszując się nią całymi godzinami.

Jednak w przeciwieństwie do tradycyjnego Dostępu, gdzie przebija się serce ofiary, dla Gillette'a Phate wymyślił coś innego.

Oko za oko...

Najpierw szybki cios kluczem w głowę, żeby go ogłuszyć, a potem, trzymając Valleymana za głowę, potraktuje go swoim nożem. Wziął ten pomysł od małego „trapdoora” ze szkoły im. św. Franciszka, Jamiego Turnera. Młody człowiek napisał kiedyś w e-mailu do swojego brata:

JamieTT: Wyobrażasz sobie, że hakera może spotkać coś straszniejszego niż ślepotą?

Nie, Jamie, nie wyobrażam sobie, odpowiedział bezgłośnie Phate.

Przystanął przed boksem i kucnął, słuchając miarowego stukotu klawiszy. Wziął

głęboki oddech i szybko wszedł do środka, biorąc szeroki zamach ręką, w której trzymał klucz.

Rozdział

00100010/trzydziesty czwarty

Z kluczem wzniesionym nad głową Phate wszedł do pustego boksu.

- Nie! - wyszeptał.

Stukot klawiszy nie dobiegał wcale spod palców Wyatta Gillette'a. Dźwięki wydawał podłączony do komputera głośnik. Boks był pusty.

Kiedy jednak Phate upuścił klucz i sięgnął po schowany w kieszeni kombinezonu pistolet, z boksu obok wyszedł Gillette i przycisnął do jego szyi lufę broni, odebraną przed chwilą biednemu agentowi Backle'owi, wrywając jednocześnie pistolet z ręki mordercy.

- Nie ruszaj się, Jon - powiedział Gillette i obszukał jego kieszenie. Wyciągnął dysk ZIP, przenośny odtwarzacz CD ze słuchawkami, kluczyki do samochodu oraz portfel.

Wreszcie znalazł nóż. Wszystko położył na biurku.

- Niezłe to było - rzekł Phate, wskazując ruchem głowy komputer. Gillette wcisnął klawisz i stukot ucichł.

- Nagrałeś się na pliku WAV. Żebyś myślał, że jesteś w środku.

- Zgadza się.

Phate uśmiechnął się z goryczą, kręcąc głową.

Gillette cofnął się i obaj czarodzieje przyjrzeni się sobie. Ich pierwsze spotkanie twarzą w twarz. Kiedyś dzielili się setkami tajemnic i planów, wymienili miliony słów, ale nie były to kontakty osobiste; słowa w cudowny sposób zmieniały się w strumienie elektronów płynące miedzianymi przewodami albo światłowodami.

Gillette doszedł do wniosku, że Phate sprawia wrażenie dość sprawnego i zdrowego człowieka jak na hakera. Miał lekko opaloną twarz, lecz Gillette był przekonany, że to sztuczna opalenizna; żaden haker na świecie nie zamieniłby nawet dziesięciu minut spędzonych przy maszynie na relaks na plaży. Phate wydawał się rozbawiony, ale jego oczy spoglądały na niego z zimną nieugiętością.

- Dobry krawiec - zauważył Gillette, wskazując na uniform PG&E. Wziął dysk ZIP, który przyniósł Phate, i pytająco uniósł brwi.

- Moja wersja Hide and Seek - wyjaśnił Phate. Był to niebezpieczny wirus, który mógłby zaatakować wszystkie komputery CCU i zakodować pliki z danymi i system operacyjny. Kłopot w tym, że nie

było klucza, aby je dekodować.

- Skąd wiedziałeś, że tu przyjdę? - zapytał Gillette'a.

- Początkowo przypuszczałem, że chcesz zabić kogoś w szpitalu. Ale przecież zaniepokoiłeś się, że mogłem widzieć twoje notatki, kiedy dostałem się do maszyny. Wtedy zmieniłeś plany. Wywabiłeś stąd wszystkich i przyszedłeś rozprawić się ze mną.

- Mniej więcej się zgadza.

- Żeby mieć pewność, że zostanę, przysłałeś mi zaszyfrowany e-mail - rzekomo od Trzy-X. Tym się zdradziłeś. Trzy-X nie przysłałby e-mailu, tylko zadzwonił. Panicznie bał się Trapdoora i tego, że się dowiesz o jego współpracy.

- I tak się dowiedziałem - odparł Phate. - On nie żyje. Trzy-X.

- Co?

- Wstąpiłem do niego po drodze. - Wskazał nóż. - To jego krew. W Realu nazywał się Peter C. Grodsky i mieszkał sam w Sunnyvale. W ciągu dnia pracował jako programista w agencji badania zdolności kredytowej, a w nocy hakował. Umarł przed swoją maszyną, jeśli to coś znaczy.

- Jak się dowiedziałeś?

- Że wymieniacie się informacjami na mój temat? - Phate prychnął z pogardą. -

Wydaje ci się, że jest jakiś fakt na świecie, o którym nie mogę się dowiedzieć?

- Sukinsynu. - Gillette gwałtownym ruchem wysunął broń w jego kierunku, spodziewając się, że Phate krzyknie ze strachu albo skuli się odruchowo. Nic takiego się nie stało. Z kamienną twarzą patrzył prosto w oczy Gillette'a i ciągnął:

- Zresztą Trzy-X musiał umrzeć. Był zdrajcą.

- Kim?

- W naszej grze. MUD. Trzy-X był renegatem. Wszyscy odstępcy muszą umrzeć - jak Judasz albo Boromir we „Władcy pierścieni”. Twoja postać też jest dość czytelna. Wiesz, kim jesteś?

Postacie... Gillette przypomniał sobie wiadomość towarzyszącą zdjęciu umierającej Lary Gibson. *Świat jest MUD-em, postaciami ludzie...*

- Słucham.

- Jesteś bohaterem ze skazą, słabym punktem, przez który pakujesz się w kłopoty.

Och, pod koniec gry dokonasz bohaterskiego czynu, uratujesz czyjeś życie i publiczność będzie

plakać ze wzruszenia. Ale nigdy nie dostaniesz się na najwyższy poziom w grze.

- Co jest moim słabym punktem?

- Nie wiesz? Ciekawość.

- A ty, jaką jesteś postacią? - zapytał Gillette.

- Jestem przeciwnikiem, lepszym i silniejszym od ciebie, nie przeszkadzają mi żadne skrupuły ani dylematy moralne. Ale wszystkie siły dobra sprzymierzyły się przeciw mnie.

Dlatego cholernie ciężko mi wygrać... Kto tam jeszcze? Andy Anderson? Mędrzec, który umiera, ale pozostaje jego duch. Obi-Wan Kenobi. Frank Bishop to żołnierz...

Do diabła, mogliśmy dać ochronę Trzy-X. Mogliśmy zrobić cokolwiek, pomyślał

Gillette.

Phate spojrział z rozbawieniem na pistolet w dłoni Gillette'a.

- Pozwolili ci nosić broń?

- Pożyczyłem - wyjaśnił Gillette. - Od faceta, który tu został, żeby mnie pilnować.

- I co, leży ogłuszony? Związany i zakneblowany?

- Coś w tym rodzaju. Phate skinął głową.

- Nie widział, że to ty, więc powiesz im, że to byłem ja. - Mniej więcej.

Gorzki śmiech.

- Zapomniałem, jaki był z ciebie kurewsko dobry taktyk. W Rycerzach Dostępu zawsze byłeś spokojny i cichy, poeta. Ale, niech cię szlag, dobrze grałeś.

Gillette wyciągnął z kieszeni kajdanki, które też zdjął z pasa Backle'a po tym, jak zaatakował agenta w biurowej kuchence.

Miał o wiele mniejsze wyrzuty sumienia z powodu tej napaści, niż - jak sądził -

powinien. Rzucił kajdanki Phate'owi i cofnął się o krok.

- Skuj się.

Haker wziął kajdanki, ale nie zatrzasnął ich na przegubach. Patrzył tylko przez dłuższą chwilę na Gillette'a. - Powiedz mi, po co przechodzisz na drugą stronę?

- Kajdanki - mruknął Gillette.

Spoglądając na niego błagalnym wzrokiem, Phate powiedział z naciskiem:

- Daj spokój, stary. Jesteś hakerem. Urodziłeś się, żeby żyć w tej swojej Błękitnej Pustce. Po co dla nich pracujesz?

- Pracuję dla nich, bo jestem hakerem - warknął Gillette. - Odwrotnie niż ty. Ty jesteś cholernym odmieńcem, który używa maszyn, żeby zabijać. Nie na tym polega hakerka.

- Hakerka polega na uzyskaniu dostępu. Wchodzisz do czyjegoś systemu, jak najgłębiej się da.

- Ale tobie nie wystarczy czyjś dysk C, Jon. Musisz iść dalej, aż wejdiesz w jego ciało. - Ze złością pokazał tablicę, do której były przyklejone zdjęcia Lary Gibson i Willema Boethe'a. - Ty zabijasz ludzi. To nie są postacie, nie bajty. To żywe ludzkie istoty.

- No i co? Nie widzę żadnej różnicy między kodem programu a istotą ludzką. Jedno i drugie zostało stworzone, żeby czemuś służyć, potem ludzie umierają, a kod zastępuje nowsza wersja. W maszynie czy poza maszyną, wewnątrz czy na zewnątrz ciała, komórki czy elektrony - nie ma żadnej różnicy.

- Ależ jest różnica, Jon.

- Naprawdę? - spytał, jak gdyby zakłopotany jego uwagą. - Pomyśl. Jak zaczęło się życie? Piorun uderzył w bulion pierwotny

- mieszalinę węgla, wodoru, azotu, tlenu, fosforu i siarki. Wszystkie żywe istoty składają się z tych pierwiastków, wszystkie żywe stworzenia funkcjonują dzięki impulsom elektrycznym. Każdy z tych pierwiastków, w takiej czy innej formie, znajdziesz też w maszynie, która funkcjonuje dzięki impulsom elektrycznym.

- Zachowaj tę pseudofilozofię dla dzieciaków na czatach, Jon. Maszyny to cudowne zabawki; zmieniły świat na zawsze. Ale nie są żywe. Nie mają rozumu.

- A od kiedy warunkiem życia jest rozum? - Phate się zaśmiał.

- Połowa ludzi na ziemi jest głupia, Wyatt. Więcej rozumu od nich mają tresowane psy i delfiny.- Na litość boską, co się z tobą stało? Do tego stopnia zagubiłeś się w Świecie Maszyn, że nie potrafisz dostrzec różnicy?

W oczach Phate'a zamigotał gniew.

- Zagubiłem się w Świecie Maszyn? Nie mam innego świata! Czyja to wina?

- Co masz na myśli?

- Jon Patrick Holloway miał swoje życie w Realu. Mieszkał w Cambridge, pracował

na Harvardzie, miał przyjaciół, chodził do restauracji na kolację, chodził na randki. Miał tak samo cholernie rzeczywiste życie jak każdy. I wiesz co? Podobało mu się! Chciał kogoś poznać, chciał

mieć rodzinę! - Głos mu się załamał. - Ale co się stało? To ty wciągnąłeś go w to i zniszczyłeś. I został mu tylko Świat Maszyn.

- Nie - odparł spokojnie Gillette. - To ty włamywałeś się do Sieci, kradłeś kod i sprzęt, spowodowałeś awarię centrali 911. Ty prawdziwy. A życie Jona Hollowaya było od początku do końca zmyślane.

- Ale to było coś! Już nigdy więcej nie byłem tak bliski prawdziwego życia! - Phate przełknął ślinę i Gillette'owi zdawało się przez chwilę, że zaraz się rozplacze. Jednak morderca szybko opanował emocje i z uśmiechem rozejrzał się po zagrodzie dinozaura.

Zauważył leżące w kącie dwie zepsute klawiatury. - Tylko dwie rozwaliłeś? - Roześmiał się.

Gillette też nie umiał powstrzymać uśmiechu.

- Jestem tu dopiero parę dni. Daj mi trochę czasu. - Pamiętam, jak mówiłeś, że nie nauczyłeś się lekkiego dotyku.

- Hakowałem kiedyś, jakieś pięć lat temu, i złamałem mały palec. Nawet o tym nie wiedziałem. Stukałem jeszcze parę godzin, dopóki nie zauważyłem, że ręka mi szerniała.

- Jaki jest twój rekord wytrzymałości?

Gillette zamyślił się.

- Kiedyś stukałem przez trzydzieści dziewięć godzin bez przerwy.

- Ja trzydzieści siedem - odpowiedział Phate. - Byłoby dłużej, ale zasnąłem. Kiedy się obudziłem, przez dwie godziny nie mogłem ruszać rękami... Kurczę, ale robiliśmy numery, nie?

- Pamiętasz tamtego faceta - generała lotnictwa? Widzieliśmy go w CNN. Mówił, że ich witryna dla kandydatów jest szczelniejsza niż Fort Knox i żaden punk nigdy się do niej nie włamie.

- I dostaliśmy się do ich VAX-a po dziesięciu minutach, nie?

Młodzi hakerzy umieścili na stronie reklamy firmy Kimberly-Clark; zamiast zdjęć wspaniałych myśliwców odrzutowych i bombowców internauci mogli obejrzeć fotografie podpasek Kotex.

- To był niezły hak - powiedział Phate.

- A tamten, gdy zmieniliśmy główną linię Biura Prasowego Białego Domu w automat telefoniczny? - przypomniał Gillette.

Zamilkli na chwilę. Wreszcie Phate rzekł:

- Byłeś lepszy ode mnie... tylko zszedłeś na złą drogę. Ożeniłeś się z tą grecką dziewczyną. Jak jej było - Ellie Papándolos? - Wymawiając jej imię i nazwisko, przyglądał

się Gillette'owi badawczo. - Rozwiodłeś się... ale ciągle ją kochasz, prawda? Widać.

Gillette nadal milczał.

- Jesteś hakerem, stary - ciągnął Phate. - Nie masz po co wiązać się z kobietą. Kiedy twoim życiem są maszyny, nie potrzebujesz kochanki. Wszystkie tylko przeszkadzają.

- A Shawn? - odparował Gillette. Przez twarz Phate'a przemknął cień.

- To co innego. Shawn świetnie rozumie, kim jestem. W przeciwieństwie do wielu innych ludzi.

- Kim on jest?

- Nic ci do Shawna - odparł groźnie Phate, lecz po chwili znów się uśmiechnął. - Daj spokój, Wyatt, możemy razem pracować. Wiem, że chcesz się czegoś dowiedzieć o Trapdoorze. Pewnie dałbyś wszystko, żeby się dowiedzieć, jak działa?

- Wiem, jak działa. Używasz sniffera, żeby przekierować wiadomość. Potem steganograficznie osadzasz w pakietach demona. Demon sam się uaktywnia, gdy tylko znajdzie się w czyjejś maszynie i resetuje protokoły komunikacyjne. Ukrywa się w jakiejś grze, a jak ktoś zaczyna go szukać, sam się niszczy.

Phate się roześmiał.

- To tak jakbyś powiedział: „O, ten człowiek zamachał rękami i poleciał”. Ale nie wiesz, jak to zrobiłem. Nikt tego nie wie... Nie ciekawi cię kod źródłowy? Nie chciałbyś go zobaczyć? To jakby spojrzeć na Boga, Wyatt. Przecież chcesz.

Przez moment w myślach Gillette'a przesuwają się wiersze programu, jakie by napisał, aby skopiować Trapdoora. Kiedy jednak dotarł do pewnego miejsca, ekran w jego myślach stał się pusty. Nie potrafił zobaczyć, co jest dalej. Poczuł, że zżera go ciekawość.

Och, tak, bardzo chciał zobaczyć kod źródłowy. Ale powiedział tylko:

- Nałóż kajdanki. Phate zerknął na zegar ścienny.

- Pamiętasz, co mówiłem o zemście, kiedy razem hakowaliśmy?

- „Zemsta hakera to zemsta cierpliwa”. Co z tego?

- Chcę ci to zostawić do przemyślenia. Aha, jeszcze jedno... Czytałeś kiedyś Marka Twaina?

Gillette zmarszczył brwi i nie odpowiedział.

- „Jankes na dworze króla Artura”. Nie? O człowieku z dziewiętnastego wieku, który przenosi się w czasie do średniowiecznej Anglii. Jest tam totalna gigascena, gdy bohater albo ktoś inny siedzi w jakimś ukropie, a rycerze chyba chcą go zabić.

- Jon, nałóż kajdanki. - Gillette wycelował w niego broń. - Ale wtedy... to naprawdę dobre. Ma przy sobie almanach, sprawdza w nim datę i widzi, że tego dnia było całkowite zaćmienie słońca. Mówi więc rycerzom, że jeśli go nie zostawią w spokoju, zmieni dzień w noc. Oczywiście, nie wierzą mu, a tu nagle robi się zaćmienie, wszyscy głupieją ze strachu i bohater jest ocalony. - Ico?

- Niepokoiłem się, że i ja mogę tu wpaść do wrzátku.

- Co masz na myśli?

Phate milczał, ale po kilku sekundach stało się jasne, co miał na myśli. Zegar pokazał

dokładnie wpół do pierwszej, a wirus, który Phate najprawdopodobniej umieścił w komputerze elektrowni, odciął dopływ prądu do CCU.

Pomieszczenie pográżyło się w nieprzeniknionej ciemności.

Gillette odskoczył, unosząc pistolet Backle'a i usiłując odnaleźć w mroku cel. Pięść Phate'a wylądowała z impetem na jego szyi, ogłuszając go. Potem morderca przycisnął

Gillette'a do ściany boksu i powalił na podłogę.

Gillette usłyszał brzęk, gdy Phate porwał z biurka kluczyki i resztę rzeczy. Gillette sięgnął, próbując złapać jego portfel. Lecz Phate zdążył go zabrać i hakerowi udało się przytrzymać tylko odtwarzacz CD. Poczul nowy przeszywający ból - klucz francuski rąbnął

go w goleń. Gillette z trudem wygramolił się na kolana, uniósł broń Backle'a w kierunku, gdzie, jak sądził, stał Phate i pociągnął za spust.

Nic się jednak nie stało. Pewnie pistolet nie był odbezpieczony. Gillette zaczął przy nim manipulować, ale dostał kopniaka w szczękę. Broń wypadła mu z ręki, a on znów runął

na podłogę.

V

Poziom mistrzowski

Istnieją tylko dwa sposoby pozbycia się hakerów i phreakerów. Pierwszy to taki, żeby pozbyć się komputerów i telefonów... Drugi polega na tym, aby dać nam wszystko, czego chcemy, czyli pełny dostęp do WSZYSTKICH informacji. Dopóki nie zdarzy się jedno albo drugie, nic się nie zmienia.

haker znany jako Revelation, cytowany w przewodniku dla hakerów „The Ultimate Beginner’s Guide to Hacking and Phreaking”

Rozdział

00100011/trzydziestypiąty

Nic ci nie jest? - zapytała Patricia Nolan, patrząc na krew na twarzy, szyi i spodniach Gillette’a.

- Wszystko w porządku.

Ale nie uwierzyła mu i przystąpiła do odgrywania roli pielęgniarki. Zniknęła w kuchence i wróciła stamtąd ze zmoczonymi ręcznikami papierowymi i mydłem w płynie.

Przemyśla mu brew i policzek rozcięte w bójce z Phate’em. Gillette poczuł zapach odżywki do paznokci i zastanawiał się, kiedy Nolan znalazła czas na zadbanie o siebie między atakiem Phate’a na szpital a powrotem do CCU.

Zmusiła go, żeby podciągnął nogawki i oczyściła małe rozcięcie na nodze, trzymając go mocno za łydkę. Gdy skończyła, uśmiechnęła się przyjaźnie.

Daj sobie spokój, Patty, pomyślał znowu... Jestem przestępcą, wyrzucili mnie z pracy, kocham inną kobietę. Naprawdę nie zawracaj sobie głowy.

- Nie boli? - zapytała, dotykając rany wilgotnym ręcznikiem. Piekło, jakby w rozcięciu tkwiło kilkanaście pszczelich żądeł.

- Tylko trochę swędzi - odparł w nadziei, że Patricia przestanie mu wreszcie matkować.

Do biura wrócił biegiem Tony Mott, chowając do kabury swój masywny pistolet.

- Ani śladu.

Chwilę później weszli Bishop i Shelton. Wszyscy trzej wrócili z Centrum Medycznego Stanford-Packard i przez ostatnie pół godziny przetrząsali okolicę, szukając śladów Phate’a lub świadków, którzy widzieli jego przyjazd albo ucieczkę z CCU. Jednak miny detektywów zdradzały, że nie mieli więcej szczęścia niż Mott.

Bishop opadł znużony na krzesło.

- Powiedz, co się właściwie stało - rzekł do hakera.

Gillette streścił mu przebieg ataku Phate'a na biuro.

- Powiedział coś ważnego?

- Nie. Ani słowa. Niemal zabrałem mu portfel, ale w końcu zostało mi tylko to. -

Pokazał odtwarzacz płyt. Technik z wydziału kryminalistycznego zdążył sprawdzić aparat, ale znalazł na nim tylko odciski palców Phate'a i Gillette'a.

Haker przekazał wszystkim wiadomość, że Trzy-X nie żyje.

- O nie - szepnął Frank Bishop przygnębiony wieścią o śmierci cywila, który podjął ryzyko, aby im pomóc. Bob Shelton westchnął ze złością.

Mott podszedł do tablicy i zapisał pseudonim „Trzy-X” obok nazwisk Lary Gibson i Willema Boethe'a.

Ale wtedy wstał Gillette - trochę chwiejnie przez zranioną nogę - i podszedł do tablicy. Starł napis.

- Co ty robisz? - zdziwił się Bishop.

Gillette wziął flamaster i zapisał „Peter Grodsky”.

- Tak się naprawdę nazywał - wyjaśnił. - Był programistą i mieszkał w Sunnyvale. -

Spojrzał na zespół. - Po prostu myślę, że powinniśmy pamiętać, że był kimś więcej niż pseudonimem.

Bishop zadzwonił do Huerta Ramireza i Tima Morgana i polecił im znaleźć adres Grodsky'ego oraz zabezpieczyć miejsce zbrodni.

Gillette dostrzegł różową karteczkę, na której zapisał wiadomość dla Bishopa.

- Zanim wróciłeś ze szpitala, Frank, dzwoniła twoja żona - powiedział, odczytując wiadomość. - Coś na temat wyników badań, dobre wieści. Hm, nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem - chyba powiedziała, że ma jakąś poważną infekcję. Nie wiem, dlaczego to mają być dobre wieści.

Jednak promienny uśmiech Bishopa - rzadko u niego widywany - przekonał go, że rzeczywiście dobrze zrozumiał wiadomość.

Cieszyła go radość detektywa, ale sam czuł zawód, że nie zadzwoniła do niego Elana.

Zastanawiał się, gdzie teraz może być. Ciekawe, czy jest z nią Ed. Poczul, że z bezsilnej zazdrości pocą mu się dłonie.

Z parkingu wrócił agent Backle. Pieczołowicie ułożone włosy były teraz zmierzwione, a krok agenta

sztynny i niepewny. On także skorzystał z pomocy medycznej, lecz udzielili mu jej zawodowcy z pogotowia, którego karetka stała na parkingu. Podczas napaści w biurowej kuchence doznał lekkiego wstrząśnienia mózgu. Z jednej strony głowy miał biały opatrunek.

- Jak się pan czuje? - zapytał beztroskim tonem Gillette.

Agent nie odpowiedział. Dostrzegł swój pistolet leżący na biurku obok Gillette'a i szybko go złapał. Z przesadną uwagą sprawdził broń, po czym wsunął do kabury na pasku.

- Co się stało, do diabła? - zapytał.

- Phate włamał się, zaszedł pana od tyłu i zabrał panu broń - wyjaśnił Bishop.

- A ty mu ją odebrałeś? - zapytał z niedowierzaniem Gillette'a agent.

- Tak.

- To ty wiedziałeś, że jestem w kuchence - warknął Bishop. - On nie.

- Chyba jednak wiedział, prawda? - odparł Gillette. - Bo jak inaczej mógłby zająć pana od tyłu i odebrać broń?

- Wydaje mi się - powiedział wolno agent - że w jakiś sposób domyśliłeś się, że tu się zjawi. Chciałeś mieć broń, więc skorzystałeś z mojej.

- Wcale tak nie było - zaprotestował Gillette, zerkając na Bishopa, który uniósł brew, jak gdyby sądził, że agent nie do końca się myli. Jednak detektyw nie odezwał się ani słowem.

- Jeżeli się dowiem, że to ty...

- Zaraz, zaraz... - wtrącił Bishop. - Chyba powinien pan okazać trochę więcej wdzięczności. Są powody przypuszczać, że Wyatt uratował panu życie.

Agent usiłował posłać detektywowi pogardliwe spojrzenie, ale w końcu zrezygnował, podszedł do krzesła i ostrożnie usiadł.

- Ciągle cię obserwuję, Gillette.

Bishop odebrał telefon. Kiedy odłożył słuchawkę, poinformował wszystkich:

- Dzwonił Huerto. Mówił, że dostali odpowiedź z Harvardu. W kartotekach nie ma ani śladu studenta czy pracownika o imieniu Shawn z czasów, kiedy był tam Holloway.

Sprawdził też pozostałe miejsca, w których Holloway pracował - Western Electric, Apple i resztę. Nigdzie nie było żadnego Shawna. - Spojrzał na Sheltona. - Powiedział też, że robi się gorąco w sprawie MARIN. Widziano sprawców na naszym podwórku. W Santa Clara, niedaleko Sto Pierwszej.

Bob Shelton parsknął śmiechem, co nie zdarzało mu się często.

- Widzisz, Frank, nieważne, czy chciałeś tę sprawę, czy nie. Wygląda na to, że sama cię prześladowie.

Bishop pokręcił głową.

- Być może, ale na pewno nie chcę, żeby tutaj o sobie przypominała, przynajmniej nie teraz. Trzeba będzie zaangażować jakieś siły, a my potrzebujemy porządnego wsparcia. -

Spojrzał na Patricję Nolan. - Co znaleźliście w szpitalu?

Wyjaśniła, że razem z Millerem dokonali przeglądu sieci centrum medycznego i mimo że znaleźli ślady obecności Phate'a w systemie, nie potrafili ustalić miejsca, z którego się tam włamał.

- Sysadmin wydrukował nam to. - Podała Gillette'owi gruby plik wydruków. - Zapis logów z całego zeszłego tygodnia. Pomyślałam, że może uda ci się coś tu znaleźć.

Gillette zaczął studiować setkę stron.

Nagle Bishop rozejrzał się po zagrodzie dinozaura i zmarszczył brwi.

- A gdzie Miller?

- Wyszedł z centrum komputerowego szpitala przede mną - odparła Patricia Nolan. -

Powiedział, że wraca do biura.

Nie podnosząc wzroku znad wydruków, Gillette powiedział:

- Ja go nie widziałem.

- Może pojechał do centrum komputerowego w Stanfordzie - zasugerował Mott. -

Często rezerwuje sobie superkomputer. Może chciał sprawdzić jakiś trop. - Próbował

zadzwoić na jego komórkę, ale Miller nie odpowiadał, więc zostawił mu wiadomość w poczcie głosowej.

Przeglądając wydruki, Gillette dotarł do pewnej pozycji i serce zabiło mu gwałtownie.

Przeczytał jeszcze raz, chcąc sprawdzić, czy się nie myli.

- Nie...

Powiedział to cicho, ale wszyscy przestali rozmawiać i spojrzeli w jego stronę.

Haker uniósł głowę.

- Kiedy Phate przejął root w systemie Stanford-Packarda, zalogował się do innych sieci połączonych ze szpitalem - w ten sposób wyłączył telefony. Ale dostał się też do zewnętrznego komputera, który rozpoznał Stanford-Packard jako zaufany system, dzięki temu Phate bez kłopotu przeskoczył firewalla i w tej sieci też przejął root.

- Co to za system? - zapytał Bishop.

- Uniwersytet Północnej Kalifornii w Sunnyvale. - Gillette uniósł wzrok. - Ściągnął

dane o procedurach ochrony i informacje o każdym pracowniku ochrony szkoły. - Westchnął.

- I dane o dwóch tysiącach ośmiuset studentach.

- Czyli przygotował sobie następną pulę ofiar - powiedział Bishop i opadł ciężko na sfatygowane krzesło.

Ktoś za nim jechał...

Kto to był?

Phate spojrział w lusterko wsteczne na samochody sunące za nim autostradą 280.

Uciekał z biura CCU, wzburzony faktem, że Valleyman znów go przechytrzył, i pragnął tylko jednego - znaleźć się w domu.

Myślał już o nowym ataku - na Uniwersytet Północnej Kalifornii. Nie był to najtrudniejszy cel, jaki mógłby sobie wyznaczyć, ale akademików bardzo dobrze pilnowano, a dyrektor administracyjny szkoły oznajmił kiedyś w wywiadzie, że ich system komputerowy jest odporny na hakerów. Wśród wielu innych system miał szczególną funkcję - sterował

alarmem przeciwpożarowym i instalacją tryskaczową najnowszej generacji w dwudziestu pięciu akademikach, gdzie mieszkała większość studentów.

Łatwy hak, nie tak ambitny jak ten z Larą Gibson czy w szkole św. Franciszka. Jednak w tym momencie Phate potrzebował zwycięstwa. Przegrywał na tym poziomie gry, co zachwiało jego pewnością siebie.

I wznagało paranoję: znów zerknął w lusterko.

Tak, ktoś tam był! Z przodu siedzieli dwaj mężczyźni, wpatrywali się w niego.

Spojrzenie na drogę, potem znów w lusterko.

Ale samochód, który widział - albo zdawało mu się, że widział - okazał się po prostu cieniem albo odbiciem.

Nie, zaraz! Wrócił... tylko że teraz za kierownicą siedziała kobieta.

Gdy zerknął po raz trzeci, w samochodzie w ogóle nie było kierowcy. Boże, to jakaś istota!

Duch

Demon.

Tak, nie...

Miałeś rację, Valleyman: kiedy komputery stają się twoim jedynym życiem, jedynym totemem odstrasającym klątwę nudy, wtedy prędzej czy później granica między tymi dwoma wymiarami zniknie i postacie z Błękitnej Pustki zaczną się pojawiać w Realu.

Czasem są twoimi przyjaciółmi.

A czasem nie.

Czasem widzisz je, jak za tobą jadą, czasem widzisz ich cienie w alejach, do których się zbliżasz, widzisz je ukryte we własnym garażu, w sypialni, w szafie. Widzisz je w spojrzeniu nieznanego.

Widzisz je w odbiciu monitora, gdy siedzisz przed maszyną w godzinie duchów.

Czasem są po prostu wytworem twojej wyobraźni.

Jeszcze jedno spojrzenie we wsteczne lusterko.

Ale czasem rzeczywiście istnieją.

Bishop wcisnął w swoim telefonie komórkowym przycisk ZAKOŃCZ.

- Akademiki w kampusie Uniwersytetu Północnej Kalifornii mają typową ochronę uniwersytecką, a to znaczy, że bardzo łatwo się do nich dostać.

- Zdawało mi się, że szukał poważnych wyzwań - zauważył Mott.

- Tym razem chyba zdecyduje się na łatwą zdobycz - powiedział Gillette. -

Prawdopodobnie wkurzył się, że deptamy mu po piętach, i łaknie świeżej krwi.

- Albo znowu chce odwrócić naszą uwagę - dodała Nolan.

Gillette zgodził się, że istnieje i taka możliwość.

- Powiedziałem dyrektorowi, że powinien odwołać zajęcia i wysłać wszystkich do domu. Ale nie miał ochoty przystać na moją propozycję, za dwa tygodnie studenci zaczynają sesję. Będziemy więc musieli wysłać do kampusu armię naszych i policji okręgowej. Ale to znaczy, że w kampusie będzie więcej obcych; tym większe niebezpieczeństwo, że Phate wykorzysta swoją socjotechnikę i przedostanie się do akademika.

- To co mamy zrobić? - spytał Mott.

- Zabrać się do staroświeckiej policyjnej roboty - odrzekł Bishop. Wziął do ręki odtwarzacz płyt Phate'a i otworzył. W środku był krążek CD z nagraniem przedstawienia

„Otella”. Detektyw odwrócił urządzenie i zanotował numer seryjny. - Może Phate kupił to gdzieś w okolicy. Zadzwoń do firmy i dowiem się, dokąd wysłano ten egzemplarz.

Bishop zaczął dzwonić do różnych biur sprzedaży i dystrybucji firmy Akisha Electronic Products w całym kraju. Przełączano go pod różne numery, kazano czekać bez końca i na próżno starał się porozmawiać z kimś, kto mógł - lub chciał - pomóc.

Gdy detektyw kłócił się z kimś na drugim końcu linii, Wyatt Gillette przysunął się z krzesłem do najbliższego terminalu i zaczął stukać w klawisze. Chwilę później wstał i wyciągnął z drukarki arkusz papieru.

- Nie możemy czekać na tę informację dwa dni - mówił do słuchawki zirytowanym głosem Bishop, gdy Gillette podał mu wydruk.

Produkty Akisha Electronic: dostawy - pierwszy kwartał Model: Przenośny odtwarzacz płyt kompaktowych HB - Heavy Bass

Wysyłka serii urzędzeń

Numery Data Odbiorca HB40032- 12.01 Muzyka & Elektronika Mountain View

HB40068 Rio Verde, #4 9456

Mountain View, Kalifornia

Telefon zawisł bezwładnie w dłoni detektywa, który powiedział do słuchawki:

- Nieważne. - Rozłączył się i zapytał Gillette'a: - Jak to zdobyłeś? - Potem wyciągnął

w obronnym geście rękę. - Po namyśle oświadczam, że wolę nie wiedzieć. - Zachichotał. -

Tak jak mówiłem, nie ma jak staroświecka policyjna robota.

Potem Bishop znów zadzwonił do Huerta Ramireza. Kazał mu wysłać kogoś innego na miejsce zbrodni - do domu Trzy-X - a potem razem z Timem Morganem jechać do sklepu

„Muzyka i Elektronika” w Mountain View ze zdjęciem Phate'a i spróbować ustalić, czy mieszka gdzieś w okolicy.

- Powiedzcie też sprzedawcy, że nasz chłopak bardzo lubi teatr. Ma nagranie „Otella”.

To może odświeżyć im pamięć.

Funkcjonariusz z centrali policji stanowej w San Jose przywiózł Bishopowi przesyłkę w kopercie. Detektyw otworzył ją i streścił wiadomość reszcie zespołu.

- Raport FBI na temat szczegółów zdjęcia Lary Gibson. Twierdzą, że na fotografii jest piec gazowy Tru-Heat model GST3000. Pojawił się na rynku trzy lata temu i jest popularny w nowo budowanych domach. Ze względu na możliwości grzewcze używa się go zwykle w wolno stojących dwu - albo trzykondygnacyjnych budynkach, raczej nie w miastach i na ranchach. Technicy powiększyli też napis na pieczętce na ścianie gipsowej w piwnicy i znaleźli datę produkcji: styczeń zeszłego roku.

- Nowy dom w niedawno zbudowanym osiedlu - powiedział Mott i zapisał tę informację na tablicy. - Jedno - lub dwupiętrowy.

Bishop parsknął krótkim śmiechem i z uznaniem uniósł brwi.

- Dolary podatników są świetnie lokowane, moi drodzy. Ci z Waszyngtonu naprawdę wiedzą, co robią. Posłuchajcie. Agenci znaleźli poważne nieregularności w spoinowaniu i ułożeniu płytek na podłodze i uważają, że to może wskazywać na prawdopodobieństwo, że dom sprzedano z niewykończoną piwnicą, a płytki położył sam właściciel.

Mott dopisał na tablicy: „Sprzedany z niewykończoną piwnicą”.

- To jeszcze nie koniec - ciągnął detektyw. - Powiększyli też fragment gazety, która leżała w koszu, i stwierdzili, że to bezpłatna reklamówka „Kupiec Doliny Krzemowej”.

Dostarcza się ją do domów w Palo Alto, Cupertino, Mountain View, Los Altos, Los Altos Hills, Sunnyvale i Santa Clara.

- Możemy się dowiedzieć czegoś więcej o nowych osiedlach w tych miastach? -

zapytał Gillette.

Bishop skinął głową.

- Właśnie to miałem zrobić. - Spojrzał na Boba Sheltona. - Twój kumpel dalej pracuje w RPP w Santa Clara?

- Jasne. - Shelton zadzwonił do rady planowania przestrzennego. Zapytał o pozwolenia na budowę osiedli dwu - i trzykondygnacyjnych domów jednorodzinnych z niewykończonymi piwnicami, które powstały po styczniu zeszłego roku w miastach z ich listy. Po pięciu minutach oczekiwania na odpowiedź Shelton, przytrzymując brodą słuchawkę, zaczął notować. Trwało to jakiś czas; lista osiedli była przygnębiająco długa. W

siedmiu miastach było ich pewnie ze czterdzieści.

W końcu odłożył słuchawkę i mruknął:

- Powiedział, że nie nadążają z budowaniem, żeby zaspokoić potrzeby. Wiecie, te wszystkie spółki

internetowe.

Bishop z listą osiedli podszedł do mapy Doliny Krzemowej i zakreślił miejsca zapisane przez Sheltona. Wtedy zadzwonił jego telefon. Słuchając, kiwał głową, potem odłożył słuchawkę.

- Huerto i Tim. Sprzedawca w sklepie muzycznym poznał Phate'a i powiedział, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy był w sklepie parę razy, zawsze kupował nagrania sztuk teatralnych. Nigdy muzyki. Ostatnim razem „Śmierć komiwojażera”. Ale facet nie ma pojęcia, gdzie on może mieszkać.

Zakreślił punkt, gdzie mieścił się sklep muzyczny. Pokazał go, a następnie wskazał

kółko zakreślone wokół sklepu Olliego z rekwizytami teatralnymi przy El Camino Real, gdzie Phate kupował klej do charakteryzacji i inne elementy przebrania. Sklepy były od siebie oddalone o trzy czwarte mili. Phate musiał mieszkać w środkowozachodniej części Doliny Krzemowej; mimo to wciąż mieli do czynienia z dwudziestoma dwoma osiedlami rozciągającymi się na siedmiu czy ośmiu milach kwadratowych.

- Trochę za dużo, żeby chodzić od drzwi do drzwi.

Przez dziesięć minut patrzyli bezsilnie na mapę i tablicę, wysuwając zupełnie nieprzydatne propozycje zawężenia pola poszukiwań. Zadzwonili policjanci z mieszkania Petera Grodsky'ego w Sunnyvale. Młody mężczyzna zmarł na skutek ciosu nożem w serce -

jak pozostałe ofiary rzeczywistej odmiany gry w Dostęp. Ekipa sprawdzała miejsce zbrodni, lecz jak dotąd nie znalazła niczego ważnego.

- Cholera - rzucił Bob Shelton, kopiąc krzesło ze złością, którą zresztą wszyscy odczuwali.

Zespół dalej patrzył w białą tablicę i przez długą chwilę panowała cisza, którą nieoczekiwanie przerwał nieśmiały głos zza ich pleców:

- Przepraszam.

Na progu stał puciołowaty nastolatek w grubych okularach, w towarzystwie dwudziestokilkuletniego mężczyzny.

Jamie Turner, przypomniał sobie Gillette, uczeń ze szkoły św. Franciszka i jego brat, Mark.

- Witaj, młody człowieku - powiedział Frank Bishop, uśmiechając się do chłopca. - Co u ciebie?

- Chyba dobrze. - Spojrzał na brata, który zachęcił go skinieniem głowy. Jamie podszedł do Gillette'a. - Zrobiłem, co pan chciał - powiedział, przełykając niespokojnie ślinę. Gillette nie pamiętał, o czym dokładnie mówi chłopiec, ale kiwnął głową i rzekł:

- Słucham.

- Grzebałem w maszynach w szkole - ciągnął Jamie. - W tej sali komputerowej na dole, pamięta pan?

Tak jak pan prosił. I znalazłem coś, co może pomóc wam go złapać, to znaczy, tego człowieka, który zabił pana Boethe'a.

Rozdział

00100100/trzydziesty szósty

Kiedy jestem online, prowadzę notatki - powiedział Jamie Turner. Zwykle niechlujni i niezorganizowani hakerzy trzymają przy maszynach długopisy i zeszyty albo notatniki - czyli wszelkiego rodzaju drewno - z których korzystają, buszując po Sieci. Zapisują w nich szczegółowe adresy zasobów (URL), adresy znalezionych stron WWW, nazwy programów, pseudonimy innych hakerów, których chcą namierzyć, i inne dane przydatne w hakowaniu.

To konieczność, ponieważ większość ulotnych informacji w Błękitnej Pustce jest tak skomplikowana, że nikt nie potrafi ich dokładnie zapamiętać - a trzeba je zapamiętać dokładnie; jeden błąd literowy może uniemożliwić dokonanie naprawdę gigahaku albo połączenie z najbardziej genialną stroną, albo BBS-em, jaki kiedykolwiek stworzono.

Było wczesne popołudnie i wszystkich w CCU ogarnęła bezsilna rozpacz - w każdej chwili Phate mógł zaatakować nową ofiarę na uniwersytecie. Mimo to Gillette nie popędział

chłopca, pozwalając mu mówić w jego własnym tempie.

- Przeglądałem to, co napisałem, zanim pan Boethe... - ciągnął Jamie. - Zanim to się stało.

- Co znalazłeś? - zachęcił Gillette. Frank Bishop usiadł obok chłopca i z uśmiechem skinął głową. - Mów dalej.

- Ta maszyna w bibliotece, z której korzystałem - ta, którą zabraliście - działała normalnie, ale jakieś trzy tygodnie temu zaczęło się dziać coś dziwnego. Zaczęły się błędy krytyczne i maszyna... no, zawieszała się.

- Błędy krytyczne? - zdziwił się Gillette. Zerknął na Patricię Nolan, która pokręciła głową. Odgarnęła kosmyk włosów zasłaniający jej oko i bezwiednie okręcała go na palcu.

Bishop spoglądał to na nią, to na hakera.

- Co to znaczy?

- Błędy tego rodzaju zdarzają się zwykle wtedy, gdy maszyna próbuje wykonać kilka różnych zadań jednocześnie i nie umie sobie poradzić. Na przykład, kiedy ktoś pracuje z arkuszem kalkulacyjnym i równocześnie czyta online pocztę elektroniczną.

Gillette przytaknął.

- Jednak firmy w rodzaju Microsoft czy Apple opracowały swoje systemy operacyjne w taki sposób, żeby można było korzystać z wielu programów jednocześnie. Dzisiaj błędy krytyczne zdarzają się

bardzo rzadko.

- Wiem - rzekł chłopiec. - Dlatego pomyślałem, że to bardzo dziwne. Potem próbowałem uruchomić te same programy na innych maszynach w szkole. I błędy... no, już się nie powtarzały.

- Proszę, proszę - powiedział Tony Mott. - Trapdoor ma feler. Gillette pokiwał z uznaniem głową.

- Świetnie, Jamie. Chyba znalazłeś to, czego szukaliśmy. - Jak to? - zapytał Bishop. -

Nie rozumiem.

- Żeby namierzyć Phate'a, musieliśmy zdobyć numer seryjny i telefoniczny jego komórki.

- Pamiętam.

- Jeżeli będziemy mieli szczęście, dzięki temu je zdobędziemy. Znasz dokładne daty i godziny, w których zawieszał się komputer? - spytał Jamiego Gillette.

Chłopiec zajrzał do notatnika i pokazał hakerowi odpowiednią stronę. Wszystkie przypadki błędów systemu zostały skrupulatnie odnotowane.

- Dobrze. Zadzwoń do Garvy'ego Hobbesa - zwrócił się do Tony'ego Motta Gillette. -

I przełącz na głośnik.

Mott spełnił prośbę i po chwili połączono ich z szefem zabezpieczeń Mobile America.

- Cześć wszystkim - powiedział Garvy Hobbes. - Wpadliście na trop naszego łobuza?

Gillette spojrzał na Bishopa, który dał znak, że ustępuje mu pola.

- To nowoczesna policyjna robota - powiedział detektyw. - Ja się już na tym nie znam.

- Mógłbyś spróbować swoich sztuczek, Garvy - powiedział Gillette. - Jeżeli podam ci dokładne daty i godziny, w jakich w jednym z waszych telefonów nastąpiła sześćdziesięciosekundowa przerwa między dwoma połączeniami z tym samym numerem, będziesz mógł zidentyfikować ten telefon?

- Hm. To coś nowego, ale co tam, spróbuję. Podaj mi daty i godziny.

Gillette spełnił jego prośbę, a Hobbes powiedział:

- Nie rozłączaj się. Zaraz się odezwę.

Haker wyjaśnił wszystkim, co robi: gdy komputer Jamiego się zawieszał, chłopiec musiał restartować maszynę, żeby wrócić do sieci. Trwało to około minuty. Oznaczało to, że komórka Phate'a miała przerwę takiej samej długości, a morderca musiał ponownie włączać swoją maszynę i logować się. Porównując dokładny czas zawieszeń komputera Jamiego z czasem, w jakim telefon

działający w sieci Mobile America rozłączył się i znów łączył, mogli zidentyfikować aparat Phate'a.

Pięć minut później w głośniku usłyszeli kowboja z działu zabezpieczeń.

- Zabawne - powiedział wesoło. - Mam. - Po chwili dodał z nutką niepokoju i podziwu w głosie: - Ale dziwne, że jego telefon ma nieprzydzielone numery.

- To znaczy, że Phate dostał się do zabezpieczonej niepublicznej centrali i ukradł numery - wyjaśnił Gillette.

- Nikt się jeszcze nie włamał do naszej płyty głównej. Jakiś niesamowity gość z niego.

- To akurat wiemy - mruknął Frank Bishop.

- Dalej korzysta z tego telefonu? - spytał Shelton.

- Od wczoraj nie. Zwykle jest tak, że jeśli złodziej impulsów nie korzysta ze skradzionego aparatu przez dwadzieścia cztery godziny, to znaczy, że zmienił numery.

- Czyli nie można go namierzyć, kiedy znów będzie online? - zapytał zawiedziony Bishop.

- Zgadza się - potwierdził Hobbes.

Jednak Gillette, wzruszając ramionami, powiedział: - Domyślam się, że zmienił

numery, kiedy się zorientował, że jesteśmy na jego tropie. Ale możemy przecież zawęzić pole poszukiwań do terenu, z którego dzwonił w ciągu ostatnich kilku tygodni. Mam rację, Garvy?

- Jasne - odparł Hobbes. - W swoim rejestrze mamy numery komórek, z których pochodzą wszystkie nasze połączenia. Większość połączeń tego telefonu przyszła z komórki 879. Czyli Los Altos. Zawęziłem jeszcze bardziej pole na podstawie danych z MTSO.

- Z czego?

- Z centrali sieci komórkowej - wyjaśnił Gillette - która monitoruje sektory, czyli może ustalić, skąd ktoś dzwoni. Z dokładnością do mili kwadratowej.

Hobbes roześmiał się i spytał ostrożnie:

- Jak to jest, panie Gillette, że zna pan nasz system tak dobrze jak my?

- Dużo czytam - odparł kpiąco haker i poprosił: - Podaj współrzędne. Mógłbyś określić, o które ulice chodzi?

- Jasne. - Hobbes wyrecytował nazwy czterech skrzyżowań, a Gillette zaznaczył

punkty na mapie i połączył je. Wyszedł trapez pokrywający sporą część Los Altos. - Jest gdzieś tutaj.

- Postukał w mapę.

W obrębie zaznaczonego obszaru było sześć nowych osiedli, których adresy podała im rada planowania przestrzennego Santa Clara.

Lepiej niż dwadzieścia dwa, ale i tak za dużo.

- Sześć? - spytała rozczarowana Linda Sanchez. - Mieszka tam ze dwa tysiące ludzi.

Nie możemy zawęzić bardziej?

- Wydaje mi się, że tak - odrzekł Bishop. - Bo wiemy, gdzie robi zakupy. - Bishop pokazał na mapie osiedle znajdujące się w połowie drogi między sklepem Olliego z rekwizytami teatralnymi a „Muzyką i Elektroniką” Mountain View. Nazywało się Stonecrest.

Wszyscy nagle bardzo się ożywili i przystąpili do działania. Bishop powiedział

Garvy'emu, że spotkają się w Los Altos niedaleko osiedla, potem zadzwonił do kapitana Bernsteina i poinformował go o najnowszych ustaleniach. Postanowili wykorzystać funkcjonariuszy w cywilu, którzy mieli chodzić w osiedlu od drzwi do drzwi i pokazywać zdjęcie Hollowaya. Bishop podsunął pomysł, żeby kupić plastikowe wiaderka i rozdać policjantom, którzy mieli udawać kwestujących na rzecz dzieci, w razie gdyby widział ich Holloway. Następnie detektyw zaalarmował brygadę specjalną. Zespół CCU był gotów do akcji. Bishop i Shelton sprawdzili pistolety. Gillette sprawdził laptop. Tony Mott, oczywiście, sprawdził jedno i drugie.

Patricia Nolan miała zostać, na wypadek gdyby zespół musiał się połączyć z komputerem CCU.

Kiedy wychodzili, zadzwonił telefon, który odebrał Bishop. Milczał przez chwilę, po czym spojrzał na Gillette'a i odrobinę zdziwiony podał mu słuchawkę.

Marszcząc brwi, haker powiedział do słuchawki:

- Halo?

Chwila milczenia. Potem odezwała się Elana Papandolos: - To ja.

- Cześć.

Gillette przyglądał się, jak Bishop wyprowadza wszystkich z biura.

- Nie sądziłem, że zadzwonisz.

- Ja też nie - odrzekła.

- Dlaczego więc dzwonisz? - Bo chyba jestem ci to winna.

- Jesteś mi winna?

- Chciałam ci powiedzieć, że nic się nie zmieniło i jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku.

- Z Edem? - Tak.

Poczuł, jak jej słowa zadają mu większy ból niż cios pięści Phate'a. Naprawdę miał nadzieję, że Ellie odłoży swój wyjazd.

- Nie jedź.

Znów krępująca cisza. - Wyatt...

- Kocham cię. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. - Ale wyjeżdżamy.

- Mam tylko jedną prośbę - powiedział Gillette. - Zanim wyjedziesz, chciałbym się z tobą zobaczyć.

- Po co? W czym to może pomóc?

- Proszę. Tylko dziesięć minut.

- Nie uda ci się zmienić mojej decyzji. Ależ uda mi się, pomyślał.

- Muszę kończyć - powiedziała. - Do widzenia, Wyatt. Życzę ci szczęścia, cokolwiek będziesz w życiu robił.

- Nie!

Ellie odłożyła słuchawkę, nie mówiąc już nic więcej.

Gillette wpatrywał się w milczący telefon.

- Wyatt - ponaglił Bishop. Zamknął oczy.

- Wyatt, musimy iść.

Haker uniósł głowę i rzucił słuchawkę na widełki. Jak odrętwiały ruszył korytarzem.

Detektyw mruknął coś do niego. Gillette spojrzał na niego nieobecny wzrokiem, a potem spytał, co Bishop mówił.

- Powiedziałem, że jest tak, jak mówiliście wcześniej z Patricią. Jak w grach MUD.

- To znaczy?

- Chyba weszliśmy na poziom mistrzowski.

El Monte Road łączy El.Camino Real z równoległym kręgosłupem Doliny Krzemowej, autostradą 280 przebiegającą kilka mil dalej.

Kiedy jedzie się na południe, widok z El Monte zmienia się: sklepiki ustępują miejsca klasycznym domom z kalifornijskich rancz z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a potem nowoczesnym osiedlom, których budowa miała uszczknąć część fortun wyrosłych na spółkach internetowych.

Niedaleko jednego z tych osiedli, Stonecrest, zaparkowano kilkanaście samochodów policyjnych i dwie furgonetki brygady antyterrorystycznej policji stanu Kalifornii. Wozy stały na parkingu pod Pierwszym Kościołem Baptistów w Los Altos osłoniętym od El Monte Road wysoką palisadą, właśnie głównie z jej powodu Bishop postanowił urządzić bazę operacyjną pod domem Bożym.

Wyatt Gillette zajmował fotel pasażera obok Bishopa w fordzie. Shelton siedział z tyłu, patrząc w milczeniu na palmę kołyszącą się na wietrze. W samochodzie obok siedzieli Linda Sanchez i Tony Mott. Bishop najwyraźniej zrezygnował z prób powstrzymania młodego policjanta, który miał ochotę udawać Eliota Nessa, i Mott ruszył biegiem w kierunku grupki policjantów w mundurach i rynsztunku bojowym, wkładających właśnie kamizelki kuloodporne. Dowódca grupy specjalnej, Alonso Johnson, znów był na posterunku. Stał

samotnie i z opuszczoną głową słuchał komunikatu z krótkofalówki.

Agent Departamentu Obrony Arthur Backle przyjechał tu za autem Bishopa i stał teraz obok samochodu pod parasolem, opierając się o wóz i skubiąc opatrunek na twarzy.

Osiedle Stonecrest przeczesywała już spora grupa funkcjonariuszy - socjotechnicznie zmieniona w kwestujących - potrząsając żółtymi kubelkami i pokazując zdjęcie Jona Hollowaya.

Czas mijał, ale nikomu się jeszcze nie poszczęściło. Powoli zaczęły się wkradać wątpliwości: może Phate mieszka w innym osiedlu. Może ci z Mobile America pomylili się w analizie numerów. Może numery rzeczywiście były jego, ale po starciu z Gillette'em uciekł ze stanu.

Nagle zabrzączał telefon komórkowy Bishopa. Detektyw odebrał i po chwili się uśmiechnął.

- Jest potwierdzenie tożsamości - powiedział do Sheltona i Gillette'a. - Sąsiad go poznał. Alta Vista Drive 34004.

- Mamy go! - Shelton uniósł pięść w tryumfalnym geście. Wsiadł z samochodu. -

Powiem Alonsowi. - Korpulentny glina zniknął w tłumie policjantów.

Bishop zadzwonił do Garvy'ego Hobbesa i podał mu adres. Kowboj miał w swoim dziupie zainstalowany Cellscope - połączenie komputera i radionamiernika. Miał jeździć pod domem Phate'a, szukając częstotliwości sieci Mobile America, i sprawdzić, czy telefon nadaje.

Po chwili Hobbes zadzwonił do Bishopa z meldunkiem:

- Jest w domu i ma włączony telefon. To transmisja danych, nie rozmowa.

- Jest online - powiedział Gillette.

Bishop i Gillette wysiedli z samochodu, znaleźli Sheltona i Alonsa Johnsona i przekazali im wiadomość.

Johnson wysłał furgonetkę udającą samochód firmy kurierskiej na ulicę przed dom Phate'a. Oddział zameldował, że w oknach są spuszczone żaluzje, a brama garażu jest otwarta. Na podjeździe stał zdezelowany ford. Z zewnątrz nie widać było żadnych świateł.

Drugi oddział, ukryty za palisandrami, złożył podobny meldunek.

Obydwa oddziały poinformowały, że wszystkie okna i wyjścia są obsadzone; nawet gdyby Phate widział policję, nie miał szans ucieczki.

Następnie Johnson wyciągnął zalaminowaną szczegółową mapę ulic w Stonecrest.

Zakreślił dom Phate'a pisakiem, a potem przejrzał katalog domów w osiedlu. Uniósł wzrok i powiedział:

- Mieszka w modelu „Trubadur”. - Znalazł w katalogu plan piętra tego modelu i pokazał swojemu zastępcy, młodemu i krótko ostrzyżonemu policjantowi o chmurnej twarzy i wojskowej sylwetce.

Wyatt Gillette zerknął na katalog i dojrzał slogan reklamowy pod schematem.

„Trubadur”... Dom twoich marzeń, którym ty i twoja rodzina będziecie cieszyć się przez długie lata...

Zastępca Johnsona podsumował sytuację:

- Mamy drzwi od frontu i z tyłu, na parterze. Jeszcze jedne drzwi wychodzą na taras z tyłu. Nie ma schodów, ale to tylko dziesięć stóp. Mógłby wyskoczyć z tarasu. Brak bocznych wejść. Z garażu są dwa wyjścia, jedno prowadzi do kuchni, drugie na podwórko. Można wejść trzema oddziałami.

- Przede wszystkim trzeba go natychmiast odciąć od komputera - powiedziała Linda Sanchez. - Nie pozwolić mu niczego napisać. Mógłby w ciągu paru sekund zniszczyć zawartość dysku. Będziemy musieli obejrzeć dane i sprawdzić, czy wybrał nową ofiarę.

- Zrozumiałem - odparł zastępca.

- Oddział Alfa - rzekł Johnson - wejdzie przez frontowe drzwi, Baker z tyłu, Charlie przez garaż. Dwóch z oddziału Charlie zostawicie przed tarasem, gdyby się jednak zdecydował wyskoczyć. - Uniósł głowę, skubiąc złoty kolczyk w lewym uchu. - Dobra.

Ruszamy na grubego zwierza.

Gillette, Shelton, Bishop i Sanchez pobiegli z powrotem do samochodu i pojechali na osiedle, parkując obok furgonetek niedaleko domu Phate'a, tak aby nie było ich widać z okien. Ich śladem ruszył jak cień agent Backle. Obserwowali, jak trzy oddziały zajmują pozycje, przemykając się pod osłoną krzaków.

Bishop odwrócił się do Gillette'a i ku zdumieniu hakera oficjalnym gestem uściśnił mu dłoń.

- Bez względu na to, co się stanie, Wyatt, nie wiedzielibyśmy tego co teraz, gdyby nie ty. Niewielu ludzi podjęłoby takie ryzyko i pracowało tak ciężko jak ty.

- Racja - powiedziała Linda Sanchez. - To on tu był rozgrywającym, szefie. - Utkwiła brązowe oczy w twarzy Gillette'a. - Słuchaj, jeżeli będziesz po wyjściu szukał pracy, może powinieneś zgłosić się do CCU?

Gillette szukał w myślach słów, żeby im podziękować. Był jednak zmieszany i nic nie przychodziło mu do głowy. Kiwnął głową.

Tym razem Bob Shelton wyglądał, jakby podzielał odczucia swoich towarzyszy, ale bez słowa wysiadł z samochodu i zniknął w grupce ubranych po cywilnemu policjantów, których chyba znał.

Zbliżył się do nich Alonso Johnson. Bishop odkręcił szybę.

- Rozpoznanie zgłasza, że nie da się zajrzeć do środka, poza tym klimatyzator działa na cały regulator i skanery podczerwieni nie mogą niczego wyłapać. Ciągłe siedzi przy komputerze?

Bishop zadzwonił do Garvy'ego Hobbesa i przekazał mu pytanie.

- Tak - brzmiała odpowiedź kowboja. - Cellscope ciągle odbiera transmisję.

- Dobrze - rzekł Johnson. - Powinien być czymś zajęty, kiedy wpadniemy z wizytą. -

Potem rzucił do mikrofonu: - Oczyszczyć ulicę.

Funkcjonariusze zawrócili kilka samochodów jadących AltaVista Drive. Zatrzymali sąsiadkę Phate'a, jasnowłosą kobietę, która wyjeżdżała z garażu fordem explorerem, i skierowali ją w przeciwnym kierunku, byle dalej od domu mordercy. Trzej chłopcy, nie zważając na deszcz, wyczyniali różne akrobacje na deskorolkach. Podeszli do nich dwaj policjanci ubrani w szorty i koszule Izod i spokojnie odprowadzili ich na bok, poza zasięg wzroku.

Miła ulica na przedmieściu zrobiła się pusta.

- Wygląda dobrze - podsumował Johnson, po czym skulony ruszył truchtem w stronę domu.

- Wszystko sprowadza się do jednego... - mruknął Bishop. Linda Sanchez usłyszała to i powiedziała:

- To nieprawda, szefie. - Potem pokazała uniesione kciuki Tony'emu Motcie, który razem z kilkoma funkcjonariuszami z brygady specjalnej klęczał za żywopłotem okalającym domostwo Phate'a. Skinął jej głową i odwrócił się w stronę domu. - Lepiej, żeby chłopak nie zrobił sobie krzywdy - szepnęła.

Wrócił Bob Shelton i ciężko opadł na siedzenie fordą.

Gillette nie słyszał żadnych komend, ale nagle wszystkie oddziały wypadły naraz ze swoich kryjówek i popędziły do domu.

Rozległy się trzy huki, na których dźwięk Gillette drgnął.

- To specjalne pociski - wyjaśnił Bishop. - Do usuwania zamków z drzwi.

Gillette miał wilgotne dłonie i zorientował się, że wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na strzały, eksplozje, krzyki, syreny...

Bishop nie ruszał się, patrząc czujnie na dom. Jeśli nawet był spięty, nie okazywał tego.

- Szybciej, szybciej - mruzczała pod nosem Linda Sanchez. - Co się dzieje?

Mijały długie sekundy ciszy, w której słychać było tylko szum kropli deszczu o dach samochodu. Gdy odezwało się radio, dźwięk był tak niespodziewany, że wszyscy podskoczyli.

- Dowódca oddziału Alfa do Bishopa. Jesteś tam? Bishop złapał mikrofon.

- Mów, Alonso.

- Frank, nie ma go - brzmiał meldunek.

- Co? - spytał skonsternowany detektyw. - Przeczესujemy cały dom, ale wygląda na to, że uciekł. Tak jak w motelu.

- Kurwa mać - warknął Shelton.

- Jestem w jadalni - ciągnął Johnson. - Urządził tu sobie gabinet. Stoi puszka mountain dew, jeszcze zimna. Wykrywacz ciepła wskazuje, że siedział na krześle przed komputerem jeszcze pięć, dziesięć temu.

- Al, on tam na pewno jest - powiedział z rozpaczą w głosie Bishop. - Ma jakąś kryjówkę. Sprawdźcie w szafach. Pod łóżkiem.

- Frank, skanery nie łapią niczego poza jego duchem na krześle. - Przecież nie mógł wy dostać się na zewnątrz - powiedziała

Sanchez.

- Szukamy dalej.

Bishop oparł się ciężko o drzwi samochodu, a jego jastrzębią twarz skrzywił grymas rozpaczy.

Po dziesięciu minutach ponownie odezwał się dowódca brygady specjalnej.

- Cały dom jest zabezpieczony, Frank. Nie ma go tu. Jeśli chcesz zobaczyć, sam przyjdź.

Rozdział

00100101/trzydziesty siódmy

Dom w środku wyglądał nienagannie. Zupełnie innego widoku spodziewał się Gillette. Większość nor hakerów była zapuszczona, zapchana częściami komputerowymi, przewodami, książkami, podręcznikami, narzędziami, dyskietkami, pojemnikami z zaschłymi resztkami jedzenia, brudnymi szklankami i zwykłymi śmieciami.

Salon w domu Phate'a wyglądał, jakby przed chwilą skończyła go dekorować Martha Stewart. Zespół CCU rozglądał się zdziwiony. Gillette z początku pomyślał, że pomylili domy, ale zobaczył na ścianie zdjęcia w większości przedstawiające Hollowaya.

- Patrzcie - powiedziała Linda Sanchez, wskazując jedną z oprawionych w ramki fotografii. - Ta kobieta to pewnie Shawn. - Zerknęła na inne zdjęcie. - Mają dzieci?

- Moglibyśmy wysłać zdjęcia do federalnych i... - zaczął Shelton. Jednak Bishop pokręcił głową.

- O co chodzi? - spytał Alonso Johnson.

- Fałszywe, prawda? - Bishop zerknął na Gillette'a, unosząc pytająco brwi.

Haker zdjął jedną z ramek i wyciągnął z niej fotografię. Była na błyszczącym papierze, ale wydrukowano ją na kolorowej drukarce.

- Ściągnął je z Sieci albo zeskanował z czasopisma, a potem dokleił swoją twarz. Nad kominkiem, obok zdjęcia szczęśliwej pary siedzącej na krzesłach plażowych nad basenem, stał staromodny zegar dziadka pokazujący piętnaście po drugiej. Głośne tykanie przypomniało im, że w każdej chwili na uniwersytecie może umrzeć kolejna ofiara - lub ofiary - Phate'a.

Gillette obrzucił krótkim spojrzeniem pokój przywodzący na myśl wnętrze domu na przedmieściu należącego do dobrze sytuowanej rodziny.

„Trubadur”... Dom twoich marzeń, którym ty i twoja rodzina będziecie cieszyć się przez długie lata...

Huerto Ramirez i Tim Morgan rozmawiali z sąsiadami, lecz nikt nie potrafił podać żadnych informacji na temat innego prawdopodobnego miejsca pobytu Phate'a.

- Według sąsiada z naprzeciwka - rzekł Ramirez - był tu znany jako Warren Gregg i mówił ludziom, że sprowadzi rodzinę, kiedy tylko dzieci skończą szkołę.

- Wiemy, że jego następnym celem jest przypuszczalnie student z Uniwersytetu Północnej Kalifornii - powiedział do Alonsa Bishop - ale nie wiemy dokładnie kto. Każ swoim ludziom szukać wszystkiego, co mogłoby nam pomóc w ustaleniu tożsamości kolejnej ofiary.

Johnson pokręcił głową i zauważył:

- Nie sądzisz, że teraz kiedy ma spaloną kryjówkę, przyczai się i na jakiś czas zapomni o atakach?

Bishop spojrział na Gillette'a i powiedział: - Nie przypuszczam. Haker przytaknął.

- Phate potrzebuje teraz zwycięstwa. Zabije kogoś jeszcze dzisiaj, w taki czy inny sposób.

- Powiem chłopakom. - Dowódca brygady specjalnej wyszedł.

Zespół obejrzał inne pomieszczenia, które okazały się niemal zupełnie puste i odcięte od świata zewnętrznego żaluzjami. W łazience znaleźli tylko niezbędne minimum - zwykłe żyletki, krem do golenia, szampon i mydło. Poza tym duże pudełko kostek pumeksu.

Bishop wziął jedną kostkę, marszcząc z zaciekawieniem brwi.

- Palce - przypomniał mu Gillette. - Ściera zgrubiałą skórę opuszków, żeby lepiej stukać.

Poszli do jadalni, gdzie stał laptop Phate'a.

Gillette zerknął na ekran i pokręcił z niesmakiem głową.

- Patrzcie.

Bishop i Shelton przeczytali komunikat.

WIADOMOŚĆ OD: SHAWN

KOD 10-87 WYDANY DLA: ALTA VISTA 34004

- To przyjęty kod ataku - dziesięć osiemdziesiąt siedem. Gdyby nie dostał

wiadomości, dopadlibyśmy go - rzekł Bishop. - Naprawdę niewiele brakowało.

- Pieprzony Shawn - rzucił wściekle Shelton. Z piwnicy zawołał któryś z policjantów:

- Chyba już wiem, którędy uciekł. Tędy.

Gillette zszedł za resztą. Ale na ostatnim stopniu przystanął, rozpoznając miejsce uwiecznione na zdjęciu Lary Gibson. Niefachowo wykafelkowana podłoga, niemalowana płyta gipsowa. I smugi krwi na posadzce. Widok był upiorny.

Dołączył w końcu do Johnsona, Bishopa i innych policjantów, którzy oglądali małe drzwiczki w bocznej ścianie. Za nimi widać było rurę szeroką na trzy stopy, jak w studziencie burzowej. Jeden z funkcjonariuszy zaświecił do środka latarką.

- Prowadzi do domu obok.

Gillette i Bishop spojrzeli po sobie.

- O nie - jęknął detektyw. - Ta jasnowłosa kobieta w explorerze! Wyjechała z garażu.

To był on.

Johnson chwycił radio i wezwał swoich do domu. Potem nadał pilny komunikat o poszukiwaniu pojazdu terenowego. Chwilę później zgłosił się jeden z policjantów. - Dom obok jest zupełnie pusty. Żadnych mebli. Nic.

- Był właścicielem obydwu.

- Cholerna socjotechnika - wyrzucił z siebie Bishop, wypowiadając pierwsze przekleństwo, jakie usłyszał z jego ust Gillette.

W ciągu pięciu minut przyszła odpowiedź, że explorera znaleziono na parkingu centrum handlowego niecałe ćwierć mili dalej. Na tylnym siedzeniu leżała jasna peruka i sukienka. Żaden świadek w centrum handlowym nie widział, żeby ktoś zamienił forda na inny pojazd.

Obydwa domy dokładnie sprawdziła ekipa z wydziału kryminalistycznego, lecz nie znalazła nic istotnego. Okazało się, że Phate - występujący jako Warren Gregg - rzeczywiście kupił obydwie domy, za gotówkę. Zadzwonili do pośrednika, który sprzedał obie nieruchomości. Kobieta nie uważała kupna za gotówkę za nic dziwnego; w Dolinie Szczęścia bogaci młodzi komputerowcy często kupowali jeden dom do mieszkania i drugi jako lokatę kapitału. Dodała jednak, że istotnie jedna rzecz w tej transakcji była dziwna: gdy przed chwilą na prośbę policji zajrzała do sprawozdania kredytowego i wniosku, okazało się, że wszystkie zapisy o sprzedaży zniknęły.

- Ciekawe, prawda? Pewnie zostały przypadkowo usunięte.

- Tak, ciekawe - rzekł z drwiną w głosie Bishop.

- Tak, przypadkowo - dorzucił Gillette.

- Zabierzmy jego maszynę do CCU - powiedział do hakera Bishop. - Jeśli będziemy mieli szczęście, może znajdziemy jakąś wzmiankę o nowej ofierze w college'u. Bierzmy się do roboty.

Johnson i Bishop polecili zakończyć poszukiwania, a potem Linda Sanchez wypełniła" karty dowodowe, a także spakowała komputer i dyskietki Phate'a.

Zespół wrócił do samochodów i pojechał z powrotem do biura CCU.

Gillette poinformował Patricię Nolan, że aresztowanie nie doszło do skutku.

- Znowu Shawn dał mu cynk? - spytała ze złością.

Kiedy zadzwonił telefon, Sanchez przekazała Gillette'owi i Nolan laptopa, po czym odebrała.

- Skąd wiedział, że zaatakujemy dom? - zastanawiał się Tony Mott. - Nie rozumiem.

- Chcę wiedzieć tylko jedno - mruknął Shelton. - Kto to, do cholery, jest Shawn?

Chociaż nie spodziewał się usłyszeć odpowiedzi, miał ją niebawem uzyskać.

- Wiem już, kto to jest - powiedziała Linda Sanchez zduszonym z przerażenia głosem.

Patrząc na wszystkich, odłożyła słuchawkę. Nerwowo pstrykając paznokciami, powiedziała: -

Dzwonił administrator systemu z San Jose. Dziesięć minut temu zauważył, że ktoś włamał się do ISLEnetu i wykorzystując go jako zaufany system, dostał się do bazy danych Departamentu Stanu. To był Shawn. Poleciał systemowi Departamentu Stanu wydać dwa paszporty ze wsteczną datą na fałszywe nazwiska. Sysadmin rozpoznał zdjęcia, jakie Shawn zeskanował do systemu. Na jednym był Holloway... - Głęboko nabrała powietrza. - A na drugim Stephen.

- Jaki Stephen? - zapytał zdeorientowany Tony Mott.

- Stephen Miller - odrzekła Sanchez, wybuchając płaczem. - To jest Shawn.

Bishop, Mott i Sanchez stali w boksie należącym do Millera, przeszukując jego biurko.

- Nie wierzę - powtarzał z uporem Mott. - To znowu sprawka Phate'a. Napieprzył nam w głowach.

- No to gdzie jest Miller? - spytał Bishop. Patricia Nolan oświadczyła, że gdy cały zespół był w domu Phate'a, ona siedziała w biurze i Miller nie dzwonił. Próbowwała go nawet namierzyć w różnych wydziałach komputerowych miejscowych college'ów, ale w żadnym go nie zastała.

Mott włączył komputer Millera.

Na ekranie wyświetliła się prośba o podanie hasła. Mott spróbował najgorszego sposobu - zaczął od zgadywania najbardziej oczywistych możliwości: daty urodzin, drugiego imienia i tak dalej. Nie uzyskał jednak dostępu.

Wtedy Gillette załadował swój program Crack-it, który w ciągu paru minut złamał

hasło i Gillette mógł wejść do maszyny Millera. Zaraz odnalazł kilkadziesiąt wiadomości wysłanych do Phate'a i podpisanych pseudonimem „Shawn”, logowanych do Internetu przez firmę Monterey On-Line. Same wiadomości były zaszyfrowane, ale nagłówki nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do prawdziwej tożsamości Millera.

- Ale przecież Shawn to kapitalny haker, w porównaniu z nim Stephen był amatorem.

- Socjotechnika - odparł krótko Bishop. Gillette przytaknął.

- Musiał wyglądać na głupiego, żebyśmy go nie podejrzewali. Tymczasem o wszystkim informował Phate'a.

- To przez niego zginął Andy Anderson - warknął Mott. - On go wciągnął w zasadzkę.

- I za każdym razem, gdy deptaliśmy Phate'owi po piętach, Miller go ostrzegał -

mruknął Shelton.

- Sysadmin ma jakieś podejrzenia, skąd Miller się włamał? - zapytał Bishop.

- Nie, szefie - odrzekła Sanchez. - Używał kuloodpornego anonimizera.

- Mówiłeś, że rezerwuje sobie dostęp do komputerów w szkołach - zwrócił się do Motta Bishop. - Czy wśród nich może być Uniwersytet Północnej Kalifornii?

- Nie wiem. Być może.

- A więc pomaga Phate'owi wybrać nowe ofiary. Zadzwoił telefon Bishopa.

Detektyw odebrał i słuchał, kiwając głową. Potem powiedział:

- To Huerto. - Gdy tylko Linda Sanchez miała telefon od administratora ISLEnetu, Bishop wysłał Ramireza i Morgana do domu Millera. - Nie ma samochodu Millera. Jego pracownia w domu jest pusta, zostały tylko kable i trochę części komputerowych. Zabrał

wszystkie komputery i dyskiety. Ma jakieś domy letniskowe? - spytał Motta i Lindę Sanchez.

- Rodzinę w okolicy?

- Nie. Maszyny to całe jego życie - rzekł Mott. - Pracował tu w biurze, a potem w domu.

- Roześlij zdjęcie Millera - powiedział do Sheltona Bishop. - Daj je też paru ludziom i wyślij ich na uniwersytet. - Spoglądając na komputer Phate'a, zapytał Gillette'a: - Dane w maszynie nie są zaszyfrowane, prawda?

- Nie. - Gillette pokazał na monitor, gdzie przesuwiał się napis - wygaszacz ekranu -

który był mottem Rycerzy Dostępu.

Bóg to dostęp...

- Zobaczę, co się da znaleźć. - Zasiadł przed laptopem. - Mógł zastawić mnóstwo pułapek - ostrzegła go Linda Sanchez.

- Będę bardzo ostrożny. Najpierw wyłączę wygaszacz i spróbujemy ruszyć dalej.

Znam miejsca, gdzie mógłby zgodnie z logiką ustawić jakieś sidła. - Gillette usadowił się przed monitorem i sięgnął do najbardziej niewinnego klawisza - SHIFT - aby wyłączyć wygaszacz ekranu. Sam klawisz SHIFT nie wydaje poleceń i w żaden sposób nie oddziałuje na programy ani dane

zgrupowane w komputerze, więc hakerzy nigdy nie podłączają do niego żadnych pułapek.

Ale Phate, oczywiście, nie był zwykłym hakerem. W chwili gdy Gillette wcisnął

klawisz, obraz z ekranu zniknął, a po chwili pojawił się komunikat: **POCZĄTEK SZYFROWANIA
BLOKOWEGO SZYFROWANIE - STANDARD**

13 DEPARTAMENTU OBRONY

- Nie! - krzyknął Gillette i wduśił wyłącznik. Jednak Phate zawiesił działanie wyłącznika zasilania i maszyna nie zareagowała. Gillette odwrócił laptop, żeby wyjąć baterię, ale guzik zwalniający zamknięcie był usunięty. W ciągu trzech minut cała zawartość twardego dysku została zaszyfrowana.

- Niech to szlag, niech to szlag... - Rozdrażniony Gillette walnął otwartą dłoń w blat.

- To na nic.

Agent Departamentu Obrony Backle wstał i wolno podszedł do komputera. Spojrzał

na Gillette'a, a potem na ekran pełen bezsensownych znaków. Następnie rzucił okiem na zdjęcia ofiar przyklejone do tablicy.

- Sądysz, że tu jest coś, co uratuje komuś życie? - spytał hakera, wskazując laptop.

- Być może.

- Pamiętaj o tym, co mówiłem. Jeżeli złamiesz ten szyfr, zapomnę, że to widziałem. I poproszę cię, żebyś oddał wszystkie dyskietki z programem do łamania szyfrów.

Gillette wahał się. W końcu spytał:

- Serio?

Backle zaśmiał się ponuro, dotykając opatrunku na głowie.

- Przez tego skurwiela boli mnie głowa. Dodam do listy zarzutów przeciw niemu atak na agenta federalnego.

Gillette zerknął na Bishopa, który skinął głową, na znak, że haker ma jego poparcie.

Gillette zasiadł przed terminalem i wszedł do sieci. Wrócił do swojego konta w Los Alamos, gdzie przechowywał hakerskie narzędzia i ściągnął plik o nazwie „Pac-Man”.

Patricia Nolan wybuchnęła śmiechem.

- Pac-Man?

Gillette wzruszył ramionami.

- Kiedy to skończyłem, byłem na nogach od dwudziestu dwóch godzin. Nie potrafiłem wymyślić żadnej lepszej nazwy.

Skopiował plik na dyskietkę i załadował ją do laptopa Phate'a. Na ekranie wyświetliły się słowa:

Szyfrowanie / Deszyfrowanie Podaj nazwę użytkownika: Gillette wstukał: *LukeSkywalker*

Podaj hasło:

Litery, numery i symbole, które Gillette wstukał, zmieniły się w ciąg osiemnastu gwiazdek.

- To jest, cholera, hasło - powiedział Mott. Na ekranie pojawiło się okienko: **Wybierz standard szyfrowania:**

- 1. Privacy On-Line, Inc.**
- 2. Standard Szyfrowania Obrony**
- 3. Standard 12 Departamentu Obrony**

4. NATO

5. International Computer Systems, Inc.

- To jest, cholera, hak - zawtórowała Motcie Patricia Nolan. - Napisałeś skrypt, który potrafi łamać wszystkie te standardy?

- Zwykle deszyfruje jakieś dziewięćdziesiąt procent pliku - odrzekł Gillette, wciskając klawisz 3. Następnie przystąpił do ładowania zaszyfrowanych plików do programu.

- Jak to zrobiłeś? - zapytał zafascynowany Tony Mott. Gillette nie umiał powstrzymać nutki entuzjazmu - i dumy -

w głosie, gdy powiedział:

- W zasadzie polega to na tym, że wprowadzam porcje każdego standardu, by program zaczął rozpoznawać wzory używane przez algorytm do szyfrowania. Potem zaczyna stawiać logiczne hipotezy o...

Nagle agent Backle wyciągnął rękę, złapał Gillette'a za kołnierz i brutalnie rzucił go na ziemię.

- Wyacie Edwardzie Gillette, jesteś aresztowany za naruszenie federalnej Ustawy o Oszustwach i Nadużyciach Komputerowych, kradzież tajnych informacji rządowych i zdradę.

- Nie zrobisz tego! - wrzasnął Bishop. Tony Mott ruszył na agenta.

- Ty skurwysynu!

Backle odchylił marynarkę, ukazując kolbę pistoletu.

- Ostrożnie. Poważnie zastanowiłbym się nad tym, co robisz. Mott się cofnął, a Backle niemal bez pośpiechu zakuł zatrzymanego w kajdanki.

- Daj spokój, Backle, słyszałeś, co mówiliśmy - rzekł ze złością Bishop. - Phate wziął

na cel kogoś w college'u. Może już nawet jest w kampusie!

- Powiedziałaś mu, że wszystko w porządku! - odezwała się Patricia Nolan.

Zachowując stoicki spokój i nie zwracając na nią uwagi, Backle podniósł Gillette'a z podłogi i popchnął na krzesło. Potem wyciągnął krótkofalówkę, włączył i powiedział do mikrofonu:

- Backle do Oddziału 23. Zatrzymałem podejrzanego. Możecie go zabrać.

- Zrozumiałem - zatrzeszczało w odpowiedzi radio.

- Ty go wrobiłeś! - krzyknęła z wściekłością Nolan. - Od początku na to czekaliście, gnojki!

- Dzwonię do kapitana - warknął Bishop, wyciągając telefon i ruszając zważnym krokiem w stronę drzwi.
 - Dzwon, do kogo zechcesz. On i tak wróci do więzienia.
 - Mamy do czynienia z mordercą, który właśnie w tej chwili osacza nową ofiarę! - rzucił ze złością Shelton. - To może być jedyna okazja, żeby go powstrzymać.
 - A kod, który on złamał - odrzekł Backle, wskazując ruchem głowy Gillette'a - może oznaczać, że zginie setka innych ludzi.
 - Dał nam pan słowo - odezwała się Linda Sanchez. - To się w ogóle nie liczy?
 - Nie. Liczy się tylko łapanie takich jak on.
 - Daj mi tylko godzinę - powiedział z rozpaczą w głosie Gillette. Ale Backle przywołał na twarz swój złośliwy uśmiech i zaczął odczytywać hakerowi jego prawa.
- Właśnie w tym momencie usłyszeli strzały z zewnątrz i trzask tłuczonego szkła, gdy kule trafiły w zewnętrzne drzwi biura CCU.

Rozdział

00100110/trzydziesty ósmy

Mott i Backle wyciągnęli broń i spojrzeli w stronę drzwi. Sanchez osunęła się na kolana, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu pistoletu. Nolan przykucnęła pod biurkiem.

Frank Bishop wczołgał się przez krótki korytarz łączący zewnętrzne drzwi z zagrodą dinozaura.

- Trafili cię, szefie? - krzyknęła Sanchez.

- Nic mi nie jest! - Detektyw dotarł do ściany i ostrożnie wygramolił się na nogi.

Wyciągnął pistolet i zawołał: - Na zewnątrz jest Phate! Stałem w holu. Strzelił do mnie kilka razy. Ciągle tam stoi!

Backle wyminął go biegiem, alarmując przez krótkofalówkę swoich partnerów. Przy drzwiach kucnął, przyglądając się otworom po kulach w ścianie i stłuczonej szybie. Obok agenta stanął Tony Mott.

- Gdzie on jest? - zawołał Backle, wyglądając na zewnątrz i szybko chowając się z powrotem.

- Za tą białą furgonetką! - krzyknął detektyw. - Z lewej. Pewnie wrócił, żeby zabić Gillette'a. Wy dwaj, idźcie z prawej, przytrzymajcie go tam, gdzie jest. Ja znajdę go od tyłu.

Tylko nie wychylajcie się. Ma dobre oko. Gdy do mnie strzelał, chybił tylko, o parę cali.

Agent i młody policjant spojrzeli po sobie i skinęli głowami. Potem pędem wybiegli przez drzwi frontowe.

Bishop patrzył za nimi, a potem wstał i schował pistolet do kabury. Wepchnął do spodni połą koszuli, wyciągnął kluczyki i zdjął Gillette'owi kajdanki, które wsunął do kieszeni.

- Co robisz, szefie? - spytała Linda Sanchez, gramoląc się z podłogi.

Patricia Nolan wybuchnęła śmiechem, orientując się, co się przed chwilą stało.

- Ucieczka z więzienia, tak? - Aha.

- A strzały? - zapytała Sanchez. - To ja.

- Ty? - zdumiał się Gillette.

- Wyszedłem przed budynek i posłałem parę kulek przez frontowe drzwi. -

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Zdaje się, że zaczynam chwytać, o co chodzi w tej socjotechnice. - Wskazując komputer Phate'a, powiedział do Gillette'a. - Nie stój tak. Bierz jego maszynę i spływamy stąd.

Gillette potarł nadgarstki.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

- Jestem pewien, że Phate i Miller mogą już być w kampusie uniwersyteckim. I nie zamierzam dopuścić do następnego morderstwa. Więc lepiej się ruszmy.

Haker wziął komputer i ruszył w ślad za detektywem.

- Zaraz - zawołała Patricia Nolan. - Zaparkowałam z tyłu. Możemy wziąć mój wóz.

Bishop się zawahał.

- Pojedziemy do mojego hotelu - dodała. - Pomogę wam przy jego maszynie.

Detektyw skinął głową. Chciał coś powiedzieć do Lindy Sanchez, ale uciszyła go gestem pulchnej dłoni.

- Wiem tylko tyle, że kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że Wyatt ucieka, a ty ruszyłeś za nim w pogoń. Podobno jest w drodze do Napa, ale cały czas depczesz mu po piętach. Życzę powodzenia, szefie. Wypijcie kieliszek wina za moje zdrowie. Powodzenia.

Wyglądało jednak na to, że heroiczny czyn Bishopa pójdzie na marne.

W pokoju hotelowym Patricii Nolan - zdecydowanie najładniejszym apartamencie, jaki Wyatt Gillette widział w życiu - haker szybko deszyfrował dane w komputerze Phate'a.

Okazało się jednak, że to zupełnie inna maszyna od tej, do której Gillette włamał się wcześniej. Nie była wprawdzie gorąca, ale zawierała tylko system operacyjny, Trapdoora i trochę ściągniętych wycinków z gazet, które przysłał Phate'owi Shawn. Większość dotyczyła Seattle, gdzie Phate miał zapewne rozegrać kolejną rundę swojej gry. Teraz jednak, wiedząc, że komputer znalazł się w ich rękach, prawdopodobnie wybierze jakieś inne miejsce.

Nie było żadnych wzmianek o Uniwersytecie Północnej Kalifornii ani potencjalnej ofercie.

Bishop opadł ciężko na pluszowy fotel, bezradnie składając ręce, ze wzrokiem utkwionym w suficie.

- Nic nie ma.

- Mogę spróbować? - spytała Patricia Nolan. Usiadła obok Gillette'a i przewinęła zawartość katalogu. - Próbowałeś włączyć Restore8 i coś odzyskać?

- Nie - odrzekł haker. - Pomyślałem, że trwale wszystko usunął.

- Może wcale nie zawracał tym sobie głowy - zauważyła. - Był bardzo pewny, że nikt nie dostanie się do jego maszyny. A gdyby nawet się dostał, zatrzyma go bomba szyfrująca.

Uruchomiła program Restore8 i po chwili na ekranie pojawiły się dane, które Phate usunął w ciągu kilku ostatnich tygodni. Patricia Nolan zaczęła je czytać.

- Nic na temat szkoły. Ani następnych ataków. Widać tylko fragmenty rachunków za jakieś części komputerowe, które sprzedał. Większość danych jest uszkodzona. Ale kawałek da się mniej więcej przeczytać.

27- Ma%>%>%%c200!!!!++

55eerrx3-dostar do:

San Jose Com434312 Produuu234aawe%%%

WinchMster Oou46lke - 2335

San Jo-44-A-\$\$***

Wyst: 97J"seph McGona%>%gle

Bishop i Gillette odczytali tekst na ekranie.

- Ale to nic nam nie powie - rzekł haker. - To jest firma, która kupiła od niego części.

Musimy znać adres Phate'a, czyli skąd towar został dostarczony.

Gillette zajął miejsce Nolan przy komputerze i przejrzał resztę usuniętych plików.

Były to tylko cyfrowe śmieci.

- Nic.

Jednak Bishop pokręcił głową.

- Chwileczkę. - Wskazał na monitor. - Wróć do tamtego. Gillette przewinął ekran do ledwie czytelnego tekstu pokwitowania. Bishop postukał palcem w monitor, mówiąc:

- Ta firma - San José Computer Products - powinna mieć jakąś ewidencję tych, którzy sprzedają jej części i skąd się je przysyła.

- Chyba że wiedzą, że są kradzione - rzekła Patricia Nolan. - Wtedy zaprzeczają, że w ogóle wiedzą cokolwiek o Phacie.

- Założę się, że kiedy im powiemy, że Phate zabija ludzi - powiedział Gillette - będą trochę bardziej skłonni do współpracy.

- Albo mniej - zauważyła sceptycznie Nolan.

- Przyjmowanie kradzionych towarów to przestępstwo - dodał Bishop. - Uniknięcie odsiadki w San Quentin jest chyba dobrym powodem, żeby współpracować.

Pochylając się nad telefonem, detektyw dotknął swojej lakierowanej fryzury.

Zadzwoił do biura CCU, modląc się w duchu, żeby odebrał ktoś z zespołu, nie Backle ani żaden inny z federalnych. Słyszając głos Tony'ego Motta, odetchnął z ulgą.

- Tony, tu Frank. Możesz mówić?... Jak tam, źle?... Mają jakiś zamiar?... Nie, pytam o zamiar na nas... To dobrze. Słuchaj, mam prośbę, sprawdź firmę San José Computer Products, Winchester 2335 w San José... Nie, zaczekam.

Po chwili Bishop zaczął wolno kiwać głową.

- Dobra, dzięki. Wydaje się nam, że Phate sprzedawał im części komputerowe.

Pogadamy z kimś z firmy. Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiemy. Słuchaj, zadzwoń do dyrektora administracyjnego i szefa ochrony uniwersytetu, powiedz im, że morderca może już być w drodze do szkoły. I wyślij tam więcej ludzi.

Odłożył słuchawkę i powiedział do Nolan i Gillette'a:

- Firma jest czysta. Działa piętnaście lat, nigdy nie miała problemów z urzędem skarbowym, Agencją Ochrony Środowiska ani stanowym departamentem podatkowym. Mają opłacone wszystkie licencje. Jeśli kupowali cokolwiek od Phate'a, prawdopodobnie nie wiedzieli, że to trefny towar. Pojedziemy

pogadać z tym McGonagle'em albo kimś innym.

Gillette wstał, żeby wyjść z detektywem, lecz Patricia Nolan powiedziała:

- Idźcie sami. Ja pogrzebię jeszcze w jego maszynie. Przystając w drzwiach, Wyatt Gillette spojrzął przez ramię na Patricię siedzącą przy klawiaturze. Posłała mu nikły uśmiech zachęty. Odniósł jednak wrażenie, że był w nim smutek, a wyraz jej twarzy mógł znaczyć coś jeszcze - godziła się z myślą, że nie ma nadziei, by połączyło ich jakieś uczucie.

Mimo to po chwili, tak jak często zdarzało się samemu Gillette'owi, Patricia Nolan nagle przestała się uśmiechać, odwróciła do rozjarzonego monitora i zaczęła wściekle tłuc w klawisze. W absolutnym skupieniu malującym się na twarzy, momentalnie opuściła Real, wkraczając w Błękitną Pustkę.

Gra przestała go już bawić.

Spocony, wściekły i zdesperowany Phate osunął się ciężko na krzesło przy biurku i nieobecnym spojrzeniem omiół swoją cenną kolekcję zabytków komputerowych. Zdawał

sobie sprawę, że Gillette i policja depczą mu już po piętach i dalsza gra tu, w tonącym w zieleni okręgu Santa Clara, staje się niemożliwa.

Była to bardzo bolesna świadomość, ponieważ uważał ten tydzień - tydzień Univaca -

za bardzo ważną wersję swojej gry. Przypominała słynną grę MUD, Krucjaty; Dolina Krzemowa była nową Ziemią Świętą, a on chciał odnieść zwycięstwo na wszystkich poziomach.

Ale policja - i Valleyman - okazali się o wiele lepsi, niż przypuszczał.

Tak więc zabrakło mu opcji w grze. Przybrał nową tożsamość i zamierzał

niezwłocznie wyjechać z Shawnem do innego miasta. Wcześniej planował Seattle, ale istniało ryzyko, że Gillette potrafił złamać szyfr Standard 12 i poznać szczegóły rozgrywki w Seattle oraz potencjalne cele.

Może spróbuje w Chicago, na Prerii Krzemowej. Albo w rejonie Drogi 128 na północ od Bostonu.

Nie mógł jednak czekać tak długo na triumf - zżerała go żądza gry. Na koniec podrzuci więc bombę benzynową do akademika Uniwersytetu Północnej Kalifornii.

Pożegnalny prezent. Jeden z akademików nosił imię pewnego pioniera Doliny Krzemowej, ale ze względu na to, że byłby to łatwy do odgadnięcia cel, postanowił, że zginą studenci z akademika naprzeciwko. Ten nazwano imieniem Yeatsa, poety, który niewątpliwie miał

niewiele czasu na maszyny i wszystko, co z nimi związane.

Akademik był starą drewnianą konstrukcją, wyjątkowo narażoną na działanie ognia, zwłaszcza po

tym, jak szkolny komputer wyłączył alarmy i instalację tryskaczową.

Należało jednak zrobić coś jeszcze. Gdyby walczył z kimś innym, nie zawracałby sobie tym głowy. Ale na tym poziomie gry jego przeciwnikiem był Wyatt Gillette, musiał

więc zyskać trochę czasu, żeby podłożyć bombę i zdążyć uciec na wschód. Był tak wściekły, że miał ochotę złapać karabin maszynowy i wystrzelać kilkunastu ludzi, żeby tylko zająć czymś policję. Lecz oczywiście działania tego rodzaju nie godziły się z jego naturą. Usiadł

zatem przed komputerem i zaczął spokojnie wstukiwać znane sobie zaklęcia.

Rozdział

00100111/trzydziesty dziewiąty

W centrum zarządzania Departamentu Infrastruktury Okręgu Santa Clara, znajdującym się w okolonym drutem koleczastym kompleksie budynków w południowej części San José, stał duży komputer typu mainframe, któremu nadano przydomek Alanis -

imię znanej piosenkarki.

Maszyna nadzorowała setki prac prowadzonych przez departament - planowała konserwację i naprawy ulic, regulowała rozdział wody podczas okresów suszy, pilnowała wywózki śmieci, kontrolowała stan kanalizacji, a także koordynowała działanie dziesiątek tysięcy świateł sygnalizacyjnych w całej Dolinie Krzemowej.

Niedaleko Alanis znajdowało się jedno z jej głównych łącz ze światem zewnętrznym -

trzydzieści dwa modemy o dużej szybkości zamontowane na sześciostopowym metalowym stojaku. W tym momencie - była piętnasta trzydzieści - z modemami łączyło się wiele telefonów. Wśród połączeń była wiadomość od starego mechanika z Mountain View.

Pracował w departamencie od lat i dopiero niedawno zgodził się stosować do wymogów firmy i zaczął porozumiewać z centralą elektronicznie. Logował się z terenu przez laptop i w ten sposób dostawał nowe zlecenia, dowiadywał się o awariach w różnych systemach infrastruktury i zgłaszał zakończenie napraw przez jego zespół. Pucowałowy pięćdziesięciopięciolatek, który kiedyś uważał, że komputery to strata czasu, stał się wielkim entuzjastą maszyn i wykorzystywał każdą okazję, żeby się zalogować.

E-mail, jaki przysłał teraz do Alanis, był krótką informacją o zakończeniu naprawy w kanalizacji.

Jednak wiadomość, którą komputer otrzymał, była nieco inna. W topornym tekście wystukany jednym palcem przez mechanika znajdowała się dodatkowa porcja kodu: demon Trapdoor.

Demon skoczył w głąb niczego niepodjęrzewającej Alanis i zagrzebał się głęboko w systemie operacyjnym.

Siedem mil dalej, siedzący przy własnym komputerze Phate przejął root, po czym szybko przejrzał zawartość Alanis, odnajdując potrzebne polecenia. Zapisał je w żółtym notatniku i wrócił do katalogu głównego. Zaglądając do kartki, wpisał „permit/g/segment-*” i wcisnął ENTER. Podobnie jak wiele innych poleceń w systemach operacyjnych komputerów technicznych, to także było szyfrowane, ale miało konkretne konsekwencje.

Następnie Phate zniszczył program ręcznego przejmowania kontroli i zmienił główne hasło na ZZY? a##9%48?95, na które nie mogłaby wpaść żadna ludzka istota, a superkomputer łamałby je w najlepszym razie kilka dni.

Potem się wylogował.

Zanim zaczął pakować swoje rzeczy przed ucieczką z Doliny Krzemowej, usłyszał pierwsze odgłosy skutków swego dzieła.

Bordowe volvo przejechało skrzyżowanie na Stevens Creek Boulevard i z piskiem opon zarzuciło je wprost na radiowóz Bishopa.

Kierowca patrzył przerażony na nieuchronną kolizję.

- Jezu, uważaj! - krzyknął Gillette, instynktownie zasłaniając się ramieniem, odwracając głowę w lewo i zamykając oczy, by nie patrzeć na pędzący prosto na niego słynny ukośny chromowany pasek na chłodnicy samochodu.

- Poradzę sobie - odrzekł spokojnie Bishop.

Może to był instynkt, może policyjna nauka jazdy, ale detektyw nie hamował. Wdusił

pedał gazu do podłogi i rzucił forda w stronę nadjeżdżającego samochodu. Udało się. Pojazdy minęły się o parę cali, a volvo z głośnym hukiem walnęło w przedni zderzak porsche sunącego za radiowozem. Bishop opanował poślizg i zatrzymał wóz.

- Idiota, przejechał na czerwonym - mruknął detektyw, ściągając z deski rozdzielczej mikrofon, żeby zgłosić wypadek.

- Wcale nie - powiedział Gillette, oglądając się do tyłu. - Popatrz, z obu stron świeci się zielone.

Przecnicę przed nimi na środku skrzyżowania stały dwa samochody, a spod ich masek unosił się dym.

Radio trzeszczało, zapchane zgłoszeniami o kolejnych wypadkach i awariach sygnalizacji świetlnej. Przez chwilę słuchali.

- Wszędzie są zielone światła - rzekł detektyw. - W całym okręgu. To Phate, prawda?

On to zrobił.

Gillette zaśmiał się cierpko.

- Włamał się do centrum infrastruktury. To zasłona dymna, żeby mógł uciec z Millerem.

Bishop ruszył dalej, ale z powodu tłoku musieli zwolnić do kilku mil na godzinę.

Migający kogut na desce rozdzielczej nie pomagał, więc Bishop go wyłączył. Przekrzykując ryk klaksonów, zapytał:

- Jak mogą to naprawić?

- Prawdopodobnie zawiesił system albo wprowadził hasło nie do złamania. Będą musieli przeładować kopie zapasowe z taśm. Parę godzin z głowy. - Haker pokręcił głową. -

Ale przecież on też utknie w korkach. Jaki w tym sens?

- Nie - odrzekł Bishop. - On będzie na autostradzie. Zapewne przy samym wjeździe. A wcześniej na Uniwersytecie Północnej Kalifornii. Zabije następną ofiarę, wskoczy z powrotem na autostradę i spokojnie pojedzie sobie Bóg wie dokąd.

Gillette skinął głową i dodał:

- Przynajmniej nikt nie ruszy się z San José Computer Products. Ćwierć mili przed celem ich podróży ruch uliczny zupełnie ustał. Bishop i Gillette musieli porzucić samochód; wyskoczyli z wozu i ruszyli truchtem, wiedząc, że najbardziej liczy się teraz czas. Jeżeli Phate spowodował korek, to znaczy, że był już gotów do ataku na szkołę. Nawet jeżeli ktoś w firmie znajdzie adres dostawcy, nie dadzą rady dotrzeć do kryjówki Phate'a przed śmiercią kolejnej ofiary i ucieczką Phate'a i Millera.

Dobiegli do budynku, gdzie mieściła się firma San José Computer Products, i przystanęli, opierając się o ogrodzenie z zielonych łańcuchów i z trudem łapiąc oddech.

Powietrze rozdzierała kakofonia klaksonów i dudnienie helikoptera, który krążył

nieopodal: miejscowa stacja telewizyjna rejestrowała dla reszty kraju dowody biegłości Phate'a - i bezbronności okręgu Santa Clara.

Po chwili mężczyźni ruszyli dalej, w kierunku otwartych drzwi obok rampy załadowniczej firmy. Wbiegli po schodkach na rampę i wpadli do środka. Na ich widok uniósł

głowę pulchny, siwowłosy robotnik, który układał kartony na palecie.

- Przepraszam, policja - rzekł Bishop, pokazując odznakę. - Musimy zadać panu kilka pytań.

Mrużąc oczy, człowiek dokładnie obejrzał przez grube okulary legitymację detektywa.

- Słucham, czym mogę służyć?

- Szukamy Joego McGonagle'a.

- To ja - odparł. - Chodzi o jakiś wypadek? Słyszałem klaksony.

- Zepsuła się sygnalizacja.

- A to dopiero. A zaraz godziny szczytu.

- Pan jest właścicielem firmy? - zapytał Bishop.

- Ja i szwagier. O co właściwie chodzi, detektywie?

- W zeszłym tygodniu przyjął pan dostawę części do superkomputera.

- Co tydzień mamy takie dostawy. Na tym polega nasza działalność.

- Mamy powody przypuszczać, że ktoś mógł panu sprzedać kradzione części.

- Kradzione?

- Śledztwo nie dotyczy pana. Ale zależy nam na odnalezieniu człowieka, który je panu sprzedał. Mógłby nam pan pokazać dokumenty odbioru?

- Nie wiedziałem, że coś mogło być kradzione, przysięgam. Jim też by tego nie zrobił.

Jest dobrym chrześcijaninem.

- Chcemy tylko znaleźć człowieka, który sprzedał części, nic więcej. Potrzebujemy adresu albo numeru telefonu firmy, z której pochodziły.

- Wszystkie dokumenty dostaw są tutaj. - Ruszył korytarzem. - Ale gdybym potrzebował jakiegoś adwokata, zanim coś powiem, uprzedziłby mnie pan.

- Oczywiście - odrzekł szczerze Bishop. - Interesuje nas tylko wytropienie tego człowieka.

- Jak on się nazywa? - zapytał McGonagle. - Prawdopodobnie przedstawiał się jako Warren Gregg.

- Nic mi to nie mówi.

- Ma wiele tożsamości.

McGonagle wszedł do małego biura, zbliżył się do szafki z aktami i otworzył ją.

- Zna pan datę? Kiedy miała być ta dostawa? Bishop zerknął do notatnika.

- Wydaje się nam, że dwudziestego siódmego marca.

- Zobaczymy... - McGonagle zajrzał do szuflady i zaczął szperać w papierach.

Na ten widok Wyatt Gillette nie umiał powstrzymać uśmiechu. Paradoksalne, że firma handlująca częściami komputerowymi prowadzi drewnianą dokumentację i trzyma ją w szafkach. Miał właśnie szepnąć Bishopowi słówko na ten temat, ale przypadkiem rzucił

okiem na lewą dłoń McGonagle'a opartą o uchwyt szuflady, podczas gdy druga przerzucała papiery.

Palce, grube i muskularne, były tępo zakończone żółtą, zgrubiałą skórą.

Manikiur hakera...

Uśmiech zamarł mu na wargach i Gillette znieruchomiał. Bishop dostrzegł to i zerknął

na niego pytająco. Haker pokazał na swoje opuszki, a potem wskazał wzrokiem dłoni McGonagle'a. Detektyw też zauważył.

McGonagle uniósł głowę, spoglądając prosto w oczy Bishopa, z których wszystko wyczytał.

Tyle że, oczywiście, wcale nie nazywał się McGonagle. Pod farbowanymi na siwo włosami, sztucznymi zmarszczkami, okularami i wypchanym ubraniem ukrywał się Jon Patrick Holloway. Gillette ujrzał w myślach oderwane od siebie fragmenty, które przesuwają się jak skrypt programu: Joe McGonagle jest po prostu jego kolejną tożsamością. A firma kolejną przykrywką. Phate włamał się do stanowego rejestru przedsiębiorstw, stworzył firmę z piętnastoletnim stażem, której właścicielami mianował siebie i Millera. Pokwitowanie, jakie znaleźli, wystawiono na część, którą Phate kupił, a nie sprzedał.

Żaden z nich się nie ruszał.

Potem błyskawicznie Gillette się uchylił, a Phate skoczył do tyłu, wyciągając z szuflady szafki broń. Bishop nie zdążył wyszarpnąć swojego pistoletu; rzucił się po prostu na mordercę, który upuścił broń. Bishop kopnął ją na bok, Phate złapał go za rękę, która już miała zadać cios, i schwycił młotek leżący na drewnianej skrzynce. Zamachnął się i uderzył

Bishopa w głowę. Młotek trafił w cel z okropnym łomotem.

Detektyw stracił dech i runął na ziemię. Phate wymierzył mu drugi cios w potylicę, a potem rzucił młotek i sięgnął po leżący na podłodze pistolet.

Rozdział

000101000/czterdziesty

Gillette instynktownie skoczył naprzód, chwytając Phate'a za kołnierz i rękę, zanim ten zdążył podnieść pistolet. Morderca kilka razy uderzył Gillette'a pięścią w twarz i szyję, ale byli tak blisko siebie, że ciosy nie wyrządziły mu poważnej krzywdy.

Szczepieni wpadli w drzwi prowadzące z biura do jakiegoś większego pomieszczenia -

była to zagroda dinozaura, taka sama jak w biurze CCU.

Dzięki ćwiczeniom przez dwa lata pompkom na opuszkach palców Gillette trzymał

Phate'a dość mocno, ale mordercy też nie brakowało sił i Gillette nie potrafił zdobyć przewagi. Potknęli się o wysoką podłogę, wciąż trwając w zapaśniczym uścisku. Gillette rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś broni. Zdumiał go widok zgromadzonej tu kolekcji starych komputerów i części. Ilustrowały całą historię rozwoju komputeryzacji.

- Wiemy wszystko, Jon - wysapał Gillette. - Wiemy, że Stephen Miller to Shawn.

Znamy twoje plany, następne cele. Nie wydostaniesz się stąd.

Ale Phate nie odpowiedział. Z gniewnym pomrukiem cisnął Gillette'em o podłogę, po omacku sięgając po leżący nieopodal łom. Jęcząc z wysiłku, Gillette zdołał odciągnąć Phate'a od metalowego pręta.

Przez pięć minut hakerzy bezładnie wymieniali ciosy, coraz bardziej zmęczeni.

Wreszcie Phate zdołał się wyswobodzić. Dopadł łomu i chwycił go. Ruszył w kierunku Gillette'a, który rozpaczliwie rozglądał się za bronią. Dostrzegł leżące na stole stare drewniane pudełko, więc zerwał z niego wieko i wyciągnął zawartość. Phate stanął jak wryty.

Gillette trzymał w dłoni coś, co przypominało antyczną żarówkę - był to oryginalny audion, poprzednik lampy próżniowej i - później - krzemowego układu scalonego.

- Nie! - krzyknął Phate, unosząc rękę. - Ostrożnie, błagam - wyszeptał.

Gillette cofnął się w stronę biura, gdzie został Frank Bishop.

Phate zbliżył się powoli, trzymając łom jak kij baseballowy. Wiedział, że powinien uderzyć Gillette'a w ramię lub głowę - mógłby to z łatwością uczynić - a jednak nie odważył

się narazić na szwank kruchego antyku.

Maszyny stały się dla niego ważniejsze od ludzi. Śmierć człowieka to pestka; zniszczenie twardego dysku to tragedia...

- Ostrożnie - powtórzył szeptem Phate. - Błagam.

- Rzuć to! - warknął Gillette, pokazując łom.

Morderca zaczął już brać zamach, lecz w ostatniej chwili powstrzymała go myśl o uszkodzeniu delikatnej szklanej bańki. Gillette ocenił odległość za sobą, a potem rzucił

audionem w Phate'a, który krzyknął ze zgrozą i upuścił łom, usiłując złapać zabytek. Ale bańka spadła na podłogę i rozbiła się.

Phate osunął się na kolana z głuchym szlochem.

Gillette cofnął się szybko do biura, w którym leżał zakrwawiony i ciężko oddychający Frank Bishop, i chwycił jego pistolet. Wszedł do zagrody i wycelował broń w Phate'a, który patrzył na resztki audionu jak ojciec spoglądający na grób dziecka. Niema zgroza i rozpacz malująca się na jego twarzy przeraziły Gillette'a o wiele bardziej niż wcześniejsza furia.

- Nie powinieneś tego robić - wycedził morderca, ocierając mokre oczy rękawem i podnosząc się wolno. Zdawał się nawet nie zauważać, że Gillette jest uzbrojony.

Phate podniósł łom i ruszył naprzód, wyjąc z wściekłości.

Gillette skulił się, uniósł pistolet i zaczął naciskać spust.

- Nie! - krzyknął nagle kobiecy głos.

Gillette drgnął na jego dźwięk. Obejrzał się przez ramię i zobaczył Patricję Nolan, która wbiegła do zagrody dinozaura z torbą z laptopem przewieszoną przez ramię i czarnym przedmiotem przypominającym latarkę w dłoni. Phate też znieruchomiał zaskoczony jej zdecydowanym wejściem.

Gillette miał właśnie zapytać, jak się tu dostała - i po co - gdy nagle uniosła tamten czarny walec i dotknęła końcem tatuażu na jego ramieniu. Okazało się, że to nie jest latarka.

Gillette usłyszał elektryczny trzask, ujrzał żółto-szarą iskrę i poczuł ból przeszywający go od szczęki po klatkę piersiową. Łapiąc oddech, padł na kolana, upuszczając pistolet na podłogę.

Cholera, znowu błąd! Stephen Miller wcale nie jest Shawnem.

Szukał na oślep broni, lecz Patricia Nolan dotknęła paralizatorem jego szyi i jeszcze raz nacisnęła spust.

Rozdział

00101001/czterdziesty pierwszy

Wyatt Gillette ocknął się obolały i stwierdził, że może poruszać tylko palcami i głową. Nie miał pojęcia, jak długo leżał nieprzytomny.

Widział Bishopa, który wciąż był w biurze. Krwawienie chyba ustało, ale detektyw nadal oddychał z wielkim trudem. Gillette zauważył też, że została tu cała kolekcja starych części komputerowych, które Phate pakował, kiedy przyszli do niego z Bishopem. Zdziwił

się, że nie zabrali tych pamiątek, wartych z milion dolarów.

Bo na pewno już wyjechali. Magazyn znajdował się tuż obok wjazdu na autostradę 280 w Winchester. Tak jak przewidzieli Gillette i Bishop, Phate i Shawn ominęli korki i byli już pewnie na Uniwersytecie Północnej Kalifornii, zabijając ostatnią ofiarę na tym poziomie gry. Są...

Ale zaraz, pomyślał Gillette przez mgłę bólu - dlaczego on jeszcze żyje? Nie mieli żadnych powodów, by zostawić go przy życiu. Co oni...

Krzyk dobiegł zza jego pleców, z bardzo bliska. Wstrząśnięty Gillette wstrzymał oddech i z najwyższym trudem odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegł przeraźliwy wrzask.

Patricia Nolan kuciała nad Phate'em, który skulony z bólu siedział oparty o metalową kolumnę wznoszącą się aż do ciemnego sufitu. Nolan miała włosy ściągnięte w ciasny kok.

Po nieśmiałej dziewczynie-komputerowcu nie pozostał żaden ślad. Przyglądała się Phate'owi wzrokiem koronera. On też nie był związany - trzymał ręce wzdłuż tułowia - i Gillette przypuszczał, że także jego Nolan potraktowała paralizatorem. Teraz jednak zamieniła nowoczesną broń na młotek, którym Phate uderzył Bishopa.

A więc nie jest Shawnem. Wobec tego kim?

- Rozumiesz już, że nie żartuję - powiedziała do mordercy, celując w niego młotkiem jak nauczyciel wskaźnikiem. - Mogę ci w każdej chwili zrobić krzywdę.

Phate skinął głową. Po twarzy ściekały mu strużki potu.

Musiała zauważyć ruch głowy Gillette'a. Zerknęła w jego stronę, ale najwidoczniej uznała, że nie stanowi żadnego zagrożenia. Odwróciła się z powrotem do Phate'a.

- Chcę dostać kod źródłowy Trapdoora. Gdzie jest? Wskazał ruchem głowy laptop stojący na stole za jej plecami.

Rzuciła okiem na ekran. Młotek uniósł się i z okropnym miękkim łupnięciem wylądował na jego nodze. Phate znów wrzasnął.

- Przecież nie nosiłbyś kodu źródłowego w laptopie. To atrapa, mam rację? A program, który nazwałeś tu Trapdoor - co to naprawdę jest? - Uniosła groźnie młotek.

- Shredder-4 - wydyszał Phate.

Wirus niszczący wszystkie dane w komputerze, do którego się dostał.

- Nie pomagasz mi, Jon. - Nachyliła się bliżej, rozciągając jeszcze bardziej swój nieszczęsny sweter i sukienkę z dzianiny. - Posłuchaj. Wiem, że Bishop nie wezwał posiłków, bo uciekł z Gillette'em. A nawet gdyby wezwał, nikt tu nie przyjedzie, bo - dzięki tobie -

wszystkie ulice są zakorkowane. Mam mnóstwo czasu, żeby cię przekonać, żebyś mi powiedział to, co chcę usłyszeć. Uwierz mi, potrafię to zrobić. To dla mnie betka.

- Pierdol się - wyrzucił z siebie.

Spokojnym gestem wzięła go za przegub i wolno wyprostowała mu rękę, kładąc dłoń na betonie. Próbował się opierać, ale nie był w stanie. Wpatrywał się w swoje rozczapierzone palce i zawieszony nad nimi żelazny obuch.

- Chcę kod źródłowy. Wiem, że go tu nie masz. Ukryłeś go gdzieś w Sieci - pewnie na serwerze FTP zabezpieczonym hasłem, zgadza się?

Wielu hakerów przechowywało swoje programy na serwerach FTP*. * *File transfer protocol* - protokół

przesyłania plików. Mógł to być każdy system komputerowy gdziekolwiek na świecie. Bez dokładnego adresu FTP, nazwy użytkownika i hasła możliwość odnalezienia konkretnego pliku równała się znalezieniu kropki na mikrofilmie w lesie tropikalnym.

Phate wahał się.

- Spójrz na te paluszki... - powiedziała pieszczotliwym tonem Nolan, gładząc jego tępo zakończone palce. Po chwili szepnęła: - Gdzie jest kod?

Phate pokręcił głową.

Błysnął młotek, opadając na mały palec Phate'a. Gillette nie słyszał nawet uderzenia.

Usłyszał tylko ochryply wrzask.

- Mogę to robić cały dzień - rzekła spokojnie Nolan. - To nie kłopot, na tym polega moja praca.

Nagle twarz Phate'a wykrzywił grymas wściekłości. Przyzwyczajony, że to on ma nad wszystkim kontrolę, mistrz gier MUD był teraz zupełnie bezradny.

- Pierdol się. - Zaśmiał się krótko. - I tak nie znajdziesz chętnego, który ci to zrobi.

Jesteś lamerem. Starą cyberpanną - masz przed sobą dość gówniane życie.

Błysk gniewu w jej oczach zniknął równie szybko, jak się pojawił. Znow uniosła młotek.

- Nie, nie! - krzyknął Phate. Głęboko nabrał powietrza. - Dobrze... - Podał jej numery adresu internetowego, nazwę użytkownika i hasło.

Nolan wyciągnęła telefon komórkowy i wcisnęła przycisk. Ktoś po drugiej stronie odebrał natychmiast. Przekazała tej osobie szczegóły, które podał Phate, a potem powiedziała:

- Zaczekam. Sprawdź to.

Pierś Phate'a unosiła się i opadała. Zamrugał oczami, powstrzymując łzy bólu. Potem spojrzał w stronę Gillette'a.

- Patrz, Valleyman, akt trzeci. - Wyprostował się lekko, przesuując zakrwawioną dłoń o dwa cale. Skrzywił się. - Gra nie potoczyła się dokładnie tak, jak myślałem. Zdaje się, że mamy zaskakujące zakończenie.

- Cicho - mruknęła Nolan.

Ale Phate, nie zwracając na nią uwagi, mówił dalej do Gillette'a urywanym głosem:

- Chcę ci coś powiedzieć. Słuchasz? „Rzetelnym bądź sam względem siebie, a jako po dniu noc z porządku idzie, tak za tym pójdzie, że i względem drugich będziesz rzetelnym”. -

Na moment zaniósł się kaszlem. - Uwielbiam sztuki. To z „Hamleta”, mojej ulubionej.

Zapamiętaj ten fragment, Valleyman. To rada czarodzieja. „Rzetelnym bądź sam względem siebie”.

Słuchając kogoś przez telefon, Nolan zmarszczyła brwi. Ramiona opadły jej bezradnie i rzuciła do słuchawki:

- Zaczekaj.

Odłożyła telefon na bok i znów chwyciła młotek, mierząc piorunującym spojrzeniem Phate'a, który - choć półprzytomny z bólu - śmiał się słabo.

- Sprawdzili ten serwer - powiedziała - i okazało się, że to konto e-mailowe. Kiedy otworzyli pliki, program komunikacyjny wysłał coś na uniwersytet w Azji. To był Trapdoor?

- Nie wiem, co to było - wyszeptał, patrząc na pogruchotaną i zakrwawioną rękę.

Smutek ustąpił miejsca zimnemu uśmiechowi. - Może podałem ci zły adres.

- To podaj mi dobry.

- Po co ten pośpiech? - spytał z okrutnym uśmiechem. - Masz randkę z kotem w domu? Chcesz zdążyć na swój ulubiony program telewizyjny? Umówiłaś się na wino... ze sobą?

Znów na moment straciła nad sobą panowanie i walnęła go młotkiem w rękę.

Phate ponownie wrzasnął.

Powiedz jej, pomyślał Gillette. Na litość boską, powiedz jej!

Ale on milczał przez ciągnące się w nieskończoność pięć minut, bo tyle trwała tortura; młotek wznosił się i opadał, miażdżąc kości palców. W końcu Phate miał już dosyć.

- Dobrze. - Podał jej następny adres, nazwę i hasło.

Nolan przekazała przez telefon nowe dane osobie na drugim końcu. Zaczekała kilka minut.

- Sprawdź wiersz po wierszu, potem uruchom kompilator i zobacz, czy jest prawdziwy

- odezwała się.

Czekając na odpowiedź, przyglądała się kolekcji komputerowych staroci. Od czasu do czasu w jej oczach błyskało uznanie - a nawet zachwyt - na widok poszczególnych eksponatów.

Pięć minut później odezwał się jej towarzysz po drugiej stronie telefonu.

- Dobrze - odparła Nolan, najwyraźniej uspokojona, że kod źródłowy okazał się prawdziwy. - Teraz wróć na ten serwer FTP i przejmij root. Sprawdź logi ładowania i pobierania. Zobacz, czy nie przesłał kodu gdzie indziej.

Gillette zastanawiał się, z kim rozmawiała. Przegląd i kompilacja tak skomplikowanego programu jak Trapdoor w normalnych warunkach musiałyby trwać wiele godzin; Gillette przypuszczał, że pracuje nad tym duża grupa ludzi, korzystając z dedykowanych superkomputerów.

Po chwili Nolan otrzymała odpowiedź.

- W porządku. Spal ten serwer i wszystko, z czym się łączy. Najlepiej Infekt IV.. Nie, mam na myśli całą sieć. Nie obchodzi mnie, czy ma połączenie z Noradem, czy systemem kontroli lotów. Spal wszystko.

Działanie wspomnianego przez nią wirusa przypominało pożar buszu. Metodycznie zniszczy zawartość wszystkich plików serwera FTP, na którym Phate przechowywał kod źródłowy, a także wszystkie maszyny podłączone do serwera. Infekt IV zmieni dane w tysiącach maszyn w nierozpoznawalny ciąg przypadkowych znaków, z których nie sposób będzie złożyć żadnej informacji mającej jakikolwiek związek z Trapdoorem, nie mówiąc już o odtworzeniu kodu źródłowego.

Phate zamknął oczy i oparł głowę o kolumnę.

Nolan wstała i z młotkiem w ręce podeszła do Gillette'a. Haker obrócił się na bok, usiłując odczołgać się dalej, lecz po serii wstrząsów elektrycznych wciąż nie panował nad ciałem i znów upadł na podłogę. Patricia nachyliła się nad nim. Gillette utkwił spojrzenie w młotku. Potem przyjrzał się jej uważniej i zauważył, że jej włosy u nasady mają trochę inny kolor i że Patricia Nolan nosi zielone soczewki kontaktowe. Pod grubym makijażem, który nadawał jej twarzy niezdrową ziemistość, można było dostrzec rysy szczupłej osoby. Co zapewne oznaczało, że podobnie jak Phate wypchała sobie ubranie, aby optycznie dodać sobie ze trzydzieści funtów i zamaskować niewątpliwie gibkie i muskularne ciało.

Potem zwrócił uwagę na jej ręce.

Palce... opuszki zdawały się połyskiwać matowo. Gillette zrozumiał: cały czas, gdy nakładała odżywkę do paznokci, smarowała nią także opuszki, aby nie pozostawiać odcisków palców.

Ona też stosowała wobec nas socjotechnikę. Od pierwszego dnia.

- Już od dawna go szukałaś, prawda? - szepnęła Gillette. Nolan skinęła głową.

- Od roku. Odkąd dowiedzieliśmy się o Trapdoorze.

- „My” czyli kto?

Nie odpowiedziała, ale nie musiała. Gillette przypuszczał, że nie pracuje w Horizon On-Line - ani w ogóle w Horizon - ale w konsorcjum dostawców Internetu, które zatrudniło ją, żeby odnalazła kod źródłowy Trapdoora, najpotężniejszego programu dla podglądaczy, który dawał niczym nieograniczony dostęp do życia niczego niepodejrzewających użytkowników. Szefowie Nolan nie chcieli używać Trapdoora, ale napisać chroniące przed nim szczepionki, a potem zniszczyć albo poddać kwarantannie program, który stanowił

ogromne zagrożenie dla wartego biliony dolarów przemysłu. Gillette wyobrażał sobie, jak szybko abonenci rezygnowaliby z usług swoich dostawców internetowych i nigdy więcej nie wchodzili już do Sieci, gdyby się dowiedzieli, że hakerzy mogą swobodnie szperać w ich komputerach i poznać każdy szczegół ich życia. Okraść ich. Obnażyć. A nawet zniszczyć.

Nolan wykorzystwała Andy'ego Andersona, Bishopa i resztę CCU, tak samo jak prawdopodobnie wykorzystwała policję w Portland i północnej Wirginii, gdzie Phate i Shawn dokonali wcześniejszych ataków.

Tak samo jak wykorzystwała samego Gillette'a.

- Mówił ci coś o kodzie źródłowym? - spytała go. - Gdzie go jeszcze ukrył?

- Nie.

Phate nie miał żadnych powodów, aby ujawniać mu takie informacje i Patricia Nolan, przyjrzawszy się badawczo Gillette'owi, uznała, że może mu uwierzyć. Potem podniosła się wolno i popatrzyła na Phate'a w taki sposób, że Gillette'a zmroziło. Jak programista, który doskonale wie, jak program ma działać od początku do końca, bez żadnych odchyień i błędów, w jednej chwili zrozumiał, co Nolan musi teraz zrobić.

- Nie - powiedział błagalnym tonem. - Muszę.

- Wcale nie. Przecież on już się nigdy nikomu nie pokaże. Resztę życia spędzi w więzieniu.

- Myślisz, że więzienie jest w stanie utrzymać kogoś takiego jak on offline? Ty nie dałeś się upilnować.- Nie możesz tego zrobić!

- Trapdoor jest zbyt niebezpieczny - wyjaśniła. - A on ma kod w głowie. I pewnie kilkanaście równie niebezpiecznych innych programów.

- Nie - szepnęła zrozpaczony Gillette. - Nigdy nie było takiego hakera jak on. I może nigdy nie będzie. Potrafi pisać kody, których większość nas nie umie sobie nawet wyobrazić.

Patricia podeszła do Phate'a. - Nie rób tego! - krzyknął Gillette.

Z torby na laptop wydobyla niewielkie skórzane pudełko, a z niego strzykawkę z igłą, którą napelniła przezroczystą cieczą z buteleczki. Bez wahania pochyliła się i wbiła igłę w szyję Phate'a. Nie bronil się i przez moment Gillette miał wrażenie, że doskonale wie, co się dzieje i z radością przyjmuje śmierć. Phate popatrzył na Gillette'a, potem skupił wzrok na drewnianej skrzynce apple'a stojącej na stoliku obok. Pierwsze komputery Apple'a były prawdziwie hackerskimi maszynami - kupowało się tylko bebechy, a obudowę trzeba było zrobić samemu. Ciagle patrzac na komputer, Phate zaczął coś mówić. Znów spojrzal na Gillette'a.

- Rze... - Jego głos przeszedł w szept.

Gillette pokręcił głową.

Phate zakaszlał i spróbował jeszcze raz drżącym głosem: - Rzetelnym bądź sam względem siebie... - Potem głowa opadła mu na pierś i przestał oddychać.

Gillette nie mógł opanować smutku i poczucia straty. Oczywiście Jon Patrick Holloway zasłużył na śmierć. Był zły i potrafił odebrać życie istocie ludzkiej z równą łatwością, z jaką wyjmował cyfrowe serce fikcyjnej postaci z gry MUD. Jednak była w nim jeszcze jedna osoba: ktoś, kto pisał kod elegancki jak symfonia; kiedy uderzał w klawisze, rozlegał się cichy śmiech hackerów i rozkwitała potęga nieokiełznanego umysłu, który - gdyby wiele lat temu skierowano go w trochę inną stronę - mógłby uczynić z Jona Hollowaya czarodzieja komputerowego znanego na całym świecie.

Był też kimś, z kim Gillette dokonał naprawdę totalnych giga-haków. Bez względu na to, dokąd skieruje cię życie, nigdy nie zerwiesz więzi, jaka tworzy się między współtowarzyszami wypraw do Błękitnej Pustki.

Patricia Nolan wstała i spojrzala na Gillette'a.

Juz nie żyję, pomyślał.

Z westchnieniem nabrała do strzykawki jeszcze trochę przezroczystego płynu. Cóż, przynajmniej to morderstwo wywoła w niej wyrzuty sumienia.

- Nie - szepnął. Rozpaczliwie potrząsnął głową. - Nic nikomu nie powiem.

Próbował się od niej odsunąć, ale po porcji ładunków elektrycznych jeszcze nie odzyskał panowania nad mięśniami. Patricia przykucnęła obok niego, opuściła mu kołnierz i zaczęła masować szyję w poszukiwaniu tętnicy.

Gillette spojrzal w stronę sąsiedniego pomieszczenia, gdzie leżał wciąż nieprzytomny Bishop. Zrozumiał, że detektyw będzie następną ofiarą.

Nolan pochyliła się z wyciągniętą igłą.

- Nie - wyszeptał Gillette. Zamknął oczy, myśląc o Ellie. - Nie, nie rób tego!

Nagle jakiś mężczyzna zawołał: - Hej, wstrzymaj się z tym!

Nolan momentalnie upuściła strzykawkę, wyszarpnęła z torby pistolet i strzeliła do Tony'ego Motta, który stał w drzwiach.

- Jezu! - krzyknął młody glina, kuląc się. - Co ty wyrabiasz, do cholery? - Padł na podłogę.

Nolan ponownie uniosła broń, lecz zanim zdążyła strzelić, powietrzem wstrząsnęło kilka głośnych eksplozji i Patricia poleciała do tyłu. Mott strzelał do niej ze swojego szpanerskiego srebrnego automatu.

Żadna z kul nie trafiła do celu i po chwili Nolan z powrotem poderwała się na nogi, strzelając ze znacznie niniejszego pistoletu.

Mott ubrany w spodenki kolarskie, koszulkę Nike i z okularami słonecznymi Oakley dyndającymi na szyi, wczołgał się dalej w głąb magazynu. Znowu strzelił, spychając Nolan do defensywy. Ona odpowiedziała ogniem, ale również chybiła.

- Co się tu dzieje, do cholery? Co ona wyprawia?

- Zabiła Hollowaya. Ja miałem być następny.

Nolan strzeliła jeszcze raz, a potem ostrożnie ruszyła w stronę wyjścia z magazynu.

Mott złapał Gillette'a za nogawkę i odciągnął z linii ognia, po czym opróżnił cały magazynek. Mimo zamiłowania do akcji bojowych w prawdziwej strzelaninie glina wydawał

się tracić głowę. Poza tym kiepsko strzelał. Kiedy przeładowywał, Nolan zniknęła za jakimiś kartonami.- Dostałeś? - Motcie trzęsły się ręce i brakowało mu tchu. - Nie, poczęstowała mnie jakimś paralizatorem czy coś. Nie mogę się ruszyć.

- Co z Frankiem?

- Nie strzelała do niego. Ale musi się nim zająć lekarz. Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

- Frank dzwonił i chciał, żebym sprawdził tę firmę. Gillette przypomniał sobie, że Frank dzwonił z pokoju hotelowego.

Szukając wzrokiem Nolan, młody glina ciągnął: - Ten kutas Backle wiedział, że wyjechaliście razem z Frankiem. Założył nam podsłuch telefoniczny. Usłyszał adres i wezwał

swoich ludzi, żeby was stąd zdjęli. Przyjechałem was ostrzec.

- Jak się przedostałeś przez korki?

- Mam rower, pamiętasz? - Mott podczołgał się do Bishopa, który zaczął się poruszać.

Nagle po przeciwległej stronie zagrody dinozaura podniosła się Nolan, kilka razy strzeliła w ich stronę i wymknęła się na zewnątrz.

Mott z ociąganiem ruszył za nią.

- Uważaj - zawołał za nim Gillette. - Przez te korki nie ucieknie daleko. Zaczai się na ciebie...

Zamilkł jednak, słysząc zbliżający się charakterystyczny odgłos. Pomyślał, że podobnie jak hakerzy ludzie profesji Patricii Nolan muszą być ekspertami improwizacji; paraliż komunikacyjny całego okręgu nie mógł przeszkodzić w jej planach. Ten hałas to był

ryk helikoptera, niewątpliwie tego samego, który widział wcześniej i który ją tu przywiózł.

Maszyna udawała helikopter prasowy.

W ciągu niecałych trzydziestu sekund śmigłowiec zabrał ją na pokład i odleciał.

Dudnienie wirników wkrótce ucichło i w popołudniowym powietrzu rozbrzmiewała już tylko zagadkowo harmoniczna orkiestra silników aut i klaksonów.

Rozdział

00101010/czterdziesty drugi

Gillette i Bishop znaleźli się z powrotem w biurze wydziału przestępstw komputerowych.

Detektywa wypuszczono z izby przyjęć. Jedyнным śladem po jego cierpieniach było lekkie wstrząśnienie mózgu, potworny ból głowy i osiem szwów - jeśli nie liczyć świeżej koszuli, która zastąpiła tamtą zakrwawioną. (Była trochę lepiej dopasowana od swojej poprzedniczki, ale też miała tendencję do wystawania ze spodni).

Minęło już wpół do siódmej i departament infrastruktury zdołał już przeładować program sterujący sygnalizacją świetlną. Zniknęła większość zatorów w okręgu Santa Clara.

Po przeszukaniu siedziby firmy San José Computer Products znaleziono bombę benzynową i informacje na temat alarmów przeciwpożarowych na Uniwersytecie Północnej Kalifornii.

Znając zamiłowanie Phate'a do odwracania uwagi, Bishop niepokoił się, czy morderca nie podłożył drugiej bomby w kampusie. Jednak drobiazgowie przeszukanie akademików i innych budynków szkolnych nie potwierdziło jego podejrzeń.

Nikogo nie zdziwiło oświadczenie Horizon On-Line, że nigdy nie słyszeli o Patricii Nolan. Zarząd firmy i szef działu zabezpieczeń w Seattle twierdzili, że w ogóle nie kontaktowali się z centralą policji stanowej w Kalifornii po morderstwie Lary Gibson - i nikt nie przysyłał Andy'emu Andersonowi e-maili ani faksów potwierdzających kompetencje Nolan. Numer, pod który Anderson dzwonił, aby sprawdzić, czy rzeczywiście była pracownikiem firmy, okazał się prawdziwym numerem Horizon On-Line, ale według operatora telefonicznego z Seattle wszystkie rozmowy pod ten

numer były kierowane do działającego w sieci Mobile America telefonu komórkowego z nieprzydzielonym numerem, który już nie działał.

Personel działu zabezpieczeń w Horizon nie znał też nikogo, do kogo mógłby pasować rysopis Patricii Nolan. Adres, pod którym zameldowała się w hotelu, był fałszywy, podobnie jak jej karta kredytowa. Z hotelu dzwoniła tylko pod jeden numer - tamtą komórkę Mobile America.

Oczywiście nikt z CCU nie wierzył w zaprzeczenia Horizon On-Line. Jednak udowodnienie związków Patricii Nolan i HOL mogło być trudne - tak jak w ogóle jej odnalezienie. Zdjęcie Nolan zrobione na podstawie zapisu na taśmie w CCU wysłano ISLEnetem do policji stanowych w całym kraju i do federalnych, żeby umieścili je w VICAP-ie. Jednak Bishop musiał dołączyć dość krępujące oświadczenie, że mimo iż Patricia Nolan spędziła kilka dni w siedzibie wydziału policji stanowej, nie mają żadnych próbek jej odcisków palców, a jej prawdziwy wygląd zapewne znacznie odbiega od wizerunku zarejestrowanego na taśmie.

Przynajmniej znano już miejsce pobytu współsprawcy. Ciało Shawna - Stephena Millera - znaleziono w lesie za domem; zastrzelił się ze służbowego rewolweru po tym, jak odkryto jego prawdziwą tożsamość. Napisał pełen wyrzutów sumienia list pożegnalny, oczywiście w formie elektronicznej.

Linda Sanchez i Tony Mott próbowali złożyć w całość obraz zdrady Millera. Policja stanowa musiała wystosować oświadczenie, że jeden z jej funkcjonariuszy jest współwinny w sprawie hakera-mordercy z Doliny Krzemowej, a wydział spraw wewnętrznych chciał

wiedzieć, ile szkód wyrządził Miller i od jak dawna był współnikiem i kochankiem Phate'a.

Agent Departamentu Obrony Backle wciąż był zdecydowany aresztować Wyatta Gillette'a, przedstawiając mu długą listę zarzutów, wśród których znalazło się oskarżenie o złamanie programu szyfrującego Standard 12, a teraz chciał także zatrzymać Franka Bishopa -

za pomoc w ucieczce więźnia federalnego.

Bishop postanowił wyjaśnić kapitanowi Bernsteinowi zarzut złamania szyfru Standard 12:

- To zupełnie jasne, panie kapitanie, że Gillette albo przejął root w jednym z kont Phate'a na serwerze FTP i ściągnął kopię skryptu, albo po prostu telnetował się bezpośrednio na maszynę Hollowaya i w ten sposób zdobył kopię.

- Co to wszystko, do cholery, znaczy? - warknął krótkowłosy, szpakowaty glina.

Bishop przeprosił i przetłumaczył żargon:

- Chcę powiedzieć, że moim zdaniem to Holloway włamał się do Departamentu Obrony i napisał program deszyfrujący. Gillette ukradł go tylko i wykorzystał na naszą prośbę.

- Twoim zdaniem - mruknął z przekąsem Bernstein. - Nie bardzo się znam na tym całym komputerowym gównie. - Ale zadzwonił do prokuratora, który zgodził się rozpatrzyć wszelkie dowody przedstawione przez CCU na poparcie teorii Bishopa, zanim wysunie zarzuty przeciw

Gillette'owi i Bishopowi (których akcje stały teraz dość wysoko, po ujęciu

„Crackera z Doliny Krzemowej”, jak miejscowe telewizje nazwały Phate'a).

Agent Backle niechętnie wrócił do swojego biura w garnizonie San Francisco.

Jednak w tej chwili nikt nie myślał o Phacie i Stephenie Millerze, bo uwaga wszystkich stróżów prawa skierowała się na sprawę MARIN. W wiadomościach pojawiły się informacje, że sprawców znów widziano - tym razem bardzo blisko, w samym San José, gdzie prawdopodobnie obserwowali następne banki. Bishopa i Sheltona przydzielono do oddziału specjalnego utworzonego wspólnie przez FBI i policję stanową. Mieli spędzić parę godzin w domu i zjeść kolację z rodzinami, a wieczorem zameldować się w biurze federalnych w San José.

Bob Shelton był w tej chwili w domu (na pożegnanie posłał Gillette'owi zagadkowe spojrzenie, którego znaczenia haker nie potrafił rozszyfrować). Bishop natomiast zwlekał z wyjściem do domu i siedział z Gillette'em, popijając kawę i gryząc pop-tarty w oczekiwaniu na policjantów, którzy mieli odstawić hakera do San Ho.

Zadzwonił telefon. Bishop odebrał.

- Przepiękne przestępstwa komputerowe. - Słuchał przez chwilę. - Proszę zaczekać. - Spojrzał na Gillette'a, unosząc brwi. - Do ciebie.

Haker wziął od niego słuchawkę.

- Halo?

- Wyatt.

Głos Elany zabrzmiał tak znajomo, że niemal poczuł go pod palcami, którymi cały czas nerwowo przebierał. Tembr głosu zawsze zdradzał, co jej w duszy gra i wystarczyło mu usłyszeć jedno słowo, aby wiedzieć, czy jest wesoła, zła, przestraszona, rozmarzona czy rozemocjonowana. Słyszając jej dzisiejsze powitanie, wywnioskował, że zadzwoniła tu bardzo niechętnie i że jest gotowa się bronić, chowając się za podwójną gardą, tak jak statki kosmiczne kryją się za osłoną z tarcz w filmach fantastycznych, które razem oglądali. Ale mimo wszystko zadzwoniła.

- Słyszałam, że on nie żyje. Jon Holloway. Mówili w wiadomościach.

- Zgadza się.

- Nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku.

Długie milczenie. Jak gdyby chcąc wypełnić czymś ciszę, dodała:

- Dalej chcę wyjechać do Nowego Jorku.

- Z Edem.

- Zgadza się.

Zamknął oczy i westchnął. Potem ostrzejszym tonem zapytał:

- A więc po co dzwonicz?

- Chciałam tylko powiedzieć, że gdybyś chciał przyjść, to możesz.

Po co zawracać sobie głowę, pomyślał Gillette. Jaki to ma sens?

- Będę za dziesięć minut - powiedział i odłożył słuchawkę. Odwrócił się i zobaczył

wpatrzone w siebie badawczo oczy Bishopa.

- Daj mi jeszcze godzinę - powiedział. - Proszę.

- Nie mogę cię tam zawieźć - odrzekł detektyw.

- To pożycz samochód.

Bishop namyślał się, spoglądając w głąb zagrody dinozaura. - Macie jakiś swój samochód, żeby mu pożyczyć? - spytał w końcu Lindy Sanchez.

Z ociąganiem podała mu kluczyki. - Procedura tego nie przewiduje, szefie.

- Odpowiedzialność biorę na siebie.

Bishop rzucił Gillette'owi kluczyki, po czym wyciągnął telefon i zadzwonił do eskorty, która miała odwieźć hakera do więzienia. Podał im adres Elany i powiedział, że pozwolił Gillette'owi tam pojechać. Więzień miał wrócić do CCU w ciągu godziny. Potem detektyw odłożył słuchawkę.

- Wrócę.

- Wiem, że wrócisz.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Potem podali sobie ręce. Gillette skinął głową i ruszył do drzwi.

- Czekaaj - odezwał się Bishop, marszcząc brwi. - Masz prawo jazdy?

Gillette parsknął śmiechem. - Nie, nie mam prawa jazdy. Detektyw wzruszył

ramionami i rzekł. - To uważaj, żeby cię nie zatrzymali. Haker odparł bardzo poważnie:

- Jasne. Jeszcze by mnie wsadzili do więzienia.

W domu jak zawsze pachniało cytrynami.

Było to zasługą Irene Papándolos, matki Elany, hojnie obdarzonej talentem kulinarnym. Nie była tradycyjnie nieufną i cichą grecką damą, ale przebojową businesswoman - właścicielką firmy cateringowej, która mimo to znajdowała czas, by od początku do końca przyrządzić swojej rodzinie każdy posiłek. Właśnie nadeszła pora kolacji, więc na różowy kostium Irene nałożyła poplamiony fartuch.

Powitała Gillette'a chłodnym skinieniem głowy i wskazała mu drzwi pokoju.

Usiadł na kanapie pod zdjęciem nabrzeża w Pireusie. W greckich domach zawsze najważniejszą rolę odgrywała rodzina, dlatego obydwaj stoły zapełniały zdjęcia w przeróżnych ramkach, od zwykłych po grube srebrno-złote. Gillette ujrzał zdjęcie Elany w sukni ślubnej.

Nie poznał tego ujęcia i zastanawiał się, czy pierwotnie byli na nim oboje i ktoś po prostu wyciął go z fotografii.

Weszła Elana.

- Jesteś sam? - zapytała bez uśmiechu. Było to jedyne powitanie.

- O co pytasz?

- Nie masz policyjnych nianiek?

- Dałem słowo, że wrócę.

- Widziałam, jak pod domem przejeżdżało kilka radiowozów. Pomyślałam, że to z twojego powodu.

- Nie - powiedział Gillette. Choć przypuszczał, że może istotnie gliny mają go na oku.

Usiadła i zaczęła nerwowo skubać rękaw swojej bluzy z nadrukiem Uniwersytetu Stanforda.

- Nie będę się z tobą żegnać - rzekł. Elana zmarszczyła brwi, a on ciągnął: - Bo chcę cię namówić, żebyś nie wyjeżdżała. Chcę się z tobą widywać.- Widywać? Wyatt, siedzisz w więzieniu. - Za rok wyjdę.

Zaśmiała się, zdziwiona jego tupetem.

- Chcę spróbować jeszcze raz - powiedział. - Ty chcesz. Może zapytasz, czego ja chcę?

- Mogę ci dać to, czego chcesz. I dam. Dużo myślałem. Mogę sprawić, że znowu mnie pokochasz. Nie chcę, żebyś zniknęła z mojego życia.

- Wolaleś maszyny niż mnie. I masz, czego chciałeś.

- To już przeszłość.

- Moje życie się zmieniło. Jestem szczęśliwa.

- Naprawdę?

- Tak - odparła z przekonaniem Elana.

- Z powodu Eda.

- Między innymi... Daj spokój, Wyatt, co ty mi możesz dać? Jesteś przestępcą.

Uzależnionym od tych cholernych komputerów. Nie masz pracy, a sędzia powiedział, że nawet kiedy wyjdiesz z więzienia, przez rok nie będziesz miał dostępu do Sieci.

- A Ed ma dobrą pracę, tak? O to chodzi? Nie wiedziałem, że tak bardzo zależy ci na dużych dochodach.

- To nie jest kwestia utrzymania, Gillette. To kwestia odpowiedzialności. A ty jesteś nieodpowiedzialny.

- Byłem nieodpowiedzialny. Przyznaję. Ale teraz będę. - Próbował wziąć ją za rękę, ale odsunęła się spokojnie. - Ellie, daj spokój... Czytałem twoje e-maile. Kiedy mówisz o Edzie, nie wydaje mi się, żeby był doskonałym materiałem na męża.

Zesztywniała i zorientował się, że trafił w czuły punkt.

- Nie mieszaj w to Eda. Mówię o tobie i o mnie.

- Ja też. Mówię wyłącznie o nas. Kocham cię. Wiem, że zrobiłem ci z życia piekło.

Teraz będzie inaczej. Chciałaś mieć dzieci i normalne życie. Znajdę pracę. Będziemy rodziną.

Znów chwila wahania.

- Dlaczego chcesz jechać akurat jutro? - naciskał. - Skąd ten pośpiech?

- W przyszły poniedziałek zaczynam nową pracę.

- Dlaczego do Nowego Jorku?

- Bo dalej nie mogę od ciebie uciec.

- Zaczekaj miesiąc. Tylko miesiąc. Będę miał dwa widzenia na tydzień. Przyjdź mnie odwiedzić. - Uśmiechnął się. - Zjemy pizzę.

Wbiła wzrok w podłogę i Gillette wyczuł, że się zastanawia.

- To twoja matka wycięła mnie z fotografii? - Uśmiechnął się, wskazując na portret Elany w sukni ślubnej.

W jej oczach błysnęły ledwie dostrzegalne iskierki rozbawienia.

- Nie. To zdjęcie zrobiła Alexis - na trawniku. Byłam na nim tylko ja. Pamiętasz, nie było mi tu widać stóp. Zaśmiał się.

- He panien młodych gubi buty na weselu? Skinęła głową.

- Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się z nimi stało. - Błagam cię, Ellie. Odłóż wyjazd na miesiąc. Tylko o to cię proszę.

Jej oczy błędziły po zdjęciach. Zaczęła coś mówić, lecz nagle w drzwiach stanęła jej matka. Jej ciemna twarz wydawała się teraz jeszcze ciemniejsza.

- Telefon do ciebie.

- Do mnie? - zdziwił się Gillette.

- Jakiś Bishop. Mówi, że to ważne.

- Frank, co...

Detektyw przerwał mu w pół słowa. Mówił szybko, chłodnym, rzeczowym tonem.

- Posłuchaj mnie uważnie, Wyatt. W każdej chwili możemy stracić połączenie. Shawn żyje.

- Co? Przecież Miller...

- Nie, myliliśmy się. Shawn to nie Stephen Miller. To ktoś inny. Jestem w CCU. Linda Sanchez znalazła wiadomość dla mnie w poczcie głosowej. Zostawił ją przed śmiercią Miller.

Pamiętasz, jak Phate włamał się do CCU i chciał cię zaatakować?

- Tak.

- Miller wracał wtedy z centrum medycznego. Był na parkingu, kiedy z budynku wybiegł Phate i wskoczył do samochodu. Wtedy pojechał za nim.

- Dlaczego?

- Żeby go złapać.

- Sam? - zdumiał się Gillette.

- Powiedział w wiadomości, że chciał go zdjąć bez niczyjej pomocy. Mówił, że za dużo razy schrzanił i chce udowodnić, że potrafi coś zrobić porządnie.- Czyli wcale się nie zabił?

- Nie. Jeszcze nie było sekcji, ale poleciłem technikowi sprawdzić, czy miał ślady prochu na rękach. Nie miał - gdyby sam się zabił, byłoby mnóstwo prochu. Pewnie Phate zauważył, że Miller go śledzi,

więc go zabił. Potem, udając Millera, włamał się do Departamentu Stanu i dał się przyłapać. Dostał się do terminalu Millera w CCU i podrzucił

mu fałszywe e-maile, potem zabrał z jego domu maszyny i dyskietki. Jesteśmy pewni, że samobójstwo też było sfingowane. Wszystko po to, żebyśmy przestali szukać prawdziwego Shawna.

- To kim jest ten prawdziwy?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że teraz naprawdę mamy kłopoty. Jest tu Tony Mott.

Shawn dostał się do komputerów dowodzenia operacjami specjalnymi FBI w Waszyngtonie i San José - przez ISLEnet - i ma root. - Bishop ściszył głos i ciągnął: - Teraz posłuchaj uważnie. Shawn wydał nakazy aresztowania i ustalił reguły prowadzenia akcji przeciw podejrzanym w sprawie MARIN. Mamy teraz przed sobą ekran.

- Nie rozumiem - powiedział Gillette.

- Według tych nakazów podejrzeni są teraz przy Abrego Avenue 3245 w Sunnyvale.

- Przecież to tutaj! To adres domu Elany. - Wiem. Rozkazał oddziałom antyterrorystycznym zaatakować dom za dwadzieścia pięć minut.

VI

Wszystko sprowadza się do pisowni

CODE SEGMENT

ASSUME DS:CODE.SS:CODE.CS:CODE.ES:CODE

ORG \$+0100H

VCODE: JMP

...

virus: PUSH CX

MOV DX, OFFSET vir dat

MOV SI,DX

ADD SI, first 3

MOV CX,3

MOV DI,OFFSET 100H

REPZ MOVSB

MOV SI.DX

```
mov ah,30h
```

int 21h

cmp al,0

Jnz dosok.

JMP quit

fragmenty autentycznego kodu źródłowego wirusa Violator - odmiana II

Rozdział

00101011/czterdziesty trzeci

Widząc zaniepokojenie na twarzy Gillette'a, Elana podeszła bliżej.

- Co takiego? Co się dzieje?

Nie zwracając na nią uwagi, powiedział do Bishopa:

- Zadzwoń do FBI. Powiedz im, co się stało. Nie wiem, zadzwoń do Waszyngtonu.

- Próbowałem - odrzekł Bishop. - Bernstein też. Ale agenci zaraz odkładają słuchawkę. Reguły prowadzenia akcji, które zatwierdził Shawn, mówią, że sprawcy będą zapewne podszywać się pod policjantów ze stanowej i spróbują odwołać albo opóźnić rozkaz ataku. Autoryzację mają tylko kody komputerowe, nie rozkazy słowne. Nawet z Waszyngtonu. Gdybyśmy mieli więcej czasu, może udałoby się ich przekonać, ale...

- Jezu, Frank...

Jak Shawn dowiedział się, że on tu jest? Po chwili zdał sobie sprawę, że Bishop dzwonił do policjantów z informacją, że Gillette spędzi godzinę u Elany. Przypomniał sobie, że Phate i Shawn monitorowali transmisje radiowe i telefoniczne, szukając takich kluczowych słów jak Trzy-X, Holloway i Gillette. Shawn musiał podsłuchać rozmowę Bishopa.

- Są blisko domu - powiedział detektyw. - W bazie operacyjnej. Nie rozumiem tylko, po co Shawn to robi - dodał.

Ale Gillette wiedział.

Zemsta hakera to zemsta cierpliwa.

Wiele lat temu Gillette zdradził Phate'a, zniszczył szczegółowo opracowane socjotechnicznie życie... a dziś pomógł definitywnie zakończyć życie hakera. Teraz Shawn zniszczy Gillette'a i tych, których kochał.

Wyjrzał przez okno i zdawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch.

- Wyatt? - odezwała się Elana. - Co się dzieje? - Chciała też wyjrzeć przez okno, ale odciągnął ją brutalnie. - O co chodzi? - krzyknęła.

- Nie podchodź! Nie podchodź do okien!

- Shawn zarządził reguły numer cztery - to znaczy, że oddział specjalny nie będzie wzywał do poddania się. To reguły stosowane wobec terrorystów, którzy postanowili umrzeć.

- A więc wrzucą nam gaz łzawiący - mruknął Gillette - rozwałą drzwi i zabiją każdego, kto się ruszy.

Bishop zamilkł na chwilę.

- Tak to może wyglądać.

- Wyatt? - powiedziała Elana. - Zdradź mi wreszcie, co się dzieje!

Odwrócił się i krzyknął:

- Każ wszystkim położyć się na podłodze w salonie. Sama też się połoń! Natychmiast!

W jej czarnych oczach zamigotał gniew i strach.

- Coś ty zrobił?

- Przepraszam, przepraszam... Zrób, co mówię. Na ziemię!

Odwrócił się i znów wyrzał przez okno. Zobaczył dwie czarne furgonetki wjeżdżające wolno w aleję pięćdziesiąt stóp od domu. Trochę dalej sto stóp nad ziemią unosił

się helikopter.

- Słuchaj, Wyatt, FBI nie rozpocznie ataku bez ostatecznego potwierdzenia. To jest element reguł. Jest jakiś sposób, żeby wyłączyć maszynę Shawna?

- Daj mi Tony'ego.

- Jestem - powiedział Mott.

- Jesteś w systemie FBI?

- Tak, mam ekran przed oczami. Shawn podszywa się pod Centrum Dowodzenia Operacjami Specjalnymi w Waszyngtonie, wysyła kody. Miejscowy agent specjalny odpowiada jak gdyby nigdy nic.

- Możesz namierzyć Shawna przez to połączenie? - Nie mamy nakazu, ale spróbuję przycisnąć Pac Bell - odrzekł Mott. - Daj mi jakąś minutę.

Usłyszał silniki dużych ciężarówek. Warkot helikoptera się zbliżył.

W salonie matka Elany szlochała histerycznie, a brat wykrzykiwał jakieś gniewne słowa. Elana nie mówiła nic. Gillette zobaczył, jak się przeżegnała, zerknęła na niego bezradnie i wtuliła twarz w dywan obok swojej matki.

Chryste, co ja zrobiłem?

Kilka minut później w słuchawce odezwał się głos Bishopa.

- Pac Bell sprawdza połączenie. To linia naziemna. Mają już rejon i centralę - jest gdzieś w zachodniej części San José, niedaleko Winchester Boulevard. Tam gdzie Phate miał

magazyn.

- Myślisz, że jest w budynku San José Computer Products? - zapytał Gillette. - Może wrócił, jak skończyliście przeszukiwanie?

- A może jest gdzieś niedaleko, w okolicy znajduje się kilkadziesiąt różnych starych magazynów. To dziesięć minut drogi stąd - powiedział detektyw. - Pojadę tam. Kurczę, chciałbym wiedzieć, kto to jest ten cały Shawn.

Coś przyszło Gillette'owi do głowy. Tak jak podczas pisania kodu, porównał hipotezę z faktami i zasadami logiki. I doszedł do wniosku.

- Mam pewne podejrzenie.

- Co do Shawna?

- Tak. Gdzie jest Bob Shelton?

- W domu. Dlaczego pytasz?

- Zadzwoń i sprawdź, czy rzeczywiście tam jest.

- Dobra. Zadzwonię do ciebie z samochodu.

Po kilku minutach telefon Papandolosów zadzwonił i Gillette chwycił słuchawkę.

Dzwonił Frank Bishop, pędząc już San Carlos w stronę Winchester.

- Bob powinien być w domu - mówił detektyw - ale nie odbiera. Jeśli jednak sądzisz, że to Shawn, to się mylisz.

Spoglądając przez okno na następny radiowóz przejeżdżający pod domem, za którym sunęła ciężarówka przypominająca samochód wojskowy, Gillette powiedział:

- Nie, Frank, posłuchaj: Shelton twierdził, że nie cierpi komputerów, nic o nich nie wiedział. Ale pamiętasz: miał w domu napęd twardego dysku.

- Co?

- Dysk, który widzieliśmy - takiego sprzętu używali tylko ludzie zajmujący się poważną hakerką albo

prowadzący BBS-y.

- Nie wiem - rzekł wolno Bishop. - Może to był dowód w sprawie czy coś takiego.

- Bob pracował wcześniej nad sprawą przestępstwa komputerowego?

- No, nie...

- A przed nalotem na dom Phate'a w Los Altos zniknął na jakiś czas. Zdążył wysłać wiadomość o kodzie ataku i umożliwił Phate'owi ucieczkę. Pomyśl - to przez niego Phate dostał się do ISLEnetu, zdobył adresy komputerów FBI i kody operacyjne. Shelton powiedział, że wszedł do Sieci, żeby sprawdzić dane o mnie. Ale naprawdę przekazywał

Phate'owi hasło i adres komputera CCU - żeby mógł się włamać do ISLEnetu.

- Ale Bob nie jest komputerowcem.

- Twierdzi, że nie jest. Ale skąd możesz wiedzieć na pewno? Często go odwiedzasz? -

Nie.

- Co robi wieczorami?

- Zwykle zostaje w domu.

- Nigdy nie wychodzi?

- Nie - odrzekł z ociąganiem Bishop.

- Zachowanie typowe dla hakera.

- Przecież znam go od trzech lat.

- Socjotechnika.

- Niemożliwe... zaczekaj, mam drugi telefon.

Czekając ze słuchawką w ręce, Gillette wyrzwał przez firankę. Zobaczył zaparkowany nieopodal samochód przypominający wojskowy wóz opancerzony. Coś poruszyło się w krzakach po drugiej stronie ulicy. Między żywoplotami biegali policjanci w strojach kamuflażowych. Wyglądało na to, że wokół domu zebrało się ze stu gliniarzy.

Znów odezwał się Bishop.

- Pac Bell zlokalizował dokładnie punkt, z którego Shawn włamuje się do FBI. To jednak jest magazyn San José Computer Products. Dotarłem prawie na miejsce. Zadzwoń do ciebie, jak już będę w środku.

Frank Bishop wezwał posiłki, a potem zaparkował samochód na osłoniętym parkingu po drugiej stronie ulicy; w San José Computers chyba nie było okien, jednak nie zamierzał

dopuścić do tego, by Shawn mógł go zobaczyć.

Przemykał do magazynu skulony, tak szybko, jak pozwalał okropny ból w skroni i potylicy.

Nie wierzył w hipotezę Gillette'a o Bobie Sheltonie. Mimo to nie mógł przestać o tym myśleć. Ze wszystkich partnerów, jakich Bishop miał w życiu, o Sheltonie wiedział najmniej.

Rzeczywiście, tęgi glina wszystkie wieczory spędzał w domu. Nie utrzymywał stosunków towarzyskich z innymi gliniarzami. Mimo że Bishop miał jakieś pojęcie o ISLEencie, to nie potrafiłby wejść do systemu i znaleźć informacji na temat Gillette'a, tak jak zrobił to Shelton.

Detektyw przypomniał też sobie, że Shelton zgłosił się na ochotnika do tej sprawy; pamiętał, jak się dziwił, że partner wolał to niż śledztwo w sprawie MARIN.

W tym momencie kwestia, czy Shelton to Shawn, nie miała jednak żadnego znaczenia.

Do wyznaczonej godziny ataku pozostało piętnaście minut. Wyciągając pistolet, Bishop przywarł plecami do ściany obok rampy załadowniczej i zaczął nasłuchiwać. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk.

Dobra... teraz!

Bishop szarpnięciem otworzył drzwi, przebiegł korytarz, biuro i znalazł się w chłodnym pomieszczeniu magazynu. Było ciemne i wydawało się puste. Detektyw ujrzał nad sobą rząd lamp i lewą dłoń namacał włączniki, w prawej trzymając cały czas pistolet w pogotowiu. Magazyn zalało ostre światło i Bishop zobaczył, że nikogo tu nie ma.

Wybiegł na zewnątrz, żeby poszukać innego budynku, w którym być może przebywał

Shawn. Z magazynem nie łączyły się jednak żadne inne zabudowania. Już miał zawrócić, gdy zauważył, że z zewnątrz magazyn wydaje się znacznie większy niż w środku.

Pospiesznie wpadł z powrotem do budynku i zobaczył, że ściana z jednej strony wygląda, jakby ją dobudowano. Tak, Phate urządził sobie ukryty pokój. I tam będzie Shawn...

W ciemnym kącie odnalazł drzwi i delikatnie nacisnął klamkę. Było otwarte. Głęboko wciągnął powietrze, wytarł spoconą dłoń o wystającą połę koszuli i znów chwycił za klamkę.

Czy odgłos kroków i trzask zapalanych świateł ostrzegły Shawna o jego wtargnięciu? Czy morderca ma broń wycelowaną w drzwi?

Wszystko sprowadza się do jednego...

Frank Bishop pchnął drzwi, unosząc broń.

Przykucnął, mrużąc oczy i szukając celu w ciemnym i chłodnym, klimatyzowanym pokoju. Nie dostrzegł ani śladu Shawna, były tu tylko maszyny i sprzęt, skrzynie do pakowania i palety, narzędzia, ręczny podnośnik widłowy.

Pusto. Był tylko...

Wtedy zobaczył.

O nie...

Bishop zdał sobie sprawę, że wyrok na Wyatt Gillette'a, jego żonę i jej rodzinę jest nieodwołalny.

Pomieszczenie stanowiło tylko telefoniczną stację przekaźnikową. Shawn włamywał się z zupełnie innego miejsca.

Z ciężkim sercem zadzwonił do Gillette'a.

Haker odebrał i powiedział zrozpaczony:

- Widzę ich, Frank. Mają karabiny maszynowe. Bardzo źle to wygląda. Znalazłeś coś?

- Wyatt, jestem w magazynie... Ale... przykro mi. Nie ma tu Shawna. Tylko przekaźnik telefoniczny czy coś w tym rodzaju. - Opisał dużą czarną, metalową konsolę.

- To nie przekaźnik - mruknął Gillette głuchym z rozpaczy głosem. - To ruter internetowy. Ale nic tu nie wskóramy. Namierzenie Shawna tropem sygnału trwałoby godzinę. Nie zdążymy go znaleźć.

Bishop zerknął na pudło.

- Nie ma na tym żadnych wyłączników, a kable biegną pod podłogą - to podobna zagroda dinozaura jak w CCU. Czyli nie mogę ich odłączyć.

- I tak nic by to nie dało. Nawet gdybyś wyłączył tę maszynę, transmisja Shawna automatycznie znalazłaby inną drogę do FBI.

- Może jednak jest tu jakiś ślad, który pomoże nam go znaleźć. - Bishop zaczął

gorączkowo przeszukiwać biurko i skrzynie. - Miał tu kupę papierów i książek.

- Jakich? - spytał haker zrezygnowanym głosem, jakby zupełnie się już załamał, a jego dziecięca ciekawość nagle gdzieś uleciała.

- Podręczniki, wydruki, notatki, dyskietki. Głównie techniczne rzeczy. Z Sun Microsystems, Apple'a, Harvardu, Western Electric - wszystkich miejsc, gdzie Phate pracował. - Bishop rozpruwał pudła, rozrzucając wszędzie kartki. - Nie, nic tu nie ma. -

Rozejrzał się bezradnie. - Postaram się zdążyć do domu Ellie, przekonam ich, żeby przed atakiem wysłali negocjatora.

- To dwadzieścia minut drogi, Frank - szepnął Gillette. - Nie uda ci się.

- Spróbuję - odrzekł cicho detektyw. - Posłuchaj, Wyatt, idźcie wszyscy do salonu i połóżcie się na środku. Trzymajcie ręce na wierzchu. I módlcie się, żeby wszystko dobrze się skończyło. - Ruszył do drzwi.

Nagle usłyszał krzyk Gillette'a: - Czeka!

- Co jest?

- Mówiłeś, że pakował podręczniki. Możesz powtórzyć nazwy tych firm?

Bishop spojrzał na dokumenty.

- Tam pracował. Harvard, Sun, Apple, Western Electric. I... - NEC! - krzyknął

Gillette.

- Zgadza się...

- To akronim!

- Co takiego?

- Pamiętasz? Mówiłem o akronimach używanych przez hakerów - ciągnął Gillette. -

Pierwsze litery nazw firm, w których pracował: S jak Sun, H jak Harvard, A jak Apple, Western Electric, NEC... S, H, A, W, N... Ta maszyna w pokoju... to wcale nie jest ruter. To pudło - to jest Shawn. Phate stworzył go z kradzionego kodu i sprzętu!

Bishop parsknął z niedowierzaniem.

- Niemożliwe.

- Nie, właśnie dlatego tam urywa się trop. Shawn to maszyna. To on generuje wszystkie sygnały. Phate przed śmiercią musiał go zaprogramować, żeby włamał się do systemu FBI i zorganizował atak. Phate wiedział o Ellie - wspomniawszy nawet jej imię, kiedy włamał się do CCU. Pewnie myślał, że zdradziłem go z jej powodu.

Dygocząc z chłodu, Bishop spojrzał na czarną skrzynię. - Niemożliwe, żeby to wszystko było dziełem komputera...

- Ależ nie, możliwe - przerwał mu Gillette. - Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy? Przecież mógł tego dokonać tylko dzięki maszynie. Tylko superkomputer mógł czytać zakodowane

sygnały i monitorować wszystkie telefony i komunikaty radiowe przychodzące i wychodzące z CCU. Człowiek nie dałby rady tyle naraz wysłuchać. Komputery rządowe robią to codziennie, szukają słów kluczowych, na przykład „prezydent” i „zamach” w tym samym zdaniu. W ten sposób Phate dowiedział się, że Andy Anderson jechał na Kopiec Hakerów i dowiedział się o mnie - pewnie Shawn podsłuchał, jak Backle dzwonił do Departamentu Obrony, a potem przesłał Phate’owi tę część transmisji. Usłyszał kod ataku, kiedy chcieliśmy go zdjąć w Los Altos i wysłał do Phate’a wiadomość, żeby go ostrzec.

- Ale te e-maile Shawna w komputerze Phate’a - powiedział detektyw. - Wydawało się, że napisał je żywy człowiek.

- Można się komunikować z maszyną, jak się tylko chce - e-maile to też sposób. Phate zaprogramował je tak, żeby wyglądały jak napisane przez człowieka. Zapewne chciał czytać coś, co przypomina ludzkie słowa, żeby poprawić sobie samopoczucie. Mówiłem ci, podobnie robiłem z moim TRS-80.

S-H-A-W-N.

Wszystko sprowadza się do pisowni...

- Co możemy teraz zrobić? - zapytał Bishop. - Tylko jedno. Musisz...

Telefon umilkł.

- Wyłączyliśmy im telefony - powiedział technik łącznościowiec do agenta specjalnego Marka Little’a, dowódcy oddziału antyterrorystycznego działającego w operacji MARIN prowadzonej przez FBI. - Komórka też nie działa. W promieniu jednej mili nikt nie może korzystać z telefonów komórkowych.

- Dobrze.

Little, razem ze swoim zastępcą agentem specjalnym George’em Steadmanem, siedział w furgonetce, która służyła za posterunek dowództwa w Sunnyvale. Pojazd stał za rogiem obok domu przy Abrego, gdzie według meldunków ukrywali się sprawcy morderstwa w Marin.

Wyłączenie telefonów podejrzanych pięć do dziesięciu minut przed rozpoczęciem akcji należało do standardowych działań. W ten sposób nikt nie mógł ich ostrzec przed mającym nastąpić szturmem.

Little miał za sobą sporo akcji na barykadach - w większości były to naloty na handlarzy narkotyków w Oakland i San Jose - i nigdy nie stracił ani jednego agenta. Jednak ta operacja szczególnie niepokoiła trzydziestoletniego agenta. Pracował nad sprawą MARIN od pierwszego dnia i czytał wszystkie komunikaty, łącznie z ostatnim meldunkiem otrzymanym od anonimowego informatora, z których wynikało, że zabójcy czuli się prześladowani przez FBI i policję, zamierzali więc poddać torturom każdego stróża prawa, jakiego uda im się schwytać. W dołączonym meldunku była mowa, że wolą umrzeć w walce, niż gdyby mieli ich zatrzymać żywych.

Rany, nigdy nie jest łatwo, ale to...

- Wszyscy gotowi, broń i osprzęt na miejscu? - zapytał Steadmana Little.

- Tak. Trzy oddziały i snajperzy. Ulice zabezpieczone. Śmigłowce ratunkowe z Travis są już w powietrzu. Wozy strażackie czekają za rogiem.

Little skinął głową. *Cóż, wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Ale co mnie tak niepokoi?*

Nie był pewien. Może zrozpaczony głos tego faceta, który twierdził, że jest z policji stanowej. Nazywał się Bishop czy jakoś tak. Marudził coś o włamaniu do komputerów FBI i nadaniu fałszywych kodów ataku na niewinnych ludzi.

Ale w regułach prowadzenia akcji zarządzonych przez Waszyngton było ostrzeżenie, że sprawcy mogą podawać się za policjantów i twierdzić, że cała operacja to nieporozumienie. Mogą nawet udawać funkcjonariuszy stanowej. Poza tym, pomyślał Little, włamanie do komputerów biura? Wykluczone. Owszem, można się dostać do publicznie dostępnej strony internetowej, ale do zabezpieczonego komputera operacyjnego? Nigdy.

Spojrzał na zegarek.

Zostało osiem minut.

- Poproś o potwierdzenie żółtego kodu - powiedział do jednego z techników siedzących przez monitorem komputerowym, który wstukał: **OD: DOWÓDCA SPEC. ODDZ., D.S. KALIFORNIA OKRĘG PÓLNOCNY**

DO: CENTRUM OPERACJI SPECJALNYCH D.S. WASZYNGTON

DOT: OPERACJA 13A-01 KALIFORNIA OKRĘG PÓLNOCNY

POTWIERDZENIE KOD ŻÓŁTY?

Wcisnął ENTER.

Były trzy poziomy kodów operacji oddziałów antyterrorystycznych: zielony, żółty i czerwony. Zielony oznaczał pozwolenie na rozmieszczenie agentów w bazie operacyjnej akcji, co stało się już pół godziny temu. Kod żółty oznaczał zgodę na przygotowanie się do ataku i zajęcie pozycji wokół celu. Czerwony stanowił sygnał rozpoczęcia szturmu.

Po chwili na ekranie ukazała się wiadomość:

OD: CENTRUM OPERACJI SPECJALNYCH D.S. WASZYNGTON

DO: DOWÓDCA SPEC. ODDZ., D.S. KALIFORNIA OKRĘG PÓLNOCNY

DOT: OPERACJA 139-01 KALIFORNIA OKRĘG PÓLNOCNY

KOD ŻÓŁTY <DRB>

- Wydrukuj to - polecił technikowi Little. - Tak jest.

Little i Steadman sprawdzili słowo przy kodzie i stwierdzili, że „dąb” to poprawne hasło. Agenci mieli zgodę na zajęcie stanowisk wokół domu.

Jednak Little nadal się wahał, słysząc w głowie głos tamtego faceta, który twierdził, że nazywa się Frank Bishop. Pomyślał o dzieciach zabitych w Waco. Mimo zarządzenia reguł

numer cztery, wykluczających udział negocjatorów w akcji przeciw sprawcom takim jak ci, Little zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do San Francisco, gdzie FBI miało świetnego negocjatora, z którym agent już wcześniej pracował. Może...

- Agencie Little? - odezwał się oficer łącznościowy, wskazując ekran komputera. -

Wiadomość dla pana. Little pochylił się i przeczytał: **PILNE PILNE PILNE**

OD: CENTRUM OPERACJI SPECJALNYCH D.S. WASZYNGTON

DO: DOWÓDCA SPEC. ODDZ., D.S. KALIFORNIA OKRĘG PÓŁNOCNY

**DOT: OPERACJA 13R-01 KALIFORNIA OKRĘG PÓŁNOCNY ARMIA USA INFORMUJE
PODEJRZANI W SPRAWIE MARIN WŁAMALI SIĘ DO**

MAGAZYNÓW WOJSKOWYCH SAN PEDRO GODZ. 15:MO I SKRADLI DUŻR

ILOŚĆ BRONI AUTOMATYCZNEJ, GRANATÓW RĘCZNYCH

I STROJÓW KUŁOODPORNÝCH.

ZAWIADOMIĆ AGENTÓW ODDZIAŁÓW SPECJALNYCH O

ZAISTNIAŁEJ SYTUACJI

Rany boskie, pomyślał Little, czując, jak krew pulsuje mu w skroniach. Wiadomość oznaczała, że może się pożegnać z myślą o negocjatorze. Spojrzał na agenta Steadmana i rzekł spokojnie, wskazując ekran:

- Przekaż to, George. I każ wszystkim zająć stanowiska. Ruszamy za sześć minut.

Rozdział

00101100/czterdziesty czwarty

Frank Bishop obszedł Shawna dookoła. Obudowa z grubych metalowych płyt miała powierzchnię czterech stóp kwadratowych. Przez rząd szczelin wentylacyjnych z tyłu buchało gorące powietrze,

tworząc białe obłoczki, jak oddech w zimowy dzień. Przedni panel składał

się tylko z trzech zielonych oczu - lampek wskaźnikowych, które od czasu do czasu mrugały, dając znak, że Shawn ciężko pracuje, wypełniając pośmiertne instrukcje Phate'a.

Detektyw próbował jeszcze dzwonić do Wyattta Gillette'a, ale telefon był nieczynny.

Zadzwoił do Tony'ego Motta w CCU. Powiedział mu i Lindzie Sanchez o maszynie i wyjaśnił, że tuż przed rozłączeniem Gillette mówił, że może zrobić tylko jedno, ale nie zdążył

już powiedzieć, co miał na myśli. - Macie jakieś pomysły?

Oboje zaczęli się zastanawiać. Bishop sądził, że powinien spróbować wyłączyć maszynę i zatrzymać w ten sposób transmisję kodu potwierdzenia z Shawna do dowódcy akcji FBI. Tony Mott był jednak zdania, że gdyby to zrobił, zadanie przejąłaby jakaś druga maszyna znajdująca się w innym miejscu, która mogła zostać zaprogramowana w taki sposób, że po wyłączeniu Shawna uczyniłaby jeszcze więcej szkód - na przykład zablokowałaby komputer kontroli lotów na jakimś lotnisku. Mott uważał, że lepiej będzie spróbować dostać się do Shawna i przejąć root. Bishop przyznał mu rację, ale wyjaśnił, że maszyna nie ma klawiatury, więc nie da się do niej włamać. Poza tym do ataku zostało tylko kilka minut i nie było czasu na łamanie haseł i próby przejęcia kontroli nad komputerem.

- Spróbuję wyłączyć - oświadczył detektyw.

Ale nie bardzo wiedział, jak ma to zrobić. Znów zaczął szukać wyłącznika zasilania, ale nie potrafił go nigdzie znaleźć. Nie widział też ruchomej płyty, przez którą mógłby się dostać do kabli biegnących pod grubą drewnianą podłogą.

Spojrzał na zegarek.

Zostały trzy minuty. Nie było czasu wyjść na zewnątrz i poszukać skrzynek transformatorowych.

Zrobił więc dokładnie to samo co pół roku temu, gdy w alei w Oakland Tremain Winters wycelował remingtona kalibru dwanaście w niego i dwóch innych gliniarzy z miejskiej - spokojnie wyciągnął służbową broń i oddał trzy równo odmierzone strzały w korpus przeciwnika.

Wtedy jednak szef gangu padł trupem, a teraz pociski w miedzianych koszulkach rozpląszczyły się na metalowej płycie i wylądowały na podłodze; skóra Shawna nie została nawet draśnięta.

Bishop podszedł bliżej, stanął pod kątem, by uniknąć rykoszetu i celując w zielone lampki, opróżnił cały magazynek. Roztrzaskał jedno światełko, lecz z wylotów z tyłu maszyny wciąż buchała para.

Bishop chwycił telefon i krzyknął do Motta:

- Właśnie wywaliłem na niego cały magazynek. Dalej działa? Musiał mocno przycisnąć telefon do ucha, na wpół ogłuszony od huków strzałów. Mott poinformował go, że Shawn ciągle działa i nadaje.

Niech to szlag...

Przeładował, wsunął lufę do jednej ze szczelin wentylacyjnych i znów opróżnił

magazynek. Tym razem rykoszet - kawałek gorącego ołowiu - drasnął go w skórę dłoni, pozostawiając poszarpany stygmat. Wytarł krew w spodnie i znów chwycił telefon.

- Przykro mi, Frank - powiedział bezradnie Mott. - Ciągłe chodzi. Detektyw spojrzał

ze złością na pudło. Jeśli chcesz się bawić w Boga i stworzyć nowe życie, pomyślał z goryczą, lepiej uczynić je niezniszczalnym. Sześćdziesiąt sekund.

Bishop poczuł się rozpaczliwie bezsilny. Pomyślał o Gilletcie, którego jedyną zbrodnią było drobne potknięcie podczas próby ucieczki od nieudanego dzieciństwa. Wielu gówniarzy, których Bishop zdejmował - w East Bay czy Haight - było nieczułymi mordercami i dziś chodzili wolno. Wyatt Gillette nikomu nie szkodził, podążając ścieżką, na którą skierował go Bóg i wrodzona bystrość, a teraz on, kobieta, którą kochał i jej rodzina mieli doznać strasznych cierpień.

Nie miał czasu. Lada chwila Shawn wysłał sygnał potwierdzenia ataku.

Czy jest w stanie zrobić cokolwiek, żeby powstrzymać Shawna? Może spalić to cholerstwo?

Mógł wzniecić ogień przy szczelinach wentylacyjnych. Podbiegł do biurka i wyrzucił na podłogę zawartość szuflad, szukając zapalek albo zapalniczki.

Nic.

Nagle coś mu się przypomniało. Jak przez mgłę - co to było?

Nie pamiętał dokładnie, jakby słyszał to bardzo dawno - coś, co Gillette powiedział, gdy pierwszy raz wszedł do biura CCU. Dotyczyło pożaru w pomieszczeniu komputerowym.

Wykombinuj coś z tego.

Zerknął na zegarek. Była dokładnie godzina wyznaczonego ataku. Shawn mrugał

bezdusznie dwoma ocalałymi oczami. *Wykombinuj coś... Pożar... z tego.*

Tak! Bishop odwrócił się i zaczął gorączkowo rozglądać się po pomieszczeniu. Jest!

Przypadł do małej szarej skrzynki z czerwonym guzikiem pośrodku - wyłącznika awaryjnego w zagrodzie dinozaura.

Walnął w przycisk otwartą dłonią.

Ryknął alarm i z rur nad i pod maszyną wystrzeliły z przeraźliwym sykiem strumienie gazu halonowego, okrywając widmowo białą mgłą dwie istoty - z których jedna była człowiekiem.

Agent Mark Little spojrział na ekran komputera w furgonetce.

KOD CZERWONY: <Liść klonu>

Był to sygnał rozpoczęcia szturm.

- Wydrukuj to - powiedział Little do technika, po czym zwrócił się do George'a Steadmana: - Potwierdź, czy „Liść klonu” to zgoda na atak z regułami numer cztery.

Agent zajrzał do broszury z pieczęcią Departamentu Sprawiedliwości na pierwszej stronie i wydrukowanym dużą czcionką napisem POUFNE.

- Potwierdzenie.

Little połączył się przez radio z trójką snajperów osłaniających wszystkie wejścia do domu.

- Wchodzimy. Widzicie podejrzanych przez okna? Wszyscy zameldowali, że nikogo nie widać.

- Dobra. Jeśli z domu wyjdzie ktoś uzbrojony, zlikwidujcie go. Najlepiej strzałem w głowę, żeby nie zdążył zdetonować ładunku. Gdyby był nieuzbrojony, decyzja należy do was.

Przypominam jednak, że obowiązują reguły numer cztery. Rozumiecie?

- Tak jest - odpowiedział jeden ze snajperów, a pozostali przytaknęli.

Little i Steadman wyszli z furgonetki i wśród opadającej mgły biegiem ruszyli do swoich oddziałów w mglistym zmierzchu. Little przemknął na boczne podwórko, dołączając do ośmiu ludzi, którymi dowodził - oddziału Alfa. Steadman znalazł się przy swoim oddziale, Bravo.

Little wysłuchał meldunków rozpoznania.

- Do dowódcy Alf, podczerwień ujawniła ciepło ciała w salonie i dużym pokoju. W

kuchni też - ale to może być ciepło wydzielane przez kuchenkę.

- Zrozumiałem. - Potem Little powiedział do mikrofonu: - Idę z Alfą z prawej strony domu. Zarzucimy ich granatami ogłuszającymi - trzy do salonu, trzy do dużego pokoju i trzy do kuchni, w pięciosekundowych odstępach. Po trzecim wybuchu Bravo wchodzi od frontu, Charlie z tyłu. Z bocznych okien otwieramy ogień krzyżowy.

Steadman i dowódca trzeciego oddziału potwierdzili przyjęcie rozkazu.

Little naciągnął rękawice, kaptur i hełm, myśląc o skradzionym zapasie broni automatycznej, granatów ręcznych i strojów kuloodpornych.

- W porządku - powiedział. - Oddział Alfa, naprzód. Powoli. Wykorzystać każdą osłonę po drodze. Przygotować się do zapalenia świeczek.

Rozdział

00101101/czterdziesty piąty

W domu Papandolosów - domu cytryn, zdjęć i rodziny - Wyatt Gillette przyciskał

twarz do firanki, którą, jak pamiętał, pewnej jesieni uszyła matka Elany. Z tego punktu obserwacyjnego zobaczył, że agenci FBI ruszyli do ataku.

Skuleni i ostrożni, posuwali się krótkimi odcinkami po kilka stóp.

Obejrzał się przez ramię, zaglądając do drugiego pokoju, gdzie Elana leżała na podłodze, obejmując ramieniem matkę. Tuż obok leżał jej brat, Christian, patrząc w oczy Gillette'a z nieopisanym gniewem.

Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa przeprosin, które mogłyby zabrzmieć choć trochę stosownie, więc milcząc, odwrócił się z powrotem do okna.

Wiedział, co zrobi - właściwie postanowił już wcześniej, ale cieszył się ostatnimi minutami życia, jakie mógł spędzić przy kobiecie, którą kochał.

O ironio, pomysł podsunął mu Phate.

Jesteś bohaterem ze skazą - słabym punktem, przez który pakujesz się w kłopoty. Och, pod koniec gry dokonasz bohaterskiego czynu, uratujesz czyjeś życie i publiczność będzie płakać ze wzruszenia...

Wyjdzie z domu z podniesionymi rękami. Bishop mówił, że nie będą mu ufać i pomyślą, że chce dokonać samobójczego zamachu bombowego albo ma ukrytą broń. Phate i Shawn zadbali o to, by policja spodziewała się najgorszego. Ale policjanci też byli przecież ludźmi; może się zawahają. Gdyby tak się stało, może uda się wyprowadzić z domu Elanę, Christiana i matkę.

Ale nigdy nie dostaniesz się na najwyższy poziom w grze.

Zresztą gdyby się nawet nie udało - gdyby go zastrzelili - przeszukają ciało i zobaczą, że nie był uzbrojony, a wtedy być może pomyślą, że reszta też chce się poddać. Potem przekonają się, że popełnili straszliwy błąd.

Zerknął na swoją żonę. Nawet w tej chwili była bardzo piękna. Nie podniosła głowy i Gillette cieszył się z tego w duchu; nie mógłby znieść ciężaru jej spojrzenia.

Czekaj, aż podejda bliżej, powiedział sobie, żeby zobaczyli, że nie stanowisz zagrożenia.

Wychodząc do holu, żeby poczekać pod drzwiami, zauważył starego peceta-składaka stojącego na biurku w pokoiku. Wyatt Gillette wspomniał dziesiątki godzin, jakie spędził

online. Pomyślał: jeśli nie mogę iść na śmierć z miłością Elany, to przynajmniej zabiorę ze sobą

wspomnienia z Błękitnej Pustki.

Agenci oddziału Alfa podkradli się wolno pod zdobiony sztukaterią dom -

niecodzienne miejsce operacji tego rodzaju. Mark Little dał znak swoim ludziom, żeby ukryli się za rabatą rododendronów dwadzieścia stóp od zachodniej strony domu.

Dał ręką sygnał trzem agentom, którzy mieli zawieszoną na pasach granatę ogłuszającą. Pobiegli na stanowiska pod okna dużego pokoju, salonu i kuchni, po czym wyciągnęli zawlecзки. Dołączyło do nich trzech innych, ściskając w rękach pałki, którymi mieli stłuc szyby w oknach, żeby ich partnerzy mogli wrzucić granaty do środka.

Agenci spojrzeli na Little'a, czekając na sygnał.

Nagle w słuchawce w uchu Little'a rozległ się trzask.

- Do dowódcy Alfy, mamy pilne połączenie z linii naziemnej. Agent specjalny z San Francisco.

Główny agent specjalny Jaeger? Po co miałby dzwonić?

- Daj go - szepnął do mikrofonu.

W słuchawce kliknęło.

- Agencie Little - powiedział nieznajomy głos. - Mówi Frank Bishop, policja stanowa.

- Bishop? - To ten sam pieprzony glina, który dzwonił wcześniej. - Daj mi Henry'ego Jagera.

- Nie ma go tu. Skłamałem. Musiałem z panem porozmawiać. Proszę się nie rozłączać.

Musi pan mnie wysłuchać.

Bishop miał być jednym z ukrywających się w domu, który dzwonił, żeby odwrócić ich uwagę. Ale teraz, pomyślał Little, telefon w domu i komórka nie działały, więc niemożliwe, żeby dzwonił mordercy.

- Bishop... czego chcesz, do cholery? Wiesz, na co się narażasz, udając agenta FBI?

Rozłączam się.

- Nie! Niech pan poprosi o potwierdzenie!

- Nie chcę już słuchać tych hakerskich bzdur.

Little przyglądał się badawczo domowi. Panowała tam zupełna cisza. W takich chwilach nawiedzało go szczególne uczucie - radości, lęku i odrętwienia jednocześnie.

Człowiek odczuwał też mrowiący niepokój, wyobrażając sobie, że jeden z morderców wziął

go na cel, ustawiając nitki celownika na fragmencie ciała dwa cale od brzegu kamizelki.

- Właśnie zdjąłem sprawcę, który zorganizował to włamanie i wyłączyłem jego komputer. Daję głowę, że nie dostanie pan potwierdzenia. Proszę wysłać prośbę.

- Procedura tego nie przewiduje.

- Mimo to niech pan to zrobi. Będzie pan żałował przez resztę życia, jeżeli wejdzie pan tam i zastosuje reguły numer cztery.

Little znieruchomiał. Skąd Bishop wiedział, że obowiązują ich reguły numer cztery?

Wiedzieć mógł o tym tylko ktoś z oddziału albo osoba mająca dostęp do komputera FBI.

Agent zauważył, że jego zastępca, Steadman, niecierpliwie stuka w zegarek i wskazuje na dom.

W głosie Bishopa brzmiała prawdziwa rozpacz.

- Błagam. Ryzykuję swoją posadę.

Po chwili wahania agent mruknął:

- Już to zrobiłeś, Bishop.

Przewiesił przez ramię karabin maszynowy i przełączył się na częstotliwość operacyjną.

- Do wszystkich oddziałów, zostać na stanowiskach. Powtarzam, zostać na stanowiskach. Jeżeli zaczną strzelać, macie zgodę na odpowiedzenie ogniem.

Wrócił sprintem na stanowisko dowodzenia. Technik łącznościowiec uniósł zdumiony głowę.

- Co się dzieje?

Ekran monitora wciąż wyświetlał kod potwierdzenia dający sygnał do ataku.

- Potwierdź jeszcze raz czerwony kod.

- Po co? Nie musimy mieć potwierdzenia, jeżeli...

- Zrób to - przerwał mu ostro Little. Technik wstukał: **OD: DOWÓDCA SPEC. ODDZ., D.S. KALIFORNIA OKRĘG PÓLNOCNY**

DO: CENTRUM OPERACJI SPECJALNYCH D.S. WASZYNGTON

DOT: OPERACJA 13A-01 KALIFORNIA OKRĘG PÓLNOCNY

POTWIERDZENIE

KOD CZERWONY?

Na ekranie ukazał się komunikat:

<Proszę czekać>

Przez tych parę minut mordercy w domu zdążyliby przygotować się do ataku lub podłożyć materiały wybuchowe, żeby dokonać zbiorowego samobójstwa, zabijając równocześnie kilkudziesięciu jego ludzi.

< Proszę czekać >

To trwało zdecydowanie za długo.

- Dobra, nieważne - powiedział Little do oficera łącznościowego. - Wchodzimy. -

Ruszył do drzwi.

- Zaraz, chwileczkę - rzekł oficer. - Coś jest nie tak. - Wskazał ekran. - Proszę popatrzeć.

OD: CENTRUM OPERACJI SPECJALNYCH D.S. WASZYNGTON

DO: DOWÓDCA SPEC. ODDZ., D.S. KALIFORNIA OKRĘG PÓŁNOCNY

DOT: OPERACJA 139-01 KALIFORNIA OKRĘG PÓŁNOCNY

<BRAK INFORMACJI. PROSZĘ SPRAWDZIĆ NUMER OPERACJI>

- Sprawdziłem, nie pomyliłem się w numerze - zapewnił łącznościowiec.

Little:

- Wyślij jeszcze raz.

Agent wstukał prośbę jeszcze raz i wcisnął ENTER.

Znów chwila przerwy. Potem:

OD: CENTRUM OPERACJI SPECJALNYCH D.S. WASZYNGTON

DO: DOWÓDCA SPEC. ODDZ., D.S. KALIFORNIA OKRĘG PÓŁNOCNY

DOT: OPERACJA 139-01 KALIFORNIA OKRĘG PÓŁNOCNY

<BRAK INFORMACJI. PROSZĘ SPRAWDZIĆ NUMER OPERACJI> Little zsunął czarny

kaptur i otarł twarz. Chryste, co to jest?

Chwycił telefon i zadzwonił do agenta FBI, który dowodził placówką biura w okolicy magazynu rezerw wojskowych San Pedro trzydzieści mil stąd. Agent poinformował go, że po południu nie było żadnego włamania ani kradzieży broni. Little rzucił słuchawkę na widełki, wpatrując się w monitor.

Do drzwi furgonetki podbiegł Steadman.

- Mark, co się dzieje, do cholery? Za długo czekamy. Jak mamy uderzyć, to tylko teraz.

Little nie odrywał wzroku od ekranu.

<BRAK INFORMACJI. PROSZĘ SPRAWDZIĆ NUMER OPERACJI>

- Mark, wchodzimy?

Dowódca spojrzał w stronę domu. Zwlekali już tak długo, że mieszkańcy mogą nabrać podejrzeń, że telefony wyłączono celowo. Sąsiedzi dzwonili zapewne na policję, pytając o obecność oddziału specjalnego obok ich domu, a rozmowy podsłuchały reporterskie skanery częstotliwości policyjnych.

Helikoptery prasowe pewnie już lecą. Zaraz zacznie się transmisja na żywo ze śmigłowców, a mordercy w środku za kilka minut będą mogli oglądać wszystko w wiadomościach.

Nagle w radiu odezwał się głos:

- Do dowódcy Alfego, tu snajper trzy. Jeden z podejrzanych wyszedł na schody. Biały mężczyzna pod trzydziestkę. Ręce w górze. Mam go w celowniku. Zlikwidować?

- Ma jakąś broń? Materiały wybuchowe?

- Nic nie widać.

- Co robi?

- Idzie powoli naprzód. Odwrócił się, żeby pokazać nam plecy. Z tyłu też nie ukrywa żadnej broni. Ale mógł sobie coś zamontować pod koszulą. Za dziesięć sekund strzelę w liście. Snajper dwa, przejmij cel, jak minie ten krzak.

- Zrozumiałem - odpowiedział drugi snajper.

- Ma na sobie bombę, Mark - powiedział Steadman. - We wszystkich komunikatach była o tym mowa - chcą pozabijać jaknajwięcej naszych. Facet wysadzi się w powietrze, a reszta wypadnie tylnymi drzwiami i zacznie strzelać.

<BRAK INFORMACJI. PROSZĘ SPRAWDZIĆ NUMER OPERACJI> Mark Little powiedział do mikrofonu:

- Dowódca Bravo, każ podejrzanemu położyć się na ziemi. Snajper dwa, jeżeli nie będzie leżał w ciągu pięciu sekund, strzelaj.

- Tak jest.

Chwilę później usłyszeli megafon:

- Tu FBI. Połóż się i rozłóż szeroko ręce. Natychmiast!

BRAK INFORMACJI...

Agent zameldował:

- Już leży. Przeszukać go i obezwładnić?

Little pomyślał o swojej żonie i dwójce dzieci, po czym odrzekł:

- Sam to zrobię. - Do mikrofonu powiedział: - Wszystkie oddziały, wycofać się na pozycje.

Zwrócił się do łącznościowca:

- Połącz mnie z zastępcą dyrektora w Waszyngtonie. - Pokazał palcem dwie sprzeczne wiadomości - wydruk z sygnałem ataku i „brak informacji” na ekranie komputera. - I powiedz mi, jak to się, do diabła, stało.

Rozdział

001011100/czterdziesty szósty

Leżąc w trawie, czując zapach ziemi, deszczu i ledwie wyczuwalną woń bzu, Wyatt Gillette mrużył oczy w oślepiającym blasku skierowanych na niego punktowców. Patrzył, jak ostrożnie zbliża się do niego zdenerwowany agent i celuje w jego głowę z wielkiego karabinu.

Agent skuł go i dokładnie przeszukał. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy Gillette poprosił go, by zadzwonił do gliny ze stanowej, Bishopa, który mógł potwierdzić, że ktoś włamał się do systemu komputerowego FBI, a ludzie w domu nie są podejrzanymi w sprawie MARIN.

Następnie agent kazał wyjść rodzinie Elany. Elana, jej matka i brat wolno zeszli na trawnik z podniesionymi rękami. Zostali obszukani i skuci kajdankami i choć nie potraktowano ich brutalnie, z ich ponurych min można było wyczytać, że upokorzenie i strach bolą ich niemal tak samo jak przemoc fizyczna.

Jednak najbardziej cierpiał Gillette, lecz nie z powodu złego traktowania przez agentów FBI; wiedział już, że na zawsze stracił kobietę, którą kochał. Wcześniej zdawała się wahać, czy wyjechać z Edem do Nowego Jorku, ale teraz maszyny, które ich rozdzieliły, o mały włos jej nie zabiły, a tego, rzecz jasna, nie mogła wybaczyć. Teraz ucieknie na wschodnie wybrzeże z odpowiedzialnym, dobrze zarabiającym Edem i Elana stanie się dla Gillette'a wspomnieniem, ulotnym jak pliki JPG i WAV - obrazy i dźwięki, które znikają, gdy wyłączało się w nocy maszynę.

Agenci FBI zbili się w grupę i zaczęli dzwonić do różnych osób. Po paru telefonach doszli do wniosku, że rozkaz ataku rzeczywiście wydano bezprawnie. Uwolnili wszystkich -

oczywiście z wyjątkiem Gillette'a, któremu pozwolili jednak wstać i rozluźnili trochę kajdanki.

Elana podeszła do swojego byłego męża. Stał przed nią bez ruchu i nie wydał żadnego dźwięku, gdy

z całej siły go spoliczkowała. Zmysłowa i piękna nawet w złości, bez słowa odwróciła się i pomogła matce wejść po schodach do domu. Jej dwudziestodwuletni brat wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe groźby o procesie i innych jeszcze gorszych rzeczach, po czym poszedł za nimi, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Kiedy agenci szykowali się do odwrotu, przyjechał Bishop i podszedł do Gillette'a, którego pilnował zwalisty agent.

- Wyłącznik awaryjny - powiedział.

Haker skinął głową.

- Gaśnice halonowe. O tym właśnie chciałem ci powiedzieć, kiedy odcięli telefon.

Bishop przytaknął.

- Przypomniałem sobie, jak mówiłeś o tym w CCU. Kiedy pierwszy raz zobaczyłeś zagrodę dinozaura.

- Jakieś inne uszkodzenia? - zapytał haker. - Chodzi mi o Shawna. Miał nadzieję, że nie. Maszyna niezwykle go ciekawiła - jak działa, czego potrafi dokonać, jaki system operacyjny stanowi jej serce i mózg.

Bishop wyjaśnił, że maszyna niezbyt ucierpiała.

- Opróżniłem na to pudło dwa magazynki, ale nie bardzo je uszkodziłem. -

Uśmiechnął się. - Odniosło tylko rany powierzchowne.

W oślepiającym świetle reflektorów zbliżył się do nich jakiś tęgi mężczyzna. Gdy podszedł bliżej, Gillette zobaczył, że to Bob Shelton. Dziobaty glina przywitał się z partnerem, a hakera obdarzył typowym dla siebie pogardliwym spojrzeniem.

Bishop powiedział mu, co się stało, ale nie wspomniał o ich podejrzeniach, że to Shelton miał być Shawnem.

Glina pokręcił głową, śmiejąc się z goryczą.

- A więc Shawn to komputer? Jezu, ktoś powinien powyrzucać wszystkie te pieprzone maszyny do oceanu.

- Dlaczego ciągle tak mówisz? - warknął Gillette. - To zaczyna być nudne.

- Co? - odparował Shelton.

Nie potrafiąc dłużej powstrzymać gniewu na detektywa, który przez te kilka dni traktował go niezwykle szorstko, haker mruknął:

- Przy każdej okazji wyżywasz się na mnie i na maszynach. Jednak trochę trudno w to uwierzyć, jeśli mówi to ktoś, kto ma w domu napęd Winchester wart tysiąc dolarów.

- Co ma?

- Kiedy byliśmy u ciebie, zobaczyłem ten napęd serwera w twoim salonie.

W oczach detektywa zamigotał gniew.

- To należało do mojego syna - prychnął. - Miałem go wyrzucić. Postanowiłem wreszcie posprzątać jego pokój i pozbyć się tego komputerowego gówna. Zona chciała, żebym nie wyrzucał żadnej z jego rzeczy. Właśnie o to się kłóciliśmy.

- Twój syn interesował się komputerami? - spytał Gillette, przypominając sobie, że chłopak zginął kilka lat wcześniej.

Znowu gorzki śmiech.

- O tak, bardzo interesował się komputerami. Spędzał w Sieci długie godziny. Chciał

zostać hakerem. Tylko że jeden cybergang dowiedział się, że jest synem gliniarza i ubzdurał

sobie, że chce na nich donieść. Zaczęli go prześladować. W Internecie wypisywali o nim różne bzdury - że jest gejem, że ma na koncie wyroki, że molestuje dzieci... Włamali się do szkolnego komputera i zmienili mu oceny tak, żeby wyglądało, jakby to on sam je podrobił.

Potem szkoła go zawiesiła. Później wysyłali dziewczynie, z którą się spotykał, te obrzydliwe e-maile, podpisując je jego imieniem. Zerwała z nim. Tego dnia upił się i wjechał we wspornik wiaduktu na autostradzie. Być może to był wypadek, być może sam się zabił. W

każdym razie zabiły go komputery.

- Przykro mi - rzekł cicho Gillette.

- Gówno, a nie przykro. - Shelton podszedł bliżej hakera, w ogóle nieuspokojony. -

Dlatego zgłosiłem się do tej sprawy. Myślałem, że sprawca może być jednym z tych gówniarzy z gangu. I dlatego wtedy sprawdzałem cię online, chciałem się przekonać, czy i ty do nich nie należałeś.

- Nie, nie należałem. Nikomu nie zrobiłbym czegoś takiego. Nie po to hakowałem.

- Ciągłe to powtarzasz. Ale nie jesteś wcale lepszy od nich. Wmówiłeś mojemu synowi, że te cholerne plastikowe pudła to cały świat. Ale to gówno prawda. To nie jest życie.

- Chwycił Gillette'a za klapy. Haker nie opierał się, patrząc w twarz rozwścieczonego detektywa. - Życie jest tu! Z krwi i kości... wśród ludzi... rodzina, dzieci... - Głos uwiązł mu w gardle, w oczach

pojawiły się łzy. - Tylko to jest prawdziwe.

Shelton odepchnął hakera, ocierając oczy ręką. Bishop dotknął jego ramienia, ale detektyw wyrwał się, znikając w tłumie policjantów i agentów.

Gillette szczerze współczuł temu biedakowi, ale nie mógł się powstrzymać od myśli: maszyny też są prawdziwe, Shelton. Co dzień, w coraz większym stopniu stają się częścią naszego życia z krwi i kości i to się już nie zmieni. Nie pytajmy więc, czy ta transformacja jest dobra, czy zła, ale zapytajmy: kim się stajemy, wkraczając przez monitor w Błękitną Pustkę?

Bishop i Gillette stali naprzeciw siebie. Detektyw zauważył, że koszula wystaje mu ze spodni. Wcisnął ją za pasek, a potem pokazał tatuaż z palmą na przedramieniu hakera.

- Możesz to sobie usunąć. Chyba nie dodaje ci uroku. Przynajmniej gołąb. Drzewko jeszcze jakoś wygląda.

- To jest mewa - odparł Gillette. - A skoro o tym mowa, Frank... może ty sobie sprawisz?

- Co?

- Tatuaż.

Detektyw chciał coś powiedzieć, ale uniósł tylko brew.

- Wiesz co, może rzeczywiście.

Gillette poczuł, jak ktoś chwyta go od tyłu za rękę. Eskorta policyjna przybyła punktualnie, żeby odstawić go do San Ho.

Rozdział

0010111/czterdziesty siódmy

Tydzień po powrocie hakera do więzienia Frank Bishop spełnił obietnicę Andy'ego Andersona i mimo nowych protestów naczelnika dostarczył Wyattowi Gillette'owi trochę poobijany, używany laptop Toshiba.

Kiedy haker włączył maszynę, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było cyfrowe zdjęcie grubego kilkudniowego dziecka o ciemnej karnacji. Podpis pod spodem brzmiał:

„Pozdrowienia od Lindy Sanchez i jej nowej wnuczki, Marii Andie Harmon”. Gillette zanotował w pamięci, aby wysłać jej list z gratulacjami; prezent dla dziecka będzie musiał

trochę poczekać, ponieważ w więzieniach federalnych raczej rzadko spotyka się sklepy z upominkami.

Oczywiście, laptop nie był wyposażony w modem. Gillette mógł sobie poradzić, budując modem z

walkmana Devona Franklina (z którym zamienił się za dżem morelowy), ale postanowił tego nie robić. Była to część jego umowy z Bishopem. Poza tym chciał jak najszybciej zakończyć ostatni rok odsiadki i wrócić do normalnego życia.

Co nie znaczy, że był zupełnie odcięty od Sieci. Pozwolono mu korzystać z działającego w żółwym tempie IBM-u w bibliotece, aby mógł pomóc w badaniu Shawna, który znalazł nowy dom na Uniwersytecie Stanforda. Gillette pracował z informatykami uniwersyteckimi i Tonym Mottem. (Frank Bishop kategorycznie odrzucił prośbę Motta o przeniesienie do wydziału zabójstw, ale udobruchał młodzieńca, rekomendując go na stanowisko pełniącego obowiązki szefa wydziału przestępstw komputerowych, na co Sacramento wyraziło zgodę).

Gillette zdumiała zawartość Shawna. Aby zapewnić sobie dostęp do jak największej liczby komputerów dzięki Trapdoorowi, Phate zainstalował w swym dziele własny system operacyjny, jedyny w swoim rodzaju, który zawierał elementy wszystkich istniejących systemów operacyjnych: Windows, MS DOS, Apple, Unix, Linux, VMS i wielu nieznanych, używanych do aplikacji naukowych i technicznych. System, który Phate nazwał Proteus 1.1, przypominał Gillette'owi trudną do ścisłego sformułowania teorię wyjaśniającą zachowanie materii i energii we Wszechświecie.

Tylko że poszukiwania Phate'a, w przeciwieństwie do Einsteina i jego następców, zostały zdaje się uwieńczone sukcesem.

Jedyną rzeczą, której nie wypluł Shawn, był kod źródłowy Trapdoora i dane miejsc, w których mógł zostać ukryty. Kobiecie przedstawiającej się jako Patricia Nolan widocznie udało się odizolować i ukraść kod, a potem zniszczyć wszystkie jego kopie.

Nigdy jej też nie odnaleziono.

Gdy Gillette się o tym dowiedział, podzielił się z Bishopem spostrzeżeniami, że kiedyś łatwo było zniknąć, bo nie było komputerów, a teraz łatwo zniknąć, bo komputery potrafią wymazać wszystkie ślady dawnego życia i stworzyć każdemu zupełnie nowe tożsamości.

Bishop poinformował go, że Stephenowi Millerowi urządzono uroczysty policyjny pogrzeb z wszystkimi honorami. Linda Sanchez i Tony Mott nadal gryźli się myślą, że podejrzewali Millera o zdradę, gdy tymczasem był po prostu upartym człowiekiem z dawnych czasów epoki komputeryzacji, którego czas w poszukiwaniu Następnego Wielkiego Kroku w Dolinie Krzemowej już minął. Wyatt Gillette mógł jednak zapewnić dwójkę policjantów, że nie powinni mieć żadnych wyrzutów sumienia; Błękitna Pustka o wiele lepiej toleruje oszustwo niż niekompetencję.

Hakerowi zwiększono limit czasu spędzonego online, przydzielając mu kolejne zadanie. Miał pomóc w sprawdzaniu zarzutów przeciw Davidowi Chambersowi zawieszonemu w obowiązkach szefowi wydziału dochodzeniowego Departamentu Obrony.

Frank Bishop, kapitan Bernstein i prokurator doszli do wniosku, że Phate włamał się do prywatnego i służbowego komputera Chambersa, żeby go usunąć i postawić na jego miejscu Kenyona albo któregoś z jego zauszników, który mógł wyłączyć Gillette'a ze śledztwa.

Hakerowi wystarczyło piętnaście minut, by odnaleźć i ściągnąć dowód na to, że istotnie Phate zmodyfikował dane w komputerach Chambersa i spreparował informacje dotyczące nielegalnych operacji i kont zagranicznych. Zarzuty wobec szefa wydziału dochodzeniowego wycofano i przywrócono go na stanowisko.

Przeciw Wyattowi Gillette'owi nie wysunięto zarzutu złamania szyfru Standard 12, a Franka Bishopa nie oskarżono o pomoc w ucieczce więźnia z CCU. Prokurator postanowił

umorzyć śledztwo - nie dlatego że uwierzył w wersję, jakoby to Phate napisał program deszyfrujący Standard 12, ale dlatego że komisja kontroli finansowej Departamentu Obrony wszczęła dochodzenie, które miało odpowiedzieć na pytanie: jak to się stało, że wydano trzydzieści pięć milionów dolarów na program szyfrujący pozbawiony podstawowych zabezpieczeń.

Gillette'a poproszono również o pomoc w wytropieniu szczególnie niebezpiecznego wirusa komputerowego znanego pod nazwą Poloniusz, który pojawił się w minionym tygodniu. Był to demon, który sam łączył komputer z Siecią i wysyłał wszystkie stare i bieżące e-maile do wszystkich osób i instytucji z książki adresowej. Doprowadzało to nie tylko do poważnych korków w Internecie, ale do wielu krępujących sytuacji, gdy ludzie zaczęli otrzymywać wiadomości adresowane do innych. Kilka osób próbowało popełnić samobójstwo, gdy wyszły na jaw romanse, przypadki chorób przenoszonych drogą płciową i różne podejrzane interesy.

Szczególnie niepokojący był sposób rozprzestrzeniania się wirusa. Mając świadomość, że firewalle i programy antywirusowe nie wpuszczą większości wirusów do systemu, sprawca włamał się do sieci producentów programów komercyjnych i wydał

polecenie maszynom produkującym dyski, aby umieszczały wirusa na płytach sprzedawanych w sklepach i firmach sprzedaży wysyłkowej.

Sprawę prowadzili federalni, którym udało się tylko ustalić, że wirus pochodzi z uniwersytetu w Singapurze i został wpuszczony do Sieci przed dwoma tygodniami. Nie mieli żadnego innego tropu - dopóki jeden z agentów FBI pracujących nad sprawą nie zaczął

zastanawiać się na głos:

- Poloniusz... to chyba postać z „Hamleta”, nie? Gillette przypomniał sobie, co mówił

mu Phate. Wygrzebał egzemplarz dramatów Szekspira i stwierdził, że rzeczywiście to Poloniusz powiedział: „Rzetelnym bądź sam względem siebie...”. Haker poradził im, żeby sprawdzili datę i godzinę pierwszego pojawienia się wirusa; było to późne popołudnie tego dnia, w którym Patricia Nolan zabiła Phate'a. Gdy jej współpracownicy połączyli się z serwerem FTP, którego adres im podała, bezwiednie wypuścili w świat wirusa Poloniusz -

pożegnalny prezent od Phate'a.

Kod był bardzo elegancki i okazało się, że wyjątkowo trudno go usunąć. Producenci musieli w całości przepisać systemy produkcji płyt z programami, a użytkownicy wymazać całą zawartość

twardych dysków i zacząć pracę od nowa, używając programów wolnych od wirusa.

Zapamiętaj ten fragment, Valleyman. To rada czarodzieja. „Rzetelnym bądź sam względem siebie”...

Pewnego wtorku pod koniec kwietnia Gillette siedział przed laptopem w swojej celi, analizując części systemu operacyjnego Shawna, gdy w drzwiach stanął strażnik.

- Gillette, masz gościa.

Pewnie Bishop. Detektyw wciąż pracował nad sprawą MARIN, spędzając sporo czasu na północ od Napa, gdzie według policyjnych informacji ukrywali się podejrzani. (Nigdy nie byli w okręgu Santa Clara. Prawdopodobnie większość ostrzeżeń o obecności sprawców, jakie otrzymała prasa i policja, wysłał Phate). Bishop od czasu do czasu wpadał do San Ho, gdy był w okolicy. Ostatnim razem przywiózł Gillette'owi pop-tarty i dżem morelowy, który Jennie zrobiła z owoców z sadu Bishopa. (Nie bardzo za nim przepadał, ale dżem okazał się cenną walutą więzienną - za te słoiczki haker kupił walkmana, z którego mógł zrobić modem, ale pewnie nie zrobi. Najprawdopodobniej).

Jednak gościem nie był Frank Bishop.

Gillette usiadł w boksie i przyglądał się Elanie Papándolos, która weszła do pokoju.

Miała na sobie granatową sukienkę. Jej ciemne, gęste włosy były ściągnięte do tyłu i spięte w koński ogon, który niemal rozsadał złotą spinkę. Patrząc na jej krótkie paznokcie, starannie opiłowane i pomalowane na jasny fiolet, pomyślał o czymś, co nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy. Ellie, nauczycielka gry na fortepianie, podobnie jak on, wszystko, co w życiu osiągnęła, zawdzięczała swoim rękom, a jednak miała piękne palce, bez najmniejszego śladu zgrubiałej skóry. Usiadła, przysuwając sobie krzesło.

- Nie wyjechałaś - powiedział, pochylając lekko głowę, żeby słyszała go lepiej przez otwory w pleksiglasowej ścianie. - W ogóle się do mnie nie odzywałaś. Myślałem, że od paru tygodni jesteś w Nowym Jorku.

Nie odpowiedziała na to. Patrząc na przezroczystą ściankę, zauważyła:

- Tego wcześniej nie było.

Ostatnim razem, gdy go odwiedziła, dwa lata temu, siedzieli przy stoliku bez tafli pleksiglasu, a obok stał strażnik. Po zmianie systemu strażnika nie było; więźniowie i odwiedzający mieli więcej prywatności, ale mniej bliskości. Gillette uznał, że wolałby być bliżej Ellie. Przypomniawszy sobie, jak w trakcie dawnych wizyt muskał jej dłoń i przyciskał

stopę do brzegu jej buta, czując elektryczny dreszcz, jak gdyby ten ulotny kontakt był

namiastką fizycznej miłości.

Pochylając się do przodu, Gillette zorientował się, że nerwowo przebiera palcami w powietrzu, stukając w wymagowaną klawiaturę. Wepchnął ręce do kieszeni.

- Rozmawiałaś z kimś o modemie? - zapytał. Elana skinęła głową.

- Znalazłam panią adwokat. Nie wie, czy modem się sprzeda, czy nie. Ale jeśli tak, postanowiłam uregulować rachunek z twoim adwokatem i spłacić moją połowę domu. Reszta będzie twoja.

- Nie, chcę, żebyś... Przerwała mu, mówiąc:

- Na razie odłożyłam swoje plany. Wyjazdu do Nowego Jorku. Milczał, rozmyślając o tym, co powiedziała. W końcu zapytał: - Na jak długo?

- Jeszcze nie wiem.

- A Ed? Obejrzała się.

- Jest na zewnątrz.

Gillette poczuł bolesne ukłucie zazdrości. Miło z jego strony, że przywiózł Ellie na widzenie do byłego męża, pomyślał z goryczą.

- A więc po co przyjechałaś? - spytał.- Myślałam o tobie. O tym, co mi wtedy powiedziałaś. Zanim zjawiała się policja.

Skinął głową, dając jej znak, by mówiła dalej.

- Zrezygnowałbyś dla mnie z maszyn? - zapytała.

Gillette głęboko nabrał powietrza. Odetchnął, po czym oświadczył spokojnie:

- Nie, nigdy bym tego nie zrobił. Maszyny to jedyna rzecz, którą mogę się w życiu zajmować.

Rzetelnym bądź sam względem siebie...

Spodziewał się, że Ellie wstanie i wyjdzie. To byłby dla niego straszny cios - po którym już może nigdy by się nie podniósł - lecz przysiągł sobie wcześniej, że jeśli będzie miał okazję jeszcze kiedyś z nią rozmawiać, nigdy więcej nie skłamię.

- Ale mogę przyrzec - dodał - że już nigdy nie wejdą między nas tak jak kiedyś. Nigdy więcej.

Elana wolno pokiwała głową.

- Nie wiem, Wyatt. Nie wiem, czy mogę ci zaufać. Mój ojciec wypija co wieczór butelkę ouzo. Zaklina się, że przestanie pić. I przestaje - sześć razy na rok.

- Będziesz musiała zaryzykować - rzekł. - Nie brzmi to najlepiej.

- Ale za to szczerze.

- Pewność, Wyatt. Potrzebuję pewności, żeby w ogóle zacząć o tym myśleć.

Gillette nie odpowiedział. Nie mógł jej przedstawić żadnego niezbitego dowodu, że się zmieni. Siedział w więzieniu po tym, jak omal nie doprowadził do śmierci swojej żony i jej rodziny - z pasji do świata, który nie miał absolutnie nic wspólnego ze światem, w jakim mieszkała i jaki rozumiała Ellie.

- Nie mogę ci powiedzieć nic więcej poza tym, że cię kocham, że chcę być z tobą i założyć z tobą rodzinę - rzekł po chwili.

- Zostanę jeszcze w mieście, przynajmniej na jakiś czas - odparła. - Zobaczymy, jak to będzie.

- A Ed? Co on na to powie? - Może sam go spytasz?

- Ja? - zaniepokoił się Gillette. Elana wstała i podeszła do drzwi.

Co ja mu u diabła powiem? - zastanawiał się w panice Gillette. Za chwilę miał ujrzeć mężczyznę, który zdobył serce jego żony.

Otworzyła drzwi i dała znak.

Chwilę później do sali widzeń weszła matka Elany, kobieta o zaciętej twarzy o surowych rysach. Prowadziła za rękę małego, może półtorarocznego chłopca.

Chryste panie... Gillette był wstrząśnięty. Elana i Ed mieli dziecko!

Jego była żona znów usiadła na krześle i posadziła sobie chłopczyka na kolanach. - To jest Ed.

- To on? - wyszeptał Gillette.

- Owszem. - Ale...

- Cały czas wydawało ci się, że Ed to mój chłopak. Ale jest moim synem.. Właściwie powinnam powiedzieć, że naszym synem. Dałam mu twoje imię. Ale drugie - Edward to nie imię dla hakera.

- Nasz syn? - szepnął. Skinęła głową.

Gillette wrócił myślą do ostatnich nocy, jakie spędził z Ellie, zanim stawiał się w więzieniu i rozpoczął odsiadkę wyroku. Leżeli w łóżku, wtuleni w siebie...

Zamknął oczy. Boże, Boże, Boże... Przypomniawszy sobie otoczenie domu Elany w Sunnyvale tamtego wieczoru, gdy uciekł z CCU - przypuszczał, że policja widziała wtedy dzieci jej siostry. Ale jednym z nich musiał być jego syn.

Czytałem twoje e-maile. Kiedy mówisz o Edzie, nie wydaje mi się, żeby był

doskonałym materiałem na męża...

Zaśmiał się cicho.

- Nigdy mi nic nie powiedziałaś.

- Byłam na ciebie tak wściekła, że nie chciałam, żebyś się kiedykolwiek dowiedział.

- Ale już ci przeszło?

- Nie jestem pewna.

Patrzył na ciemne, kręcone włosy chłopca. Po matce. Miał też jej piękne ciemne oczy i okrągłą twarz.

- Pokaż go bliżej, dobrze?

Pomogła synowi stanąć na jej kolanach. Chłopczyk przyjrzał się bystrych oczami Gillette'owi. Potem zauważył ściankę z pleksiglasu. Dotknął jej pulchnymi, dziecinnymi paluszkami z uśmiechem, zafascynowany, próbując zrozumieć, jak to jest, że wszystko przez to widać, ale niczego nie można dotknąć. Jest ciekawy, pomyślał Gillette. To ma po mnie.

Zjawił się strażnik i ogłosił koniec widzenia. Elana postawiła dziecko na podłodze i wstała. Babcia wzięła Eda za rękę i wyszli razem z pokoju.

Elana i Gillette patrzyli na siebie przez pleksiglasową ściankę.

- Zobaczymy, jak to będzie - powiedziała. - Co ty na to? - O nic więcej nie proszę.

Skinęła głową.

Odwrócili się i ruszyli w przeciwnych kierunkach. Elana zniknęła za drzwiami dla odwiedzających, a strażnik zaprowadził Wyatta Gillette'a przez ciemny korytarz do celi, gdzie czekała jego maszyna.

Od autora

Gdy pisałem tę książkę, umożliwiono mi dogłębne poznanie W struktur i działania agencji federalnych stanu Kalifornia. Chciałbym móc powiedzieć to samo o działaniach hakerów, naruszających naszą prywatność, ale mam złe wieści: coraz częściej wchodzą w nasze życie. Niektórzy specjaliści komputerowi, z którymi rozmawiałem, wyrażali opinię, że napisanie programu takiego jak Trapdoor nie było w tamtych czasach możliwe. Nie przekonali mnie jednak - usłyszawszy ich zdanie, musiałem pomyśleć o pewnym pracowniku działu badawczego jednej z największych na świecie firm komputerowych, który w latach pięćdziesiątych zalecał swojemu przedsiębiorstwu, by zostało przy lampach elektronowych, ponieważ obwód scalony nie ma żadnej przyszłości, natomiast szef pewnego międzynarodowej firmy produkującej sprzęt komputerowy i oprogramowanie oznajmił - w latach osiemdziesiątych - że komputer osobisty nigdy nie przyjmie się na rynku.

Na razie możemy założyć, że program w rodzaju Trapdoora nie istnieje.

Najprawdopodobniej.

Jeszcze jedno: tak, numery rozdziałów są podane w formie liczb binarnych. Nie martwcie się - musiałem je sprawdzić.

Podziękowania

Im dłużej człowiek para się pisarstwem, tym bardziej rozciąga I się lista tych, którym autor winien jest dozonną wdzięczność za herkulesową pracę, jaką na jego rzecz wykonują.

Na mojej znaleźli się: David Rosenthal, Marysue Rucci, George Lucas i wszyscy z mojego pierwszorzędnego wydawnictwa w Ameryce, Simon & Schuster/Pocket Books; Sue Fletcher, Carolyn Mays i Georgina Moore, by wymienić tylko parę osób ze świetnego wydawnictwa brytyjskiego, Hodder & Stoughton; również moi agenci Deborah Schneider, Diana McKay, Vivienne Schuster i inni z Curtis Brown w Londynie; czarodziej filmowy Ron Bernstein, a także agenci za granicą, dzięki którym moje książki trafiają do rąk czytelników na całym świecie. Dziękuję mojej siostrze pisarce, Julie Deaver i - jak zawsze - szczególnie gorąco dziękuję Madelyn Warcholik; gdyby nie ona, kupilibyście książkę składającą się z samych czystych stronic.

Spośród źródeł, które okazały się bezcenne podczas pisania niniejszej powieści (i które świetnie się czytało), powinienem wymienić następujące książki: „The Watchman” i

„The Fugitive Game” Jonathana Littmana, „Masters of Deception” Michelle Slatalli i Joshui Quittnera; „The New Hacker’s Dictionary” Erika S. Raymonda; „Kukułcze jajo” Cliffa Stolla,

„The Hacker Crackdown” Bruce’a Sterlinga, „Bots” Andrew Leonarda i „Fire in the Valley” Paula Freiberga i Michaela Swaine’a.

Table of Contents

[Funkcjonariusz Departamentu Policji Los Angeles](#)
[13 DEPARTAMENTU OBRONY](#)